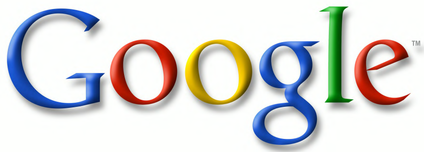
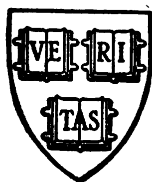
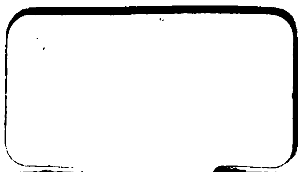






JULIUSZ SŁOWACKI

HISTORYA DUCHA POETY I JEJ ODBICIE W POEZYI

TOM II.

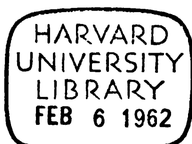
JÓZEF TRETIAK

ULIUSZ SŁOWACKI

TOM II.

(Z 2-MA RYCINAMI).

W KRAKOWIE
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1904.



KRAKÓW 1904. — DRUKARNIA UNIW. JAGIELL. POD ZARZĄDEM J. FILIPOWSKIEG

CZĘŚĆ III.

Transfiguracya.

1842—1844.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XIV.

Zerwanie z Kołem.

1843.

Poczucie misyi. — Wizyta malarza. — Pierwsze wakacye nad oceanem. — Mickiewicz jedzie do Mistrza. — Poglądy Mickiewicza i Słowackiego na znaczenie poezyi. — Niechęć do brata Juliusza. — List Słowackiego do Kołyski. — Śledztwo duchowe; sąd Goszczyńskiego o Słowackim. — Projekt odezwy Słowackiego do Koła. — Nabożeństwo za duszę Aleksandra I. — Chorąży prawdziwej wiary. — Stosunek Słowackiego do Towiańskiego.

»*Księdza Marka*« pisał Słowacki w lipcu 1843. Dowiadujemy się o tem z jego listu do matki z datą 28 lipca, gdzie pisze: »Wkrótce, zda mi się, nowe dziecię w świat wyszlę, gdzie jedna z osóbek chrzestnych nosi twoje imię«. Tą osóbką »chrzestną« była Judyta, która, jak wiemy, otrzymała na chrzcie imię Salomei [1]).

W nieco późniejszym liście, kiedy się już dramat drukował, nazywał go poeta »wspomnieniem jednego popasu, któryśmy niegdyś w Barze odprawiali, gdzie ja, pamiętam, mocnom się na żyda z końmi rozgniewał, a tymczasem przypatrywałem się tej starej mieścinie, jak gdybym przeczuwał, że po dwunastu latach ona znów do mnie przyjdzie« [2]). W liczbie lat Słowacki się pomylił, bo mu-

[1]) Listy do matki II 184. Wydawca, p. Méyet, niesłusznie objaśnia, że wzmianka poety odnosi się do »*Snu Srebrnego Salomei*«, który, jak dobrze wiemy, pisany był dopiero w listopadzie tego roku.

[2]) Tamże II 190.

siał ten popas w Barze wypaść wcześniej, niż przed dwunastu laty, ale wiadomość, że »stara mieścina znów do niego przyszła«, dowodzi, że wyobraźnia poety przy tworzeniu tego poematu korzystała z podkładu wrażeń młodości i czerpała stamtąd swojskość jego kolorytu.

Nowy swój utwór uważał poeta, jak wiemy, za pierwszy owoc idei, więc też przywiązywał do niego wielkie znaczenie, choć się o tem nie rozpisywał w listach, jak przedtem o swoich dawniejszych utworach, na które teraz z góry spoglądał. Bo też nie o sławę, nie o poklask ludzi chodziło mu teraz w pierwszym rzędzie, ale o coś nierównie wyższego — o zdobycie prawdziwego anielstwa. Wierząc mocno w teoryę przechodzenia dusz, jak i w to, że ziemska ich pielgrzymka kończy się ostatecznie stanem anielstwa, nabrał on przekonania, że jest blizkim już końca tej pielgrzymki; potrzeba tylko, aby wypełnił zlaną na siebie misyą, to jest przedewszystkiem, aby użył danego sobie od Boga daru poetyckiego dla wyśpiewania światu nowej zbawczej idei. Oto co pisał matce w tym samym liście (z 28 lipca), w którym donosił o prędkiem wysłaniu w świat *Księdza Marka*. »On, (t. j. Bóg) staremu memu duchowi, co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktownie przypomina z dawnych żywotów... pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między Aniołów, i ztamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co za mną idą«. Ale *Ksiądz Marek* stanowił tylko cząstkę tej misyi, i poeta czuł, że mu wiele jeszcze zostaje do spełnienia na ziemi. »Tak, jak było (to jest przed towianizmem) nie wiele już miałem roboty na ziemi; teraz zaś jest robota za wielka dla mnie; czuję całą pokorę ducha przed tą Sprawą, ale nie upadam i uzbrajam się w cierpliwość i w spokojność mocy«[1].

[1]) Listy do matki II, 182.

Gorączkowa praca fantazyi wśród lipcowych upałów wielkiego miasta musiała się fatalnie odbić na nerwach poety. Zaraz potem (w sierpniu 1843) poznał go Wojciech Stattler, malarz krakowski, który przybył do Paryża dla uwiecznienia pędzlem różnych znakomitości polskich, między innemi i Słowackiego, i zostawił nam w swoich wspomnieniach wrażenie, jakie wówczas wywarł na nim autor *Księdza Marka* [1]). Naprzód mieszkanie jego wydało się malarzowi wykwintnem, zaopatrzonem we wszystko, nawet w kwiaty, w których poeta »poczuwał ducha«. Sam Słowacki uprzedzony od Goszczyńskiego o wizycie malarza, czekał go przechadzając się po salonie w swej sukni wschodniej, której używał w Jerozolimie. Tak to próżność, usilnie z serca wymiatana, przy pierwszym podmuchu z zewnątrz z całym pędem wracała tam, zkąd ją wymieciono. Ale ta szeroka suknia wschodnia nie sprawiła na malarzu takiego wrażenia, jakiego zapewne Słowacki pragnął: »nie wiele dodawała powagi szczupłej postaci — wydawał się ruiną dawnej świątyni«. Zato podczas posiedzeń portretowych malarz podziwiał w pozującym poecie dar poetycznego wysłowienia się, »moc lania obrazami bez końca«, a w gorączką pałających oczach jego »potęgę widzenia«. Sam poeta spostrzegał niebezpieczny stan swego zdrowia i dla poratowania jego — wbrew radom lekarskim — wybierał się wtedy nad morze [2]). »Muszę pojechać nad Ocean, by zmaleć, by ostygnąć«, powiedział wówczas Stattlerowi, a w liście, o kilka miesięcy późniejszym przypominał mu ów miesiąc sierpień: »ten miesiąc, kiedy dogorywając prawie i siedząc ci do portretu, nie jako człowiek, ale raczej gasnąca lampa, jedna z tych lamp

---

[1]) Przypomnienie starych znajomości przez W. K. Stattlera — Kłosy Nr. 435.

[2]) »Przez trzy lata walczyłem o to, abym ciało moje postawił na nogi — a nie używałem do tego ani lekarstw, ani doktorów, owszem na wspak radom doktorskim jechałem po trzykroć nad morze«. Z listu do Zygmunta Krasińskiego pisanego w r. 1846.

rzymskich ludzi, pamiętasz, co to dwoma lub trzema dzióbami ogień leją (dzióby podług ciebie, były to oczy moje), otóż dwoma takimi dzióbami palący się, uciekłem ci z rąk, jak płomyk i pojechałem nad Ocean«[1]).

Ten wyjazd miał dobroczynny wpływ na zdrowie i usposobienie Słowackiego. Przenosił on rozgorączkowanego poetę z rozpalonych murów miasta na wybrzeże morskie, w powietrze tchem oceanu napojone, odrywał od wizyj gorączkowych i majaczeń mistycznych a rzucał na łono cichej i wspaniałej natury i w towarzystwo obce, ale jak zwykle na willegiaturze łatwe w obcowaniu. List jego do matki, pisany pod świeżem wrażeniem miesięcznego pobytu nad morzem, »list długi, pełny detalów, list realności pełny«, jak sam poeta o nim mówi, jest zupełnie różny od poprzedzających i od tych, co po nim nastąpiły i niesie z sobą jakby zapach powietrza morskiego, błękit szerokich horyzontów i powiew młodzieńczej rzeźwości.

»Sprawiłem sobie rodzaj wakacyi — czytamy w tym liście — i miesiąc cały bawiłem w małem miasteczku Pornik nad Oceanem, gdzie prawdziwie weseliłem się, jak student, albo jak ptaszek, wyrwawszy się na wolność... albowiem miejsce zwyczajnego mego pobytu ciężkie jest w lecie, skwarne, rozpalające się prawie do atmosfery piecowej, nie chłodne nawet w nocy... Więc ostatniego sierpnia, upakowawszy moje manatki, wyruszyłem prosto na zachód, drogami żelaznemi i rzekami, po których chodzą statki parowe, obaczywszy po drodze różne miejsca, wlazłszy na różne wieże katedralne, aby odetchnąć szerzej, z jaskółkami zawędrowałem nareszcie do małej mieściny nad Oceanem, gdzie wiele ludzi zjeżdża się na morskie kąpiele«...

»Com uczuł, droga moja, spojrzawszy na Ocean, tego ci wyrazić nie mogę. Między tym morzem a mną jest ta-

---

[1]) Listy J. Słow. Lwów 1883. II, 220.

jemniczy jakiś związek, sympatya, i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach Oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacyi, czytając Walterskotowego »Pirata«, to jest szare, skaliste, okryte chwastami; natura obca, ale znajoma, bo widziana kiedyś przeczuciem, zapragniona sercem; a śród tej natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały: czasem motylek, za którym biegałem nad Wilenką, zupełnie taki sam, a gdym go obejrzał, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek, jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana; czasem pliszeczka nad morzem, zupełnie do téj podobna, do której niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem»...[1]).

Słowem poeta jakby się na chwilę odrodził, odmłodniał, a to wszystko dzięki szerokiej, czystej i spokojnej przyrodzie, dawnej swojej piastunce i jedynie wiernej kochance, która go po dawnem niewidzeniu w ramiona swoje ogarnęła. I na cześć tej kochanki, która mu »wyrzucała, że się długo gorączkowym myślom oddawał, a o niej zapomniał«, wypisał w dalszym ciągu listu ów hymn, który już w pierwszym rozdziale tej książki przytoczyłem, charakteryzując stosunek poety do przyrody, hymn, w którym wielbił tę ostatnią, jako »dobrą i litosną dla strudzonych ludzi«, jako tę, która przez miesiąc w czułości i troskliwości dla niego wyręczała matkę.

Oderwanie się od trawiącej pracy wyobraźni, od gorączkowych wizyi, szeroki powiew morski, kąpiele, towarzystwo ludzi spokojnych i normalnych, to wszystko oddziałało bardzo szczęśliwie na zdrowie poety. Wracał zdrów i jak mu się zdawało, »nabrawszy tęgości na długo«. Pod wpływem pogodnych spojrzeń przyrody, przy uspokojeniu rozburzonych nerwów, bladnął ognisty świat du-

[1] Listy do matki II, 185—186.

chów, który go od roku otaczał, stygło poczucie misyi, słabło rwanie się ducha do anielstwa. To chwilowe chwianie się ducha poety, a raczej oglądanie się na możność cichego szczęścia na ziemi zaznaczyło się w tym samym liście »pełnym realności«, z którego już inne wyjątki są podane. Do znajomości, które Słowacki poczynił w Pornic, należała znajomość z miejscowym doktorem. Jego życie w rodzinnym zakątku, spokojne, ciche, w ograniczonym zakresie stosunków, ale wśród bezgranicznych krajobrazów przyrody, miało wiele uroku dla Słowackiego, który tak był czuły na wdzięki przyrody i nieraz dawniej marzył o jakiemś zaciszu dla siebie. W swojej książce notatkowej zapisał o tym doktorze: »Ten człowiek przy morzu, a bez burz żadnych — prawdziwa skamieniałość szczęścia«, a do matki pisał: »Pokój jego — pełny gratów starożytnych, jak zwyczajnie u człowieka, który w małej mieścinie życie bez burz żadnych przebył i wśród tych gratów umrze zapewne, napełnił mnie dziwną melancholią... Gniazda takich spokojnych ludzi dla duchów przelatujących przez ziemię są nadzwyczaj niebezpieczne, wabią, zachęcają do spokojnego szczęścia, każdy grat przyczepia się do surduta podróżnego i chwyta, usiłując zatrzymać, jak te nasze ukraińskie bodiaki, czepiające się koni rozhukanych; ale któż się da zatrzymać bodiakom«? [1]).

Były jednak i w Pornic rzeczy, które go nastrajały mistycznie: mianowicie wielkie na pustem polu leżące kamienie druidyczne. Odwiedzając te dawne ołtarze w pewną noc miesięczną, zaklinał duchy druidów i wzywał je, aby mu pomagały w pełnieniu misyi. Chodziło tym razem, jak się zdaje, o to, aby doktora, w którym widział dobre serce, ale obojętność, brak religijności, pozyskać dla sprawy, a przynajmniej popchnąć w tym kierunku. Pisał też o sobie w książce notatkowej: »Jestem nauczycielem powa-

---

1) Tamże II, 188.

żnego człowieka. Duchy druidów, które zakląłem, pomagać mi muszą«. Znaleziona przed głazami druidycznymi świeżo zerwana róża wydała mu się jakimś cudownym znakiem. »Kto ją porzucił? zdawała mi się duchów ofiarą. Po dwakroć rzucałem ją do wnętrza grot, chcąc, aby jak lampa świeciła w ciemności — ale zawsze zapadała tak między kamienie, żem ją wydobywać musiał; w tym być musi jakaś tajemnica i nauka duchów, ale jej odgadnąć nie mogę«[1]).

Bądź co bądź miesiąc swobodnego życia nad morzem wpłynął korzystnie na zdrowie i usposobienie Słowackiego. Jak tylko wrócił do Paryża, ściany jego mieszkania »trochę smutne i ciemne po rozwidnionych błękitach oceanowych«, przypomniały mu »prace i obowiązki« jego ducha, rwącego się do anielstwa. Cieszył się też, że po miesięcznem oddaleniu zobaczy się znowu z »braćmi« z Koła, współwyznawcami nowej idei, ale nie przeczuwał, jak prędko miało nastąpić ostateczne jego rozstanie się z Kołem.

W czasie, kiedy Słowacki kończył *Księdza Marka*, pozował Stattlerowi do portretu, a potem kąpał ciało w falach morskich, a oczy w »błękitach oceanowych«, towianizm w osobie Mistrza, choć bodaj czy nie z pobudki Mickiewicza, czynił wielką próbę pozyskania błogosławieństwa papieskiego dla siebie i w ten sposób okazania światu, że — mówiąc językiem Mickiewicza — »nie jest gałęzią kościoła, ale z pnia jego w górę tą samą rdzenią rośnie«, że nie jest »zatoką ani odnogą, ale środkowym nurtem kościoła«[2]). W tym celu Towiański wybierał się do Rzymu, przedtem zaś chciał koniecznie widzieć się z Mickiewiczem, który z tego powodu musiał na jakiś czas opuścić Paryż. Przed wyjazdem obchodził z kolei siódemki i wzywał każdego brata między innymi i Słowackiego do t. zw. spowiedzi, to jest do wypowiedzenia swoich uwag,

[1]) Rkp. Bibl. Ossol. 1792, Nr. 2.
[2]) Współudział I, 105.

»w czem Sprawie chybiono« i w czem on sam, Mickiewicz chybił, co wszystko następnie miał wiernie powtórzyć Mistrzowi. Wyjazd ten wywołał potrzebę znalezienia zastępcy Mickiewicza na czas jego nieobecności w Paryżu, i, za zgodą wszystkich namiestników siódemek, Goszczyński powołany został na tę godność.

Czy Słowacki nie sądził, że jemu się należy ta godność, jako temu, który już jest tak blizki anielstwa? Nie mamy żadnej wskazówki w tym względzie, ale to pewna, że sam musiał uznawać przeszkodę, która mu nie pozwalała dostąpić tej godności; wszak nie prosił o medal, któryby go całkowicie zespolił z Kołem i któryby go wysunął do pierwszego szeregu sług Sprawy. Zresztą gorączkowo zajęty był wówczas tworzeniem *Księdza Marka* i zapewne wierzył już mocno w odrębność swojej misyi, jako tego, który miał światu wyśpiewać nowe idee.

Trudną godność naczelnika Koła piastował przez dwa miesiące Goszczyński, piastował jak umiał, a w chwili powrotu Słowackiego z Pornic, oddał ją znowu w ręce Mickiewicza, ten bowiem, odprowadziwszy mistrza w jego podróży do Rzymu aż do Szwajcaryi, powrócił również w tym czasie do Paryża. Mickiewicz, który w dziwnej skromności ducha stanąwszy przed mistrzem uważał, że »bardzo zniżył się« i musiał »dźwigać się«, aby dojść do harmonii z mistrzem, przywoził teraz wiele uwag z rozmów z nim zaczerpniętych i te uwagi miały być przedmiotem dalszej pracy duchowej w siódemkach, a także na ogólnych zgromadzeniach Koła. Na jednem z takich zgromadzeń (1 listopada 1843), na którem był zapewne i Słowacki, Mickiewicz powtarzając i roztrząsając treść rozmów z Mistrzem kładł wielki nacisk na to, że w nowej epoce czyn tylko, przykład, nie słowo, będzie miał znaczenie. »Od wieków już niebo uczyło przykładami, ale w nowej epoce stanie się to pewnem, że przykład tylko będzie obowiązywał. Przykładem Chrystus Pan włożył tak wielką odpowiedzialność na ludzi. W rzeczach ziemi, w umiejętności, by-

wało dotąd, że mógł ktoś podać co innym do wykonania, czego sam wykonać nie umiał; w rzeczach ducha będzie odtąd, iż chociażby kto najpiękniej nauczał, nikt go nie będzie obowiązany słuchać, będzie go miał prawo odepchnąć, jeśli on sam tej nauki nie pokaże czynem... W epoce nowej mówić najpiękniejsze rzeczy, pisać najpiękniejsze książki nic nie będzie znaczyło«[1]). Podobnie i mistrz wyrażał się w następnym roku w rozmowach swoich z Wrotnowskim: »Chrystus jest ucieleśnionem słowem żyjącem. Improwizacye, poezye, sztuki... pogaństwo« i chwalił Mickiewicza za to, że »maluczkość chrześcijańską przeniósł, a górowanie pogańskie odrzucił«[2]).

Odnosiło się to zapewne do tego, że Mickiewicz od czasu, kiedy został wyznawcą mistrza, uczuwając w sobie natchnienie, nie obracał go na tworzenie poezyi, ale na tak zwaną »realizacyę«, na uduchowienie całego swego organizmu cielesnego, co według pojęć Towiańczyków było jedyną drogą do prawdziwej wielkości. Z pewnego listu jego do Towiańskiego dowiadujemy się, że w ostatnich dniach pobytu w St. Germain, 4, 5 i 6 października 1842 był w wielkiem podniesieniu ducha. »Przypomniałem sobie, że miałem dawniej te stany, ale o nich straciłem był pamięć i teraz dopiero dziwnie wróciły. Ale było to czucie swobody i mocy, bez żadnej myśli, bez kierunku, bez chęci. Dawniej puściłbym je na poezye, teraz czekałem kierunku«. Tak więc chwile natchnienia minęły bezowocnie dla poezyi; jedynym ich owocem było to, coby nazwać można wizyą wewnętrzną. W nocy z dnia siódmego na ósmy, po modlitwie do Najśw. Panny, Mickiewicz uczuł blisko siebie Chrystusa Pana w postaci *Ecce Homo*, a potem obaczył wielką iskrę i poczuł przy sobie ducha Napoleona, przyczem zaczęły mu się układać, bez

[1]) Tamże I, 118.
[2]) Tamże II, 270—271.

żadnego, jak twierdził, z jego strony »przygotowania się lub namysłu« słowa przemowy wielkiego cesarza do Francuzów, rodzaj zagrobowego manifestu, który zapowiadał cudowne dźwignięcie się Francyi a przez nią ludzkości.

Słowa te zapisał, bo mu się zdawało, że były mu przez ducha dyktowane, choć i tu miał pewne wątpliwości i oddawał pod sąd mistrza, »o ile zasługują na uwagę i co z niemi robić, jak ich i kiedy użyć« [1]).

Rozpoczynając niedługo potem trzeci kurs wykładów w *Collège de France*, Mickiewicz, jak to już wskazywałem, podnosił z widocznem uwielbieniem myśl zawartą we wstępie do *Nieboskiej Komedyi*, że natchnienie trzeba nosić, jak gwiazdę na czole, że wysłowić ją, wypisać, jest to zmarnować, zdradzić, że słowo napisane dowodzi niemocy do czynu. Żeby jednak należycie zrozumieć ówczesne poglądy Mickiewicza na znaczenie poezyi, trzeba koniecznie zwrócić uwagę na pewien ustęp z następnej (III-ej) lekcyi, gdzie jakby odpowiadając na jakieś zarzuty, czynione mu z powodu poniżenia, potępienia poezyi, tak się tłómaczył:

»Nie utrzymujemy wszakże, że poezya i literatura mają zawsze mieć miejsce tylko w działaniu, że jak powiada autor *Nieboskiej Komedyi*, słowo jest zawsze zdradą, marnotrawstwem ducha, że cały ogień twórczy trzeba w czyn przelać. Prawidła tego nie należy brać za powszechne. Sztuka nie zaginie nigdy, sztuka jest jednym z węzłów łączących człowieka ze światem niewidomym. Bywają nawet epoki, w których dusze najszlachetniejsze, ludzie najdzielniejsi oddają się sztuce bardziej, niż czemu innemu. Bywa to zwykle po rozwiązaniu głównych, żywotnych zadań obchodzących ludzkość, a takie zadania pospolicie rozwiązują się wstępnym bojem. Kiedy świat wchodzi na drogę postępu spokojnego, sztuka zakwita i upiększnia życie ludzkie; ale są też czasem chwile, kiedy

[1]) Współudział I. 62.

trzeba gdzieindziej kierować wytężenia, kiedy powołaniem każdego jest zwracać całą swą czynność do kilku wielkich zadań, stanowiących o losie całej ludzkości. Inaczej nie byłoby tych epok, w których świat może postępować równo i prosto. Są epoki artystyczne, kiedy siła twórcza wydaje się całkiem w obrazach, w mowie; są także epoki walki, kiedy ta siła ogarnia ludzi, wstrząsa masami. Taka epoka widocznie nadchodzi teraz dla Słowian» [1]).

Tak więc Mickiewicz nie gardził i teraz poezyą bezwzględnie, przyznawał jej nawet wielkie znaczenie w okresach »postępu spokojnego«, ale wierzył, że teraz nadszedł okres walki, w którym piękne słowo obok czynu niema żadnej wartości. W tym względzie pomiędzy przekonaniem Mickiewicza a Słowackiego zachodziła stanowcza różnica. I Słowacki wierzył, że zadaniem człowieka w nowej epoce jest »realizacya«, jest »zdobycie przez ducha swego czynami ciała nieśmiertelności ducha« [2]), ale za czyn uważał także i poezyę, nie taką wprawdzie, jak jego dawniejsza, którą sobie teraz lekceważył, ale poezyę w służbie nowych idei, któraby te idee w ludzi przelewała i zbliżała ich do doskonałości, jednem słowem taką, jakiej dawniej Mickiewicz od niego żądał: świątynię zamieszkałą przez Boga.

Skąd pochodziła ta różnica w poglądach dwu poetów, wyznawców tej samej nauki? Myślę, że objaśnić ją można tylko w ten sposób: Mickiewicz z własnego doświadczenia, z przeszłości swojej poetyckiej wiedział, że poeta przy całej bezpośredniości przelewu swoich uczuć w poezyę nie może być tylko wieszczem, ale jest zarazem artystą, naginającym treść wewnętrzną do wymagań sztuki, obracającym znaczną część pracy swego ducha na rzeźbienie formy i w miarę tego stygnącym we wnętrzu swojem. Cóż dopiero musiał myśleć o innych poetach, których

---

[1]) Lit. Słow. III, 27.
[2]) Listy do matki II, 191.

poezya nie tak bezpośrednio, jak jego, szła z uczucia, którzy więcej od niego puszczali cugle wyobraźni i lubowali się w pięknych zmyśleniach? Człowiek tedy, obdarzony bohaterską naturą i wierzący, że nadszedł czas epoki bohaterskiej, musiał uważać za szkodę, za marnotrawstwo przelewanie natchnienia w poezyę, więzienie go w martwem piśmie, zamiast by obrócone było bezpośrednio na działanie.

Żywego słowa nie odrzucał, on, który przez dwa lata z katedry paryskiej kołatał żywem słowem do serc słuchaczy, aby ich poruszyć, przygotować i pociągnąć ku nowej nauce; nie odrzucał, bo żywe słowo było jednym z najsilniejszych środków działania. Nie odrzucał i pisma bezwzględnie, ale ten »dar Boży«, podług niego, na to był tylko dany człowiekowi, aby on »mógł utrwalić i zachować wzruszenia ducha, prawdy dane mu w chwilach czucia«, nie na to zaś, »aby ludzie byli pisarzami« [1]). Owóż gardził on takiem zawodowem pisarstwem, gardził dlatego, że odciągało natchnienie z równej i prostej drogi, którą ludzie nowej epoki kroczyć powinni, na manowce.

Słowackiego położenie było inne. On nie miał natury bohaterskiej, ale nawskroś artystyczną, malarską, stworzony był nie do życia i działania wśród ludzi, ale do snucia w samotności fantastycznych obrazów. Kiedy dzięki mistrzowi odkryła się przed nim »niezgłębiona czeluść przyszłości«, kiedy uwierzył mocno w »jednobramną« drogę nowej nauki i w to, że jest jednym z wielkich duchów, przewodników na tej drodze, kiedy po wyjeździe mistrza, przewodnictwo w Kole przeszło w ręce Mickiewicza i Słowacki czuł, że do podobnej roli byłby niezdolny i nigdy jej nie osiągnie, a pozostać w roli prostego szeregowca było dlań niepodobieństwem, wtedy, nie oglądając się ani na Mickiewicza, ani na Towiańskiego, uznał, że jego misyą, jego szczególnem posłannictwem, jest cały olbrzymi

---

[1]) Współudział I, 47.

skarb wyobraźni, który posiadał, a który dotychczas marnował na budowanie wspaniałych kościołów bez Boga, użyć na zbudowanie poetyckiej świątyni pełnej bóstwa, na wyśpiewanie wszystkich tajemnic nowej nauki, a przedewszystkiem na podbicie serc ludzkich dla nowej idei.

Jak wielkie znaczenie przywiązywał do nowych swoich utworów poetyckich i jak je uważał za owoc szczególnej misyi, danej sobie od Boga, najlepiej to pokazuje pewien ustęp z listu do matki w owych czasach pisanego: »Zatrudniony jestem bardzo, bo mi znów, jakby mocne pchnięcie od Boga przyszło do pracy, a mam tę chwilę, że niby z jakąś rozpaczą rzucam się do papieru, chcąc garściami duszę moję rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie, nadgryzać im ciało, aż ich urobię podobnych najpiękniejszym ze śmiertelnych... słowem, podług słów świętego Pawła: wyjść z tego więzienia, spłaciwszy ostatni szeląg z siebie« [1]). A że tę poezyę swoją uważał za czyn, jakiego domagała się nowa nauka, świadczy o tem wyraźnie dalszy komentarz, że takim spłaceniem długu »jest tylko czyn, nie zaś bynajmniej prosta i wnętrzna świętość«.

Czy ta różnica w poglądach na poezyą dostatecznie nam wyjaśnia usunięcie się Słowackiego z Koła, które właśnie wtedy, w listopadzie 1843, nastąpiło? Myślę, że nie, że prócz tej przyczyny były jeszcze inne, a najogólniejszą, najbardziej zasadniczą była anty-społeczna natura Słowackiego. W trzy dni po owem zgromadzeniu Koła, na którem Mickiewicz, udzielając niektórych uwag mistrza i objaśniając je, kładł nacisk na to, że »w epoce nowej mówić najpiękniejsze rzeczy, pisać najpiękniejsze książki nic nie będzie znaczyło«, odbyło się inne jakieś zgromadzenie braci, na którem zajmowano się niepokojącym stanem ducha Słowackiego. Co dało powód do tego niepokoju? Dlaczego bracia, jak świadczy sam Słowacki, za-

---

[1]) Listy do matki II, 190.

częli mu okazywać oziębłość? Dlaczego siódemki, które się przedtem zbierały w jego mieszkaniu, przestały się tam teraz zbierać? Jasnych odpowiedzi na te pytania nie mamy, ale z późniejszych wynurzeń Słowackiego domyślać się możemy, że niechęć dla brata Juliusza i niepokój o stan jego ducha musiał powstać stąd, że Słowacki mając się za ducha wielkiego, osobną a wielką misyą obdarzonego, nie chciał na równi z innymi braćmi, których uważał za duchy niższe od siebie, poddawać się pewnym przyjętym przez nich formom i przepisom i w ten sposób żądał dla siebie jakiegoś odrębnego, wyjątkowego stanowiska w Kole.

Zapewne na owem zgromadzeniu d. 4 listopada ułożone było »Polecenie względem brata Juliusza Słowackiego« w następującem brzmieniu. »Siódemka jego wezwie innych braci dla dopełnienia swego kompletu i każdy ze zgromadzonych wziąwszy rzecz w duchu, odpowie pismem osobnem na cztery punkta: 1) Jaki jego stan ducha; 2) Jakie przyczyny; 3) Jakie mogą być sposoby; 4) Na kim może leżeć obowiązek względem niego«[1]).

Naturalnie takie zgromadzenie musiało się odbyć bez udziału Słowackiego, ale zapewne zaraz potem dowiedział się on o poleceniu wydanem względem siebie, skoro już 6 listopada napisał do Kołyski, jednego ze stróżów siódemek, list, który był jakby odpowiedzią uprzedzającą zamierzone śledztwo duchowe.

»Kochany bracie! Przy sprawie trwam wszystkiemi siłami; na drodze wskazanej mi przez mistrza działać będę, dopóki tchu mi starczy. Ale odstąpienie i oziębłość braci, zaprzestanie zbierających się u mnie siódemek i małe inne okoliczności dyktują mi teraz, abym na zebranie Koła nie chodził, albowiem wolność ducha zachować pragnę, pod żaden indywidualny wpływ nie poddam się i póty

[1]) Współudział I, 122.

będę trwał samotnie, dopóki nie uczuję, że całe Koło jest mi bratnie, że razem ze mną chce czystej wiary, prawdy i tylko postępu sprawy. W nieomylność bowiem Koła nie wierzę i formom, przepisanym przezeń dla ducha, nie dam się stropić, albowiem pragnę być żyw, abym jeszcze dla Boga mógł pracować ostatkiem tchu mojego. Inne z przyczyn wyznałem zastępcy mistrza na t. zw. spowiedzi, której ustanowieniu trwałemu także sprzeciwiać się będę. Oto jest veto duchowe brata waszego. Jeżeli ten brat jest w fałszu, nie zaszkodzi wam. Jeżeli Bóg dopuścił, abyście wy zgrzeszyli, przyjdziecie na porzuconą drogę, a wtenczas ja z wami do śmierci i po śmierci.

Brat Juliusz Słowacki.

Pod listem był dopisek: »Z tobą i z innymi braćmi szczegółowo widywać się i żyć pragnę, zwłaszcza z tymi, którzy w sumieniu mię osądzą a nie potępią« [1]).

Co znaczył ten list? Nie był on bynajmniej zaprzeczeniem wspólnej idei, wiążącej Koło, bo żadnej różnicy zasadniczej, dogmatycznej nie wskazywał, i owszem Słowacki zaczynał od tego, że przy Sprawie trwa wszystkiemi siłami; list był tylko odrzuceniem organizacyi Koła, która gniotła i krępowała niesłychanie drażliwy indywidualizm poety czyli jego anty-społeczną naturę. Oświadczenie Słowackiego, że się pod żaden indywidualny wpływ nie podda, wymierzone być mogło tylko przeciw Mickiewiczowi, ponieważ pod względem znaczenia i wpływu w Kole, nikt się z nim mierzyć nie mógł, a wyrażenie poety, że nie da się »stropić« formom przez Koło przepisanym dla ducha, ponieważ chce być żywym i pracować ostatkiem tchu dla Boga, zdaje się wskazywać, że tu chodziło o jego twórczość poetycką w służbie idei, twórczość, na której znaczenie Koło spoglądało innymi oczyma, niż sam poeta.

---

[1]) Z. Wasilewski. Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim. Bibl. Warsz. 1895 I, str. 394—395.

Zresztą list był wogóle niejasny, i w niejasnej formie robił Kołu ciężkie zarzuty: braku czystej wiary i prawdy.

Pomimo tego aktu wystąpienia z Koła śledztwo duchowe nad Słowackim nie zostało przerwane i w ciągu tygodnia zostało doprowadzone do końca. Zachowała się notatka Mickiewicza z datą 11 listopada 1843 następującej treści: »Stosownie do polecenia danego przeszłej soboty dwaj bracia z siódemki ósmej wezwali innych siedmiu braci. Nie przyszło dwóch, złożyła się więc tylko kompletna siódemka. Wszyscy napisali odpowiedź na cztery podane punkta. Brat Falkowski złożył je bratu Adamowi i przyniósł głos siódemki, że brat Adam ma obowiązek stanowczo docisnąć brata Juliusza. To zgadza się z notą, daną od mistrza bratu Adamowi; bo duch Juliusza (mimo wiedzy jego samego) domagał się tego u mistrza. Jutro (w niedzielę 12 listopada) między 10-tą a 11-tą rano, brat Adam uda się do brata Juliusza. Inni bracia mają wspierać go duchem« [1]).

W liczbie siedmiu braci, którzy złożyli swoje odpowiedzi na cztery podane punkta, był Seweryn Goszczyński. Jego sąd, jak miał zapewne dla Koła, tak i dla nas musi mieć największe znaczenie, jako sąd człowieka, który w ostatnich czasach w bardzo blizkich zostawał ze Słowackim stosunkach, którego hart duszy i posągowość Słowacki w listach do matki wielbił. Otóż ten sąd zachował się w papierach Goszczyńskiego: jest on bardzo dla Słowackiego niekorzystny. Na pierwsze pytanie: jaki jest stan ducha Słowackiego, odpowiadał Goszczyński, że »stanowisko jego ducha bardzo niskie, całkiem ziemskie«, że jest to »stan buntu jawnego przeciw Duchowi Sprawy przez chęć przeniesienia na siebie nieomylności Koła, wystawienia w sobie ogniska Koła, przeciwnego Duchowi, który stworzył i utrzymuje Koło. W zarzutach i dążeniach ciemność, sprzeczność, ciągnienie Koła ku temu, co przez

---

[1]) Współudział I, 123.

brata Słowackiego jest potępione, ukryta zawiść, niezaspokojona duma. Najjaśniejszy obraz i dowód tego stanu jest we własnym liście brata Słowackiego«.

Na drugie pytanie: co jest przyczyną tego stanu, odpowiedź była, że »brat Słowacki nie złożył nigdy ofiary zupełnej z ziemi i ducha Bogu. Owładany silnie ziemskiemi pojęciami chwały, wielkości swej osobistej, wartości na drodze ziemskiej, nie zrobił nigdy ostatecznego wysilenia, aby bez nich zajrzeć w krainę ducha wyższą, nie uczuł się nigdy, czem jest rzeczywiście przed Bogiem, nie poznał nigdy czystej rozkoszy wyższych duchów, nie rzucił nigdy miłości ziemi na ofiarę miłości Boga. Przeciwnie, co zachwycił w chwilach egzaltacyi, tem wzmacniał swoję stronę ziemską, do użytku ziemskiego, w widokach ziemskich. Ciągle wyższe poddawał niższemu«.

Pomimo tego sądu, względnie do dwu ostatnich punktów polecenia Goszczyński radził, aby na list Słowackiego odpowiedzieć »z całą miłością braterską«; do takiej odpowiedzi, do rozmowy z nim wybrać najmniej dwóch braci, pełnych miłości, pokory i siły, których zadaniem byłoby nie tyle przekonać Słowackiego, ile poruszyć do gruntu jego uczucia [1]).

Nie mamy najmniejszego powodu wątpić, że sąd Goszczyńskiego o Słowackim był zupełnie szczery, że płynął z głębi przekonania, ale czy był słuszny? Że Słowacki »nie uczuł się nigdy, czem jest rzeczywiście przed Bogiem«, to znaczy, że nie zaznał nigdy uczucia prawdziwej pokory i jeżeli się uniżał, jak w owym wierszu »*Tak mi Boże dopomóż*«, to na to tylko, aby po tej genufleksyi odziać się zaraz w purpurę Króla-Ducha — to prawda. Prawdą jest także, że jego stan ducha był stanem buntu jawnego przeciw temu duchowi, »który utworzył i utrzymuje Koło«, i że Słowacki z tego powodu nie chciał pozostawać w Kole, iż nie czuł się ogniskiem jego. Prawdą

[1]) Z. Wasilewski. Bibl. Warsz. 1895, I. 395—396.

wreszcie być może, że »nie poznał czystej rozkoszy wyższych duchów«, jeżeli przez tę rozkosz rozumieć należy wyzwolenie się z pęt egoistycznego indywidualizmu, zapomnienie o sobie w miłości dla ideałów, bo Słowacki z religii samoubóstwienia nie wyszedł do końca życia, choć zmieniał rodzaje tego kultu. Ale słuszność innych zarzutów Goszczyńskiego jest wątpliwą, a niektóre z nich są niejasne, niezrozumiałe.

Nie wiemy np., co znaczy zarzut »ciągnienia Koła ku temu, co przez brata Słowackiego jest potępione«, a z listu Słowackiego na który się Goszczyński powołuje, wyjaśnić sobie tego nie możemy. Nie widzimy też wcale, aby ów list był »najjaśniejszym obrazem« ukrytej zawiści i chęci narzucenia swojej nieomylności Kołu. I owszem, odrzucając nieomylność Koła, Słowacki wyraźnie przyznawał, że sam może być »w fałszu«. Co się tyczy ukrytej zawiści, która mogła być tylko zwróconą do Mickiewicza, to niewątpliwie przed transfiguracyą była ona jednem z silniejszych uczuć trawiących stale serce poety, ale od czasu jak Słowacki uwierzył gorąco w swoją nadzwyczajną misyę, w swoje dopełniające się anielstwo, od czasu, jak zaczął dbać nie o to, co ludziom, ale co się duchom podoba, zawiść stawała się bezprzedmiotową.

Twierdzenie Goszczyńskiego, że Słowacki, »co zachwycił w chwilach egzaltacyi, tem wzmacniał swoją stronę ziemską, do użytku ziemskiego, w widokach ziemskich«, było może częściowo słuszne w danej chwili, to jest w czasie pisania »*Snu srebrnego Salomei*«, jak to się później przy rozbiorze tego utworu okaże; ale wogóle do współczesnej twórczości Słowackiego stosować się nie może. Np. *Ksiądz Marek* nosi wyraźną cechę, że pisany jest nie w widokach ziemskiej chwały, ale w widokach zdobycia anielstwa. Widoki te możnaby nazwać egoistycznemi, ale sięgały one ponad ziemskość i zostawały w zgodzie ze współczesnem orzeczeniem Mistrza: »kto wielkim człowiekiem być nie stara się, ten o zba-

wienie duszy swojej nie stara się«. Wprawdzie Towiański trochę inaczej pojmował zadanie wielkiego człowieka, niż Słowacki, bo poezyę nazywał pogaństwem, ale w tym względzie zachodziła różnica tylko w środkach, nie w celu, nie w dążeniu do wielkości [1]).

Ta scysya w łonie Koła, gdyby się rozgłosiła, mogła zaszkodzić Kołu, a do rozgłoszenia tej sprawy mogły się przyczynić podane na piśmie sądy braci o Słowackim. Dlatego współcześnie ze złożeniem tych sądów na ręce brata Adama (11 listopada) wyszło polecenie do siódemek »*O notach*«, aby każdy z braci notował tylko dla siebie, i aby te notatki nie krążyły między bracią, bo nawet mogą być z tego wielkie niebezpieczeństwa. »Niech każdy brat pisze w duszy swojej i duszą swoją w duszy brata. Podobnież rzeczy podane w kole lub siódemkom, mianowicie ściągające się do osób, nie powinny być przedmiotem potocznej rozmowy między bracią» [2]).

Tak więc Mickiewiczowi, jako najsilniejszemu duchowi, poruczono »docisnąć« brata Juliusza, to jest poruszyć do gruntu jego uczucia, skruszyć go i zmusić do uznania swoich błędów i do połączenia się w miłości z Kołem. Nie wiemy, jak się odbyła ta scena spotkania się dwu największych poetów polskich, jedną ideą ogarnionych, ale różnym temperamentem w różne porwanych strony; wiemy tylko, że Słowacki nie dał się skruszyć. We dwa-

---

[1]) Towiański utrzymywał, że »człowiekiem wielkim w epoce dzisiejszej jest duch czysty, oswobodzony, przez ciało przepuszczony, ciałem władnący. Taki mąż ubija zło na ziemi«. A Mickiewicz tak objaśniał to twierdzenie mistrza: »Każdy powinien starać się, okazać się w ciele takim, jakim jest w duchu. Bo cóż z tego, że np. ten ma wielkie czucie, zapas wiadomości, a wysłowić się nie może; ów pełen głębokich pomysłów, wybornych planów, a bitwy stoczyć nie umie. Nie dość w duchu być wielkim człowiekiem. Nie nazywamy wielkim świętego Franciszka, a wedle ziemi wielki jest Dżengis-Chan; otóż trzeba, żeby taki wielki duch jak świętego Franciszka miał na ziemi taką wielkość jak Dżengis-Chan«. Współudział T. I. str. 125—126.

[2]) Tamże. T. I, str. 123.

naście dni potem pisał Towiański do Mickiewicza, jakby pocieszając go po niepowodzeniu: »Cieszę się z twojego kroku do Słowackiego. Jest to ofiara. Aby tylko od nas poszedł krok, skutek nie do nas należy — to me położenie z Janem (Lelewelem) w Bruxelli« [1]).

Ale Słowacki, nie dając się skruszyć i wciągnąć napowrót do Koła, uznał jednak potrzebę wyraźniejszego i dokładniejszego uzasadnienia przed braćmi, dlaczego usuwa się z Koła; bo jego list do Kołyski był zbyt lakoniczny i niejasny. W papierach poety przechował się projekt odezwy jego w tych czasach pisanej, odezwy, z której przytaczałem już pewne wyjątki, rzucające światło na dawniejszy jego stosunek do Koła. Teraz przytoczę inne, które nam pozwolą lepiej zrozumieć, co znaczyło »veto duchowe« Słowackiego, w liście do Kołyski wyrażone. Odezwa zaczynała się od wyjaśnienia pobudki, która ją wywołała i od zastrzeżenia. »Ponieważ niektórzy z braci żądali odemnie ustnie [2]) tłómaczenia się z mojego listu, uczynię to przed całem Kołem — z prostotą i otwartością — nie poddając tych słów pod sąd, ale pod uwagę«. Następnie przedstawił warunki, na jakich wstąpił do Koła, swoje pierwotne w niem zachowanie się, wreszcie to, co go zaczęło zrażać do Koła. »Od czasu, jakem wszedł do Koła, nie zobowiązawszy się przed mistrzem do niczego, oprócz do służenia wiernie wszystkiemu, co mi sumienie szczere i prawdy szukające podyktuje za dobre, mimowolnie i powoli strzegąc się własnej wnętrznej dumy, rozbierałem jak najuważniej duchowe moje uczucia, a tymczasem z prawdziwą pokorą wypełniałem wszystkie Kołowe zlecenia. — Wkrótce ujrzałem, że oprócz duchowej struny

[1]) Współudział T. I, str. 128.

[2]) Ten wyraz »ustnie« naprowadził p. Biegeleisena (Juliusz Słowacki str. XXX) na myśl, że pismo Słowackiego, o którem mowa, było jego przemówieniem w Kole. Ale wyraz »ustnie« odnosi się nie do tłómaczenia się, tylko do żądania; w przeciwnym razie napisałby Słowacki: »żądali ode mnie ustnego tłómaczenia się«.

zaczyna grać w kole struna polityczna — kiedy z drugiej strony duch(owa) usiłuje związać się, pokryć i uszom braci uczynić zupełnie niedosłyszaną... Zaczęło się to od projektu poselstwa do króla belgijskiego — szło potem dalej — przez wiązanie nas z kołem karlistowskim we Francyi, które zrazu niewinne, zaczęło nam potem dyktować różne kroki, jak np. mszę publiczną za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei«..

Z wymienionych tu szczegółów znany nam jest projekt poselstwa do króla belgijskiego, które miał odprawić Mickiewicz (w sierpniu 1842), aby doręczyć królowi akt protestacyi przeciw wydaleniu Towiańskiego z Francyi i polecić proroka opiece królewskiej [1]). Nie wiemy zaś, co to było za wiązanie się z kołem karlistowskiem, a tylko domyślać się możemy, o jakiej mszy tu Słowacki wspomina. Było to zapewne nabożeństwo żałobne za duszę cesarza Aleksandra I, który według wyobrażeń Towiańskiego mógł ze świata duchów bardzo skutecznie działać na korzyść Polski w walce jej z Rosyą [2]).

---

1) Porówn. Współudział T. I, str. 38—39.

2) Sprawa stosunku Słowackiego do Mickiewicza, Towiańskiego i Koła Towiańczyków pomiędzy 1843 a 1845 rokiem jest bardzo zagmatwaną, a ci, co o niej dotychczas szczegółowo pisali, nie dość starali się zbadać chronologią dokumentów, do niej się odnoszących, a co gorzej, zdaje się, że puszczali wodze fantazyi, nie uwiadamiając o tem czytelnika. Że Słowacki w odezwie, o której mowa, wspominając o mszy »za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei« miał na myśli nabożeństwo za cesarza Aleksandra, widać to naprzód z późniejszego listu jego do »brata Adama«, gdzie przypomina swoje »veto z ducha polskiego przeciwko dążności rosyjskiej, która mszę i nabożeństwo za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei podyktowała«. Wprawdzie p. Biegeleisen podając ów list, (Juliusz Słowacki XXI) objaśnia, że »mowa tu o nabożeństwie żałobnem odbytem w Paryżu w samą rocznicę powstania listopadowego 1844 r. za dusze Rosyan, do którego zachęcał sam Mickiewicz«, ale temu objaśnieniu niepodobna wierzyć. Naprzód, że Słowacki mówi o jednym duchu, a nie o wielu duchach, a powtóre, że o tem nabożeństwie w rocznicę powstania listopadowego za dusze Rosyan żadne z pism emi-

W dalszym ciągu odezwy Słowacki dotykał rzeczy, o których już przed tem była mowa, mianowicie jak się czuł przygnębionym wspólną odpowiedzialnością od czasu,

---

gracyjnych, tak niechętnie wówczas usposobionych dla Towiańczyków, nie wspomina. Otóż boję się, czy to ostatnie nabożeństwo nie jest tylko kombinacyą p. Biegeleisena, z fantazyi wziętą, a przez p. Hoesicka za fakt pewny podaną. (»To tylko pewna, że Mickiewicz namawiał braci, aby byli na tem nabożeństwie. I byli« III, 384—385). Ani jeden, ani drugi nie cytują źródła, skąd tę ciekawą wiadomość zaczerpnęli.

Że tym duchem rosyjskim, za którego nabożeństwo odprawiono, był Aleksander I, przemawiają zatem różne rzeczy, między innemi plotki, które rzecz zapewne stroiły w różne zmyślone dodatki, ale ziarnko rzeczywistości miały w sobie. Tak Wł. Gołembiowski (Mickiewicz odsłoniony i Towiańszczyzna, Paryż 1844, str. 70), pisze: »Towiański zalecił modlić się do ducha Napoleona — Mickiewicz i tu postęp zrobił; nakazał bowiem nabożeństwo i modlitwy do ducha Aleksandra, cesarza Rosyi. Czytelnicy nasi niech nie biorą tego za żart ani za potwarz; co mówimy jest rzetelną prawdą. Na takie zalecenie kilku uczniów mocno się obruszyło, jeden szczególnie silnie się oponował, utrzymując: że jeżeli obowiązkiem wyznawców Towiańskiego jest pomagać, posyłaniem swoich kolumn światłych duchom, które za życia misyi swojej nie dopełniły; powinni modlić się raczej do ducha Batorego, Kościuszki, Puławskiego i innych polskich bohaterów i męczenników — aniżeli do Aleksandra, cesarza Rosyi, nieprzyjaciela i ciemiężyciela naszej ojczyzny. Nic nie pomogła opozycya jednego, jakkolwiek silna; Mickiewicz przemógł, nieukontentowanych ujął, przekonał; a oponującemu się odpowiedział w największej złości już nie po polsku, ale po rosyjsku: *paszol won durak*. To jest charakterystyczne! Nabożeństwo się odbyło — modły gorące Towiańszczyków uleciały ku duchowi Aleksandra — i tylko ów jeden oponujący się opuścił z tego powodu sektę, która dostała od Mickiewicza rozkaz wyklęcia go na wieki«.

Nie można wątpić, że Gołembiowski miał tu na myśli Słowackiego; potwierdza to podobnej treści anegdota podana we *Wspomnieniach* Michała Budzyńskiego (I, 289—290), gdzie już Słowackiego nazwisko wymienione i gdzie jest mowa o nabożeństwie nie do ducha Aleksandra, ale na intencyę jego, zgodnie z określeniem Słowackiego: »za ducha nie naszej wiary«.

Żeby zrozumieć, co pobudziło Towiańczyków do zamawiania mszy za ducha Aleksandra I, trzeba zwrócić uwagę na wyciąg z ro-

jak Mickiewicz nazwał publicznie Koło »partyą i Towiańszczyzną«, i jak w życiu wewnętrznem Koła widział bezsilność natchnienia i pretensyonalność. Potem tak pisał o sobie i takie dawał rady i nauki braciom:

»Co do mnie, czuję wielkość poselstwa mistrza naszego przez to wstrząśnienie, które się we mnie stało, przez ten głos, który we wnętrzu ducha mi się odezwał — i powiedział wszystko, o czem potrzebowałem wiedzieć i jeszcze dalej o coraz nowych prawdach powiada. Pewny jestem, że pracując, razem z nim pracuję. On większe rze-

---

zmów Andrzeja Towiańskiego z Goszczyńskim, umieszczony w książce *Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego*. Jest tam ustęp (I, 211—212), gdzie Towiański tak przemawia do Goszczyńskiego: »Wiadomy ci zapewne bracie udział, jaki bierze duch cesarza Aleksandra w naszej sprawie. Wiedziałem o tem dawno, ale nie miałem obowiązku mówić wam; kiedy to już skądinąd wiecie, winienem dać moje potwierdzenie. Jest to jeden z bardzo małych duchów w krainie ziemskiej, ale może być wielką pomocą dla naszego działania w sprawie. Najmniejszy duch bez ciała potężniejszy jest, niż tysiąc duchów większych od niego, ale w ciele, bo sił jego nie krępują więzy ciała. Nadewszystko w walce z Rosyą pomoc ducha Aleksandra może nam dać stanowczą pomoc (sic). W chwilach np., kiedy wojska nasze staną przeciw sobie do bitwy, Mikołaj wyjeżdża, aby dać siłę swemu wojsku, przemówić do niego; tymczasem duch Aleksandra szepnie mu coś, co jemu samemu siły odbierze. Mikołaj nie będzie wiedział, co to jest, poczuje tylko swój upadek na duchu i przemówi bez siły; wojsko z tonu cesarza zaraz pozna, że już niema w nim siły i samo osłabnie«.

»Gdybyśmy w ostatniej wojnie mieli taką pomoc, gdyby duch Aleksandra dotknął się w ten sposób Paszkiewicza, kiedy gotował szturm do Warszawy, nie byłby jej dobywał z taką siłą i nie byłby jej wziął. Jest to więc pomoc bardzo ważna i dobrze dla Koła, że poznało się na niej. Duch Aleksandra już i dzisiaj burzy Mikołaja, chociaż sam Mikołaj nie wie, dlaczego nie czuje już w sobie dawnej siły. I tak będzie dalej, bo w upadku potęgi carskiej, w podniesieniu się naszej sprawy jest zbawienie ducha Aleksandra«...

Rozmowy te toczyły się w końcu czerwca 1843, to jest, kiedy Goszczyński jeździł odwiedzać Towiańskiego w Brukselli, i do tych czasów, do drugiej połowy tego roku, trzeba odnieść mszę za ducha Aleksandra I.

czy robi, bo jest mocniejszy — jam powinien mniejsze robić, bo żywot mi ucieka. Duch mój zawsze był ku Polsce obrócony twarzą... i chciałbym, ażebyście się i wy ku tamtej stronie więcej obrócili... Nie jesteśmy my nowi — bośmy dawno przez Boga przygotowani — odrodzenie więc nasze powinno nosić cechy dawno na duszach wybite. — A jeszcze i to powiem, że w odrodzeniu się można iść za prędko i nie pamiętać na małe dziatki, które zostają na drodze z wyciągniętemi rączkami i prosząc o pomoc ludzi, co już są za rzekami. Chrystus by dziatek nie opuścił. — Widzeń używajcie z większą miłością, nie trwożąc niemi ludzi, albowiem nie na przestrach są, ale na światło — a przestrachem nie bierzcie nikogo, albowiem tchórzostwo ducha podlejsze jest od cielesnego — a Bóg żąda strachu sprawionego przez miłość, strachu dziecka, które się boi, aby matka nie płakała. Duchowemi cudami Bóg wyciska miłość — cudami materyalnemi strachby tylko w ludziach obudził. — Wszystko to nie jest nauką, ale prośbą do was, albowiem chciałbym w was widzieć prawdziwych braci i uwolnić się od tej samotności ducha, która mi od dawna ciężyła. Widząc was oczyma mojemi wykrzyknąłem: otóż są ludzie! i ten krzyk, wierzcie mi, był najognistszą modlitwą dziękczynienia. I mamże znowu wątpić — czy przekonacie mię, żeście się (nie) zebrali, jak dawniej, na trochę tylko wyższem stanowisku, ale zawsze po światowemu; trochę czyściej, ale niezupełnie w białych szatach? Mamże powiedzieć sobie, że to jest jeszcze jedna z tych sekt przygotowawczych, którym Bóg nie mógł dać ostatecznego tryumfu, nie widząc ostatecznej czystości«?

A przypomniawszy niechęć, którą Koło czuło do niego za to, że nie prosił mistrza o medalik N. Panny, gorszył się tem, że »jeszcze sami maleńcy i potrzebujący łaski Bożej, a już rzucają interdykta i przekleństwa«. Odezwa kończyła się uroczystym aktem zerwania solidarności z Kołem i uroczystem zakreśleniem swego odrębnego stanowiska:

»W imię Boga, jak chcę prawdy jego i Królestwa Jego na ziemi, żadnego wam fałszu nie odpuszczę, żadnej u was nieczystości nie ukocham, do żadnej nieprostoty nie przyłączę się, w żadnej klątwie nie odezwę się z wami. Albowiem i ja mam na dnie serca prawo Boże i ja mam rozkaz Boży, abym nie dbając na sąd ludzi — a choćby wzgardę, nędzę i potępienie — stał do końca, strzegąc prawdziwej wiary i dawnego sztandaru Ojczyzny mojej« [1]).

Z tych wszystkich wynurzeń, rad, nauk i zarzutów chaotycznie rzuconych w odezwie, najgodniejszem jest uwagi to, co tu Słowacki mówi o politycznej stronie dążeń Koła, ponieważ w tem kryje się już zaród późniejszych politycznych fantazyi jego i zarysowuje się już to stanowisko, które on w dalszem życiu chciał zajmować wobec Koła i całej emigracyi.

Konsekwencyi logicznej w wywodach Słowackiego naturalnie znaleźć nie można. Ten, którego razi w Kole struna polityczna, który pragnie widocznie, aby tam tylko struna duchowa drgała, występuje w końcu, jako chorąży polityczny, jako ten, który z rozkazu Bożego pilnuje dawnego sztandaru ojczyzny swojej. Ale konsekwencyi psychologicznej nie brak. Słowacki czuł, że ogniskiem Koła być nie potrafi, a na stanowisku szeregowca, na któremby »z prawdziwą pokorą wypełniał wszystkie Kołowe zlecenia«, niedługo mógł wytrwać, chętnie więc korzystał ze sposobności, która mu dawała możność zatknięcia osobnego sztandaru, utworzenia osobnego obozu. Prawda, że w tym obozie — przynajmniej na razie — nie było ni kogo prócz niego, ale on czuł się tu od nikogo niezależnym wodzem i chorążym.

Taką sposobnością, ważniejszą od innych, był kierunek, bardzo naturalny w doktrynie, która nie miała się zamykać w granicach Polski, ale ogarnąć ludzkość całą, — kierunek kosmopolityczny. Już w jednem z pierwszych

---

[1]) Biegeleisen. J. Słowacki l. c.

przemówień do braci w Kole objąśniał Mickiewicz, »że tu nie idzie o samą Polskę, ale o cały glob, o ludzkość całą«, a w innem miejscu dodawał: iż »zło, widząc Sprawę Bożą, wszelkiemi siłami będzie chciało ton zniżyć; sprawi nawet, iż oddawać nam będą Polskę, ale nie chcemy Polski, jeżeli niema być Polską na drodze woli Bożej« [1]). Tym sposobem u Mickiewicza patryotyzm polityczny dążył do przetopienia się na kosmopolityzm religijny, co było zupełnie naturalne tam, gdzie za duszę, posłannictwo narodu i jedyną drogę jego zbawienia uznawano ideę religijną.

Wobec tego dążenia kosmopolitycznego w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu, Słowacki postanowił zająć stanowisko odrębne i przeciwne i dlatego utrzymywał w odezwie, »że duch jego zawsze był ku Polsce obrócony twarzą« i że na dnie serca ma rozkaz Boży, aby strzedz dawnego sztandaru ojczyzny swojej. Co się tyczy pierwszego twierdzenia, to trzeba zaznaczyć, że Słowacki stawiąc je, zapomniał, że obracać się twarzą ku Polsce zaczął dopiero naprawdę od czasu pisania *Kordyana,* pobudzony do tego III częścią *Dziadów*, a i potem »ateńskość« jego ducha i »anielskość« jego wyobraźni, napojonej obrazami rozmaitych obcych mistrzów słowa, przeciwstawiane szlachecko-polskiej rubaszności, miały charakter kosmopolityczny. Co zaś rozumiał przez dawny sztandar ojczyzny, to się okazuje z późniejszych jego pism politycznych (List do księcia A. C., O potrzebie idei i in.). Był to anarchizm rzeczypospolitej szlachecko-polskiej z czasów jej upadku, prawdziwa »paląca Dejaniry koszula«: jednomyślność obrad i liberum veto. W tej ostatniej zasadzie znajdował poeta jakby wyraz swego antyspołecznego ducha i swego obecnego stosunku do Koła i chwycił się tego hasła, ażeby znaleźć podstawę dla swego partyzanckiego stanowiska. Dawny anarchizm przedstawił mu

[1]) Współudział I, str. 67 i 69.

się jako coś, co żywo tętniło w jego sercu i dlatego pisał, że »odrodzenie nasze powinno nosić cechy dawno na duszach wybite« [1]).

Zdawałoby się, że pisząc taką odezwę do Koła, Słowacki zrywał wszelkie z niem węzły i tak niewątpliwie musieli to rozumieć Towiańczycy; on sam jednak inaczej to rozumiał, jak to się z przedstawienia jego dalszego stosunku do Koła okaże. Potępiał wprawdzie Koło, usuwał się z niego, ale, jako chorąży prawdziwej wiary we własnem rozumieniu, zakreślał dla siebie stanowisko cenzora publicznych wystąpień Koła, trybuna Sprawy Bożej, mającego prawo i obowiązek kłaść veto ilekroć Koło nie według jego myśli, którą za prawo Boże uznawał, postępować miało. Co się tyczy stosunku do Towiańskiego, to jeszcze w odezwie, tylko co przytoczonej, uchylał głowę przed nim, przyznawał »wielkość poselstwa« mistrza i o nic go nie obwiniał. Zdaje się jednak, że Towiańczycy pokazali mu wkrótce potem jakieś pismo mistrza w sprawie zatargu jego z Kołem, pismo, w którem mistrz stawał w obronie Koła przeciw Słowackiemu i że poeta mocno był tem pismem dotknięty. Do takiego wniosku prowadzi

---

[1]) Wyrazem tej myśli jest wiersz pochodzący z późniejszych czasów, a umieszczony w I tomie pism pośmiertnych (Lwów 1885) na str. 83.

Krzyczeli: »Polska, Polska«!... lecz jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna,
Szli i krzyczeli jeszcze: »Ojczyzna! Ojczyzna«!
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka
I przeraził je wszystkie, zapytawszy: »Jaka«?

A drugi człowiek niby w żebraka postaci
Pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci,
I wolności mu trzeba w milionów osobie,
Ziemię bowiem pod sobą ma i Boga w sobie;
A Pan w nim, jako ogień i już nie nad krzakiem
Zagrzmiał: »Prosisz się, widzę, być dawnym Polakiem«.

urywek z listu Słowackiego do Towiańskiego, znaleziony przez Małeckiego na ulotnej kartce pomiędzy licznymi papierami poety.

»Piszę do Ciebie, Bracie Andrzeju — brzmi ten urywek — abym Ci wypowiedział z ducha mego słowa, które przed światem uczyniłem dotąd tajemnicą, ciężarem tej tajemnicy obciążywszy samego siebie, abym nie mógł być w żaden sposób przez Ducha Twego oskarżony przed Bogiem, jako odstręczający świat od sprawy Ducha wykryciem zgorszenia. Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o tobie świadczących przyjąłem; w dobrej wierze połączyłem się z uczuciem ich — w czystość Twoję zawierzyłem, wiernym byłem — w postępkach moich starałem się być bez poszlakowania — w pracy mojej pomocnym Tobie — w usłużeniu w Sprawie pierwszym — w cielesnym Koła porządku ostatnim. Jeżeliś tego nie czuł duchem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadczą, że tak było. Wystąpienie moje z Koła ciche, a Tobie bynajmniej nie uwłaczającé, wywołało z Ciebie sąd pismu powierzony, w którem ducha mojego osądziłeś. Odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu«...

Ten wyrok, a w szczególności ostatnie jego (nieskończone) zdanie zdaje się świadczyć, że Słowacki uczuł wielki żal do mistrza za owo pismo, i że cześć jego dla objawiciela Sprawy Bożej musiała doznać znacznego uszczerbku. Nigdzie jednak, ani w listach, ani w pismach drukiem ogłaszanych, nie występował potem przeciw mistrzowi, nietyle może przez wdzięczność, że mu objawił nowe jego, wielkie powołanie, ile z obawy, aby nie zaszkodzić Sprawie Bożej i aby naruszając stanowisko objawiciela, nie naruszyć tem samem i własnego[1]). Tylko

[1]) P. Hoesick w swojej monografii o Słowackim (III 278) mówi o tym urywku listu poety, jako o brulionie »jednego z licznych listów do Towiańskiego (listów, które może z czasem będą ogłoszone), bo jako jeden z głównych adeptów mistrza, Słowacki przez długi czas, podobnie jak Mickiewicz, korespondował z Towiańskim«. Niestety!

w niektórych notatkach i złośliwych wierszykach, nie przeznaczonych do druku, a zapisanych w książce notatkowej, dawał Słowacki niekiedy upust swojej niechęci do Towiańskiego [1]).

p. Hoesick nie zacytował źródła tak ciekawej wiadomości, której potwierdzenia nigdzie znaleźć nie można, a wobec tego musimy bardzo nieufnie ją traktować.

[1]) Rkp. Bibl. Oss. 1792, nr. 2. Są tu trzy takie wiersze: jeden na karcie 67 »Oto Bóg, który łona tajemnic odmyka« i dwa na karcie 76 »Prowadził mnie na bardzo ciemne wężowisko« i »Polsko ojczyzno! padaj ze mną na kolana«.

ROZDZIAŁ XV.

Sen Srebrny Salomei.

1843.

Geneza dramatu. — Sawa i panna Gruszczyńska. — Chęć uczczenia matki w dramacie. — Skąd dziwny tytuł? — Postać Wernyhory. — Wernyhora jako wyobraziciel poezyi ludowej. — Społeczno-narodowe stanowisko Wernyhory; jego niejasność. — Stosunek Wernyhory do szlachty. — Inne postacie dramatu. — Fatalistyczne tło utworu. — Motywy wzięte z Calderona i echa Szekspirowskich dramatów. — Ogólna wartość utworu; porównanie z *Księdzem Markiem*. — Przekład *Księcia Niezłomnego*.

W owych to czasach zupełnego usunięcia się z Koła napisał Słowacki drugi swój dramat, owiany tchnieniem towianizmu: *Sen Srebrny Salomei*. Z Listów poety do matki wiemy dokładnie, że czas tworzenia przypada na miesiąc listopad 1843 i że przy końcu tego miesiąca dramat był już ukończony. Jakież pobudki i wpływy złożyły się na jego genezę? Już wyżej, przy rozważaniu genezy *Księdza Marka*, wskazałem je po części; teraz chodzi o uzupełnienie tych wskazówek. Mówiłem o tem, jak pod wpływem Calderona poeta zapragnął wezbraną treść swego *Beniowskiego* przelać w naczynie Kalderońskiego dramatu i natchnąć duchem towianizmu i jak konfederacyę barską z główną postacią Księdza Marka zamknął w jednym dramacie, a współczesną walkę szlachty z chłopstwem, z górującą nad nią postacią Wernyhory, — w drugim. Ale nietylko natchniona postać ukraińskiego lirnika-wieszcza interesowała go mocno i domagała się wprowadzenia do



SALOMEA z Januszewskich 1-o voto SŁOWACKA,
2-o voto BECU, Matka Juliusza Słowackiego.

Podług portretu przechowywanego w Zakładzie narodowym im. Ossolińskich we Lwowie.

dramatu osnutego na tle rzezi panów i walki z hajdamactwem, ale i dwie inne postacie *con amore* traktowane w *Beniowskim*: Sawa i panna Gruszczyńska.

Wiemy już, za jaki »skarb« dla poety uważał Słowacki postać Sawy, zanim ogarnięty został towianizmem. Otóż postać Sawy nie miała w sobie nic z cudownego pierwiastku, który w Księdzu Marku i Wernyhorze miał teraz taką pociągającą moc dla fantazyi Słowackiego, a mimo to i po transfiguracyi jego, zapewne dzięki swej rycerskości, nie straciła dlań uroku. Już w *Beniowskim* wprowadził Sawę do walki z hajdamactwem tylko dzięki temu, że ten Kozak, obok Kazimierza Puławskiego najdzielniejszy z ówczesnych obrońców Polski, tak rażąco odbijał od dyszącej nienawiścią dla Polski czerni hajdamackiej, a uczynił to wbrew historyi i tradycyi, które go na innym terenie walki przedstawiały. Teraz, przenosząc tę walkę z powieści do dramatu, także ze względów artystycznych nie chciał się rozstać z tą postacią i wyznaczył jej nawet jedną z głównych ról w dramacie.

Trzecia postać wprowadzona z powieści do dramatu, Salomea Gruszczyńska, nabierała szczególnego znaczenia dla poety z powodu, że chciał w niej, w dość dziwny sposób, wyrazić cześć i miłość swoją dla matki. Skądkolwiek zaczerpnął Słowacki tradycyę o rzezi sprawionej przez hajdamaków w rodzinie Gruszczyńskich, to pewna, że chciał ją jaskrawo odmalować już w *Beniowskim* i niewątpliwie odmalował, choć ustęp powieści zawierający w sobie te obrazy, nie doszedł rąk naszych. Że tak było, świadczy o tem wyraźnie pierwsza strofa pieśni VII *Beniowskiego:*

Cieszmy się w Bogu i niech ta pociecha
Poematowi mojemu odbierze
Te smutku wiecznie wtórujące echa,
Gdy o przeszłości grzmi harfa. Grabieże,
Mordy — rzeź, krwawa Gruszczyniecka strzecha —
To wszystko są sny...

A więc o rzezi w Gruszczyńcach jest tu mowa, jako o czemś, co się już przesunęło przed oczami czytelnika. W dalszym ciągu użył poeta postaci młodego dziewczęcia, jedynie ocalonego z rodziny Gruszczyńskich, do ozdobienia, — w stylu bajrońskiego Don Juana, — awanturniczej podróży Beniowskiego do Krymu. Przedstawił tam młodą Gruszczyńską, jako brankę, bardzo piękną, ale sparaliżowaną i dlatego leczoną w piasku nadmorskim, a następnie przez Beniowskiego wydobytą z niewoli. Już się tam widocznie lubował tą postacią, która mu nastręczyła kilka scen bardzo zajmujących i malowniczych, ale nie nadawał jej jeszcze imienia Salomei i wogóle w niczem nie zbliżał do matki swojej.

Ale już pisząc *Księdza Marka,* przypomniał sobie obietnicę daną matce przed niespełna trzema laty: »Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne i to imię długo będzie brzmiało owonione zapachem konwalii, która rośnie na Czerczy«[1]. Ta córka, Salomea z dramatu, któremu dano nazwę *Horsztyński,* nie ukazała się światu i nie była znaną matce; kiedy zaś nastąpiło duchowe przeobrażenie poety, ta córka wraz z całą dawniejszą twórczością, która nie nosiła na sobie piętna nowych idei, mniej go już interesowała i nie wydawała mu się najpiękniejszą. Najpiękniejszą, kiedy pisał *Księdza Marka,* wydawała mu się zapewne Judyta i dlatego przypomniawszy sobie dawniejszą obietnicę i chcąc się z niej wywiązać, dał Judycie na chrzcie imię Salomei, o czem donosił matce w liście z 28 lipca 1843: »Wkrótce, zda mi się, nowe dziecię w świat wyszlę, gdzie jedna z osóbek chrzestnych nosi imię twoje«.

Niebawem jednak musiał spostrzedz, że takie uczczenie matki nie dopełniało należycie obietnicy i nie było właściwe: pomiędzy namiętną, mściwą i szalejącą w natchnieniu żydówką a jego matką, cóż mogło być wspól-

[1]) Listy II, 138.

nego, oprócz imienia? Więc gdy w trzy miesiące po napisaniu *Księdza Marka* zabrał się do pisania nowego dramatu na tle, zaczerpniętem z *Beniowskiego,* myśl o uczczeniu matki znowu mu się przypomniała i natarczywiej niż przedtem domagała się urzeczywistnienia. Świadczy o tem wyraźnie ustęp listu do matki, pisanego zaraz po ukończeniu *Snu Srebrnego:* »W miesiącu tym byłem bardzo zajęty. Święta Salomea była ciągle ze mną i nade mną, przedwczoraj dopiero imieniowi jej wywiązałem się z długu, a z jaką radością, z jakim zachwyceniem, tego ci wyrazić nie potrafię« [1]). Ta to myśl o długu poetyckim względem matki zwróciła go w stronę Gruszczyńskiej, którą już w *Beniowskim* otoczył urokiem naiwności i nieszczęścia, a która nadawała się na bohaterkę dramatu osnutego na tle walki z hajdamactwem. Szlachcianeczkę Gruszczyńską można było zbliżyć do matki nietylko imieniem, ale postacią i sytuacyą społeczną i usposobieniem i według dawnej obietnicy owiać tę postać zapachem konwalii. Więc obierając sobie Gruszczyńską za tytułową bohaterkę dramatu i wprowadzając ją w dziwne a wymyślone przygody, postanowił nietylko dać jej imię matki, ale odmalować ją podług tego obrazu matki, jaki mu pozostał w duszy z lat dziecinnych niczem nie zatarty. »Nic cię z moich oczu nie zgubi — pisał niedługo potem — pomimo świateł i słońc i orlego blasku, zawsze ty się pojawiasz w tych zamyślonych zwierciadłach, zawsze wywołana stajesz w oczach moich« [2]). W tym obrazie najwymowniej doń przemawiały oczy matki, o których pisał w jednym z późniejszych listów [3]), że są, jak u jednej z Madon hiszpańskich »wielkie, zielone a ciemne, pełne słońca w dołach czarnego smutku«. A choć pisząc do matki o podobieństwie swojej nowej bohaterki do matki,

[1]) Listy II, 189.
[2]) Listy II, 198.
[3]) Z 30 listopada 1844. T. II, str. 216.

utrzymywał, że »imię to tylko i oczki zielone, więcej nic«, to myślę jednak, że coś więcej oprócz oczu zaczerpnął z tego obrazu matki, jaki nosił w duszy.

Oto ustępy, w których ten obraz zdaje się przez mgłę poetycką przeświecać. Stary Gruszczyński mówi o córce w akcie I:

Pamiętaj! to dziecko krwiste,
Oczęta ma przeźroczyste,
Zielone, jak selenity;
A zdają się na zuchwałość
Podwodzić szatańskie wzroki...
A taka płci wielka białość!
A takie gorsu uroki!

A kochanek Leon (w tymże akcie) taką daje charakterystykę jej duszy:

Sali prosta jest i wierna.
Ale w najprościejszej leży
Taka obłuda misterna,
Tyle gołębiej odzieży [1])
Taki kałkuł na dnie duszy,
Taki instynkt oszukaństwa,
Taka chciwość blasku, państwa,
Taka głęboka nauka
Zadawania ci katuszy,
Że wierność ich jest to sztuka,
W którą czart oczy pochował.
. . . .
One z tem na świat przychodzą,
Wiernością nudzą lub zwodzą,
Obdzierają nas z odwagi,
Liczą na litość! — od matek
Nauczone, że ten statek
I łzy, to są ich posagi i t. d.

To zaś, co w III akcie mówi Salomea do Semenka o sobie, widocznie jest zaczerpnięte ze wspomnień dziecinnych poety, które były jakby ramami dla owego w duszy noszonego obrazu matki:

---

[1]) W wydaniu Małeckiego błędnie: głębokiej zam. gołębiej.

Ale nie myśl, że ja dumna,
Lub z prostoty waszej szydzę,
Albo się chłopami brzydzę.
Ja, bywało, pieśni wasze
I wieczornic słucham lubo:
Bywało, świecę zagaszę,
Wyjdę nocą na poddasze
I tam, jak za serca zgubą
Tęsknię, słysząc na torbanie
Śpiew i tańców tupotanie.
. . . .
....Czasem z kurhanu,
Kiedy się futrem otulę,
Patrzę, jak wy na Trzy Króle
Święcicie wodę Jordanu.
Gdzieś na srebrnym, rzecznym lodzie,
Co błyszczy, by złota blacha,
Pop wasz trojgiem świateł macha,
Ogniem rzuca po narodzie...
. . . .
Taj my, bywało, we dworze,
Kiedy okna śnieg zawali,
Przy tatku kolendowali
W srebrne Narodzenie Boże.
. . . .
Ach! gdy nam zaśpiewał tatko
......to mnie małą dziewczynę
Łzy zalały, dreszcz radosny przechodził,
I krzyczałam: Chrystus Pan się narodził!
I krzyczałam i klaskałam tak w ręce:
Chrystus Pan się narodził w stajence!

Nie zapomniał też poeta o swojej obietnicy owiania tej Salomei, na cześć a po części i na podobieństwo matki utworzonej, zapachem konwalii. W obrazie pogrzebu, który, — mówiąc nawiasem — nie wydaje mi się tak rażącym artystycznie, jak prof. Małeckiemu, i owszem, o wiele wdzięczniejszym od wielu innych w tym dramacie, — w obrazie pogrzebu, Salomea w swoim »śnie srebrnym« pogrążona, leży w trumience »bez żadnej pychy — ale ubrana w kielichy-narcyzowe i w k o n w a l i e«. Wreszcie

chęć uczczenia matki w dramacie podyktowała poecie tytuł jego i zakończenie, ów toast, którym regimentarz tak wesoło zamyka widowisko, jak gdyby ono nie było stekiem krwawych obrazów, a on sam nie był cały krwią ubroczony.

Pierwsze zdrowie: Salomea niech żyje!
A polećmy kraj i siebie
Tej Salomei na niebie,
Której święto nam przypada
W przedostatnim listopada.

Co się tyczy tytułu, ten o tyle tylko jest zrozumiały, o ile poeta chciał w nim uczcić imię matki. Ale dlaczego nie poprzestał na samem imieniu bohaterki, dlaczego nazwał swój dramat *Snem Srebrnym Salomei?* Nie wiemy nawet, do którego snu odnosi się ta nazwa: czy do tego w którym się jej przyśniła matka ze złowróżbną przestrogą, czy do późniejszego, w którym się jej ukazała babka »cała z ołowiu i w ołowianej spódnicy«, a który nie bardzo stosownie nazwał kochanek Salomei, Leon, »snem srebrnym«, czy wreszcie do owego letargu, w który ją wprawiły popadianki jedynie po to, aby dać poecie sposobność do odmalowania efektownego obrazu pogrzebu i do niespodzianego a szczęśliwego rozwiązania sztuki? Zdaje się, że przy obraniu tego tytułu działały dwie pobudki: jedna, aby w samym tytule otoczyć imię matki jakąś aureolą, druga, aby położyć nacisk na działanie świata nadzmysłowego, świata wróżb i przeczuć na bieg wypadków w sztuce.

Co się tyczy pierwszej pobudki, to warto zwrócić uwagę i na to, że epitet »srebrny«, który tak zagadkowo wygląda w tytule, pojawia się bardzo często w tekście dramatu, jak gdyby poeta chciał swemu stylowi nadać blask srebrny i w ten sposób usprawiedliwić tytuł, lub jak gdyby zostawał pod szczególnym urokiem tego wyrazu i ulegał temu urokowi przy każdej sposobności [1]).

[1]) Mamy w dramacie takie wyrażenia: srebrny koń, srebrne

Nasuwa się tu jedno przypuszczenie, którego pominąć nie można. Słowacki wierzył w potęgę rewelacyjną pewnych słów, to jest, że one »dzwonią jakimś tajnym wspomnieniem w każdym duchu« [1]) i przypuszczał, że to duchy podszeptują poetom takie słowa. Najwięcej tej potęgi rewelatorskiej przypisywał poezyi Mickiewicza, ale myślę, że znalazł ją i u Krasińskiego w *Przedświcie* a mianowicie, że pewne wyrażenie tego poematu szczególnie przemówiło do jego wyobraźni i wpłynęło na obranie tego dziwnego tytułu, jaki nadał swemu dramatowi.

Znany jest dobrze wstępny obraz poematu, przedstawiający poetę i jego Beatrix na tle błękitów włoskich i szafirowych fal jeziora alpejskiego, osrebrzonych blaskiem księżyca. Otóż Beatrix występuje tutaj »na błękitnem tle przestrzeni — cała srebrna — wniebowzięta«, a następnie poeta w takich cudnie śpiewnych słowach maluje rozkoszne wrażenia, jakich wówczas doznawał:

Coraz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal;
Płyńmy, płyńmy tak bez końca
W ciszę — w jasność — w błękit — w dal!

Wód źwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału
W *sen ze srebra i kryształu!*
Daj mi teraz marzyć, daj!

I w istocie trzy wizye poety, które stanowią jądro poematu, zasługują na nazwę »snu ze srebra i kryształu«, i jeżeli dwie ostatnie właściwiej jest nazwać kryształo-

---

narcyzy, srebrne prześcieradło, srebrny dar, ze srebra klawisze liry, srebrne łabędzie, srebrna dusza (!), srebrna staruszka głowa, srebrne brzozy, srebrny lód, srebrne Narodzenie Boże, srebrny pałac, srebrny warkocz, srebrna lira, srebrny duch głowy (!) i t. d.

[1]) Rkps. Bibl. Oss. 1792, nr. 2, k. 45—46.

wemi, to pierwszej, zaiste, należy się nazwa snu srebrnego.

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca
Jak trupiego widmo lica:
I gwiazd niema — tylko ona
W środku niebios niewzruszona!
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, skamieniały,
Kędy spojrzeć na wsze strony
Zaspy — śniegi — lody — szrony
Strach, jak biało — pusto...

Otóż myślę, że wyrażenie Krasińskiego: »sen ze srebra i kryształu« uderzyło Słowackiego z »rewelatorską potęgą«, »zadzwoniło jakiemś tajnem wspomnieniem w jego duchu« i tak długo dzwoniło, aż znalazł sposobność — i to nawet niezbyt właściwą — do zastosowania jego w swojej poezyi.

Jeżeli zaś sobie przypomnimy, jak silne wrażenie na Krasińskim wywarł obraz Sybiru w *Anhellim*, jak mu się śnił przez kilka nocy po przeczytaniu tego poematu[1]), to gotowiśmy przypuścić, że to echo tych snów przyniosło poecie obraz zimowego stepu z grobami ojców. Mielibyśmy więc tu ciekawe zjawisko, jak Słowacki zostawał pod wpływem własnego utworu za pośrednictwem cudzego poematu. Sybirski Anhelli, któremu się daleko właściwiej należy tytuł »Snu Srebrnego«, aniżeli dramatowi na tle pożarów i rzezi, rzucił swój blask srebrzysty na *Przedświt*, a ten blask odbiwszy się od *Przedświtu* wyraził się w tytule mistycznego dramatu, którym się zajmujemy.

---

[1]) »Zaprawdę trzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwykłej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się, jakby Eden melancholijny«. Listy Zygmunta Krasińskiego III, str. 60.

Co się tyczy drugiej pobudki, to jest chęci uwydatnienia, jak wielką rolą w sztuce odgrywają wróżby i przeczucia, to w istocie należy przyznać, że jeśli w czem mamy upatrywać główną ideę dramatu, to tylko w fatalistycznem działaniu świata nadzmysłowego na tok spraw ludzkich. Wszystko, co się dzieje na scenie, jest tylko spełnieniem wróżb dawnych, i gdyby przy obiorze tytułu Słowackiemu nie chodziło o uczczenie matki, gdyby chciał tytuł zastosować do treści swego dramatycznego utworu i idei, jaka się z niego wyłania, to powinien go był nazwać: *Wróżbą Wernyhory*. I tu jest miejsce do przypatrzenia się tej postaci i jej znaczeniu w sztuce.

Już wyżej mówiłem o tem, jak ponętną dla wyobraźni Słowackiego była w szerokiej tradycyi żyjąca postać ukraińskiego lirnika-wieszcza. Już w *Beniowskim* oblał go mistycznymi blaskami, akcentując w nim ducha poetyckiego, ducha proroczego i ducha harmonijnego stosunku między ludem ruskim a szlachtą polską. Już tam występuje Wernyhora, jako ludowy poeta z łaski Bożej, król lirników, spadkobierca cudownej liry Bojanowej, która odzywa się doń sama z pod mogilnego piasku; już tam przepowiada Beniowskiemu całą jego przyszłość, a Gruszczyńskiemu całą jego niedolę (Oj powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński); już tam jest Wernyhora przyjacielem Sawy, Beniowskiego i reprezentanta szlachty polskiej na Ukrainie: Suchodolskiego. Tam już jest mowa o jego zaklętym, białym rumaku, który »kiedy już wszyscy wyginą rycerze«, ma się zjawić dla zabrania króla-lirnika

I gdzieś daleko wzniesie pod księżyce
Na jakieś dziwne duchów wieczornice.

Prawie z całym tym niezmiernie bogatym kramem legend przeszedł Wernyhora z powieści do dramatu [1]. Nie

[1] Jednym z wyjątków w tym względzie, i niewątpliwie najciekawszym, jest motyw dwa razy przez Słowackiego we fragmentach *Beniowskiego* opracowany, motyw zabicia matki lirą przez Wernyhorę.

wszystkie jednak legendowe rysy tej postaci jednakowo zostały uwydatnione w dramacie. Wernyhora w *Śnie Srebrnym Salomei* to przededewszystkiem widzący przyszłość, »widun«, prorok, którego przepowiednie sprawdzają się wszystkie co do joty, do najdrobniejszych szczegółów. Gruszczyńskiemu przepowiada figurycznie jego śmierć i wszystkie okropności, które ją poprzedziły, Sawie — zjawienie się ducha Gruszczyńskiego, księżniczce, kiedy była jeszcze dzieckiem, wszystkie najdziwniejsze i najokropniejsze przygody, które się mają zdarzyć w dzień jej ślubu, a których obrazy zapełniają ten dramatyczny poemat. Dzięki temu, że cały dramat jest tylko urzeczywistnieniem wróżb tego »widuna«, Wernyhora jest w nim górującą, panującą postacią, tak, jak karmelita Marek w dramacie od swego imienia nazwanym. Ale między cudotwórcą a prorokiem ta zachodzi różnica, że pierwszego prawie ciągle widzimy na scenie, gdy tymczasem drugi, choć o jego przepowiedniach słyszymy ciągle, ukazuje się na scenie raz tylko, na samym końcu, w chwili, kiedy się wszystkie jego wróżby spełniają i kiedy sam ma odejść »w sen, na ciszę«. I to nadaje tem większy urok cudowności i tajemniczości tej postaci, którą już tradycya osnuła przędzą o mistycznych barwach, a którą wyobraźnia poety przyodziała w swoje najwspanialsze tęcze. Wernyhora Słowackiego jest jedną z najpoetyczniejszych kreacyj tego poety. Jakże ubogo, jak poziomo wygląda przy tej postaci Wernyhora z powieści Czajkowskiego, jak ciężko i niezgrabnie Wernyhora z *Trzech Wieszczb* Siemieńskiego. Podczas, gdy ten ostatni przemawia stylem pożyczanym, stylem księdza Robaka lub Maćka nad Maćkami z *Pana Tadeusza* [1]), Wernyhora Słowackiego ma

---

[1]) Jako przykład cytuję (str. 68—69):

Nie wiem, Bóg li mię naznaczył
Swym palcem, bym wam przyszłe rzeczy potłómaczył,

swój język własny, dla siebie tylko stworzony, cały poezyą przesiąkły a w wybornej mierze ruszczyzną zabarwiony.

Ale spytajmy jeszcze jak się w *Śnie Srebrnym* przedstawia Wernyhora, jako wyobraziciel poezyi ludowej i harmonii społecznej. Ażeby odmalować Wernyhorę, jako lirnika-poetę, Słowacki włożył mu w usta dłuższy ustęp, opowiadający jak on wydobył swoją lirę z pod mogiły i opisujący, jak ta lira wygląda i co w sobie zamyka:

Słyszeli wy, jak z kurhanów
Dobył ja stepowej liry?
Jakie płacze, jakie skwiry
Wron i orłów słychać było,
Gdy ta lira, pod mogiłą
Ręką Lacha zakopana,
Odezwała'ś z pod kurhana...
. . . .
Oj liro! twoje klawisze,
Gdzieś ze srebra dawniej lane,
Nogą pieśni wydeptane,
Jakby stare sęki drzewne,
I kamienie przedcerkiewne
I zapadłe w dół mogiły
Świadczą, że pieśni chodziły
Po klawiszach, pieśni chyże
I siadały na sen w lirze,
W krąg siadały pieśni tłumy;
Posążnice — stare dumy,
Piorunnice — stare krzyki,
Szumki lotu — konie kare,
Szumki płaczu — dum słowiki
Błyskawice — myśli stare
Rusałczanki — dzwony szklanne.
. . . .

Czym też sobie uroił jaki sen na jawie?
Żyjąc na tem pustkowiu sam jeden — mnich prawie.
Nie wiem...

A znów na str. 72:

Te konfederaty —
Żal się Boże!... widziałem... kielichy — wiwaty —
Ściskania, rąbanina, jakieś ceregiele i t. d.

A pośrodku Duma Boża,
Krwią Chrystusa purpurowa,
Siedzi, jakby dum królowa
I radzi świat podbić cały...

Ta idealizacya skrzypiącej liry nie ma w sobie nic niezrozumiałego, niejasnego. Inaczej jest ze stanowiskiem społeczno-narodowem Wernyhory, z jego stosunkiem do Lachów i Rusi, szlachty i chłopów. Tutaj panuje tak gęsty zmierzch poetycki, że naprawdę nic dokładnie rozróżnić nie można, a zdaje się, że poeta umyślnie ten zmierzch rozpościera, aby mógł w nim pogodzić, roztopić największe sprzeczności i niekonsekwencye.

Czego chce Wernyhora? Według tradycyi miał to być stary kozak, który sympatyzował z politycznym ruchem konfederacyi barskiej i starał się przeciwdziałać prądowi hajdamackiemu wśród własnego ludu. Ten tradycyjny charakter w ogólnych rysach zachował Wernyhora i w dramacie Słowackiego, ale w rozwinięciu jego szedł już poeta tylko za własną fantazyą, niewiele dbając o historyą, a co gorsza, o konsekwencyą.

A naprzód stosunek jego do Sawy jest wzięty z czystej fantazyi i o tyle przeczy historyi, że Sawa nie był wcale synem wojewody i nie walczył wcale z hajdamakami. Ale mniejsza o to; między Sawą a Wernyhorą zachodzi w istocie pokrewieństwo duchowe, łączy ich sympatya dla Polski; skojarzenie tych dwóch postaci na tle rzezi humańskiej może być zupełnie usprawiedliwione. Ale jakież to jest skojarzenie? Tutaj największa panuje niejasność. Poeta ani razu nie zetknął z sobą tych dwóch ludzi na scenie, ani razu nie pozwolił im rozmówić się z sobą i dopiero pod koniec sztuki włożył w usta Wernyhory parę zdań zagadkowych o jego stosunku do Sawy. Z tych słów, wypowiedzianych przy rozbiciu liry, dowiadujemy się, że Wernyhora roił o hetmańskiej, kozackiej buławie dla Sawy i że dlatego ukrywał w lirze schowane dokumenta, świadczące o jego szlache-

ckiem pochodzeniu, dokumenta, bez których księżniczka nie chciała uznać poślubionego potajemnie konfederata Sawy za męża. Teraz przestał roić, i rozbija lirę, aby wydobyć z niej owe dokumenta i uszczęśliwić młodą parę.

Otóż jest w tem stek zagadek, do których rozwiązania poeta ani trochę nie poczuł się obowiązanym. Dlaczego Wernyhora sądził, że Sawa będzie hetmanem? Dlaczego teraz przestał sądzić? Dlaczego te dokumenta miały mu przeszkadzać do hetmaństwa? Skąd się one dostały do niego i t. d.? Ale najcięższą nie już zagadką, ale sprzecznością jest to, że ów »widun«, który na wiele lat przedtem przewidział, przeczuł do najdrobniejszych szczegółów, co się ma stać w »dzień ślubny« księżniczki, a między innemi i to, że rozbije srebrną lirę i odda dokumenta księżniczce, mógł się omylić w przewidzeniu buławy hetmańskiej dla Sawy. Zdaje się, że sam poeta czuł tę niekonsekwencyę, bo starał się z niej wyplątać w tych słowach Wernyhory zwróconych do księżniczki.

Panno, nie chodź mi od boku,
Bo mi widy jakieś w oku
Błyszczą, serce drga, jak struna,
Ja odzyskał sen widuna,
Patrząc w lice tego dziecka.

Znaczy to, że przepowiednia jego była owocem chwilowej ekstazy, że potem zapomniał zupełnie o tej przepowiedni i dopiero widok księżniczki przywrócił mu świadomość wróżb własnych. A jednak to tłómaczenie nam nie wystarcza, bo taka omyłka nie przystaje do charakteru »widuna«, i całe to rojenie Wernyhory o hetmańskiej buławie Sawy, o której poza tym jedynym ustępem panuje głuche milczenie w dramacie, wydaje się naprędce skleconem, sztucznem upozorowaniem efektownego rozbicia liry.

Równie albo i więcej jeszcze zagadkowym jest Wernyhora w innych swoich stosunkach. I tak Sawa powiada o nim, że zniknął gdzieś »z ciałem umarłej dziewczyny«, co tak wygląda, jak gdyby cudowne spełnianie się wróżb

swoich sam tajemnie urządzał. Do takiego przypuszczenia, myślę, że poeta nie pragnął nakierować czytelnika, a jednak nie dał mu w tym względzie żadnej innej wskazówki. Więcej jeszcze zagadkowym jest stosunek lirnika do rozwścieklonej czerni hajdamackiej. Sawa mówi o nim:

Że on rozhukane gminy
Utrzymywał z sobą w lidze,
Z duchami wiązał w sojusze;
Aż go święte jakieś dusze
Wczoraj tak we śnie zmęczyły,
Że dziad uciekł na mogiły.

Jedynie w mistycznem oświetleniu teoryi towianizmu o duchach gruba ciemność tej zagadki rozrzedza się nieco. Domyślamy się blizkiego stosunku *Wernyhory* z kolumnami dobrych duchów i jakichś usiłowań daremnych, aby te kolumny sprowadzić ponad tłumy i duchem tych kolumn jasnych natchnąć owe tłumy. Ale tych usiłowań poza tą wzmianką nie widzimy w poemacie ani śladu, i nie jesteśmy pewni, czy nasz domysł jest słuszny, zwłaszcza gdy Wernyhora mówi potem o swoim stosunku z jakiemiś innymi duchami. (Pójdę... duchy, jak żórawie — Odprowadzać do hetmanów).

Stosunek Wernyhory do szlachty traktowany jest obszernie, a choć także roztapia się w niejasności poetyckiej, niejasność ta jednak jest przeźroczystszą, niż w innych stosunkach lirnika-widuna. Wernyhora przychodzi do Regimentarza, całego obroczonego krwią ludu, ażeby mu zagrać głucho na pożegnanie i pożegnać go »duchem swego ludu«. Tem pożegnaniem ma być przekleństwo za okrutne karanie zhajdamaczonego ludu, ale Wernyhora przekleństwa tego wypowiedzieć nie chce, w duchu je tylko trzyma. Dlaczego? On sam o tem niby nie wie.

A stepowe gdzieś miesiące
Wiedzą, o czem ja nie wiedział;
Czemu ja przez usta klnące
Wam przekleństwa nie powiedział.

Ale Wernyhora zapomina, że przed chwilą sam nam dał wyjaśnienie zagadki.

Taj wychodzę z szlachty proga
Jak wszedł — a nie bez łez, pany,
Bo ja z wami chleb łamany,
Od jednego dany Boga,
Długo jadł — aż zęby stracił.
Bogdaj Pan Bóg wam zapłacił
Za jadło i za gościnę.

Tak, Wernyhora pochodzi z ludu, ale żył od dawna z panami, mile przez nich witany, gościnnie podejmowany, a w imię czego? W imię tego, co nie zna różnic społecznych, co wszystkie serca zestraja w wyższej harmonii, w imię liry, w imię poezyi. Wernyhora nie czuje nienawiści do panów, bo poznał ich nietylko ze strony nienawistnej dla ludu, ale i z tej strony, która jest dla ludu niewidzialną, ze strony ich szlachetnych marzeń i porywów rycerskich, ze strony ich poetyckiego nastroju. Wcieleniem tej jasnej, pociągającej strony ducha pańskiego jest księżniczka ze swoją nieokiełzaną fantazyą, rycerskim animuszem i parskającą szczerością uczuć; z nią to przedewszystkiem wiąże Wernyhorę węzeł wzajemnej sympatyi. Gdy dzieckiem była, on jej wśród pasieki śpiewał dumy stare i uśpioną dumami układał do łóżeczka; on jej w cudownem widzeniu wieszczył krwawy dzień ślubny; dla niej, ażeby jej przywrócić męża, rozbija lirę srebrną, wreszcie na jej wezwanie przed odejściem »na sen, w ciszę«, rzuca proroctwo dotyczące przyszłości Polski. Proroctwo to bardzo niepodobne do przekazanego tradycyą; nie ma w nim nic wyraźnego, żadnej geograficznej wskazówki, żadnej wzmianki o jarze Hanczarychy i t. p. rzeczach. Owinięte mgłą niejasnych wyrażeń poetyckich zawiera myśl bardzo mętną. Wernyhora wieszczy, że jego duch wróci kiedyś na kurhany i

Naprowadzi wam łabędzi
I rycerzy i hetmanów.

Taj słuchajte, gdy z was panów
Budut' trupy, budut' hłazy,
Taj gdy się wasz trup trzy razy,
Pod mogiłą rwąc do sławy,
Znów przewróci na bok krwawy;
I pomyśli nędzarz boży,
Że i piorun nie otworzy
I nie zdejmie wieka z truny,
Taj świat przeklnie i pioruny: —
To jak stanę ja, dziad rzewny,
Jak mu ręce łzą uroszę,
Po żebracku jak poproszę,
Jak ja lirę upokorzę
I na sercu mu położę,
I do czoła mu przycisnę
I przeszłością w oczy błysnę,
Starych dum nasypię w uszy:
Klnę się na duch! że się ruszy,
Taj swą twarzą księżycową
Spojrzy na was jak upiory...
Otóż macie moje słowo,
Macie dumę Wernyhory.

Cóż z tego wszystkiego wyrozumieć można? Chyba to, że odrodzenie Polski nastąpi za sprawą liry Wernyhory, symbolizującej poezyą, a więc za sprawą poezyi »błyskającej przeszłością w oczy«. I byłaby mglista symboliczna przepowiednia doskonale zastosowana do niejasnej, tajemniczej postaci widuna, gdyby nie popełniał on jednej wielkiej niekonsekwencyi, rażącej nawet w świecie najbujniejszej fantazyi, gdyby on tej swojej liry ukochanej, pełnej symbolicznego znaczenia, która ma tak wielką przyszłość przed sobą, a tak daleką przeszłość za sobą, nie tłukł i nie rozbijał o podłogę dla wydobycia z niej czego? — dokumentów szlacheckich Sawy, potrzebnych na to, ażeby Numa wyszła za Pompiliusza.

Trzy postacie, o których była mowa, Sawa, Salomea i Wernyhora, wraz z podrzędną figurą ojca Salomei, starego Gruszczyńskiego, stanowią materyał poetycki, który poeta przelał z naczynia powieściowego w dramatyczne.

Wszystkie inne, z wyjątkiem regimentarza, a więc księżniczka, tajemnie poślubiona Sawie, Leon, figura sztucznie zlepiona z nikczemnika i bohatera, Semenko syn, Gruszczynieckiego popa, z marzeniami o buławie, z nienawiścią do Lachów i namiętną miłością dla Laszki, postać bardzo oryginalna i pełna życia, choć w niemożliwe sytuacye wprowadzona; wreszcie Pafnucy, wojak z naturą mnicha, któremu się w głosie »*Dominus vobiscum*« przebija, wszystkie te postacie dorobione są z fantazyi. Co się tyczy regimentarza, ma to być osoba niby wzięta z historyi, ale jak nazwisko jego poeta przekręcił, nazywając Stempkowskiego Stempowskim, tak też przekręcił — i to nierównie więcej — jego charakter, a nadziewając czystej wody karyerowicza z czasów Stanisławowskich mistycznym związkiem z duchami, stworzył dziwoląg godny stanąć do pary z takim dziwolągiem, jakim jest Leon, syn tegoż regimentarza. Regimentarz bowiem, wydawszy rozkaz, schwytanego Semenkę okręcić słomą, oblać smołą, zapalić u góry i jak gorejącą pochodnię wśród bicia dzwonów przez wieś prowadzić zwolna, tłumaczy swoje dzikie okrucieństwo w taki sposób:

Wiedzcie zaś, że to, co robię
W imieniu swojem i syna,
Z aniołów idzie nakazu:
Którym nietylko wyrazu
Wnętrznego trzeba od ludzi,
Lecz i kształtu, co żal budzi,
Skruchą serce zadawalnia,
A przed sądem już aniołów uwalnia.

Z tej plątaniny frazesów tyle tylko zrozumieć można, że Neroński czyn regimentarza jest aniołom miły i potrzebny. I tu warto zwrócić uwagę, że ten rys pewnego rodzaju uznania, a nawet uwielbienia dla siły okrucieństwa, nie jest odosobnionym i przypadkowym w poezyi Słowackiego, ale powtarza się potem, na wielką skalę rozwinięty, w *Królu Duchu*. A objaśnić go, jak się zdaje, najlepiej można lubowaniem się wyobraźni poety w uderza-

jących jaskrawością obrazach [1]). Już z przeglądu postaci wchodzących do *Snu Srebnego Salomei* można było przekonać się, że mistyczne teorye poety wycisnęły piętno i na tym dramacie i wzięły udział w jego genezie, podobnie jak w genezie *Księdza Marka.* Ale w tym względzie zachodzi ważna różnica między tymi dwoma utworami, różnica na niekorzyść pierwszego. Podczas gdy *Ksiądz Marek* jest cały przeniknięty główną ideą towianizmu, ideą potęgi ducha wierzącego, która dramatowi przynajmniej w pierwszych dwóch aktach, nadaje niekłamaną majestatyczność, *Sen Srebrny Salomei* za główną oś swoją, za kość pacierzową swego organizmu bierze z towianizmu to, co stanowiło jedną z najsłabszych stron jego, wiarę we wróżby, przepowiednie, prognostyki, a co gorsza bierze w taki sposób. który z jednej strony przeczy samemuż towianizmowi, zamieniając go w czysty fatalizm, z drugiej strony, z tejże właśnie przyczyny, nie da się pogodzić z prawdziwą dramatycznością.

---

[1]) P. Ignacy Matuszewski w artykule p. t.: *Mistyka Słowackiego* (Swoi i obcy Warszawa. 1903 str. 226) sądzi, że Słowackiego doktryna ofiary »przypomina ogromnie St. Martina«. O możliwym wpływie tego mistyka francuskiego na filozoficzne marzenia Słowackiego będę mówił przy innej sposobności, tutaj chcę tylko zaznaczyć, że mówiąc o doktrynie ofiary u Słowackiego, trzeba odróżniać ofiarę dobrowolną od niedobrowolnej. P. M. zdaje się tę ostatnią tylko mieć na myśli, gdyż nazywa tutaj Słowackiego »twórcą tytaniczno-zbrodniczych postaci Popiela i Hana tatarskiego«. Otóż jeśli chodzi o ofiarę krwi niedobrowolną, to podług Saint-Martina krew jest siedliskiem wszelkiej nieczystości i jakby legowiskiem wroga dusz ludzkich szatana, jest więzieniem dla ducha ludzkiego i stąd to przelew jej bywa potrzebny, zbawienny, przynoszący duchowi wyzwolenie. (Porówn. Ad. Franck La philosophie mystique en France à la fin de XVIII siècle Paris 1866, str. 174—175). U Słowackiego zaś ten motyw mistyczny nigdzie nie występuje, a niedobrowolny przelew krwi tak *w Królu-Duchu*, jak w dramacie z dziejów Nowogrodu jest tylko Opatrznościową karą lub środkiem wychowawczym w ręku Opatrzności. Jest więc wielka różnica w pojmowaniu znaczenia niedobrowolnej ofiary krwi pomiędzy St. Martin'em a Słowackim.

Trzeba to wyjaśnić. Towiańczycy wierzyli w sny, przeczucia, przepowiednie, znaki zmysłowe, dawane ludziom ze świata duchów. Mickiewicz np. wierzył, że to co napisał w *Dziadach* o mężu czterdzieści i cztery było proroctwem i przepowiadało pojawienie się Towiańskiego; wierzył, że kometa, który się pojawił na niebie w marcu 1843 był jakimś tajemniczym znakiem, rozkazem dla którego z braci. Ale te wszystkie znaki, przeczucia i przepowiednie, choć świadczyły o ciągłem oddziaływaniu duchów na ludzi, nie wyłączały przecież udziału wolnej woli w działaniach ludzkich. Były one tylko objawem czujnej opieki, roztaczanej nad ludźmi przez duchy, pragnące nakierować wolę ludzką ku pewnym wyższym celom. Tak tę rzecz przedstawiał i Słowacki w pewnym (cytowanym już) liście do matki z czasów pisania *Księdza Marka* [1]), gdzie mówił o łączeniu się uczuciem z duchami i otrzymywaniu od nich natchnienia, a także o tem, że »najmniejsza rzecz nie jest trafem, ale dopuszczeniem Bożym i potrzebną do wielkiego celu, tym zaś celem sprawa Jego święta, to jest postawienie całej ludzkości na wyższym szczeblu, gdzieby wszystko z miłości płynęło«.

Ale w *Śnie Srebrnym Salomei* Słowacki przekroczył granice pojęć właściwych towianizmowi i znalazł się na gruncie czysto-fatalistycznym. Wernyhora na jakie lat dziesięć przed wypadkami, stanowiącemi treść dramatu (księżniczka miała wtedy lat dziesięć) ma wizyę przyszłości i przepowiada do najdrobniejszych szczegółów, co się ma stać w dzień ślubny księżniczki (a właściwie w dzień ogłoszenia jej ślubu), a więc, że to »będzie dzień — jak pożar krwawy«, że w tym pożarze będzie się palił Semenko, jak żywa świeca, że tę świecę zetnie szablą pan Sawa, że zaraz potem zjawi się Franciszkan, pasem krwi przewiązany, niosąc zakrwawiony pierścień zdjęty z palca Semenki, a potem przyniosą »drużkę ubraną w srebrne,

[1]) Listy II 181.

podśnieżne narcyzy«, a jeszcze przedtem, »przed mężem, księdzem i druchną« otrzyma księżniczka podarunek ślubny: ze srebrnej rozbitej liry szlacheckie dokumenta męża. Wszystko więc już z góry było ułożone w niebie przynajmniej na lat dziesięć przed czasem akcyi dramatycznej i ludziom dostała się tu tylko rola maryonetek, najdziwaczniej popychanych w różne strony podług gotowego planu.

Czy przynajmniej to »dopuszczenie Boże«, mówiąc językiem poety ze świeżo cytowanego listu, było potrzebne do jakiegoś wielkiego celu? Czy dążyło do »postawienia ludzkości na wyższym szczeblu?« Nie, dążyło tylko — i to najbardziej krętymi drogami, jakie w malignie pogrążona wyobraźnia wymyśleć zdoła — do najzwyklejszego, ziemskiego kresu wszelkiego rodzaju powieści i dramatów, do pobrania się dwóch par kochanków i do toastu na cześć Salomei, który miał być toastem na cześć matki. I tu jest miejsce przypomnieć oskarżenie Goszczyńskiego, że Słowacki »wyższe poddawał niższemu«, i co »zachwycił w chwilach egzaltacyi, tem wzmacniał swoją stronę ziemską, do użytku ziemskiego, w widokach ziemskich«. W istocie oskarżenie to w zastosowaniu do »*Snu Srebrnego*« jest słuszne: Słowackiemu w tym utworze nie o wcielenie jakiejś wysokiej idei chodziło, ale o ułożenie na tle mistycznych wyobrażeń pełnego jaskrawych obrazów dramatu i o uczczenie tym utworem matki.

Sen Srebrny, podobnie jak *Ksiądz Marek* nosi na sobie piętno wpływu Calderona, w szczególności jego *Księcia Niezłomnego*. Pod względem formy zachodzą tu analogie prawie takie same, jakie wskazałem mówiąc o *Księdzu Marku*, — zwyjątkiem podziału na akty, który jest dawniejszy, szekspirowski. Pod względem treści jak w *Księdzu Marku* i w *Śnie Srebrnym* główny motyw wzięty jest z Calderona. Fenixana (w *Księciu Niezłomnym*), spotyka się z jakąś starą Afrykanką, która ją przeraża niejasną, z pozoru straszną wróżbą, że ona, Fenixana, ma się stać

okupem za trupa (Precio vil de un hombre muerto). Przepowiednia spełnia się w końcu dramatu, tylko zupełnie nie tak, jak sobie wyobrażała Fenixana, spełnia się w sposób, który ją uszczęśliwia, oddając w ręce kochankowi. Nie można wątpić, że ten motyw zachęcił Słowackiego do wprowadzenia podobnego pomysłu w *Śnie Srebrnym Salomei*. Podobieństwo polega nietylko na tem, że tu i tam wróżby się spełniają, ale że przy spełnianiu się tych wróżb Salomea odgrywa taką samą rolę, jak Fenixana w *Księciu Niezłomnym*: jest okupem za trupa.

U Calderona motyw wróżby jest drugorzędnym motywem, doskonale się poddaje głównemu i lekki cień fatalizmu roztapia się w jarzącem świetle idei dramatu, którą jest tryumf ducha wierzącego. Otóż to, co u Calderona była rzeczą podrzędną, do ozdoby raczej dramatu, niż do podparcia jego służącą, to Słowacki obrał sobie za rzecz główną, za podstawę całego utworu, a wziąwszy tradycyę o Wernyhorze jako o wróżbicie, za materyał, rozdął ją najpotworniej i wypaczył dla zachcianek swej wyobraźni.

Inny jeszcze motyw wciągnięty został z *Księcia Niezłomnego* do *Snu Salomei*. Don Fernando po śmierci ukazuje się jako duch pułkom portugalskim, aby je poprowadzić do zwycięstwa. Słowacki w podobną rolę ubrał starego Gruszczyńskiego i kazał mu się pokazywać nietylko wodzom polskim na okopie, ażeby ich wezwać do szturmu, ale nawet — niewiadomo po co — księżniczce. W *Księciu Niezłomnym* pojawienie się ducha Don Fernanda ma wysokie symboliczne znaczenie, jest wspaniałem objawieniem tryumfu niezłomnego księcia, organicznie wypływa z całości, jako jej uwieńczenie. U Słowackiego jest to szczegół z boku przyczepiony, luźnie związany z całością, która bez niego mogłaby się obejść bardzo dobrze.

Oprócz motywów wziętych z Calderona odzywają się w *Śnie Srebrnym Salomei* i echa Szekspirowskiego dramatu. Słabsze są od tamtych, ale są. Księżniczka, jakkolwiek wygląda z ukraińska i jest niekiedy pełną wdzięku

kozakiem-dziewczyną, przecież swoją fantazyą i ciętością języka przypomina Beatrix z Szekspirowskiego *Wiele hałasu o nic*, a jej rozmowy z Sawą są jakby echem przekomarzania się szekspirowskiej bohaterki z Benedyktem. Inne echo szekspirowskie odzywa się w obrazie pogrzebu Salomei; nie jest on powtórzeniem pogrzebu Ofelii, ale ma pewne z nim analogie: jak u Szekspira Laertes i Hamlet, tak u Słowackiego Leon i Gruszczyński wydziwiają i wykrzykują do siebie nad trumną grzebanej dziewczyny. Prawda, powody wydziwiania są różne, mimo to podobieństwo zewnętrzne, plastyczne, jest dość wyraźne, i wiedząc, jak wyobraźnia Słowackiego napojoną była obrazami szekspirowskich dramatów, mamy, sądzę, prawo i w tym obrazie widzieć reminiscencyę Szekspira.

Po tej analizie, która służyła do objaśnienia genezy dramatu, spytajmy, jaka jest ogólna wartość tego utworu, to jest, jaki stosunek stron dodatnich do ujemnych i jakie stanowisko jego w szeregu innych utworów poetyckich. Główną dodatnią stroną *Snu Srebrnego* jest to, co i w *Księdzu Marku* i w *Beniowskim* nadaje wielki urok poezyi Słowackiego, i przed oczami entuzyastów zasłania wszystkie jej ułomności, — mianowicie czysto swojski koloryt stylu. Ludzie występujący w tym dramacie, których czyny i myśli są przeważnie dziwaczne, nieprawdopodobne i niedorzeczne, mają ruchy, akcenta i zwroty mowy, żywcem z gorącej rzeczywistości chwycone, lub wybornie z niezastygłej jeszcze przeszłości staroszlacheckiej naśladowane, i to wszystko w żywym, drgającym i rytmicznie jak strumień górski płynącym wierszu roztopione. W tych ruchach, akcentach i zwrotach maluje się po części obyczaj polski, po części temperament działających osób, więc dyalog sprawia wielkie złudzenie życia, dopóki te osoby nie zaczynają bredzić gorączkowymi obrazami lub w nieprawdopodobnych występować sytuacyach.

Poza swojskością kolorytu, poza siłą barw i dźwięcznością wiersza prawie wszystko w tym utworze poronione

i chorobliwe: i idea dramatu, i budowa jego, i psychiczny stan osób działających. Ideą dramatu, choć może sam poeta nie zdawał sobie z tego sprawy, jest fatalizm; budowa opiera się na plątaninie niewyjaśnionych motywów lub steku nieprawdopodobieństw; na próbę psychologii osób dość przytoczyć, jak regimentarz, po śmierci Gruszczyńskiego, każe wnieść jego ciało, oprzeć na krześle, a klęknąwszy przed nim wraz z synem, wzywa nieboszczyka, aby dobył miecza i ściął im obu głowy, jako winowajcom. Nie przeszkadza to temuż regimentarzowi, zaraz bezpośrednio po tem, pogodziwszy siebie w taki łatwy sposób »z tą jasną duchów różycą«, być »tłómaczem afektów« swego syna dla księżniczki i malować subtelnemi barwami wdzięków jej ciała, »wciętych a pełnych tajemnych zacisz gorsów« etc.

W porównaniu z *Księdzem Markiem*, *Sen Srebrny Salomei* jest o wiele niższym utworem. Tamtego budowa jest tylko zepsuta u końca, w tym jest zlepkiem nieprawdopodobieństw i niedorzeczności. Pisząc *Księdza Marka*, był poeta naprawdę natchniony ideą towianizmu, choć natchnienia nie starczyło mu do końca, w *Śnie Srebrnym Salomei* wrócił do dawnego stanowiska, do stanowiska wirtuoza, jakie zajmował w *Fantazym*, jakie zajmował w dawniejszych swoich tragedyach. Wyższe poddawał tu niższemu, mówiąc znanemi nam słowami Goszczyńskiego. Osnuł wprawdzie swój dramat na tle pojęć mistycznych, ale one były tu środkiem raczej niż celem: celem głównym było napisanie efektownego dramatu, który miał być szczególnem uczczeniem poetyckiem matki.

Po *Księdzu Marku*, który wyszedł z druku przy końcu 1843 roku i *Śnie Srebrnym Salomei*, który już w styczniu 1844 opuścił prasę drukarską, ukazał się bezpośrednio, bo zaraz w następnym miesiącu, wspaniały przekład dramatu Calderona: *El principe constante*. Bogata, płomienna a rozwichrzona wyobraźnia Słowackiego, trzymana na uwięzi

cudzej myśli, zlała na przekład wszystkie swoje płomienie, blaski i kolory, wichrowatością zaś swoją w niczem nie naruszyła pięknej budowy hiszpańskiego mistrza. Dało to powód Małeckiemu do twierdzenia, że przekład *Księcia Niezłomnego* pochodził z dawniejszych czasów, z czasów przedmistycznych Słowackiego. Ale twierdzeniu temu przeczą różne wzmianki w listach poety, a najwyraźniej świadectwo przyjaciela Słowackiego, Reitzenheima, który powiada, że Słowacki dokonał przekładu dopiero po odłączeniu się od innych Towiańczyków [1]). Ponieważ to odłączenie się Słowackiego nastąpiło w listopadzie 1843, a już w styczniu następnego roku *Książę Niezłomny* był wydrukowany, przekład więc przypada na sam koniec 1843 r.

Co pobudziło Słowackiego do tego przekładu i do tak szybkiego wydania jego? Pobudki mogły być rozmaite, ale jedną z nich i zapewne nie najmniej ważną było to, że w swojem położeniu współczesnem, w swojem stanowisku względem Koła Towiańczyków, upatrywał blizkie pokrewieństwo z położeniem Księcia Niezłomnego.

Wiemy już, że rozstając się z Towiańczykami, widział w nich odstępców od prawdziwej wiary, a w sobie jej stróża, który ma rozkaz od Boga, »aby nie dbając na sąd ludzi — a choćby wzgardę, nędzę i potępienie — stał do końca, strzegąc prawdziwej wiary i dawnego sztandaru ojczyzny«. Wzgardy ani potępienia nie potrzebował się obawiać Słowacki, odsuwając się od Towiańczyków, bo ci sami byli przez większość ogółu emigracyi wzgardzeni i potępiani; tem mniej nędzy, gdy miał, dzięki matce, byt materyalny zapewniony. Ale malował te urojone niebezpieczeństwa, aby uwydatnić niezłomność swoich przekonań, swojej wiary, niezłomność, która go w jego oczach czyniła bohaterem, podobnym do Księcia Niezłomnego.

---

[1]) Reitzenheim Józef, Juliusz Słowacki. Paryż 1862, str. 18.

Nie potrzeba rozwodzić się nad tem, jak dalece urojonem było podobieństwo, ale Słowacki głęboko w nie wierzył i pisał o niem do Stattlera, zaraz po ukończeniu przekładu, w słowach przypominających odezwę do Koła. »Niech się mną ten Hiszpan, mnich srogi, opiekuje — bo się teraz zupełnie na opiekę Niebieskich spuszczam — a o ziemię zupełnie nie dbam... Chciałbym jednak, aby było choć kilka tak czystych duchów w Polsce, aby wierzyły, że zawsze i wszędzie wierny jestem... i tak jak mój *Książe Niezłomny* srogo i twardo stoję przy dawno strzeżonej chorągwi — a może na straconej placówce« [1]). Tak zaś przejmował się tem podobieństwem, że przekładając dramat Calderona, przebywał w imaginacyi wszystkie męczarnie jego bohatera. »Gdym przekładał *Księcia Niezłomnego*, opowiadał potem Budzyńskiemu, tarzałem się po ziemi, wystawiłem sobie, że jestem tym księciem Portugalii, który za ojczyznę oddałem mój żywot i dźwigam kajdany Maurów« [2]). W liście też do matki nazywał *Księcia Niezłomnego* »tym Księciem, który mu kości wewnętrzne połamał« [3]).

Że zaś Słowacki tak śpiesznie wydał swój przekład, prawie jednocześnie z dwoma oryginalnemi dramatami, to zrobił to zapewne w tym celu, aby pokazać pokrewieństwo swojej nowej mistycznie nastrojonej twórczości z dramatem wielkiego Hiszpana i tem lepiej uwydatnić nowy kierunek swojej poezyi. Do świeżo wydanych utworów przywiązywał naturalnie nadzwyczajnie wielką wagę i jak zawsze pełen uwielbienia dla siebie, pisał (w cytowanym już liście) do Stattlera: »wiem, że kiedyś w Polsce moja rodzinna ziemia, ten to kawałeczek koło Wołynia, który zawsze i od dawna już wydawał duchy pełne entuzyazmu,

---

[1]) Listy Juliusza Słowackiego wyd. drugie 1883. T. II, str. 224.

[2]) Michał Budzyński, Wspomnienia z mojego życia. Poznań 1880. T. I, str. 331.

[3]) Listy do matki II, 225.

choć nikłego dotąd, ziemia ta kiedyś stanie się jako Ateneum Chrystusowej sztuki«. Przypatrując się swojej twarzy, widział w niej znak zwycięstwa między oczami [1]), a gdy wracając z pierwszym egzemplarzem *Snu Srebrnego Salomei* znalazł się nieumyślnie koło pomnika Moliera, którego dotąd jeszcze nie widział, był pewny, że to go »duchy zaprowadziły, ażeby ustalić i pocieszyć» [2]).

---

[1]) Straszne życie! ale co do mnie, ufam, że zwycięstwo nad wszystkiem jest między oczami moimi, nie wiem, czy gwiazdą czy zmarszczką między brwiami zamyślonymi... ale jest... i świeci nawet teraz, kiedy patrzę w oczy twoje... (Z cytowanego listu do Stattlera).

[2]) Raptularz Słowackiego. Rkps. Bibl. Ossol. 1792, nr. 2, k. 47.

CZĘŚĆ IV.

W gmachu anielstwa.

1844—1846.

ROZDZIAŁ XVI.

Genezis z Ducha.

1844.

Dalsza korespondencya z matką i dalsze zabiegi o pozyskanie matki dla nowej wiary. — Kryształowy gmach złudzenia. — Pocieszający list matki. — Święcone u Czartoryskich. — Drugi pobyt Słowackiego nad Oceanem. — Próby dostrojenia *Beniowskiego* do nowego tonu. — Geneza *Genezis z Ducha*. — Prelekcya Mickiewicza z dnia 19 marca 1844. — Kiedy i gdzie napisana *Genezis z Ducha*. — Forma i charakter utworu. — Analiza utworu; łańcuch przeobrażeń. — Świat roślinny w *Genezis*. — Uchrześcijanienie natury i walka o byt. — Alfa i omega świata.

Matka, której uczczenie miał na celu jeden z trzech nowo wydanych dramatów, nie prędko miała je poznać. Tymczasem znów silniej zaniepokojoną była listami syna. Słowacki w tym samym liście, w którym donosił matce, że się wywiązał z długu imieniowi św. Salomei, i wyrażał pragnienie, aby imię to »pachło na wieki«, w tym samym liście z lekka uchylał zasłonę, zakrywającą przed oczyma matki jego nowy stosunek do współwyznawców, ciche zerwanie z Mickiewiczem i z Kołem. Pisał tam o sobie, że jest »biedny człowiek, jeszcze niezrozumiany, jeszcze nieraz pod fałszywym sądem stojący tylko z własnem sumnieniem... Ach! jak mało jest jeszcze ludzi, chcących tylko prawdy, miłości i wiary, jak smętno z temi, którzy zobaczyli słońce, a jeszcze zostają gdzieś w dawnych na-

łogach, w nieufności, w zazdrościach małych! Droga moja, ty jedna przynajmniej wszędzie i zawsze bądź ze mną, ty wiesz, że cię nigdy nie oszukiwałem, a czasem nawet prawdziwym będąc, wydałem się twardym i srogim. Cóż ja winien, że mię Bóg zrobił z jednego kawałka, że ja często osamotniony aż do stóp matczynych uciekać się muszę po moc i błogosławieństwo« [1]).

Na ten list matka odpowiedziała posyłką pieniężną i — milczeniem, które pochodziło może stąd, że bała się drażnić syna pytaniami i niepokoić go smutkiem swoim, pamiętając jego niedawne groźby. To milczenie ubodło syna, wydało mu się jakimś wyrzutem i w następnym liście (z 2 lutego 1844) pisał do matki: »Niespokojny jestem nad miarę, albowiem odebrałem dowód twojej pamięci, lecz rzucony mi z taką ciszą, że się zatrwożyło serce we mnie. Czy ostatnie słowa moje miały co takiego w sobie, że odwróciły cię odemnie? Pokój mi dałaś co do ciała: dajże mi dla duszy taką spokojność, otoczywszy mnie twoją ufną i nigdy niezmienną miłością, albowiem z głębi duszy ci mówię, że jestem godzien miłości twojej i Bożej opieki, nic bowiem nie czynię przeciw sumieniu mojemu i dlatego drogę mam twardą, często samotną, ale zawsze prostą... i czują to ludzie, albowiem uczucie wnętrzne człowieka czuć się daje wszystkim i wszędzie... Otwarcie powiem ci, że chciano mi tego wnętrznego spokoju ująć, dlatego więc prosiłem cię, abyś ty swoim niezachwianym duchem pomagała mi, albowiem twoje tylko zachwianie się mogłoby mnie zatrwożyć, ale to niepodobna, abyś ty, która znasz moje serce, wątpiła kiedykolwiek o jego czystości«.

Prosił też matki, aby go rozweseliła: »Rozwesel mię, droga... rozwesel mię pisząc, że czekasz cierpliwie i z ufnością tego, co Bóg obmyślił... bo bez tej cierpliwości miłosnej w Bogu złożonej, życie nasze byłoby codzienną

[1]) Listy do matki, II. 192.

męczarnią i musielibyśmy zniszczeć oboje na próżnych wysileniach« [1]).

Ale matce trudno było zastosować się do życzeń syna i z jej listu następnego wyczytał on głęboki smutek. Rozweselenie skądinąd mu przyszło. Przyniosła mu je po części wiosna, po części spokój, jakiego używał po usunięciu się z Koła, najwięcej zas własna wyobraźnia, która z łatwością z muchy robiła słonia i pierwszy lepszy objaw życzliwości ludzkiej dla niego przedstawiała jako skutek szczególnej mocy, danej wybrańcowi Bożemu. Prosząc matki, aby listów jego nie brała »za nową poezyę i marzenie«, za jakiś »rozdział poematu«, pisał o sobie: »ja, prosty teraz człowiek, odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec... Teraz ja budzę się rano i wraz rozweselony jestem wnętrznie; już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego, co się przybliży, oblać jasnością ducha i rozradować go, aż się do harmonii ze mną ułoży... Zdobywcą jestem duchowym... i ty myślisz, że mi się długo opierać będziesz, że wkrótce nie porwę ciebie mimowolnie samym tylko szumem i wiatrem lotu lecących ze mną aniołów«. W duchu swoim czuł tę pewność, że jako wybrańcowi Bożemu nic mu się złego stać nie może, czuł niby »drugą wiosnę życia« i siłę, »której dziś jeszcze używszy na rzeczy świata, mógłby zdobyć nią wiele rzeczy, za któremi inni ludzie gonią napróżno«. A ponieważ wiedział, że dawne jego melancholizowanie listowne podobało się matce i było dla niej o wiele zrozumialsze od mistyki listów z ostatnich lat paru, więc przypominał jej różnicę, jaka zachodzi między dawnem a obecnem jego stanowiskiem na świecie. »Pomyśl, że to już ja nie mały Julo, nie to nudzące się dziecko, prowadzone na pasku przez Byrona i innych, ale teraz człowiek prowadzący dalej... z tego właśnie punktu, do którego inni mnie rozpaczą i pięknością ducha dowiedli [2])«.

---

[1]) Listy do matki II, 193—195. [2]) Tamże II 199—200.

Słowa »prowadzący dalej« oznaczały nowe stanowisko jego względem towianizmu. Towianizm był ideą zbawczą, do której go doprowadzono, ale on spostrzegł, że dotychczasowi przewodnicy źle prowadzili, więc postanowił sam stanąć za przewodnika narodu i ludzkości na prawdziwej drodze nowej idei. I było mu dobrze z tem przekonaniem, że jest takim przewodnikiem, o ile nic z zewnątrz nie rozbijało mu kryształowego gmachu złudzenia, w którym się zamykał. Czuł wtedy nieraz w duchu »takie szerokie szczęścia uczucie, jak gdyby szedł na słońce« [1]). Od współwyznawców idei, którzy mu ten gmach rozbijali, odsunął się, z tej strony więc był zabezpieczony, ale nie mógł odsunąć się od matki, której tyle zawdzięczał, którą po swojemu bardzo kochał, której nawrócenie ku nowej idei uważał za swój pierwszy obowiązek, której więc ufność w jego nową rolę była mu niezbędną potrzebą do spokojnego zamieszkiwania owego kryształowego gmachu.

Tymczasem matka w wynurzeniach i objaśnieniach listowych syna nie znajdowała nic takiego, coby ją natchnąć mogło ufnością dla nowej roli, w której występował, i w maju 1844 Słowacki znowu odebrał od niej list »pełen niespokojności«. »Ta niespokojność twoja ciągła i ciągle odnawiająca się jest mi prawdziwą męką... Bo ty, droga, nie ufasz Bogu, niemasz wiary w niego, wiary tej, że jeżeli ja dobry a czystym sercem pracuję dla Niego, choćby ta praca była łez pełna i boleści, to łzy te będą mi chlebem żywota i boleść ta będzie mi jak fontanna młodości, która mi zawsze ciało odkąpie i da zdrowie. Ale ty, droga moja, chciałabyś, abym ja wyglądał, jak jabłko rumiane i uśmiechał się do maleńkich rzeczy i cieszył się z małych drobnostek; nie dziw więc, że w przeczuciach twoich czujesz mnie cierpiącym, bo cierpię, jako człowiek, który serce ma pełne miłości, bo tego cierpienia nietylko mam na jeden dzień lub na dwa dni, ale mam

---

[1]) Listy II, 203.

go na wieki długie, jak duch nieśmiertelny i pracujący«... »Wiarą mi więc siły dodawaj, a nie wysączaj mi łez z oczu moich... Oto napisałaś mi w liście, że chciałabyś przyłożyć rękę do czoła mego, że chciałabyś przycisnąć moją do serca twego, a ja, który wstałem z czołem pogodnym i z ręką gotową do pracy lub uścisku, teraz czuję, że mi czoło płonie a ręka drży, tak ty je rozchorowałaś oboje. Droga i najkochańsza! jeszcze raz, bądź ty o mnie spokojna. Gdybym ja musiał po kładce jakiej wązkiej iść nad falą ognistą pożaru, a tyś ciągle z daleka krzyczała: ach, upadniesz! ach, już upadasz! powiedz mi, nie odjęłażbyś mi tej przytomności, która jest potrzebną człowiekowi?«

Daleko mniej mu chodziło o pozyskanie ufności dla swojej transfiguracyi ze strony wujostwa Teofilów, bo wiedział, jak mało było pokrewieństwa duchowego między nim a nimi. »Lękam się, że File nieco dla mnie ostygli — pisał do matki w tym samym liście — ale nie dziwi mię to, albowiem tak być musi do czasu z wielu ludźmi, którzy przywykają łatwo do człowieka takiego, jak był, a często im smętno widzieć go, że się transfiguruje... Fil nie lubił w Rzymie *Transfiguracyi*, a Rafael kazał ją sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego będzie wystawione na widok publiczny... Za pierwszym ściśnieniem ręki zdobędę napowrót i odzyskam całe ich serce, czuję to i dlatego nie smutno mi, że Jul przestał im być tak miłym, jak dawniej« [1]).

Matka, zastraszona, że jej listy niespokojne mogą się stać dla syna tem, czem krzyki: ach! upadniesz! dla idącego nad przepaścią, napisała znowu do syna, jak przed rokiem na pogróżkę śmierci, list taki, jakiego syn pragnął, a który, według słów jego, był »najkochańszy, najmilszy z listów, bo pełny wesela, z rozradowanej duszy cały wyjęty, otwartemi ustami śpiewany Bogu, prawdziwie taki

[1]) Tamże II, 200—203.

hymn, jaki się od duchów-aniołów Bogu należy«. W tym liście przyznawała matka, że wszystko, co się im karą zdawało, jest błogosławieństwem Bożym, że więcej odebrali od Niego, niż im się należy, i syn wzywał matkę, aby utrzymywała ten stan wysoki duszy swojej. Przypuszczał on, że chwile smutne i rozpaczne mogą czasem powrócić, ale żądał, aby radość i pokój Boży były »niby dnem, na którym się inne uczucia malują«.

Jednakże syn niezupełnie był zadowolony z owego »najkochańszego« listu matki, znalazł w nim bowiem ślady, że matka choć pozornie pogodziła się z jego transfiguracyą, po cichu tęskniła do dawnego Julka, do jego dawnych marzeń o sławie i jego błyszczenia w świecie. Bo w tym samym liście, obok »hymnu pełnego wesela, otwartemi ustami śpiewanego Bogu«, były i prośby matki, aby syn donosił jej nietylko ze swego życia duchowego, wewnętrznego, ale i z materyalnego, zewnętrznego, towarzyskiego, a między innemi zadawała pytanie, czy był na »wielkiem święconem«, które na Wielkanoc tego roku urządzali księstwo Czartoryscy w Paryżu na tak wielką skalę, że sława jego aż na Wołyń zaleciała [1]). Matka musiała dobrze pamiętać, co jej syn przed dwoma laty, w ostatnim swym liście, przed transfiguracyą pisanym, donosił o starych Czartoryskich, jak się oni wówczas do niego zbliżyli i jak on w oczach ich widzi, że oni mu chcą syna swego w przyszłości powierzyć. I chciała widocznie delikatnie

---

[1]) Do rozgłosu, jaki nabrało to święcone, przyczynił się niemało felieton Michała Budzyńskiego, drukowany w *Trzecim Maju* z 13 kwietnia 1844 p. t. *Święta Wielkanocne*. O tym artykule pisze Budzyński we *Wspomnieniach z mojego życia* (T. I, str. 317). »Tam wystawiłem tego męża czcigodnego (księcia Adama), jako ojca wśród rodziny emigrantów, dzielącego jajko obrzędem starodawnym kraju, a wzywającym wszystkich, aby stanęli przy nim i dopomagali mu w ciężkiej pracy dla kraju. Artykuł wypłynął z mego serca i przekonania. Wielu się podobał, wielu rozrzewnił, w wielu nakoniec obudził chęć pracowania dla kraju pod sterem księcia«.

zbadać, czy ziściło się cokolwiek z ówczesnych nadziei syna i dowiedzieć się, jaki jest obecny stosunek jego do tego domu.

Te prośby i pytania gorszyły teraz Słowackiego. »Dla czego ty, droga, chcesz odemnie szczegółów życia mego i materyalnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy, odpowiedziałbym w takim sposobie, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, nie dostaje. Albowiem, jeśli szczęściem jest zabawa, tej ja nie znam; jeśli pieniądze, tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniej, niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd jakiś i uczucie upokorzenia. Gdybym ci opisał, droga, życie moje zewnętrzne, ty sama możebyś zwątpiła o szczęściu moim, możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że ci dziecko twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli ty prawdziwie szczęścia mego żądasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, żem jest pełen jakiejś wnętrznej radości, która się czasem aż w głosie moim tonem śpiewu przebija, jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestrachu śmiejące się, bo pewne opieki«.

»Pytasz mię, droga, czy jadłem wielkie święcone? A ja cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany i potem głośno mówią: daliśmy jadło i słudzy nasi pożarli je... albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i serca przelać ogniem, upoiwszy je z palących kielichów i stawiać ciągłe święcone pod nieba błękitem i takim jadłem wiązać ludzi, aby więcej nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi... Dla wiadomości jednak twojej po-

wiem, że i na tamtym święconym byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc, że przeszłość jadła, aby żyła«[1]).

Ten list matki, w którym obok rzeczy mocno radujących syna były i owe gorszące go pytania i prośby, zastał Słowackiego już nad morzem, w Pornic, dokąd, jak poprzedniego roku, wybrał się latem na odpoczynek, tylko tym razem znacznie wcześniej, bo na lipiec. Nęciły go tam przyjemne wspomnienia z przeszłorocznego pobytu, kamienie druidyczne, usposabiające do mistycznych marzeń, i ocean, ze swymi »rozwidnionymi błękitami«. Przyjeżdżał już jako dobry znajomy. »Wszyscy mię poznali — pisał do matki — wieśniacy nawet wszyscy uśmiechami jeszcze jadącego w dyliżansie witali, a cóż dopiero w oberży, gdzie oberżysta z żoną, staruszkowie, jak Filemon i Baucis, otoczeni tłumem służących wieśniaczek, oblegli mię dokoła, wszystkie pokoiki otworzyli, abym sobie wybierał między niemi najdogodniejszy, i radośniejsi, niż byli przedtem, odeszli, zostawiwszy dalsze przyjęcie falom morza i druidycznym kamieniom, które ulubiłem sobie dlatego, że są od wieków na smętnej pustyni stojące« [2]).

O ile powitania prostych wieśniaków bretońskich były Słowackiemu miłe, o ile fale morza i kamienie druidyczne doskonale odpowiadały ówczesnemu nastrojowi jego duszy, o tyle, przy tym nastroju, obcą i lichą wydawała mu się napływowa sfera gości. »Wkrótce po przybyciu moim cała oberża się napełniła przyjezdnemi i stała się brzmiącą, bo z desek sosnowych i belek budowana, jak niby skrzypce olbrzyma, Mirmidonami napełnione; głos fortepianu, gwary dzienne a tupoty tańców wieczorne rozlegały się bezprze-

---

[1]) Listy do matki II, 205—206. — O tem święconem znajdujemy w czerwonej książce notatkowej poety podobny zapisek: »Święcone u Xięcia, olbrzymi stół... prawdziwy Xiąże z ciała, który ciżbę ludzi z ciała nakarmił. Co za różnica być Xięciem z ducha... i tylu ludzi nakarmionych duchem odesłać«. Rkp. Bibl. Ossol. 1792 nr. 2. K. 48 (b).

[2]) Listy II, 204.

stannie, bo tu ludzie innego szczęścia nad rozrywkę nie znają, ani nawet domyślą się, że szczęście i wesele w duszy być może«. Więc też chętnie uchodził z tej sfery »na wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczą bladych nadmorskich kwiatów malowane, szerokim morza błękitem obwiedzione«, chętnie przesiadywał na kopcu druidycznym, »z którego świat widać okrągło i pusto na wszystkie strony, opasany przez pół wężem błękitów morskich«. A kiedy p. Bobrowa, z którą zrzadka korespondował, prosiła go, aby jej opisał to, co uważa za najważniejszy fakt ze swego dwumiesięcznego życia nad morzem, za taki fakt uznał on i opisał go z właściwą sobie malowniczością stylu, pewne spotkanie swoje na tych kamieniach druidycznych z dziesięcioletnią pastuszką, która dzięki malowniczej dekoracyi i nastrojowi mistycznemu poety, urosła w oczach jego na »postać sylficzną Druidessy«. Jej też poświęcił wiersz osobny, znany pod tytułem: »Do pastereczki siedzącej na druidów kamieniach w Pornic nad Oceanem« [1]). O różnych zaś paniach z towarzystwa kąpielowego tak pisał: »Inne mniejsze duchy w kitajkowych sukniach z falbanami, polkujące na zapylonych posadzkach oberży, albo na osiołkach odprawiające pełne śmiechu podróże, nie warte są wspomnienia, nie warte, aby pamięć zawędrowała tak daleko« [2]).

To towarzystwo, które przed kilku laty byłoby polem popisu dla jego dowcipu i salonowych zdolności, teraz jakby nie istniało dla niego. Żył samotnie, chodząc po »wietrznych polach, błękitem morza obwiedzionych«, rozmawiając w wyobraźni z duchami druidów, i oddając się bez żadnej znikąd przeszkody marzeniom na tle idei, zaczerpniętych z towianizmu. W tych samotnych przechadz-

[1]) Drukowany w I tomie Pism pośmiertnych. W książce notatkowej (czerwonej) Słowackiego, gdzie jest brulion tego wiersza, jest również własnoręczny rysunek poety, przedstawiający tę pastuszkę, siedzącą na kopcu druidycznym.

[2]) Małecki III, 305—307.

kach, kiedy wyobraźnia poety upajała się szerokością horyzontów i ciągłym szumem fal morskich i wiatru, wyobrażenie jego o potędze własnego ducha i o wielkości jego zadań rosło w nieskończoność. Czuł się posiadaczem wielkich tajemnic, które mają naród ożywić i dźwignąć i gotów był wierzyć, że samem wytężeniem ducha zdaleka, tajemnie, magnetycznie może oddziaływać na naród. Wtedy to pisał te strofy z XII pieśni *Beniowskiego:*

Nad morza teraz uciekam i blade
Tęczą nadmorskich kwiatów, wietrzne pola
Depcę, a wielkich duchów o poradę
Pytam; i często piorunowa wola
Ściąga mi taką moc, że ręce kładę
Na wiatrach, jako na harfy Eola
Strunach, i gra mi wiatr jak najboleśniej,
A ja posyłam na północ te pieśni.

Na północ je posyłam — miejcie czucie!
Bo kiedy głuchy grzmot bez żadnej chmury
Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie
Jakby podziemnych zbrój, i kiedy z góry
Słychać jakoby sztandarów rozprucie
I szelest, niby orzeł je w pazury
Chwytał i ciągle darł, jak stare szatry: —
Słuchajcie! to ja błogosławię wiatry.

I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali;
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Bogu pokaże i przed nim powali,
A będzie ziemia cichą jak mogiła: —
Słuchajcie! bo ten strach, to moja siła!

Kiedy nie wiedzieć skąd, dziecko się małe
Rozpłacze, rączki założy na głowie,
Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,
Jak próchniejąca wilcza kość w parowie;

Gdy włoski staną mu jak zmartwychwstałe
I przedrży wielki strach, a nic nie powie,
Lub co innego wam w uśmiechu skłamie: —
To mój go porwał wiatr i moje ramię...

Powieść o Beniowskim, pomimo iż poeta zaczerpnął z niej materyału aż do dwu dramatów, w głównej osnowie swojej nie była wyczerpaną, nie była dokończoną i bardzo daleką jeszcze miała przed sobą drogę do końca. Prowadzić jej teraz w dawnym kierunku poeta nie chciał, nie mógł; ale żal mu było bogatego materyału poetyckiego, który zawierała. Wiemy już, że we fragmencie *Poeta i natchnienie* przyrzekał »trzy mary« z niedokończonego poematu uroczyście pogrzebać, to jest wprowadzić je do odnowionego kościoła swojej duszy i ukazać je w świetle nowej wiary. Względem Księdza Marka i Wernyhory wywiązał się z przyrzeczenia w dramatach, ale główny bohater poematu, Beniowski, wciąż był niepogrzebany. A nietylko on, ale i postać głównej bohaterki, którą Słowacki szczególnym obdarzył wdziękiem, ciągnęła go do dawnej powieści; więc wracał teraz do niej, próbując, czy nie uda mu się nastroić jej na nowy, mistyczny ton i w tym tonie ją dalej poprowadzić. Zamiar ten prześwieca z tych strof pieśni XII, gdzie o piękności kobiety powiedziano, że może »w duchu będąc, robić cuda«:

Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą...
. . . .
Aniela była taką duszą; ona
Z Beniowskim tworzy jednego rycerza
I bohatera. Polska, przez nią śniona,
Świętą jest, wielką; z góry już uderza
Duchem na wszystkie słowiańskie plemiona
I do żywota budzi i przymierza...

W tych strofach, bezpośrednio poprzedzających wyżej cytowane cztery strofy, Aniela ze stanowiska pięknej, czu-

łej i hartownej kochanki bohatera rycerskiego romansu wznosiła się wysoko, stawała się jakby natchnieniem, duchową przewodniczką Beniowskiego, a zarazem wcieleniem nowych poglądów poety na powołanie narodu. Tym sposobem, przez nią właśnie, chciał poeta swój poemat, rozpoczęty w celach, które mu się wydawały teraz nizkiemi, w celu walki o sławę, dostroić do swego duchowego przeobrażenia Ale zadanie było niezmiernie trudne, nietylko dlatego, że początek poematu był w zupełnie innym pisany tonie, ale i dlatego, że to, co głównie wówczas zajmowało duszę poety, nie dawało się wtłoczyć choćby w najszerzej rozsunięte, najfantastyczniej powycinane ramy powieści o Beniowskim. Więc próba niedługo trwała, Słowacki znów odsunął od siebie powieść, i stała się ona dla niego odtąd jakby harfą, na której od czasu do czasu przegrywał, próbując nowych, coraz bardziej mistycznych tonów, dopóki nie trafił na ton *Króla-Ducha* i nie przeszedł całkowicie i ostatecznie od powieści szlacheckiej do epopei mistycznej, w której na tle dziejów narodu chciał osnuć dzieje swego ducha — przewodnika narodu.

Teraz co innego zajmowało jego fantazyę i domagało się wypowiedzenia. Jako przewodnik narodu, jako jedyny stróż prawdziwej wiary, poczuwał się do obowiązku ogłoszenia narodowi jej zasad, a przedewszystkiem do obowiązku poetyckiego objawienia i wyjaśnienia tej zasady, która dla niego była błyskawicą wszystkie ciemności rozjaśniającą, mianowicie, że »wszystko przez Ducha i dla Ducha jest stworzone«. *W Księdzu Marku* i *Śnie Srebrnym* były tylko dalekie odblaski tej idei; teraz chodziło o to, aby pokazać ją w całej pełni i blasku i wytłumaczyć nią wszystkie tajemnice stworzenia i wszystkie zagadki dziejów ludzkości. Od czasu duchowego przeobrażenia swego, tj. od dwóch lat ciągle się zwracał myślą ku tej zasadzie, ku temu »źródłu wiedzy« i fantazya jego praco-

wała nad tem, aby tą mistyczną nicią powiązać wszystkie zjawiska świata.

Już w lipcu 1843 pisał do matki: »Z idei, która nam w sercu jak iskierka zatliła się, można wydobyć wszelką mądrość na obalenie mądrości teraźniejszej świata. Choć jeszcze krótko ona gości we mnie, a już wiele rzeczy widzę lepiej, niż je dawniej przez teleskop i mikroskop widziałem... Cały świat mogę podług niej sądzić... i całą naturę, albowiem wiem, na co jest świat i natura, bo czuję, że tę naturę chciałbym podnieść przez podniesienie się ducha i oddać ją całą Bogu w jednej modlitwie« [1]).

W tych słowach tkwi już pomysł *Genezis z Ducha*, do której rozpatrzenia zbliżamy się. Ale z tych słów (wiele rzeczy widzę lepiej etc.) widać także, że fantazya Słowackiego nie wszystko jeszcze wtedy uporządkowała podług nowej idei, nie wszystko oświetliła mistycznem jej światłem. Myślę, że na proces dojrzewania tego pomysłu wielki wpływ wywarła prelekcya Mickiewicza z dnia 19 marca 1844, ta głośna prelekcya, na której Mickiewicz otwarcie ogłosił Towiańskiego, jako przynoszącego nowe objawienie i wezwał słuchaczy, aby potwierdzili jego świadectwo.

Początek jej poświęcony był rozważaniu związku, jaki zachodzi między duchem ludzkim a tem wszystkiem, co żyje na ziemi poza człowiekiem, co składa całe królestwo źwierzęce i roślinne. »To dziwna rzecz, mówił profesor, że filozofom dociekającym przyczyn niemowlęctwa stworzeń niższych, nie przyszło na myśl, że może jakaś straszna tajemnica leży w samym zarodzie życia każdego gatunku zwierząt i roślin«. Zagadnieniem tem jednak coraz żywiej zaczynają się zajmować uczeni; »jest to jedno z zagadnień do rozwiązania epoce teraźniejszej«. I na dowód przytaczał słowa filozofa amerykańskiego Emersona, »który najlepiej pokazuje potrzeby naszych czasów, który wpraw-

[1]) Listy II, 182.

dzie żadnej kwestyi rozwiązać nie zdołał, ale wszystkie, wiele ich jest, postawił najjaśniej i najdobitniej«. Cytata była niezmiernie ciekawą i pobudzającą wyobraźnię słuchaczy. »O filozofowie, co obrót gwiazd mierzycie! — brzmiały cytowane słowa Emersona — czy myśliliścież kiedy zastanowić się nad krążeniem myszy pod posadzką waszych mieszkań? Spojrzyjcie przynajmniej choć raz z uwagą na ruch jaszczurek biegających po murze, przypatrzcie się mrówkom, które depczecie chodząc, i powiedzcie mi, co nowego odkryliśmy, czegośmy się dowiedzieli o historyi królestwa żwierzęcego, które tak dawne, a może i dawniejsze, jak plemię indyjsko-germańskie? Obywatele tego królestwa, tuż obok mocarstw ludzkich, odbywają swoje sejmy; ale między temi dwoma rodzajami państw nie masz znoszeń się najmniejszych: żaden wyraz, żaden znak nie przeszedł z mowy jednych do słownika drugich. Co większa, cała historya wasza nie jest niczem więcej, jak wzmianką o drobnej cząstce dziejów człowieka. Prawiono nam ciągle o waszych pracach metafizycznych i politycznych; jakież światło, pytam, rzuciła na tajemnicę śmierci i wieczności, na stosunki nasze z Bogiem i przyrodzeniem?... Rzym i Rzym, Paryż i Londyn, zawsze a zawsze to samo: i cóż ten stary Rzym naprzykład wiedział o szczurach i jaszczurkach i t. d.«.

Mickiewiczowi ta dłuższa cytata z Emersona miała służyć głównie do tego, aby wziąć w obronę *Biesiadę* i pokazać ludziom »uchodzącym za pobożnych«, którzy gorszyli się znalazłszy w niej »parę napomknień o tych rzeczach«, że oto »na drugiej półkuli ziemi idzie teraz o rozwiązanie tych samych zagadnień«. I wskazując, jak to »księgi chrześcijańskie pełne są przykładów głębokiej sympatyi żwierząt ku ludziom pobożnym«, dowodził, że »tylko sam chrystyanizm, sięgając jedną ręką dalej w niebo, a drugą zagłębiając w tajniki przyrodzenia, potrafi wydobyć na jaw nasze związki z królestwem jestestw i istot nieorganicznych«.

Ten ustęp z prelekcyi Mickiewicza był czemś wyjątkowem w ustach człowieka, który zanadto był zajęty wcielaniem ducha chrześcijańskiego w stosunki społeczne, aby się mógł oddawać zagłębianiu w tajniki przyrodzenia. Tem większe też zapewne sprawił wrażenie na Słowackim, którego, jak wiemy, w nauce Towiańskiego odrazu najwięcej uderzyła kosmogoniczna jej strona, i który już przed kilku miesiącami w jej świetle lepiej widział wiele rzeczy, niż dawniej przez teleskop i mikroskop. Co wreszcie musiało bardzo silnie potrącić Słowackiego, to nadzieja wypowiedziana przez Mickiewicza, że »pierwszy promyk światła w tej mierze« zabłyśnie pośród plemienia słowiańskiego [1]).

Ale czy był Słowacki na tej prelekcyi? Jeżeli nie był, to niewątpliwie znał jej obszerne streszczenie, drukowane w *Dzienniku Narodowym* [2]). Jest jednak podstawa do przypuszczenia, że pomimo zerwania stosunków z Mickiewiczem, Słowacki chodził na jego prelekcye. Zachowały się własnoręczne notatki Słowackiego (w czerwonej książce brulionowej), w których wypowiadał różne sądy o Mickiewiczu, widocznie odnoszące się do współczesnych jego prelekcyj, a między nimi i taka, pochodząca najpewniej z marca 1844, a pełna uwielbienia dla wielkiego antagonisty:

»Uczuć ducha Bożego w sercu ludzi tak jak Szekspir — uczuć nad ludźmi tak jak Mickiewicz« [3]).

---

1) »Co byłoby dziwnego, gdyby pierwszy promyk światła w tej mierze zabłysnął pośród plemienia, które zostaje zawsze w ściślejszych, niż jakiekolwiek inne związkach z przyrodzeniem; plemienia, do którego należał Zaluziański, co pierwszy, na długi czas przed Linneuszem postrzegł dwupłciowość roślin; plemienia, które utworzyło epopeę źwierzęcą, przy której Reinecke Fuchs i Roman du Renard wyglądają tak blado; plemienia nakoniec, w którego piosnkach gminnych pełno gadających źwierząt i roślin«. Literatura słow. IV, 116.

2) Nr. 155 d. 23 marca 1844.

3) I w trzy lata potem w liście drugim (niedokończonym) do

Jakkolwiekbądź, to pewna, że w miesiąc po owej prelekcyi już teorya Słowackiego o naturze i duchu była pełną, skończoną, a przynajmniej taką się wydawała poecie. W liście z d. 16 kwietnia 1844 pisał do matki, że jego wiara odkryła mu wszystkie tajemnice, »wszystkie, mówię ci, bo już dla mnie zasłona grobu uchylona jest zupełnie« i prosił jej, aby przeczytawszy te wyrazy, nie brała ich za jakąś nową poezyę i marzenie, za rozdział jakiegoś poematu, tylko za szczerą prawdę.

Otóż ta wiara domagała się dla siebie szaty poetyckiej i poeta znalazłszy się teraz nad morzem, w bezpośredniem zetknięciu z przyrodą, uczuł, że nadszedł czas wypowiedzenia tego, co uważał za »alfę i omegę świata«. I wtedy to, w Pornic 1844, napisał *Genezis z Ducha* [1]). Tym

---

księcia Adama Czartoryskiego odzywał się z uwielbieniem o wykładach Mickiewicza. »Wszakże to pierwszy raz po tylu wiekach Sorbona — od Danta jeszcze głucha i nierodząca — pierwszy raz mówię twórcze teologiczne słowo usłyszała... Polak mówił... Zdaje się, że ów dawny Awarys. Scytyjski, od którego Pitagoras pobrał myśli najwyższe — wrócił a odebrawszy poplamione przez ludzi swoje własne ideje — rzucał je na nowo — ze świeżością kwiatów... z blaskiem słońc nowo z rąk duchowi jakiemu wylatujących. — Od rozwagi to polskiej zależało oddzielić ideał od zastosowań doczesnych — uwielbić natchnienie, nie poddawszy się całym rozumem w niewolę zawsze ślepemu Homerowi«. Pamiętnik literacki, Rocznik I, 1902, str. 647.

[1]) Dotychczas datę napisania *Genezis z Ducha* przenoszono na czas późniejszy. Małecki nie oznacza jej dokładnie, przypuszcza tylko, że była napisana nieco później, niż dramata *Samuel Zborowski* i *Zawisza Czarny,* że była »niejako syntezą wszystkich onych przygotowań zrazu daremnych«. (Juliusz Słowacki III, 109). P. Hoesick podaje datę wyraźną: podług niego *Genezis* była napisaną w Dieppes latem 1846. W wywodach swoich opiera się na tem, że *Genezis* zaczyna się od słów: »Na skałach oceanowych postawiłeś mię, Boże«, a w liście z Dieppes Słowacki pisze do matki: »Na tych skałach, gdzie żony i t. d. siadam nocą«. Dalej w *Genezis z Ducha* powiada Słowacki, że »jeszcze kilka dni pożyje zatrudniony ciągłą rozmową z tajemnicami natury«, a w wierszu do Fr. Szemiotha, pisanym w Dieppes 1846, mówi o sobie: »Wkrótce w tym piasku będę

razem pod względem formy kroczył samodzielnie; w twórczości wielkich poetów, którzy mu byli dotychczas przewodnikami, nie znajdował wzoru do poematu takiej treści, jak *Genezis*, obrał więc dla niej własną formę, zgodną z tem, co pisał przed rokiem do matki o naturze, że

---

jeszcze głębiej«, wyraża zatem jakoby tę samą myśl o rychłej śmierci. (Życie Juliusza Słowackiego przez F. Hösicka III, 421). To są najważniejsze dowody p. Hösicka na poparcie twierdzenia, że *Genezis* była napisaną w Dieppes 1846. Przy bliższem przypatrzeniu się im i porównaniu ich z dowodami, świadczącemi o wcześniejszem o dwa lata pochodzeniu *Genezis*, tracą wszelką wartość.

Skały oceanowe, o których mowa na wstępie do *Genezis*, nie są skałami w Dieppes, ale skałami w Pornic. Oto jak mówi o nich Słowacki w poemacie: »Tu, gdzie za plecami mojemi palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie przyśnione oczom Homera i t. d.«; a w liście do matki opisując swój pierwszy pobyt w Pornic (Listy II, 186) tak maluje skały tej okolicy: »Wyszedłem na brzegi: tam skały osypane złotą i srebrną miką paliły się na słońcu, niby tarcze ogromne, albo trony Oceanid«. Dalej jest przy końcu *Genezis* ustęp: (O Panie! który kazałeś szumowi morskiemu i szelestowi wietrznych pól bladym kwiatem okrytych, aby mię uczyły słów tej księgi«), który żywo przypomina wyrażenia z listu Słowackiego do matki o pobycie w Pornic 1844 (wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczą bladych nadmorskich kwiatów malowane. Listy II, 204).

Nie dosyć na tem. Że w Pornic powstała *Genezis* dowodzą tego także notatki Słowackiego (w czerwonej książce). Mają one tytuł *Nauki naturalne*, a są rezultatem studyów nad przyrodą, których ślady są widoczne w *Genezis*. A notatki te pisane były w Pornic, jak tego dowodzi pewien ustęp na karcie 20: »Chcąc poznać np. florę Pornik, rozważyłbym a priori jaka wymagalność była natury«.

Niewątpliwie tedy w Pornic była napisaną *Genezis* i mogłoby tylko zachodzić pytanie, do którego pobytu Słowackiego w tem miejscu, t. j. do którego roku odnieść należy napisanie tego utworu. Pytanie to stanowczo rozstrzyga pewna własnoręczna notatka poety, zawarta we wspominanym już nieraz czerwono oprawnym jego notatniku, a, jak z jej treści widać, niewątpliwie odnosząca się do *Genezis z Ducha*. Otóż w tej notatce powiedziano, że »dzieło to jest owocem dwuletniego stanu nadzwyczajnej egzaltacyi i myśli ciągle przez ów czas zwróconej ku Bogu i ku źródłom wiedzy«...

chciałby ją podnieść i »oddać ją całą Bogu w jednej modlitwie«: obrał formę modlitwy do Boga. A modlitwy tej nie ubrał w rymy, ale ją odział w powłóczystą, majestatyczną prozę poetycką, która, choć poemat zbliżał się treścią swoją do tematów biblijnych, mianowicie do Mojżeszowej księgi Rodzaju, nie była przecież, jak w Anhellim, naśladowaniem prozy biblijnej, ale zupełnie oryginalnym wytworem artyzmu poety [1]).

---

a ponieważ, jak wiemy, początek nadzwyczajnej egzaltacyi Słowackiego przypada na r. 1842, więc napisaną została *Genezis* nie wcześniej, ani później, jak w r. 1844.

Co się tyczy zwrotu w *Genezis*: »O Panie... któryś zatrzymał Ducha na ustach moich i pozwolił, że jeszcze kilka dni pożyję«, na którem p. Hösick opiera późniejszą datę, to oznacza ten zwrot, coś wręcz odmiennego od myśli o rychłej śmierci. Słowacki już pierwszy raz jadąc do Pornic, miał się za »gasnącą lampę«, (patrz list do Stattlera z 15 stycznia 1844), ale po willegiaturze nad morzem tak w 1843 jak w 1844 czuł się bardzo pokrzepionym i 12 sierpnia 1844 pisał do matki: »Sama nareszcie siła Boża zdaje mi się ciało moje hartować, naturę kości moich przemieniać, na dłuższe trwanie mię przeznaczać i t, d.«. Ten ustęp wyraża to samo, co i ów zwrot do Boga w *Genezis*: wdzięczność dla Boga, że mu pozwolił pokrzepić zdrowie, a wyrażenie w *Genezis*: »Kilka dni« jest tylko zwrotem retorycznym, który oznacza pewną nieokreśloną ilość czasu, naturalnie bardzo małą w stosunku do wieczności, ale w stosunku do przeżytych lat Słowackiego równoznaczną z »dłuższem trwaniem«.

[1]) Są jednak ślady w notatkach poety, że pierwotnie chciał on swoją *Genezis* napisać w formie systematycznej rozprawy naukowej. Tak można wnioskować z następującej notatki jego w czerwonym raptularzu na k. 174.

Zamiar dzieła.

Podstawa czyli natchnienie — Duch... 44. Hegla idea czysta.
5. Cosmogonija 42—43. Bakon zarzut nieporządku.
6. Filozofia naturalna.
2. Początek ducha 42 Spiraculum.
3. Pryncypia form 44. Światło — dwa modele.
[4. Causes finales]. Początek materyi 42 (hylé) 43.
6. Królestwa natury — planty 20 — zapach.
7. Człowiek.
8. Rassy.

Pod względem treści *Genezis* najlepiej się da zestawić z poematem Lukrecyusza »*De natura rerum*«, którego zresztą Słowacki najpewniej nie znał, albo raczej, który znał tylko tyle, ile ze szkół wyniósł o nim wiadomości. Dwa te utwory, z różnych światów pochodzące, o różnych rozmiarach i różnej formie, o dyametralnie przeciwnym kierunku myśli, równe były sobie zadaniem i pokrewne intencyą autorów. Oba miały zadanie objaśnić genezę świata, przyczem poeta rzymski miał na celu rozproszenie przesądów i strachów, trapiących współczesną ludzkość, poeta polski »obalenie mądrości teraźniejszej świata«, zakrywającej prawdziwy widok rzeczy. Ale pierwszy, idąc śladem Epikura, wszystko wyprowadzał z materyi i twierdził, że oprócz niej i próżni nic na świecie nie istnieje; drugi wszystko wyprowadzał z ducha i wszelką materyą tylko za wytwór ducha uważać kazał.

Ażeby obalić mądrość świata, trzeba ją przedewszystkiem poznać. Słowackiego i dawniej, kiedy marzył tylko o sławie poetyckiej, ciągnęła ku sobie filozofia, ponieważ, jak sam trafnie określił, karmiła jego imaginacyą. Z Genewy (3 stycznia 1834) pisał do matki: »Pracuję teraz ciągle, czytam bardzo wiele, rzuciłem się cały w filozofią niemiecką; pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moją imaginacyę«. W Szwajcaryi też zapewne studyował dyalogi Platona, które jeszcze lepszego pokarmu dostarczały jego wyobraźni; ślady tych studyów widoczne są w *Horsztyńskim*. Ale te dawniejsze studya filozoficznę były dorywcze, bez planu, bez wytkniętego celu. Teraz myśl jego była stale zwróconą ku zagadnieniom przyro-

---

9. Narody.
10. Indywidua. 85. Duchy prorocze.
11. Causy finalne. 43. Bakon.
12. Związek tej filozofii z religią. 45. Moc objawień zdobytych.
13. Estetyka.

Liczby stojące na czele wierszy oznaczają widocznie porządek treści; co oznaczają liczby w środku wierszy, nie umiem powiedzieć.

dniczym i metafizycznym, aby je wszystkie rozważać i oceniać w świetle nowej nauki. Czerwono oprawny raptularz poety, papierowy powiernik jego z owych czasów, świadczy, że studyował wtedy Bacona, Hegla i francuskiego mistyka Leroux i wielu współczesnych polskich pisarzy filozoficznych.

Że się zajmował geologią i paleontologią, zdaje się świadczyć o tem ten ustęp z *Genezis:* »Błogosławieni ci, którzy acz bez ducha Twego, Boże, wydobyli tę dziwną pierwotworów naturę, oświecili ją latarnią rozumu i mówili o trupach, nie wiedząc, że o żywocie własnym rozpowiadają. Latarnia, którą po sobie w tych ciemnych podziemiach zostawili, świeciła mi, kiedym w nie wstąpił i t. d.«.

Słowacki nie wiedział dobrze, czy ma swój utwór uważać za rodzaj objawienia, czy nie. *Genezis* zaczyna się od takich słów: »Na skałach oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego; a jam się nagle uczuł w przeszłości nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach«. Tak więc ta wiedza, rozwiązująca wszystkie tajemnice świata, która się w nim rozbłysła, była podług poety skutkiem zrządzenia Bożego, ponieważ to Bóg umyślnie w tym celu postawił go na skałach oceanowych. W dalszym jednak zwrocie do Boga *Genezis* traciła charakter objawienia, ponieważ poeta nieśmiało już tylko prosił Boga, aby mu pozwolił »jako dzieciątku, wyjąkać dawną pracę żywota i wyczytać ją z form, które są napisami jego przeszłości«.

Po tym krótkim wstępie zaczyna się właściwa *Genezis* ustępem, opartym na dwóch początkowych wierszach Ewanielii św. Jana. W Ewanielii tej mianowicie powiedziano: »Na początku było Słowo, a ono Słowo było u Boga, a Bogiem było ono Słowo«, a nieco dalej: »W niem był żywot, a żywot był oną światłością ludzką«. Że przez

wyraz »światłość ludzka« ewanielista rozumiał Chrystusa, są na to wskazówki w dalszych rozdziałach tejże ewanielii, ale Słowacki nawiązując swoją teoryę do słów ewanielii, chciał je rozumieć inaczej i w wyrazie »światłość ludzka« upatrywał zbiorowego ducha ludzkiego, niby przędzę pierwotną ludzkości, w której i pierwiastek jego ducha był już zawarty. I dlatego napisał: »Albowiem duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie, a jam był w Słowie«.

Tak przywiązawszy swoją teoryę do słów ewanielii, kroczył już dalej Słowacki własną drogą, starając się jednak, ile możności, iść równolegle z Mojżeszową Genesis. Gdzie mu przy budowie teoryi brakło jasnych, wyraźnych wiązań myśli, tam braki tę zakrywał z łatwością wspaniałemi poetyckiemi obrazami.

Tak więc duchy zawarte w Słowie istniały jeszcze przed wszelkiem stworzeniem, nieobleczone w żadną formę. Duchy te zażądały kształtów od Boga i otrzymawszy pozwolenie, jedne obrały sobie za formę światło, inne ciemność. Pierwsze rozpoczęły pracę swoją, pracę form, na słońcach i gwiazdach, drugie na ziemiach i księżycach. Była już w nich wtedy troistość: każdy duch składał się z ducha (który w tym razie zapewne miał tylko znaczenie pierwiastku intellektualnego) miłości i woli, a pierwszą taką trójcą był duch samego poety. Przez miłość i wolę wydobyły one z siebie, albo raczej stworzyły magnetyzm, elektryczność i cieplik. Ogień powstał inaczej: był on skutkiem kary za lenistwo ducha. Ducha, który się z drogą twórczości rozminął, Bóg ukarał walką sił wnętrznych i »nie światłem już, ale ogniem niszczycielem błysnąć przymusił«. I odtąd duch ciągle pracuje, ciągle własną myśl nową zamienia w kształt, który staje się prawem; duch poddaje się temu własnemu prawu, aby stanąwszy na tym fundamencie, nowe wyższe obmyślać drogi.

Więc już w skałach »leży duch jako posąg doskonałej

piękności, uśpiony jeszcze, ale już przygotowany na człowieczeństwa formy, a tęczami myśli Bożej spowity niby sześcioraką girlandą«. Stamtąd to, z tak głębokiej przeszłości sięga matematyczna wiedza człowieka. Ale tego, co nazywamy śmiercią, czyli »przejścia ducha z formy do formy« nie było jeszcze wtedy. Nie znały jej kryształy, »pierwsze niegdyś ciała ducha naszego«, odpowiadające w dziejach ludzkości Egipcyanom, którzy »ruchem pogardzili, a w trwaniu i spoczynku rozmiłowali się jedynie«.

Ale nadszedł czas, kiedy duchy dla uzyskania doskonalszego żywota ofiarowały się na śmierć, i ta pierwsza ich ofiara, spełniona przez ducha, który zapragnął być ślimaczkiem, była już niby obrazem ofiary Chrystusowej i nagrodzoną została darem, którego natura martwa dotychczas nie posiadała: organizmem, i odtąd duchy posiadły cudowną moc odtwarzania podobnej sobie formy. I odtąd to nastąpiło nieskończone przeradzanie się kształtów; ale żadna forma następna nie urodziła się bez poprzedniej wiedzy Boskiej. »Tyś ducha proszącego wziął wprzódy w ręce Twoje, wysłuchałeś dziecinnych żądań jego i podług woli kształtem go nowym udarowałeś«.

Na dnie oceanu odbywały się pierwsze tajemnice organizmu. »Gąbczaki olbrzymie i roślino-płazy wychodziły z fal srebrnych; zoofity setnemi nogami stawały na ziemi, usta ku dnowi ziemnemu obróciwszy. Ślimak i ostrzyga u głazu, ojca swego, wziąwszy ciała w obronę, przylgnęły do skał, zdziwione życiem, kamiennemi tarczami nakryte«. Nowe prośby duchów i nowe ich ofiary wywoływały dalszy, doskonalszy rozwój organizacyi i oto już w podmorskiej naturze okazuje się cały pierwszy zarys człowieka. Ale walka z olbrzymiemi falami oceanu zmęczyła ducha, który przez lenistwo zapragnął spokoju i za kształt nowy, trwalszy i mniej boleśny ofiarował swój systemat nerwowy. W ten sposób powstał grzyb zoofitowy, wcielenie zleniwiałego ducha, zwróconego z drogi postępowej. A ten upadek ducha wywołał królestwo roślinne, »gdzie duch

więcej na ciało, niż na własne pracował anielstwo« i czekał zlitowania się Bożego w postaci pożaru i potopu, które też nie omieszkały nadejść.

Z objaśnieniem genezy królestwa gadów i płazów miał Słowacki więcej kłopotu, niż z objaśnieniem powstania dwu pierwszych królestw: mięczaków i roślinności. Wybrnął też z tej trudności w sposób, który jemu samemu widocznie wydawał się niedostatecznym, skoro zamiast prostego twierdzenia użył wyrażenia »zda się«. Mianowicie podług *Genesis* duch przelękniony i rozdrażniony oporem ciała, zaczął snuć w głębi morza taśmy srebrne i rozpoczął trzecie straszliwe węży królestwo. »Zda się, że kłody owych drzew spalonych zmartwychwstały same na dnie morza, rdzeń drzewną zamieniły w systemat nerwowy, myśl i serce położyły na ziemię«.

Ale za to, przeskoczywszy ten szkopuł, jak wspaniałym go zaraz nakrył obrazem! »Panie! widzę oto głowę olbrzymiego płazu, pierwszą głowę ze spokojnego morza wyzierającą, która się czuje panią całej natury, królową całej doskonałości. Widzę z jaką powagą obziera całe niebiosa, oczyma się z kręgiem słonecznym spotyka i chowa się przerażona na dnie ciemności... A dopiero po latach stuletniego węży żywota, ośmiela się ta sama głowa wyjść na potworną walkę ze słońcem... Rozwarła paszczę... syknęła i w tem syknieniu dowiedziała się o darze głosu, który miał być także pracą ducha zdobyty«. Każda nowa zdobycz wymaga ofiary, więc i owa królowa płazów »powróciła trwożna w łono wody myśląc, ażali w przeszłych skarbach wypracowanych znajduje się cokolwiek godnego, Panie, aby ci było ofiarowanem za głos, za tę pieśń czucia i rozumu, która dziś po wiekach śpiewa ci hymny i jest związkiem i hasłem duchów idących ku Tobie«.

Odtąd świat napełnia się »jękiem rodzącej się natury«, »przy sercu pokazuje się pierś karmicielka, jako pieczęć miłości matczynej«, krew się czerwieni i zamienia się w mleko, ale zarazem rodzi się ów porządek, który

»niegłębokiemu wzrokowi« sprawia »wieczne przerażenie i utysk«: nastaje »kaimostwo natury«, pożeranie jednych tworów przez drugie. Ale to, co w oczach ludzkich wywołuje przerażenie, w oczach Pana jest tylko prawem postępu, »bo przez przyśpieszenie śmierci ciał, przyśpieszał się pęd duchowy żywota, a śmierć jako prawo formy została, że tak powiem królową mask, powłok i szat duchowych i dotychczas jest marą bez żadnej rzeczywistej władzy nad stworzeniem«.

Doszedłszy do rozwiązania tej najstraszniejszej zagadki życia, poeta zatrzymuje się. On nie ma zamiaru opisywać wszystkich przeobrażeń twórczego ducha, bo duch ludzki przeraziłby się, gdyby mu Bóg pokazał wszystkie jego dzieje. Zresztą sam poeta, który tak niedawno donosił matce, że jego wiara odkryła mu wszystkie tajemnice i kładł nacisk na słowo »wszystkie«, teraz, gdy nadeszła chwila objawienia wszystkich tajemnic natury, spostrzegał, że on »zaledwo w kilku poczuciach prawdy rozweselił się przeglądając twory około niego będące, często liść trawy albo ptaszynę, która na płocie świegotała«. Ale tego tylko był pewny i ta pewność napawała go radością, że każda rzecz w naturze, do której się zwrócił, z jednej mu się idei o twórczości ducha rozwijała.

Po takiem przyznaniu się do niepełnej wiedzy, poeta w drugiej połowie *Genezis* już się nie sili na systematyczne przedstawienie łańcucha przeobrażeń, a trudność zbadania form pośrednich wiążących jedno królestwo natury z drugiem objaśnia tem, że Bóg »wszystkie te prawie pośrednie formy poniszczył, chcąc jakoby większą tajemniczością dodać naturze powagi, a zakrywszy przeszłość, więcej ducha naszego ku przyszłości skierować«. Poeta jednak nie może sobie odmówić tej przyjemności, aby, cofnąwszy się w porządku przeobrażeń, nie dać obrazu jednej z tych form pośrednich, »pierwszego jaszczura, z dziobem ptasim, z jednem skrzydłem u nogi, lecącego w Kolumbową podróż odkryć na świecie«, i wiodącego za

sobą »te straszne wybudowane przez Ducha z kości okręta, rozmiłowane w żywocie, z oczyma roziskrzonemi na pokarm, gotowe pożreć ziemię«.

I od tych potworów jednym skokiem ponad przepaściami tysiącznych przeobrażeń poeta przeskakuje do szóstego dnia stworzenia, do człowieka, a czyni to nie na to, aby się zastanawiać nad jego związkiem z najbliższymi organizmami, ani na to, ażeby snuć marzenia o jego dalszym pochodzie rozwojowym, coby się najbardziej logicznem wydawało, ale ażeby jeszcze raz zwrócić się do świata roślinnego, którego genezę scharakteryzował już był, jako skutek zleniwienia ducha, i zrehabilitować go niejako, odkrywając prace ducha, w nim ukryte, tajemniczy węzeł sympatyi, który jego, poety, duszę wiąże z tym światem.

Jest to ustęp dla charakterystyki Słowackiego jeden z najważniejszych. Wiemy, jaki był stosunek Słowackiego do przyrody; miał najczulszy, jaki się kiedykolwiek poetom dostawał, zmysł dla jej wdzięków, nawet najulotniejszych. Otóż ze wszystkich królestw przyrody najbliższem mu było i najobficiej mu dostarczało estetycznych wrażeń królestwo roślinne. Ono nie odstręczało martwotą, jak świat kamieni, ono żyło, jak człowiek, i swoim pędem pionowym podobniejsze było do człowieka od całego świata źwierzęcego; z drugiej strony, pomimo życia swego zdawało się na łaskę i niełaskę człowieka, poddawało się bez oporu jego kontemplacyi. Ono zmieniając swoje szaty, stosownie do pór roku, przedstawiało dla poetyckiego oka nieprzebraną rozmaitość barw i kształtów; ono wreszcie działało nie tylko na zmysł wzroku, a poruszane wiatrem na zmysł słuchu, ale miało osobny swój język, którym przemawiało do poety — zapach.

Ale do czasów transfiguracyi Słowacki miał dla drzew i kwiatów tylko głęboki pociąg artystyczny. Możnaby powiedzieć, że bluszczowy i kolorystyczny talent poetycki Słowackiego uczuwał tajemne pokrewieństwo artystyczne z tem wszystkiem, co było wiotkie i kwieciste w tym

świecie. Wiemy, ile to dziwnych rzeczy już młodemu chłopakowi szeptały do ucha wiotkie i białe o zielonych warkoczach brzozy podolskie. Teraz, kiedy w całym świecie roślinnym, jak zresztą wszędzie, widział pracę ducha, dawny pociąg artystyczny zamieniał się na uczucie pewnego rodzaju braterstwa, z którem spoglądał na drzewa i kwiaty, jak na młodsze swoje rodzeństwo. Szczególnie w chwilach większego podniecenia nerwowego uczucie to potęgowało się w nim do wysokiego stopnia. O takich chwilach pisał w rok potem do matki: »są dnie, że w ciągłem jestem upojeniu, w ciągłej niby harmonii z całem stworzeniem — drzewa mi się tłómaczą z tajemnic swoich — jagody usprawiedliwiają się ze swoich własności; kwiaty za swoją piękność memu duchowi dziękują — a wszystko gada dziwnym, nowym językiem rzeczy, które zapewne nie prędko inni ludzie posłyszą«...[1]).

Dlatego i w *Genezis* najwięcej uwagi poświęcił światu roślinnemu, z największem zamiłowaniem w drzewach i kwiatach szukał stanów ducha swego przed wiekami. »Nieobojętny, o Panie — wołał — jest mi kolor każdy i kształt listka każdego, albowiem odkrywa mi ducha naturę, i pracę mi własną, niegdyś w roślinie odbytą opowiada... Każdy rąbek listka, wiem, co znaczy, każdym się bowiem kształtem duch mój z pracy swojej wytłómaczył«. I rozpatrując kolejno liście ostu, dębu i róży, objaśniał naturę duchów, które je stworzyły. W stokroci widział już pierwowzór narodu, w kwiatku koniczyny początek respubliki ateńskiej, a w kwiatku grochowym, który »już skrzydlaty jak Psyche«, chce ulecieć z wątłej i kruchej łodygi — zamyślenie się ducha roślinnego nad doskonalszym organizmem, prośbę do Boga o lot motyla. Fantazya Słowackiego miała tu nieskończone pole do bujania i napełniania istot roślinnych uczuciami ludzkimi. Robią to wszyscy poeci, przymierzając świat zewnętrzny do du-

---

[1]) Listy do matki II. 243.

cha ludzkiego, ale w tem przymierzaniu szukają tylko harmonii artystycznej; on to czynił teraz nie dla tej harmonii, nie dla poetyckiego porównania, ale dla okazania identyczności swojej z całem stworzeniem, dla wyjaśnienia praw swojej wiary, w których ścisłość matematyczną wierzył głęboko.

Jakiego rodzaju rozkoszy doznawał przy tem bujaniu, najlepiej to wskazuje ustęp *Genezis*, poświęcony »jednej z małych ducha tajemnic«, którą poeta odważał się wydać »na przedwczesne może szyderstwo sądu«. Zmysł woni jest dla niego świadectwem, że duch jego przebywał niegdyś w formach roślinnych. »Uczuwszy woń róży zapominam na chwilę, jakby w odurzeniu, żądz i smutków ludzkiej mojej natury, a powracam niby w te czasy, w których celem dla ducha mego było utworzenie piękności, a odetchnienie wonią było mu jedyną ulgą w pracy i rozkoszą... A tak, o Panie, powracam niby na chwilę w dzieciństwo moje i przychodzi niby z otchłani genezyjskich wiatr orzeźwienia i młodości«.

Podawszy obraz stworzenia pierwszego człowieka, o którego cała natura »duchem przeciążona« wołała do Boga, poeta zapowiadał, że pracę ducha w ludzkości w »innych księgach opowie«, pod koniec zaś *Genezis*, uwydatniał dwa główne, zasadnicze prawa swojej wiary, objaśniające wszystkie tajemnice natury, i umieszczał jako dwa najwyższe godła na szczycie swojej budowy: 1) iż przez ofiarę duch odnosi zwycięstwo nad śmiercią i doskonali się; 2) iż wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje. A zwracając myśl ku ojczyźnie, prosił Boga, aby ta »jedyna droga rozwidnień i oświeceń« lud przez Boga »wybrany, a drogą bolesną teraz idący, do królestwa Bożego zaprowadziła«.

Co swego własnego, oryginalnego, wkładał Słowacki w ten fantastyczny gmach genezy świata?

A naprzód naczelna zasada, że wszystko przez ducha

i dla ducha jest stworzone, była, jak to sam Słowacki przyznawał, wziętą od mistrza Towiańskiego[1]). I myśl o ciągłem doskonaleniu się tworów w nieskończonym szeregu przeobrażeń, o pochodzie ducha od głazu i piasku do Bóstwa, także bezpośrednie źródło swoje miała w towianiźmie. Zresztą myśl ta, jako hypoteza naukowa, jako teorya o stopniowem przeobrażaniu się niższych rodzajów i gatunków w wyższe, już od czasów Lamarcka była dość rozpowszechnioną po świecie, a dalekie jej echa, jak wiemy, już w czasach dziecinnych Słowackiego dobiegały do Wilna. Co się tyczy zbawczego znaczenia dobrowolnej

---

[1]) Podobieństwo swojej teoryi, którą uważał za alfę i omegę świata, z teoryami współczesnych polskich myślicieli, sam Słowacki uznawał, ale w tych ostatnich widział tylko częściowe objawienia swojej idei. Oto jak swój stosunek do nich określał w jednej, bardzo ciekawej notatce: (Rkps. Bibl. Oss. 1792, nr. 2, k. 38). »Tę samą ideę, lecz w częściach tylko, reprezentują inne duchy już objawione — Mickiewicz, autor *Nieboskiej*, Bukaty, Królikowski, Towiański, Libelt. Mickiewicz jako geniusz, uderzony cudownością fenomenów... skrzydła Ibisowe tej idei ubóstwiający. Autor *Nieboskiej* błyskawicami własnej myśli jest do niej prowadzony a z największą niecierpliwością syntezy przez nią danej oczekuje. Bukaty twardo i logicznie bryłowatym ją zna sposobem i nią algebraicznie świat rozwiązuje. Królikowski z prostotą dobrego mieszczanina krakowskiego do Chrystusa się uciekłszy, od Chrystusa jej dostał w kształcie katechizmu i moralnej nauki. Towiański zaś jako szlachcic filozof, który może najcałkowiciej ją mieć powinien, a w objawieniach umyślnie początki jej genezyjskie lecz logiczne dowolną Indyanizmu metampsykozą pobrudził, a miasto celów ostatecznych, z potrzeby widać, za cel ukochanie woli Bożej położył, sam się objawicielem tej woli, a zatem wodzem postawiwszy... Libelt ostatni, nie tworzyciel w niej, ale już pracownik. Oto są dotychczas jedyne duchy, które tworzą pierwszy prawdziwy szereg nowych ludzi w Polszcze i przyszłość jej budują... Inni są, aby bawili docześnie naród, sami się bawiąc bawieniem narodu... Szanowne bardzo istoty, lecz na teraz wcale niepotrzebne, dlatego też... przycichli, niby ptaszyny, czując a nie rozumiejąc... że nad głowami oto narodu tworzy się i zawichrza burza przyszłemi piorunami ciężarna... Ci wszyscy proszą prawie, aby dawne słońce wróciło — i słonecznych łąk kwiateczki znów zrywać było wolno«...

ofiary, to idea ta tkwiła w chrystyanizmie, a na parę lat przed napisaniem *Genezis* kładł na nią pewien nacisk w swojej *Polsce Chrystusowej*, Ludwik Królikowski, o którym Mickiewicz w trzecim kursie wykładów mówił, że »za najpierwszy warunek postępu na drodze duchowej kładzie on ofiarę« [1]. W końcu należy zwrócić uwagę na to, że i w pismach Saint-Martina mógł Słowacki znaleźć myśl podobną, myśl, że przez naśladowanie ofiary Chrystusowej, to jest przez dobrowolne poświęcenie istoty naszej ziemskiej i śmiertelnej, dusze zbliżają się do ostatecznego celu swoich dążeń, — do połączenia się z Bogiem [2].

Ale ani Towiański, ani Mickiewicz, wierząc w pochód ducha od głazu do bóstwa, nie myśleli przenikać dróg tego pochodu, zajęci sprawą doskonalenia się ludzkości. To, co Towiański niekiedy nadmieniał o przechodzeniu dusz, tego pochodu wcale nie wyjaśniało, bo było samo bardzo niejasne i w istocie coś miało z indyjskiej metampsychozy. Z drugiej strony idea ofiary jako dźwigni postępu, tak u Królikowskiego, jak i gdzieindziej, nigdy nie była stosowaną poza obrębem sfery ludzkości. Otóż oryginalnym pomysłem Słowackiego w *Genezis* było zastosowanie tej idei do wyjaśnienia pochodu ducha przez wszystkie królestwa natury do coraz wyższej doskonałości, niejako uchrześcijanienie całej natury przez wprowadzenie głównej idei chrystyanizmu, jako stałego odwiecznego ogniwa w łańcuchu przeobrażeń. Naturalnie ten pomysł podyktowała mu fantazya, był to rodzaj prozopopei poetyckiej, ale dla poety ta prozopopeja stawała się aktem

---

[1]) Lit. słow. III, 179. U Królikowskiego (Polska Chrystusowa, Paryż 1842, str. 14) najbardziej znamienny ustęp brzmi: »Kto jest wyznawcą Chrystusowym, naśladuje Go wiernie; a kto go naśladuje, nie żyje dla siebie samego, ale się poświęca dla zbawienia powszechnego swoich braci, jak to Chrystus Pan czynił«.

[2]) Ministère de l'homme-esprit. Ob. Ad. Franck, La philosophie mystique en France. Saint-Martin et son maitre Martinez Pasqualis. Paris 1866, str. 183—184.

wiary, żeby zaś za jej pomocą można było obalić »mądrość teraźniejszą świata«, nie odwracał się on od badań naukowych, i owszem korzystał z latarni, którą uczeni »w ciemnych podziemiach« nauk przyrodniczych zostawili i dzięki giętkości swojej wyobraźni umiał wszystkie badania uczonych do swojej idei naginać.

Drugim oryginalnym a godnym zaznaczenia poglądem Słowackiego w *Genezis* jest pogląd jego na walkę o byt, nazwaną kaimostwem natury. Już wyżej cytowałem ustęp, w którym poeta uwydatniał dodatnią stronę tego kaimostwa: przyśpieszenie duchowego pędu żywota. Teraz chcę pokazać, jak Słowacki wyjaśniał przyczynę tego zjawiska. Przyczyną jest, że duch wysłużywszy sobie kształt doskonalszy, uczuwa niższość porzuconej formy, pogardza nią i stara się ją zniszczyć, pożerając. Ale poeta nie mógł poprzestać na tem wyjaśnieniu, które było poniekąd rozgrzeszeniem kaimostwa i dodał, że to ostatnie było »szkodliwe wyższemu duchowi, albowiem łączyło go z duchem niższej natury«.

Na jeszcze jedną rzecz w *Genezis* chcę zwrócić uwagę, a to mianowicie na zakończenie, w którem poeta chciał powiązać teoryą wszechbytu ze sprawą ojczyzny i zaznaczyć swoje stanowisko patryotyczne. Słowacki wyrażał tu przekonanie, że na *Genezis z Ducha* »stanie ugruntowana przyszła wiedza święta Narodu jego, a w jedności wiedzy pocznie się jedność uczucia i widzenie ofiar, które do ostatecznych celów przez ducha świętej ojczyzny prowadzą«. Znaczyło to, jak się zdaje, tyle, że *Genezis z Ducha* przyjęta przez naród polski, nada mu wśród ludzkości wyjątkowe stanowisko ludu wybranego, sprowadzi weń harmonię wewnętrzną i wskaże drogę na przyszłość. Jednem słowem *Genezis* miała nie tylko obalić wszelką mądrość teraźniejszą, nie tylko objaśnić wszystkie zagadki świata, ale i przynieść rozwiązanie sprawy polskiej. Ale poeta na tyle miał jeszcze trzeźwości, że wątpił, aby ta jego księga zaraz mogła być uznaną przez naród. Dlatego jej nie

ogłaszał drukiem[1]); dlatego pisał w *Beniowskim* w owych czasach:

> Kiedyż, o boży zwiastunie,
> Gołębiu, który szepczesz mi do ucha
> Te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę,
> Że Polska to usłyszy, co ja słyszę!

Sam zresztą widział w swojem dziele pewne ułomności, ale tylko pod względem formy. Świadczy o tem po dany w przypisku szkic przedmowy, świadczy także inna notatka własnoręczna Słowackiego z czerwonej książki jego zapiskowej, notatka, już raz wspomniana, która wprawdzie nie wymienia *Genezis*, ale najwidoczniej do tego utworu się odnosi. Brzmi ona: »Dzieło to jest owocem

---

[1]) Były jednak chwile, w których się nosił z myślą wydrukowania *Genezis*. Dowodzi tego np. brulion przedmowy, zawarty w czerwonej książce zapiskowej (k. 78). »Drukuję to dziełko nie dla sławy ani dla zaspokojenia miłości własnej, bo ta możeby zyskała, gdybym w tajemnicy zachowując źródło idei, został przy poetycznej formie. Drukuję zaś jedynie dlatego, że wszedłem był między ludzi, którzy jak sądziłem tę jednę ze mną ideę wyznawali... a których czynności teraz pokryte tajemnicą, a mnie niewiadome przez brak szczerości względem narodu, uchybiają świętej ojczyźnie naszej i szkodzą tej idei, która, sądzę, jedynym skarbem i fundamentem wszelkiej naszej na przyszłość nadziei... Aczkolwiek błahym i niedostatecznym wykładem tej filozofii ducha nie wiele pomogę, sądzę jednak, że przyprowadzenie jej do jedności... to jest do formuły jednej a tak prostej, jak owo w systemacie gwiaździarskim: słońce stoi a świat się obraca... już będzie ogromnym krokiem w sprawie rewolucyjnej świata nowego... A choć, powtarzam, budowa nie odpowiada wielkościom tej przyszłości, dla której chciałaby stanąć kościołem, to przynajmniej uzyska, że odtąd przeciwnicy prawdy i wrogi wszelkiego duchowego ruchu w narodzie, nie będą już mogli szkodzić idei, kładąc na karb jej to, co było fałszem, pomyłką albo oszukaństwem sektarzy, którzy tą ideą złączyli się... a daleko wszakże od prawdy czystej, wolą i rozumem, jak sądzę, odstępują... Oto jest jedyne tłómaczenie przed narodem, którego uznam zawsze sędzią czynów moich, a który mię po królewsku nagrodzić może, jeśli ufność cierpliwą pokaże względem sługi swego i dziecka swego«...

dwuletniego stanu nadzwyczajnej egzaltacyi i myśli ciągle przez ów czas zwróconej ku Bogu i ku źródłom wiedzy... Napisane jednym ciągiem pióra, jednym tchnieniem modlącego się ducha, ale rozważone głęboko, a często dyktowane wyraźnie przez samą świata i form widzialność, uchybi może formą, ale bronić się będzie prawdą i jednością idei, wszystko tłómaczącej. Wszelka więc niedoskonałość formy na pismo spadnie... i będzie mu wieńcem cierniowym, aż prawda sama siebie broniąca i pamięć późną pisarza obroni« [1]).

Że zaś do końca życia poety *Genezis* w oczach jego nie utraciła epokowego znaczenia, jakie jej przypisywał, świadczą o tem słowa ks. Szczęsnego Felińskiego, który znał poetę w ostatnich chwilach jego życia i był powiernikiem jego wynurzeń. Do rękopisu *Genezis*, własnoręcznie przez poetę przepisanego, dołączył on kartkę z takim napisem: »*Genezis z Ducha*, pismo zdaniem autora najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał; zawiera bowiem alfę i omegę świata«.

[1]) Rkps. Bibl. Oss. 1792, nr. 2, k. 16. *Genezis* w istocie wymaga obrony od sądu Piotra Chmielowskiego, który nie umiejąc odczuć poetyczności zawartej w pomyśle utworu i jego pojedyńczych ustępach, tak pogardliwie zawyrokował o nim: »Niestety! z długiego szeregu wyrazów i okresów, zawartych w tej »modlitwie«, częstokroć niepodobna uchwycić ani jednej odrobiny zdrowego sensu, którymby zwykły nasz rozum mógł się posilić i odświeżyć na dalszą wędrówkę po tym labiryncie fantastycznych rojeń i spekulatywnych medytacyj«. Studya i szkice. Serya druga, Kraków 1886 (Juliusz Słowacki Towiańczykiem) str. 248. Myślę, że podana przezemnie analiza będzie do pewnego stopnia sprostowaniem owego sądu.

ROZDZIAŁ XVII.

Fragmenta mistycznych dramatów.

Samuel Zborowski. — Fragment powieści o Heliaszu. — Eolion i Atessa. — Znaczenie Lucyfera. — W sądowej sali niebios; proces Zborowskiego z Zamojskim. — Związek między dwiema częściami dramatu. — Uwielbienie dla *liberum veto*. — *Agezilausz-Agis*. — Związek między bohaterem dramatu a poetą. — *Zawisza Czarny;* zmiana pierwotnego planu. — Dramat na tle dziejów Wielkiego Nowogrodu.

Złożywszy w *Genesis* swoją filozofię natury, Słowacki miał przed sobą do napisania »inne księgi«, w tamtej zapowiedziane, a które miały być filozofią dziejów ludzkości. Ale z tem się nie śpieszył; to już były rzeczy dla niego mniej ważne, to było już tylko zastosowanie klucza genezyjskiego do historyi. Przytem proza go nie nęciła; ucho przywykłe do rytmów i rymów domagało się formy poetycznej, nałóg dramatyzowania upominał się także o swoje. A do pisania zachęcała, a może nawet zmuszała, coraz głębsza samotność, w którą pogrążał się Słowacki od czasu zerwania stosunków z Towiańczykami. Samotność ta, jakkolwiek przy drażliwej naturze poety była dlań zwykle jedynem schronieniem od przykrości, — gdy się zanadto przedłużała, stawała się nieraz przygniatającą, szczególnie gdy jej nie ożywił list z domu. Właśnie niebawem po powrocie z nad morza, nie otrzymując długo listu od matki, skarżył się przed nią Słowacki (2 paźdz. 1844), że ma »ciężką i samotną drogę«, a i w następnym liście (8 paźdz.

1844), niby nie skarżąc się, pisał: »Bóg widzi, że go nie proszę o żadne ziemskie szczęście, jako zachętę do lepszej służby... ale proszę go, aby moich miłych strzegł i bronił, abyś ty nie cierpiała, proszę go... Wszystko inne niech idzie jako chce, niech się fala ludzi zbliża do mnie albo się oddala odemnie, to mnie bynajmniej nie trwoży; we wszystkiem wytrwałości trzeba: a cóżby to było, aby poświęcenie się i czystość miała być zaraz widomie na ziemi dziennie płacona« [1]). I w tym samym liście donosił matce, że »pracuje«.

Tą pracą były najpewniej dramata, które doszły do nas w znacznych fragmentach: *Samuel Zborowski*, *Agezylausz*, *Zawisza Czarny*, *Z dziejów Wielkiego Nowogrodu*. Prawdopodobnie rzeczy te nie były nigdy przez poetę wykończone, a nie mamy nawet pewności, czy były pokończone. Nie wiemy też, jak je chciał ponazywać, bo z tytułów tylko co wymienionych, jeden tylko, *Agezylausz*, pochodzi od Słowackiego, a i ten wygląda, jak pomyłka, bo imię to należy do osoby podrzędną rolę odgrywającej w dramacie, głowną zaś osobą jest Agis.

Najobszerniejszym z tych fragmentów i najgodniejszym uwagi jest fragment, znany p. t. *Samuel Zborowski* [2]). Składa się on z dwu części, prawie równych rozmiarami, ale treścią nader luźnie związanych i tylko druga część fragmentu miałaby prawo do tytułu, który nadano całości. Pierwsza jest nasycona mistyczną filozofią natury, zawartą w *Genesis* i prawdopodobnie napisaną była prędko po tej ostatniej.

Zdaje się, że poeta, wstrzymując się z ogłoszeniem tego, co uważał za alfę i omegę świata, chciał przedtem

[1]) Listy II, 210.

[2]) Drukowany w r. 1901 w odcinku *Słowa* warszawskiego, począwszy od numeru 156 z dnia 11 lipca. Wydanie to oparte na kopii, różniącej się od zachowanego autografu. Z autografu wydał *Samuela Zborowskiego* dr. H. Biegeleisen w roku 1903. Warszawa. Jan Fiszer.

niektóre promienie genezyjskiego słońca wprowadzić do formy powieściowej lub dramatycznej, aby w ten sposób publiczność polską pociągnąć ku nowej nauce i przygotować do jej pełnego ukazania się. »Zbliża się straszna chwila, że ten świat ma być rozjaśniony słońcem wiedzy... Kto nie wytrzyma blasku — temu czaszka błyskawicami rozerwana rozleci się na kawałki — i będzie na łańcuchu w domu waryatów... a ja, o męczarnio! skazany jestem na urągowisko małych i głupich«. Od tych charakterystycznych słów zaczyna się fragment pewnej próby powieściowej Słowackiego z owych czasów [1]). W tym fragmencie, na tle życia krzemienieckiego, jako główna postać występuje Heliasz, syn biednej wdowy, »która na synu swoim położyła całą nadzieję żywota... a nie wie, że ten człowiek jest świętym wieku«, że posiadł słońce wiedzy, i która uważa go wraz z innymi ludźmi ze swego otoczenia za obłąkanego.

Łatwo odgadnąć, że w Heliasza włożył poeta siebie, swój stosunek do matki i do »teraźniejszej mądrości świata«. Otóż ten motyw osobisty wprowadzony jest także do pierwszej części *Samuela Zborowskiego*. Bohaterem jest tu syn Księcia Poloniusza, młodzieniec-marzyciel, mający stosunki z duchami, przeczuwający dawne żywoty swoje, tęskniący do siostrzanej duszy Atessy [2]), z którą niegdyś razem w grobowcu Luxorskim był złożony. Jego ojciec Polonius jest przedstawicielem gruboskórnego świata zdrowego rozsądku, niezdolnym zrozumieć duchowego nastroju swego syna i stąd wielce zaniepokojonym jego stanem psychicznym. Radzi się więc doktorów i mędrców, przedstawicieli »teraźniejszej mądrości świata«, o syna, i ci nie znajdują lepszej rady nad postawienie synowi baniek.

Następnie Eolion na rozkaz duchów zjawia się w ja-

---

[1]) Z autografu Juliusza Słowackiego. Warta 1882. Nr. 441.

[2]) Przypominam, że tem dziwnem imieniem nazwał był poeta swoją muzę we fragmencie *Poeta i natchnienie*.

kiejś okolicy skalnej, gdzie się spotyka z dziewczyną, w której poznaje znajomość swoją z dawnych żywotów, Atessę. W rozmowie z nią charakteryzuje on siebie w ten oto sposób, dobrze malujący gorączkowo-mistyczny nastrój samego poety:

We mnie jest moc płomieni,
Co rozerwane zwiążę.
Nie wiesz ty, gdzie ja dążę,
Nie wiesz ty, co ja stworzę.
Dziecko ja jestem Boże,
Idę, gdzie przeznaczenie.
Wiatr świszcze... i odrywa
Ze mnie wielkie płomienie.

A mędrcowie na widok pięknej dziewczyny zapytują siebie:

Czy go piękność taka nie uzdrowi?

W dalszej scenie Eolion z dziewczyną zbliżają się do zamku księcia Poloniusza; wtem kłoda, przez którą przechodzą nad przepaścią, załamuje się pod nimi i oni wpadają w przepaść, co wywołuje lamenty księcia. Następuje zmiana sceny, przenosimy się do królestwa podwodnego Oceanid i od Nereidy dowiadujemy się, że owa dziewczyna, co w przepaść wpadła, to jej córka, Heliana, pierwsza umarła pod wodą »na pierwszym krzyżu, który w pierwszej był naturze«, a więc dostaje się jej ten zaszczyt, który w *Genesis* stał się udziałem ślimaczka. Zjawia się i Heliana w towarzystwie Lucyfera, który przyznaje się, że to on był przyczyną katastrofy, on zamienił się w kładkę, aby załamać się pod idącymi. Dlaczego to uczynił?

Bo nagle duch w nich młody przestał kłamać
I już dochodził tajemnic żywota.

Jednakże nie jest to tylko zwyczajny zły duch, jakby z tych słów jego i z imienia sądzić można było. Kto jest Lucyfer, dowiadujemy się trochę od Amfitryty, która się tu zjawia i przypomina Lucyferowi jego dawne dzieje

z »Iliady płazów«, z »historyi otchłani«, a jeszcze więcej od Dyany, która lituje się nad Lucyferem.

Boża nad nim ręka
Ciężyła srogo — to mój brat kochany,
Lecz biedny, cała ziemia jest powieścią
Jego żywota.

Sam zaś Lucyfer przypomina sobie, jak był jaszczurem z myślą o skrzydłach smoka, a więc takim, jakiego odmalował poeta w *Genesis*. Jest to więc jeden z twórczych duchów ziemi, ale taki, o którym powiedziano w *Genesis*, że zdaje się tworzyć w rozpaczy, nieprzekonany jeszcze o własnej mocy i twórczości i stąd popada w potworność. Był też on wyłączony od udziału w stworzeniu wszystkich form ostatnich, »wszystkich harmonii bratnich — mających za cel człowieka«, które to zadanie szóstego dnia stworzenia poruczone było Dyanie i Helionowi. Spotkało go więc upośledzenie, ale dlaczego? Odpowiedni ustęp w *Genesis* nie wyjaśnia tego, owszem uroczyście spuszcza na to zasłonę tajemnicy. »Jakiż duch, o Panie, był piątego wieczora owym Noem, który do arki zbudowanej nie wpuścił jaszczurów i słoniów olbrzymich, ale zebrał twory będące teraz w harmonii i jedności... kształty, które wypracowały formę ludzką? Tajemnica ta zakrytą mi jest, o Boże; widzę wszakże w tem osobistą wolę twoją i położenie ręki twojej na świecie, którąś dopiero w dzień ostatecznego przymierza z człowiekiem odjął z przyciśnionej natury, zostawiwszy jej prawa własne, a człowiekowi podług tych praw twórczość i wolność ducha«.

Tak więc Lucyfer, jest to duch twórczy, ale upośledzony, a choć poeta zdaje się napomykać, że to ten sam duch, który był wężem w raju a Iskaryotą w czasach Chrystusa, to jednak nie maluje go zupełnie czarno, przedstawia raczej jako nieszczęśliwego, niż winnego. W dalszym ciągu dramatu staje się Lucyfer jeszcze mniej zrozumiałym. Rzecz znowu dzieje się w zamku księcia Poloniusza, który, jak się dowiadujemy, wskutek wiadomej katastrofy

dostał obłąkania. Ale cóż to jest obłąkanie? Lucyfer wie, co ono znaczy i dziwi się, że ludzkość nie rozwiązała dotychczas tej zagadki.

Że też nikt, widząc waryata,
Nie trafił na tajemnicę
Ducha i całego świata,
Że te straszne błyskawice
Dusz nie odkryły wszystkiego!

Z tych słów i z tego, co Polonius obłąkany mówi, rozwiązanie zagadki, jak się ono w umyśle Słowackiego przedstawiało, staje się dla nas jasnem. Obłąkanie jest to zmiana duchowego lokatora w ciele, wejście do ciała jakiegoś innego ducha, niż ten, który je dotychczas zamieszkiwał. W ciało Poloniusza wchodzi duch wielkiego hetmana, Jana Zamojskiego, stąd książe ten zaczyna bredzić o swojej sprawie z Samuelem Zborowskim, nie nazywając ani siebie, ani jego, ale mówiąc, jak kazał »ściąć szlachcica«, jak się ten szlachcic »gdzieś z Kozakami po morzu bałuchał«, jak go »zajechał w ognistej ulicy« i t. d. Nikt tego nie rozumie z wyjątkiem Lucyfera, który prezentuje się obecnym, jako Bukary, i odtąd pod tem występuje nazwiskiem.

Doktor widzi w księciu tylko mózg ruszony i nie robi żadnej nadziei na uzdrowienie, biskup przez przychylność dla pobożnej rodziny księcia przysyła dwóch braciszków dla pilnowania obłąkanego: księdza teologa i księdza logika. Są to księża szczerze wierzący, a przytem naiwni. Bukary-Lucyfer pije z nimi, baraszkuje, żartuje z nich, pyta, czy wierzą w duchy i zapowiada ich zjawienie się, a w szczególności jednego, którego zewnętrzną postać tak opisuje:

Byście mogli widzieć jego ciało,
Opiszę wam: Otyły, wielki, w delię białą
Ubrany, z koralowym płaszczem na ramieniu;
Przy szabli, — co ja mówię – przy wielkim płomieniu
U boku; z szyją grubą cokolwiek i tłustą,
Która dziś może będzie obwiązana chustą,

Chociaż zwykle za życia gołe nosił gardło;
Z twarzą smętną i groźną, chociaż obumarłą;
Pełny skier biegających po białek przezroczach,
Patrzący na was jak trup —

Tak wygląda duch Samuela Zborowskiego, który też niebawem zjawia się, przechodzi przez salę i wchodzi do sypialni księcia, widocznie, aby zabrać stamtąd ducha kanclerza.. Wśród tego odzywają się głosy duchów: Janie! Samuelu! Wchodzi potem Eolion, tym razem nazwany przez poetę Helionem, pyta strwożonych braciszków o zdrowie ojca i dowiaduje się, że ojciec umarł.

Taka jest treść pierwszej połowy fragmentu, podzielonej przez wydawcę na 4 akty.

W drugiej połowie, która stanowi jedną wielką scenę, znajdujemy się w krainie nadziemskiej. Wśród amfiteatru niebios odbywa się sąd, któremu się przysłuchuje cały wszechświat i złote gwiazdy, jeżeli się im coś podoba w procesie, jak ciekawe panie, które się na galeryi sądowej usadowiły, klaszczą w dłonie. Woźny tego wysokiego sądu wywołuje sprawę Samuela Zborowskiego z Wielkim Kanclerzem, Janem Zamojskim. Samuel sam jest instygatorem w swej sprawie i trzymając swój łeb w garści, woła:

Ja, com ojczyznę włonił
I całą nosił w sobie,
Leżę w skrwawionym grobie
Żadną w narodzie wzmianką
I chwałą nieuczczony.

Kanclerz z góry traktuje antagonistę i chce go zmiażdżyć przymierzając swoje zasługi do znaczenia jego osoby:

Kto mię oskarża?
Jakiś buntownik, któremu łeb ścięto!
. . . .
Więc niechaj wszystkie te sztandary zniosą,
Które ojczyzna ma odemnie w hołdzie,
A przed człowiekiem, co łeb krwawy niesie,
Pójdę, a skryję się, jak w czarnym lesie,
W tym lesie chwały...

A w dalszym ciągu zarzuca Zborowskiemu, że mu »jak kot wszędzie skakał w oczy« i piekł go »jakąś zaporoską sławą«. Ale Samuel Zborowski nie traci fantazyi; sprawa jego nie jest osobistą i nie przed ziemskim jakimś trybunałem wytoczoną:

I oto widzisz, jest przed Bogiem sprawa,
I oto widzisz... bo nie o mnie chodzi,
A o tę myśl, co narody rodzi,
A była we mnie twoim mieczem ścięta.

Jako adwokat Samuela występuje Bukary, dawniej Lucyfer, jedyna osoba, która wiąże drugą część fragmentu z pierwszą. Ale dlaczego Bukary właśnie jest adwokatem? Czy nie dlatego, że był upośledzony w dziejach ziemi, podobnie jak Samuel na arenie dziejów Polski? Może, ale poeta nie wyjaśnia tego. W każdym razie Samuel przyjmuje ochoczo obronę Bukarego i woła: *Hic advocatus cordis mei... hic est!*

Bukary jednak nie odrazu podejmuje się tej zaszczytnej roli. Zwraca się on przedtem do nadziemskiego amfiteatru i wzywa: jeśli jest kto, który więcej cierpiał od niego,

Jeśli kto twardszą był nad piorun skałą,
Jeśli w kim serce wzgardą głośniej grzmiało itd.

niech stanie, Bukary głos mu odda. I oto zjawia się taki, jest nim *Ja*, a więc sam Słowacki miesza się do sprawy, wytoczonej przed sąd Boga, a przyznając się w ten sposób do moralnego pokrewieństwa i z Bukarym-Lucyferem i z Samuelem Zborowskim i podejmując obronę tego ostatniego, nie zaniedbuje potrącić i o własne krzywdy. Przedewszystkiem chodzi mu o to, aby wykazać ważność sprawy, jej związek z dziejami świata, chce więc rzecz wywieść *ab ovo:*

Od wieków w Bogu było Słowo,
A myśmy w Słowie byli jako Bogi,
A przez nas forma jest.

Z pozoru sądząc, niema to związku ze sprawą Samuela, ale *Ja* przeczy temu:

Przeczę,
A to na prawdy wywiodę źwierciadło,
Że nie o głowę — bo sto głów upadło
Niesprawiedliwie; nie o jego łono,
Bo mnie na świecie gorzej gdzieś raniono
W serce, a przecież nie dochodzę sprawy,
Że nie o jego ród, bo większej sławy
Jest oskarżony, niźli oskarżyciel, —
O cóż więc staję tu ja, jego mściciel,
A Pan mściwości mej miłośnie słucha?
O cóż ja staję tu? O jego ducha
Staję, przez który duch szła Polska w górę,
A to niejako przez formy strukturę
Mądrą na wielkim świecie stać się miało,
Że nowa forma boska nowe ciało
Narodu stworzyć musiała na ziemi[1].

Ja nie kończy, a Chorus mówi o nim, że upadł, że jakaś mogiła (czy nie narodu?) »ciąży mu zawsze, na ducha upada«. Wskutek tego wypadku adwokat Bukary wraca do swojej roli. Mówi on adwokackim językiem, łaciny używając, i broni Zborowskiego w sposób niełatwy do zrozumienia. On postawił »nową ducha świecę«, »może się nazwać boskim chorążym«; do niego, o ile można zrozumieć, odnosi się twierdzenie: »ten duch stworzył miłość ojczyzny«. Wogóle adwokat mówi długo i mętnie, a jeżeli w galeryi niebios złote gwiazdy klaszczą, jak o tem jakiś głos uwiadamia, to chyba dlatego, żeby otrząsnąć się z senności wywołanej obroną sądową.

Są jednak w dalszym ciągu obrony ustępy godne uwagi, zdolne obudzić ciekawość niebieskich słuchaczek i naszą także, zwłaszcza że ustami adwokata nieraz znowu przemawia jakby sam poeta. Mówi on tu o niektórych

[1]) P. Biegeleisen niesłusznie cały ustęp powyższy wkłada w usta Lucyfera. W autografie niema wskazówki, kto mówi, ale ze związku myśli należy dorozumiewać się tu dalszego ciągu tego, co *Ja* mówi.

widzeniach Śgo Jana, więc o niewieście w słońce obleczonej, z księżycem pod nogami i koroną z dwunastu gwiazd na głowie, która podług poety tym razem miała być proroczym symbolem Polski [1]), i o cudownem mieście, które widział Jan święty i opisał przy końcu Apokalipsy, a które jest symbolem królestwa Bożego na ziemi.

Czy myślisz, że mi braknie dokumentów
Na intromisyą do takiego grodu,
Jeśli spokojną? A jeśli na czele
Chcę wjechać z mieczem mojego narodu
I z sztandarami następować śmiele,
Szablami rąbiąc owe perły święte,
Myślisz, że świętych zabraknie mi szabel?
A jeśli zechcę sam i bez karabel
Tylko przez pieśni ogromne, natchnięte
Pioruny, co mi kruszą całą duszę,
Kruszyć te bramy, myślisz, że nie skruszę?
. . . .
Polska na takiej ducha była drodze,
Polska przy celu była takim świętym,
A Polska była prawdziwa w tym ściętym,
W którym był nowy duch ludowi dany,
A jeszcze w kształtach tu nie okazany,
Z Jehowy Pana jeszcze nie dobyty.
Święty! oto jest święty — krwią okryty,
Który nam dany był dawno od Pana,
Którego krew się znajdzie w mieście Jana,
Który już teraz jest tu w mojem łonie,
Który mnie natchnął, którego ja bronię
Wobec Chrystusa pieśnią i żywotem...

---

[1]) Azaż (nie *azacz!*) nie Polska to już bez potęgi,
Taka, jaka jest w gwiazd wiecznych łańcuchu,
Która świętemu się Janowi w duchu
Ukazywała przez jutrzni rubiny?
Więc przed wiekami jej największe czyny:
Wstrzymanie słońca, zgniecenie księżyca
Pokazywała jakaś błyskawica.
(*Sam. Zborowski* w wyd. Biegeleisena, str. 128).

Pokazuje się tedy z obrony adwokata, z którego widocznie przemawia sam poeta, że ten, którego nam historya przedstawiała jako sławnego awanturnika, słuchającego tylko własnej fantazyi i lekkomyślnej ambicyi, był mężem przeznaczonym na to, aby Polskę prowadzić, a może i wprowadzić do królestwa Bożego. Jakżeż to się stało, że go zabito?

Za to ucięto jemu srebrne skrzydło,
Za to ucięto mu orłowi głowę,
Że w nim leżało wszelkie prawo nowe,
Prawo, co wolność ducha zabezpiecza.
A przy tym drugim było prawo miecza,
Więc go ściął... A ten dziś z ducha się rodzi
I prawa swego wiecznego dochodzi,
Jako duch wolny w Bogu, a nie lennik itd.

Nie można wątpić, że przez »prawo, co wolność ducha zabezpiecza«, rozumiał Słowacki *liberum veto*, i kreowanie Samuela Zborowskiego na głównego przedstawiciela tego prawa, upatrzenie w nim ideału, najlepiej wcielającego tę ideę, było wcale trafne, zgodne z jego życiem, z jego rolą polityczną, jakkolwiek nie jemu w udziale dostała się smutna sława pierwszego zerwania sejmu. Ale Słowacki chciał przez to uwielbić swojego bohatera i pokazywał niedwuznacznie, że *liberum veto* było ową drogą, która miała Polskę zaprowadzić do cudownego grodu królestwa Bożego na ziemi. I w ten sposób odkrywał pokrewieństwo swoje z własnym bohaterem, jako ten, który sam uprawiał *veto* duchowe w stosunkach z Kołem Towiańczyków, a zarazem odkrywał pobudkę, która go skłoniła do obrania takiego właśnie tematu.

Jednakże pomimo uwielbienia dla Zborowskiego Słowacki obszedł się z jego przeciwnikiem względniej, niżby się po owem uwielbieniu spodziewać można było. Adwokat Zborowskiego przyznaje, że

W tym kanclerzu była
Ojczyzny naszej powaga i siła,

Wielkie rycerstwo, czyn prędki i żywy,
A jako wiecie, człowiek był uczciwy.

To, co następnie mówi o święconem u niego, wygląda na aluzyę do Czartoryskiego i ostatniego święconego w jego domu, o którem wyżej była wzmianka. Cóż więc właściwie było tak złego w kanclerzu, że zagrodził Polsce drogę do królestwa Bożego, ścinając głowę jej »boskiemu chorążemu«? Nic innego, jak konserwatyzm.

Ten kanclerz był to jakiś duch straszliwy,
Duch tem straszniejszy, że się prawa trzyma,
Z odwróconemi na przeszłość[1]) oczyma,
A tem straszniejszy, że z ogromnem czołem,
U innych duchów ten duch był aniołem,
Albowiem trzymał zawsze miejsce przednie,
A jego rozum stał za przepowiednie,
U nas — jak lampa zagaszona swędził,
Za nami z tyłu stał — za nami pędził.

Innym był duch Zborowskiego:

ten duch miał źrenice wieszcze,
Amfitryty go wodziły po morzach
I na różanych mu przyszłości zorzach
Pokazywały — koralowe trumny.
On jednak... Cezar polski, śmiały, dumny,
Podobny dawnym rycerskim półbogom,
Przeciwko trumnom i przeciwko trwogom
Szedł naprzód, słysząc głośne bicia łona!
Nieprawdaż, krwawcze, że ci ta czerwona
Trumna zabiegła nieraz w oczach drogę
I rzekła tobie: stój! A ty: nie mogę!
O tak na sercu położywszy rękę,
Patrzajcie, o tak... i poszedł na mękę,
Choć mógł ominąć.

---

[1]) Tak jest w autografie. I w odcinku *Słowa* warszawskiego i u p. Biegeleisena wydrukowano błędnie· »Z odwróconemi na przyszłość oczyma«, co nietylko nie jest zgodne z autografem, ale się kłóci z treścią całego ustępu. Niestety, podobnych niezgodności z autografem można więcej odszukać w wydaniu p. Biegeleisena.

A Samuel, tonem człowieka skruszonego cudzem opowiadaniem o własnych nieszczęściach, przytakuje: »Wszystko prawda święta«.

Potrzeba tu jednak zaznaczyć, że Słowacki pomimo uwielbienia dla swego bohatera, traktuje go czasem w sposób wcale nie kawalerski, i ten sam adwokat, który przedtem malował Samuela Zborowskiego jako śmiałego i dumnego Cezara polskiego, jako świętego, od Boga danego człowieka, nazywa go potem w swojej niekończącej się, pełnej majaczenia i odbiegania od przedmiotu, obronie, »człowiekiem szalonym«, ba nawet »głupim«; nazywa tak zresztą, bynajmniej nie cofając nic ze swojej sympatyi dla niego.

Więc, że mój klient co? człowiek szalony,
A sprawiedliwiej jeszcze powiem: głupi.

Żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, że Słowacki w owych czasach dbał o to, aby w jego poezyi był »język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl jak potrawę ciepłą na stół podaje« [1]). Taki język graniczy z rubasznością, która w wyrażeniach nie przebiera, a której Słowacki tem mniej unikał, że chciał adwokatowi Zborowskiego nadawać staropolski koloryt; choć trzeba dodać, że nie zawsze mu się to udawało; czasem ten adwokat mówi tonem półobłąkanego a półbłazna, przypominając to szekspirowskie błaznowanie, którem i po transfiguracyi Słowacki nie przestawał lubować się.

Jakże się kończy proces? A naprzód co oskarżony odpowiada na oskarżenie? Otóż sam kanclerz nic nie mówi w swej obronie, ale zato adwokat mówi za wszystkich: za siebie, za poetę, za swego klienta i za jego przeciwnika. Oto jak mówi za tego ostatniego:

Lecz kanclerz powiada:
Cóż ja zabiłem, czy jakiego Greka,
W którym wyrocznia bogów wielkich gada?
Czy mistrza myśli, czy ludów człowieka?

---

[1]) Listy do matki II, 224.

Kogoż zamknęła ta czerwona truna,
Powiada kanclerz — czy sztuk opiekuna?
Czy akademiów zakładowcę? Gdy ja
Byłem, jak człowiek, który kwiat rozwija —
Powiada kanclerz — do jednego celu
Pędziłem czyny... i t. d...

Więc niechże się schowa
Ta jedna blada i ucięta głowa,
Przed Bożym sądem furya jakaś blada,
Na moje teraz cierpienia nieczuła,
Która przez trzysta lat tę zemstę żuła,
A teraz żółcią tutaj i krwią gada.
Chryste! To kanclerz przed sądem powiada,
A ja wyznaję, że mnie słowem kruszy,
Bo ja dla jego wielkiej, smętnej duszy
Mam łzy, jak perły wielkie. — O człowieku!
Czemuś ty w innym nie wstał jasnym wieku!

Pomimo tych łez adwokata nad losem przeciwnika swego klienta, jedynych zapewne, jakie kiedykolwiek zajaśniały w procesie, galerya niebieska, jak wszystkie galerye na świecie, źle jest usposobioną dla przedstawiciela konserwatyzmu i jakby niezadowolona z miękkości adwokata woła do niego: »Bij go słowa tęczą«. Ale adwokat na to:

Nie, nie, patrzajcie, jego teraz dręczą
Zbudzone myśli. Nie, na Pana Boga,
On nie wygląda na ojczyzny wroga,
On także zguby narodu nie żąda;
On teraz dawnych myśli twarz rozgląda,
I widzi, że go czeka przyszłość z nami,
Zostawcie więc go smętnego z myślami,
To jego kara.

Zbliża się koniec fragmentu. W ciżbie duchów, zapełniającej szafiry sali sądowej, zdaje się panować takie zamięszanie, jak w obronie sądowej adwokata i jak w intencyach i pomysłach poety. Słyszymy np. zagadkowe wołanie: Ifigenio! a w odpowiedzi, jakby wyrwany z piersi czytelnika głos: Kto to? Tak, kto woła, nie wiemy, ani

też poco pojawia się Ifigenia w tym dramacie, to jest dlaczego jej mianowicie dostaje się rozkaz, aby ducha kanclerza zaprowadziła w odludne miejsce, skąd ślepy ma słuchać różnych jęków.

> Niechaj ślepy jęku słucha,
> Niech koło niego rój jęczących brzęczy,
> A ty mu tłómacz ślepemu, kto jęczy.
> I powiedz, skąd brzmi ów wiatr rozpłakanych.

Co znaczy ten rozkaz i od kogo pochodzi? Widocznie jest to wyrok niebios wydany na kanclerza, choć autograf tego nie zaznacza. Widocznie w sprawie Samuela z kanclerzem sprawiedliwość boska przechyla się na stronę pierwszego, co zresztą i dalsze słowa jego adwokata potwierdzają:

> Z klienta mego ran pozamykanych
> I z tej światłości, co jest jemu ciałem,
> Widzę, o Panie, że sprawę wygrałem.

Czy wyrok na kanclerza wygłoszony jest przez samego Chrystusa? w tym względzie, powtarzam, w autografie panuje niepewność, ale Chrystus pojawia się potem (zaznaczony wyraźnie w autografie), aby wziąć w opiekę swoich »nowych świętych«, do których, jak wiemy skądinąd, Słowacki zaliczał i siebie.

> Święci są wszyscy nowi... kto dotknie się nowych
> Ten rękę ducha... wiecznie uczuje w płomieniach
> Ja powiadam...
> Ja przez nich czynię teraz na świecie i gadam
> A wszyscy są jak duchy w ognistych cierpieniach
> Idąc przeciwko ciała.

Co miało nastąpić dalej po scenach, które się zachowały w autografie? Czy mieli się znów ukazać Eolion — Helion i Heliana-Atessa i ująć w ramy swoich dziejów proces niebieski Zborowskiego? czy miało nastąpić co innego? czy też może poeta uważał już swój dramat za skończony? Nie mamy na te pytania żadnej odpowiedzi.

Ale są inne pytania, na które można i należy dać odpowiedź, a mianowicie, jaki zachodzi związek między pierwszą a drugą częścią fragmentu, a także między osobistością poety a jego bohaterami z pierwszej i drugiej części.

Jak już ze streszczenia wynika, druga część następuje po pierwszej bez żadnego przygotowania, bez żadnego upozorowania potrzeby przedstawienia niebieskiego procesu. Są to jakby dwa różne widowiska, postawione jedno na drugiem, bez żadnego dramatycznego węzła pomiędzy sobą. Ale zachodzi między niemi inny związek: ideowy. Oba czerpią idee swoje z jednego źródła, z *Genezis z Ducha* i to stanowi ich pokrewieństwo. Pierwsza część dramatyzuje przeciwieństwo nowej mistycznej wiedzy do starej mądrości świata, opartej na poziomym rozumie i uplastycznia niektóre momenta z dziejów tworzenia się ziemi, zawartych w *Genezis;* druga dramatyzuje przeciwieństwo między zwykłem pojmowaniem dziejów narodu polskiego i jego polityki a pojmowaniem mistycznem, wypływającem z tej alfy i omegi, jaką jest *Genezis*, a przynajmniej powiązanem z jej zasadami, i uplastycznia jeden z momentów tego różnego pojmowania w postaciach kanclerza i Zborowskiego.

Związek pomiędzy pierwszą a drugą częścią polega także i na pokrewieństwie tak bohatera pierwszej, Eoliona, jak i bohatera drugiej — Samuela Zborowskiego, z duchem samego poety. O pokrewieństwie pierwszem już wyżej była mowa, ale tu jeszcze jedną uwagę dodać należy. Bezpośrednio przed początkiem aktu II w autografie jest ustęp, który należy uważać za proroczy i wielbiący głos jakichś duchów. Ustęp ten brzmi, jak następuje:

Błogosławiona jest ta, co się zowie
Między duchami Boga — moje zdrowie,
Błogosławiona łaską nad jej synem.
Sen jego nawet jest pieśnią i czynem;
Przechodząc we śnie przedwstępne żywoty,
Do Boga idzie, jako anioł złoty.

A cóż, gdy ta pierś, co myślą zagrała,
Oblecze puklerz Anhella Michała,
Gdy na koń czynu i cudu usiędzie,
Na barkach skrzydła rozepnie łabędzie,
Umalowane tęczami po końcach,
W tarczy i hełmie jak w podwójnych słońcach,
Z kopiją w płomień Boży zakończoną,
I tak wyjedzie na łąkę zieloną,
I tak wystąpi jako anioł Pański,
Na ten kwiatkami złoty ług słowiański!
O! wtenczas kwiatki różne, małe, łączne,
O! wtenczas perły na kwiatkach tysiączne,
O! wtenczas wonie z łąk różanych wstaną
Przed mieczem jego, przed twarzą różaną,
I rzeki cofną się srebrne w korytach,
Gdy przyjdzie w zorzy ducha i w błękitach;
Lecz jeszcze nie czas, jeszcze przed nim stoją
Te sny, które go jako harfę stroją.

Żeby ten wiersz zrozumieć, trzeba naprzód rozwiązać zagadkę, od której się zaczyna, mianowicie, kto to jest ta błogosławiona, która się nazywa »moje zdrowie«. Tak nazywał Słowacki matkę swoją, opierając się na podobieństwie wyrazów, które nie było dla niego w owych czasach zwyczajną grą przypadku, ale jakąś mistyczną wskazówką. Odkrył on mianowicie podobieństwo pomiędzy imieniem matki Salomea, a łacińskiem *salus mea*, i stąd tłómaczył imię matki, jako zdrowie moje, i widział w tem jakby wskazówkę, że duch matki ma być podporą dla jego ducha. W liście do matki pisanym w czasach tworzenia *Księdza Marka*, tak przemawiał do niej: »A ty, droga, bądź prawdziwie jak imię twoje zdrowiem moim i siłą moją, co ranka pomyśl, ale bez płaczu, tylko podniesionym do Boga duchem, poczuj wolę jego, poczuj i mnie razem... i nas... łącz się z nami, a to westchnienie gorące i silne, z głębi serca, nie z rozmarzonej imaginacyi wyrwane, wiele może, niezłamanego złamie i mnie samemu doda siły... Ach i tak czuję nieraz, że ty się do Boga wznosisz i o moją pomyślność modlisz się, ale módl się o moc moją...

o przylanie mi ducha prawdziwego, a wtenczas wierz mi, że cały świat duchów ruszysz« [1]).

Otóż rozwiązawszy tę zagadkę, osiągamy pewność, że tym synem, który ściąga na matkę błogosławieństwo, którego sen nawet jest pieśnią i czynem i który »do Boga idzie jako anioł złoty« — jest sam Słowacki, a więc, że w Eoliona, do którego w dramacie ten chór widocznie się odnosi, włożył samego siebie. Czy przez sen rozumiał sny swoje rzeczywiste, którym wielkie przywiązywał znaczenie, czy ówczesną poezyę swoją, która ze snem gorączkowym wiele miała podobieństwa, czy może jedno i drugie razem? Rzecz ta nie przedstawia się jasno, sądzę jednak, że w tem, co Słowacki mówi o przechodzeniu we śnie przedwstępnych żywotów, można widzieć wskazówkę, że bohaterów, których wówczas opiewał w swoich snach dramatycznych, uważał za wcielenia własnego ducha. A więc i w Samuelu Zborowskim, i w królu Agisie IV i w Zawiszy Czarnym widział dawniejsze żywoty swego ducha, zanim fantazya jego nie zwróciła się w inną stronę i nie szukała duchowej genealogii w szeregu wcieleń Króla Ducha. Co się tyczy cudownej postaci konnego rycerza niebieskiego, trudno zgadnąć, co przez nią rozumiał poeta. Może to miał być Samuel Zborowski, może Zawisza Czarny, ale może co innego roiło się Słowackiemu. Co się tylko zupełnie jasno przedstawia w tym ustępie, to wiara poety w swoje przyszłe anielstwo i uwielbienie własne dla tego anielstwa.

Co się tyczy drugiej części dramatu, to jest to jakby próba zastosowania klucza genezyjskiej mądrości do dziejów Polski. Ale dlaczego Słowacki wybrał ten a nie inny temat? Myślę, że ciągnęła go ku temu przedmiotowi nietylko malownicza, dramatyczna jego strona, ale i instynkt, wskazujący mu pokrewieństwo jego duchowe z postacią tego banity i błędnego hetmana kozackiego, który był ty-

---

[1]) Listy II, 182.

powem wcieleniem antyspołecznego indywidualizmu w Polsce. Nakazuje tak przypuszczać przedewszystkiem ta okoliczność, że bohaterowi swemu kazał być przedstawicielem *liberum veto*, pomimo iż tragiczna siła tego prawa dopiero w kilkadziesiąt lat po śmierci Samuela Zborowskiego zarysowuje się w dziejach Polski. Otóż Słowacki uważał się za przedstawiciela tej zasady w czasach obecnych i wielkie znaczenie przypisywał swojemu *veto*, zaniesionemu przeciwko Kołu Towiańczyków, do którego więcej niż przez rok należał. Zresztą czy stosunek Zborowskiego do kanclerza nie znajdował analogii w stosunku Słowackiego do Mickiewicza? Czy Mickiewicz w oczach Słowackiego nie był kanclerzem duchowym emigracyi i nie przykładał pieczęci do jego potępienia, jak to uczynił Zamojski ze Zborowskim? Analogia sięgała jeszcze głębiej, choć jej znaczenia nie mógł należycie ocenić wielbiciel Zborowskiego; mianowicie, jak Słowacki, tak i Zborowski był wyrazem kierunku odśrodkowego, antyspołecznego indywidualizmu, obu im przewodniczyła żądza sławy i bujna fantazya, gdy przeciwnie Zamojski w stosunku do Zborowskiego, podobnie jak Mickiewicz w stosunku do Słowackiego, reprezentowali kierunek dośrodkowy, kierunek wzmocnienia sił społecznych.

Warto też przypomnieć sobie, że był czas, kiedy i Mickiewicz zwracał się do tego samego tematu i układał z niego dramat, a to w owej sławnej improwizacyi petersburskiej, którą opisał i streścił w swoim pamiętniku Mikołaj Malinowski [1]). Otóż w tym improwizowanym dramacie, sympatye swoje umieścił Mickiewicz bardzo wyraźnie po stronie kanclerza, a Zborowskiego przedstawił, jako niepoprawnego lekkoducha.

Nasuwa się pytanie, o ile restytucya uroku, jakim była otoczona »źrenica wolności« w dawnem społeczeństwie

---

[1]) Korespondencya Adama Mickiewicza. Paryż 1885. T. IV, str. 9—33.

szlachecko-polskiem, była oryginalnym pomysłem Słowackiego? Otóż na obronę Słowackiego a z ujmą dla jego oryginalności należy powiedzieć, że w uwielbieniu dla *liberum veto* miał on poprzedników i to bardzo blizkich. Jednym z nich był Ludwik Królikowski, autor *Polski Chrystusowej*, który w Chrystusie widział ustanowiciela *veto* i domagał się »Polski oswobodzonej od wszelkiego panowania człowieka nad człowiekiem, poddanej samemu tylko Bogu, a urządzonej według doskonałej miłości braterskiej«, wszystkie zaś inne pomysły jej urządzenia nazywał utopiami [1]).

Drugim i to wyraźniejszym wielbicielem *liberum veto* przed Słowackim był Antoni Bukaty, autor *Polski w apostazyi i w apoteozie*, filozof, który chciał w ślad za Hoene-Wrońskim rozwiązywać zagadnienia społeczne na podstawie matematyki i w *liberum veto* widział »wyraz straszny i zgrozą przerażający złe serca i głowy ograniczone; wszakże wyraz jedyny, wielki i imponujący, majestatyczny«... »Był

---

[1]) Królikowski do »mniemanych jednoczycieli, zbawców i przestrzegaczów jedności, porządku i posłuszeństwa« wołał, aby nie występowali »z tym bardzo nowym i gruntownym niby zarzutem, iż wszyscy razem rządzić ani panować nie mogą. Bo to zupełnie na toż samo wychodzi, jak gdyby kto astronomom kusił się dowieść, że wszystkie ciała niebieskie nie powinny na siebie wzajem ciążyć, ani przykładać się do utrzymania odwiecznej, ustanowionej od Opatrzności harmonii«. *Polska Chrystusowa*. Paryż 1842, str. 295. Rzecz jednak godna uwagi, że w projekcie urządzenia idealnego społeczeństwa, czyli Zjednoczenia, gdzie, mówiąc nawiasem, urzędnicy noszą wspaniale brzmiące tytuły: Wszemiłów, Dobromiłów, Chrystosławów, Ludosławów, Prawdosławów i tak dalej bez końca, w paragrafie 7 powiedziano, że »nad każdym Bratem zjednoczonym, Zjednoczenie — jeżeli można tego przypuścić potrzebę — ma władzę życia, ognia, miecza i śmierci, i takowej przez jednego tylko ostatniego swojego sługę używa«. Tamże 329. Jak to się godzi z paragrafem 9, który głosi, że »Zjednoczenie nie przypuszcza żadnego innego prawa, prócz Woli Boga, ani żadnej innej niewzruszonej zasady, prócz Braterstwa ewanielicznego«, tej zagadki projekt nie wyjaśnia.

to wyraz, gruntujący narodowość polską i eliminujący ją nieskończenie, wyraz absolutny, aby nauczył świat i ją samą, co to jest Dobro i Prawda« [1]).

Trzy inne fragmenta dramatyczne, które do owych czasów odnieść należy, nie mają już tak wyraźnego związku z *Genezis*, jak *Samuel Zborowski*, wszakże noszą na sobie znamiona mistycznego nastroju poety. W dramacie, któremu poeta bez żadnej widocznej racyi dał tytuł *Agezilausz*, bohaterem, jak wiemy, jest Agis, król Sparty, ten, który marzył o przywróceniu w ojczyźnie swojej dawnych praw Likurga i dawnej jej świetności i zginął młodo, dążąc do tego celu. I u Słowackiego występuje on jako taki, który ogłasza ludowi »wolność i równość i podział ziemi i uwolnienie od długów raz na zawsze«, i ginie pokonany przez przeciwne stronnictwo. Dlaczego poeta zwrócił się do tła greckiego, dlaczego mając tylu bohaterów greckich obrał sobie mniej od innych znanego i sławnego, trudno na te pytania odpowiedzieć: wiemy tylko, że postać ta zaprzątała jego wyobraźnię, jeszcze kiedy był w Szwajcaryi [2]). Natomiast można znaleźć w dramacie pewne szczegóły, wskazujące, że Słowacki wkładał w Agisa część siebie, swojego nastroju, swoich wyobrażeń i stosunków. Mianowicie stosunek poety do rodziny, w szczególności do matki, którą wszystkiemi siłami ducha pragnął nawrócić na swoją nową wiarę i w której chciał koniecznie wzbudzić ufność dla swojej nowej roli wybrańca Bożego, znajduje echo w stosunku Agisa do babki Archidamii. Ta babka rubaszna nie jest wprawdzie portretem pani Bécu, nawet takim, jak Salomea w *Śnie Srebrnym*, ale jest jednak pewna analogia między nią a matką Słowackiego,

---

[1]) Polska w apostazyi i apoteozie. Paryż 1842 str. 54—50.

[2]) W lutym 1835 pisał do matki: »Bije dwunasta godzina w nocy, zawsze się lękam odczytywać rano nocą pisanego listu. W nocy nieraz zdolnybym był zginąć, jak Agis, król Spartański. Kilka godzin snu dziwnie zmieniają człowieka, ciało bierze przewagę nad duszą i myślą«. Listy I, 282.

która tak samo nie mogła zrozumieć i pogodzić się z nowemi wyobrażeniami syna, jak Archidamia nie może zrozumieć ideałów wnuka i opiera się im z początku, póki nie zostaje »przez święte duchy wziętą i targaną«. A kiedy to się stało, Agis powiada:

Tu rzuciłem ducha.
A ta pierś jedna, cudownie otwarta,
Przywoła inne...

Podobne pragnienia żywił poeta w stosunku do matki i wiemy już jak wielką przywiązywał wagę do tego, aby matkę zdobyć dla swoich przekonań. Był też pewnym, że prędzej, czy później zdobędzie ją i właśnie w tym roku, do którego odnoszę tworzenie *Agezilausza-Agisa* (16 kwietnia 1844) pisał do niej te, cytowane już wyżej, słowa: »Zdobywcą jestem duchowym... i ty myślisz, że mi się długo opierać będziesz, że wkrótce nie porwę ciebie mimowolnie samym tylko szumem i wiatrem lotu lecących ze mną aniołów« [1]).

Jeszcze wyraźniejszy związek między poetą a jego bohaterem wskazuje inny szczegół dramatu. Kiedy przeciwnik Agisa, Leonidas, odzyskuje władzę, kiedy Agisa odstępują wszyscy, z wyjątkiem trzech, którzy pozostają przy nim na to, aby go wkrótce zdradzić i wydać na śmierć, Agis przeczuwa blizką zbrodnię, która ma być na nim spełnioną i kiedy Arcezylausz, jeden z owych zdrajców, powiada Agisowi, że jego matka i żona są już spokojniejsze, bo wierzą, że mu śmierć już nie grozi, odpowiada on:

Sen jednak miałem dziwny: — siedziałem czerwony
Jak król na wózku złotym a moim zaprzęgiem
Był pudel i dwa wróble a wiozły tak szybko,
Że ziemia grzmiała wartką się zdając i chybką

---

[1]) Listy II, 197.

W swym obrocie i cała ołowianym kręgiem
Około wozu mego okręcona... Sen dziwny!...
Bo kiedy w ten las zda się wjechałem oliwny,
Pudel zniknął a potem wróbel — a potem
Wóz mój już własnym pędem z potęgą i grzmotem
Leciał w miesiąc świecący za czarnemi drzewy,
I tylko tuż przed wozem wróbel został lewy,
I ten uciekał, niby przed wózkiem — kulawy,
Świat był czarny, powietrze czarne, mgła z kurzawy,
A jam leciał w ciemnego coś, jak duchów państwo.

Otóż ten sen dziwaczny nie był przez poetę wymyślony, ale wzięty z kroniki snów własnych, którą Słowacki w tych czasach prowadził w swojej czerwonej książce zapiskowej, stosując się do zasady wygłoszonej w dramacie, o którym mowa: »Sny dają rzeczy tajemnych widzenie«. Zapisał on tam pod datą z 14 na 15 kwietnia (1844) co następuje: »Jechałem w wózku na placu asfaltem wybrukowanym, wokoło była ciemność i niby noc dżdżysta... wózek mój naprzód pudel ciągnął i dwa wróble, potem pudel zniknął i został sam jeden wróbelek lewy, który długo biegł, jak gdyby już przed rozpędem wozu uciekając... wreszcie spadł i przejechałem go złamawszy mu nóżki« [1]). Zresztą Agis przedstawiony jest jako taki wybraniec Boży, za jakiego się miał Słowacki, i chór patrząc na tłum, który

[1]) Data snu tego może nam służyć za termin, przed którym nie mógł być dramat o Agisie napisany. Termin, przed którym był już zapewne ukończony (przynajmniej o tyle, o ile do nas doszedł) można wywnioskować z listu do matki pod datą 30 listopada 1844, gdzie poeta tak pisze: »Widzę ciebie czasem tak bolejącą, że aż surową mi się wydajesz; wtenczas ze strachem oglądam się na siebie i na moje czynności, i radbym być wielkim, bardzo wielkim... i radbym mieć jakieś twarde po rzymsku na lwach posłane łoże, aby obraz twój taki mógł z rozwartych karmazynowych firanek wyglądać i odpowiedzieć świętemu strachowi, który powinien panować w sypialnym pokoju człowieka«. (Listy II, 216). Myślę, że »święty strach« dostał się do listu pod wrażeniem jednej z końcowych scen dramatu, gdzie Agis świątynię, w której ma zginąć, nazywa »kościołem strachu«.

wlecze Agisa na śmierć, w tajemniczem widzeniu przyszłości porównywa go z tłumem Żydów, którzy Chrystusa do Piłata wlekli.

Dramat o Agisie we fragmencie, który się zachował, doprowadzony jest aż do śmierci bohatera, i zapewne bardzo niewiele brak mu, aby został całością. Ale do wykończenia brakuje wiele. Pod względem formy widać skombinowany wpływ Szekspira i greckiej tragedyi; mianowicie Szekspirowskie błaznowanie, któremu i w mistycyzmie pozostał Słowacki wierny, występuje obok posągowego stylu dyalogów i chórów greckiego dramatu. A jakkolwiek fabuła jest zrozumialszą aniżeli w *Samuelu Zborowskim*, to dramatyczności jednak tak samo prawie brak temu utworowi, jak i tamtemu. Czyny ludzkie są jakieś niejasne, martwe, a »straszna duchów robota«, jak Chór powiada, »zakryta jest ciemością«.

Trzeci dramat, który Słowacki pisał w owych czasach i który dochował się we fragmentach, ma za bohatera Zawiszę Czarnego, o którym Długosz się wyraził, iż godzien jest za swoje dzieła bohaterskie Homera samego pochwał. Już to samo mogło zachęcać Słowackiego do zajęcia się tą postacią, ale myślę, że pierwszą pobudką dla poety w tym kierunku była chęć znalezienia w dziejach Polski jakiejś postaci, którąby odpowiadała tak ukochanemu przez niego Księciu Niezłomnemu. Otóż postaci, którąby z sytuacyi swojej była podobną do Don Fernanda, Słowacki w dziejach Polski znaleźć nie mógł, ale jeżeli chodziło o główną cechę bohatera, niezłomność, to nikt się lepiej nie nadawał, jako Polak, do pary z Księciem Niezłomnym, jak ten rycerz, którego stałość tak była sławną, że uwieczniła się w przysłowiu, do dzisiaj żyjącem. Tej genezie *Zawiszy Czarnego* zdaje się przyświadczać — w niektórych nielicznych zresztą ustępach — i sam styl zupeł nie podobny do Calderonowskiego[1]), styl, który się

[1]) Np. na karcie 2 autografu w tych słowach księcia do Laury:

w innych współczesnych dramatach Słowackiego nie pojawia.

Miał więc być, jak przypuszczam, Zawisza polskim Księciem Niezłomnym, a przytem typowym przedstawicielem rycerskiej duszy polskiej, obdarzonym tą słodyczą, która już u Długosza została przy nieustraszonem męstwie zaznaczona. Miał też zostawać pod wpływem wyższych potęg duchowych, ponieważ tego domagał się mistyczny nastrój poety. Co się tyczy fabuły, to historya dawała kilka punktów wytycznych, jakimi były: udział w bitwie pod Grunwaldem, przyjaźń z cesarzem Zygmuntem i śmierć bohaterska w bitwie z Turkami i poeta skorzystał z nich, ale poza tymi punktami otwierało się szerokie pole dla fantazyi. Ta swoboda, jeżeli z jednej strony przyniosła wiele dobrego, bo pozwoliła poecie wprowadzić wiele poetycznych epizodów, z drugiej strony, dla całości dzieła, dla jego planu, miała fatalne następstwa. Ruchliwa wyobraźnia Słowackiego, korzystając z tej swobody, podsuwała wciąż nowe obrazy, wprowadzała wciąż nowe sytuacye do planu, który wskutek tego wciąż chwiał się, i jak rzeka, płynąca po szerokiej nizinie, zmieniał koryto, dzielił się na różne odnogi, aż wreszcie poeta zniechęcony tą rozlewnością fabuły i nie umiejąc zapanować nad nią, porzucił pracę nad *Zawiszą Czarnym*, nie wykończywszy jej i nawet niedokończywszy.

Wiernym obrazem tego pasowania się poety z własną wyobraźnią, tej rozlewności fabuły w *Zawiszy Czarnym*

A przysięgam... za piosenkę
Twych ust... i oczu błyśnięcie
Wyzwać stu rycerzy na rękę
Lub przedsiębrać przedsięwzięcie
Jakie mi piękność naznaczy,
Jakie twe chęci obiorą,
Jeśli pokorne — z pokorą
Jeśli rozpaczne, w rozpaczy...
Jeśli miłośne... z miłością i t. d.

jest autograf tego dramatu. Kiedy w autografach innych dramatów pośmiertnych, jakkolwiek nieraz osoby mówiące nie są wymienione, nie trudno się oryentować, a to dlatego, że sceny następują zwykle po sobie w porządku treści, w brulionie *Zawiszy Czarnego* oryentowanie się jest niezmierne trudne. Waryanty spierają się z sobą o pierwszeństwo, sceny nieraz następują po sobie bez związku, wogóle, z wyjątkiem kart początkowych, panuje chaos trudny do rozwikłania, a czasem taki, że go rozwikłać wcale niepodobna. Co prawda, do tego chaosu przyczynia się wiele i stan, w jakim się brulion obecnie znajduje; bo niewątpliwie brak mu niejednej karty ze środka [1].

Jednak z chaosu tego można pewne ogólne linie fabuły wyprowadzić. Zawisza Czarny bierze udział w bitwie pod Grunwaldem i kładzie trupem jednego z chorążych krzyżackich. Staje się przytem coś bardzo dziwnego, coś, co wskazuje na tajemną krecią robotę duchów: Zawisza dostaje serdecznego śmiechu. Jagiełło wzywa go do siebie, aby go uspokoić, a zarazem dowiedzieć się, co ten śmiech wywołało. Zawisza opowiada, że kiedy obalił komtura wraz z chorągwią na ziemię, chorągiew z krzyżem białym wypełzła z pod rumaka

I w ten trup komtura,
Królu, w trup tego krzyżaka,
W sam krzyż, w sam krzyż, w sam krzyż biały;
W sam krzyż — kopią, o tak, o tak!...

Była to robota złego ducha, zarówno jak i śmiech serdeczny, który opanował wtedy bohatera. Jagiełło poznał się na tem i wzywa starostę Sanockiego, przyjaciela

---

[1]) Fragmenta *Zawiszy Czarnego* wydane zostały w pewnej tylko części przez I. F. Rychtera; w całości, ale z pominięciem waryantów, przez Art. Górskiego w odcinku *Słowa Polskiego* (październik i listopad 1903).

Zawiszy, aby go zabrał z sobą i »gospodarnym trybem urządził jego ducha na nowo«.

Ty masz dziewczynę,
Która, jak słyszałem, w drużbie
Z Aniołami, cudownie piękne śpiewa rzeczy,
Grać uczona na złotej harfie i mandole.
Głos ten wiele duchów leczy
Z chorób.

Ale starosta sanocki, którego król chce jednocześnie posłać ze zbrojnemi posiłkami do cesarza, gotującego się do wojny z Turcyą, nie może dwóch rzeczy naraz robić i nie zabiera z sobą Zawiszy, ale posyła go tylko na kuracyę ducha do swojej córki, pisząc do niej list, w którym mamy znów do czynienia z Szekspirowskiem błaznowaniem. Zawisza przybywa na dwór starościanki Laury, albo Ławry, jak ją niby z polska sam chce nazywać, jest mile przez nią przyjęty i w rozmowie z nią zwierza się ze swoich utrapień.

Od jakiegoś ja czasu
Jestem przez ciemne duchy za ramiona chwytany,
Oczy me pełne ognia, a hełm pełny hałasu,
Szumi w nim burza jakaś, jak zhukane bałwany,
Pchane wiatrami Boga, o brzeg czarny bijące.
Czasem w oczach ogromne lazurowe miesiące
Staną, a na miesiącach krzyż czerwony zagore.
O tak!

Laura wbrew przypuszczeniom Jagiełły zabiera się do leczenia Zawiszy, którego widocznie trapią złe duchy [1]), nie zapomocą dźwięków, ale przez działanie kolorów:

Do dalszych cię pokoi
Zaprowadzę i światło przez rąbek bławatni
Przepuszczę tak, że ze mną zostaniesz niby w raju
Róż, półdyamentowy.

---

[1]) Bodaj czy tego pomysłu nie nasunął poecie przydomek Zawiszy: *Czarny*.

A wyprowadzając go, mówi do siebie, jakby wtajemniczona w mistykę poety:

Czem jesteśmy, nie wiemy,
Może rajscy, a może straszliwi piekielnicy.

Otóż taki był początek dramatu według pierwotnego planu; z waryantów i dalszych scen widać różne zmiany tego planu. Laura, córka starosty Sanockiego, z wdzięku podobna do innej starościanki Słowackiego, Anieli, staje się potem synowicą starosty, ojciec zaś jej, wzięty niegdyś w niewolę przez Turków, ukrywa się pod habitem Trynitarza. Tego ojca, litując się nad jego miłością dla córki, uwolniła z więzienia bisurmańskiego pewna młoda Maurytanka, Zoraina, a zakochawszy się w Zawiszy, towarzyszy mu wszędzie, ukryta pod suknią giermka, a imieniem Manduły. W Mandule przypomina się nam dawny znajomy, motyw bajrońsko-szekspirowski, który się tu zabłąkał, jako echo dawnych upodobań poetyckich Słowackiego. O jakiejś kuracyi duchowej Zawiszy nie słychać dalej nic wcale, natomiast jaskrawo występuje rywalizacya Zorainy i Laury w miłości dla Zawiszy. Co się tyczy uczuć tego rycerza, przedstawiają się one niejasno, zdaje się jednak z pewnych zwrotów jego mowy, że i jego serce ciąży ku Laurze, ale misya rycerza chrześcijańskiego nie pozwala mu oddawać się słodyczom miłości i wiedzie go na pole chwały i śmierci.

Na dworze Laury, obok goszczącego na nim Zawiszy, starego majordoma i stróża pięknej panny, Gniewosza, jej służebnej i przyjaciółki, Lirenki, wreszcie wspomnianego już Manduły, to jest Zorainy towarzyszącej w przebraniu męskiem Zawiszy, ukazuje się jeszcze głupiec, na wzór szekspirowskich błaznów dowcipkujący, i książe Manfred. Ten w jednym waryancie przybywa otwarcie, aby wielbić wdzięki Laury, ofiarować jej swoje serce i ramię, w drugim — jako przebrany za dziada, a wysłany przez cesarza Zygmunta, aby zanieść Witoldowi koronę królewską

i przeciągnąć Zawiszę na stronę cesarza. Z dalszych scen luźnych dowiadujemy się, że kiedy Zawisza odjechał na wojnę turecką do cesarza, Laura pośpieszyła za nim do obozu i tu w pewnym trynitarzu znalazła swojego ojca. Wszystkie te niejasne, niekiedy mistycyzmem zabarwione, węzły fabuły nie znajdują rozwiązania w zachowanych fragmentach; możemy tylko domyślać się, że tragedya kończyła się śmiercią Zawiszy i Laury.

Wogóle o *Zawiszy Czarnym* można powiedzieć, że przy budowie jego ważyły się w duszy poety i wpływały na budowę dwie różne chęci: jedna, aby uczynić z dramatu naczynie mistycznej nauki, natchnąć go jakąś ideą stamtąd zaczerpniętą; druga, która była dawną żyłką wirtuozowską,—aby jak najwięcej nagromadzić efektów dramatycznych, do czego tło czasów rycerskich dawało pożądaną sposobność. Ta druga wzięła górę nad pierwszą i stąd to, jak myślę, pochodzi, że *Zawisza Czarny* pomimo ogromnego bogactwa w szczegółach, nie doczekał się ukończenia. Wielka budowa poetycka rozsypała się przed ukończeniem i pozostały z niej tylko malownicze gruzy, nęcące oko przedziwną niekiedy pięknością szczegółów.

Ostatni fragment dramatyczny, odnoszący się do tych czasów, zachował się w brulionie poety w kilku scenach niewykończonych, osnuty zaś jest na tle dziejów Wielkiego Nowogrodu i wewnętrznej walki między książętami północnej Rusi na początku XIV wieku [1]. Wyobraźnię Słowackiego nęciło barwne opowiadanie kronik staroruskich i już w przedmowie do pierwszych dwóch tomów swoich poezyi przyznawał, że z upodobaniem czytywał osnutą na tych kronikach historyę Karamzina. Teraz znowu zwrócił się do tej historyi, a że studyował ją z wielkiem zajęciem,

[1] Ten fragment wydany został także z *Agezylausem* i *Zawiszą Czarnym*, przez p. Rychtera, przyczem wydawca pozwalał sobie przerabiać, skracać i poprawiać Słowackiego najdowolniej. Cytowane przezemnie ustępy są wzięte z autografu.

świadczą o tem wypisy i notatki, ktore przy tem czytaniu robił w swojej książce czerwonej. Najwięcej go, jak widać z tych notatek, zajmował stosunek Mongołów do Rusi, upokorzenia, jakie książęta ruscy musieli znosić od chanów, najobszerniej zaś wynotował sobie sprawę księcia Michała Twerskiego z Jerzym moskiewskim, wytoczoną w Ordzie przed chanem Uzbekiem, a zakończoną ciężkiem upokorzeniem i śmiercią Michała.

We fragmencie, o którym mowa, rzecz dzieje się w Nowogrodzie; o zwierzchnictwo nad nim ubiega się Twer i Moskwa. Książe twerski Dymitr, syn Michała, podejrzewa, że Nowogrodzianie sprzyjają księciu moskiewskiemu Jerzemu, uderza na Nowogród i zdobywa go, ale powstrzymany w niszczycielskim zapędzie przez biskupa, żąda tylko wydania stronników Jerzego. Na tem się kończy scena pierwsza. Chór, który oddziela tę scenę od następnej, a który, jak w innych współczesnych dramatach Słowackiego, nie jest głosem ludu, ale raczej głosem duchów, przenikających tajemne sprężyny działania i przewidujących przyszłość, tak przemawia:

Biada! biada! przeciwko grodowi świętemu,
Przeciwko wolnym ludziom podniosłeś ramiona.
. . . .
Moce duchów pomogą księciu Jerzemu,
Który ojca ci zgubi, moc twoję złamie.
Wojsko w lasach potracisz. Domowi twerskiemu
Szmatę całunu śmierci przypiąłeś, jak znamię.
Ojciec męczennik — a ty, syn jego kochany,
Jak Orestes przez furye ogniste targany...

Tym sposobem chór daje nam wskazówkę, jak się miał rozwijać plan dramatu [1]. Jedna z dalszych scen przed-

---

[1]) Żeby zaś zrozumieć, dlaczego poeta nazywa Nowogród »grodem świętym«, trzeba zwrócić uwagę na pewien ustęp w parę lat później pisanego *Listu do księcia A. C.*, gdzie powiedziano, że »Słowianie są czynnikami wolności duchowej« i że kiedy Polska była

stawia wejście chana Uzbeka z orszakiem i z księciem Jerzym moskiewskim, który przed usadowionym na tronie chanem na twarz pada i leży tak długo, aż póki mu ten pod koniec sceny podnieść się nie każe. Chan Uzbek jest przedstawiony jako bicz boży i to taki, który jest doskonale o swojem posłannictwie poinformowany.

Jam jest polano w Pana Boga dłoni.
. . . .
Gdybym nie Boży, czyżby zniósł Stworzyciel,
Mnie, który cały żywy świat wyrzynam,
Stworzenie kończę, a cmentarz zaczynam?
. . . .
. . . . Bo jest w Boga woli
Że świata trzodom i stadom pozwoli
A wielkim ogniom da gryźć ludzkie kości
I grody — a ród ludzki, podłe duchy,
Ze świata moją szablicą wygoni.

To, co tu chan Uzbek mówi o sobie, odezwie się potem echem w wierszu *Do autora trzech psalmów*[1]) i w *Królu Duchu*. Uzbek jest tu nietyle postacią historyczną, ile symboliczną, symbolizującą grozę i zniszczenie, jakie niosła nawała mongolska. Wogóle historyę i tutaj Słowacki traktował dość swobodnie, bo nietylko Uzbek, ale żaden z chanów nie dotarł był do Nowogrodu, a wprowadzeni do

---

»wielkiem słonecznem wolności morzem«, Nowogród i Psków były »dwie odeń gwiazdy, niby tego samego koloru, a piękniejszej może jasności, bo ku ciemnym stronom idące«. Kiedy zaś Nowogród i Psków upadł, »Nowogrodzianie i Pskowianie... wykradli się z ciał niewolniczych i Polakami zostali.... Cząstki więc te wolności duchowej zebrały się siłą niby wzajemnej atrakcyi ściągnięte w jedno — w jeden naród polski — i zbite mocą zejścia wybuchnęły prawdziwie szaloną siłą złotej Wolności«.

[1]) Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko boża myśl nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!...

fragmentu Rubriquis, poseł króla Ludwika św. do chana i Hiliam, jubiler paryski, odnoszą się nie do czasów Uzbeka, ale jego poprzednika, Mangu. Należy dodać, że w postaci Rubriquisa Słowacki starał się wprowadzić żywioł komiczny do swego dramatu, charakteryzując przedstawiciela cywilizacyi Zachodu, jako śmiesznego i płytkiego blagiera.

ROZDZIAŁ XVIII.

Wrogowie w Bogu.

1844—1845.

Czwarty kurs wykładów Mickiewicza. — Ogłoszenie Sprawy z katedry. — Wyprawa do Bas-Valais. — Pismo do cesarza Mikołaja. — Seweryn Pilchowski, jako poseł Sprawy. — Objawienie poselstwa w rocznicę listopadową. — Mikołaj Kamieński i jego pismo do urzędu Koła. — Odpowiedź Mickiewicza i jego stanowisko. — Słowacki o emigracyi. — Projekt zbiorowej protestacyi. — List do brata Adama. — Słowacki poświęca *Genesis* pułkownikowi Kamieńskiemu. — Nowa protestacya Słowackiego; wodzostwo narodu. — Manifest do narodu, oskarżający »wrogów w Bogu«. — Stanowisko patryotyczne Mickiewicza i Słowackiego. — Pociski poetyckie przeciw wrogom w Bogu.

Ażeby zrozumieć dalszy stosunek Słowackiego do Mickiewicza i Koła Towiańczyków, potrzeba rzucić okiem wstecz na to, co się działo w tem Kole, a przedewszystkiem na to, co czynił Mickiewicz, od chwili zupełnego odsunięcia się Słowackiego od współwyznawców. Z końcem roku 1843 zbliżało się rozpoczęcie czwartego kursu literatury słowiańskiej. W poprzednim kursie Mickiewicz, jakkolwiek wykładał w duchu Sprawy Bożej, przecież otwarcie jej nie wskazywał, nie szedł wprost ku niej, tylko zdaleka dokoła niej krążył, czy to zapuszczając się w fantastyczne badania starożytności słowiańskiej, czy krusząc kopie w walce z filozofią niemiecką. Teraz zachęcany był przez Towiańskiego do otwartego działania z katedry, i do

publicznego wykładu *Biesiady*. »W lekcyach twoich musisz już dalej posuwać się — pisał Towiański 24 listopada — szybkość tylko twoją wedle okoliczności modyfikować, a *Biesiada*, choć w niej ton *Sprawy* słabo i niepełnie jest oddany, jedynem jest dotąd pismem publicznem, mogącem za przedmiot rozbioru z katedry służyć. Niech tylko ta ofiara moja dla świętej Sprawy zapala ciebie Adamie! a wsparcie przyjdzie dla ciebie z góry. Rzecz wielką uczynisz«...[1]).

Stosownie do tej zachęty, która zresztą odpowiadała własnym pragnieniom i zamysłom Mickiewicza, a może i z nich głównie, jak wiele innych zachęt Towiańskiego, była wysnutą, Mickiewicz już na pierwszym wykładzie czwartego kursu zaznaczył nowy charakter swoich wykładów, zapowiedział, że ma teraz »wypełnić obowiązek najistotniejszy, najświętszy, niezbędny dla tego, kto się odważa stawać jako organ ogromnych ludów«, to jest wybrnąwszy ze szczegółów »dać głos duchowi słowiańskiemu«; odpowiedzieć na pytanie, które Francya ma prawo zadać: »Słowianie, cóż nowego przynosicie? Z czem przybywacie na widownię świata«. Odpowiedzią naturalnie miało być objawienie Sprawy Bożej i odsłonięcie jej Objawiciela.

Ale *Biesiada* była pismem zbyt dziwacznem i mistycznem, aby się nadawała do systematycznego rozbioru. To też Mickiewicz, jakkolwiek zapowiedział (na drugim wykładzie), iż weźmie ją za osnowę rozpoczętego kursu, jakkolwiek epokowe przypisywał jej znaczenie, pozostawiał ją przecież w dalszym ciągu wykładów w cieniu, a z ukrytych w niej idei wybierał tylko niektóre i rozwijał je we wspaniałych improwizacyach w sposób zupełnie oryginalny, a przystępny dla różnoplemiennej fali swoich słuchaczy. Te improwizacye były przeważnie gorącą polemiką z urzędowym kościołem, z tym samym kościołem, którego poeta — przez jakich lat dwanaście, jeszcze od

---

[1]) Współudział Ad. Mickiewicza I, 129.

czasów rzymskich — chciał być i był potężnym filarem, o którym niedawno jeszcze roił, że otworzy się dla towianizmu i pozwoli temu prądowi stać się »głównym nurtem« swoim.

Skąd pochodziła ta zmiana w stosunku Mickiewicza do kościoła katolickiego? Oto stąd, że kościół nie chciał uznać ani misyi mistrza, w której cudowność poeta święcie wierzył, ani nowego objawienia, o ile ono było nowem, i że nawet ci ze sług kościoła, którzy przedtem byli przyjaciółmi poety, i których on sam ku tej służbie nawrócił, występowali teraz wrogo, w imię nietykalności dogmatów kościelnych, przeciw Sprawie, którą on uważał za świętą i jedynie zbawczą.

Ta niewzruszoność kościoła, o którą rozbijały się najgorętsze zapędy jego uczucia, wywoływała w nim głębokie oburzenie, któremu dawał ujście teraz w wykładach swoich. Rzecz godna uwagi, że najlepszą sposobność do uderzeń na kościół dał mu człowiek, który w sporze towianizmu z kościołem bynajmniej nie stał po stronie pierwszego. Tym człowiekiem był Zygmunt Krasiński, a tą sposobnością były jego *Trzy myśli Ligenzy*, a w szczególności *Legenda*. Na wykładzie 16 stycznia 1844 Mickiewicz rozbierał ten utwór, i uwydatniał zawartą w nim przepowiednię przeobrażenia się kościoła Piotrowego w kościół Ś-go Jana, którego »głowa ostatniej wieczerzy spoczęła na piersi Pańskiej« i któremu kazano teraz, aby »ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako Pan głowę jego ostatniego wieczora«. I od rozbioru tego poematu, który podług niego zwiastował kościół przyszły, przeszedł do zarzutów czynionych księżom, że sfałszowali ideał Chrystusa, że odrzucają natchnienie i strzegą się dotykać cudów i kończył prelekcyę zwrotem, w którym była alluzya do Towiańskiego i jego epokowej roli. »Wy zaś, kapłani, wy nie pierwej, aż dopiero przeszedłszy wszystkie próby naznaczone człowiekowi, aż przewierciwszy wasze wnętrze świdrem bolu, zdołacie odetchnąć swobodnie, zdołacie spoić

nas wszystkich jednem uczuciem miłości. Wtenczas dopiero odbije się na waszych obliczach podobieństwo tych potężnych i jaśniejących twarzy pierwotnego Kościoła; wtenczas też zrozumiecie karty, którem tu dzisiaj odczytał, poznacie, gdzie jest duch owego męża w purpurze i co znaczy skinienie jego, które dał jako pan ziemi« [1]).

Znaczyło to, że autor *Legendy*, który, jak wiemy, »w cuda zawsze wierzył, ale w cudotwórców nigdy«, kreśląc w natchnieniu postać kardynała, wcielenie ducha Ś-go Jana Ewangelisty, przeczuł niejako zjawienie się Towiańskiego i jego misyi [2]).

Towiański, dowiedziawszy się o tej lekcyi, winszował jej Mickiewiczowi, dziękował »za wzniesienie tonu Sprawy z katedry«, nazywał lekcyę 16 stycznia [3]) »epoką w Sprawie«. Odtąd Mickiewicz nie przestawał uderzać na kościół urzędowy, a ponieważ to nowe stanowisko jego względem kościoła gorszyło znaczną część emigracyi i wywoływało ciężkie zarzuty szczególnie ze strony *Trzeciego Maja*, który podejrzewał poetę, iż chce wywrócić religię katolicką; ponieważ *Trzeci Maj* był uznanym organem księcia Czarto-

---

[1]) Liter. Słow. IV, 42—43.

[2]) *Przedświt*, który na niedługo przedtem ukazał się (na wiosnę 1843), nie obudzał takiego zapału w Kole wyznawców Towiańskiego, jak *Legenda*. Widać to z uwag, jakie czynił księgarz wydawca Januszkiewicz Gaszyńskiemu, który uchodził za autora *Przedświtu*. Z tego powodu Krasiński pisał do Gaszyńskiego (10 lipca 1843 r.): »Jak żyję urodzony szlachcic polski, nigdym nie widział, nie słyszał, nie czytał, by tak księgarz wydawca odpowiadał autorowi, co gotówką zapłacił wydanie. Nic śmieszniejszego. Jeśli i zecery wstaną i kazanie zaczną, jeśli poprawiać zechcą drukując pismo nadesłane, jeśli krzykną: »tu nie dość ducha«, a tam: »to pogaństwo!« i t. d. i t. d. Powiadam ci, źli są, że *arcana* ich odkryte zostały i z pod powłoki mistycznej wyjęte, *ma guarda e passa*«... Listy Zygm. Kras. I, 226.

[3]) We *Współudziale Ad. Mick.* I, 131, wydrukowano błędnie: »Lekcya twoja szesnasta« zamiast »szesnastego«. Cały kurs IV składał się tylko z czternastu lekcyi.

ryskiego, a ten książe był jakby protektorem Towarzystwa historyczno-literackiego, którego prezesem po śmierci Niemcewicza, właśnie na życzenie księcia, został Mickiewicz; — dlatego ten ostatni uznał za rzecz konieczną złożyć z siebie godność prezesa, a nawet wystąpić z Towarzystwa. Uczynił to na posiedzeniu Wydziału 6 marca, a czując się wolnym od wszelkich względów, które go dotychczas krępowały, wkrótce potem (19 marca) uroczyście z katedry oświadczył, iż »staje w obliczu nieba żywym świadkiem nowego objawienia«, wcielonego w postaci mistrza i wezwał obecnych współwyznawców, aby mu przyświadczyli.

Był to czas największego zapału mistycznego u Mickiewicza, największej wiary w mistrza i najśmielszych zapędów reformatorskich, które nawet mistrz musiał powstrzymywać »dla czuwania wroga«. Wierzył np. wtedy w »krwawe hostye« francuskiego mistyka-szarlatana Pierre-Michela, widział w nich znak, że »Pan już dzieciom Nowego zakonu przez ręce księży nie chce błogosławić«, bo »ręce te są zakrwawione«, a do lekcyi 19 marca gotował się w ten sposób, że prosił mistrza, aby mu w wigilię dnia tego zdaleka dał »urzędową absolucyę w duchu«, a w sam ten dzień z rana »komunią w duchu«. O lekcyi zaś samej donosił Gutowi nazajutrz: »Siłę Bóg dał taką, że po... pięciokwadransowych przemowach nie czułem żadnego strudzenia w ciele i mógłbym był wieczorem drugą lekcyę dawać. Złe na tem ostatniem zebraniu miało całe swe wojsko, ale nie śmiało nic począć« [1]).

Do szczególnego podniecenia ducha w Mickiewiczu przyczyniała się niewątpliwie i sama liczba roku, w którym się ostatni kurs jego wykładów odbywał. Był to przecież czterdziesty czwarty rok 19-go stulecia. Czterdzieści i cztery było mistyczną nazwą owego męża, którego Mickiewicz przepowiadał w *Dziadach*, a za którego podawał

[1]) Wspóludział I, 141.

się Towiański, a w korespondencyi tego ostatniego z Mickiewiczem znajdujemy ślady, że mistrz kładł nacisk na liczbę tego roku, jako obiecującą rzeczy wielkie i cudowne [1]). Czy nie dlatego poeta w proroczem natchnieniu dał cudownemu mężowi nazwę 44, że w tym roku nauka mistrza miała na cały świat zajaśnieć? Że takie myśli mogły przychodzić do głowy Towiańskiemu i Mickiewiczowi, rzecz to o tyle prawdopodobna, że począwszy od końca poprzedniego roku przez cały ten rok widzimy z ich strony największe wysiłki, aby Sprawę Bożą wyprowadzić z ciasnego koła emigracyjnego na szeroką widownię międzynarodową.

Prelekcya 19 marca nie przyniosła oczekiwanego skutku, nie pozyskała nowych wyznawców Towiańskiemu, a wywołała zgorszenie wśród emigracyi i Francuzów i ostrzeżenie ze strony francuskiego rządu. »Po ostatniem wystąpieniu w Collège, donosił Mickiewicz Towiańskiemu, rozeszły się po salonach Paryża różne odgłosy. Koledzy profesorowie nieco zatrwożeni. Ministeryum wzywało mię, abym zaprzestał sam kursu, zostawiając mi płacę i inne znaczne wygody, bo minister dobry człowiek i szkodzić mi nie chce. Odpowiedziałem, że muszę pełnić swoją powinność. Na co zagrożono, iż tak dalej rzeczy iść nie mogą«. Mickiewicz nie był pewny, »czy to nie jest znakiem, aby na czas kurs wstrzymać, czekając chwili gorętszej do wystąpienia, bo teraz coraz silniej iść trzeba« i prosił mistrza, aby mu udzielił swego »czucia« w tym względzie [2]). Mistrz odpowiedział mniej więcej w kierunku intencyi pytającego, Mickiewicz zawiesił na jakiś czas wykłady, ale pod koniec kwietnia na nowo je podjął, aby w czterech ostatnich wykładach swoich rozwijać dalej myśli o potrzebie realizacyi nowego ideału i aby w czwar-

---

[1]) Porównaj list Towiańskiego do Mickiewicza z 27 stycznia 1844. Współudział I, 131.

[2]) Współudział I, 153—154.

tym, końcowym wykładzie oświadczyć, że mąż przepowiedziany przez niego w III części *Dziadów*, »człowiek z troistem obliczem i troistym tonem ukazał się już Izraelitom, Francuzom i Słowianom«; że on tylko »może prowadzić dalej dzieło realizacyi napoleońskiej«.

Ażeby ułatwić swoim słuchaczom szukanie i poznanie tego męża, Mickiewicz na tej ostatniej prelekcyi rozdawał litografie z dziwacznego obrazu Wańkowicza, który przedstawiał Napoleona, w butach palonych i z welonem żałobnym, opartego na karcie Europy. Obraz miał wyrażać żal pośmiertny Napoleona wskutek niespełnienia misyi sobie poruczonej, a podobieństwo rysów Towiańskiego do twarzy Napoleona miało wskazywać, komu teraz poruczono z góry spełnienie tej misyi. Mickiewicz nie poprzestał na tem i chciał, aby Francuzi, należący do Sprawy, podali na piśmie do Komisyi pomnika, który miano wówczas wystawić Napoleonowi w Paryżu, iż oni, »niżej podpisani mają pewność i gotowi zeznać pod przysięgą, że duch Napoleona chce mieć taki pomnik« [1]).

Poczucie Mickiewicza, że »teraz coraz silniej iść trzeba«, że nadszedł czas realizacyi Sprawy Bożej, szukało różnych dróg dla siebie i objawiało się w rozmaity sposób. Jednym z nich było wysłanie dwóch braci do kantonu szwajcarskiego Valais w tym celu, aby tam »Sprawę postawić na ziemi, pierwszych jej żołnierzy uzbroić«. Pomysł ten przyszedł Mickiewiczowi do głowy jeszcze poprzedniego roku, gdy przejeżdżał z mistrzem przez Szwajcaryę, ale teraz dopiero poeta przystąpił do jego wykonania. Dlaczego Valais (mianowicie Bas-Valais) obierał za miejsce pierwszego postawienia Sprawy Bożej na ziemi, tłómaczył to w liście Towiańskiemu. »Po ludzku biorąc, usprawiedliwiłem moje czucie przed rozumem uwagą, że Valais jest romańsko-francuskie (Bas-Valais), katolickie, nieuczone, nie szachrajskie. Lud pełen prostoty i ognia i nawet czu-

---

[1]) Współudział I, 167.

łości. Zawsze był ciśniony. Haut-Valais niemieckie, niegdyś panujące, dziś tylko spojone politycznie z Bas-Valais, jest także katolickie, ale pyszne, chcące używać i gardzące dawnymi poddanymi. Księża złączyli się z partyą niemiecką, nawet księża francuscy. Słowem Valais jest to niby Polska lub Litwa szwajcarska« [1]).

Nie mogąc z powodu oddalenia i innych przyczyn realizować Sprawy Bożej na gruncie własnym, obierał dla niej grunt, który mu się zdawał najpodobniejszym do polsko-litewskiego. Ale na czem miała polegać realizacya? Co mieli czynić wysłani bracia? (jak się zdaje, Mikołaj Kamieński i Stefan Zan). Tam, gdzie uczucie było przewodnikiem a natchnienie miało kierować wszystkiemi krokami, nie mogło być szczegółowego programu i szczegółowej instrukcyi dla wysłańców, wszakże z pewnych słów Mickiewicza (o uzbrojeniu pierwszych żołnierzy Sprawy) i z odpowiedzi mistrza, można wnioskować, że rwącemu się do realizacyi poecie chodziło o wywołanie w kantonie Valais religijno-politycznej rewolucyi, którąby sztandarowi Sprawy zjednała pierwszy zbrojny zastęp obrońców i stała się początkiem ruchu, mającego ogarnąć całą Europę.

Wysłańcy z polecenia Mickiewicza udali się naprzód do Solury, gdzie wówczas przebywał Towiański, aby od niego uzyskać sankcyę dla swego posłannictwa i otrzymać wskazówki, jak działać mają. Ale mistrz okazał się w tym razie o wiele ostrożniejszym i trzeźwiejszym od swego apostoła, i choć wyprawy nie powstrzymał, inny jej chciał nadać kierunek. »Odezwa twoja prześliczna — pisał do Mickiewicza 1 czerwca 1844 — właśnie w tonie Sprawy — dodałem tylko uwagę, aby naprzód pełną służbę Duchowi bratniemu oddali — z ziemską pomocą nie kwapili się — przejście w krainę ziemską słowa Bożego zależy od hasła, które Bóg zatrzymuje dla niegotowości człowieka«. Donosił przytem: »wczora przybyli bracia, jutro wyjeżdzają« [2]).

---

[1]) Współudział I, 167. [2]) Tamże I, 170.

Koniec wyprawy był żałosny i bardzo charakterystyczny. Wysłańcy, przez Mickiewicza nastrojeni do czynu, przez Towiańskiego napomnieni, aby »z ziemską pomocą nie kwapili się«, znalazłszy się w kantonie Valais, opatrzyli się, iż właściwie nie wiedzą po co tu przybyli, co tu mają czynić, jak »pełną służbę duchowi bratniemu oddawać«. Towiański pisał do Mickiewicza: »Miałem wiadomość smutną od braci 6 czerwca, że skoro most przeszli 5-go, boleści ducha doznali, że nikt celu działania nie wie, co robi i dlaczego, nie zna — bez idei są« [1]).

O wiele obfitszym w następstwa i niezmiernie śmielszym był inny sposób realizacyi Sprawy, który według wszelkiego prawdopodobieństwa wyszedł także z natchnienia Mickiewicza. Pod koniec r. 1841 przybył do Paryża Aleksander Chodźko, kolega i przyjaciel Mickiewicza z czasów wileńskich, ten, któremu poświęconą była jedna z jego improwizacyj filareckich, świetną wróżąca przyszłość. Chodźko nie brał udziału w powstaniu listopadowem, przez długi szereg lat był konsulem rosyjskim w Persyi, wyjechał za granicę, jako urzędnik za paszportem, ale w duszy nosił ciągle dawny filaretyzm, ową chęć »popchnięcia bryły świata na nowe tory«, na tory braterskiej miłości i przy spotkaniu się z mistycznie nastrojonym przyjacielem w Paryżu, łatwo uległ jego wpływowi i swój dawny filaretyzm łatwo dostroił do nowego tonu mistycznego. A przejęty głęboko chęcią służenia tylko Sprawie Bożej, nie chciał wracać do swojej służby urzędowej i postanowił wziąć dymisyę i pozostać za granicą.

Otóż ta dymisya nasunęła Mickiewiczowi i Chodźce pomysł, najśmielszy ze wszystkich, jakich się towianizm chwytał w owym czasie w celach propagandy, pomysł zwrócenia się do największej potęgi politycznej w ówczesnym świecie i najprzeciwniejszej zasadom nowej nauki, do cesarza Mikołaja I, z przedstawieniem mu owych za-

[1]) Tamże 171.

sad i wezwaniem do ich uznania. Pismo, zawierające to przedstawienie i wezwanie, zamierzał Chodźko przesłać cesarzowi za pośrednictwem ambasady rosyjskiej w Paryżu.

Że ten pomysł nie wyszedł od Towiańskiego, jest na to świadectwo w listach jego, mianowicie w cytowanym już liście z 1 czerwca, gdzie była odpowiedź na różne pomysły Mickiewicza i gdzie sprawa odezwy do cesarza jest także traktowaną tak, jakby od Mickiewicza wyszedł jej pomysł. Ale jeżeli nie z natchnienia samego mistrza, pochodził, to jednak bardzo mu się podobał, — daleko więcej niż wyprawa do kantonu Valais. Mistrz uznał, że »ważne będzie spełnienie tego punktu służby«, kazał gotować się »bratu« Chodźce »do tonu należnego« i sam podał główne zarysy treści pisma[1]), którego ostateczny układ i przekład na język francuski był już zapewne dziełem Mickiewicza i Chodźki.

Pismo było zredagowane tak, aby w niczem nie urazić cesarza i uczynić go skłonnym do przyjęcia nowych zasad. Chodźko oświadczał na wstępie, że pismo ma na celu wyjaśnić pobudki, które go zmusiły do opuszczenia służby cesarskiej, a wyjaśnienia te uważa za swój obowiązek tak względem Boga, jak względem cesarza. Opuścił on służbę cesarską i przestał być poddanym jego nie dlatego, żeby miał zapomnieć dobrodziejstw, których doznał od cesarza, ale dlatego, że usłyszał głos Boga i zrozumiał »zawołanie Jego, które mu inną wskazało drogę, inną służbę«. Ten głos objawił mu zarazem przeznaczenie Słowian, a ponieważ niema nikogo na ziemi, któregoby to objawienie mogło więcej obchodzić, jak cesarza Mikołaja, więc Chodźko prawdę z góry otrzymaną składa przed cesarzem.

I tu następował obszerny ustęp o charakterze, prze-

---

[1]) List Towiańskiego do Mickiewicza (Współudział I 179—180) bez daty dnia i miesiąca podany jest przez wydawcę nie w należytym porządku chronologicznym.

znaczeniu i wzajemnym stosunku Słowian, w szczególności Polaków i Rosyan. Podczas, gdy inne ludy »wyżej rozwinięte, wolniejsze, przodkują i oświecają drogę postępu«, Słowianie są jedynem na ziemi plemieniem, które zachowało skarb Boży prostoty, »którego ciepło duszy Iskra Jezusa Chrystusa stanowi«. Ten skarb zachował się przedewszystkiem w ludzie, ale zaniedbany, wzgardzony przez wyższe stany, bo »wszystko cokolwiek na ziemi słowiańskiej wzniosło się nad lud... dozwoliło kazić się pierwotnej naturze Iskry Bożej«... »Głąb duszy słowiański był zawsze chrześcijański, a życie, czyny Słowian były pogańskie«. Ale teraz będzie inaczej. »Pan wysłuchał jęków wznoszących się bezustannie z głębi tych dusz czystych. Raczył rzucić wzrok swój na ten skarb wewnętrzny Słowian, którego świat nie poznał, który ze wściekłością sili się wydrzeć, aby go zużyć«. Wszystkie ludy słowiańskie powołane są teraz do nowego życia, które ma być rozwinięciem złożonego w nich zarodu chrześcijańskiego. Wszystkie krzywdy, które sobie wzajemnie od wieków Słowianie wyrządzali, winny być teraz wzajemnie odpuszczone: »czas przyszedł, w którym winni wszyscy, zlani w jedno czucie miłości, jakiego dotąd ani pojęcia, ani spełnienia nie było, zjednoczyć swe wysilenia w jednym wielkim, a wspólnym interesie, osiągnienia celu, jaki im Bóg od dziś dnia naznacza«.

I tu było przejście do stosunku Polski do Rosyi. Wszystkie nieszczęścia Polski były przedstawione, jako ojcowska kara z ręki Boga za niespełnianie wysokiego powołania, za ociąganie się w pełnieniu misyi lub zbaczanie z drogi prawdziwej. Jest to prawo powszechne. »Idzie człowiek a Ojciec go nie pędzi. Człowiek jest (wtedy) szczęśliwy, wolny, jest w prawie człowieka. Zatrzyma się człowiek, Ojciec go prze, a chód ten przymuszony jest jedynem źródłem nędz człowieka, jedyną niedoli przyczyną. Polacy zatrzymali się i parci zostali, a gdy znowu w postępnym chodzie zboczyli od drogi przez Boga żądanej,

Bóg nie przestając ich karać, dopuścił powodzenia szykom bratnim, a to, aby zbłąkane Jego dzieci więcej ucierpiały, parte ręką własnych braci. Rewolucye (powstania) nie powiodły się Polakom, — obróciły się owszem przeciw tym, którzy je podnieśli, — bo im większy jest naród jaki, jako Urząd Słowa, im więcej skarbów Bożych, płomienia Chrystusowego posiada, tem świętszą ma być powinność jego, karność Słowa i tem większe za niekarność cierpienia«.

Następowało określenie prawdziwej wolności, prawdziwej ojczyzny i ideału monarchy, choć to ostatnie słowo nie było użyte. Prawdziwej wolności, istotnego szczęścia używa człowiek tylko wtedy, gdy dobrowolnie, nie party przez Boga, »żywi w sobie Boską iskrę, jedyną siłę nas poruszającą«; prawdziwa ojczyzna jest tam, gdzie człowiek może pielęgnować ten skarb swój wewnętrzny, »gdzie się człowiekowi ułatwia chód jego, życie jego w Słowie«; prawdziwym »Panem z łaski Bożej«, »organem Ojca niebieskiego« jest ten, który pomaga ludziom w pomnażaniu owego skarbu wewnętrznego i otacza go opieką. »Miłość uczuta dla takiego Ojca, dla takiego Pana« jest »nie czem innem, jak miłością Woli Najwyższej«.

Dotychczas między wiarą a życiem, tak domowem jak i publicznem nie było zgody. Religia podawała rozkaz Boga, człowiek »przyjmował rozkaz, rozmyślał się i nie spełniał«... »Napoleon przeznaczony był do spełnienia rozkazu Słowa w życiu ludów, do zatknienia sztandaru Jezusa Chrystusa na pogańskiem polu polityki... ale przekroczywszy granice swej misyi stracił namaszczenie Boże« — i został pokonany. Ale to, czego żyjący Napoleon nie dokonał, po śmierci duch jego ma kończyć. »Władza jego prawdziwa, potężniejsza zaczyna się na ziemi«... »Zbliża się wielkie dwóch sił uderzenie się i Bóg rozsądzi, które z dwóch praw, nowe-li prawo Słowa Bożego, czy stare prawo ziemi rządzić będzie światem«.

Po tej zapowiedzi następował zwrot do cesarza i do tej roli, jaka mu przypadła w obecnej epoce. »Zbawienie

milionów powierzone tobie N. Panie. Prowadząc tyle ludów słowiańskich, berłu twojemu poddanych, ty dziś jesteś narzędziem woli Bożej największem na ziemi. Jeśli usłuchasz N. Panie wezwania Bożego, poddani twoi wierni Bogu, poświęcając się myśli Bożej w tobie złożonej, poświęcą się dla twej wielkości, dla szczęścia twojego«. Pragną tego i domagają się nie tylko »pierwsi wybrani do przyjęcia Słowa i niesienia braciom swym pomocy w Jego przyjęciu«, ale także duchy wielkiej liczby ludzi, którzy niegdyś przewodzili ludom słowiańskim, a teraz otaczają tron cesarski, między innemi duch Aleksandra I, bo »prawo, które surowo strzegło granic między żyjącymi i umarłymi złagodzone jest w dniach pańskich«.

Przy końcu pisma Chodźko prosił cesarza, »aby z ojcowską dobrocią raczył tych słów wysłuchać«, aby »nie obrażał się tem, co jest tak nowem w tej mowie«, aby »nie odrzucał owoców ofiary, w jakiej się Polacy oddają dla dobra ludzkości, narodu bratniego« i samego cesarza. Ale pomimo pokornego tonu całego pisma, pomimo iż podpisywał się jako »najniższy, najposłuszniejszy sługa i poddany«, nie zaniedbał do pokornych próśb swoich i przedstawień dołączyć przestrogi o odpowiedzialności, jaka czeka tego, który wezwania Bożego nie usłucha. »Brat, którýby po dojściu do siebie powszechnego wołania, jakie Jezus Chrystus czyni teraz całemu światu, odmówił wzięcia udziału w wielkiej wieczerzy ludów, wigilii nowej epoki, brat, którýby ducha swego nie chciał połączyć z duchem odradzającym ludzkość, zda z tego sprawę« [1]).

Ażeby przypuścić, że list podobny mógł wywrzeć jakikolwiek wpływ dodatni na cesarza Mikołaja, trzeba było mieć tak wielką, jak Mickiewicz, wiarę w potęgę idei, cudowność mistrza i wagę chwili dziejowej. Bezwątpienia w piśmie Chodźki był pewnego rodzaju panslawizm, a kie-

[1]) Współudział I, 180—188.

runek ten wchodził w program polityki Mikołajowskiej; ale między jednym a drugim panslawizmem była taka różnica, jak między dniem a nocą. Z jednej strony — według wyrażenia Puszkina, w wierszu »*Oszczercom Rosyi*« — polegał on na tem, że wszystkie strumienie słowiańskie miały się zlać w rosyjskiem morzu; z drugiej — strumienie te miały zlać się w idei Bożej, w szczególnem powołaniu Słowian: wprowadzić miłość chrześcijańską we wszelkie stosunki świata.

Pismo Chodźki, z datą 15 sierpnia, przedstawione było Kisielewowi, posłowi rosyjskiemu w Paryżu. Co się z niem dalej stało? Czy Kisielew przesłał je do Petersburga, czy też traktując jako wyskok obłędu skazał na zniszczenie? tego nie wiemy. Ale jeszcze przed podaniem pisma Towiański miał obawy, że tą drogą może ono nie dojść rąk cesarskich i pisał: »Trzebaby oświadczyć posłowi, że skoro nie poszle tłómaczenia się cesarzowi, to sam brat (Chodźko) poszle« [1]). Gdy miesiące upływały bez żadnej odpowiedzi na pismo, obawa zamieniała się w pewność, więc czekano i szukano natchnienia, któreby wskazało niemylny sposób usunięcia przeszkody, dzielącej ideę Bożą od cesarza. Najbardziej naturalnym sposobem było zapewne, ażeby sam Chodźko pojechał do Petersburga i doręczył swoje pismo carowi; ale do tego potrzeba było pewnego bohaterstwa, do którego Chodźko nie czuł się zdolnym.

Bohater znalazł się w osobie Seweryna Pilchowskiego, Wołyniaka, dzielnego żołnierza z pułku Różyckiego, człowieka o zapalnym temperamencie, którego Mickiewicz w dawniejszych listach do Towiańskiego i Guta określał, jako »niecierpliwego i trudno poddającego się idei«, który »w czynie będzie dobrym, przed wypadkami będzie zawsze plątał, ale nie zaszkodzi« [2]). Teraz już 1 listopada 1844 zastępca mistrza donosił Karolinie Towiańskiej, jako »rzecz

---

[1]) Współudział I, 180.
[2]) Współudział I, 53 i 90.

największej wagi w Służbie«, że Pilchowski »doszedł długiemi drogami do tego czucia, iż on powinien jechać do Rosyi i stawać przed cesarzem, jako poseł Sprawy«. I dodawał, iż jest najmocniej przekonany, że to się dzieje w myśl Pańską, i że nikt z Koła, tylko on jeden może dokonać tego, »jeśli błogosławieństwo na to wysłuży«. Wszakże kiedy Pilchowski miał jechać do mistrza, aby mu przedstawić swój zamiar i otrzymać od niego błogosławieństwo i instrukcyą, Mickiewicz »z obowiązku urzędu« przesyłał mistrzowi jego rysopis moralny, który świadczy, iż zastępca mistrza miał różne wątpliwości, dotyczące człowieka, który tak ważnej podejmował się misyi. Dowiadujemy się stamtąd, że »brat Seweryn nigdy nic dobrowolnie do ducha nie przyjął, ale sam wszystko musi bolem i doświadczeniem z siebie dobywać«, że »moc ducha Seweryna olbrzymia, tonu właściwego Sprawy dotąd nie ma«, że »choroba Seweryna (bo on fizycznie bardzo cierpi) jest całkiem duchowa. Jakiś duch obcy a może i kilku ich osiadło w dolnej części jego ciała i trapią go«. Kończył się jednak ten mistyczny rysopis, tak silnie uwydatniający głęboką wiarę Mickiewicza w obcowanie z duchami, zapewnieniem, że »Seweryn ma na dnie duszy ziarno Chrystusowe«, którego nie mają »niektórzy rodacy, choć na pozór dobrzy, łagodni i czuli« [1]).

Pilchowski w listopadzie pojechał do mistrza i wrócił z błogosławieństwem. Dotychczas jeszcze sprawa odezwy i poselstwa do cesarza Mikołaja trzymaną była w tajemnicy nie tylko przed światem, ale i przed Kołem Towiańczyków i tylko nieliczni wyznawcy mistrza byli w nią wtajemniczeni. Zresztą posiedzenia siódemek od kilku miesięcy były zawieszone, po części z powodu choroby Mickiewicza, po części dlatego, »aby każdy sam dał owoc

[1]) Współudział I, 191. Ostatnie z przytoczonych słów Mickiewicza odnosiły się do »rodaków za Kołem będących« i były zapewne alluzyą do Witwickiego i Bohd. Zaleskiego.

z przeszłej pracy ogólnej«[1]). Ale teraz, kiedy Pilchowski wrócił z błogosławieństwem mistrza i jak się zdawało Mickiewiczowi — »brał ton coraz czystszy i wyższy«, należało objawić całemu Kołu to, co w imieniu wszystkich wyznawców mistrza miało być dokonane — poselstwo do Mikołaja.

Na dzień objawienia obraną została trzynasta rocznica listopadowego powstania, t. j. 29 listopada 1844. W dniu tym na porannem zgromadzeniu Koła Mickiewicz oświadczył, że rewolucya narodowa dlatego nie odniosła zwycięstwa, iż nie dobyła »pełnego tonu miłości Chrystusowej i mocy«... »Otóż teraz dla spełnienia naszej Sprawy, trzeba nam sposobić się do miłości Chrystusowej ku braciom Słowianom, trzeba, żeby ta miłość była czystą, szczerą, prawdziwą, bez żadnej rachuby, bez żadnego oglądania się na siebie. Pokochać, co jest czystego i dobrego w Rosyi, jak kochamy przyjaciół i w tej miłości działać z Rosyaninem. Skoro on tej miłości nie poczuje, to nie poczuje i mocy, i będzie nas gnębił«[2]). Taki ton wyszedł już »z płonącej duszy Mistrza« i dzień dzisiejszy jest na to przeznaczony, aby każdy z jego wyznawców wspiął się do tego tonu i pochwycił go.

To był wstęp, przygotowanie słuchaczy do wysłuchania wiadomego pisma Chodźki, które miało służyć za wzór, jaki powinien być teraz »ton Polaka do Rosyanina«. Mickiewicz, odczytawszy to pismo i dodawszy, że teraz trzeba »w tonie prawdy, nie zaś nienawiści stawać, pokazać się mężem, a nie robakiem«, bo »robaka pełznącego z utajonym jadem każdy ma prawo zetrzeć«, oznajmił, że znalazł się w Kole brat, który ten »wyzyw« do cesarza Mikołaja uczyni silniejszym, który poczuł w sobie gotowość do tego, aby stanąć przed cesarzem i żywem słowem poruszyć jego ducha przedstawieniem Sprawy Bożej.

---

[1]) Tamże I, 200.
[2]) Współudział I, 201.

Tym bratem jest Seweryn Pilchowski. Inni bracia powinni starać się dojść do tego stanu uczuć, do jakiego doszedł brat Seweryn i przez »zlanie się« z nim duchowe zrobić krok do ogólnego zlania się braci. Posiedzenie zakończyło się aktem symbolizującym owo »zlanie się« dwóch braci: »brat Adam rzucił się do nóg bratu Sewerynowi, i brat Seweryn nawzajem«[1]).

Jakie wrażenie cała ta scena i ten nowy ton wywarł na zgromadzonych, w szczególności na tych, którzy nie byli dotąd wtajemniczeni w sprawę poselstwa do cesarza Mikołaja? To, do czego powoływał Mickiewicz braci, jakkolwiek konsekwentnie wypływało z uznanej przez nich zasady wcielania nauki Chrystusowej w stosunki międzynarodowe, musiało się niejednemu wydać czemś niesłychanem i trudnem do pojęcia. Jakto? zapomnieć o potokach krwi niedawno przelanej, o tych klęskach i prześladowaniach narodu, świeżych i najświeższych, wyrwać z serca zakorzenioną odwieczną nienawiść do wrogów, wyszukiwać w nich to, co mają czystego i dobrego w sercu i objąć to miłością czystą, szczerą i prawdziwą i uwierzyć, że taka miłość dopiero przyniesie zwycięstwo? I w jakiż to dzień powoływano braci do tego? W tę rocznicę, która służyła zawsze do wylewu żalów patryotycznych, skarg, nadziei odwetu i potępiania wrogów! I kto powoływał do tego? Autor *Konrada Wallenroda*, wiersza *Do Matki Polki* i *Reduty Ordona*. Wszystko to niełatwo mogło się pomieścić w głowach powołanych a niewtajemniczonych przedtem w tę sprawę braci.

Ale pomimo, że pomiędzy nastrojem Mickiewicza a innych członków Koła różnica była ogromna i wielu z pomiędzy nich trudno było wznieść się do tej najszczytniejszej, ale i najtrudniejszej zarazem z cnót ewanielicznych, jaką jest miłość dla wroga, wpływ przecież poety w Kole był tak wielki, jego powaga tak niezachwiana, że nikt na

---

[1]) Współudział I, 202—204.

razie nie ośmielił się wystąpić w Kole nie tylko z protestacyą, ale nawet z powątpiewaniem. Skoro on tak wierzył, skoro on tego chciał, musiało to być dobre. Wprawdzie w przemówieniu swojem tego dnia Mickiewicz skarżył się na brak zaufania u braci i tem tłómaczył, dlaczego pismo Chodźki ułożone było bez ich współudziału, ale to, na co się skarżył, było raczej brakiem zaufania ze strony braci we własne siły, aniżeli wiary w Mickiewicza [1]).

Był jednak pośród zgromadzonych człowiek, tak boleśnie zadziwiony i tak głęboko dotknięty tem, co usłyszał dnia tego, że i niezachwiana dotąd wiara jego w Mickiewicza nie starczyła mu na uspokojenie sumienia narodowego. Był to pułkownik Mikołaj Kamieński, były dowódzca legii litewsko-ruskiej i siódmego pułku ułanów. Dzielny żołnierz, gotów był na każde zawołanie rąbać się za Chrystusa, Polskę i ludzkość całą, ale od tego, co mu teraz stawiano za ideał, jego żołnierska natura cofała się z przestrachem. Milczał wprawdzie na posiedzeniu Koła 29 listopada i zdawał się wraz z innymi przyjmować nowy ton mistrza, podany przez jego zastępcę, ale patryotyczna groza nurtowała w nim i wprawiała go w rozpacz. Była to rozpacz żołnierza, który przysiągł na wierność chorągwi, a oto spostrzegał, że ta chorągiew miała go prowadzić do zdrady. To też zaraz po owem zgromadzeniu zgłosił się do Mickiewicza z ciężkiem wyznaniem, że przestał w mistrza wierzyć [2]), a stąd naturalnie wypływała konsekwencya, że musi zerwać wszystkie węzły łączące go z »zastępem Pańskim«. Uderzono na niego, przedstawiono

[1]) »Temu pismu bracia nie pomagali. Zaufania żadnego nie miałem, żeby się z tem do nich odezwać, kiedy nie mogłem czasem otrzymać tej wiary, aby się który puścił na służbę w podróż o trzy mile«. Współudział I, 202.

[2]) W liście Kamieńskiego, dosyć zresztą bałamutnym, z datą 19 kwietnia 1845 powiedziano: i to prawda, że w dzień 29 listopada byłem u Adama Mickiewicza z wyznaniem, że w mistrza nie wierzę. Dziennik Narodowy 1845, T. V, str. 856.

mu zapewne, jak wielki cios zada sprawie Bożej swoją dezercyą, jak wielką odpowiedzialność ściąga na siebie, objaśniano mu zapewne całą szczytność nowego tonu, do której on wznieść się nie mógł i biedny żołnierz, oblężony i targany i z jednej i z drugiej strony wyrzutami sumienia, postanowił w końcu w rozpaczliwy sposób uwolnić się od nich, a to mianowicie zrzekając się własnej woli na rzecz mistrza.

Zrzeczenie się miało formę deklaracyi zrobionej wobec Boga a podanej do Urzędu. »Zaciągnąwszy się w szeregi zastępu Pańskiego z zupełną wolnością, — oświadczał w niej Kamieński — nadużyłem takowej i ta stała się dla mnie najokropniejszą pokusą. — Uważałem Dzieło Pańskie, jako piękną budowę, którą podług woli rozpatrzyć, przyjść, wyjść i znów przyjść można było. — Dzisiaj najmocniej czuję, że czynnie Sprawie Pańskiej służyć nie mogę, póki tej wolności będę niewolnikiem, — a zatem od dnia dzisiejszego wolności mojej najuroczyściej, najpełniej i najsumienniej zrzekam się, a Wola mojego Mistrza Andrzeja Towiańskiego, którego ja za Posłańca Bożego uważam, będzie moją własną we wszelkich czynnościach, w jakich mnie Bóg ze swojego miłosierdzia w Służbie swojej postawić raczy. — Tak mnie Boże dopomóż i najświętsza męka Jego« [1]).

Ale urząd nie przyjął tego aktu, jako niezgodnego z duchem Sprawy, jakim on był w istocie, i Kamieński pozostał przy swojej wolności moralnej, z którą w danych warunkach nie wiedział, co uczynić, w którą obrócić stronę. Znowu go zaczęły targać wątpliwości, od których postanowił ostatecznie uwolnić się innem pismem do Urzędu Koła, zupełnie różnem treścią i kierunkiem od poprzedniego.

Czy Kamieński porozumiewał się wtedy ze Słowackim, czy pod jego wpływem układał swoje pismo? Na pewno tego twierdzić nie można, ale rzecz to podobna

---

[1]) Współudział I, 225.

do prawdy, ponieważ pismo i stylem i poglądami przypomina znane nam wynurzenia Słowackiego, zwrócone do Towiańczyków. Była tu naprzód pokrótce podana jakby wewnętrzna historya Koła, rozwoju jego dążeń i przeobrażeń. Kamieński przypominał, jaka nadzieja odrodzenia się radowała z początku wszystkie serca, jaka wolność i swoboda ducha kierowała wszystkiemi obradami, jak władza »tak Adama, jako i stróżów opierała się tylko na miłości braci, a cała usilność na pracy wspólnej w podnoszeniu się wzajemnem, jak wszystko działo się w myśl słów pisma świętego: nie jest uczeń nad Mistrza, ani sługa nad Pana swego«. Po tej pierwszej epoce, którą Kamieński nazywał »polsko-słowiańską«, nastąpił drugi okres, w którym pojawili się urzędnicy: oddalano się od wszystkich a zamykano się w sobie, duch stygnął a urząd bez miłości brał górę, nastąpiły sztuczne podniesienia ducha, »owacye, całowania w nogi, wywyższania jednych braci a zniżania i upokarzania drugich, nastąpiła hierarchia duchowa, niczem nie poparta«, a ulegająca ciągłej przemianie. »Z tego wszystkiego urosła wieża Babelu, i gdy nikt zrozumieć się nie mógł, wtedy nie mogąc iść w górę, spadliście aż do wielkiego monarchy Mikołaja i to w dzień 29 listopada, jakby na naigrawanie się z krwi polskiej«.

Pismo kończyło się energicznem i stanowczem zerwaniem. »Zatem kompletnie zrywam i staję jawnie waszym przeciwnikiem, i gdyby mi zginąć przyszło, to w przekonaniu, że nie dla jakiegoś Nabuchodonozora lub Baltazara, lecz dla Boga mojego, dla cierpiących mych braci Polaków. Jeżeli szczerość jest waszym przewodnikiem, to pismo niniejsze czyli manifest braciom zakomunikować winni jesteście, może w nich odezwą się duchy polskie, które poczują straszne niebezpieczeństwo nad ich głowami i Polskę, matkę swą podejściem zabić nie dozwolą« [1].

---

[1] Demokrata Polski 1845. T. VII, str. 121—122.

Kamieński nie poprzestał na przesłaniu pisma tego do Urzędu Koła, (z datą 16 lutego 1845), ale je w kilka dni potem ogłosił drukiem i w ten sposób wobec całej emigracyi stwierdził od niedawna obiegające pogłoski, że Towiańczycy w dzień 29 listopada uchwalili akt poddania się Mikołajowi, jako naczelnikowi Słowiańszczyzny i przyrzekli mu służyć, »gdyby ogłosił się protektorem ich sekty« [1]).

Oburzenie wywołane tem pismem w emigracyi było powszechne i ogromne. Organy wszystkich stronnictw uderzyły na Towiańczyków, trąbiąc na odkrycie zdrady i domagały się od pułkownika Kamieńskiego, aby rzecz całą, ogólnikowo tylko w piśmie zaznaczoną, dokładnie i wiernie przedstawił, nikogo nie oszczędzając. Otrzymał on też z tego powodu różne listy, w których była mowa o zdradzie i potępienie tej zdrady. I oto dopiero wtedy szlachetny pułkownik opamiętał się, co napisał, albo może, co podpisał, i spostrzegł, że w istocie ze słów jego można było wnioskować, że posądzał mistrza i jego wyznawców nie o nieszczęsne zaślepienie, ale o złą wiarę, o zdradę; natychmiast też przesłał do Redakcyi *Dziennika Narodowego* sprostowanie, w którem oświadczał, że on sam byłby zdrajcą, gdyby straciwszy wiarę w Andrzeja Towiańskiego pozostał dłużej w Kole wyznawców mistrza, ale »potępiać o zdradę tych, w których wiara do najdroższych ofiar serca posunięta, nikt nie ma prawa, Bóg sam tylko nieomylny. Jemu sąd tylko o nas należy; i dlatego w piśmie mojem ostatniem do urzędników tego Koła podanem, słowo podejście, jako wyszłe mimo mej woli i sumienia, cofam« [2]).

Pomimo tego cofnięcia Towiański i Mickiewicz uczuli potrzebę dania publicznej odpowiedzi na pismo Kamieńskiego do Urzędu. W tej odpowiedzi wzywano Kamień-

---

[1]) Dziennik Narodowy 1845. T. IV, str. 819.
[2]) Dziennik Narodowy 1845. T. IV, str. 820.

skiego, aby złożył objaśnienia i dowody, których domagały się pisma emigracyjne, na to, jakoby Towiańczycy »mieli upadać przed mocarzami ziemi lub spuszczać się na łaskę któregobądź z mocarzów ziemi«, przypominano zachowanie się Koła względem księcia Światopełka-Mirskiego i innych emigrantów, którzy »pożądali powrotu na wygodniejsze życie w kraju«, przypominano, że »Pan, któremu na ziemi służą«, t. j. Towiański, jest równie jak naród nasz od wszystkich mocarzów ziemi prześladowany«, że jest tułaczem zawzięciej od innych ściganym, i »nie ma miejsca, gdzieby sam odpoczął, aż je dla wszystkich braci swoich znajdzie«, wreszcie grożono Kamieńskiemu wielką odpowiedzialnością przed Bogiem za to, że odesłał do Urzędu medal Najśw. Panny, znak ślubu jego duszy z Bogiem, i odtrącając łaskę, popełnił w ten sposób grzech przeciwko Duchowi świętemu. »Niepodobna, aby zgorszenia przyjść nie miały, ale biada tym, przez których zgorszenie przychodzi« [1]).

Co sądzić o całej sprawie, a w szczególności o stanowisku w niej Mickiewicza? Pomimo, iż ćwierć wieku mijało od chwili, kiedy rzucał w świat *Odę do młodości*, był on wierny temu stanowisku, jakie tam zajmował; był wierny, choć najjaskrawsze pozory zdawały się świadczyć przeciw temu. Jak wtedy, tak i teraz chciał bryłę świata opasać łańcuchem ramion przejętych jednem uczuciem i pchnąć ją na nowe tory, jak wtedy, tak i teraz chciał uczuciem »złamać to, czego rozum nie złamie«. Różnica polegała tylko na tem, że wtedy chciał »gwałt odciskać gwałtem«, że w kłębach upojenia młodością rysowała się przed nim postać bohatera, co »dzieckiem w kolebce łeb urwał hydrze«, teraz wśród trosk wygnania jaśniała przed nim, jako wzór, postać Chrystusa, który ukochał nawet wrogów i świat zwyciężył tylko miłością.

Ale wzór był niedościgniony i nieszczęściem było

---

[1]) Współudział I, 223—226.

Mickiewicza, iż widział w Towiańskim jakby nowe wcielenie tego wzoru, nowego pośrednika między ludźmi i Bogiem, a licząc na cudowność tego szczerego, ale obłąkanego samozwańczem posłannictwem człowieka, wierzył, iż siłą ognia od niego zaczerpniętą można było skruszyć serce jednego z najdumniejszych mocarzy świata. Zresztą zapominał o tem, że Chrystus z nauką swoją nie zwracał się do silnych tego świata i nie szukał dla niej potężnych protektorów.

Podczas gdy Mickiewicz zajęty był realizacyą Sprawy Bożej na ziemi, Słowacki, zamknąwszy się w samotnym gmachu swojej wielkości i swego anielstwa, zajmował się, jak wiemy, fantastycznem objaśnianiem tajemnic stworzenia i pisaniem fantastycznych dramatów, w których echa tych tajemnic odzywały się. Przez cały rok od chwili ostatecznego zerwania z Kołem nie był żadnym odgłosem stamtąd potrącony i zdawało się, że zapomniał o przybranej przez siebie roli stróża prawdziwej wiary i cenzora czynności Koła, z którem zerwał. Ale pogłoski, które zaczęły obiegać emigracyę o tem, co zaszło w Kole w dniu 29 listopada, a potem publiczne wystąpienie Kamieńskiego, wyrwało go z tego zapomnienia i pobudziło do różnych uroczystych protestów i wynurzeń, które się w swoim czasie na światło dzienne nie ukazały, ale przechowały się w jego brulionowym pamiętniku, niezmiernie ciekawem źródle do dziejów ducha poety w owych czasach. Wynurzenia te w pewnej części zużytkowane były w pracach pp. Biegeleisena i Hoesicka, ale z wielkiem pomieszaniem chronologii i należytego związku wewnętrznego między niemi, a to z powodu, że w pamiętniku rozrzucone są bezładnie i bez widocznych wskazówek chronologicznych. Wszakże przy pilniejszem ich rozpatrzeniu związek ten i porządek chronologiczny do pewnego stopnia dają się uchwycić.

Za pierwsze z wynurzeń Słowackiego, odnoszące się do tej sprawy, należy, jak się zdaje, uważać ustęp, zapi-

sany na 55 i 56-tej karcie pamiętnika. Powstał on zapewne pod pierwszem wrażeniem pogłosek o piśmie do cesarza Mikołaja, pogłosek, którym naturalnie towarzyszyły narzekania emigracyi na to, do czego to doprowadziła wyznawców Towiańskiego jego nauka. W ustępie bowiem, o którym mowa, jest wprawdzie potępienie nowego zwrotu, który się objawił w Kole w dniu 29 listopada, a który Słowacki nazywa »rozkoronowaniem Polski«, ale ustęp jest przedewszystkiem zwrócony przeciw emigracyi, przeciwko niskiemu, dziecinnemu poziomowi jej ideałów i to tak w obozie arystokratycznym, jak demokratycznym. Słowacki zarzuca jej, że nie umiała podnieść się do wysokich prawd, zawartych w nowej nauce, i wydobyć ich, niby złoto, z rudy różnych naleciałości, — jak on to uczynił — i w blasku ich w »półboskiej postaci« zajaśnieć przed całą Europą; czyni ją nawet odpowiedzialną za to, co zaszło w Kole, za antynarodowy zwrot, który się w niem objawił.

»Emigracya — pisał Słowacki w pamiętniku — kiedyś odpowiadać będzie przed sądem narodu, że widząc tę ideę, zamiast wznieść się duchem i rozwinąć ziarno jej, na dnie każdego ducha ukryte, pozwoliła jej przejść w ręce ludzi, którzy widząc się .....[1]) posiedli ją sektarskiemi drogami. Twarz tej emigracyi z całą dziecinnością francuskich rysów stanie wywołana przed sąd i królestwo polskie; bo nie przeczyć prawdzie i wypierać się siły z prawdy płynącej należało, ale rozwinąć ją, oczyścić i przy ojczyzny sztandarze utrzymać trzeba było. Niech więc nie skarży się na dalsze skutki, które z osieroconej, jaką miała ta idea, pozycyi wyniknąć mogą... Niech nawet nie goni za nią, bo oto już ta idea poleciała na skrzydłach i jest daleko na dwóch drogach swoich... już jej żywotna siła stanęła w dwóch obozach, a emigracya została z swoją żołnierską siłą — stracona, jeśli się przed ducha wybra-

---

[1]) Wyraz nieczytelny, może »opuszczonymi«.

nym polskim sztandarem nie postawi. Wiem ja, że długo ona jeszcze upierać się będzie przy swoim widmie, które nazywa polską ideą, a które jest niczem innem, jak ideałem uczciwego hułana rębacza, który w demokracyi głośno o chłopach, a w arystokratycznym obozie głośniej jeszcze za porządkiem i formą obstaje. Hułan ten, którego poetą jest Niemcewicz, a wiarą niby wyższą kontrakt socyalny Russa, drogi jako obrazek, pokaże się niby złota i biegająca polem ptaszyna przy tych czarnych i mądrych kamiennych szeregach, które z ideą świata wojnę fałszowi na całym świecie wypowiedzą... i z rozpędem duchów nieśmiertelność w sobie czujących rzucą się na południe, a od północy murem się trwogi i wyciśniętym na samych Rossyanach poszanowaniem odgrodzą [1]). A niech pomyśli z żalem, iż wszelkie..... [2]) żal tylko i upadek ducha przynoszą — a człowiek próżno goni za ostatnim krańcem płaszcza odlatującej fortuny. — Niech pomyśli, coby to był za widok w Europie, gdyby w liczbie swojej, cudownym zapałem ogarnięta, w obliczu ludów stanęła i głosem narodu zaczęła teraz dyktować prawa Europie. Sława zaczęcia rewolucyi z nowego ducha — przodkowanie nowej epoce, starszeństwo między ludami — półboska postać względem Europy... wszystko to jednym krzykiem serca przez nią mogło być Bogu wydarte... O czemuż Boże nie dałeś braciom moim tego jedynego westchnienia za prawdą i za miłością nieistniejącą na ziemi... Czemuś dopuścił, że to znowu rozkoronowanie Polski odbyło się w ciemności, a jam nie miał ani jednego człowieka, któryby świadczył... że tu gwałt stał się bez przyzwolenia Polaków«.

Takie więc naprzód Słowacki zajął stanowisko w tej

---

[1]) Myśli te zostają w związku z wiarą poety, także w Pamiętniku na karcie 53 wypowiedzianą, że »duchy wędrują z południa na północ i znów w ciałach będąc, ciągnięte są ku południowi«.

[2]) Wyraz nieczytelny; możnaby tu spodziewać się słowa: »utyskiwania«.

sprawie, nie wychylając się zresztą ze swojej samotności, ze swego gmachu anielstwa. Jak dawniej jako Ateńczyk z pogardą patrzał na rubaszny czerep emigracyi, niezdolny ocenić jego fantastycznie nastrojonej lutni, tak teraz z politowaniem mędrca, który posiadł najwyższą wiedzę, alfę i omegę świata, i trzymał ją zamkniętą w swojej *Genesis z Ducha*, spoglądał, jak na igraszkę dziecinną, na ideały ciągle rojącej o zbrojnem powstaniu emigracyi, które dość trafnie uosabiał w postaci ułana, i na jej teorye społeczne, pożyczane od Francuzów.

Zaraz za owem wynurzeniem w pamiętniku Słowackiego, o którym mowa, następuje projekt pewnego aktu zbiorowego, odnoszącego się do tej sprawy, zachowany w początkowym tylko ustępie; karty, na których był dalszy ciąg, zostały wyrwane. Zachowany ustęp brzmi jak następuje:

»My którzyśmy stanęli przy sztandarze Sprawy Bożej, z najwyższego ducha miłości i prawdy chcąc wysnuć siłę ku zbawieniu ojczyzny naszej,

»Przekonawszy się, że dotychczasowi wodze nasi, którym z miłości poddaliśmy się i z pokory, nie odpowiedzieli zaufaniu naszemu, ale powiedli Koło nasze ku tym idealnym absolutnym celom, na których wszelka różnica czasem i charakterem między narodami położona ginie,

»Nie oskarżając bynajmniej przewodników Koła o złą wolę, ale z sumienia naszego czyniąc krok według nas potrzebny i konieczny,

»Zostawiamy odpowiedzialnemi przed Bogiem i przed narodem owe te nasze przewodniki za dalsze ich postępowanie, sami zaś nie odbierając sztandarowi prawdy i miłości, zaprzysiężonych serc i sił naszych powierzamy obronę«...

Na tem się oświadczenie zbiorowe urywa i nie dowiadujemy się, komu »niżej podpisani« poruczają obronę »zaprzysiężonych serc i sił« swoich. Z domysłów, jakie ten urywek nasuwa, najpodobniejszym do prawdy wydaje mi

się ten, że kiedy Słowacki dowiedział się o wyrzutach sumienia, które trapiły Kamieńskiego, zdawało mu się, że teraz nadszedł czas publicznego wystąpienia w roli obrońcy, chorążego i wodza należycie pojętej Sprawy Bożej, że teraz dokoła samotnej chorągwi, zatkniętej przez niego, zgromadzą się ci wszyscy członkowie Koła, którzy, podobnie jak Kamieński, w sumieniu swojem narodowem potępiają odezwę do cesarza Mikołaja. I oto aby ich zgromadzić i zgrupować koło siebie, pisze dla nich protestacyę, a pisze w jak najłagodniejszych wyrazach, aby wahającym się i nieśmiałym ułatwić przystąpienie do niej. Czy ta protestacya nie miała być także i pełnomocnictwem dla Słowackiego od secessyonistów do obrony sztandaru prawdziwej wiary, czy to nie jemu mieli oni powierzać obronę »zaprzysiężonych serc i sił swoich«? I to jest domysł możliwy, choć mniej już mający prawdopodobieństwa od pierwszego.

Czy próbował Słowacki zgromadzić na tej protestacyi podpisy jakich Towiańczyków, czy też przed próbą przekonał się w jakiś sposób, że byłaby ona bezowocną, tego nie wiemy, ale tego możemy być pewni, że żadna podobna protestacya nie przyszła do skutku, bo gdyby inaczej było, umiałyby coś o tem powiedzieć współczesne dzienniki emigracyjne.

Nie osiągnąwszy zamiaru zbiorowej protestacyi, nie otrzymawszy od innych »braci« pełnomocnictwa do wystąpienia przeciwko »dążności rossyjskiej« w Kole, Słowacki postanowił zaprotestować we własnem imieniu, jako stróż i chorąży prawdziwej wiary i napisał następujący list do Mickiewicza:

Bracie Adamie!

Przypominam ci, że przyjęty za brata w Kole waszem przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mię bratem być wyznał, w dniu pierwszym października 1834 r. (*sic!* o myłce w dacie później) listem do Koła braterskiego

pisanym, nie wyrzekłem się bynajmniej braterstwa, ale położyłem veto z ducha polskiego przeciwko dążności rossyjskiej, która mszę i nabożeństwo publiczne za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei podyktowała.

Przypominam, że jako pierwej tak i teraz veto moje nie zdjęte z Koła trwa na wieczność, a tem samem czyni nieprawnemi i bezskutecznemi wszelkie kroki, które Koło w tymże duchu, łączącym nas z Rosyą, przedsiębierze.

I żądam, aby ta nowa protestacya przeciwko ugięciu ducha polskiego przed cesarzem Mikołajem zakomunikowaną była w Kole dla wiadomości.

Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha ojczyzny mojej,

W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestacyę, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mojego.

Brat
Juliusz Słowacki.

List, do którego się tu Słowacki odwoływał, któremu po części przez nieuwagę, po części może przez zapomnienie dawał mylną datę (co się poecie nieraz zdarzało), był tą odezwą z końca 1843 roku, którą już we właściwem miejscu poznaliśmy. List, tylko co podany, był tylko jakby przypomnieniem i powtórzeniem dawniejszej protestacyi, pod względem tonu wcale od niej nie gwałtowniejszem. Ale była jedna znacząca różnica między pierwszą a drugą protestacyą: przed rokiem Słowacki nazywał Towiańskiego mistrzem i mówił o »wielkości poselstwa jego«, teraz był Towiański dla niego tylko Andrzejem Towiańskim.

Niebawem potem ukazuje się na widok publiczny pismo pułkownika Kamieńskiego do urzędu, wywołuje gromy potępienia i oburzenia na Towiańczyków, głosy wdzięczności i uznania dla patryotyzmu Kamieńskiego, i podniecając do wysokiego stopnia wyobraźnię Słowa-

ckiego, pobudza go do nowych wynurzeń, które przeznaczone były do ogłoszenia światu, ale, o ile wiadomo, nigdy za życia poety nie wyszły z kart notatnika. Jedno z tych wynurzeń ma formę dedykacyi. Zdało się wtedy Słowackiemu, że nadeszła stosowna chwila do ogłoszenia swojej *Genezis z Ducha,* że emigracya, głęboko poruszona odkryciem Kamieńskiego, przyjmie dobrze to dzieło, zwłaszcza jeżeli ono będzie dedykowane temu, który zjednał sobie wówczas jej względy przez wystąpienie z Koła i odkrycie jego tajemnic. *Genezis* zresztą miała rehabilitować to, co w nauce Towiańskiego, podług poety, było wielkiem, prawdziwem i zbawczem. Oto, co znajdujemy na 59-tej karcie czerwono oprawnego notatnika poety:

Dzieło to
poświęcam Pułkownikowi
Kamińskiemu (sic)
bratu memu w Bogu
który

z większą odemnie mocą polską i męczeńską broni duchem ostatnich szańców ducha... [tak jak niegdyś na czele konnicy rozbijał hufce moskalów i wracał z zaczerwienionym po rękojeść pałaszem] [1]). Sądzę, że Bóg go nie opuści, a ojczyzna niegdyś cała uwielbi moc i piękność, którą okazał jak prawdziwy wódz polski, walcząc w ciemności — bez słońca nawet, któreby zgon jego oświecić mogło.

A wy o! Polacy nie trwóżcie się i nie rozpaczajcie, a wierzcie że ludzkość nie przez oszustostwo kilku ludzi, ale przez spokojne a cierpieniem Bogu wydarte powolne rozwinięcie się prawdy postępuje, sprawie Bożej więc służąc, trzeba przysiądz prawdzie, a sił dobyć z miłości«.

Tak więc Słowacki w tym ustępie wielbiąc z właściwą sobie przesadą pułkownika Kamieńskiego, naczelników Koła traktował już jako oszustów, jakby pod wpływem

---

[1]) Ustęp w nawiasie jest przekreślony przez poetę.

tych słów *Trzeciego Maja*, który po ogłoszeniu pisma Kamieńskiego pisał o niem: »Pismo to winniśmy bez zaprzeczenia wysokiemu patrjotyzmowi Pułkownika, którego duch prawdziwie polski nie dał się uwieść oszustom« itd. [1]).

Ale dedykacya nie na tem się kończyła. Znajdujemy na dalszych stronicach pamiętnika (60 [b] i 61 [a]) ustęp, który jest widocznie dalszym ciągiem dedykacyi, przeobrażającej się już w przedmowę do *Genezis*. »Oto jest idea, której bronię od lat czterech [2]), która jak sądzę będzie zasadą nowej epoki. Jest to przeto stanowisko zupełnie spirytualne.

»Jedna jest tylko droga walczenia z ludźmi, którzy otrzymawszy prawdę z ducha, użyli tej siły przeciw ojczyźnie własnej — a tą drogą jest odkrycie tej samej prawdy doskonalszej i uzupełnionej, postawienie jej całej przed narodem.

»Gdy ludzie z nowowynalezionym prochem do wroga przechodzą, nie jest obrońcą ojczyzny ten, który wynalazkowi siły burzącej zaprzecza, — ale prawdziwym synem ojczyzny nazwałbym człowieka, który takiż sam proch [3]) — Gdybym dbał o własną spokojność i sławę, pisałbym rzeczy idealne, a odbiegł na zawsze tej idei, która pod hańbą teraz i przekleństwem zostaje — ale ta idea jest prawdą — a że ta prawda zbłocona i w upokorzeniu, miałżebym nie podnieść jej z prochu, nie obmyć ran, które poniosła, nie służyć jej, jak przysiągłem wobec Boga i ludzi? Zdarza się zaprawdę, że ludzie opuszczają dom, w którym ciężkie jakie nieszczęście ponieśli... przerażeni pustką ścian i wyciem wichru, który po sklepieniach głosy zmarłych przypomina. Lecz ja wolę w tej opustoszonej ruinie i w tym pustym kościele, wczoraj jeszcze pełnym dla mnie bratnich postaci, pozostać«.

---

1) *Trzeci Maj* z d. 27 lutego 1845.

2) Właściwie powinien był powiedzieć: od lat trzech.

3) Myśl niedokończona.

Hańba, która w opinii publicznej wskutek odkrycia Kamieńskiego spadała na Towiańczyków, zachwiewała i ten gmach anielstwa, w którym poecie, zamkniętemu ze swoją wszechwiedzą tajemnic świata i z poczuciem wielkości swojego zadania, tak było dobrze. Wszakże tej wszechwiedzy i tego poczucia zaczerpnął od Towiańskiego, a teraz ten Towiański przedstawił się światu i samemu Słowackiemu, jako oszust, uwodziciel. Czuł więc potrzebę umocnienia swego gmachu, obronienia swojej wiary od różnych wątpliwości nietylko wobec świata, ale i we własnem przekonaniu i to było pobudką do napisania ostatniego z przytoczonych ustępów.

Umocniwszy, we własnem mniemaniu, gmach swego anielstwa, podniecony powszechnem oburzeniem na Towiańczyków i dotknięty może słowami *Demokraty polskiego*, który chwalił Kamieńskiego za to, że usuwając się z Koła »nie poszedł śladem niektórych, nie chciał zamilczeć«[1]), Słowacki rzucił się do napisania nowej protestacyi, ażeby tym razem w jaskrawych i gwałtownych wyrazach potępić »dążność rosyjską« Koła, przypomnieć dawniejsze swoje *veto* z r. 1843 i wystąpić przed emigracyą, jako stróż »sprawy bożej i ojczystej«. Wprawdzie o ogłaszaniu drukiem i teraz nie myślał — co trochę dziwić musi — wszakże nie chciał już poprzestać na samem przesłaniu protestacyi do urzędu Koła, jak to dawniej uczynił, ale powierzał ją także do przechowania (a zapewne i do odczytywania innym) jednemu z dobrych znajomych, Józefowi Reitzenheimowi, w którego domu chętnie zawsze bywał, wabiony tam, prócz gościnności gospodarza, wdziękami młodej i pięknej jego żony, angielki. Nowa ta protestacya, wybornie malująca ówczesny stan podniecenia poety, zapisana jest na kartach Pamiętnika (od 64 do 66) i brzmi jak następuje:

»Do Koła całego tak zwanych Towiańczyków czyli

---

1) *Demokrata Polski* w numerze z dnia 1 marca 1845.

uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego, Adama Mickiewicza.

»Powołując się na veto i zaprzeczenie z ducha moje w dniu .....[1]) położone, przeciwko dążności rosyjskiej, która się wtenczas już w Kole braterskim pokazała,

Przekonany nie marnemi głosami, ale aktem publicznym pułkownika Mikołaja Kamieńskiego w dniu 1 lutego[2]) podanym do Koła i publicznie drukiem ogłoszonym, że dążność ta rosyjska przezemnie zaprzeczona i zatamowana, pomimo zaprzeczenia mego doszła do ostatnich granic hańby i upodlenia,

Plamiąc i hańbiąc ducha ludzkiego zaprzedawaniem się wolnych ludzi w poddaństwo, co także akt publiczny z dnia...[3]) drukiem ogłoszony na hańbę ludzkości uwiecznia,

Ohydę przynosząc duchowi polskiemu poddaniem się tegoż ducha cesarzowi Mikołajowi, na co dowodem mi jest wyraźne zeznanie tegoż pułkownika Kamieńskiego, a które to poddanie się zasłuży zapewne na samą pogardę cesarza Mikołaja, który otwartych nieprzyjaciół srogo a zdrajce ze wzgardą traktuje,

Zważając, że bohaterskie moje veto w boleści serca a bez ogłoszenia publicznego położone, nie tylko że nie

---

[1]) W autografie jest miejsce na datę niezapełnione; mowa tu jest o znanej nam odezwie Słowackiego do Koła z końca 1843 r., kiedy ostatecznie z niem zrywał.

[2]) Data błędna zamiast 16 lutego.

[3]) Data opuszczona. Mowa tu jest o akcie, którym Seweryn hrabia Biberstein Pilchowski zapisał się w poddaństwo Towiańskiemu, chcąc, jak powiedziano w akcie, aby ten krok jego stał się »wyzywem do poświęcenia się Prawdzie religijnej i narodowej, a więc i temu, kto jest jej naczyniem«. Akt nosi datę 11 stycznia 1845 a wydrukowany był w *Dzienniku Narodowym* z dnia 1 marca 1845 roku (Nr. 204), przyczem *Dziennik* robił uwagę, że akt ten stanie się »wyzywem do śmiechu, politowania i oburzenia«. W półtora roku potem okazało się, że Pilchowski chce pójść śladem Mirskiego, co wywołało ze strony Mickiewicza publiczne potępienie. Ob. Współudział II, 43.

zwróciło braci moich na drogę prawdy i miłości, ale owszem zatajone przed Kołem, widzialnego skutku pozbawione, przez dwa lata w samym tylko świecie ducha sprawy polskiej broniło i dopiero w d. 29 listopada jakby cudem Bożym wywołane przed nami w osobie pułkownika Kamieńskiego z martwych wstało i hańbiących Polskę i siebie poddawaniem się cesarzowi Moskwy przeraziło, ale nie zatrzymało,

Oświadczam,

Że veto moje niezdjęte z Koła, ciągle duchem trzymane i teraz ponowione, zostaje nadal kamieniem w Kole i murem z ognia, które to Koło pod zasłoną tajemnicy, straszne i ohydne rzeczy czyniące opasuje.

I będąc murem ogrodzenia a kamieniem zaprzeczenia, nie wypuści was inaczej, jak pozbawionych sztandarów i broni, innym wyrazem mówiąc, w świecie ducha pozbawiwszy was czci i czyniąc banitami względem Polski i Polaków, abyście w narodzie ani wody ani ognia nie znaleźli dla zalania powodzią cnoty jego i dla spalenia sztandarów jego.

Powołując was wszakże jako braci z miłością i upragnieniem na drogę czystą Bożą, obiecując wam miłość braterską, jeślibyście się wrócili z tej drogi, na którą was okropny podstęp ludzki i długo pracująca nad wami siła złego ducha zaprowadziła.

W przeciwnym zaś razie przeznaczając to veto moje, aby było węgielnym kamieniem i podstawą dla ludzi czystych i wysokich w Bogu, którzy za hańbą ojczyzny i duchem nieśmiertelnym ujmą się w spółce będąc ze mną, choćby umarłym.

I prosząc Boga, aby duch, w jakim to veto moje czynię, osądził i według osądzenia swojego spełnił lub odrzucił. Nic więcej nad wolę jego łaskawą nie mając na widoku w tym akcie moim, który jest najboleśniejszym aktem życia mojego.

Aby zaś prawność jego nie była zaprzeczoną, powie-

rzam go przyjacielowi mojemu Józefowi Rejtzenhaymowi, który jako prawy Polak i szlachetny niegdyś obrońca ojczyzny, dobrawszy sobie dwóch świadków, akt niniejszy w same ręce zastępcy mistrza złoży i zdjąwszy kopiją onego, podpisem dwóch świadków stwierdzoną kopię takową w pewnem miejscu zachowa i przy zdarzonej okazyi w pierwszym grodzie polskim do akt publicznych wniesie i oblatuje.

Ostrzegając was, że póki w ciele na ziemi ciałem i duchem, a po śmierci duchem i Boską jego istotą bronić będę z anioły pańskiemi.

Zastrzegam sobie nareszcie niniejszym aktem wolność czynienia dalszych kroków, które mi się dla wyratowania was samych i tej sprawy Bożej świętej i ojczystej wydadzą koniecznemi«.

W onych to zapewne czasach, z których pochodzi ta protestacya, w chwili jakiegoś silniejszego podniecenia, Słowacki na 60-tej karcie Pamiętnika zapisał drżącą ręką te słowa: »O! Polacy, gdybyście wiedzieli, przez ile mąk serdecznych otrzymuje się wodzostwo narodu«. Męki serdeczne, o których tu wspominał, odnosiły się niewątpliwie do hańby, jaka wówczas w oczach świata spadła na niedawnych jego współwyznawców, na tych, z którymi i dziś miał wiele wspólnych wyobrażeń i można wierzyć, że frazes użyty w ostatniej protestacyi, że jest ona »najboleśniejszym aktem jego życia«, miał w sobie znaczną dozę prawdy, że w istocie uczuwał litość nad tymi, na których powszechna zwaliła się pogarda, a których on miał nowym kamieniem potępienia przywalić. Ale nad temi przykremi uczuciami górowało podnoszące ducha przekonanie, że wskutek upokorzenia przeciwników, zupełnej kompromitacyi Towiańskiego i jego Koła, stawał się on jedynym chorążym Sprawy Bożej, jedynym wodzem duchowym narodu, i w ten to sposób należy rozumieć ów krótki, drżącą ręką nakreślony zapisek.

Otrzymawszy — we własnem przekonaniu — nieza-

przeczone »wodzostwo narodu«, Słowacki uważał, że należy teraz objaśnić naród o różnicach, jakie zachodzą pomiędzy jego zasadami a zasadami potępionych przez niego i przez naród przeciwników. W tym samym notatniku Słowackiego, który nam tyle dostarcza materyału do historyi ducha jego z czasów mistyki, są urywki jakiegoś memoryału, z których ten zamiar poety wywnioskować można. W jednym z tych urywków poeta pisał: »Ukochanie woli Bożej, które przez T(owiańskiego) głoszone za pryncypium a przez uczniow przyjęte, jest w zasadzie dobre, ale zgubne co do czasu; jakoż przekonawszy człowieka, że powinien ukochać wolę Bożą, możesz mu potem łatwo wmówić dogmatycznie, że wolą jest Boga, aby Polska nie egzystowała; trzeba więc człowiekowi pokazać ostateczny cel, który jest wolą Bożą na ziemi, a potem zostawić go z Bogiem, nie wiodąc do Boga przez cara« [1]).

W innym urywku, na karcie 74 i następnych, pisał, jak się można domyślać, o Towiańskim, że w proroctwa jego nigdy nie wierzył, »uważając je za empiryczną i słabą stronę człowieka, skądinąd znakomitego«. Znakomitym był dla niego zawsze, jako ten, który mu odkrył prawdę: »wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest«, prawdę, co jak błyskawica rozjaśniła mu nagle najgłębsze tajemnice świata. Tę prawdę on sam już rozwinął potem w szczegółach, zastosowując do genezy świata i dziejów ludzkości, a jej też zwycięstwu przypisywał, jak wiemy, i zdolność rozwiązania sprawy polskiej.

Otóż o tej prawdzie i o tem, w jaki sposób ma ona

---

[1]) P. Biegeleisen, który ten urywek podaje w swoim zbiorze różnych pośmiertnych pism Słowackiego (Juliusz Słowacki XXV), uważa go mylnie, zarówno jak i dalsze urywki memoryału, o którym mowa, za dalszy ciąg odezwy »Do Koła całego tak nazwanych Towiańczyków«. Że tak nie jest, świadczy o tem naprzód zupełnie skończona i zaokrąglona forma odezwy, powtóre, że w urywkach Słowacki mówi stale o Towiańczykach w trzeciej osobie, a nie w drugiej.

świat zdobyć, pisał w cytowanym urywku: »Mając ją jak sądzę pełną, powziąłem zarazem to przekonanie, że ta prawda Boża nie przez materyalną siłę, nie knutem wbita w ludzkość, ale spokojnie przez samo anielskie rozjaśnienie świata powinna go zdobyć. Anielstwa tej prawdy, jak sądzę, przeznaczonej dla Polski, dla prędszego wykonania nie uniżę przed żadną materyalną siłą; zostaję więc bez nadziei widomego zwycięstwa, nie mając ani jednego człowieka, któryby jak ja widzialnie zginąć na świecie chciał i być startym w przekonaniu, że będzie zwycięzcą po wiekach... Gdy więc przeciwnicy, a mogę ich nazwać w Bogu prawdziwymi wrogami moimi, gotowi są poddać się każdemu z mocarstw ziemskich i ufają jedynie w epoce, która im da całą materyalną siłę świata i ręce ich knutami uzbroi, ja z spokojnością zupełną a bez żadnej nadziei tryumfu oddaję się w ręce Boga, przysięgając nigdy z wiedzą żadnego fałszu za broń i za narzędzie nie użyć, ale samą czystą prawdą i miłością wojować do końca i po końcu widzialnego istnienia ducha mojego... Któż przy mnie stanie, albo kto większy przyjdzie, abym u nóg jego mógł złożyć to ciężkie brzemię, które nie brzemieniem jednego człowieka, ale brzemieniem całej ojczyzny mojej być powinno. Kto mię uwolni? i kto mi da wypoczynek? Muszę wołać słowami psalmu Dawida: kto mi da skrzydła jak gołębicy, (a) wzniosę się i polecę[1]... albowiem srogo jestem udręczony męczeństwem tej świętej idei, fałszami, z któremi weszła w traktaty, splamieniem i hańbą jej, której się dopuściła na duchu ludzkim, przyprowadzając go do stanu najwyższego helotyzmu, bez litości będąc dla biednych duchów, które, że tak powiem knutem ducha i ciągłej egzaltacyi pozbawiła ludzkiej godności i zamieniła w obłąkańców, którzy już są wszelkiego podobieństwa

[1]) W wypisach z dziejów Rusi, które w tych czasach robił Słowacki w swoim czerwonym notatniku, ten sam wykrzyk psalmisty włożony jest w usta księcia Michała Twerskiego.

z wizerunkiem Chrystusa Pana pozbawieni.—Oto jest utysk mój i skarga moja przeciwko braciom, przed oblicze świata zaniesiona, oto jest srogie uskarżenie moje przed narodem. Nie o zwyczajną zdradę, ale o zdradę ducha narodowego oskarżam duchy tych ludzi, o lekceważenie indywidualnych praw ducha i o skalanie dziewięćdziesiątych dziewiątych owiec, które wszystkie równo Chrystusowi są drogie; oskarżam ich o ten szpital pełny zwaryowanych i ugiętych (przed) materyalną siłą fiksatów, który z scholarskiej formy koniecznie urodzić (się) musiał; oskarżam ich o to nareszcie, że zrozpaczyli o samej Polsce i sile jej nie zaufali i wzgardzili jej sercem i hufcami. — Z dozwolenia bożego jako najczystszy i najwyższy duch przy sztandarze tej idei stoję, a ustąpię wkrótce tysiącom wyższych odemnie a słowami mojemi zbudzonych ze snu duchów, które już urodzone są w ojczyźnie mojej. A to nie jako człowiek, któryby chciał na upokorzeniu braci nogę swoją postawić, ale jako syn ojczyzny, nie widzący innego sposobu, jeno — ojczyznę całą, wskrzeszoną i żywą i zdrową«.

Ten memoryał czy manifest do narodu nigdy światła dziennego nie ujrzał za życia poety. Być może zresztą, że poeta i pisząc go nie myślał o drukowaniu, ale chciał tylko dla siebie i potomności zostawić ślad swoich uczuć i sądów. Jakkolwiekbądź, nasuwa się pytanie, jakie właściwie było stanowisko Słowackiego wobec dawnych współwyznawców, których uważał teraz za »wrogów swoich w Bogu« i o ile uzasadnione były sądy, które wydawał o nich.

Natura marzycielska, dla której marzenia zupełnie zastępowały rzeczywistość, człowiek, który właśnie bał się i unikał rzeczywistości, aby mu nie psuła i nie roztrącała marzeń, Słowacki zadowolony z przekonania, że posiadł najwyższą prawdę i że jest »najczystszym i najwyższym duchem« stojącym przy sztandarze tej prawdy, nie uczuwał nieprzepartej potrzeby działania na zewnątrz, o ile to działanie nie było koniecznie mu potrzebne do umocnienia

i ochronienia gmachu anielstwa, w którym się zamykał. To, co pisał o prawdzie bożej, że »nie przez materyalną siłę, nie knutem wbita w ludzkość, ale spokojnie przez samo anielskie rozjaśnienie swiata powinna go zdobyć«, a w czem wpływu Krasińskiego można dopatrzeć[1]), było zasadą, która doskonale odpowiadała jego usposobieniu i strzegła go od tych niefortunnych prób i ciężkich zawodów, przez jakie przechodzili ciągle jego »wrogowie w Bogu«. Ale nawet i ta zasada zdawała się być za ciężką na jego marzycielskie skrzydła, bo o tyle uchylał się od niej, że mając prawdę bożą, alfę i omegę świata, złożoną w swej *Genesis z Ducha* i gotową do objawienia się światu, do rozjaśniania jego swojem anielstwem, zwlekał przecież z jej objaśnieniem aż do śmierci i nie objawił jej, jakby lękając się, jakby instynktownie czując, że zaprzeczenia, któreby wywołać mogła, mogą zachwiać cudowny gmach jego marzeń.

Stanowisko jego przeciwników, w szczególności Mickiewicza, który był kierowniczym między nimi duchem, było wręcz przeciwne. Jego bohaterska natura nie poprzestawała na marzeniu i rwała się do natychmiastowego zdobywania świata dla prawdy, do bezpośredniego wcielania ideału w życie, a ponieważ w mistycznym obłędzie, jakim była wiara w boskość mistrza, pogardzał kontrolą rozumu i oddawał się całkiem przewodnictwu uczucia, wiodło go ono nieraz na manowce i wystawiało na ciężkie próby, zawody i potępienie publiczne. Co się tyczy »braci«, którzy nie mieli ani temperamentu Mickiewicza,

---

[1]) Mianowie w cytowanym już liście Krasińskiego z 12 kwietnia 1843 r. znajdował Słowacki takie słowa: »Czy nie nadszedł już czas, by zaprzestały prawdy walką świat zdobywać a zaczęły go ogarniać prostem samych siebie objawieniem, wyrzeczeniem, ukazaniem świetlanem, które przez moc swoją bożą, i rozumną i serdeczną zarazem, wszystko pogodzić musi i stanąć wyżej, niż wszystkie podrzędne sprzeczności dotąd stanowiące rozterkę wieczną świata«? Listy Z. Krasińskiego III. 48.

ani tak głębokich pokładów mistycznych ducha i żyli przeważnie pożyczanem od niego życiem duchowem, tych położenie było jeszcze gorsze, a stan moralny smutniejszy. To, co Słowacki pisał o nich, że święta idea przyprowadziła ich »do stanu najwyższego helotyzmu«, że »pozbawiła ludzkiej godności i zamieniła w obłąkańców«, że są »szpitalem pełnym zwaryowanych fiksatów«, to naturalnie były wyrazy gorączkowego oburzenia, które ze szczytu swego anielstwa autor *Genesis* rzucał na swoich »wrogów w Bogu«, ale że nie brak było tym oskarżeniom pewnej rzeczywistej podstawy, to mamy na to różne dowody.

Najlepszem z nich, najmniej podejrzanem świadectwem będzie zapewne to, co sam Mickiewicz mówił o Kole w mowie swojej z d. 21 listopada 1844. »Koło jest dziś w takim stanie, że gdyby ziemia wedle niego Mistrza sądziła, mógłby być skazany na śmierć, i mówił (mistrz), że nie miałby co przeciw temu powiedzieć. Gdyby patryota jaki Polak patrzał na braci naszych znędzniałych, zatopionych w marzeniach, porywanych chwilową egzaltacyą, cóżby powiedział: »Jakże to on takich ludzi potworzył«. I niezawodnieby potępił Mistrza. Tymczasem duch Mistrza był na to nam dany, aby każdy odtąd lepiej robił swe rzemiosło, lepiej pisał, lepiej urządzał swe interesa etc. Jednem słowem, dany był nie dla odjęcia, ale dla dodania nam siły, dla pomnożenia w nas tego talentu duchowego. A w tem wszystkiem cięższy grzech leży na tych braciach, co bujają duchem. Mistrz czuje bolesny stan Koła i powtarza z Mojżeszem: »Dałem wam błogosławieństwo, ale przyjdzie czas, że będzie wam dano (jak Izraelowi na puszczy) błogosławieństwo i przekleństwo; a chwila pierwszego jawienia się Sprawy na ziemi będzie rozdzieleniem takowem« [1]).

Jakąż radę dawał Mickiewicz »braciom«, ażeby wyprowadzić ich z tego smutnego stanu? Oto kazał im pa-

---

[1]) Współudział I. 196—197.

trzeć na mistrza i naśladować go w realizowaniu prawdy bożej w sobie, w swoich najbliższych stosunkach, w swoich codziennych interesach. I wtedy to powtarzał im te, już wyżej cytowane, jego własne relacye o sobie: »Nieraz przez cały dzień obmyślałem jak buty powinny być uszyte, po kilka godzin trawiłem w modlitwie, jak kupić ćwieki dla ojca do gontów, żeby to wszystko było w prawdzie itd.« Ale jeśli w istocie Towiański, dzięki szczególnej organizacyi swojej, dzięki przedewszystkiem niezachwianej niczem wierze w swoje wysokie posłannictwo, mógł służyć dla swoich wyznawców za wzór równowagi ducha, to jednak tych, którzy takiej szczęśliwej organizacyi nie posiadali, nie mogły doprowadzić do równowagi ani jego relacye o butach i ćwiekach, ani mistyczne nauki o przebijaniu ciała duchem.

Co się tyczy skarg patryotycznych Słowackiego na Towiańczyków, że popełnili zdradę względem ducha narodowego, że »zrozpaczyli o Polsce, sile jej nie zaufali i wzgardzili jej sercem«, to miały one pewne pozory prawdy za sobą, ale nie określały trafnie patryotycznego stanowiska Towiańczyków w danym okresie. Nie chcieli oni wtedy, jak utrzymywał Słowacki, prowadzić narodu przez cesarza do Boga, ale chcieli zarzucając myśl o powstaniu zbrojnem, o którem we śnie i na jawie marzyła ciągle emigracya, doprowadzić naród do niepodległości przez Chrystusa, przez wcielenie zasad ewanielicznych w stosunki międzynarodowe i do tego zmierzało, przynajmniej w intencyi Mickiewicza, poselstwo do cesarza Mikołaja. Że ten pomysł nie liczył się wcale z rzeczywistością, że był poprostu szaleństwem w oczach praktycznego rozumu; że nie mógł nie wywołać gorącego oburzenia emigracyi, która do tonu ewanielicznego dostroić się nie mogła, a w mistrzu gotowa była widzieć raczej nastawionego ajenta płatnego, niż pośrednika między ziemią a niebem; że wreszcie ten pomysł jak już wspomniałem, nie znajdował nawet wzoru dla siebie w ewanielii; to wszystko prawda: ale to wszystko nie

zmienia patryotycznego stosunku Towiańczyków, określonego wyżej, którego Słowacki nie rozumiał.

A jakież było stanowisko patryotyczne Słowackiego? Z przytoczonych wynurzeń jego przedstawia się ono nam tak niejasno, że musimy wnioskować, iż on sam nie wiedział dobrze, czego chce, t. j. jaką drogę wskazać narodowi do podźwignięcia się z upadku i do odzyskania wolności. Że chciał mieć »ojczyznę całą, wskrzeszoną i żywą i zdrową«, to wiemy, ale tego wszyscy chcieli i to był cel, nie droga do celu. Na »ideę polską« emigracyi, na »ideał poczciwego hułana-rębacza« spoglądał z wysokości *Genezis* z politowaniem, a więc i on wtedy odrzucał drogę zbrojnego powstania. Prawda, widział zbawienie świata i Polski w »świętej wiedzy«, która była w owej księdze złożoną, ale z ogłoszeniem księgi się nie śpieszył, i nie wskazywał, w jaki to sposób ta »święta wiedza« ma przynieść zbawienie. A to, co pisał o »czarnych i mądrych kamiennych szeregach, które z ideą świata wojnę fałszowi na całym świecie wypowiedzą i z rozpędem duchów nieśmiertelność w sobie czujących rzucą się na południe etc.« świadczy najwymowniej, jak w każdej sferze dawał się unosić i rządzić sobą fantazyi, a zasady i rozumowania zastępował fantastycznemi obrazami.

Kończąc rzecz o tej ukrytej w Pamiętniku walce Słowackiego z jego »wrogami w Bogu«, należy wspomnieć, że przechowało się tam także kilka fragmentów poetyckich, odnoszących się do tej walki. Najobszerniejszy z nich, drukowany w *Pismach pośmiertnych* poety p. t.: *Matecznik,* ale z opuszczeniami i w odmiennym waryancie, pochodzi widocznie z czasów, kiedy wyobraźnia Słowackiego była do najwyższego stopnia podniecona publicznem wystąpieniem Kamieńskiego przeciw Kołu. We fragmencie tym znajdujemy wyraz tych samych uczuć oburzenia i zgrozy, co i we współczesnych prozaicznych jego manifestach i protestacyach, tylko podniesiony jeszcze do wyższej potęgi. Koło, którego duszą i naczelnikiem był

Mickiewicz, nazwał Słowacki matecznikiem, czyniąc w ten sposób ironiczną alluzyę do sławnego opisu wnętrza puszczy litewskiej w *Panu Tadeuszu*, i puścił wodze fantazyi, aby z właściwem sobie upodobaniem w jaskrawych okropnościach odmalować w przerażający sposób wnętrze tego matecznika. Oto na próbę niektóre ustępy z tego fragmentu, pisanego drżącą ręką, jakby w malignie;

Oto Bóg, który łona tajemnic odmyka,
Podniósł wreszcie zasłonę czarną z matecznika
I pokazał... okropną umysłów ruinę,
Oczy krwią zaszłe... twarze zielone i sine,
Dogasające oczy przy ofiarnej czarze,
Zabójstwa serc i skryte na trupy cmentarze,
Kijami po moskiewsku nasiekane grzbiety,
Żywe źwierzęce widma... włóczęgi — szkielety,
Chodzące ludzi szczątki — ciał rzekomo ćwierci,
Pełny wężowisk — ducha matecznik... gród śmierci...

Tamże jest tron... jako grób straszliwy i czarny...
Na którym się pokazał ów niedźwiedź polarny,
Figura z krwi i ciała wewnątrz chora, pusta,
Mocarz zapowiedziany w proroctwie oszusta.
Przed jego pożyczoną już od Cara mocą
Szkielety waryatów kładną się, gruchocą,
Podlą się i za podłość mu składają dzięki,
Słychać trzask czaszek, grzechot piszczeli i jęki.
. . . .
Tam patrzaj — człowiek niby zachłyśniony Bogiem,
Ojczyzny — swojej matki dawnej — stoi wrogiem,
W serce, gdzie ona jeszcze święty ogień trzyma
Swemi sztyletowemi utkwiwszy oczyma...[1]).

»Człowiek zachłyśniony Bogiem« — to Mickiewicz »oszustem« — Towiański, jego proroctwo to *Biesiada*, w której jest mowa o niedźwiedziu polarnym, zasiadającym na tronie, a »szkielety waryatów«, to członkowie Koła.

Z trzech innych drobniejszych fragmentów, zapisa-

[1]) Rkp. Bibl. Ossol. 1792, Nr. 2, k. 67.

nych w Pamiętniku niewątpliwie w tym czasie, zasługuje na szczególną uwagę żartobliwo-złośliwy wiersz zaczynający się od słów: »Mój Adamito, widzisz, jak to trudno — Uprawiać cnoty pustyni odludno«. Jest on wyrazem złośliwej radości Słowackiego wobec powszechnego potępienia, jakie spadło wówczas na Mickiewicza i świadczy, że i w gmachu anielstwa odzywały się w nim czasem echa dawnych, bardzo ziemskich instynktów.

ROZDZIAŁ XIX.

Rozdrażnienie, sny i wizya.

1844—1845.

Macierzyńska krytyka mistycznych dramatów. — Anegdota o Kolumbie, jako odpowiedź. — Dalsza korespondencya z matką. — Krok bohaterski matki. — Słowacki wylewa żółć swoją na Szopena. — Obrona mistycznych dramatów. — Przypomnienie kościoła bez Boga. — Dwa obrazki Najśw. Panny. — Zwrot w usposobieniu Słowackiego. — Wizye senne poety przed transfiguracyą. — Wizye senne po transfiguracyi. — Sen o białych koniach. — Wizya na jawie. — Gmach anielstwa poświęcony. — Święta cisza życia poety.

Do rozdrażnienia Słowackiego i rozbudzenia w nim dawnego antagonizmu względem Mickiewicza przyczynić się mogła i współczesna (to jest z zimy 1844/1845) korespondencya z matką. Słowacki niedługo po wydrukowaniu pierwszych swoich dramatów w duchu mistycznym posłał był je matce, prawdopodobnie za pośrednictwem p. Bobrowej wracającej do kraju. Nie zaraz musiały one dojść do rąk matki, bo dopiero w listopadzie 1844 przesłała mu ona swoje o nich uwagi. Co sądziła o *Księdzu Marku*, nie wiemy; możemy się tylko domyślać, że choć z całości nie była zadowoloną, to musiała uznawać wysoką piękność wielu scen w pierwszych dwu aktach. Ale co się tyczy *Snu Srebrnego Salomei*, to wiemy, że przy czytaniu tego dramatu doznała nadzwyczajnego rozczarowania.

Syn jej pisał, że kończył swój dramat z zachwyce-

niem, którego wyrazić nie potrafi, że spodziewał się w nim uczcić matkę tak, ażeby jej imię, nadane bohaterce na cześć matki, »pachło na wieki, aby odtąd rozkochało ludzi, aby dziateczki maleńkie odpowiadały kiedyś na ten głos, którym stara Januszewska wołała śród czereśniowych sadów na dziecko swoje« [1]). Jakże wiele dobrego się spodziewała, jak mało znalazła! Nie mówiąc już o tem, że sama charakterystyka bohaterki daleką była od tego uczczenia, jakiego się matka miała prawo spodziewać, — ileż niekonsekwencyi, niedorzeczności, dziwactw, potwornych a gorączkowych obrazów musiało ją razić w utworze, który był na jej cześć napisany! Jakże odmienioną w źwierciedle tego dramatu wydała się jej postać samego poety-syna! Napisała więc synowi — naturalnie w wyrazach delikatnych — o swoim zawodzie i odrysowała mu poemat taki, o jakim marzyła, jakiego się spodziewała od syna, a to marzenie wydało się synowi tak pięknem, że jak świadczy w jednym z późniejszych listów, »uczuł niemoc własną, jak architekt ogromnym planem budowy, podanej mu do wykonania, zatrwożony« [2]).

List matki sprawił dotkliwą przykrość poecie, a nie dlatego tylko, że matka spodziewała się innego na swoje uczczenie poematu, ale przedewszystkiem, że nie umiała poznać się na wartości nowego stanowiska, jakie zajął jej syn według własnego rozumienia w poezyi, i nie przeczuła dotychczas Kolumbowej wielkości tego stanowiska. Oto jak jej na ten list odpowiedział: »Twoje rozczarowanie względem Salusi, — tak nazywał *Sen Srebrny Salomei* — dawno przezemnie przewidziane, spadło mi na serce ciężko, bo czemużbym miał przed tobą brać tę spokojną i marmurową postawę, którą przed światem mieć musi ten, kto ma coś większego do spełnienia, niż zajęcie kilku miejsc między zapyloną gromadą umar-

---

[1]) Listy II, 189—190.
[2]) Listy II, 225.

łych«. — Była już tutaj uwaga dla matki, aby syna nie oceniała, jako zwykłego autora, ale jako tego, który ma daleko wyższe zadania przed sobą. A dalej tak pisał: »Winien jestem i nie winien. Wiesz, droga, co się stało po odkryciu Ameryki? w księgach tego nie piszą, ale ja wiem od samego Kollumba. Oto po tryumfalnym jego przyjęciu w ojczyźnie, królowa wezwała do swego pokoju jednego z towarzyszy Kollumba i pytała go, czy to prawda, że Kollumb jednej z wysp nowo odkrytych dał nazwisko Izabelli? Prawda, odpowiedział dworzanin i lice królowej rozjaśniło się jak słońce; z uśmiechem więc rzekła: »Wyspa ta, jak sądzę, musi być największą z wysp odkrytych«? Dworzanin, który nie był jednym z przyjaciół Kollumba, ale owszem rad był zniżyć go, zwłaszcza, że uczynić to mógł bez fałszu żadnego, odpowiedział, że wyspa ta, imieniem Izabelli ochrzczona, wcale nie była wielką, owszem jedną z najnędzniejszych wysepek Oceanu. »Ale przecież, rzekła królowa, musiało się znajdować na tej wyspie coś czarującego, kiedy ją Kollumb moim imieniem ochrzcił; zapewne ogrody znalazł pełne róż i cynamonowych lasów? zapewne powietrze pełne ptasząt? których widok, jak tęcza z drogich latających kamieni, uderzył w oczy Kollumba i mój dyament królewski przypomniał»? Tu dworzanin już milczał, a królowa zachmurzona szła dalej: »to przynajmniej ludzie na tej wyspie odkryci muszą być wzorem elegancyi i rycerstwa, do dworzan moich tutejszych podobni wykształceniem i cywilizacyą«? Dworzanin i na to nie odpowiedział, a królowa dalej: »to przynajmniej mieszkańce tej wysepki muszą być ludźmi z natury cnotliwemi«...? Tu dworzanin ukłonił się i rzekł: »Najjaśniejsza Pani! wyznać muszę, że wyspa, twoje imię nosząca, zamieszkana jest przez Antropofagów«. Królowa odwróciła się... i nic więcej nie rzekła, ale wiadomo ci, droga, co się stało potem z Kollumbem«.

»Otóż to jest wyspa i całe tłómaczenie się moje. Pa-

miętaj ty jednak, droga, że nie jesteś ty królową jednej, ale wszystkich wysp moich«.

Ta dowcipnie ułożona anegdota historyczna była przeźroczystą parabolą i zawierała w sobie naukę dla matki, aby nie sądziła, że hajdamackie tło dramatu może cokolwiek ubliżać tej, na cześć której dramat był napisany i aby pamiętała, że ten dramat jest jak drobna wysepka Kolumbowa, mająca znaczenie nie sama przez się, ale jako cząstka wielkiego odkrycia. Nie byłże autor *Genezis* Kolumbem, odkrywającym nowy świat, — świat ducha? Matka wprawdzie *Genezis z Ducha* nie znała, ale syn ją w listach swoich wtajemniczał częściowo w główne zasady tej alfy i omegi świata, powinna więc była ją przeczuwać, powinna też była przeczuć, że jej syn jest »najwyższym i najczystszym duchem z dozwolenia Bożego stojącym przy sztandarze sprawy Bożej«. Możnaby też myśleć, że w tej anegdocie, mianowicie w jej zakończeniu, była i przestroga dla matki, podobna do tej, którą jej syn dawał przed kilku miesiącami, kiedy przyrównywał siebie do idącego wązką kładką nad falą ognistą pożaru.

Żeby pokazać matce, jak się powinna na niego zapatrywać, żeby ją przekonać, że nie powinna go uważać za zwykłego jakiegoś autora, chociażby znakomitego, ale za wybrańca bożego, mającego nadziemską misyę do spełnienia na świecie, opowiadał jej różne »dziwne okoliczności«, które dowodziły tajemniczego związku jego utworów ze światem niewidzialnym. »Widzisz ty, jak ja ukochałem *Księcia Niezłomnego,* w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał, odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna: w kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo«...

»W innym rodzaju, ale nie mniej dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy; oto w istocie

w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie, nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka; zabójstwo to zostało odkryte i ukarane — a dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką, przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną«.

»Mniejszych mnóstwo mógłbym ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdym jechał do Nazaretu, nazywał się Kirkor, tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi, że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby Zbawcę etc. Dlaczegóż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie«?

»Rzeczy te małe, uważane, dowodzą, że spełniamy jakąś misyę, że nas trzeba było, abyśmy byli, a nie będzie, jak nie będzie potrzeba. Spokojną wiec bądź o to wszystko« [1]).

Ale matki takie dowodzenia nie uspokajały, a historya o Kolumbie nie wydawała się jej dostateczną obroną *Snu Srebrnego Salomei.* Nie mogąc przytwierdzić słowom syna a nie chcąc go drażnić, milczała. Syn domyślając się może przyczyny milczenia, bo nie doczekawszy się jej listu, pisał do niej (w styczniu 1845): »Ty, droga moja, przywykłaś do dawnego tonu, do błyskotnych szat, w których występowałem, do melancholii, do jęków, wszystko to uderzało cię, jak echo, jak głos znajomy sercu twojemu; teraz przez długi może czas nie będziesz mogła się przyzwyczaić do człowieka, który z oskrobanej mojej figury pokazuje się«. I skarżył się na to, że »wszystko można zwyciężyć, nawet żądze serca własnego, a nie można odmienić serca rodzicielskiego kobiety, która zawsze sobie szczęście dziecka podług zwyczajnych ludzi wystawia. O! to słowo straszliwe i wnarodowione u nas: zrobić karyerę, ten wąż straszliwy! zdruzgotałbym go jak węża,

[1]) Listy II, 213—215.

gdyby on jeszcze gdzie ukryty leżał w twoich miłosnych dla mnie zachceniach«.

Ale bezpośrednio po tym wybuchu oburzenia, który niewątpliwie był szczerym, o ile się odnosił do karyery zwyczajnych »zjadaczów chleba«, następowało przypomnienie owej chwili z dzieciństwa, kiedy poeta zawierał pakt z Bogiem o sławę, przypomnienie, które szczególne światło rzucało na jego obecne dążenie do świętości. »Droga moja! ja ośm lat mając, przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, a za to za grobem o wszystko się upomnę, a ty chcesz«... Nie dokończył zdania, bo spostrzegł, że mimowoli znalazł się na dawnych torach, które wiodły nie do świętości, tylko do wielkiej, nieśmiertelnej sławy świeckiej. I złapawszy się na gorącym uczynku dążenia, które było również dążeniem do karyery, tylko »nie na miarę krawca, lecz Fidyasza«, karcił się zaraz ostro, przypisując ten mimowolny wyraz swego ducha działaniu złych potęg zewnętrznych. »Ale co ja piszę! głupi jestem i zapewne z duchami się biję mglistemi«. Nie. on o sławę teraz nie dba, pochwał ludzkich wcale nie potrzebuje. »Dziwny mój los, że ja wonią dalekich serc żyć muszę, a tu samotny, zostawiony tak przez Boga wielkim wnętrznym boleściom, bo ja nad światem cierpię tak, jak matka i pokarmu mi wielkiego potrzeba, a czasem ludzie tylko karmią z daleka, kwiatki rzucając... Nieraz widząc ten ślaz różowy, rzucony mi przed nos, chciałbym powiedzieć: czy mnie za osła bierzecie? a jednak trzeba być pokornym w przyjęciu wszystkiego, co od ludzi przychodzi«.

Inne go rzeczy teraz cieszyły i podnosiły. Oto gdy Zosia Bobrówna, widząc się z matką jego, »prawdziwie po anielsku śpiewała« jej o nim; albo gdy Wojciech Stattler doniósł mu, że synkowi swemu dał imię Juliusz i w ten sposób niejako »oddał pod ducha jego opiekę«. Słowackiemu zdawało się, że w ten sposób wyrasta już niejako na

świętego patrona kraju. »Cóż, droga, czy ty nie pojmujesz, że to jest niby zapisanie już moje czerwonemi literami w kalendarzu ziemi naszej«? Jakże mało potrzeba było poecie do snucia najpochlebniejszych dla siebie rojeń!

W końcu tego listu jeszcze raz nawoływał matkę do zespolenia się z nim duchowego, o które, jak wiemy, tak bardzo mu chodziło, bez którego nie mógł spokojnie mieszkać w gmachu swego anielstwa. I rzucał jej mistyczną przestrogę, odnoszącą się do migracyi dusz: »Pamiętaj! pamiętaj, że byłaś mi matką, a będziesz mi siostrą na wieki, a może i córką, bo ta troska twoja o mnie zrobi to, że ja cię przelecę i będę się może opiekował tobą, prosto czując, żeś mi podobna. Ty tego nie zrozumiesz może, droga moja... więc zostawić muszę wytłómaczenie przyszłości«... [1]).

Matka naturalnie tego zrozumieć nie mogła, natomiast jasno widziała, że syn znajduje się na drodze jakiegoś obłędu, który i na twórczość jego poetycką fatalny wpływ wywiera. Czy czuła ona, że syn nie jest tak obojętny dla sławy poetyckiej, jak o tem zapewniał, i chciała w tę strunę uderzyć, aby go z drogi błędnej sprowadzić? czy też chodziło jej tylko o to, aby synowi otworzyć oczy na artystyczne ułomności jego nowej poezyi? Tak czy inaczej, dość, że po trzymiesięcznem milczeniu, »wypłakawszy się w kącie z duszy całej«, postanowiła mu napisać otwarcie, co myśli o nowej jego poezyi, nie obwijając już w bawełnę, jak to czyniła w liście poprzednim. Wobec jej miłości dla syna, był to z jej strony krok bohaterski, na który zdobyła się może pod wpływem brata Teofila.

I napisała mu w tym liście, że on marnuje swój talent, że nie pisze tak, jak dawniej pisał, schodziła do szczegółów i wskazywała wyrażenia, które się jej wydawały niewłaściwemi i niepolskiemi i dawała radę, aby się nie śpieszył z drukowaniem swoich nowych utworów i do-

---

[1]) Listy II, 217—220.

piero po pewnym czasie, ochłonąwszy z gorączki poddawał je własnej chłodnej krytyce, jakby utwory obcego pisarza. Przy tej sposobności, wiedząc, jak wielką rolę w dawniejszej poezyi syna odgrywał jego antagonizm względem Mickiewicza, poruszyła i tę strunę, i przypomniała mu nieostrożnie Mickiewiczowskie określenie jego poezyi, jako kościoła bez Boga.

To wszystko srogo dotknęło poetę, najsrożej ostatnie przypomnienie. Takiego listu, takiej bezwzględnej otwartości nie spodziewał się Julek od matki, dla której zawsze, choć daleki i dojrzały wiekiem, nie przestawał yć bpieszczonym synkiem, która tak dbała o to, aby go w niczem nigdy nie urazić. I teraz nie mógł nie przyznać, że list matki był pełen czułości, a jednak z powodu onych rad, zarzutów i przypomnień wydał mu się listem bez serca. Szukał przyczyn, które matkę do napisania takiego listu skłoniły i nie znajdował, ale ponieważ matka pisała mu widocznie w tym liście, jak w smutkach swoich szuka ulgi w muzyce Szopena, ile poezyi znajduje w jego polonezach, więc odpowiadając na ten list, w braku innego winowajcy uderzył gwałtownie na Szopena, jakby na tego, który duszę jego matki, do niego tylko należącą, odrywa od niego i ku sobie zawraca. Muzyka Szopena! czemże jest muzyka Szopena wobec alfy i omegi świata? Muzyka Szopena to emetyk!

»Jest zwyczajem Anglików, — zaczynał tak swoją odpowiedź — zwłaszcza w klasie piwowarów i ludzi grubych krwistych organizacyj, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energią. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk, a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest enerwującą muzykę Chopina«.

»Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało otrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jej jedną lub drugą kuracyą. Lecz lękaj się obu dla ludzi wywiędłych i scho-

rzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzucą, a po koncercie Chopina część duszy własnej utracą«.

»I ty, droga moja, czuła, dobra, litośna, miłująca, siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się w kącie z duszy całej, wypłakawszy się napróżno, więc grzesznie, wypłakawszy się dla tego, bo cię semitonami i dyssonansami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Więc wiesz, co napisałaś? Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości, a dla człowieka prostego, z sercem, jest listem zupełnie bez serca pisanym. Ja także, droga moja, bardziej niż ty otwartym być muszę, bo tu o duszę twoją nieśmiertelną chodzi«.

Taki był wstęp do odpowiedzi na rady i zarzuty matki. Ale i w dalszym ciągu listu nie zapomniał Słowacki o Szopenie, jako o sprawcy tego, co go w liście matki tak dotknęło. »Boga na świadka biorę, żem ten list krytyczny (list matki) skrytykował duchem, wiedząc dobrze, że on nie z głębi twojej wyszedł, ale z tej nieszczęsnej atmosfery, smętnej, błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już nie sercem czujecie... Lubicie, co wam nerwy rozczula, a wstręt macie do zdrowych pokarmów... Widziałaś ty, aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkim, przez Chopina muzykę sprawionym, stał się lepszym, piękniejszym, litośniejszym, wyrósł na bohatera?... Jednę mi osobę zacytuj, a wyznam, żem nie miał racyi potępienia«.

Żądanie dowodów było oryginalne. Nie tu miejsce zastanawiać się i roztrząsać, jaką dozę prawdy miał sąd Słowackiego o szkodliwym wpływie muzyki Szopena, tak cudownie pięknej, a jednak w istocie mało zdolnej do wlewania hartu i pogody w serca i zasługującej poniekąd na epitet: dolewająca smutku do smutku. Ale warto zwrócić uwagę na to, jak Słowacki, któremu nawet w czasach towianizmu nie brakło krytycznego zmysłu, kiedy chodziło

o innych, do siebie tej krytycznej zdolności stosować nie umiał. Bo cóż to on przeciwstawiał jako »zdrowy pokarm«, »rozczulającej nerwy, łaskocącej semitonami i dyssonansami« muzyce Chopina? Swój w malignie urodzony *Sen Srebrny Salomei!*

Słowacki tłómaczył matce, która wychwalała zapewne w ostatnim liście jego dawniejsze utwory, że tylko przez porównanie z tonem ewanielicznym poznaje się wartość wszelkich utworów literackich. »Otóż ja ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapałem ani *Szwajcaryi*, ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu Salusi, albo też Wernyhory dramę w piątym«... Ale złudzenie poety w poglądzie na charakter swej nowej poezyi jeszcze naiwniej malowało się w dalszym ustępie: »Więcej ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego, z rodziną już czytać umiejącą, za sto lat, w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie, szczęśliwy, ogień pali się w izbie a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta *Balladynę*. Ten utwór bawi go jak baśń, a razem uczy jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze *Lillę*, to samo. *Mazepa* trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz zajrzał w *Godzinę myśli* albo w *Lambra* i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego. Otóż dlatego chłopka jest *Saly*, *Ksiądz Marek* i *Książe Niezłomny*«...

Razem z Chopinem dostało się w tym liście niemało i pani Georges Sand, tej samej, której powieści dawniej tak zalecał matce Słowacki, której duszę siedmiostrunną wielbił, odnajdując w niej pokrewieństwo z własną. Przyznając się przed matką do jednej tylko winy, mianowicie, że użył w dramacie »imienia świętego«, t. j. imienia matki, dodawał zaraz: »Lecz i tu, pomyśl ty, droga, gdybym ja napisał np. *Indyanę* stylem Pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną, dwa razy oplamioną, biegającą po mieście

aż do mieszkania amanta, nazwał twoim imieniem, ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansową, kwaśno-melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał tobie?... Rzekłabyś, że cud cudów!.. Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zamienia w Anielskie«?

A na krytykę swego stylu, którą znalazł w liście matki, odpowiadał z niemniejszą ironią: »Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę się ubrać, nim wystąpię?... Zamiast powiedzieć krótko: kocham cię, drukując to samo, muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie (!), np. posiadasz serce twego syna. To okrągło i pięknie! Tak gadają i piszą umarłe narody«... On chce pisać i pisze inaczej; »daję wam w Poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl, jak potrawę ciepłą na stół podaje«. A gdyby nawet w istocie talent się jego obniżył, to czyż do matki należało wytykać mu ten upadek? »Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedy w szczęściu, a dziś podupadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w Aniołów krainie, jeżeli więc prawdziwie (a ty wiesz, że bez winy własnej) podupadłem, to powiedz mi, czy to do ciebie należało mi pokazywać, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mnie w swoim eleganckim Chopinowym salonie«?

Ale największy żal do matki czuł Słowacki za przypomnienie owego wyroku, który Mickiewicz wydał o jego poezyi przed trzynastu laty, zaraz po ukazaniu się pierwszych jej tomów, owego porównania tej poezyi z kościołem bez Boga. Ten wyrok, który tak ważną rolę odegrał w tragedyi jego życia, był jakby groźnem widmem, które tyle razy stawało mu na drodze do sławy. Ale poecie zdawało się, że od chwili, kiedy w nim zaszła transfiguracya, od chwili, kiedy wszystko, co pisał, uważał za idące wprost z natchnienia Boskiego, nikt nie ośmieli się już wspomnieć o dawnej pustce jego kościoła. Tymczasem przypominano mu ją i teraz jeszcze, i kto przypominał, kto naj-

boleśniejszą, ledwie przygojoną rozdrapywał ranę? Własna, najtroskliwsza i najczulsza matka.

Więc ze źle hamowanym gniewem pisał do niej: »Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko urągać, rzucił przed piętnastu (sic) laty, przeczuwszy, że ta plotka, gorsza stokroć niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegała po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona w niejednym niby szacunek mojej osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyj moich. Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem, nie artykułami gazetowemi, ale samym wnętrzem pism moich. Ta plotka już jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kąt niebios, a ty mi ją z całą świeżością nową oddałaś w liście«. A dotknąwszy wspomnianej już przezemnie rady ze strony matki, aby syn nie śpieszył się z drukowaniem, aż póki ochłonąwszy z gorączki nie odczyta utworu swego, jak gdyby był utworem innego pisarza, pytał ją z nadzwyczajuem rozdrażnieniem: »Więc ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, t. j. emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów? To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: ach! teraz Adam pęknie z zazdrości, albo Szekspir wróciwszy z grobu, omdleje... to w takim razie... powinienbym być kontent z siebie«?... Jakże go to bolało i drażniło, że matka w nim ciągle widziała dawnego człowieka, a nowych jego wyobrażeń o sobie, o swojem powołaniu, o swojej poezyi nie mogła zrozumieć.

W liście swoim p. Bécu przesłała była synowi dwa obrazki Najśw. Maryi Panny: na jednym była jakaś madonna włoska, na drugim Najświętsza Panna Berdyczowska. Piewszy p. Bécu ofiarowywała synowi, drugi — jego Kirkorowi z *Balladyny*. Dar ten pozostawał w związku z jednym z ostatnich listów poety (30 listopada 1844), gdzie

była mowa o podobieństwie p. Bécu do Matki bolesnej i o niespodzianem spotkaniu w Jerozolimie człowieka z nazwiskiem Kirkor. Ale poeta w rozdziale darów, w tem, że matka dla niego przeznaczyła madonnę włoską a dla Kirkora berdyczowską, widział jakby jakąś naukę, wskazówkę dla siebie ze strony matki, jakby wskazówkę kierunku artystycznego, przez nią zalecanego, jakby wezwanie do zawrócenia z drogi, na jaką wszedł w mistycznych swoich dramatach. Madonna włoska wydała mu się przedstawicielką, albo orędowniczką takiej poezyi, jaka była w jego szwajcarskiej sielance miłosnej lub *Ojcu Zadżumionych;* berdyczowska była dlań naturalną patronką mistycznych dramatów na tle konfederacyi barskiej. To też poświęcił obszerny ustęp listu tym obrazkom, aby odeprzeć ukrytą naukę w tym podarunku zawartą.

»Z listu twego wypadł naprzód obrazek N. Panny, ale nie ten twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojej tragedyi posłany... O! jakże mi widok tej prostej królowej w koronie, z berłem w ręku i z maleńkim Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudym i smutnym, w płaszczu, który mi się wydał błękitnym, lilijami złotymi ohaftowanym... jak mi ten widok był rozczulającym i rodzinnym... a napis: Berdyczowska, ta sama, która nademną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw dotąd i służył Bogu...[1]) O! jak to wszystko mi łzy wydarło! Natychmiast, w jednej chwili, te wszystkie wspomnienia, królewskość jej w tym sztychu, nawet jakaś święta niemoc prostoty uderzyły na mnie cudowną potęgą... A potem, w liście twoim druga... pięknie ubrana, z dzieckiem rumianem.... w której nic nie było świętego, tylko myśl twoja i chęć twoja i dotknięcie rąk twoich«.

A rozwiódłszy się następnie nad znaczeniem N. Panny w dziejach świata, znowu zawracał do obrazków. »Ja, droga moja, byłem w Nazarecie i poszedłszy do lasu oli-

---

[1]) Komentarz do tych słów nieco niżej na str. 190 i 191.

postać podobna między Nazarenkami po wodę przychodzącemi nie zjawi... Otóż nie podług twego obrazku oczekiwałem czegoś podobnego do Niej, ale podług tej Berdyczowskiej, tylko w tęczowych kolorach, z niebieską przeźroczystością i blaskiem. Wiem ja, że wizerunek jest niczem, ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia... A ja chciałbym, ażeby uczucie twoje było srebrne, jak gołębica. Kirkor może swój obrazek nosić na piersiach podczas batalii, i po batalii leżyć z nim cały krwawy twarzą do Boga... A ktoby zobaczył zapłakałby, mówiąc: oto święta jakaś z jego ojczyzny przyniesiona... Ja mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi, ale nie odpowiada memu smutkowi i często bolesnej twarzy... Ja często umęczony, a ty nie wiesz, że mi krzyża czerwonego przed oczyma potrzeba, ale nie sztychu z Włoch« [1]).

Szczęściem dla matki, list ten bardzo długi a pełny cierpkich dla niej wyrzutów, nie został wysłany. Poeta czuł potrzebę wylania swego żalu na papier, ale kiedy już ten żal wypisał, ociągał się z wysłaniem listu, kiedy zaś nowy list od matki otrzymał, list, w którym matka starała się zatrzeć w synu przykre wrażenie, wywołane poprzedniem pismem i jakby na pociechę synowi przesyłała widok Krzemieńca, Słowacki postanowił zachować przy sobie ową gniewną polemikę z matką, a jej doniósł tylko, że napisał był długi list do niej, ale go nie posyła. »Nie myśl, że w nim co było ważnego. Zamykał tylko niektóre uwagi nad naszym sposobem widzenia rzeczy i troszkę był gniewny za to, że ty nerwom swoim rozharmonizowanym polonezami Chopina, pozwalasz nad głębią duszy twojej panować« [2]). W ten sposób godził się syn z matką i sam siebie uspokajał, tłómacząc sobie, że jej opór względem jego nowych wyobrażeń i nowego kiewnego, siadłem przy studni i czekałem, azali mi się jaka

[1]) Listy II. 221—228.
[2]) Listy II. 229.

runku poezyi wypływał nie z głębi ducha matki, ale tylko z wpływów zewnętrznych, które działały na powierzchnię jej ducha.

Do zatrzymania gniewnego listu, który pisany był jeszcze przed wystąpieniem publicznem pułkownika Kamieńskiego z *Pismem do urzędu*, przyczyniło się zapewne niemało to wystąpienie. Przykre uczucia, wywołane krytycznym listem matki, zatarły się pod silnem wrażeniem *Pisma do urzędu* i okrzyku powszechnego oburzenia na koło Towiańczyków, który w ślad za pismem go doszedł, a który utwierdził w nim przekonanie, że teraz »wodzostwo narodu« jemu się niezaprzeczenie dostaje. »Dobroduszne urąganie« Mickiewicza, które mu matka przypomniała, a które go tak zabolało, znajdowało teraz, w oczach Słowackiego, jakby zapłatę: tą zapłatą było powszechne potępienie Mickiewicza za to, co się działo w kole 29 listopada ubiegłego roku. Rozdrażnienie Słowackiego, skierowane przedtem przeciw matce, zwróciło się teraz w stronę Mickiewicza i jego koła i wyraziło się w tonie różnych protestacyj i okolicznościowych wierszy, któreśmy już w poprzednim rozdziale poznali.

W krótkim a wesołym liście z 14 marca 1845, który zastąpił ów dawniejszy, długi a gniewny list z lutego, donosił Słowacki matce przedewszystkiem o tej sprawie emigracyjnej, o tem, że go »dotychczas różne niedorzeczności dawnych znajomych smuciły...« »Pan Bóg mnie jak zwykle ratował i wyprowadził dawno z domu tych ludzi, którzy epidemiczną chorobę wpuścili do siebie; widząc ich jednak z dziećmi i z żonami chorujących, choć daleki, nie mogłem jednak serca mego od żalu obronić. Piszę ci to o domu Państwa M(ickiewiczów), z któremi wiesz, że długo żyłem po bratersku«.

W liście tym Słowacki kilkakrotnie akcentował swój smutek z powodu upadku Mickiewicza w opinii publicznej; ale jeśli z tym listem porównamy jego współczesny złośliwy wierszyk, zaczynający się od słów: »Mój Adamito,

widzisz jak to trudno«, to musimy zgodzić się na to, że ów smutek był więcej pozorny, niż rzeczywisty. Był to smutek spadkobiercy wielkiego mienia po dalekim a niemiłym krewnym, wywołany wieścią o niespodziewanej śmierci tego krewnego. Spadkiem dla Słowackiego, jak wiemy, było »wodzostwo narodu«.

Następnie pisał w tym liście: »Oprócz tego smutku, nic więcej złego nie zlało się na mnie; owszem, ciągle mi świat sprzyjającą twarz pokazuje, ze smutku odludnego chce uleczyć, zabawami różnemi znęca do wyjścia z siebie i do rozpierzchnienia się na wszystkie błyskotne tęcze teraźniejszych światowych istotek... Wiem, że i ty, droga moja, połączysz twój głos z ludźmi i nie będziesz ucieszoną z tego, co piszę... Ale cóż robić? żyję, jak umiem, a gdyby ludzie czuli, jak ja żyję, to pewnie inaczejby żyć nie chcieli« [1]...

W tych słowach wyraziło się zadowolenie i uspokojenie, jakiego doznawał Słowacki, gdy umocowawszy nad sobą swój gmach anielstwa, tak silnie wstrząsnięty macierzyńską krytyką, oddawał się spokojnie złudzeniu, że jest duchowym wodzem narodu, jego aniołem stróżem. Złudzenie to spotęgowało się niebawem do najwyższego stopnia i stało się dla poety niewzruszonym dogmatem, wskutek pewnej hallucynacyi, pewnego cudownego widzenia, które miał na jawie, a które było dlań widomym znakiem, zatwierdzeniem niebios, że jest takim wybrańcem bożym, za jakiego się uważał.

Do tego czasu Słowacki miewał tylko wizye senne, t. j. sny tak wyraziste, że i po przebudzeniu się zostawały mu w pamięci z całą świeżością barw i rysów. Był też oddawna skłonny wierzyć w ich prorocze znaczenie. Tak jeszcze w roku 1831, niedługo po przyjeździe do Paryża z Londynu, pisał do matki: »Wiecie iż teraz snom wierzę i mam przekonanie powzięte z doświadczenia, iż nie-

---

[1]) Listy II, 228—229.

które są prawdziwe. W domu, gdzie mieszkałem w Anglii, jednej nocy obudził mnie sen okropny: było to 16 augusta; zdawało mi się, że należę do zaburzeń. Kiedym szedł na herbatę, wszyscy spostrzegli zmęczenie na mojej twarzy, wyznałem im ze wstydem sen nocy i przepowiedziałem na ten dzień coś ważnego. Anglicy potem mieli mnie za obdarzonego drugiem widzeniem«. Tak więc, jeżeli możemy zupełnie zaufać słowom poety, przeczuł on we śnie demagogiczne rozruchy i egzekucye warszawskie, które poprzedziły upadek stolicy [1]).

W siedem lat później, będąc we Florencyi, miał sen o matce, jakby zwiastujący mu ciężkie przejścia, przez jakie przechodziła wówczas jego matka, przez jakiś czas więziona z powodu sprawy Szymona Konarskiego. Pisał o tym śnie z Paryża, znacznie później, w takich słowach: »Ośm temu miesięcy, przyjaciel mój Zygmunt, przyjechawszy zdaleka, doniósł mi, że ty, droga, nowych doznałaś i niezasłużonych nieszczęść; a choć w sny nie wierzę, sen jednak dziwniejszy nad wszystko, miesiącem przed tą wiadomością, pokazał mi ciebie wypadającą z powozu, wywracającego się nad brzegiem przepaści, w głębi której płynęła przezroczysta rzeka... Ja zostałem na górze i widziałem ciebie usuwającą się szybko po stromym brzegu przepaści, nareszcie widziałem, jak upadłaś w wodę, jak szaty twoje nabrzmiały, jak szłaś coraz dalej i dalej i nareszcie znikłaś w głębinie. Sen ten... chwila ta była mi jak wieczność długa, a gdy ciebie straciłem z oczu, przebudziłem się w ciemności i usiadłszy na łóżku, płakałem.... Odtąd co dnia wyglądałem czegoś złego [2]).

---

[1]) P. Méyet w przypisku do tego ustępu (Listy I. 63) objaśnia, że Słowacki stosuje swoje słowa do »zaburzeń i silnych rozruchów ulicznych w Londynie i Bristolu» z powodu odrzucenia billu o reformie parlamentu, ale na objaśnienie jego zgodzić się niepodobna, bo cóż za związek pomiędzy tym billem a sferą przeczuć Słowackiego!

[2]) Listy II, 113.

Podkreślone przezemnie zdania zostają w sprzeczności z sobą, ale pogodzić się dadzą w ten sposób, że poeta, rozumem biorąc rzeczy, w sny nie wierzył, a jednak mimo woli i rozumu przykładał do nich wagę. Ale do czasów transfiguracyi sny takie, które zwracały na siebie uwagę poety, śniły mu się bardzo rzadko; przynajmniej należy tak sądzić z listów jego. Jeszcze na parę miesięcy przed transfiguracyą, miał on sen o »kochance pierwszych dni«, o Ludce, który z właściwym sobie wdziękiem stylu, bardzo szczegółowo opisał we współczesnym liście do matki. Dziękując matce za wiadomość o Ludce, (która to wiadomość może nawet była pierwszem potrąceniem tej fali w myślach, co mu obraz kochanki we śnie przyniosła) tak pisał: »Niedawno miałem o niej sen śliczny... zdawało mi się, żeśmy się spotkali u stóp wielkich, olbrzymich wschodów, w przysionku jakiegoś pałacu... Wiedziałem, że ją tam spotkam, zebrawszy więc całą moc i energię, przystępowałem do niej i spojrzawszy na twarz jej, niestety, już zmienioną. założyłem ręce i chciałem do niej mówić... Ale zaledwo pierwsze słowa wyrzekłem, buchnął mi z serca płacz gwałtowny i padłem na wschody, jak Dante przed Franceską... Wtenczas ona, stojąc nademną z litością, ręką zdjęła ze swej twarzy tę niby maskę mglistą, która ją była odmieniła i piękniejsza niż dawniej, przez kilka chwil patrzała na mnie. Potem zaczęła iść po wschodach zwolna... i słyszałem echo jej chodu coraz wyżej niknące, aż nareszcie znikło zupełnie. Lecz ten gest, którym ona z twarzy swojej zdjęła odmianę całą lat i smutków, był zadziwiającej piękności. Tak, sen jest czasem cudownym malarzem i moralistą« [1]).

Łatwo się zgodzić z poetą, że sen był tym razem cudownym malarzem, ale dlaczego moralistą? Jaką naukę, jakie znaczenie przypisywał mu Słowacki? W obszernym liście (z 16 maja 1842), z którego ten obraz snu wyjęty,

---

[1]) Listy II, 156.

nie ma nic, coby posłużyć mogło za wskazówkę do rozwiązania tej zagadki. Ale gdybyśmy chcieli z naszego oddalenia dziejowego w śnie tym proroczej szukać allegoryi, tobyśmy ją łatwo znaleźli. Wszak ten sen wyśnił mu się na parę miesięcy przed nagłem a głębokiem przeobrażeniem jego duchowem, więc był jakby zwiastunem zbliżania się tej przemiany. Olbrzymie wschody, wiodące do jakiegoś pałacu, to transfiguracya, która go zawiodła do gmachu anielstwa, a Ludka, zdejmująca mglistą maskę, aby zpod niej ukazać twarz piękniejszą, niż była dawniej, to jakby symboliczne przedstawienie tej przemiany w pojęciu o piękności, jaka zaszła w Słowackim po transfiguracyi.

Ale nie bawiąc się w tłómaczenie szczegółów, można za poetą śmiało powtórzyć, że sen bywa czasem cudownym moralistą, a to w ten sposób, że w fantastycznych obrazach wydobywa z głębi nieświadomych stanów i stawia przed spojrzeniem ducha ludzkiego to, co w świetle świadomości ludzkiej na jawie znika, jak znikają gwiazdy na firmamencie, gdy go słońce rozjaśni. I ten sen, mojem zdaniem, należy tak rozumieć: był to wyraz fantastyczny tych nieświadomych stanów jego duszy, które poprzedziły i przygotowały wielki a nagły przełom duchowy w poecie. Nie przeczy to temu, co powiedziałem wyżej, że może wiadomość o Ludce wpłynęła na ukazanie się jej postaci we śnie.

Od czasów transfiguracyi Słowacki zaczął zwracać baczną uwagę na sny swoje, i upatrywać w nich tajemniczych znaków dla siebie ze świata ducha. Zaraz w pierwszym liście do matki, gdzie jej napomykał o wielkiej przemianie wewnętrznej, jaka w nim zaszła, opisywał jej sen swój, który miał dla niego znaczenie wróżby. »Śniło mi się niedawno, że chodzę z tobą po gaju Czerczy, że mi pachnie konwalia, że widzę płomienie pieców cegla-nych i słyszę Bazylijańskie słowiki i odpowiadające im słowiki z żydowskich mogiłek. Ten sen tak jest porządny

w zmianach, że obwiniać go nie można o niepodobieństwo... Cóżbyś ty, droga, zrobiła, widząc mnie u nóg twoich... na ławie domku twego? Na samą myśl taką łzy zalewają mi oczy i serce leci ku tobie. Proszę cię, czytaj ewangeliję i łącz się ze mną modlitwą«.

Cóż znaczyły te słowa? Oto, że poeta widział we śnie swym wróżbę prędkiego a szczęśliwego powrotu do kraju. Były to przecież czasy, kiedy Towiański zapowiadał wojnę wielką, która emigracyę miała zaprowadzić do Polski, a miało się to stać tak prędko, że w oczekiwaniu jej radził podobno emigrantom, aby nie kupowali odrazu funta świec, dosyć po jednej [1]). Ten błogi optymizm odbił się i w powyżej zacytowanym ustępie z listu Słowackiego.

Z początku 1844 roku, zamknąwszy się w gmachu anielstwa, poeta im więcej oddalał się od ludzi, tem głębiej zanurzał się w sobie, w świecie mar, które snuła jego wyobraźnia, czy to na jawie, czy we śnie, i tak pilną zaczął zwracać uwagę na sny, że zapisywał je w swoim, na niedługo przedtem kupionym, notatniku w czerwonej oprawie, o którym wiele razy już była mowa. Na karcie 47 tej książki znajdujemy następującą notatkę: »Myślałem 6-go stycznia 1844 o matce, ile łez wylała, i miałem sen o niej, że ją widzę na Czerczy górze, na samym wierzchu skał, jak fontannę w kształcie szerokiego namiotu ze spadającej srebrnej wody. Cudny namiot łez, abym się podeń schronił i był ukryty«. Nie zaniedbał też opisać tego snu matce, w liście o miesiąc późniejszym (2-go lutego) i do opisu dodał wyjaśnienie: »Wytłómaczyłem sobie, że to jest prawdziwy namiot schronienia się z łez wylanych nademną« ... [2]).

---

[1]) Obacz list Mickiewicza do Ign. Domejki. Korespondencya Ad. Mickiewicza I, 159, a także Wład. Gołembiowski: Mickiewicz odsłoniony i Towiańszczyzna, Paryż 1844, str. 67.

[2]) Listy II, 194. Nie prostuję tego, co p. Biegeleisen napisał o dacie tego listu w przedmowie do wydania *Genesis z Ducha* i innych pośmiertnych pism Słowackiego, winienem tylko zaznaczyć, że

Jakże się mylił poeta w tym wykładzie snu, ale jak wiernie się scharakteryzował w tej omyłce! Sen w istocie był symboliką pełną znaczenia. Wszakże było to w czasach, kiedy matce zdawało się, że straciła swego dawnego Julka, którego tak kochała, tak dobrze rozumiała i z którego tak dumną była, i że miejsce syna-jedynaka zajął ktoś inny, do tamtego wcale niepodobny; i kiedy zastraszona pogróżką synowską (»garść prochu mego i puste echo«) nie śmiała nawet z trwogi się swojej przed nim wynurzać. Jakaż to fontanna łez musiała w owych czasach w milczeniu płynąć z oczu matki i jaki wyrzut dla siebie powinien był znaleźć syn w tej symbolice, którą mu sen przynosił zaczerpniętą z głębi nieświadomych stanów jego duszy! Ale on, zgodnie z wiarą w swoją doskonałość anielską, znalazł tam tylko pomyślną dla siebie wskazówkę, i fontanna łez matki zamieniła się w wyobraźni jego w namiot anielski.

Niebawem poeta przeznacza osobne miejsce w notatniku (od karty 27-ej do 29-ej) do zapisywania snów i to nietylko swoich, ale i cudzych. Zapiski następują po sobie chronologicznie, przyczem zwykle dokładne daty snów są podawane. Pod datą 8-go marca 1844 czytamy taką notatkę: »Śnił mi się nieboszczyk Książę Orleanu, jak gdyby wchodził na wschody Tuilleryjskie i ze mną mówił, a potem imię moje zapisał do pugilaresu... Miałożby to być, że mię ten duch chce do swego zboru przyciągnąć? Uderzył on mię po ramieniu i pytał, czy się tem dotknięciem nie obrażam; odpowiedziałem mu wierszem Calderona, że »król nie może urazić«. Następna notatka brzmi: »Dnia z 3-go na 4-go kwietnia (1844) sen o łabędziach, których białość mię zdziwiła. Wstawszy myślałem, że jest rozkaz, abym poszedł do Tuilleriów, gdzie łabędzie pływają. Jakoż skoro nad sadzawką staną-

---

oprócz tej daty, jest wiele innych dat w tej przedmowie, wymagających także sprostowania.

łem, ptaki te z drugiego końca płynęły do mnie, i w takiej zupełnie pozycyi zatrzymały się, jak owe we śnie widziane — ale nic więcej. Wieczorem dopiero zrozumiałem, że to jest przypomnienie się duchów Julii i Jasia [1]), bo Julia łabędzie miała i karmiła«.

W snach, Słowacki widział coś więcej, jak wskazówkę, jak potrącenie ze świata duchów: widział także i odblask, przypomnienie przeszłych, przeżytych żywotów. Mamy tego dowód w następującej notatce, bezpośrednio pod snem o łabędziach zapisanej. »Opowiadała mi pani R... (prawdopodobnie pani Reitzenheim, piękna Angielka, o której już była mowa) o swoim śnie, że widzi zawsze niby zamek starożytny, gdzie jej pokazują szufladę pełną starych pieniędzy i mówią, że to do niej należy — potem ją fale porywają, z któremi ona walczy. Cudne wspomnienie, pewnie była dziecięciem pieszczonem, bogatem, które rodzice psuli, pieniądze jej pokazując — potem utopiła się może w podzamkowej rzece, może ją w wodę zbójcy rzucili... Teraz ta pani, cudnej piękności, młoda, zupełnie jak gdyby za expiacyą, z nędzą walczy, dziatki sama wychowuje i przyznaje się, iż w sercu tęskni za majątkiem... że jej się zdaje, iż z pieniędzmi byłaby szczęśliwą — i sen ów przemawia do niej napróżno, albowiem z trudnością poddać się jej woli Bożej przychodzi«.

Sny, które uznawał za znaczące, najczęściej go nawiedzały — jak to z notatek wywnioskować można — na wiosnę, osobliwie w kwietniu. Z sześciu snów własnych zapisanych w r. 1843, cztery pochodzą z tego miesiąca. Do tych ostatnich należy i ten sen z 14-go na 15-ty kwietnia, wprowadzony przez poetę do dramatu p. t. *Agezilausz*. Do snu tego w notatniku poeta nie dodał objaśnienia, ale w dramacie, jak widzieliśmy, daje on »rzeczy tajemnych widzenie«, jest dla bohatera, króla Agisa, zna-

[1]) Julia Michalska, która poślubiła wuja poety, Jana Januszewskiego.

kiem, że ma wkrótce zginąć. Rzecz tu godna uwagi, że Słowacki, gdy nie mógł snu swojego wprost do siebie stosować, stosował go przynajmniej do bohatera, z którym poczuwał się do solidarności duchowej.

W roku 1845, którym się obecnie zajmujemy, jeden sen tylko zapisał w pamiętniku, ale ten sen ma również datę kwietniową. Na karcie 28 (strona *b*) pod datą 15-go kwietnia 1845 czytamy: »Sen dziwny — niby mnóstwo koni białych jak srebro — nad dachem zamku wielkiego ulatywało w powietrzu, ciągnąc niby w szafirowy błękit gromadą łabędzią — lecz te konie unieść się nie mogąc zleciały wielką chmurą na dół, aż na ziemię, i podniosły kurzawę grubą, w której zniknęły z całym obrazem«.

I do tego snu nie dodał poeta objaśnienia, ale nie można wątpić, że i w nim upatrywał jakieś tajemnicze znaczenie. Dla nas ten sen godnym jest uwagi z tego względu, że obrazem swoim wiąże się z dziwnem wspomnieniem, przywołanem przez poetę w liście do matki o parę miesięcy wcześniejszym, mianowicie, jak Najśw. Panna (Berdyczowska) przeniosła nad nim »sto dzikich koni, niby na skrzydłach anielskich, aby był żyw dotąd i służył Bogu«. Kiedyż to się stało? Sięgając w przeszłość poety, o ile nam jest znaną z jego listów i pamiętników, znajdujemy jeden tylko wypadek, który mógł służyć za podstawę do owego wspomnienia. W pamiętniku pisanym w lipcu 1832 w Paryżu, opowiada Słowacki swój pierwszy przyjazd do Warszawy w lutym 1829. Jechał przez Nowy Świat sankami i oglądał się wkoło. »Zdaleka ujrzałem konie unoszące, lecz w przeciwną stronę leciały... mało na to dawałem uwagi. Wtem sanki, w których jechałem, zatrzymują się, powoźnika, obróciwszy się, już nie ujrzałem za sankami, a nademną tuż, tuż leciały rozhukane dwa konie, schyliłem się w sankach, i w tejże chwili oba konie przeskoczyły przezemnie i tuż przy moich sankach, które z ich sankami zaczepiły się, upadły.

Przyszedłszy do przytomności, wyskoczyłem i znalazłem się wśród leżących na ziemi koni«. I już wtedy widział w tem Słowacki jakąś wróżbę dla swojego pobytu w Warszawie.

Być może jednak, że poeta pisząc o interwencyi Najśw. Panny, miał na myśli inny wypadek, w szczegółach nam nieznany, a o którym wiemy tylko z krótkiego przypisku matki na jednym z listów syna florenckich, gdzie Słowacki pisząc o tem, jak go koń poniósł na drodze do Pratolino, dodawał: »To mi potwierdziło, że nieszczęśliwy jestem do koni, ale że od nich nie zginę«. Do tego ustępu matka, w późniejszych zapewne czasach, gdy porządkowała listy syna, dopisała te słowa: »Przypadek z końmi w Berdyczowie«[1]). Ale chociażby wspomnienie Słowackiego odnosiło się nie do Warszawy, ale do Berdyczowa, chociażby nie dwa, ale więcej koni nad nim wtedy przeleciało, to jeszcze mamy tu przykład, jak wyobraźnia Słowackiego mistycznie nastrojona przekształcała i wyolbrzymiała obrazy dawnych wspomnień, jeżeli w nich odpowiedni do swego nastroju znajdowała materyał.

Ale nie na tem koniec. W wypadku rzeczywistym, to jest we wspomnieniu, jakie po sobie zostawił, możnaby widzieć pierwsze ziarno owego »snu dziwnego«, który poeta zanotował w swojej książce czerwonej; można przypuszczać, że obraz stu dzikich koni, jakby na skrzydłach anielskich ulatujących, który poeta wysnuł z dalekiego wspomnienia, pisząc znany nam list do matki, tak żywo się w jego wyobraźni zarysował, że w parę miesięcy potem odbił się we śnie, w owym obrazie mnóstwa koni białych jak srebro, ulatujących w błękit i spadających potem na ziemię.

Tak więc mamy tu przykład, jak w Słowackim wrażenia świata rzeczywistego, przetapiały się naprzód w fantastyczne marzenia, a z tych marzeń potem w wizye senne.

---

1) Porówn. Listy II, 106.

Poświęciłem snom poety tyle uwagi dlatego, że w jego życiu ówczesnem odgrywały one rolę ważniejszą od wypadków zewnętrznych, t.j. miały ważniejsze od nich dla poety znaczenie. Cóż go obchodziło teraz to, co się działo na ulicy, na świecie, w literaturze, jego, który miał słońce prawdy, ukryte jakby w zanadrzu przy sobie i na ludzi patrzał z politowaniem, jak na dzieci, budujące domki z kart? Czegóż się mógł od nich dowiedzieć? Przeciwnie sny przynosiły mu tajemnicze znaki ze świata duchów, który jedynie był dla niego rzeczywistym, w snach znajdował poeta rady, wróżby i przestrogi dla siebie. — Zresztą dopiero na tle tych wizyi sennych można dobrze zrozumieć, czem była i jakie miała znaczenie dla Słowackiego owa cudowna wizya na jawie, o której już wyżej wspomniałem.

Było to w nocy z dnia 20 na 21 kwietnia, w kilka dni po owym śnie o białych koniach. Wiemy od samego poety, że cisza nocna i koloryt nocy działał zawsze niezmiernie podniecająco na jego wyobraźnię. Jeszcze przed dziesięciu laty ze Szwajcaryi pisał, że zawsze się lęka odczytywać rano nocą pisanego listu. »W nocy nieraz zdolnybym był zginąć, jak Agis, król Spartański. Kilka godzin snu dziwnie zmieniają człowieka, ciało bierze przewagę nad duszą i myślą. Rano nieraz przedałbym moje pierworodzeństwo za misę soczewicy« [1]). Łatwo zrozumieć, że w czasach pogrążenia się w mistycyzmie, to podniecenie, wywoływane nocną porą, musiało być jeszcze większe. Poeta siedział w swojej cichej pracowni, rozjaśnionej tylko światłem jednej świecy i dumał. Wiemy nawet, o czem; o tem, co było wówczas głównym przedmiotem jego rozmyślań: o *Genezis z Ducha,* a zapewne także i o swojem »wodzostwie narodu«, co zresztą jedno z drugiem wiązało się bardzo ściśle. Jako ten, który po ogłoszeniu pisma Kamieńskiego do Urzędu Koła, uważał się za niezaprzeczo-

[1]) Listy I, 282.

nego wodza narodu, sądził Słowacki, iż obowiązek mu nakazuje zaraz ogłosić narodowi tę księgę, w której on znajdzie rozwiązanie wszystkich tajemnic świata a zarazem i drogę swego zbawienia, i księgę tę, jak wiemy, dedykował Kamieńskiemu. Ale jakiś instynkt wewnętrzny, powiedziałbym, samozachowawczy, opierał się temu rozumowaniu; była to jakby tajemna obawa, że wystawienie alfy i omegi świata na widok publiczny, na publiczne sądy a może i szyderstwa, zburzy a przynajmniej zamąci ten spokój anielstwa, którym się poeta otoczył, w którym mu było tak błogo, a którego lekkie nawet naruszenie sprawiało mu przykrość.

Wiemy, jak sobie wyobrażał zwycięstwo prawdy, zawartej w *Genezis:* że »spokojnie przez samo anielskie rozjaśnienie świata powinna go zdobyć«. Ale czy świat a przedewszystkiem jego naród dojrzał do jej przyjęcia, do tego, aby się spokojnie dać rozjaśnić tą prawdą? Kiedyż nastanie taka cisza, że »Polska to usłyszy, co ja słyszę«? wołał Słowacki w dalszych pieśniach *Beniowskiego*, a i teraz nie był pewny, czy taka chwila nadeszła.

Więc się wahał, czy ma ogłosić *Genezis*, czy też to światło trzymać jeszcze pod korcem. W tej niepewności czekał jakiejś wskazówki, jakiegoś natchnienia z góry. Przed dziewięciu laty, kiedy go także trapiła wielka niepewność, czy ma puszczać się w daleką i trudną podróż na Wschód, której mu wujostwo odradzali, szukał wskazówki w Biblii i ta »otworzona losem« rozstrzygnęła niepewność, bo na wybranej w ten sposób karcie znalazł Słowacki słowa: »kościoły Azyjskie pozdrawiają was«. Jeżeli wtedy, więcej jako fatalista, niż jako chrześcijanin, odwoływał się do Biblii, to cóż dziwnego, że i teraz, kiedy był cały obrócony twarzą w świat ducha, szukał tam także rozwiązania dla swej niepewności. Tylko tym razem, sądzę, nie spuszczał się na los, ale sam sobie wybrał z Biblii ustęp, ażeby w nim znaleźć to, czego pragnął.

Tym ustępem był pierwszy rozdział ewanielii św. Jana,

ten, do którego pierwszych słów, jak wiemy, nawiązywał Słowacki swoją teoryę świata. W tym ustępie, zdawało mu się, najodpowiedniej jest szukać — w niepewności dotyczącej wydania *Genezis* — jakiegoś ukrytego znaku, tajemniczego skinienia dla siebie. I oto kiedy doszedł do 18-go wersetu, znalazł tam takie słowa:

»Boga nikt nigdy nie widział; on jednorodzony syn, który jest w łonie ojcowskiem, ten nam opowiedział«.

»Boga nikt nigdy nie widział«! te słowa uderzyły poetę-mistyka. A cóż, gdyby to, co nigdy nie było, stało się w nadzwyczajnych czasach, jako łaska dla »najwyższego i najczystszego« ducha na ziemi? Poeta od świecy, która rozjaśniała mu karty Biblii, podniósł głowę do góry i — stało się nagle coś cudownego. Górna część pokoju jego uciekła gdzieś wysoko, zamieniając się w kopułę niebios ogniami objętą i ten widok napełnił go przerażeniem a zarazem pewnością, że oto ma się stać to, czego dotąd nigdy nie było na świecie, że wywołany jego gorącem pragnieniem ma mu się ukazać Ten, którego dotąd nikt nigdy nie widział. Jakkolwiek przerażony tem widzeniem, oczu jednak nie odwracał, ale owszem, przeszywał wzrokiem wijące się ognie, aby przyjąć łaskę, jakiej żaden z ludzi dotąd nie doznał, aby ujrzeć tego, którego te ognie zwiastowały, i tylko w przerażeniu szeptał: »Boże ojców moich — zmiłuj się nademną, Boże ojców moich, bądź mi litośny«.

Ale wpatrującym się w ognie oczom poety nic się z poza nich nie ukazało, coś tylko błysnęło, niby miesiąc biały w górze, i widzenie znikło, zostawiając poetę w chwilowem osłupieniu i w niewzruszonej wierze, że mu się sam majestat boski w tych ogniach objawił.

A teraz wypada mi przytoczyć dowody, że cały ten tutaj odmalowany przeze mnie obraz nie jest w niczem wymyślony, ale cały wysnuty z różnych, skombinowanych z sobą i stosownie objaśnionych świadectw samego poety.

Zdania, w których te świadectwa są mniej widoczne, podaję rozstrzelonemi czcionkami.

Więc oto naprzód, co znajdujemy w czerwonej notatkowej książce poety na karcie 28(b) zaraz pod owym snem o białych koniach. »Z d. 20 na 21 kwietnia — Widzenie na jawie ognia ogromnego nad głową — kopuły niby niebios całej ogniami napełnionej — tak, że w okropnym przestrachu mówiłem: Boże ojców moich zmiłuj się nademną — i niby z chęcią widzenia Chrystusa przeszywałem wzrokiem te ognie, które się odsłaniały — i coś niby miesiąc biały ukazało się w górze — nic więcej«.

»Boże Ojców moich bądź mi litośny«!

To samo widzenie obszerniej opisał na osobnej kartce, która się przechowała w papierach pośmiertnych poety, a opis ten, przeznaczony dla narodu, miał być — jak się zdaje — przyłączony do *Genezis z Ducha*, o której wydaniu wówczas poeta zamyślał. »O Polsko moja — kiedym się wahał z wydaniem tej księgi, a był właśnie w połowie tej ewangelii, która jej ostatnie karty zamyka — coraz mocniej przerażony odpowiedzialnością przed Bogiem, oświecony zostałem ogniami niebieskimi w nocy z dnia 20 na 21 kwietnia — i w stanie zupełnie spokojnym — bez najmniejszego krwi poruszenia, ani rozegrzania, przerażony zostałem mocą Chrystusa już na ten świat nadchodzącego, przymuszony wymówić słowa, których nigdy w życiu nie używałem. Szelestem ogni tych, wichrem niby bożym zewsząd owiany i zagrożony — prawie umarły... a za zniknięciem onych w jednem okamgnieniu powrócony zimnej rozwadze.. i przytomności... Mówię to po rozwadze głębokiej, a nie dla chwały własnej — bo cóż jest chwałą robaczka, którego Chrystus Pan raczył mocą niebieską przerazić? — mówię — abym nie zataił przed światem mocy bożej — pewny, że to wyznanie w wieku dzisiejszym ujmie mi cześć (sic) w obliczu świata, który chętnie one te rzeczy szalbierstwu albo chorobie zwykł przypisywać — sądząc,

że ujmują powagi rozumowi i stają na drodze cielesnym i ciągle idącym w górę usiłowaniom narodów«...

O jakiejże to księdze mówi poeta w tym opisie i jaka to ewanielia zamyka ostatnie karty tej księgi? Żeby to zrozumieć, trzeba odczytać ostatni ustęp *Genezis z Ducha*, ustęp, który był widocznie dopisany dodatkowo już po owem cudownem widzeniu. «Ojcze Boże... według świadectwa Chrystusa Pana przez nikogo jeszcze na ziemi niewidziany, a który teraz przez krwawe i udręczone tłumy kształtów Genezyjskich, ciemną dla formy — ale łaskawą i sprawiedliwą względem Duchów i Ducha mego, a stąd jaśniejszą i niby zbliżoną twarzą spojrzałeś: Spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń: droga miłości i wyrozumienia, coraz mocniej jaśniała wiedzy Słońcami... i lud twój wybrany, a drogą boleśną teraz idący, do Królestwa Bożego zaprowadziła«.

Z tego zakończenia wyraźnie wynika, że ową księgą, z której wydaniem wahał się poeta, jest *Genezis z Ducha*, że przez ewanielię, która jej ostatnie karty zamyka, rozumiał poeta pierwszy rozdział ewanielii św. Jana, gdzie się znajduje wspomniane w zakończeniu świadectwo Chrystusa o tem, że Boga nikt jeszcze nie widział na ziemi. »Krwawe i udręczone tłumy kształtów genezyjskich«, przez które Bóg »niby zbliżoną twarzą« spojrzał na poetę, to są ognie, które mu się ukazały i przeraziły swoim blaskiem krwawym i szumem. Z zestawienia też podanych świadectw wynika, że opis na osobnej kartce jest późniejszy od dodatkowego zakończenia *Genezis*.

Zachodzi teraz pytanie, co z tej wizyi wywnioskował poeta, jak ona oddziałała na jego zamiary i wyobrażenia? Przed wizyą wahał się z wydaniem *Genezis*; jakiż rozkaz, jaką wskazówkę przynosiła mu w tym względzie wizya? Z przytoczonego tylko co, a już po wizyi dodanego zakończenia tej księgi możnaby myśleć, że Słowacki zrozumiał z początku wizyę, jako skinienie z góry, aby wyda-

wał *Genezis*. A przecież nie wydał jej, ani wtedy, ani potem. Trzeba zatem przypuścić, że pierwotne tłómaczenie cudownego zjawiska ustąpiło niebawem innemu, wręcz przeciwnemu, że w ogniach, które mu się ukazały, a tak go przeraziły, domyślił się przestrogi przed przedwczesnem wydaniem księgi tajemnic świata.

Ale jeżeli miał jakie wątpliwości, jak wizyę uważać: za rozkaz czy zakaz wydawania *Genezis?* to był najświęciej przekonany, że wizya jest uroczystem zatwierdzeniem ze strony Niebios tego wszystkiego, co roił o sobie i o genezie świata. Stała się ona dla niego źródłem nieznanych mu dotąd rozkoszy, płynących z tej umocnionej cudem pewności, iż jest wybrańcem Bożym i zostaje pod bezpośrednią opieką bożą. Jego gmach anielstwa poświęcony został przez samego Boga; teraz nic mu nie pozostawało, jak po tym gmachu w szatach świętości chodzić do końca życia, a po śmierci w postaci tryumfującego anioła ulecieć w świat czystego ducha.

Echa tych rozkosznych uczuć poety znajdujemy we współczesnych listach do matki. We dwa lub trzy tygodnie po wizyi (w maju 1845) pisał do niej: »Najdroższa moja! Chciałbym skąd dostać teraz melancholii, którą wiem, że ty lubisz, a która gdzieś ode mnie i ze mnie zupełnie uciekła. Duch mój obrócił się cały naprzód... w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się, a żadna kochanka nie jest tak piękną, jak to uczucie wnętrzne, które coraz dalej prowadzi, nie do fantastycznych niebios, ani do kościelnych aniołów, ale do prawdziwej doskonałości przyszłego żywota. Jakże ja ci, droga, wytłómaczę ten wzrost nagły i to odmienione we mnie pojęcie naszego życia na ziemi... jakże ci dam uczuć te powiewy ogniste z niewidzialnego świata, które do mnie przylatują?... Módl się, droga moja, stojąc prosto przed Bogiem, i wierz mi, że są rzeczy, o których myśleć dawniej nawet nie umieliśmy«[1]).

---

[1]) Listy II, 230—231.

Poeta nie śmiał tu jeszcze opowiadać szczegółowo matce swojej wizyi; może bał się, aby tem opowiadaniem nie popełnić grzechu, może lękał się niedowierzania matki i wuja. Ale przy końcu listu, o którym mowa, jeszcze raz wspomniał o wizyi, a raczej o jej znaczeniu, o przekonaniu, jakie ta wizya w niego wlała, i to przekonanie usilnie pragnął przelać w matkę. Więc nawiązując do tego, co matka mu w ostatnim liście o swoich snach mówiła, tak pisał: »Te sny, które mówisz, że schodzą do ciebie i mocniej się czuć dają... dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchów, którego my jesteśmy członkami, a czasem tylko narzędziami nic nie wiedzącemi... Takim narzędziem byłem długo ja sam... narzędziem wichrów i tęcz niewidzialnych, teraz dopiero rządzony przez Najwyższą Sakramentalną siłę Chrystusa... Czy ty zrozumiesz to wszystko«?... »Jaśniej tłómaczyć się nie mogę, to tylko wiedz, że nie imaginacyą rządzon jestem, ale rzetelną siłą, tak wielką, iż zaledwo to pojąć mogą zmysły moje... Proszę cię, wiarę miej, bo na tym wszystka moc nasza leży, a wierz mi, a tyś uwierzyć w to powinna, boś mię w łonie swoim niegdyś czuła, wierz więc, że się czuję w łonie Nieśmiertelnej natury Słowa... a nic ci nie piszę z zimnej myśli i z utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wnętrznej«...[1]).

W tym samym, długim liście dawał matce ciekawy obraz swego obecnego stosunku do świata i obraz tej świętej ciszy, jaka panowała w jego mieszkaniu. »W tym miesiącu — pisał — dziwnym zbiegiem chorób trzy razy śmierć weszła do domu, w którym mieszkam i zaczerniła go... Ostatni zaś raz wszedłszy... zabrała ładną czternastoletnią panienkę... której rodziców okna o pięć kroków są przed mojemi oknami, oko w oko się patrzą na siebie... Ojciec, siodlarz dość bogaty, i matka, oboje uczciwi nadzwyczaj

[1]) Listy II 234.

ludzie, ale jak zwyczajnie teraz Francuzi, bez żadnej wyższej duchowej wiary, a w poczciwości jednej świętej cel żywota zakładając, wychowali to dziecko z nadzwyczajną troskliwością, nigdy nie wypuszczali na ulicę, nigdy nie otworzyli jej serca żadną egzaltacyą«... Otóż ta dziewczyna, zdrowa i kwitnąca jak róża, nagle krwią uderzona w głowę, »poszła na cmentarz«. Jednocześnie syn wylosowany został do wojska, »i oto te ciche dwa pokoiki, w które ja mimowolnie, jedząc obiad w pierwszym moim pokoju, przez okna patrzeć muszę, puste teraz, wymiecione nieszczęściem... przez dwoje średniego wieku cnotliwych ludzi zamieszkane, czarne okna mają, które chyba już rozjaśni świętość Chrystusa«.

Ta śmierć dawała mu obfity pokarm do rozmyślań: jak źle rodzice wychowywali córkę, jak śmierć jej była nauką dla nich, wreszcie nad tem, co teraz porabia jej dusza? gdzie się znów widzialnie objawi? i t. d., i zdawało mu się, że całą »tę historyę duchów« widzi tak wyraźnie, jak gdyby się »w kryształowych ciałach odbywała«. A po tem wszystkiem pisał: »Tą historyą, sądzę, że cię wprowadziłem do domku mojego i dałem ci uczuć powietrze, które w nim panuje... Cichość jakaś święta, pełna uwagi na świat zwróconej, ale nie bez łez dla świata, ani bez modlitwy za umarłemi, bom i część tej nocy, gdy ta dziewczyna umarła tak blisko leżała, przepędził, modląc się... i czytając ewangelią z tą myślą, że dla ducha jej słuchającego czytam... Wystaw sobie tę ciszę, która wtenczas u mnie panowała... i zobacz światło świecy mojej i usłysz głos mój poważny, jak głos którego z dawnych ojców moich, i otwórz i przeczytaj który z najspokojniejszych rozdziałów Ewangelii po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mojego« [1]).

Jakie wrażenie wywarł na matce ten portret syna, własną jego ręką kreślony, a tak niepodobny do tego,

[1]) Listy II, 231—333.

który również dla matki kreślił poeta przed trzema laty, — tego nie wiemy, ale wiemy, że matka po otrzymaniu tego listu znowu zapadła w dłuższe milczenie, które niepokoiło syna. W liście, który pisał w lipcu — nie doczekawszy się odpowiedzi matki — zachodził w głowę, szukając przyczyn milczenia matki i wpadł na pomysł, świadczący jak po trzech miesiącach, które upłynęły od czasu wizyi, ciągle jeszcze zostawał pod jej silnem wrażeniem. »Wpadam na jedną z najdziwniejszych myśli... czy w kwietniu około 20... nie zostałaś przerażoną — jakim znakiem widzialnym duchowym — we śnie lub na jawie?... — bo (ale tego, co piszę, nie powiadaj nikomu) jam był — uderzony światłami niebieskiemi widzialnie — przy największej spokojności krwi i zmysłów — a z taką potęgą, że chyba po śmierci coś podobnego uczuję... bo w ciele więcej bym nie wytrzymał. Jeżeliś nic podobnego nie czuła, zapomnij o tem, co piszę... a sama nie chciej modlitwą ani egzaltacyą prosić o takie rzeczy... bo grzech byłby może i niebezpieczeństwo... Proszę poważnie, weź do siebie te słów kilka — a po świecie ich nie rozrzucaj — bo nie są dla świata — ale dla ciebie, którą sądzę świętą przez zasługę cierpienia i przez wrodzoną piękność duszy« [1]).

W tym liście było jakby uzupełnienie portretu podanego w poprzednim. Słowacki wiedział, jak matka lubi znajdować w listach syna drobne zdarzenia z jego życia, aby móc sobie tem plastyczniej wyobrazić postać jego, ale nie podawał ich teraz, bo one same przez się nie malowały jego nastroju. Natomiast chciał ów nastrój swój w potoku życia codziennego i powszednich wydarzeń odmalować. »Czemuż ci nie mogę opisać tych małych zdarzeń, za które wiem, iżbyś mię ukochała — ale nie mogę, bo tak błahe są i tak z okolicznościami i ze stanem uczucia mego połączone, że długich opisań by potrzebowały... Są one jakoby muzyką ciągłą, która mi czyni

[1]) Listy II, 235—236.

atmosferę — a ja w niej chodzę, ruszam się i żyję... są muzyką czucia — jakimś tonem miłości serdecznej, rozlitowanej nad światem, nad temi mróweczkami ludzkiemi, które się po gościńcach małych wleką, każda ze swoim ciężarem... jak gdyby niosły trumny swoje... gdy ja taki lekki i tak obroniony od Boga od wszelkich trudów«...[1]).

Posiadaczowi tajemnic świata, mieszkańcowi gmachu anielstwa, temu wreszcie, którego sam Bóg nawiedzał widomie, jakże się ciemni, biedni, marni, godni litości wydawali wszyscy otaczający ludzie. Ale i ten wybraniec boży na szczytach swojego anielstwa uczuwał brak pewien, uczuwał czasem tak silnie, iż łzy mu z oczu płynęły: brak serca, któreby z jego sercem blizko i zgodnym rytmem biło, brak kogoś, kogoby mógł pokochać, wywołując wzajemność, brak jednem słowem, wzajemnej miłości lub przyjaźni. Ze strony pieniędzy i zdrowia, pisał do matki, jest mu bardzo dobrze, »ale sercu memu braknie przedmiotów umiłowania — nie uwierzysz, jak nieraz po waryacku szukam serca — i ile mi w tem szukaniu łez się leje z oczu«.

---

[1]) Tamże II, 236.

ROZDZIAŁ XX.

Walka z autorem Trzech Psalmów.

1845.

Usposobienie Krasińskiego od czasu przerwania korespondencyi ze Słowackim. — Zgińcie me pieśni! — *Prawdy żywotne* i *Katechizm demokratyczny*. — *Psalm miłości*. — Krasiński w Paryżu; niedoszły pojedynek ze Słowackim. — Słowacki u Trapistów i nad morzem. — Recenzya Platera o *Psalmach przyszłości*. — Geneza wiersza *Do Autora Trzech Psalmów*. — Analiza poematu; historya anielstwa poety. — Ironia polemiczna. — Manifest przeciwko szlachcie. — Pogarda dla purpury. — Ewolucyonizm w służbie idei społecznej. — Wieczny rewolucyonista-duch.

Dwa lata już upłynęły od czasu, jak się urwała korespondencya Słowackiego z Krasińskim. Przyczyny milczenia z obu stron były rozmaite; najważniejszą z nich był kwas, który się wytworzył między dawnymi przyjaciółmi z powodu opornego stanowiska Krasińskiego względem towianizmu. Zresztą Krasiński w r. 1843 ożenił się i zmuszony był przez dłuższy czas mieszkać w kraju, skąd mu niełatwo było korespondować z emigrantami.

Usposobienie Krasińskiego w ciągu tych dwóch lat, w których nie odzywał się do Słowackiego, było dziwnego rodzaju. Miodowe miesiące nie mogły być miodowymi, skoro na trzy dni przed powrotem z nowo poślubioną żoną do kraju, oświadczał przyjacielowi i krewnemu, Sołtanowi, że on, Krasiński, nazywa się teraz, nie Zyg-

munt, ale Rozpacz, i skoro kazał mu nie dziwić się, jeżeli usłyszy o nim, »że się powiesił gdzieś na rozstajnej drodze pod figurą« [1]). A ta rozpacz pochodziła tak z tęsknoty za Delfiną Potocką, która była dlań Beatryczą przy pisaniu »*Przedświtu*«, t. j. wcieleniem poetyczności, jak ją Krasiński rozumiał, — tak z tęsknoty za słońcem włoskiem, dla którego miał kult szczególny, jak wreszcie i najbardziej z tęsknoty za utraconą swobodą ruchów i z konieczności obracania się »wśród murów Tebańskich, podłości, poniżenia i gwałtu i ucisku«.... »Nie uwierzysz, jak mi gorzkie życie, pisał do Sołtana po powrocie do kraju. Niby to ja wszystko mam, a naprawdę nic nie mam, bo nic z tego, co pragnę: ani światła Duchów, ani światła słońca«.

A jednak ta rozpacz Krasińskiego nie była tak ciężką, jakby z jego wyrażeń sądzić można było; a to nie dlatego, żeby naprawdę nie odczuwał tego, o czem pisał, ale dla innych przyczyn. Jedną z nich była natura samego poety, skłonna do szerokiego wylewu uczuć na zewnątrz, lubująca się w ich dramatyczności i znajdująca w tym upuście istotną ulgę, jakiej natury zamknięte w sobie nie mają. Drugą przyczyną był optymistyczny, świeżo skrystalizowany w *Przedświcie* pogląd na świat, w szczególności na swój naród, głęboka wiara w to, że ludzkość stoi u samego progu wielkiego przeobrażenia moralnego i politycznego. O idei zawartej w *Przedświcie* pisał w innym liście z tych czasów do Sołtana: »Ta idea moją wiarą, moją nadzieją, moją miłością! Bez niej zdechłbym, z nią żyję! Ani myśl, by żywot nasz przeminął, a my nie oglądali Bożej sprawiedliwości; choćby jej zaczątek ujrzymy! Wszystko, nad czem tu płaczę, to ostatnie łzy« [2]). Otóż kto miał taką pewność bliskiej szczęśliwej odmiany, ten miał czem rozpędzać cienie rozpaczy.

---

[1]) Listy Zygm. Kras. III, 293.
[2]) Listy Zygm Kras. III, 302—303.

Wtedy to, niedługo po powrocie do kraju, obmyśla Krasiński i zaczyna pisać *Psalmy przyszłości*, które mają być pokrzepieniem ducha dla poety i dla tych, co podobnie z nim czują. Plan ich już zarysowuje się w liście Krasińskiego do Sołtana z 29 kwietnia 1844, kiedy posyłając przyjacielowi w upominku jakąś szpilkę, która miała być symbolem nadziei, dopisał: »Wiarę trzeba mieć w przeszłość, Nadzieję w przyszłość, a Miłość w każdym czynie teraźniejszym, czyli w życiu! Miłość najwyższą jest, bo jest czynem!« [1]). I w następnym liście z maja (już cytowanym) podkreśla wiarę, nadzieję i miłość i wraz z listem przesyła już jeden psalm przyjacielowi.

Niepodobna nie zwrócić uwagi na pewną niekonsekwencyę, jaka się okazuje przy zestawieniu *Psalmów przyszłości* z *Przedświtem*, a to tem więcej, że jest ona bardzo charakterystyczną. W zakończeniu *Przedświtu* poeta wołał:

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojmą szyderce,
My już w niej całe wyśpiewali serce,
I tu jest nasze ze Słowem rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne;
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję,
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgińcie me pieśni — wstańcie Czyny moje!

I w niespełna rok po ogłoszeniu tego postanowienia zabiera się Krasiński do pisania *Psalmów*. Za ten brak konsekwencyi, naturalnie musimy być wdzięczni poecie, który stworzony był do oddziaływania na naród nie czynem, tylko słowem, ale skąd pochodziła ta niekonsekwencya? Sądzę, że pytaniu temu warto poświęcić chwilę uwagi. Jeżeli się przypatrzymy, kiedy, wśród jakich warunków pisane było zakończenie *Przedświtu*, to dojdziemy do przekonania, że niekonsekwencya Krasińskiego była

[1]) Tamże III, 297.

tylko skutkiem wpływu, jaki na niego, chociaż z daleka, wywierały prelekcye Mickiewicza.

Wiemy już z poprzednich rozdziałów, że Mickiewicz rozpoczynając trzeci kurs swoich wykładów, zwrócił się do *Nieboskiej Komedyi* i przytaczał wyjątek ze wstępu do niej, aby pokazać, jak Polacy rozumieją prawdziwą poezyę. W objaśnienie tego ustępu, który nazywał »dosyć ciemnym«, wkładał on myśl swoją, wyraz ówczesnego nastroju, myśl, która pokrewną była myślom Krasińskiego we wstępie do *Nieboskiej*, ale miała daleko ostrzej zarysowane kontury, daleko wyraźniejszy kierunek. »Słowo napisane dowodzi niemocy do czynu«, mówił Mickiewicz, objaśniając myśl Krasińskiego. »Czegóż chce nasz autor? Oto żeby duchy najhartowniejsze, najwznioślejsze, najbliżej stykające się z Bóstwem, nie puszczając sił w czczych wyrazach, zachowały je całkiem na działanie, na czyny« [1]).

Krasiński wiedział, co o nim Mickiewicz mówił i bardzo się tem interesował [2]). W uwielbieniu Mickiewicza dla myśli, zawartych we wstępie do *Nieboskiej*, poczuł pewne zobowiązanie dla siebie. To określenie poezyi prawdziwej, podane kiedyś, przed dziesięciu laty, a potem zapomniane, stawało teraz przed nim i domagało się rachunku. Byłaż poezya jego dziesięcioletnia poezyą czynu, a nie poezyą słowa? Ale odwrócić przeszłości nie można było, trudno też było Krasińskiemu wyrzec się i tej poezyi, jeszcze nieogłoszonej, ale już — przynajmniej w znacznej części — gotowej, którą włożył w nowy poemat; więc chciał przynajmniej w zakończeniu *Przedświtu* zaznaczyć zgodność swoją i z swemi dawnemi myślami i z Mickiewiczowskiem ich przypomnieniem i oświetleniem. I nie licząc się ze swoją naturą, nie znając jej dobrze, składał w najlepszej wierze przyrzeczenie, którego dotrzymać nie był zdolny.

---

[1]) Liter. Słowiańska III, 16—17.

[2]) Wnosić to można np. z listu jego do Małachowskiego z d. 15 kwietnia 1843.

Pierwsze dwa psalmy, Wiary i Nadziei, były pisane wcześniej, aniżeli psalm Miłości i różnią się od niego tem, że nie mają charakteru polemicznego. Psalm miłości jest ukrytą polemiką, jest gorącą, pełną oburzenia odpowiedzią na dziełko, a raczej dwa dziełka, które ukazały się w owych czasach na emigracyi, a były doskonałym wyrazem wyobrażeń i dążeń najliczniejszego jej odłamu, — centralizacyi demokratycznej. Pierwsze z tych dziełek wydane w Brukselli 1844, nosi tytuł: »*O prawdach żywotnych narodu polskiego*«, a jest zbiorem mniejszych i większych rozpraw na temat rewolucyi społecznej i powstania narodowego; drugie, wydane w Paryżu 1845, miało tytuł: »*Katechizm demokratyczny albo opowiadanie słowa ludowego*« i było jakby streszczeniem i popularnem przedstawieniem zasad i rewolucyjnych instrukcyi, zawartych w pierwszem. Autorem obu tych książek był ukrywający się pod pseudonimem Filareta Prawdowskiego, Henryk Kamieński, syn tego Kamieńskiego, także Henryka, który miał udział w ataku na Somosierra, a potem, w chwale, która ten atak okryła.

Autor »*Prawd żywotnych*« poświęcał swoje dzieło Towarzystwu demokratycznemu, czyli »Ojcom polskiej sprawy«, których się mienił być uczniem i wychowańcem, od których się nauczył »pojmować myśl ludową i nienawidzieć półśrodków«. Był to człowiek — przynajmniej o ile z pism jego można sądzić — zupełnie szczery i najświęciej przekonany, że jedyną drogą zbawienia dla Polski jest ta droga, którą w dwu książeczkach swoich wskazywał, mianowicie współczesność rewolucyi społecznej i politycznej i terroryzm rewolucyjny na wzór francuzkiego z czasów wielkiej rewolucyi. Ale z dobrą wiarą kojarzyła się naiwność tak potężna, że w skutkach swoich mogła dorównywać największej przewrotności. Kamieński brał nawet w obronę dzisiejsze pokolenie szlacheckie wobec zbyt zagorzałych przeciwników szlachty,

utrzymując, że ona cierpi tylko za winy ojców[1]; występował przeciw domowej wojnie, wskazując apostołom postępu, że ich zadaniem jest »uzbrajać sprawę zasadami i słowem jedności, nie zaś domową wojną«[2]; występował przeciw zemście ludowej, nazywając ją myślą nikczemną, »bo tak wielka istota jak Lud, powinna być wspaniałą, nie zaś drapieżną etc«[3]) głosił, że »nie można nic trwałego zbudować, przemawiając do uczuć zawistnych, niecąc niechęć przeciwko możnym itp«[4]. Ale na pytanie: »czy u nas rewolucya społeczna może się obejść bez rozlewu krwi i odbyć się w powszechnej jedności całego Narodu?« tak odpowiadał:

»Rozwiązanie tego pytania jest w ręku polskiej szlachty i od niej tylko zależy. Jeżeli wraz z patryotami powtórzy hasło: Wolność, i to z głębi serca, nie zaś tylko pozornie i dla oka; jeżeli sama pierwsza wniesie i w wykonanie wprowadzi wszystkie zmiany, które za sobą pociąga rewolucya społeczna, natenczas cały naród przyciśnie ją do łona braterskim uściskiem i policzy do rzędu najzacniejszych dzieci ojczyzny, do rzędu wybawców, którym wdzięczność rodaków i następnych pokoleń wieczną poświęca pamięć. Jeżeli zaś przyjmie obojętnie, zimno, niechętnie rewolucyę społeczną; jeżeli jej natychmiast nie podejmie i nie zawoła razem z patryotami: Wolność, Niepodległość, wtedy biada jej, bo spotkać ją musi los nieprzyjaciół Ludu, bo w tak stanowczych chwilach, jakiemi są pierwsze dnie powstania, najmniejsze uchybienie sprawie powszechnej — opieszałość, niespełnianie rozkazów Rewolucyi i t. p., karane być muszą natychmiast i surowie, a kary innej nie ma — jak śmierć«[5]).

---

[1]) O prawdach żywotnych str. 90.
[2]) Tamże 96.
[3]) Katechizm demokratyczny str. 56.
[4]) Tamże str. 112.
[5]) Katechizm demokratyczny str. 38.

Potęga naiwności polegała nietylko na głębokiej wierze autora w cudowną skuteczność małpującego wielką rewolucyę terroryzmu, ale także i na tem przekonaniu, że »Rewolucya Społeczna byle miała gorliwych zwolenników i popieraczy w Narodzie, a dobrze pojmujących, może się udać wbrew i pomimo szlachty«; w takim razie »musiałaby się krwią szlachecką zamazać«, ale lud stąpałby po tej krwi, »śpiesząc do walki o niepodległość« [1]).

Takie zasady, takie »prawdy żywotne« szerzyli po kraju emisaryusze Towarzystwa demokratycznego, a rząd rosyjski, wiedząc o tem, straszył szlachtę widmem spisków jakobińskich. Krasiński nie wierzył z początku w to widmo i w liście do Sołtana 12 maja 1844 pisał: »Was chcą wyrżnąć« — oto sposobiczek, użyty na kapuściane serca i skórzane wory. Ztąd niesłychany strach, to swoich, to znów rządu, bo lękają się terroryzmu, o którym rząd im plecie, i terroryzmu istotnego, który sam rząd w każdej chwili wywiera« [2]). Ale spotkawszy się z *Prawdami żywotnemi* Kamieńskiego, a potem z jego *Katechizmem demokratycznym*, Krasiński przekonał się, że Strachy na Lachy nie były bez podstawy i oburzenie jego nie miało granic.

To oburzenie podyktowało mu *Psalm Miłości*, który właściwie powinien się nazywać psalmem zgrozy. Ze zgrozą odpierał tu Krasiński »prawdy żywotne« zawarte w »*Katechizmie demokratycznym*«, a przedewszystkiem apoteozę terroryzmu i bezwzględne potępienie szlachty. Więc wołał, że »niemowlęctwem wolnych ludzi — Gilotyna i grabieże«, że kto »przekuje w noż kajdany, — a nie w szablę, ten przeklęty«, przypominał zasługi szlachty i jej cierpienia, zdolne zmazać dawniejsze grzechy i powtarzał nieustannie w końcu: »Hajdamackie rzućcie noże«! A jednak w zakończeniu umieścił jeden wiersz

---

[1]) Tamże str. 53.

[2]) Listy Zygm. Krasińskiego III, 299.

(Dać żniwiarzom wszystkim grunt), w którym uznawał najgłówniejszy postulat demokracyi: uwłaszczenie włościan.

Psalm miłości napisany był zapewne dopiero na wiosnę 1845 roku, kiedy poeta znalazł się zagranicą i dostał do rąk *Prawdy żywotne*[1]). Mając gotowe trzy psalmy, postanowił wydać je zaraz i chciał sam czuwać nad ich wydaniem, bo był bardzo czuły na zewnętrzną formę wydania, a nawet przyjacielowi Gaszyńskiemu nie mógł ufać, że mu zupełnie dogodzi w tym względzie[2]). I dlatego to wydając teraz *Psalmy przyszłości* chciał sam czuwać nad ich wydaniem, dlatego w lipcu 1845 przyjechał do Paryża. A ponieważ miał paszport wydany tylko na Niemcy i Włochy, ponieważ — co ważniejsza — obawiał się, aby jego jawna obecność w Paryżu nie rzuciła nań choćby najlżejszego podejrzenia, że jest autorem *Psalmów*, więc starał się swój pobyt w Paryżu otoczyć jak najgłębszą tajemnicą. Najlepiej o tem świadczą nakazy milczenia powtarzane przezeń bez końca Gaszyńskiemu, który załatwiał różne jego zlecenia w tej sprawie. Przedewszyst-

[1]) Z listu Krasińskiego do Małachowskiego z dnia 5 listopada 1844, gdzie o spiskach na tle socyalnem mówi jako o urojonych, można wnioskować, że nie znał wtedy jeszcze *Prawd żywotnych*; poznać więc mógł tę książkę dopiero wyjechawszy za granicę, a stąd i *Psalm miłości* dopiero wtedy mógł być napisany.

[2]) Tak po wydaniu »*Przedświtu*«, którem zajmował się Gaszyński. robił mu delikatne wymówki Krasiński (w liście z Turynu 15 maja 1843): »Guttenberg wielki był człek, lecz Mefisto, co stał przy nim, przymieszał kpin zwykłych do wynalazku nowego, aż pod koniec wi ków tak wymiarkował, że zawsze i wszędzie zecerzy mylić się będą i sens przekrzywiać. I wskazywał błędy, które znalazł w drukowanym »*Przedświcie*«. »Naprzykład (XIII) »człowiekowi na to, by umierać«, zamiast: »człowiekiem na to, by umierać«; potem czemuż się ciągnie jednym rzędem wstęp bez przedziałów owych trzech, którem tobie radził«. A jakkolwiek pocieszał potem przyjaciela słowami: »prócz tego wszystko dobre, gdzieniegdzie nierozdzielone strofy, ale mniejsza o to«, to jednak widać było, że nawet i te nieliczne skazy w »materyalnej formie Guttenbergowej« przykrość mu sprawiały.

kiem bał się gadatliwości emigracyjnej i roznamiętnienia stronnictw, które »bez chęci zaszkodzenia, ale przez samą ślepotę i wyłączność i namiętliwość, gotowe zgubić człowieka, wydać go, rozkrzyczeć, czy chwaląc, czy ganiąc, czy uwielbieniem, czy potępieniem nadto głośnem z nóg go ściąć i ścieżkę zamknąć przed nim przyszłości« [1]. Więc, ażeby lepiej zachować *incognito* w Paryżu i uniknąć niepożądanej uwagi znajomych, których tam mógł spotkać, przebrał się w jakiś strój odmienny od tego, w jakim zwykł był chodzić i nałożył niebieskie okulary.

Traf nieszczęśliwy zrządził, że tak przebranego spotkał na ulicy Słowacki i odrazu go poznawszy, przemówił do niego, jako do dawnego przyjaciela. Krasiński, wierny swojej roli, udał zdziwienie, na zwrot polski odpowiedział po francusku i poszedł dalej, zostawiając Słowackiego na pastwę domysłom.

Cóż to się stało? Słowacki, który tak dobrze umiał przechowywać rysy znajomych w pamięci, ani przez chwilę nie wątpił, że spotkanym człowiekiem był Krasiński; z drugiej strony nie wiedział nic o pobudkach, które zmuszały autora *Psalmów* do tajenia swojej obecności w Paryżu. Więc cóż miał sądzić o dziwnem zachowaniu się Krasińskiego? Widocznie dawny przyjaciel obrażony jest na niego za *Księdza Marka* i chce mu w ten niezwyczajny sposób okazać, iż zerwał z nim wszelkie stosunki.

Łatwo zrozumieć, że ta historya, tak pojęta, jak ją pojmował Słowacki, musiała być bardzo przykrą dla niego. W ten sposób zrywał się łańcuch mocno wprawdzie nadwątlony, ale ciągle jeszcze od lat blizko dziesięciu wiążący dwu Wenedów, tak się kończył stosunek z człowiekiem, który był dla Słowackiego niegdyś »archaniołem wiary i serca wskrzesicielem«, który najwięcej się przyczynił do zdobycia mu sławy! Dodajmy do tego, że było to właśnie

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego I, 236.

w tym samym czasie, kiedy poeta pisał do matki, że »nieraz po waryacku szuka serca«, kiedy więc odnowienie dawnej przyjaźni było dla niego głęboką potrzebą ducha.

Ale zdawałoby się, że człowiek tak pewny swojej anielskości i bezpośredniego przestawania z Bogiem, tak wysoko, we własnem rozumieniu, stojący nad światem, z taką litością spoglądający na »mróweczki ludzkie«, łatwo znajdzie na wyżynach swego anielstwa refleksye, które prędko zwieją przykre wrażenia, wywołane spotkaniem z Krasińskim. Tymczasem stało się inaczej. Słowacki odrazu zapomniał o wszystkiem, co go dzieliło od »mróweczek ludzkich«, i jak zwyczajny brat szlachcic obrażony za jakiś wyraz lekceważenia ze strony arystokraty, wyzwał Krasińskiego na pojedynek. W parę godzin po scenie spotkania miał Krasiński u siebie dwu sekundantów Słowackiego, żądających zadość uczynienia.

Biedny autor *Psalmów* znalazł się w niemiłej sytuacyi. Przesadna ostrożność zaprowadziła go z deszczu pod rynnę: dla uniknięcia rozgłosu krył się przed znajomymi, a oto ściągał na siebie tą drogą pojedynek, nie tyle straszny przelewem krwi, ile rozgłosem.

Ale do pojedynku, rzecz naturalna, nie doszło. Pośrednik ze strony Krasińskiego, jeden z lepszych przyjaciół jego, Jerzy Lubomirski, przedstawił sekundantom Słowackiego istotne pobudki dziwnego zachowania się Krasińskiego, przedstawił, że w postępowaniu jego »mogło być dziwactwo, ale nie było zamiaru obraźliwego« i to wyjaśnienie wystarczyło do cofnięcia wyzwania [1]).

Ze wszystkiego, co wiemy o tej sprawie, należy wnioskować, że jakkolwiek powody nieporozumienia między dawnymi przyjaciółmi zostały usunięte, to jednak nie

---

[1]) St. Tarnowski w monografii o Zygmuncie Krasińskim. Kraków 1892, str. 535—536. Historya pojedynku oparta jest tutaj na tem, co ustnie opowiadali autorowi owego dzieła Stanisław Małachowski i Jerzy Lubomirski.

przyszło do osobistego porozumienia się między nimi, i że Krasiński, czując z różnych dawniejszych powodów żal do Słowackiego, nie uznał za stosowne osobiście go teraz przeprosić za wyrządzoną mu swojem zachowaniem się przykrość, a ta okoliczność z kolei musiała budzić w sercu Słowackiego niechęć dla dawnego przyjaciela i zapewne nie pozostała bez wpływu na poetycką polemikę, jaką miał wkrótce stoczyć z autorem *trzech Psalmów*.

Psalmy przyszłości ukazały się na półkach księgarskich dopiero w początku września [1]). Przed ich poznaniem Słowacki odbył zwykłą letnią, wakacyjną wędrówkę dla pokrzepienia zdrowia, ale tym razem miał zamiar używać świeżego powietrza nie w miejscu kąpielowem nad morzem, tylko w pewnym klasztorze Trapistów. Pobudki, które go skłoniły do takiego wyboru willegiatury, a także wrażenia, jakie wyniósł z krótkiego pobytu w tym klasztorze, przedstawił w jednym z listów do matki. »Tego roku ruszyłem z jednym towarzyszem prosto ku klasztorowi Trapistów, abym zobaczył, czyli powietrze owiewające tych ludzi prawdziwie złote jest i święte i napełnione ściągniętemi modlitwą Aniołami... Lecz są to ludzie dawnego, nie zaś nowego świata; uspokoili się bowiem i myślą, że wszystko z tym uspokojeniem tu i tam uzyskali... że im Bóg winien jest niebiosa.. Takie to smętne duchy zwykle cmentarzom dają ten dźwięk i szelest, który jest podobny do skargi umarłych oszukanych, a który tak nas słuchających, gdyśmy po cmentarzach chodzili, zasmucał... Jeden tylko widok piękny i uczucie jestem winien tym księżom... Raz, stojąc na polu, ujrzałem ich, że wracali z pola, drogą topolami wysadzoną, ku klasztorowi idącą, wszyscy w białych odzieniach, w czarnych kapturach i napierśnikach, wszyscy z sierzpami, z kijem w ręku, jak go-

[1]) Ogłoszenie o tem, że świeżo wyszły z druku i sprzedają się w Księgarni Polskiej. umieszczone jest w *Dzienniku Narodowym* z dnia 13 września 1845.

spodarz wiejski... i ten sznur biały... wracał spokojnie ku klasztorowi i zda się, że całą szeroką okolicę uspokajał, on cichy jak lud umarłych... gdy na odległem wzgórzu widać było zwyczajne jakieś żeńce, których niespokojność i wrzaskliwa rozmowa, krakaniu i wrzaskowi ptactwa podobna, uderzała mi w lewe ucho moje, na wiatr od ludu idący zawsze zwrócone. W klasztorze tym trzy dni pobawiwszy, rzuciłem mego towarzysza, czując się większym trapistą, niż ci ludzie, bo do milczenia w myśli mojej... i w sercu moim żądz cichości przyuczony, i udałem się przez różne miasta i miasteczka na północ, abym obaczył choć przynajmniej brzeg morza i falę jego, wołającą: Bóg! Duch! usłyszał. Wszak prawda, że o tem fale ciągle gadają? słyszałaś: a powiedz, czy nudzą«?[1]).

Przytoczony ustęp jest z wielu względów godnym uwagi Widać z niego naprzód, jak poeta chciał przed samym sobą zdać sprawę ze swego stanu świętości przez porównanie go ze stanem mniszym, z którym miał pewne wspólne cechy, np. pogardę dla świata, dla materyi, i myśl zwróconą ciągle ku Bogu. Porównanie to pozwoliło mu zmierzyć całą wysokość swojej świętości, którą zawdzięczał bujnej, poetyckiej wyobraźni. Podczas, gdy w jego gmachu anielstwa powietrze było złote i święte i napełnione aniołami, w życiu Trapistów znalazł martwość, która mu przypominała szelesty i dźwięki cmentarne. Powtóre godnem jest uwagi to, jak silnie i w stanie świętości działały na poetę efekta artystyczne, dekoracyjne. Dalej bardzo charakterystycznym, szczególnie dla danej chwili i jakby proroczym był szczegół, że lewe ucho poety »zawsze na wiatr od ludu idący było zwrócone«. W końcu wypowiedziane tu uwielbienie dla morza świadczy, jak widok morza sprzyjał fantastycznym marzeniom Słowackiego na temat genezy świata.

Tym razem nad morzem krótko bawił, jakby tylko

---

[1]) List z 10 września 1845. List II, 238—239.

dla złożenia hołdu wdzięczności za natchnienia, których mu ono przed rokiem dostarczyło. Miejscem pobytu było małe miasteczko Trouville. Przez kilka dni nasycał się widokami nadmorskiej przyrody, cieszył się »wzgórzami dziwnej szmaragdowej zieloności«, które otaczały miasteczko, chodził po murawach, po wzgórzach, »ze wzgórzów patrzał na szerokie błękity, po których statki parowe, jak insekty chodziły« — i powrócił do Paryża przed samem ukazaniem się *Psalmów przyszłości*.

Jeśli samo ogłoszenie o wyjściu z druku *Psalmów przyszłości*, umieszczone w *Dzienniku Narodowym* z 13 września, nie pobudziło go do poznania tego nowego utworu, to niewątpliwie dokazała tego umieszczona zaraz w następnym numerze tego *Dziennika* (z 20 września) recenzya *Psalmów*, napisana przez Władysława Platera. Recenzent w sądzie swoim o *Psalmach* i wogóle o poezyi współczesnej wychodził z tego stanowiska, z jakiego niegdyś Teofilowie Januszewscy oceniali fantastyczne utwory Słowackiego. Nigdzie może to stanowisko szlacheckiego realizmu nie zarysowywało się tak naiwnie, wyraźnie i dosadnie, jak tutaj.

»W wielu dzisiejszych utworach, pisał, i to znamienitszych, znajdziesz mowę o błękitach, drogach mlecznych, gwiazdach, słońcach, planetach i duchach, a o Bolesławie Chrobrym, Batorym, Czarnieckim, Sobieskim i t. p. bardzo mało. Ci panowie szukają gdzieś tam duchów, bujają w powietrzu, tracą czas, zdolności i zapał na analizowaniu i opisywaniu swoich imaginacyjnych rozkoszy lub cierpień; unoszą się, zapalają jakimś czczym szałem, umizgają się do jakiegoś ideału, do jakiejś Polski urojonej, a nie widzą Polski rzeczywistej«... Nie przeczył on, że takie poezye, jak *Przedświt* lub pierwsze dwa *Psalmy przeszłości*, są piękne i zajmujące; »czyta się je z zajęciem, ale cóż potem, kiedy nic po nich nie pozostaje. Poeta zawiesiwszy się w błękicie, w jakimś świecie urojonym, spuszcza nam prześliczne światełka i banieczki, lecz cóż, le-

dwoś ich dotknął, już znikły. Nie, nie takiej Polakom potrzeba dziś poezyi; uczuć spragnionych mocnych wzruszeń, wzruszeń narodowych i bohatyrskich, nie zadowolnisz marzeniami i podróżami po błękitach, nie nasycisz ich głodu dętemi ciasteczkami« [1]).

Ale tylko dwa pierwsze *Psalmy* zaliczył recenzent do kategoryi świecących baniek i »dętych ciasteczek«; *Psalm miłości* zaś odpowiadał zupełnie jego przekonaniom o zadaniu poezyi. »Są w nim rzeczy prawdziwe, rzeczywiste, dotykalne i dobrze powiedziane. Poeta na swój sposób i swoim językiem dowodzi potrzeby zgody, jedności i miłości między Polakami... nastając na występną propagandę bratniej nienawiści i niezgody, rozsiewaną przez niebacznych rodaków«. I cytował dłuższe ustępy, illustrujące to streszczenie, wyrażając żal, że rozmiary pisma nie pozwalają na powtórzenie całego psalmu.

Psalmy przyszłości wydał Krasiński pod pseudonimem Spirydiona Prawdzickiego i podobieństwem tego pseudonimu do przybranego nazwiska autora *Prawd żywotnych* i *Katechizmu demokratycznego*, chciał zapewne wskazać, przeciw komu głównie trzeci psalm jest zwrócony. Nie można wątpić, że Słowacki, odczytawszy *Psalmy*, odrazu się domyślił, kto się ukrywa pod nazwiskiem Prawdzickiego, zwłaszcza, że wiedział o niedawnym pobycie Krasińskiego w Paryżu. Recenzya Platera, gromiąca Krasińskiego za bujanie w powietrzu i »umizganie się do urojonego ideału« powinna była przypomnieć Słowackiemu dawne braterstwo broni z »kochanym poetą ruin«, walkę dwu Wenedów-Ateńczyków z rubasznym czerepem szlacheckim, i nastroić sympatycznie dla autora *Psalmów przy-*

---

[1]) *Dziennik Narodowy*. T. V. str. 935. O tej recenzyi pisał Krasiński do Gaszyńskiego w grudniu tegoż roku: »Władysław Plater mnie zabawił, bo poznałem ducha i pióro: »o planetach, duchach, błękitach, a rzadko o Chrobrym, Czarnieckim, Sobieskim etc«. Doskonałe! »Poezya powinna być rzeczywista, a rzeczywistość pojmuje jak szewc buty«. Listy Zygm. Kras. I, 242.

szłości. Ale zmieniły się czasy, a jeszcze więcej stosunek Lelum do Polelum. »Najwyższy i najczystszy« na ziemi duch, »rządzony przez Najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa«, a trzymający w zanadrzu »alfę i omegę świata« nie potrzebował obrony i opieki ze strony dawnego brata, a z drugiej strony miał mu za złe, że ten odtrącił nowy łańcuch, którym go chciał Lelum-Słowacki po transfiguracyi swojej przywiązać do siebie, — łańcuch mistycznych idei, z towianizmu zaczerpniętych. Do tego dodajmy, niechęć ku dawnemu przyjacielowi, która pozostała w Słowackim po doznanej obrazie i niedoszłym pojedynku, a zrozumiemy łatwo, dlaczego Słowacki, dostawszy do rąk *Psalmy przyszłości*, szukał w nich nie tego, co go mogło godzić i sprzymierzać z autorem, ale tego, co dogadzało jego niechęci ku autorowi i dawało mu przedmiot do polemiki.

Kto szuka, ten znajdzie, i Słowackiemu nie trudno było znaleźć to, czego szukał. Znalazł nie w tem, co było przedmiotem nagany w recenzyi Platera, ale w tem, co tam zostało pochwałą uwieńczone, nie w dwu pierwszych psalmach, ale w *Psalmie miłości*. Psalm był walką z propagandą centralizacyi demokratycznej, co też podkreślała i recenzya *Dziennika Narodowego*. Jak przed dwoma laty obrona antenatów w *Przedświcie*, tak teraz energiczne natarcie ze strony Krasińskiego w obronie szlachty zbudziło ducha przekory w Słowackim, zelektryzowało go. Nastręczyła mu się przytem wyborna sposobność zamienić niedoszły pojedynek z byłym sprzymierzeńcem na pojedynek innego rodzaju, podobny do tego, jaki stoczył kiedyś w *Beniowskim* z naturalnym wrogiem swoim, i postanowił zamienić szable czy pistolety na broń, która mu dawała stanowczą wyższość nad przeciwnikiem, dobyć swojej błyszczącej a giętkiej stali poetyckiej i porachować się nią z człowiekiem, przeciw któremu od dwóch, trzech lat dużo różnorodnych niechęci zebrało mu się na sercu. A czuł on, że »dłoń jeszcze nie zawiedzie broni«.

W ten sposób powstał jeden z najświetniejszych utworów Słowackiego, wiersz znany pod tytułem *Do autora trzech psalmów*, o którym sam napadnięty przeciwnik w przedmowie do późniejszej odpowiedzi w *Psalmie żalu* mówił, że jest to »jedna z przedziwności języka polskiego, brzmiąca cudownemi dźwięki, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczona«. W poezyi Słowackiego, gdzie tak wiele jest pięknych ustępów, a tak mało większych utworów, doskonale wykończonych w całości, ta pieśń, kilkaset wierszy licząca, zajmuje wyjątkowe stanowisko, jako doskonale, po mistrzowsku zharmonizowana całość. Najwięcej zbliża się do niej pod tym względem, ale tylko zbliża się, a nie dorównywa, poemat *W Szwajcaryi*. Jak tam wspaniałe obrazy przyrody szwajcarskiej, które poeta z całą żywością ich barw nosił w pamięci, szczęśliwie zharmonizowały się z niejasnemi tęsknotami miłosnemi, tak tutaj wizye, sny i marzenia, snute w gmachu anielstwa, zestroiły się, i to jeszcze w doskonalszy sposób, z chwilowem usposobieniem wojowniczem, z chęcią odwetu, jaki chciał wziąć urażony poeta na autorze *Psalmów*.

Naturalnie ten sąd dotyczy strony zewnętrznej. Zobaczmyż, co jest w treści tej pieśni. Jak forma jej wiersza mniej więcej podrzeźniała formie wiersza *Psalmu miłości* — co już sam Krasiński spostrzegał — tak i treść jej szła do pewnego stopnia równolegle z treścią psalmu. Krasiński zaczynał pieśń swoję od dosadnego streszczenia kwestyi, od energicznego zarysowania dwu przeciwnych stanowisk: swojego i centralizacyi demokratycznej; Słowacki zaczynał podobnie od ogólnego przedstawienia stanowiska przeciwnika i swojego. W tem przedstawieniu odrazu starał się uderzyć w niekonsekwencyę przeciwnika i oblać go błyskawicami swojej ironii.

Ty utrzymujesz — brzmiała pieśń, rozebrana ze swojej śpiewnej szaty — że drogą cnoty trzeba dążyć do zniesienia niewoli, co stanie się podług ciebie wtedy, gdy lu-

dzie zamienią się w duchy księżycowe [1]). Ty wołasz ciągle czynu! i rzeczywiście naród pragnie czynu i czeka, ale możeż być czyn prawdziwy, wielki, wyzwalający, bez udziału ludu? A tymczasem, kiedy lud zaczyna się budzić do czynu, ty uderzasz na trwogę, krzycząc, że on myśli o rzezi. Nie, poeto, ty nie dorosłeś do stanowiska przewodnika narodu i apostoła czynu. Ty nie wiesz co to jest czyn ludu, jakiego nam potrzeba. Ty umiesz wielbić zasługi przodków uwiecznione w herbie, lubujesz się w chmurnych lotach Ikara, a przedewszystkiem w marzeniach wspólnie snutych z kochankami, takich, jak te,

---

[1]) Prof. Tarnowski w swojem dziele o Krasińskim (str. 538) inaczej zrozumiał dwa pierwsze wiersze tego utworu Słowackiego (Według ciebie, mój szlachcicu — Cnotą naszą — znieść niewolę), mianowicie jakoby Słowacki wmawiał w Krasińskiego, iż on cierpliwe znoszenie niewoli uważa za cnotę; dlatego też z gorącem oburzeniem zgromił poetę za świadome przekręcanie, za fałszowanie umyślne myśli Krasińskiego. Otóż sądzę, że od tego zarzutu trzeba uwolnić Słowackiego, sądzę, że on nie chciał przekręcać słów Krasińskiego i wyraz »znieść» brał w tem samem znaczeniu, w jakiem był podany w tych wierszach przeciwnika:

Czas już przejrzeć Boga wolę!
Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud,
I tem samem znieść niewolę!

Przy końcu *Psalmu miłości* jest znów taki dwuwiersz, pokrewną myśl zawierający:

Nikt nie stawia gmachu z błota:
I najwyższy rozum — cnota!

Myśli wyrażone w dwu przytoczonych ustępach Słowacki streścił w zdaniu elliptycznem, a stąd nie dość jasnem: »cnotą naszą — znieść niewolę«, gdzie trzeba się domyślać słówka »należy« lub jakiegoś innego pokrewnego znaczeniem. Słowacki ironicznie tylko oświetlał słowa przeciwnika, ale ich nie przekręcał. Nie dostrzegał przekręcania i sam Krasiński, skoro mając sposobność zaprotestowania później w przedmowie do *Psalmu żalu*, nie uczynił tego.

coś w *Przedświcie* rozwinął, ale to nie jest czyn, to nie jest stanowisko wodza narodu. Kto chce być wodzem narodu, ten ma czynić nie to, co ty czynisz,

Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!
W drogę, choćby niepowrotną,
Ale prostą — naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem:
Takim duchem i sztandarem
Być na ziemi — jest być w niebie!

Porzuciłem w połowie prozaiczne streszczenie dla poetycznego tekstu, ponieważ przytoczony ustęp niełatwo się da wymieniać na myśli jasno zarysowane. Jedna myśl tylko — i to bardzo piękna — występuje tu wyraźnie: oto przeciwstawienie herbom przodków własnej tarczy czynu. Ale co ten prawdziwy wódz narodu ma czynić? Myśl roztapia się w pięknych a mglistych obrazach, z których jedno tylko możemy z wszelką wysnuć pewnością, mianowicie, że obraz owego wodza, stojącego jasno i twardo śród narodu, owego samotnika o piersi czystej, a białej Chrystusowej twarzy, wziął poeta z własnego wyobrażenia o sobie samym.

Że to przypuszczenie jest niemylne, świadczy o tem następujący zaraz ustęp, w którym poeta mówi już wyraźnie o sobie i podaje w poetycznych obrazach historyę swoich zajść »z wrogami w Bogu« i dwuletniego mieszkania w gmachu anielstwa. Początkowy obraz pożyczony był, zapewne nieświadomie, ze wstępu do *Nieboskiej Komedyi*, tak uwielbionego przez Mickiewicza, z obrazu prawdziwego poety, w którym poezya »zamieszkała, jako

Bóg zamieszkał w świecie« i który ją nosi »gdyby gwiazdę na czole swojem«, nie oddzielając się od niej »przepaścią słowa«.

Jam spróbował na mej głowie,
Nakształt gwiazdy kałakuckiej,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej
I z tą gwiazdą żyć surowie.
I przybiegli aniołowie,
Aniołowie Betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali,
I przeklęli... me domowe
Duchy — serce — moję głowę —
Każdy włos poprzeklinali...
A jam przecie bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła.
Ani na rozstajnej drodze,
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów,
Rosło mniej tęczowych kwiatów...

. . . .

I dlatego, żem się umiał
Pohamować — być nad zgraję —
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy... a ja wstaję.

Dotychczas historya anielstwa poety i jego zatargu z »wrogami w Bogu«, podana tu przez Słowackiego, przedstawia się nam, którzy znamy tę historyę z innych źródeł, zupełnie jasno, ale w dalszym ciągu staje się mętną i zagadkową. Cóż znaczy to, że poeta modlił się o wrogów swych zwycięstwo?

Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd... mogło pójść o głowę.

Co znaczy dalej rzucona uwaga:

Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko boża myśl nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!...

W tych zagadkowych zdaniach — tak mi się zdaje — splątane są echa i wewnętrznej historyi ducha poety i jego współczesnej twórczości. Przez wrogów należy tutaj rozumieć tak zwanych jego »wrogów w Bogu«, t. j. przedewszystkiem Mickiewicza, który w imię tej samej idei, co Słowacki, ale innemi drogami chciał prowadzić naród za sobą. Słowacki – tak się można domyślać z tego ustępu — modląc się o zwycięstwo idei, chociażby na tej drodze, na której Mickiewicz był jej chorążym, modlił się w ten sposób o zwycięstwo swoich wrogów. Ale ten sam Słowacki, jako chorąży tej idei w innym obozie, rzucał na Koło z powodu »dążności rosyjskiej« *veto*, które było czemś w rodzaju przekleństwa i miało tych, na których rzucone było, »w świecie ducha pozbawić czci i uczynić banitami względem Polski«, a z drugiej strony jednocześnie w tej samej protestacyi prosił Boga, aby to *veto* »osądził i według osądzenia swojego spełnił lub odrzucił«. W ten sposób sprawa jego, sprawa rzuconej przez niego klątwy, stanęła przed sądem Boga; i gdyby Bóg odrzucił *veto*, Słowacki zapłaciłby przegraną sprawę głową, to znaczy, utraciłby »wodzostwo narodu«.

Czy przegrał sprawę przed tym najwyższym sądem, naturalnie we własnem rozumieniu? Nie, widać to stąd, że o męczeństwie i o sądzie mówi w czasie przeszłym: g r o z i ł o mu męczeństwo, a więc już n i e grozi. Sprawę wygrał, utrzymał się przy wodzostwie narodu, a można się domyślić, co go utwierdziło w tem mniemaniu: cudowna wizya. Tym znakiem Bóg, według rozumienia Słowackiego, rozstrzygał sprawę *veta* na jego korzyść i zatwierdzał go na urzędzie duchowego wodza narodu.

Ale Słowacki przypuszcza, że mogło się stać inaczej, że mógł przegrać sprawę, chociaż czuł się pełnym anielstwa. Skądże taka obawa? Oto z tej wątpliwości, że może nie odgadł woli Bożej, bo wola Boża nie zawsze rękami aniołów jest niesiona i obiera sobie czasem dziwne i krwawe drogi. I tu przypomniał mu się jego własny pomysł z nie-

dokończonego dramatu na temat dziejów Wielkiego Nowogrodu, gdzie właśnie jako wykonawca bożej myśli występuje mongolski han Uzbek, »polano w Pana Boga dłoni«. Myślę też, że już wtedy fantazya poety zapłodniona była krwawem widmem Popiela, który miał stać się pierwszem wcieleniem *Króla Ducha*. Zresztą i w *Prawdach żywotnych* i w *Katechizmie demokratycznym*, — czego jeśli nie znał przedtem, to niewątpliwie po ukazaniu się *Psalmów* poznać musiał — mógł znaleźć myśli pokrewne swoim pomysłom [1]).

Zarysowawszy swoje stanowisko i odmalowawszy swój portret, jako duchowego wodza narodu, Słowacki znów zwracał się do przeciwnika, aby stalą ironii wywijać mu przed oczyma, czyniąc aluzye do jego wielkopańskiego położenia w świecie. Więc go nazywał »jasnym panem«, który pisze »jak perłami« i »stawia się ludziom nakształt proroka«, a ma do rozporządzenia sługi, wzywające do uczczenia pokłonem jego myśli. Żeby zaś przeciwnikowi wyjaśnić, siebie tem samem usprawiedliwiając, jak to się stało, że on, Słowacki, który przedtem wielbił autora *Irydiona*, teraz występuje przeciw niemu, pokazywał mu różnicę, jaka zachodzi między jego dawniejszą poezyą a obecną. Nie mówił wprawdzie wyraźnie, że to jego poezyę ma na myśli, ale ze szczegółów przedstawienia wynikało to bardzo jasno.

Jakąż była dawniejsza poezya Krasińskiego? Określenia gubią się w pięknych poetyckich obrazach, w każdym razie z tych obrazów dowiadujemy się, że błyskał z niej »nowy duch i forma nowa«, że była to »jakaś siła niewi-

---

[1]) W *Prawdach żywotnych* jest osobny rozdział p. t. »Missya historyczna polskiej niewoli«, gdzie są naprzykład takie twierdzenia: »Naturalną missją obcej przemocy jest zawsze zlać w doskonałą jedność wszystkie cząstki narodu, wykształcić go wewnętrznie, jeżeli ma tylko zarody żywotne, łącząc wszystkie jego cząstki wspólnym interesem wyswobodzenia i t. d.« Str. 37. To, co autor *Prawd* nazywał misyą, u Słowackiego nazywało się »myślą Bożą«.

dzialna — Przez poetę na świat lana — Wolna, jako Anioł Pana! — Silna, jako skra zapalna!« Inną jest jego poezya dzisiejsza: niema w niej dawnego ognia, dawnego poczucia cierpień ludzkości, nad wszystkiem góruje interes kastowy i strach przed rzezią szlachty.

I skądże ten strach? — »Któż i gdzie zagroził nożem? — Któż i gdzie ci stanął sporem?« Czy Słowacki stawiąc te pytania Krasińskiemu nie znał *Prawd żywotnych*, a przynajmniej *Katechizmu Demokratycznego?* Trudno przypuścić, aby nie znał rzeczy tak głośnych, ale łatwo się domyślić, że nie widział w nich powodu do strachu. Wszakże *Prawdy żywotne*, jak widzieliśmy, brały nawet w pewnym ustępie w obronę szlachtę, a *Katechizm Demokratyczny* twierdził, że zemsta ludowa jest myślą nikczemną; wprawdzie ten ostatni przypuszczał, że rewolucya społeczna może się »zamazać krwią szlachecką«, »rozlać trochę krwi arystokratów«, ale to tylko wtedy, jeżeli oni sami do tego dadzą przyczynę, opierając się rewolucyi społecznej. Więc wszystko w porządku; więc strachy Krasińskiego to są widma płone.

I tu poeta lubujący się w świecie widm, skorzystał z pożądanej sposobności, aby na tło swojej poetyckiej polemiki rzucić kilka obrazów fantastycznych z właściwym sobie wdziękiem eterycznym [1]). Ale te obrazy są niewinne,

---

[1]) Obraz rycerza, który

Hełm rozpalił w błyskawicę
Miecz potrząsał purpurowy,
A okropne cztery głowy,
Jako perły zausznice
Z twarzą nieznajomych plemion
Niby róże — niósł u strzemion

jest niewątpliwie wzięty z dramatu *Zawisza Czarny*, gdzie przybycie tego rycerza w ten sposób jest oznajmione:

Rycerz jakiś stepowy
Stanął tu wśród dziedzińca

to tylko echa dawnych walk, zamierzchłej chwały, »a ty zląkł się! — syn szlachecki«. Zapewne karmazyn firanek zabarwił krwią sny twoje i wywołał z ciebie krzyk strachu. Krzyczysz: stójmy, powstrzymujesz od ruchu, obiecujesz, że szlachta, że magnaci staną na czele ludu. Ale to wszystko sen:

W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!...

A nietylko magnaci są próchnem, i szlachty niema już dziś wcale.

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica;
Dziś jednegom znał szlachcica,
I kraj cały nie znał więcej.
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą
Był szlachcicem i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma;
Poszedł gnić między królami,
Już go nie ma — i was nie ma!

Co znaczył ten manifest przeciwko szlachcie? i kto był owym ostatnim szlachcicem, o którym tu mowa. Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że pogarda wyrażona tutaj dla szlachty, wypływała z innego źródła, aniżeli w *Gro-*

I przywozi gościńca
Cztery tatarskie głowy,
Co mu u siodła wiszą,
Całe w śmierci purpurze
I wszystkie się kołyszą,
Jak cztery perły duże,
Ale gdy się koń ruszy,
To jako cztery róże,
Z których się czerwień pruszy...

bie Agamemnona. Wtedy raził poetę rubaszny czerep szlachecki, głuchy na jego lutnię »fantastycznie nastrojoną«, i za tą niechęcią dopiero szło oburzenie na brak Leonidasowego męstwa, którego Tyrteusz szlachty, sam pierwszy uchodzący z pola, domagał się od niej. Teraz nie mógł mieć do szlachty żalu o to, że się jego lutni dawniejszej nie przysłuchiwała, ponieważ teraz i sam »te flety« nisko cenił. Teraz — jak to wiemy z cytowanego w jednym z poprzednich rozdziałów ustępu notatnika poety — miał tylko za złe szlachcie, a właściwie emigracyi szlacheckiej, że odtrąciła ideę towianizmu i nie umiała jej połączyć ze sztandarem narodowym, tak, jak to uczynił Słowacki, że »upiera się przy swoim widmie, które nazywa polską ideą, a które jest niczem innem, jak ideałem uczciwego hułana-rębacza«. Ten ideał jest wprawdzie wspólny dla demokracyi i arystokracyi emigracyjnej, ale ta różnica zachodzi, że w »demokracyi hułan mówi głośno o chłopach, a w arystokratycznym obozie głośniej jeszcze za porządkiem i formą obstaje«, co go naturalnie w oczach Słowackiego tem niżej stawia.

Ale z tego nie wynika jeszcze, że szlachta przestała istnieć, że szlachty już niema. I owszem, ideał hułana-rębacza świadczyłby przeciwnie, bo może być uważany za dalsze rozwinięcie dawnego ideału szlacheckiego: hussarza-rębacza. Więc skądże ta bezwzględna negacya istnienia szlachty? Nie umiem tego inaczej wytłómaczyć, jak działaniem z jednej strony ducha przekory w Słowackim, obudzonego zbyt bezwzględną apoteozą szlachty w *Psalmie Miłości*, z drugiej — działaniem własnej świeżej twórczości poetyckiej, która wielbiła czyny rycerskie dawnej szlachty i oblewała je mistycznem światłem, mianowicie dramatu *Zawisza Czarny*.

Duch przekory poradził poecie dla poniżenia, a raczej zupełnego unicestwienia dzisiejszej szlachty, którą przeciwnik wielbił, zasłonę przebaczenia rzucając na jej winy, — poradził przyłożyć do niej miarę owych dawnych wielko-

ludów rycerskich, jacy się w wyobraźni jego niedawno przedtem roili, a których wzorem był Zawisza Czarny. Naturalnie Zawiszów Czarnych nie mógł znaleźć poeta wśród szlachty współczesnej, więc przyznając ze szczodrej ręki, że było jej kiedyś ze sto tysięcy, zaprzeczył istnieniu jej dzisiaj. Za życia swego poeta znał jednego tylko szlachcica prawdziwego, to jest takiego, który do tego tytułu miał prawo.

Łatwo odgadnąć, o kim tu mówi poeta. Jest to ten sam, ktorego i w *Kordyanie* i w *Beniowskim* wyłączył z ogólnego potępienia: Czartoryski. Wiemy już, że miał szczególną słabość do niego i znamy, przynajmniej po części, przyczyny tej słabości. To, co tu Słowacki mówi o księciu, potwierdza dawniejsze nasze przypuszczenia: przyczyną predylekcyi w Słowackim dla księcia, oprócz przyjemnych, schlebiających próżności poety, wspomnień, była pewna aureola poetyczna, unosząca się nad księciem, aureola, na którą wiele różnych rzeczy się składało, w której i starożytne tradycye, i hojność jego i osobiste zasługi i dawne znaczenie w kraju i patryarchalne stanowisko w emigracyi pewną odgrywały rolę.

Ale na co trzeba zwrócić szczególną uwagę w tym nowym akcie uznania dla księcia, to na pogardliwe jego zakończenie: »Poszedł gnić między królami«. Znaczenie tych słów jasne; są one alluzyą do królestwa *de facto* Czartoryskiego, do tego, że przez pewną grupę emigracyjną uznawany był za króla. Tym sposobem gnicie purpury włożone do *Credo* w *Podróży na Wschód*, w *Beniowskim*, jak widzieliśmy, odrzucone, w wierszu *Do autora Trzech psalmów* wracało do poetyckiego *Creda* Słowackiego.

Nie sądzę, aby Słowacki po wyrażeniu takiej sympatyi dla księcia, chciał go tem »gniciem między królami« dotknąć. Pomimo pozornie pogardliwego tonu, było tu przecież do pewnego stopnia nawet uznanie jego korony. »Gnić między królami« znaczyło tyle, co zająć miejsce międy królami. Pogarda odnosiła się nie do osoby, ale do

samej purpury. Naturalnie brał za złe księciu, że się przyodział purpurą, ale samą purpurę traktował poważnie, jako rzeczywistą, jak każdą inną purpurę królewską, a o to przecież jeżeli nie księciu, to otoczeniu, któremu ten ulegał, najwięcej chodziło.

Ale dlaczego pogarda dla purpury, zatajona w *Beniowskim*, tutaj otwarcie i dumnie występowała? Oto dlatego, że zmieniły się czasy, zmieniło się stanowisko Słowackiego, a raczej wyobrażenie poety o swojem stanowisku. Wtedy, gdy pisał *Beniowskiego*, pewny był tylko swego geniuszu poetyckiego, ale chodziło mu o to, aby dobić się nareszcie sławy i w tym celu potrzebni mu byli sprzymierzeńcy, których najwięcej spodziewał się znaleźć w obozie króla *de facto*. Teraz mało dbał o mizerne oklaski ludzkie dla swoich wierszy, bo teraz pewny był, że jest najwyższym i najczystszym duchem narodu, jego wodzem, królem-duchem, przez samego Boga na tym urzędzie zatwierdzonym. Teraz chodziło mu przedewszystkiem o to, aby przed samym sobą grać odpowiednią swemu wysokiemu powołaniu rolę. Jeżeli zaś przy pisaniu swej polemicznej pieśni oglądał się na kogo w emigracyi, to tylko na obóz demokratyczny, a to naprzód dlatego, że w jego to przecież obronie staczał ten pojedynek z Krasińskim, powtóre, że jaskrawość rewolucyjnych dążności tego obozu przypadała dobrze do artystycznego temperamentu poety, lubującego się w jaskrawościach.

Zaprzeczywszy istnieniu szlachty w tem znaczeniu, w jakiem ją Krasiński przedstawiał, Słowacki zwracał się do ludu, aby go podnieść i uczcić tak, jak to przeciwnik jego uczynił był ze szlachtą. Zapewne działał w nim i tutaj duch przekory, działały też dawne artystyczne sympatye dla ludu, jako materyału rewolucyjnego, sympatye, które znalazły tak charakterystyczny wyraz w przytoczonych już słowach współczesnego listu, że »lewe ucho« poety jest »na wiatr od ludu idący zawsze zwrócone«. Ale przypuszczam, że pewien udział wpływu na to uczcze-

nie ludu należy się także *Prawdom żywotnym* wraz z *Katechizmem Demokratycznym*.

W *Prawdach żywotnych* był jeden rozdziałek, który nie mógł nie wywrzeć silnego wrażenia na Słowackim. Rozdziałek miał tytuł »O stanowisku postępowem poezyi ludowej« i nauczał poetów, jak mają śpiewać do ludu i o ludzie, a kończył się taką apostrofą: »Powstań, piewco przyszłości! poeto ludowy, a śpiewać za tobą wszyscy będą i przerabiać będziesz ducha Polski natchnienia twojego potęgą! Wyglądamy cię z nadzieją nieomylną, bo się objawić musisz, bo cię wyda siła żywotna Polski« [1]).

Że tę apostrofę Słowacki wziął do siebie, to mi się wydaje rzeczą niewątpliwą; była ona przecież, jakby silniejszem tylko powtórzeniem tego wezwania, jakie wprost do Słowackiego czynił *Demokrata polski* w recenzyi *Beniowskiego* przed czterema laty. Że ta apostrofa była przyjemną i poniekąd obowiązującą dla poety, to łatwo zrozumieć; wszakże czuł się wodzem duchowym narodu, a oto wzywano go do wykonywania tej władzy. Wprawdzie wodzostwo jego polegało przedewszystkiem na tem, aby wtajemniczać swój naród, naród przez Boga wybrany, w mądrość zawartą w *Genezis z Ducha* i tą »jedyną drogą rozwidnień i oświeceń zaprowadzić go do królestwa Bożego«; wprawdzie na małpowanie przez demokracyę polską francuskich wyobrażeń spoglądał z lekceważeniem, znalazł jednak, jak zobaczymy, sposób zadzierzgnięcia silnego węzła między dążeniami tej demokracyi a mądrością, zawartą w *Genezis z Ducha*. Tym węzłem było pojmowanie wszelkiej rewolucyjności, tak w naturze, jak w ludzkości, a więc także politycznej i społecznej, jako odwiecznego prawa boskiego, jako głównej dźwigni doskonalenia się i zbliżania do bóstwa.

W *Prawdach żywotnych* wyjście było zupełnie inne, o zbliżaniu się do bóstwa nie myślano tam wcale, ale re-

---

[1]) O prawdach żywotnych. Bruxella 1844, str. 46.

wolucyjność podnoszona była jako jedyna zbawcza metoda działania. Broniąc klubów rewolucyjnych, które Mochnacki nazywał złem koniecznem, uczeń wersalskiej demokracyi pisał: »Kiedy kluby będą więcej rewolucyjne, jak rząd, to znak jest niemylny, że rząd jest kontrrewolucyjnym, bo nigdy nadto rewolucyjnym być nie można«[1]. A ponieważ rewolucyjności najlepiej odpowiada wiek młody, więc w *Katechizmie Demokratycznym* były przestrogi przed pewnym »zgubnym przesądem«, jakim jest »oglądanie się i dowierzanie starszyźnie«. »Polska ma przed sobą wielkie rzeczy do spełnienia, a te są właściwem powołaniem tej części narodu, która najśmielej na wszystko się waży i czuje popęd śmiałego przedsięwzięcia, — przedwszystkiem młodzieży. Ona ma tego dokonać, na co starszyzna nigdy się nie ośmieli, — bo starszyzna, to ludzie zasłużeni i wysłużeni, ale którzy już stargali swoje siły, wątpią o tem, w co potrzeba wierzyć, nie idą za biegiem nowych wyobrażeń, których pojmować nie mogą lub nie chcą, i wsparci na dawnych zasługach, często dostatkami zmiękczeni, zasiedli na nich jako na miejscu ostatecznego spoczynku... Niedorzecznością zgubną jest na nią się spuszczać, — od niej wyglądać tego, czego niezdolna i stawić ją u steru; a naród, który tak pobłądzi, nie pojął jeszcze ani abecadła rewolucyjnego wychowania«[2].

To odżegnywanie się od starszyzny a składanie całego dzieła zbawienia w ręce młodzieży odzywa się parokrotnem echem w wierszu *Do autora Trzech psalmów*. Uderzywszy na pesymizm Krasińskiego, na jego obawy, wywołane propagandą demokratyczną, Słowacki przeciwstawiał tym snom straszącym »głośnego szlachty upiora«

[1] Tamże, str. 146.

[2] *Katechizm Demokratyczny* — Przymówienie do czytelnika, str. 115—120.

swój różowy obraz przyszłości, której twórczynią jest młodość.

Duch, ogień, młodość
Orla i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie.
Nad nią na sierpie
Z blasków księżyca
Boga Rodzica
W zorzy czerwonej
Na wywróconej
Tęczy porannej!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła
W skrze nieustannej
Bałwany wznosząca,
By znieść ją z miesiąca
Z gwiazdami złotemi
Postawić na ziemi.
Piękność z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową!

Cóż znaczy ta różowa symbolika i jaką rolę w niej odgrywa postać Madonny, do Murillowskiej tak podobna? Oto, że wolność, do której dąży propaganda rewolucyjna, owa mgła ognisto-szklana, nie jest wolnością źwierząt, o jakiej pisał Krasiński (Nie wolności dotąd człowiek — To wolności wstało źwierzę), ale wolnością, która przyniesie wszystkim szczęście i harmonię społeczną. Bogarodzica na tle zorzy czerwonej — to symboliczny wyraz takiej wolności, ją to chce rewolucyjna młodość ściągnąć z księżyca, postawić na ziemi i ogłosić królową.

Ale obok takich różowych, cudownie eterycznych obrazów, obok nowego wezwania przeciwnika, aby nie straszył, aby »wygnał z myśli Maryusze i Robespiery« i »nie łyskał blaskiem noża«, obok tego wszystkiego, odrazu, bez żadnego przejścia i bez żadnej troski o konsekwencyę, zaczyna Słowacki sam straszyć i to w taki sposób, że hajdamackie noże Krasińskiego przy tych jego postrachach wydają się niemal dziecinną zabawką. Przedtem szydził ze strachu

przeciwnika, wołając: »A ty zląkł się, syn szlachecki!« — teraz trzykrotnie mu powtarza: »więc się bój!«

Ten niespodziewany skok wyobraźni Słowackiego jest bardzo ciekawym momentem w jego pojedynku poetyckim z dawnym przyjacielem, bo tutaj to właśnie nasz poeta swoją rolę obrońcy rewolucyjno-demokratycznej propagandy chciał oprzeć na podstawie swojej kosmogonii i powiązać z całokształtem swych wyobrażeń mistycznych. Można przypuścić, że ta chęć wywołana była przykładem Krasińskiego, który w *Psalmie miłości* biorąc w obronę szlachtę, wykazując jej znaczenie, konieczność jej istnienia dla narodu, znajdował dla tej obrony argumenta w swojej teoryi świata. Ta teorya, już w *Synu cieniów* zarysowująca się, była ewolucyjną i jak każda pokrewna jej teorya przemawiała przeciw niwelacyi stanów. Z tego korzystał właśnie Krasiński, ażeby uzasadnić potrzebę i znaczenie szlachty.

Wy, co niższe zniżać chcecie,
Patrzcie! patrzcie! — Od kamienia
Jak stopniowo Pan przemienia
Duchy stworzeń . . . .
. . . .
Wreszcie przywian Duch z daleka
Wdziewa na się pierś człowieka. —
Głaz, kwiat źwierzę śniły z cicha,
On, ku niebu pnie już głowę —
Do aniołów pieśnią wzdycha
Między gwiazdy eterowe!
Wszystko, wszystko, wiecznie wszędzie
Rwie się w górę, z Bożej myśli!
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie,
Kto inaczej świat swój kréśli!

Słowacki nie mógł nie czuć, że i jego *Genezis z Ducha*, z tego punktu uważana, do podobnych wniosków w sferze społecznej prowadzić musi, więc też tego argumentu przeciwnika w obronie szlachty nie tknął, ale za to postanowił oprzeć się na innych punktach swojej teo-

ryi, aby przeciwnikowi dowieść, że walcząc z nim stoi także na gruncie filozofii, że obrona rewolucyjności, której się podjął, zgodna jest z porządkiem świata. Zaszła tu przytem scena, przypominająca pojedynek Hamleta z Laertesem w chwili, gdy przeciwnicy mieniają się na rapiery. Słowacki przedtem szydził z przesadnej czci Krasińskiego dla ojców i przedrzeźniał go, wkładając mu w usta: »Stójmy tak — na Ojców kości!«, a i potem przedstawiał go jako Charona na łodzi pełnej trupów, w których się »ojców« domyślać należy, a jednak w ustępie z owem trzykrotnem: »więc się bój!«, w niespodziewany sposób uderzał na Krasińskiego w obronie znieważonego ojcostwa i takiem cudnem rzucał mu w oczy malowidłem:

Ten, kto ojcu powie: raka!
Ten przeklęty: — więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój.
Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając twarz i lice,
I na ciebie, jak na świécę —
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Była to jakby ukryta odpowiedź na stosowanie teoryi ewolucyjnej do obrony praw szlachty u Krasińskiego. Jeżeli szlachta stanowi wyższy stopień ewolucyi społecznej, to jednak powinna pamiętać, że wyszła z ludu, że on zatem jest dla niej ojcem, więc mu się synowska cześć należy. Do następującej pogróżki, która była tylko podkreśleniem pierwszej, poeta wplątał widoczną alluzyę do znanej nam cudownej wizyi swojej, w której, w danej chwili, upatrywał jakiś związek ze sprawą ludu.

Więc się bój: — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat,
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła boże
Z ciszą, z wiatrem i szelestem
Rzucające się na lud.

Strachy, które mówią: cud!
Ognie, które szepcą: jestem!

Ale najstraszniejszą i najbardziej interesującą z trzech pogróżek, najczęściej cytowaną a najmniej rozumianą, jest trzecia:

Więc się bój: — bo duch się wdziera
Zewsząd i podważa wieże.
Słaby, mówisz, rzeź wybiera:
A czy wiesz, co on wybierze?
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni,
Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie;
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucyonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

Tak więc ten sam, który przed chwilą oskarżał przeciwnika o wiarę w czcze sny, karmazynem firanek zabarwione, ten sam, który odrzucając jego strachy malował w innym ustępie cudowny obraz harmonii społecznej, — ten sam mieniał się tu znowu na role z przeciwnikiem, gdy z kolei sam odsłaniał przed nim apokaliptyczny obraz zniszczenia.

Skądże to pochodziło? Oto stąd, że w tym ustępie Słowacki chciał swój rewolucyonizm społeczny oprzeć z całą siłą na najgłębszych podstawach swej mistycznej filozofii, podobnie jak Krasiński w *Psalmie miłości* oparł swój konserwatyzm szlachecki na teoryi ewolucyjnej. Teorye przeciwników w głównej zasadzie, jaką jest pochód ducha od kamienia do bóstwa, były zgodne; rzecby można, że stali na jednej belce ruchomej, tylko na przeciwnych jej końcach i stąd możliwą była huśtawka ich polemiczna. Krasiński kładł nacisk na cel, na kierunek dążenia ducha w górę, Słowacki — na środek, t. j. na ciągłą przemianę

form dla osiągania coraz doskonalszych, a stąd główną charakterystyczną cechą ducha ludzkiego i ducha wogóle jest — podług Słowackiego — burzycielstwo. Duch, który, jak wiemy z *Genesis*, sam sobie obiera formy, tem więcej męczy się pod niemi, im mniej są doskonałe, i dąży do ich rozbicia i stąd to nazywa go poeta »wiecznym rewolucyonistą, pod męką ciała leżącym«.

Wiemy też z tej samej fantastycznej »Alfy i Omegi świata«, że jeżeli duch zaleniwia się w dążeniu do form doskonalszych, wtedy go Bóg pobudza do dalszej pracy za pomocą kataklizmu. Otóż jakby echem tej nauki jest obraz kataklizmu, podany w ostatnim cytowanym ustępie wiersza *Do Autora Trzech Psalmów.*

Po tym obrazie kataklizmu poeta intonuje modlitwę do Boga, która z początku jest jakby parafrazą Modlitwy Pańskiej [1]), potem rozpływa się w błaganiach o litość nad narodem. I zaraz po niej następuje (w wydaniu Małeckiego) mglisty, tajemniczy obraz, w którym, w jakiejś otchłani powietrznej, występuje cierpiąca przeszłość narodu w godzinie przesilenia tych cierpień. Za najgodniejszych przedstawicieli tej przeszłości, — o ile się w niejasnych rysach tego obrazu zoryentować można — obiera Słowacki, zgodnie ze swojem uwielbieniem rewolucyonizmu, największych warchołów i najburzliwszych rokoszan: Zebrzydowskich i Zborowskich. Modlitwa ma służyć dla przeciwnika za wzór, w »jakim hymnie ma stać«, za wskazówkę, jaką powinna być jego poezya.

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem bożym nie skrzydlaci
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi,

---

[1]) Warto zwrócić uwagę na to, że Słowacki parafrazując tu wszystkie prawie prośby Modlitwy Pańskiej, opuszcza tylko prośbę o chleb powszedni, która dla przeciwnika »zjadaczy chleba« była zbyt poziomą.

Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie
. . . .
. . . .
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów — poprzek staniem!

To był koniec pieśni. Jeszcze raz podkreślał tu poeta przeciwieństwo stanowisk walczących, konserwatyzm z jednej, rewolucyjność z drugiej strony, i — co ważniejsza, a w czem wpływ *Katechizmu Demokratycznego* widzieć należy — po raz pierwszy zaznaczał tu przeciwieństwo pomiędzy starszem a młodszem pokoleniem, i wyklinając pierwsze a roztaczając aureolę świętości nad drugiem, zaliczał się do drugiego i stawał naturalnie na jego czele. Było to wezwanie, rzucone młodzieży, ażeby szła za jego sztandarem [1]).

---

[1]) Analiza wiersza *Do Autora Trzech Psalmów*, podana tutaj, trzyma się tekstu wydania prof. Małeckiego. O innych tekstach tego wiersza będzie mowa niżej, w rozdz. XXIV.

ROZDZIAŁ XXI.

Rozmowa z Mieczysławską i korrespondencya z Krasińskim.

1845—1846.

Przybycie Makryny Mieczysławskiej do Paryża. — Wrażenie, jakie wywarła na Mickiewiczu i Słowackim. — Poemat: *Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską*. — Porównanie *Rozmowy* z *Ojcem Zadżumionych*. — Kontrast między marzycielem a kobietą czynu. — Niechęć Słowackiego do Rzymu. — Gdzie szukać prawdziwych papieży? — Śmierć Hofmanowej z Tańskich. — Krasiński nasłuchuje głosu krytyki. — Gaszyński na zwiadach u Słowackiego. — Bolesne rwanie się listu Słowackiego do Krasińskiego. — Krasiński o Słowackim do Gaszyńskiego. — Słowacki o sobie do Krasińskiego. — Słowacki w roli mistrza Krasińskiego. — Stosunek poety do współczesnej nauki. — Powody jego milczenia. — Korespondencya dwu Wenedów urywa się na zawsze.

W chwili, gdy Słowacki pod świeżem wrażeniem *Psalmów przyszłości* pisał swoją wojowniczą, ognistą replikę i zapewniał, że już szlachty polskiej, godnej tego nazwiska, niema na świecie, zjawiła się niespodzianie na bruku paryskim szlachcianka z głębokich lasów litewskich, jakby z nieba spadła, jakby umyślnie zesłana na to, aby emigracyę, bujającą w marzeniach religijnych i politycznych i zacietrzewioną w sporach domowych, przywołać do opamiętania i zgody.

Tą szlachcianką, nie z herbu tylko, ale z bohaterskiego tętna serca, była matka Makryna Mieczysławska,



MATKA MAKRYNA MIECZYSŁAWSKA.

przełożona zakonnego zgromadzenia sióstr Bazylianek w Mińsku, która od czasu zniesienia Unii na Litwie, t. j. od roku 1837 przez kilka lat następnych przechodziła, wraz z powierzonemi swej pieczy siostrami, przez najsroższe prześladowania ze strony osławionego Siemaszki. Ten biskup-apostata, chcąc zajaśnieć gorliwością w oczach rządu, od którego się wielu łask za to spodziewał, nie poprzestał na apostazyi własnej i tych, którzy się jej łatwo poddali, ale wytężał wszystkie siły, używał wszelkich sposobów, wszelkich przynęt i okrucieństw, ażeby pociągnąć za sobą i tych, dla których wiara była droższą od życia. Wielu też wtedy unitów i unitek śmiercią zapłaciło przywiązanie swoje do wiary i obrządku, w którym się wychowali.

Mieczysławska, cudownym prawie sposobem wyrwawszy się z rąk oprawców i dostawszy się w połowie września 1845 r. do Paryża, opowiadaniami swojemi o niesłychanych okrucieństwach, jakich się na niej i innych zakonnicach dopuszczano, zatrzęsła całą emigracyą i wywołała uczucie zgrozy, które udzieliło się rzecby można całej cywilizowanej Europie, dokąd tylko wieść o niej doszła. W Paryżu katolicka młodzież francuska złożyła na ręce księcia Czartoryskiego, jako »reprezentanta Polski na wygnaniu« adres z wyrazami czci dla ofiar, oburzenia dla oprawców. Podróż Mieczysławskiej przez Francyę do Rzymu, dokąd się udała w miesiąc po przybyciu do Paryża, była szeregiem manifestacyi na jej cześć.

Jakie wrażenie ta wołająca o pomstę do nieba Litwinka wywarła na dwu naszych największych poetach? Mickiewicz, kiedy się ona zjawiła w Paryżu, zajęty był jeszcze ciągle myślą poselstwa do cesarza Mikołaja, od tej chwili traci widocznie wiarę w skuteczność tego kroku. Natomiast stara się wyprowadzić Koło Towiańczyków z odosobnienia, w jakiem zostawali wśród innych stronnictw emigracyjnych, zbliżyć się do tych stronnictw i powiązać je wyższą ideą religijną. Użyty był do tego nowo

pozyskany brat, Niewiarowicz, o którym Mickiewicz donosił (w październiku 1845), że jest to »człowiek duchowy, wykształcony, a przytem próżny (bez ja) i nikomu tu nieznany«[1]). Zabiegi Niewiarowicza, według świadectwa Mickiewicza, dobrze były przyjmowane, z wyjątkiem Towarzystwa Demokratycznego, które się okazywało w tym względzie najoporniejszem[2]). W dniu 29 listopada Towiańczycy nie oddzielali się już od innych braci przy wspólnem nabożeństwie w kościele Św. Rocha, a w wigilią Bożego Narodzenia, t. j. w dzień imienin księcia Adama, Mickiewicz i Różycki (nowo mianowany drugi zastępca mistrza) odwiedzili księcia, aby mu złożyć życzenia i nawiązać zerwane z nim stosunki. W tymże czasie zwrócili się także i do księży polskich, pragnąc im objaśnić *Biesiadę* i przedstawić ją w świetle, któreby ich mogło pogodzić z kościołem. Do szeregu podobnych pojednawczych objawów należy zaliczyć także powinszowanie przesłane od imienia Towiańskiego Krasińskiemu na Nowy Rok[3]).

Że to wszystko trzeba przypisać zjawieniu się Mieczysławskiej, że wogóle to zjawienie się elektrycznie podziałało na Mickiewicza, zdaje się wskazywać — prócz samego zestawienia chronologicznego faktów — i ten ustęp ze współczesnego listu Towiańskiego do Mickiewicza: »Ta Polka naprzykład dała Tobie pobudkę do pełniejszej drogi chrześcijańskiej i wnet zdrowie znalazłeś — (Mickiewicz

---

[1]) Współudział I, 297.

[2]) »Ze wszystkich partyi, Towarzystwo Demokratyczne pokazuje się najniższem i najoporniejszem. Tam się skupiła cała pycha umysłów ciasnych i serc zimnych. Wszakże i z nim Niewiarowicz nie traci nadziei«. Mickiewicz do pani Gutt. Współudział I, 299.

[3]) Z Nicei 9 stycznia 1846 Krasiński pisał do Małachowskiego: »Powinszowanie Towiańskiego na Nowy Rok wczoraj już mnie doszło w kopercie listu nieznajomem pismem do mnie zadyrygowanej, jednakowoż podobnem dość do Adamowego. Smutne to powinszowanie, ogłaszające jedynym wynikiem piętnastoletniej męki: Męczeństwo«. Listy do Małachowskiego 39. Podobnie o tem pisał w liście do Gaszyńskiego z 15 stycznia.

był wtedy przez jakiś czas chory) bo duch twój w ciało twe wszedłszy, w ciało, co broiło bez pryncypała swego, porządek uczynił — złe duchy odegnał« [1]).

Ale tak dodatnie znaczenie przypisując wpływowi Mieczysławskiej na Mickiewicza, czuł już Towiański, że Mickiewicz oddala się od niego i straszył go mistycznemi groźbami. »Kochasz śmierć — pisał 31 października 1845 — nie chcesz życia twego, które ofiary miłości Bożej i królestwa Bożego w wiekach z nicości wzbudziły, cofasz się do nicości twojej, syć się wieki ukochaną śmiercią, nicością w szale, na szczeblu najniższym padołu, a syt w wiekach śmierci i nicości, życia zapragnij i tak śmierć, lody wydają przez wieki życie, ogień w pracowni Pana Zastępów. Widziałem wielkiego Izraela w powłoce konia męczennika, po męczeńskim żywocie w chwili skonu wydającego drgnięcie ducha, na które Bóg cierpliwy, miłosierny długo oczekiwał w powłoce człowieczej i t. d.« [2]). Znaczyło to, że i Mickiewicza, który był »wielkim Izraelem«, czeka podobna metamorfoza. A w marcu 1846 po widzeniu się z Mickiewiczem oskarżał mistrz swego zastępcę przed braćmi, że »wola Boża odparta przez brata Adama«, że »brat-sługa nie poruszył się... w tonie niższym stanął«, ale »Bóg znajdzie sposób poruszenia« [3]).

Skądże pochodziła ta zmiana w Mickiewiczu, która wywoływała podobne groźby i zarzuty ze strony mistrza? Myślę, że wpłynęły na nią później, w początkach 1846 r., wieści o rewolucyjnych ruchach w Polsce, o rzezi galicyjskiej, ale początek jej jest wcześniejszy, sięga jeszcze chwili zjawienia się Mieczysławskiej w Paryżu. Gdy porównał Mickiewicz swoją i swoich braci tak zwaną »realizacyę« z bohaterstwem tej Polki w imię prostej wiary tradycyjnej, to ta »realizacya« wydała mu się jakąś bez-

---

[1]) List z Bazylei z datą 22 listopada 1845. Współudział II, 9.
[2]) Współudział I, 305.
[3]) Tamże II, 34.

celową, rozpaczliwą gimnastyką w próżni i uczuł, że dalej dla takiej realizacyi żyć nie może. Pod datą 15 maja 1846 Eustachy Januszkiewicz taką w notatkach swoich zapisywał uwagę: »Może się mylimy, może inni lepiej widzą rzeczy, ale ani Adam, ani ja, na stare manowce nie wejdziemy. Przeszedł on straszną walkę, cierpiał wiele, tych cierpień przez wiele dni byłem świadkiem, ale o nich pisać obojętnie się nie godzi, a najlepiej, jak o grzechach na spowiedzi, nie wspominać«.

Ale co najlepiej charakteryzuje Mickiewicza i uwydatnia szlachetność jego ducha, to ten fakt, że otrzeźwiawszy i spostrzegłszy, na jakie zaszedł manowce, nie mistrza o to obwiniał, ale samego siebie. Jego list do Towiańskiego, pisany w rok po odsunięciu się wraz z pewnem gronem przyjaciół od Koła (z 12 maja 1847), jest strasznem samooskarżeniem, straszną spowiedzią, i budzi uwielbienie dlatego, który w imię prawdy umiał być tak bezwzględnym dla siebie.

Tak więc na Mickiewiczu zjawienie się Mieczysławskiej wywarło wrażenie silne, którego następstwa bardzo daleko sięgały i wpłynęły na jego wyzwolenie się duchowe. Inaczej objawił się wpływ tego zjawiska na Słowackim. Pierwsze wrażenie było również silne, może nawet silniejsze, niż u Mickiewicza, ale przemijające, zapłodniło jego wyobraźnię, potrąciło serce, ale na chwilę tylko, nie miało dlań tej oczyszczającej siły, co dla tamtego, i nie wyrwało go z zaczarowanego koła samoubóstwienia.

Owocem tego wrażenia jest utwór poetycki p. t: *Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską*. Do genezy jego wiele objaśnień w nimże samym znaleźć można. Dowiadujemy się stamtąd, że poeta, już z daleka słysząc powtarzane opowiadania Mieczysławskiej, mocno był niemi poruszony i wyobraźnia jego pracowała nad obrazem nieznajomej, w której bodaj czy nie upatrywał jakiejś istoty

cudownej, umyślnie zesłanej dla przyniesienia mu jakiegoś znaku z góry.

Szedłem, ażebym dla mojego czoła
Wziął uświęcenia od ręki anioła;
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała przeze mgły skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych — że brak na to słowa,
Żem drżał, jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa
Rękę był swoją pokazał ze skały.

Więc poszedł, aby ją własnemi oglądać oczami i własnemi jej posłuchać uszami i znalazł nie to, co mu nastrojona na ton biblijnej grozy wyobraźnia przedstawiała.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze
U suchych, obcych ludzi na gościnie,
Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.

Ale ta prosta kobieta, która Słowackiemu z postaci przypomniała jego matkę, miała na twarzy »jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote«, które go uderzyło i zawstydziło. Niemniej przeto pierwsza myśl jego w rozmowie z matką Makryną pobiegła w kierunku *Grobu Agamemnona;* przypomniał sobie »wielki posąg z jednej bryły«, i jak tam zapytywał, mówiąc o złożeniu broni: ilu was było? tak i tu, naliczywszy dwadzieścia milionów Polaków, ich obojętności przypisywał winę męczeństwa.

Gdyby błysnęły wszystkim ognie z lica,
Świat można spalić! A ty męczennica!

Ale matka Makryna w odpowiedzi na to oburzenie, prędzej mimowolnie niż świadomie, dała poecie surową naukę, i wielką jest zasługą Słowackiego, iż tej nauki nie

zatail i wiernie powtórzył ją w prostych a wymownych rymach.

A ona: »nie skarż, o nie skarż nikogo!
Oni? — cóż oni biedacy tam mogą?...
Wszyscy pod wielkim,i krwawym uciskiem
Czekają tylko na pierwszą dogodność«...
Tu mnie spytała: »jakiem zwać nazwiskiem«?
Nie dosłyszałem — a ona: »jak godność«?
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
»Godności nie mam — przed męką uciekłem«...
I nastąpiło ponure milczenie,
Ona ze smutną, a ja z twarzą ciemną...
Czułem, że cierpi ze mną i nade mną,
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

Nazwisko, o które pytała Mieczysławska, nie było nazwiskiem rodowem, ale nazwą urzędu, stopnia, zajmowanego przez poetę w powstaniu. On, który się tak oburzał teraz na obojętność narodu, nie mógł być przecież bezczynnym podczas walki o niepodległość; chciała go więc, stosownie do stopnia wtedy zajmowanego, tytułować. W ten sposób poruszyła najdrażliwszą strunę w sercu poety. I oto ten, który z obłoku samoubóstwienia, ze szczytów »najwyższego i najczystszego ducha«, gotów był gromy Jowiszowego gniewu ciskać na naród za brak męstwa, on, »wódz narodu«, spadał nagle ze swoich obłoków, aby stanąć przed tą prostą i naiwną, a w naiwności swojej mądrą kobietą, jako oskarżony o dezercyą. I na chwilę przynajmniej, — o czem świadczyła twarz jego ciemna — uczuwał głęboką skruchę i otrzeźwiony zapominał o swojem urojonem wodzostwie.

Owocem tej skruchy i otrzeźwienia ducha jest poemat, o którym mowa. Zajmuje on w poezyi Słowackiego od czasów transfiguracyi wyjątkowe stanowisko, swoim spokojem, jasnością, realizmem przedstawienia. Pod tym względem, jak również pod względem tematu, okazuje dość blizkie podobieństwo do *Ojca Zadżumionych*. Mo-

żnaby powiedzieć, że to jest pendant do tamtego obrazu; jak tam cierpienia ojca rodziny cielesnej, tak tu cierpienia matki rodziny duchowej są przedstawione. Podobieństwo i na tem polega, że jednym i drugim razem czerpał Słowacki swój temat z ustnego opowiadania.

Ale poza tem podobieństwem są różnice godne uwagi. Tam opowiadał obojętny świadek, lekarz, dr. Steble; tu opowiadała sama bohaterka poematu. Jak opowiadał dr. Steble, nie wiemy, ale łatwo przypuścić, że opowiadanie Mieczysławskiej sprawiało daleko silniejsze wrażenie na poecie, już choćby dlatego, że opowiadała to, co sama przeżyła, a powtóre, że opowiadała żywo, że umiała, jak Słowacki powiada, »powieść gestem krasić«. Tam cierpienia Araba pochodziły z ręki ślepego fatum i budziły tylko ogólno-ludzkie współczucie, tu źródłem ich była przemoc wroga i przewrotność ludzka, i zdolne one były jak najsilniej poruszyć narodowe uczucia poety. To też jeżeli pod względem architektoniki *Ojciec Zadżumionych* jest może doskonalszym od *Rozmowy z matką Makryną* — bo tam poeta miał zupełną swobodę w układaniu szczegółów, tu zaś nie śmiał korzystać z takiej swobody, chcąc, aby utwór jego był wiernem odbiciem prawdy — to za to szczerością, ciepłem tonu *Rozmowa* stanowczo przewyższa *Ojca Zadżumionych*. Pod tym względem najwięcej, sądzę, z całej poezyi Słowackiego zbliża się ona do poezyi Mickiewiczowskiej i nieraz w niej odzywają się akcenta ze spowiedzi księdza Robaka.

Na to jesze warto zwrócić uwagę, że *Rozmowa* była źwierciadłem, w którem się nie tylko odbiła, z wielkim realizmem, martyrologia mińskich Bazylianek, ale się odmalował także bardzo zajmujący kontrast pomiędzy poetą a bohaterką poematu. Kontrastu tego po części już dotknąłem, mówiąc, jaką naukę dała ona, wyrozumiała dla rodaków, Słowackiemu, tak pochopnemu do rzucania na swój naród gromów. Kontrast ten oprócz tego objawił się i w inny sposób. Samo zestawienie zewnętrznych postaci

tych dwojga ludzi, tak niepodobnych do siebie, tworzyło już kontrast. Ona, o dwadzieścia kilka lat starsza od niego, niegdyś »panna myśli trwożnej i psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem i wytrwałością«, choć męczennica, podobną była do gospodyni, siedzącej na szlacheckim dworze, on, choć »uciekł od męki« i młody, podobny był do męczennika.

Ty młody jeszcze, nie topionyś w Niemnie,
A już ty bledszy, mój synu, odemnie [1]).

Kontrast odmalował się i we wrażeniu, które sprawiało na poecie opowiadanie Mieczysławskiej. Uderzały go nieraz momenta takie, do których ona małą przywiązywała wagę, które nie weszły do jej szczegółowego opowiadania, spisanego przez księży polskich w Rzymie [2]). Takim np. momentem, szeroko odmalowanym w poemacie, jest przestrach zakonnic, które potem czoło stawiły największym torturom, na widok otrzymywanych z poczty papierów urzędowych; takim jest również odpowiedź Mieczysławskiej, wiezionej promem przez rzekę, na trwożny krzyk biskupa, aby ją pilnować, bo może skoczyć w wodę:

W wodę? — czy myślisz, że to są niebiosa?...
To rzekłszy — oczy znów swoje zakryła.
A ja: O matko! jak mi twoja miła
Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza;
O! jakie myśli z niej słodkie się rodzą!
Więc gdyby niebo — to tybyś skoczyła?

---

[1]) *Dziennik Narodowy* z d. 18 października 1845 tak opisywał Mieczysławską: »Siostra Makra Mieczysławska... ma lat przeszło sześćdziesiąt, ale pomimo tylu cierpień i blizn, wygląda jeszcze młodo i czerstwo; jest wzrostu niskiego, poruszenia ma żywe, w postaci jej i ułożeniu panuje niewymowna naturalność i ewangieliczna prostota«.

[2]) Opowiadanie Makryny Mieczysławskiej, ksieni Bazylianek Mińskich o ich siedmioletniem prześladowaniu za wiarę etc. Paryż 1846.

Więc gdyby jaka ci niebieska władza
Rzekła: o matko — patrz, obłoki schodzą,
Wstępuj do światła poza ziemskie ciemnie...
— Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,
Usta uśmiechem rozsładzając rzekła:
Widzisz — do nieba jeszczem nie uciekła...

W tym ustępie doskonale się maluje, jak ta kobieta, pomimo głębokich mistycznych pokładów, jakie w duszy nosiła [1]), prosta i naturalna, naprzód z podziwieniem, potem z pobłażaniem przyjęła wyskok poetyzującej wyobraźni Słowackiego. Kontrast maluje się także i w tym ustępie, gdzie poeta przejęty grozą opowiadanych wypadków przypisuje mistyczne znaczenie jej przybyciu do Paryża;

Rzekłem: O matrono,
Która tak straszne opowiadasz zgony,
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!
Kto cię Dantejską nakrywa koroną?
Odsłoń przede mną, chociaż do połowy,
Tajemnic twoich — niechaj je zobaczę!
Czy ty duch jaki stary, czy duch nowy
Przyszłaś jak Mojżesz prowadzić tułacze?

A ona: — We mnie sama matka płacze;
Nic ja nie jestem, o! nic ja nie jestem.

Ale najwyraźniej, najjaskrawiej występuje w samem zakończeniu poematu. Opowiedziawszy poecie dzieje swoich mąk i wyzwolenia, Mieczysławska oświadcza mu, że ma już dość Paryża, i chce jechać dalej:

Tu wszyscy dobrzy, mam kadzideł, dymu,
Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę.

---

[1]) O mistycznym nastroju i gorącej wyobraźni Mieczysławskiej można powziąć wyobrażenie z rozdziału poświęconego jej w X. Smolikowskiego Historyi Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. T. III, 224—305.

Przychodzą jacyś... jakby dziś z puchówek
Powyłazili — warzeni w dekokcie.
Patrzą, trafionych przekrzywiają główek,
Wzdychają w niebo i czyszczą paznogcie.

Prosta, szczera, zahartowana w siedmioletniej walce natura matki Makryny uczuła wstręt niewymowny, gdy jakaś hrabina »z migreną w głowie«, patrząca z tak wysoka, »jak gdyby miała sakrament w pierścionku«, szczebiotała jej o świętych, a potem po francusku prezentowała i zalecała swego »konfesora-młokosa«. Więc ona chciałaby już stąd wyjechać, chciałaby się już dostać tam, dokąd się wybrała, gdzie ma szukać ratunku dla swoich, dla ich zagrożonej wiary. Dokądże to? Do Rzymu.

Do Rzymu? do tego Rzymu, gdzie Kordyan utracił wiarę, od którego Słowacki w *Beniowskim* odstraszał naród, widząc tam zgubę jego, a z którym się po transfiguracyi bynajmniej nie pogodził. Do Rzymu miała jechać ta, w której poeta gotów był widzieć jakiegoś ducha niebieskiego, zesłanego przez Boga dla prowadzenia tułactwa? Więc odpowiedział potokiem gorzkich i pełnych oburzenia przestróg.

Ujrzysz ohydną wszędy cześć bałwanów,
Ujrzysz męczeństwo straszne ducha światów...
Może się spotkasz z ojcem twoich katów
I dasz mu pierwszy krok — do Watykanów!...
A jeśli krwawej nie ustrzeżesz duszy,
A dasz ją jako wosk w tych ludzi ręce:
Królową ducha nam wyszłaś po męce,
Umarłą wyjdziesz po tamtej katuszy!
Albo jeżeli cię znowu gorąca
Dusza, jak matkę porwie z tej mogiły,
To się uczujesz bez łez i bez siły!
Jeżeli święta — to już chyba klnąca...
Żegnaj — —
A ona swe oblicze blade
Wyszkliwszy na mnie: i gdzież ja pojadę?!
A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,
Że przy nim jednym — tamte tylko płaczą.

Otóż tu kontrast między marzycielem a kobietą czynu występował najjaskrawiej. On miał zwrócone oczy tylko na powłokę, na wiekami urobioną skorupę, która tysiącem dysonansów kłóciła jego wzniosłe marzenia i na nic więcej nie patrzył, traktując przytem ludzkość, a w szczególności swój naród tak, jak gdyby się on z samych podobnych do niego i równie wysoko bujających marzycieli składał. Ona tej skorupy nie znała, ale czuła sercem to, czego niezdolny był odczuć żyjący w samoubóstwieniu marzyciel, a co było potrzebą serc milionów, czuła we wnętrzu tej skorupy idealny środek ciężkości dla wiary swego narodu, bez którego sklepienie tej wiary groziło porysowaniem się i runięciem w gruzy. Cóż jej i innym męczennikom dawało siłę oporu i wytrwania wśród najcięższych prześladowań? Nic innego, tylko wiara w opokę Piotrową, w nierozerwalność związku między kościołem Chrystusowym a Rzymem, w przynależność swoją do tego centrum chrześcijaństwa a zarazem zachodniej kultury. Niczego więcej nie domagano się od niej, tylko zerwania tej przynależności dla zamiany na inną. I oto teraz poeta polski i wielbiciel jej męczeństwa usiłował zachwiać w niej tę wiarę i jeźli w istocie udało mu się choć trochę, to mogła ona naprawdę z rozpaczą zawołać: »i gdzież ja pojadę«? i ten krzyk mógł być w istocie rozpaczliwszym od przebytych męczarni.

Tym krzykiem kończy się poemat. Poeta nic nie odpowiedział na rozpaczliwe pytanie męczennicy, choć przecież, jako wódz narodu we własnem przekonaniu, powinien był dać odpowiedź. Ale posiadacz tajemnicy świata, która miała być zarazem drogą zbawienia dla narodu, nie wiedział, co ma począć z tym skarbem, który trzymał w ręku i tylko sam pieścił się jego widokiem, nie pokazując go światu. Bał się on, aby chłodna krytyka nie zważyła wspaniałego kwiatu marzeń, hodowanego w cieplarni anielstwa, więc pokusę ogłoszenia ludziom alfy i omegi świata odsuwał od siebie; tłómacząc sobie i innym, że

»tajemnice świata całego, teraz wydrukowane, ubliżyłyby prawdy majestatowi« [1]).

Zresztą, jeżeli miał być szczerym wobec Mieczysławskiej, to powinien jej był powiedzieć, że jeśli jej chodzi o prawdziwego papieża, to nie potrzebuje go szukać, bo ma przed sobą. Z jego »Kazania o Wniebowstąpieniu« zapisanego w znanej nam książce notatkowej, wiemy, jakie były jego wyobrażenia o »prawdziwem« papiestwie. »Pierwszym znakiem ewangelisty, (t. j. apostoła) jest rozkaz Boży i owionięcie bark niby ogniem i siłą sakramentalną z nieba idącą... Cięży duch Chrystusowy światu, niby chmura pełna piorunowej siły nad głowy ludzkie zlatuje, a piorunu oświetlenie nie wypuszcza, jeno aż się ku jakiemu na wysokości stojącemu człowiekowi przybliży, w którym moc zażądania i zapał ku ogniowi Boskiemu i zgłodniałość niby niczem innem, tylko ogniem Boskim nakarmić się mogącą poczuje... Wtenczas to apostoł nowy z ramienia Bożego — bo przez duchy posłany ku duchom... bierze na siebie ciężar i brzemię grzechów świata — a choć obciążon niemi, jednak ludzkość całą, samolubnie ciężarami strudzoną, wyprzedza... Znakiem więc apostoła jest ono uderzenie piorunem... a świadectwem siła, którą z niebios dostał, a której się tu duchy mniejsze oprzeć nie mogą... Takich apostołów i prawdziwych świata papieży następstwo jest nieprzerwane i przez wszystkie wieki aż od Chrystusa idące, a nie ono to widzialne następstwo z obioru i ciała i rozumu i myśli zimno szukającej, które Zakon Rzymski ogłasza — ale to drugie z natchnienia Bożego i od siły Sakramentalnej ciągle dawane, prawdziwe jest... i katolicki kościół od dwóch tysięcy lat przy Chrystusie utrzymuje«.

Otóż Słowacki, któremu się zdawało, że był owionięty ogniami z niebios i rządzony najwyższą sakramen-

---

[1]) Nieznane listy Juliusza Słowackiego. *Czas* z 3, 4 i 5 lutego 1902.

talną siłą Chrystusa, nie mógł się nie uważać za jednego z takich »prawdziwych« papieży. Jeżeli mu czego brakowało do zupełnej pewności w tym względzie, to poczucia owej siły, »której się duchy mniejsze oprzeć nie mogą«, bo w tym względzie spotykał go zawód na każdym kroku, ale pocieszał się on, że potrafi ją wydobyć z siebie przez rozrost wiary.

»Nigdzie w Ewangelii niema przenośni — pisał w tych czasach (10 grudnia 1845) do matki — nawet w tych słowach »gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczyczne, a rzekli tej górze, rzuć się w morze, rzuciłaby się w morze«... Jam tę górę widział a teraz wiem, że gdybym mógł już uwierzyć w moc taką ducha mojego, ruszyłbym ją z posad swoich słowem... i palcem wskazującym prowadził aż do morza... Bo jest siła... ale jeszcze przez wiarę dopiero się rodzi i wydobywa« [1]).

Rozmowa z Matką Makryną pisana była według wszelkiego prawdopodobieństwa w październiku lub początkach listopada 1845 [2]). Niedługo przedtem, właśnie podczas pobytu Mieczysławskiej w Paryżu, umarła tam inna pełna zasług Polka, Klementyna z Tańskich Hofmanowa, ta która głównie z natchnienia Brodzińskiego dokonała tego w naszem wychowaniu kobiecem, czego Mickiewicz dokonał w poezyi naszej: zrobiła je narodowem. I jak przed Mieczysławską pochyliły się wszystkie głowy w emigracyi bez różnicy stronnictw, tak samo wieść o śmierci Hofmanowej wywołała objawy żalu i czci ze wszystkich stron i *Demokrata Polski* nie mniej gorący składał hołd autorce *Pamiątki po dobrej matce*, niż *Trzeci Maj* lub *Dziennik*

---

[1]) Listy II, 250—251.

[2]) W zakończeniu jest alluzya do zamierzonej przez cesarza Mikołaja podróży do Rzymu, co każe przypuszczać, że ustęp ten pisany był dopiero w listopadzie, wiadomość bowiem o tym zamiarze pojawiła się w pismach emigracyjnych (*Dziennik Narodowy*, *Trzeci Maj*) dopiero w numerach z 1 listopada.

Narodowy[1]). To też słusznie powiedział o niej w kazaniu pogrzebowem ks. Kajsiewicz, że przeszła wśród rozdwojonych szeregów jak anioł pokoju i wszyscy jej się pokłonili.

Wyjątek stanowił Słowacki; on jeden jej się nie pokłonił. Dla marzyciela, wiecznie marzeniami upojonego, niemile rażącą była jej jasna, spokojna natura, jej trzeźwy i praktyczny umysł. To też pisał do matki 15 października 1845: »Umarła tu nam autorka nasza, dla dzieci niegdyś pisząca. Odpoczynek jej! ale nie pokój, bo jeszcze wiele czynić pozostaje, nawet ona sama wiele z tego co uczyniła, sama wywrócić musi — tamy przeciwko egzaltacyi kładzione... serca przez nią na kluczyk od śpiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują, niż na nogach... Nie wiedząc, a sprotestantyzowała kobiety«[2]).

Zupełnie do pary z tem wspomnieniem pośmiertnem o Hofmanowej da się postawić pewna uwaga Słowackiego, w czerwonej książce notatkowej zapisana prawdopodobnie w owych czasach, a za przedmiot mająca *Pana Tadeusza*. Ten, który w czasach najbardziej wytężonego antagonizmu względem Mickiewicza podbity został potęgą natchnienia, z tego dzieła promieniującą, teraz, nie znajdując w niem nic, coby odpowiadało jego marzycielskiemu nastrojowi, tak o niem pisał: »Czczenie wieprzów, a bicie się na maczugi a wstręt do innej broni. Cały Tadeusz jest ubóstwieniem wieprzowatości życia wiejskiego — jest tam śmiech z pojedynku na szpady a zupełne ubóstwienie tego, który kijem swojej obrazy poszukuje«[3]). Przypuszczam, że

---

[1]) Hofmanowa umarła 21 września 1845. Głosów o niej należy szukać w następujących zaraz po tej dacie czasopismach emigracyjnych.

[2]) Listy II, 245.

[3]) Rkp. Bibl. Ossol. 1792, nr. 2, k. 63.

do tych też czasów należy odnieść świecące wspaniałym kolorytem urywki dalszego ciągu *Pana Tadeusza*, wydane w pierwszym tomie *Pism Pośmiertnych* Słowackiego. Czy powstały one z tej myśli, aby pokazać, jeśli nie innym, to samemu sobie, jak potrzeba pisać podobny poemat, ażeby nie był »ubóstwieniem wieprzowatości życia wiejskiego«, tego nie śmiem twierdzić, ale uważam to za rzecz możliwą, i nie sądzę, aby wypłynęły z tego uczucia zawiści, z jakiemi dawniej Słowacki spoglądał na utwory swego wielkiego poprzednika w poezyi. Niedarmo znajdujemy w tylko co wspomnianej książce czerwonej (k. 19) taki zwrot poety do samego siebie...: »ludzkość cała już oto w tej chwili czuje, żeś z zawistnika ziemskiego w anioła się przemienił i nikomuś już nie jest na drodze«.

Zygmunt Krasiński po wydaniu *Psalmów Przyszłości* odjechał do kraju, ale nie na długo, bo już w początkach grudnia 1845 zjawił się z całym taborem rodzinnym na wybrzeżu włoskiem, gdzie miał przepędzić zimę. Narzekania na swój los w listach jego do przyjaciół i teraz były na porządku dziennym, ale było i co innego jeszcze, co nas tu szczególnie obchodzi, mianowicie dowiadywanie się, jakie wrażenie wywarły jego *Psalmy Przyszłości* na emigracyi, dla której w szczególności były przeznaczone. Chodziło mu najbardziej o zdanie Mickiewicza i Słowackiego, a także co mówi demokracya emigracyjna o *Psalmach*. Dopytywał się o to i Małachowskiego i Sołtyka, a najwięcej Gaszyńskiego

Ale *Psalmy* nie wywarły żadnego wrażenia w emigracyi. Jeden tylko *Dziennik Narodowy* podał ich recenzyę, a jaką? to już wiemy. *Trzeci Maj*, nie znalazłszy w nich nic, coby się na młyn dynastyczny obrócić dało, nie wspomniał nawet o nich, *Demokrata Polski* pociski, wymierzone przeciw jego propagandzie, pozostawił bez odpowiedzi. Głos Mickiewicza nie rozlegał się już z ka-

tedry w *Collège de France*, zajętej przez Cypryana Roberta, więc Krasiński i stamtąd nie miał nadziei usłyszenia czegoś o swoich *Psalmach*. A chciało mu się bardzo wiedzieć, jakiem echem odezwały się jego ostatnie słowa poetyckie w sercach współbraci, szczególnie tych, którzy je zdolni byli lepiej, niż Władysław Plater, zrozumieć i ocenić. I to było, jak mi się zdaje, główną dla Krasińskiego pobudką do nawiązania zerwanej przed trzema laty korespondencyi ze Słowackim. O zdanie Mickiewicza może mu jeszcze więcej chodziło, ale z Mickiewiczem trudno mu było zawiązać korespondencyą, z powodu, że już latem tego roku próbował to uczynić i na list swój żadnej nie otrzymał odpowiedzi [1]).

Z Nicei 4 stycznia 1846 wyprawił aż dwa listy do Paryża, aby się wywiedzieć, czy obecne usposobienie Słowackiego nie staje na przeszkodzie do zawiązania z nim korespondencyi i co myśli Mickiewicz o jego *Psalmach*. Do Gaszyńskiego pisał: »Daj mi radę, czy mam się odezwać do Juliusza po trzech latach milczenia? Czy mi odpisze? Czym nie stał się przed jego wszechmądrością jako infusorium, któremu nie warto odpowiadać? Co tylko wiesz, napisz mi i pisz do mnie często«. A w końcu dodawał: »O panu Adamie staraj się wywiedzieć, co powiedział o naszej dziewczynie« [2]). Małachowskiego zapytywał: »Czy nic nie wspominał ci (Mickiewicz) o Ps.? Jeśli się z nim widzieć będziesz, nawiedź na to rozmowę«. I zaraz po-

[1]) Na zachętę w tym kierunku ze strony Małachowskiego odpowiedział Krasiński (20 stycznia 1846): »Cóż ty chcesz, drogi, bym napisał do pana Adama? Już bez odpowiedzi została moja odezwa w lecie, a w niej wszystkom powiedział, co tylko można«. Listy Z. K. do Małachowskiego 41. Odezwy tej nie znamy, jak nie znamy także powinszowania, które otrzymał Krasiński na Nowy Rok w imieniu Towiańskiego. Być może, iż Mickiewicz uważał to powinszowanie za rodzaj odpowiedzi na odezwę otrzymaną od Krasińskiego w lecie.

[2]) Listy Zygm. Krasińskiego T. I, str. 245. Dziewczyną przez właściwą sobie ostrożność nazywał ostatni swój poemat.

tem przechodził do Słowackiego. »Powiedz mi, czy mam do Juliusza napisać? Jak sądzisz, czy mi odpisze? Może stałem się dla niego mikroskopicznem żyjątkiem, niegodnem przerywania mu medytacyi? Jednak radbym listownie się z nim rozmówić« [1]).

Gaszyński, stosując się do życzeń przyjaciela, odwiedził Słowackiego, z którym od roku się nie widział, w jego pustelni anielskiej, ażeby wybadać stan ducha jego i usposobienie dla dawnego przyjaciela. O wierszu *Do autora trzech psalmów,* który już był napisany, ale niedrukowany, widocznie jeszcze Gaszyński nic nie wiedział. Stanęli naprzeciw siebie ludzie pod względem nastroju psychicznego biegunowo przeciwni: z jednej strony marzyciel, żyjący poza światem, drażliwy, jak mimoza, i po brzegi wypełniony myślą o wielkości swego posłannictwa, z drugiej — człowiek bez pretensyi, rozsądny, spokojny, leniwy trochę, jeden z najtrzeźwiejszych ludzi na emigracyi. Było to właśnie w tym czasie, kiedy Gaszyński pisał swój szkic satyryczny *»Pan Dezydery Boczko i jego sługa Pafnucy«*, w którym doskonale uwydatnił pewne słabe strony życia emigranckiego.

Jakie wrażenie dwaj ci ludzie podczas owych wywiadowczych odwiedzin wywarli na siebie wzajem, możemy o tem powziąć dość dobre wyobrażenie z pewnego nieco późniejszego listu Słowackiego do Krasińskiego. »Po rocznem ze mną niewidzeniu przyszedł do mnie Gaszyński — zbiedzony, wyschły, kościany, usiadł przy kominie, i dał mi uczuć całą kamienność swego ciężaru, między innemi zaś rzeczami powiedział mi, że jest szczęśliwy mocno z przyjazdu pewnego przyjaciela; a ten przyjaciel jest to jeden z Montalabercistów, jezuitów naszych — od których mi wiele teraz zła idzie, choć niewidomym sposobem... Wytrzymawszy tę rozmowę przez pół godziny, skoczyłem

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego do Stan. Małachowskiego. Kraków 1885, str. 37.

na mego poetę — łając go sierdziście za to, że napiwszy się herbaty poetą jest, — a potem między ludzi chodzi nie w wieńcu bluszczowym natchnienia, ale w szlafmycy, — sen rozdaje, siebie samego w natchnieniu wstydzi się, albo też naśladować lęka się — mówiłem mu nareszcie o idei — a nareszcie uściskałem go ze łzami prawie, mówiąc: »przebacz mi, żem się rozkrzyczał, ale nie mogłem«. Cóż się stało?... Poczciwy G. poszedł ode mnie do klubu i zwykłym sposobem żartownisia powiedział przy obiedzie, że Sł. kompletnie zwaryował... Jezuici byli przytomni — w kilka więc dni potem jeden z przyjaciół moich spotkał się z wieścią już przez różnych powtarzaną, żem istotnie zwaryował« [1]).

Tak więc Słowackiemu wydał się Gaszyński, jako nieczuły, ciężki, śpiący i sen sprowadzający kamień; Słowacki Gaszyńskiemu — jako nie przy zdrowych zmysłach lunatyk. Pomimo takiego wrażenia wzajemnego Gaszyński wywiązał się z danego sobie polecenia z dobrym skutkiem. Powiedział Słowackiemu, że Krasiński dopytuje się o niego listownie, a na odpowiedź Słowackiego, że wina zerwania korespondencyi jego z dawnym przyjacielem jest po stronie tego przyjaciela, wyszedł, mówiąc: »za dziesięć dni zapewne będziesz list miał od Zygmunta«.

Ta chęć Krasińskiego nawiązania zerwanej korespondencyi ze Słowackim po wszystkiem, co zaszło między nimi, zadziwiła, ucieszyła i zaniepokoiła zarazem naszego poetę. Zdawało mu się zapewne, że nadeszła chwila, w której będzie mógł pozyskać dla swojej idei tego, którego przedtem daremnie ciągnął ku niej. Ale na drodze do zupełnej harmonii leżało wiele gruzu, który trzeba było uprzątnąć. Otóż Słowacki zaraz gorączkowo zabrał się do tego. Zaraz po wizycie Gaszyńskiego, tego samego dnia jeszcze, nie czekając na zapowiedziane pismo Krasińskiego, napisał list do niego.

---

[1]) **Nieznane listy Juliusza Słowackiego. *Czas* z d. 5 lutego 1902.**

W tym liście chodziło nietylko o uprzątnięcie gruzu, ale i o nadanie tonu mającej się nawiązać korespondencyi. »Postanowiłem ten list twój uprzedzić — pisał Słowacki — do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej«... Znaczyło to, że Słowacki dzisiejszy nie jest Słowackim z przed czterech — pięciu lat, że z dziecka, jakiem był wtedy, a które potrzebowało strojenia i podnoszenia ducha, stał się *Ecce Homo*, strojonym tylko przez aniołów. Ale zaznaczywszy obecną wysokość swego tonu i stanowiska, czynił ustępstwo dla dawnej przyjaźni i schodził ze swojej wyżyny anielskiej, aby się usprawiedliwić przed Krasińskim z tego, czem go mógł urazić.

»Przed tobą wszakże, jedynym moim niegdyś w złych czasach przyjacielem... przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha nieraz podnosił i stroił... muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez anioły dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada«.

I tu następowało, znane nam już z poprzednich rozdziałów, obszerne, gorące, obrazowe tłómaczenie się poety z napisania i wydania *Księdza Marka*. Po uprzątnięciu tego gruzu poeta wyznawał, że przyszło mu ono ciężko: »B o l e s n e r w a n i e s i ę t e g o l i s t u zaświadczy ci — ale ty jesteś wielki duch Boży i jeden z Aniołów narodu naszego... zakrwawiać ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać byłoby grzechem przeciwko Duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar — ja ci dopomagam — kochaj mnie — mówię ci, wart jestem... Więcej nadto żadnemu człowiekowi odemnie się nie należy«.

»Bolesne rwanie się listu«, zaznaczone przez samego poetę, widoczne jest i w dalszym jego ciągu. »Odezwanie się twoje przez Gaszyńskiego — czytamy tam — choć ustne, dowiodło mi, żeś wyższy jest nad zwyczajność... Uprzedzam cię więc i pierwszy krok czynię, abyś się zaczęciem ze mną korespondencyi w oczach cielesnych dotąd ludzi nie poniżył...; jako duch, nic nie rozpocząłem,

ty masz do rozpoczęcia, przełamania w sobie wszelkiego ja, które ci do czystej miłości przeszkadza...«.

»Bez miłości prawdziwej nic nie pisz, bo zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym«.

»Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział — nie tylko, iż ci to z ducha wymazuję — ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwiązujący sumienia. Wszystko potrzeba rozwiązać«.

»Możeś słyszał, żem mocno był chory, teraz jestem zdrów do czasu... a żyję, póki chcę, bo mi to Bóg zostawia — w rękę mi dał nić żywota mojego — nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze... Mocno byłem strudzony...«.

»Alleluja znów! — wiosna — (list pisany 12 stycznia) — przydaj mi promieni do złotych dni, które mi świtać zaczynają... Ukochaj mię...«.

Co znaczyło to wszystko i skąd pochodziło owo »bolesne rwanie się listu«? Poeta, pisząc list, trapiony był niepokojem, który płynął z dwu różnych źródeł. Pierwszem — była trudność utrzymania wobec przyjaciela tego tonu, jaki odpowiadał wyobrażeniu poety o sobie, jego stanowisku wodza narodu i posiadacza alfy i omegi świata. Nie miał dość śmiałości, aby wobec człowieka, który był niegdyś jego mistrzem, odgrywać z kolei rolę mistrza, a tej roli zaniechać nie mógł, bo nią tylko żył, bo za jej obrębem nawiązanie stosunku z Krasińskim nie miało dla niego żadnej wartości. — Drugiem źródłem niepokoju było uprzątanie gruzu z drogi do harmonii dusz, czyli rozwiązanie sumień, jak się wyrażał Słowacki. A do uprzątnięcia było wiele, i to nietylko tego, o czem Krasiński wiedział, t. j. w *Księdzu Marku*, ale i tego, o czem nie wiedział, t. j. w wierszu *Do autora trzech psalmów*, który, niedawno napisany, spoczywał w tece poety.

Cóż miał teraz zrobić z tym wierszem? Miałże go się zaprzeć, może nawet zniszczyć ten cudowny kwiat poe-

tycki? Czy też go posłać przyjacielowi i na oścież otworzyć przed nim sumienie? Ani na jedno, ani na drugie nie mógł się zdobyć Słowacki i dlatego trapił go niepokój w ciągu pisania listu. Czuł on, że na drodze do zupełnej harmonii pozostanie ten najcięższy kamień, trudny do usunięcia, a dla Krasińskiego dotychczas niewidzialny. Więc przynajmniej w ogólnikowych wyrazach musi ostrzedz przyjaciela o istnieniu tej zawady. I dlatego to w *postscriptum* dodawał takie przestrogi:

»NB. Powiem ci prosto, a może rzecz najważniejszą, iż mi się sprzeciwia teraźniejsza czynna i głośna dążność twoja — patrz, czy przeciwnika możesz ukochać — a nie możesz, nie przerosłszy go w sumieniu. — Oberwałem się ze wszystkiego — zostaje tylko ziarno«.

Jakie wrażenie wywarł ten list Słowackiego na Krasińskim, możemy powziąć o tem pewne wyobrażenie z odpowiedzi Krasińskiego na list Gaszyńskiego, komicznie opisujący scenę wiadomych odwiedzin. »Z odebranego listu od Juliusza — pisał Krasiński do Gaszyńskiego z Nicei 21 stycznia 1846 — widzę, że prawdę masz, parlamentarskoście się rozmówili, jak lordowie lub posły angielskie; małom nie pękł ze śmiechu wczoraj, czytając opis tej sceny w twoim liście. Odpisałem zaraz do niego i to szczerą prawdę, starając się łagodnie ran jego ducha dotykać, jednakowoż się ich dotykając. O moich uwagach nad nim nie mów mu nic, ani też drugim ich nie udzielaj, bo jak najostrożniej trzeba z naturami tak dalece rozdrażnionemi. Najstraszniej u nas grasujące dwie morowe zarazy — próżność i lenistwo, gubią nas wszystkich; cnoty zaś dwie nasze — gotowość do poświęcenia i zmysł doskonały do przejmowania natchnień przyszłości, natchnień bożych, wchodzących w świat. Gdyby nie próżność, doskonalebyśmy kochać umieli piękno i dobro Boże w świecie; gdyby nie lenistwo, doskonalebyśmy je potrafili urzeczywistnić! Ale te dwa demony psują wciąż nasze usiłowania, zamiary, karłują nasze postaci, przygarbacając je, aniołów przetwa-

rzają w pulcinellów, bohatyrów w pijaków, szaleńców lub błaznów« [1]).

W tem niezmiernie trafnem uchwyceniu głównych wad i zalet narodowych czynił Krasiński alluzyę i do Słowackiego i do siebie i po części do Gaszyńskiego. Mówiąc o gotowości do poświęcenia, miał na myśli wszystkich trzech; zmysł do przejmowania natchnień przyszłości przypisywał zapewne Słowackiemu i sobie; zarzut lenistwa mógł stosować i do siebie i do Gaszyńskiego, choć lenistwo jednego było zupełnie inne, niż drugiego. Ale mówiąc o próżności, miał na myśli tylko Słowackiego. Próżność widział w nim dawniej, jeszcze wtedy, gdy mu dawał naukę o dumie i pokorze; ale wtedy Słowacki nie był jeszcze natchnieniami przyszłości przejęty, jak teraz. Z ostatniego listu jego przekonał się, że pomimo owych natchnień próżność nie ustąpiła ze Słowackiego, tylko przybierała inny kierunek i ubolewał, że dzięki jej anioł przetwarza się w pulcinella.

Wiedząc, z jak rozdrażnionym człowiekiem miał do czynienia, Krasiński napisał do niego list ciepły, serdeczny, w którym łagodnie, jak wiemy, dotykał ran jego ducha, i listem tym wywołał odpowiedź Słowackiego, długą, bardzo zajmującą i charakterystyczną. W tej odpowiedzi odbiło się oblicze moralne poety w nieco odmiennem oświetleniu, niż we współczesnych listach do matki, a to z powodu, że w rozmowie z dawnym swym mistrzem Słowacki z jednej strony więcej się hamował w akcentowaniu swego anielstwa i wodzostwa, z drugiej — poruszał kwestye, przechodzące zakres wyobrażeń matki. Pod względem tonu, list był niepodobny do poprzedniego; panował w nim spokój i treść widocznie z góry — przynajmniej w głównych liniach — była obmyślaną.

Pierwsza część listu Słowackiego była odpowiedzią na pytania przyjaciela: co robi i co robić zamyśla? Mówił

[1]) Listy Zyg. Krasińskiego. T. I, str. 248.

więc tu poeta tylko o sobie, tłómaczył siebie i swoje obecne położenie. »Pytasz mię z czułością prawie matki lub siostry — tak się list zaczynał — czy ja cierpię? — dawno już nie słyszałem głosu takiego — bo ludzie, którzy się do mnie przybliżali — to tak jak gdybym ja był koniem w karach najemnych — każdy widział spracowane boki moje — i krew z obdartych skór moich — a każdy *(sic)* nie umiał nic powiedzieć, jedno słowo, które sądził, że jest zachętą i bodźcem do pracy, to słowo: czemu nie ciągniesz? A sami nie chcieli się i palcem dotykać brzemion moich, ale odchodzili, roznosząc po świecie, żem samotnik, tetryk, ludziom już niepotrzebny, we własnej dumie pogrążony — zaczęli nareszcie na mój karb wkładać słowa, sądy i nawet pisma nie moje [1]), próbując, jak głęboko leży we mnie ta spokojność, którą, jak ty sam nawet sądzisz, włożyłem przez dumę na czoło moje, niby maskę noszoną z potrzeby na tej ostatniej reducie tegoczesności«.

»Spokojność moja prawdziwą jest, nie jest jednakże bez cierpienia«.

»Cierpię — bo mam cel wielki przed sobą, a sił mi braknie... Wystaw sobie, że ludzkość jest dziecięciem moim, a to dziecko chore jest i w konwulsyach — a ja wiem o pewnem lekarstwie uzdrawiającem, lecz myśl moja, zmęczona boleścią, nie chce mi na usta położyć nazwiska zioła onego, o którem wczoraj wiedziałem z pewnością jak największą — wyobraź sobie stan taki ojca, a zrozumiesz, czem jest odosobnienie się moje i nad czem pracuje myśl, na inne rzeczy już obojętna«.

Trzeba się domyślać, że Krasiński w swoim liście musiał dotykać towianizmu i określać go w sposób, nie od-

---

[1]) Stosuje się to zapewne do utworu p. t. »Dwa akty«, lichej ramoty poetyckiej (Siemieńskiego?), o której autorstwo — nie znając jeszcze tego utworu, zapewne na podstawie jakichś pogłosek — posądzał i Krasiński Słowackiego.

powiadający wyobrażeniom Słowackiego. Jakby odpowiedzią na te określenia Krasińskiego były następujące słowa autora *Genesis z Ducha:*

»Dziwię się, drogi mój, że po tylu latach nie urodziło się w tobie nawet przeczuciowe pojęcie sprawy tu zaczętej; nie jest ona ani idejką, ani zbiorem idejek nowych o świecie, ani dogmatycznym mistycyzmem, ani przepowiedniami, ani człowiekiem, lecz jest prawdziwem poczęciem świata nowego w cierpiących dawno matczynych duchach ludzkości. — Nie patrz ty, mój drogi, na sceniczną wystawę tej idei — ani tajemnicy ducha szukaj w literze — ale uwierz mi, iż ta idea jest niby klucz nowy, rozwiązujący wiedzę w człowieku; — oskarżają nas o mglistość mistyczną — a tu przeciwnie, myśmy w sobie uczuli poniszczenie tajemnic; cóż my winni, że świat woli dotychczas Hamletować się? — Dwie drogi są, któremi ta sprawa spełnioną będzie, pierwsza żywa, a tę przedsiębrali bracia moi — jeżeli ich Bóg podniesie i z wielu charakterowych ludzkich niedostatków wybawi, to rozpoczną nową Epokę świata i tę epokę od sposobu działania nazwiesz *Sancta*. Jeżeli nie spełnią, to Sokratesowym sposobem będzie uczyniona rewolucya — powolna — bez żadnej doczesnej sławy dla rewolucyonisty — epoka taka sama, co do wypadków, ale i z wielkim dla mocy uczuciowych uszczerbkiem — epoka *Sacra*...«.

»Żałuj człowieka, któryby musiał na upadku pierwszych drugą rozpocząć — Nie dziw się, że człowiek ten stoi na stronie, oczyma przeraża zwichniętych, trzyma chylącą się tam i tu Sanktuaryuszów gromadę, a wszakże modli się za nich — im sprzyja, a sam się od brzemion swoich Bogu wyprasza... Biednaż by to była sprawa, gdyby jej jedno tylko pióro i kałamarz służyło...«.

»Spytasz mię, dlaczego na pierwszej drodze nie pracuję — odpowiem ci prosto: ciało mi nie służy... a bez ciała nie masz potrzebnej energii, braknie mi tej skry codziennej w oczach, któraby piorunowała krzywo idące,

bracią moją; braknie mi tych lwich podrzutów, które są potrzebne do walki z usypiającą, sektarską niektórych ludzi gawędą... Trzebaby wziąć kij ostrugany w rękę — chodaki na nogi i pójść między młodzież pruską — ja nie mogę...«.

»Przez trzy lata walczyłem o to, abym ciało moje postawił na nogi — a nie używałem do tego ani lekarstw, ani doktorów, owszem na wspak radom doktorskim jechałem po trzykroć nad morze — mocowałem się z falami, z wichrem; stołom obfitym kazałem przechodzić w krew moją — słońce piłem oczyma i ustami. Nic nie pomogło; ta jesień była ciężką dla mnie, ludzie jeszcze większym, niż jesień, ciężarem — z obojętnemi rozbrat wziąłem — jeżeli mi Bóg nowych nie nadeszle, samotnym zostanę bez skargi«.

»Oto masz szczerą odpowiedź moją na to zapytanie, co robię i co robić zamyślam«.

W ten oto sposób starał się Słowacki przedstawić swemu dawnemu przyjacielowi a niedawnemu przeciwnikowi swój stosunek do Koła Towiańczyków i do idei-matki, »rozwiązującej wiedzę w człowieku«. Przedstawiał, obracając się w ogólnikach i mgłą przysłonił i swoją walkę z »wrogami w Bogu« i swoje przekonanie, iż został wodzem narodu; ale jedno i drugie z lekka się przez mgłę zarysowywało, bo w przeciwieństwie epoki *sacra* do *sancta* wyobrażał Słowacki swój stosunek do Mickiewicza i Koła. Tylko idei głównej, wspólnej obu epokom, obu obozom, jak przed trzema laty, tak i teraz Słowacki przyjacielowi nie wyjaśnił, nie próbował nawet wyjaśnić. Dlaczego? przecież ona była tak pokrewną teoryom Krasińskiego, tak łatwo przez niego mogła być zrozumianą? Dlatego zapewne, że bał się tej świętości, na której się opierał cały gmach jego anielstwa, narażać choćby na najlżejszą krytykę. Więc mówił o niej, czem ona nie jest, ale czem jest, nie powiedział. Czy nie zdawał sobie sprawy z tego, że aby pozyskać kogoś dla jakiej idei, trzeba mu ją prze-

cież pokazać? czy zostawiał to umyślnie na później? Trudno odpowiedzieć na to.

Ale co jest ciekawą i nową rzeczą w tym ustępie, to tłómaczenie się Słowackiego, dlaczego nie pracował na drodze, którą nazwał *sancta*, a przez którą rozumiał drogę propagandy, drogę działania na ludzi w duchu idei. Za przyczynę, jak wiemy, podawał brak zdrowia. Otóż w dotychczasowych wynurzeniach Słowackiego nigdzie o tem nie znajdujemy wzmianki, ani w listach do matki, coby nie było rzeczą dziwną, ani w licznych a niczem nie krępowanych notatkach pamiętnikowych. Widocznie po napisaniu wiersza *Do autora trzech psalmów*, po uwielbieniu rewolucyonizmu społecznego, jako naturalnego objawu »wiecznego rewolucyonisty ducha«, po zaliczeniu się do tych »świętych i młodych«, którzy mają walczyć z konserwatyzmem, Słowacki zastanawiał się nad tem, czy to wszystko godzi się z jego stronieniem od ludzi, z zamknięciem się w twierdzy anielstwa i starał się we własnych oczach usprawiedliwić brak działania ze swojej strony — brakiem zdrowia. Działanie zaś wyobrażał sobie jako propagandę swoich idei między młodzieżą, na gruncie, który wydawał mu się najprzystępniejszym, t. j. w Poznańskiem. Znał on jednego z tej młodzieży w Paryżu, Jana Nepomucena Rembowskiego, który tam studyował prawo, i dał się wcześnie pociągnąć nauce Towiańskiego, ale po usunięciu się Słowackiego z Koła, nie zerwał stosunków z poetą i bodaj czy go nie zachęcał do przybycia w Poznańskie, czyli »między młodzież pruską«.

Jak w pierwszej połowie listu Słowacki przedstawiał i tłómaczył Krasińskiemu własny stan ducha, tak w drugiej z wielką ostrożnością i delikatnością, — która tak daleko odbiegała od szorstkości zwrotów do przyjaciela w wierszu polemicznym — starał się zmierzyć i ocenić jego ducha, i nastroić przychylnie dla siebie i swoich tajemnic. Tych tajemnic i tutaj nie odsłaniał i przyznawał się do nieśmiałości w tym względzie, ale dawał przyja-

cielowi różne wskazówki, które go, według rozumienia dającego, powinny były do owych tajemnic doprowadzić. Wogóle jak w pierwszej połowie listu, tak i w drugiej doskonale się maluje ówczesna nieśmiałość, zakłopotanie Słowackiego wobec człowieka, którego kiedyś uznawał za swego mistrza, a którego teraz wypadło mu traktować, jak swego ucznia.

»Pozwólże teraz, że ciebie spytam, Zygmuncie mój — tak się zaczynała druga połowa listu — jakie są twoje cele ostateczne? bo ty, jak drudzy, nie możesz powiedzieć: »Polski chcę« — a nie pomyśleć wprzód, jakiej Polski i komu potrzebnej«...

»Żaden Anglik nie mówi sobie: »wynajdę machinę lepszą od wszystkich machin wynalezionych« i nie skupuje materyałów wprzód, nim siłę jaką nową ruchu wymyśli... Bo każdy wie, iż samo przystosowywanie do siebie drewien, żelaz, sprężyn i sznurów nic nie utworzy. — Choćbyś miliony wydał na materyały — a w duchu nie widział już, ku czemu służyć mają różne członki zebrane, nic nie uczynisz... poczęcie winno poprzedzić urodzenie... Czułbym, gdybyś już miał przyszłą Polskę w sobie«.

I tutaj Słowacki, widocznie z myślą o sobie, o swojej twórczości poetyckiej z czasów mistycyzmu, o swoim *Księdzu Marku*, *Zawiszy Czarnym* i innych utworach, tak pisał dalej:

»Już z niewinnością prawdziwą Anioła wskrzesitelnego przedsiębrałbyś mnóstwo środków, wiodących ku twemu celowi — a z każdego drewienka ostruganego przez ciebie mądry domyśliłby się celu. — Już tu i tam ręka artysty malowałaby myśl twoją — czasem lepiej, niż broszura albo gazeciany artykuł; czasem na jakim dawnym grobie podniósłby się posąg kamienny i zastraszyłby ożyciem grobowca. — Dlaczegóż myśl twoja piękna i ognista, jak sen, nie rozleje się nad całą martwością, nie otumani Polski... Wybacz mi, co powiem... Oto mi się zdaje, że za wcześnie zmateryalizowałeś środki twoje — i ująłeś

żywotności siłom twoim — jeszcze trochę trzeba było iść na oślep, a iść tak, aż pókiby rzeczywiście jasny dzień ci nie błysnął... tyś wybrał półświt... (widoczna alluzya do *Przedświtu!)* i nie zaufałeś do końca kapryśnym duchom natchnienia... Źleś zrobił Zygmuncie — bo ja cię wiem, kto jesteś — i znam się z duchami twymi... te same dawały już ludziom więcej niż korony... Nie dziw się, że ich ręce są pełne kamelii, pereł i dyamentów... Źleś uczynił, żeś w bogactwo peruańskie nie uwierzył... tyś je miał w nowej ojczyźnie odkopać«.

Była to więc krytyka stanowiska, jakie zajął Krasiński w *Przedświcie* i *Psalmach*, poetyczna, niejasna, tajemnicza, nieśmiała, pełna uwielbienia dla przyrodzonych darów autora *Irydyona,* ale krytyka, analogiczna do tej, jaką widzieliśmy w wierszu *Do autora trzech psalmów*. Tylko to, co tam wyrażone było z otwartem oburzeniem i pasyą:

Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki boże:

tutaj nazywało się delikatnie »przedwczesnem zmateryalizowaniem środków«, »ujęciem żywotności siłom swoim«, potrzebą dalszego dążenia na oślep, dalszego zaufania »kapryśnym duchom natchnienia«.

Po tej krytyce następowała wskazówka dla Krasińskiego, jaką drogą ma dojść do prawdy, »do tajemnic ducha«, wskazówka, która się wiązała z teoryą bardzo oryginalną i rzucającą dużo światła na tego, który ją dawał.

Krytyka obca a czasem przypadkowe własne spojrzenie krytyczne odkrywało różne plamy na jego szacie anielskiej, gmach samoubóstwienia chwiał się w posadach, ale poeta miał na to wyrozumowaną radę: zamknąć co prędzej oczy na to, co go we własnych oczach upokarzało

i chwycić się oburącz wiary w swoje anielstwo. Otóż Słowacki tę teoryę, którą podpierał gmach swego anielstwa, posyłał teraz przyjacielowi w podarunku.

»Wiesz, co to jest prawidło filozofii dawnej: poznaj siebie samego... Nie jest to przestroga, ani zachęta, abyśmy poznawali moralną naszą naturę, błędy i wady charakterowe; owszem poznanie takich wad szkodziłoby człowiekowi... Nie powinien na nie patrzyć — ani przypadkiem odkrytych rozglądać i lubować się nad nimi — ale owszem powinien sam sobie zaprzeczyć, że je ma — a przeciwną wiarę w anielstwo swoje urodzić... Przestroga ta filozofów ściągała się do ducha tajemnic.. Miałżeby obcy człowiek odkrywać je tobie«.

»Ważę ciebie wysoko — i dlatego pracowałem często nad tobą i wiem wiele o tobie... Wszakże wiesz sam, — iż takie rzeczy w złą godzinę przychodząc — a na nieprzygotowanego trafiwszy człowieka, wyszłyby na pośmiewisko... podobnie jak tajemnice świata całego, teraz wydrukowane, ubliżyłyby prawdy majestatowi«...

»O jedną cię więc rzecz proszę... Wynajduj sercu swemu ofiary — te ofiary składaj Bogu, aż cię rozkwilona twoja natura zacznie uczyć, jak dziecko swoje własne, widząc, iż się ono dzieciątko obdarło z koszuli i z trzewiczków się wyzuło, a drży na zimnie...«.

»Ty może nie zrozumiesz prośby mojej i głosu mojego... Wtenczas wybacz mi — a ja zamilknę«.

Czy Krasiński mógł zrozumieć wszystko, o czem tu z nim mówił Słowacki? Niewątpliwie musiał dobrze zrozumieć radę szukania we własnej duszy klucza do tajemnic świata, i wskazówkę, że ofiary składane Bogu wyjednają mu prędsze ich odkrycie. Ale nie znając *Genezis z Ducha*, nie mógł wiedzieć, jak wielkie znaczenie przywiązywał Słowacki do ofiary, tajemniczo też brzmieć mu musiały takie wyrażenia, jak »pracowałem często nad tobą«, lub »wiem wiele o tobie«.

Podobnie tajemniczych wyrażeń, w których się wsty-

dliwie ukrywało przekonanie poety o swojem wielkiem powołaniu, jest więcej w zakończeniu listu. »Wielkiby kamień spadł z ducha mego, gdybym ujrzał i uczuł wielkiego człowieka — odrazu, jako łuk rozprężony rozpuściłbym moce moje — odetchnął — i rozradował się, jakby przez aniołów tysiące otoczony... Bądź nim, albo go wywołaj — tego chcę po tobie, a prawie ci to rozkazuję... mówiąc, jak człowiek, który już nic nie ma z ziemią do rozwiązania«.

»A nie tylko teraz, ale po śmierci nie spuszczę ci — ani oka nie spuszczę z ciężaru, który ty podług obrachowania mego masz nieść i dźwigać... bo czuję, żeś silny jest i za milion ludzi poniesiesz«...

»Nie sądź mię pokaleczonym przez ludzi — ale sądź dźwigającym...«.

»I słów moich nie przypisuj mnie — i stylu mego konwulsyom — tak będzie pisała kiedyś Polska, z myśli idąca ku formie, nie formą chłoszcząca się, aż myśl wytryśnie... Między anielstwem światła a szataństwem ognia ta jest tylko różnica«.

»Wreszcie, jak ja cię sądzę, — sądź mię nawzajem w duchu miłości, a ja przyjmę wszystko z pokorą i z miłością — wskaż mi cele Boże i nie idącego ku tym celom łaj — albo iść ku nim rozkazuj — a pójdę, albo na sądzie duchów stanę, jako dezerter«.

»Jedną rzecz wszyscy sprawujemy — i stąd każdy z nas ma władzę rozkazywania — lecz mocy musi dostać z wysokiego świata — aż od celów Bożych«...

»Ja te cele widzę — ale jeszcze do nich powołać nie śmiem, bom nie jest dość silny, abym doprowadził«...

»Oto jest list — oto jest jedna z kar piekielnych — litera martwa i papier martwy pomiędzy duchem a duchem«. Twój Juliusz Słowa...

Zdaje się, że i podpis z obciętą końcówką nazwiska nie był bez szczególnego znaczenia. Słowacki, który tak wielką wagę przywiązywał do etymologii nazwisk, dawał

tu jakby tajemniczą wskazówkę przyjacielowi, że niedaremnie nazwisko jego pochodzi od wyrazu »słowo«, który w ewanielii Ś-go Jana jest nazwą Najwyższej myśli twórczej.

Krasiński jednak widocznie nie zwrócił uwagi ani na tę wskazówkę, ani na inne, w których się ukrywała mania wielkości Słowackiego, a może ujęty trochę pochlebnemi o sobie wyrazami, napewno ujęty pięknością stylu, cały list uznał za rozumny i głęboki. »Miałem list drugi od Jula — pisał 6 lutego 1846 do Gaszyńskiego — rozumny i głęboki, żadnych mi facecyj, sekretów ni szaleństw nie pisze; jedno to samo, co wiek nasz cały chce, żąda, głosi, do czego wieki szły wszystkie, a ten wiek szczególnie, choć często się błąka! Chyba on puszcza często szmermele, by widzieć, czy nie otumani drugich; inaczej nie pojmuję różnicy, która zachodzi między tem, co on pisze, a tem, co tobie i Wojewodzie (Małachowskiemu) mówi! Zresztą Bóg ich wie wszystkich« [1]).

Podobnie o tym liście pisał i do Małachowskiego (3 lutego). »Od Juliusza wczoraj list miałem. Nic mi takich rzeczy nie gada nigdy jak tobie, o żadnych sekretach na wytrucie szczurów, czyli rodu ludzkiego, nie wspomina; owszem piękny i głęboko rozumny list był, w którym pod symbolicznemi upostaciowaniami pisał to samo mniej więcej, co wiek nasz cały myśli, mówi lub pisze, czyli to, co się w jego wnętrzach wyrabia i ma kiedyś w kształt się ubrać, w czyn wybuchnąć. Zdaje się z pewnych jego zwrotów, że on nawet na sektarzy (t. j. Towiańczyków) się gniewa z powodu nieznośnej ich pedanteryi w pewnych formach i dziecinnego przywiązania do liter umarłych« [2]).

Uznawszy list Słowackiego za rozumny i głęboki, Krasiński pośpieszył zaraz z odpowiedzią. Nie zachowała się

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego I, 250—251.
[2]) Listy Zygm. Krasińskiego do St. Małachowskiego, str. 48—49.

ona, ale treść jej wyrozumieć można, przynajmniej częściowo, z następnego listu Słowackiego. Rozwijał tam Krasiński to, co było dobrze znane Słowackiemu z *Przedświtu*, ideę o Polsce, jako siostrze Chrystusa (Jak im Syna niegdyś dałem — Tak im, Polsko! daję ciebie!), a z drugiej strony nacierał na przyjaciela za to, że nie chce idei, które nosi w duszy, o których napomykał, objawić światu, i dowodził, że powinien to uczynić, ponieważ ludzkość »chce wiedzy — oczekiwa — gotowa jest i godna wiedzy«. Teoryi ewolucyjnej, której niejasne zarysy ukazywały się w *Synu Cieniów*, a wyraźniejsze echo odezwało się w *Psalmie miłości*, a któraby go najwięcej mogła zbliżyć do stanowiska Słowackiego, o ile można sądzić z odpowiedzi tego ostatniego, nie poruszał wcale.

Słowacki, przeczytawszy list Krasińskiego i nie znalazłszy w wyrażonej tam syntezie jego dążeń i pojęć nic ponad to, co było w *Przedświcie*, uczuł się tak wysoko stojącym ponad stanowiskiem dawnego swego mistrza, że pewne uczucie zadowolenia ze swej wyższości i lekceważenia przyjaciela mimowoli odbiło się na jego następnym liście. Horyzont wyobrażeń przyjaciela wydał mu się niezmiernie zacieśniony, to, co Krasiński uważał za całą prawdę, w którą wierzył, do której dążył, wydało się Słowackiemu, w porównaniu z jego Alfą i Omegą świata, tylko cząstką, okruchem prawdy, wyrwanym z całości i nie związanym z nią. Dla takiej cząstkowej prawdy, w odróżnieniu od prawdy, opartej na Alfie i Omedze świata, dobrał on nazwę: opinia, odpowiadającą platońskiej δόξα, i gotów zawsze doszukiwać się tajemniczego znaczenia w nazwiskach, cieszył się, że w nazwie głównego majątku Krasińskich Opinogóra, znajdował podobieństwo do wyrazu opinia.

»List twój dla mnie — pisał — od początku do końca prawdą jest — bo ja go mogę jako gałązkę, wyrastającą z drzewa Rajskiego, na ziemi posadzić i osądzić, którym jest listkiem — więcej powiem, już go za owoc uważam

słodki i dobry. To mię jedynie smuci, że go inni ludzie muszą tylko wziąć z wierzchu, jakoby był opinią, bo z opinii wyszedł«.

»Prawdziwy ty Pan na Opinogórze; na górach bowiem Święto-Jańskich zbierasz żniwa [1]), a z wiatrem natchnień zasiewasz (daruj mi ten kallambur), jaśniej się wytłómaczę«.

»Gdy mi jeden z Xięży katolickich pisze list, zupełnie podług *Creda* ułożony i pyta, zaliż nie tak jest? zaliż to, co piszę, nie jest prawdą? — odpowiadam mu to samo, że dla mnie prawdą jest, a dla niego opinią«.

»Więcej powiem, gdyby mi który z umarłych starożytnych napisał dziś list, zapytując: nie mamże uważać za Boga Saturnowe wyobrażenie, a wierzyć w Deukaliona i w Prometeusza, i w Danae, i w porwanie Romulüsa cielesne do nieba?! to samobym odpowiedział, bo te rzeczy, z rozwiązanej wiedzy człowieka inaczej pojęte, stają się prawdami i są siostrami młodszemi prawd Ewangelicznych«.

»Tak twoja Siostra Chrystus-ojczyzna«.

»Bo wyznaj, iż człowiek w twoją ideę, jako w dogmat, uwierzyć musi — to jest przyzwolić na to rozumem, a potem po rycersku łamać kopie za opiniją, która wiarą się stała«...

»Lecz z tą opiniją, chcąc być doktorem, trzeba się uczyć doktorstwa u Brussego [2]) — chemikiem? u Śniadeckich — astronomem? u Aragów; — politykiem nawet chcąc zostać, trzeba konstytucyjne rządy i formy przyjąć za nauczycielki. Słowem: ta biedna Polska Chrystus zasypana byłaby pod puklerzami nie Chrystusowych rycerzy — tak, jak Chrystus był kiedyś w Rzymie, ubrany w formy pogańskie, wpuszczony niby z łaski do przedpokojów filozoficznych«.

---

[1]) Alluzya do Objawienia Ś-go Jana.

[2]) Broussais Fran., sławny lekarz francuski.

»A wszakże to, co mówisz, prawdą jest, ale taką, iż powinno cię uczynić i naturalistą i doktorem i chemikiem i astronomem i pierwszym z polityków... Wtenczas będziesz prawdziwym przyszłym Polakiem«.

Cóż to znaczyło? Oto, że mesyaniczna idea Krasińskiego, rozwinięta w *Przedświcie*, w oderwaniu od prawd zasadniczych, złożonych w *Genezis z Ducha*, jest bezsilną wobec »mądrości teraźniejszej świata«; że natomiast kto, jak on, posiadł te prawdy zasadnicze, ten góruje nad całą mądrością świata i niczego się od niej nie potrzebuje dowiadywać, bo sam wszystko wie lepiej od największych uczonych.

Ale jakkolwiek z pogardą i politowaniem patrzał na współczesną mądrość świata, bardzo żywo przecież zajmowały go odkrycia naukowe, bo służyły mu za materyał porównawczy do jego fantastycznych wyobrażeń o świecie. Właśnie wtedy wielkie wrażenie w świecie naukowym sprawiały odkrycia Faradaya, znakomitego fizyka angielskiego, mianowicie odkrycie wpływu elektryczności i siły magnetycznej na światło, a także hipoteza o przemianie jednej siły w drugą. W notatniku czerwonym Słowackiego znajduje się współczesna notatka, świadcząca, że poeta w *Constitutionnel'*u, jednem z najpoważniejszych pism codziennych ówczesnych, znalazł jakiś wyciąg z *Revue scientifique* o tych badaniach naukowych i widział w nich potwierdzenie swojej wiedzy wewnętrznej [1]).

O tych to badaniach i o wrażeniach, jakie one w nim wywoływały, pisał w dalszym ciągu listu do Krasińskiego.

---

[1]) Notatka umieszczona na karcie 41 pamiętnika brzmi: »Potwierdzenie nauki. 26 stycznia 1846. Constitutionnel-Revue scientifique odkrycie Faraday działania elektryczności i siły magnetycznej na światło — nawet przemienianie się tych sił jednej w drugą — Francuz kończy, iż może to posłuży do odkrycia fenomenów elektromagnetyzmu — dureń! posłuży ci do odkrycia ducha twego sił — i powie, czem jesteś«.

»Wiesz ty, że najstraszniejszy dreszcz trwogi, który przebiegł przez żyły moje, było to w tych dniach, gdy na Akademii scyentyficznej paryskiej wniesiono tysiączno-funtowe żelazo, aby nim poruszyć jeden słońca złotego promyczek i z drogi go zawrócić... Słysząc o tem — nie odetchnąłem, aż wtenczas, gdy na końcu tej experymentacyi usłyszałem wniosek ostateczny Francuzów: posłuży to nam do odkrycia praw elektro-magnetyzmu. Chwała Bogu — Chrystus cało uszedł z rąk Rzymskich żołdaków, lecz jak blisko byli Jego przeświętej natury! jak straszliwie przerazili mnie, że odkrywają to prawo, które ja od czterech lat naprzód noszę w duchu moim, a czekam aż godzina wielka uderzy — albo też gotów jestem z sobą wziąć w świat Ducha, jeśli sumienie moje przeciwko roztajemniczeniu wiedzy ludzkiej będzie zawsze trwało w oporze«.

Dlaczegoż Słowacki zamiast ucieszyć się, jakby się należało po jego świętości spodziewać, że ludzie byli tak blizko prawdy, rozjaśniającej tajemnice świata, przeraził się tego? Jeżeli zaś to przerażenie było skutkiem niewygasłej żądzy sławy, dlaczego nie śpieszył z odkryciem alfy i omegi świata? To wahanie się i wstrzymywanie się Słowackiego od ogłoszenia *Genezis z Ducha* objaśniałem już instynktową trwogą przed krytyką, któraby mogła zburzyć, a przynajmniej zachwiać gmach jego anielstwa. W liście, o którym mowa, Słowacki daje inne objaśnienie Krasińskiemu, który w tem ukrywaniu się ze swemi prawdami przed ludźmi widział dumę i niezasłużoną nieufność względem ludzi.

»I ty przypisujesz to dumie?... Wystaw sobie, że który z wielkich autorów (myślę o Chrystusie i siłach Ducha świętego) napisał i z wielkim kosztem przygotował dramat bardzo zajmujący — tak natężony w intrydze, iż ostateczna scena jego, jak wulkan wybuchnąwszy z ziemi, ma poruszyć całym narodem. Lecz autorowi trzeba pięciu aktów — trzeba całego natężenia umysłów pięciogodzinnego... Wtem zjawia się drugi poeta, który rozwiązanie

dramatu w sobie samym odkrywa — i stanąwszy na ławkach, w prozaicznych słowach, przed sztuką jeszcze, sztukę całą parterowi tłómaczy... a wtenczas głupce parterowi, nie będąc uniesieniem poezyi z natur swoich odarci[1]), odzywają się w większości:

»Więc to tylko to? dramat ów zapowiedziany!? Idźmyż spać do domów, a nie nudźmy się przez pięć godzin, siedząc na twardych ławkach parteru«.

Słowacki zatem obawiał się, że tajemnice świata, których był posiadaczem, odkryte ludziom bez odpowiedniego przygotowania do ich przyjęcia, mogą nie wywrzeć silnego wrażenia, nie wstrząsnąć, nie poruszyć całej ludzkości, a przedewszystkiem narodu polskiego, a on chciał, aby te prawdy wydobyte z pochwy tajemnic tak wszystkich olśniły odrazu, jak on sam był olśniony niemi, gdy padając z ust Andrzeja Towiańskiego poraz pierwszy zabłysły w jego duchu, i aby taki przewrot wywołały na świecie, jaki się był przed czterema laty dokonał w jego duchu. — Drugim poetą, o którym pisał w liście, tym, który miał prozą z ławek podać słuchaczom treść wielkiego dramatu stworzenia, to był on, Słowacki, autor *Genezis z Ducha,* a szydercze przyjęcie ze strony słuchaczy tego streszczenia byłoby strasznym ciosem dla poety.

»Mówisz — pisał dalej — że ludzkość chce wiedzy — oczekiwa — gotowa jest i godna wiedzy. Ja ci faktami odpowiadam... Wszyscy mnie opuścili, choć przysięgam ci, że zmieniony jestem na dobre, rozkwilony, jak dziecko — bliższy ludzi, niż kiedykolwiek bądź przedtem — sługa ich«... I tu na dowód, że ludzkość nie jest jeszcze gotowa do przyjęcia prawdy, opowiadał znaną nam już wizytę Gaszyńskiego u siebie i plotkę, jaka stąd urosła, poczem

---

[1]) Wyrażenie »z natur swoich odarci« trzeba w ten sposób rozumieć, że egzaltacya poetycka zdolna jest ducha ludzkiego z grubej natury cielesnej odzierać, t. j. wywyższać go ponad zwykły poziom dążeń, uczuć i wyobrażeń.

dodawał: »Poznaj sposób postępowania ludzi i gotowość świata do przyjęcia prawdy. Oto największa część ludzi czyni tak, jak owi jezuici — sami nie skłamią, ani wymyślą rzeczy... lecz usłyszawszy tę rzecz, w tonie żartu mówioną, rozchodzą się po mieście, smutne biorą twarze i powtarzają: zwaryował; a gdy pytasz: »czy doprawdy«? — odpowiadają: »słyszeliśmy od jednego z jego przyjaciół«.

Jeśli o ludziach wogóle miał Słowacki wyobrażenie, że jeszcze niedorośli do uznania prawd zasadniczych, to w sądzie o Krasińskim był względniejszy i jeszcze nie tracił nadziei, że ten, który kiedyś sam jeden wbrew całej emigracyi wielbił jego poezyę fantastyczną, da się teraz pozyskać dla jego teoryi, rozwiązującej tajemnice bytu. Znaleźć w Krasińskim, dla swojej alfy i omegi świata, herolda, wydawało mu się zapewne rzeczą bardzo ponętną, ale sam czuł, że to nie była rzecz łatwa. Przedewszystkiem spostrzegł, że porozumiewanie się przez listy nie doprowadzi do pożądanego celu, że do tego, aby zapalić przyjaciela ogniem swojej wiary, trzeba osobistego zetknięcia się, bezpośredniej wymiany tonów ducha.

Więc zaznaczywszy, że w listach może tylko przesłać pół ducha swego, tak pisał dalej: »Dlatego, mój Zygmucie, trzeba, abyśmy sobie jasno w oczy spojrzeli, ścisnęli się za ręce — a potem, jeżeli się zognią dusze nasze jednym dla sprawy Bożej zapałem, abyśmy choćby na skałach nadśródziemnego (sic) morza zatknęli kij, monument braterstwa wiecznego — i poszli każdy w swoją stronę, pamiętni na ów związek i miejsce rozpoczęcia. Dlatego to już mi się śni o jakiejś podróży w bliskie tobie strony, a czekam tylko na czas lepszy i jaśniejszy... bo terazbym kilku nocy w dyliżansach przepędzać nie chciał... Nie uczynię jednak i tego bez twego współczucia — a nawet może zupełnie nie uczynię, pomny na straszną przemianę, którą idea robi w człowieku — przez żałość jakąś, którąby mię zdjęła — gdybym cię widział rzucającego twój otęczowany świat — dla srogiej i twar-

dej służby — jaka się nareszcie od każdego ducha Bogu należy. Dlatego cię pytam szczerze i otwarcie, abyś mi powiedział, czy jesteś szczęśliwy tak, jak jesteś? Niech listy twoje nie będą o nieśmiertelności ducha, ani o innych skrzydlatościach idei — bo tak czyniąc, korespondencya nasza stałaby się zamianą rzeczy wiadomych — albo takich, o których sam duch z siebie dowiedzieć się powinien; lecz niech listy będą zamianą tonów naszych, dźwięku ducha naszego, a tak będziemy mogli na podobieństwo szalek ważyć się wzajemnie i podnosić w górę«...

»Szczerze, Zygmuncie — jako człowiek, ty jeden jesteś nadzieją moją«...

»Jednej ci rzeczy tylko nie dostaje, a to masz we wspólnictwie ze światem całym — ambicyi, która wychodzi nawet z granic ziemi, a o całym świecie się pyta i drży i dzień dzisiejszy półwiedzy za ostatni uważa... ufając, iż jutro który jej z braci pomoże, a rozwiązaniem małej niteczki ostatecznie rozwiąże«.

Cóż rozumiał tu Słowacki przez ambicyę, której brak uczuwał w Krasińskim? Rozumiał to właśnie, co mu nadawało poczucie niezmiernej wyższości nad Krasińskim i nad całym światem, mianowicie, że w rozwiązaniu zagadnień bytu myśl jego nie zamykała się ani w granicach narodu, ani w granicach ludzkości, ani nawet w granicach kuli ziemskiej, ale ogarniała wszechświat. Mesyanizm Krasińskiego wobec *Genezis z Ducha* był w oczach Słowackiego drobnym tylko listkiem oderwanym z niebotycznego drzewa wiedzy.

Ukończywszy list, Słowacki spostrzegł, że za mało jeszcze wyjaśnił przyjacielowi powody, które go powstrzymują od ogłoszenia światu prawd, rozwiązujących tajemnice bytu, i postanowił w dodatku do listu dokładniej przedstawić różne wątpliwości, wpływające na to jego ociąganie się. »Jeszcze biorę tę ćwiartkę papieru, aby dłużej z tobą pomówić — powiedz mi święcie i sumiennie, czy Polska zdolna jest wyprzeć się tego słowa: chcę umieć,

a zacząć: od wiedzieć chcę... to jest umiejętność analityczną wymienić na mądrość wnętrzną, widzącą? Znasz teraźniejszych Polaków — powiedz więc, czy te natury młode nie będą mocniejsze i skorsze do czynu, działając tylko instynktownie — od tychże samych natur, gdybyśmy je dziś od *a* do *z* zaczęli odbudowywać z wiedzy dawnej... Jam takie budownictwo odbył w przeciągu lat czterech; a oni, dziś zacząwszy, wieluby lat potrzebowali? — Nie byłożby to grzechem czasu zaczynać«?

»Dzieckiem jest Hamletowe wahanie się w porównaniu z tem, jakie ogarnia duchy, czujące w sobie ojcostwo narodu. — Usta się im pozamykają; błyskawic nawet z oczu rzuconych lękać się będą — otoczą się kołem wieków i cichością czasów przyszłych obalsamują się — trupami je nazwą teraźniejsi; w nich wszakże będzie żywot prawdziwy«...

»Powiedz: nie lepiejże młodzież zostawić pod Quinetowymi i Micheletowymi retorykami?[1]) Nic w tych ludziach niema harmonijnego, ale jest spirytusowy pierwiastek; niech więc exaltuje krew — trzeba nam... trzeba mass jakkolwiek stworzonych... Niech Russo przeciw Rosyanom walczy... Niech wyznanie Wikarego Wakfildzkiego (sic!) Jezuitów wali, niech Jezuici walą cerkiew, dla nas nieśmiertelnych czas przyjdzie.. teraz może milczeć wypada«?

»Oto są, Zygmuncie, powody mego milczenia i chowania się, a to jest dobrowolne; bo gotowe i napisane są rzeczy, do których napisania sumienie mnie wiodło, równie jak dziś sumienie tylko od drukowania wstrzymuje. Czekam, aż żądza wiedzy obudzi się, aż wiara w to, iż Bóg da Polakom broń nową i moc nową, wstanie w upo-

[1]) Dla lepszego zrozumienia tego ustępu trzeba wiedzieć, że na kilka miesięcy przed datą listu, w sierpniu 1845, młodzież francuska czyniła wielkie owacye trzem ulubionym profesorom, których twarze uwieczniła razem na jednym medalionie: Mickiewiczowi, Quinetowi i Michelet'owi.

korzonych umysłach. Jakże mówić do ludzi, którzy sądzą, że wszystko, co wiedzieć ludziom potrzeba, już jest odkryte, a w dalsze rewelatorstwo prawdy wiary nie mają. Jakże ubogi chłopek, oddalony od braci swoich (Słowacki chce tu pokornie mówić o sobie) może im w pomoc garścią brylantów sypnąć, kiedy wie, iż oni to za szkło czeskie wezmą — i szukać nawet w piasku nie będą, a mineralogów niema między nimi, nawet prostych, mówię, uczonych mineralogów[1]) niema — ani jednego nie widzę. Gdyby byli, poznałbym ze słowa jednego«...

»Nie myśl, że utyskuję na to. Nie, uznaję w tem prosty porządek świata, który chce — aby duchy same z siebie odkopywały prawdy, na dnie ducha każdego złożone i miały stąd zasługę«.

W końcu ubolewał nad tem, że od czasu Chrystusa wiedza prawdziwa, chrześcijańska ani na krok nie posunęła się naprzód. Za najlepszy dowód służył mu Göthe, najwyższy szczyt inteligencyi europejskiej, ten Göthe, do którego wysokości tak pragnął niegdyś wspiąć się Słowacki, a który teraz tak poziome w oczach jego zajmował stanowisko. »Patrz Göthe sam dziwi się z największą powagą, że wąż ma dowcipne oczy, a Bóg jemu nóg odmówił... ten sam Bóg, który Göthego z łaski swej nogami i oczyma i dowcipem obdarzył!... Powiedże mi, jak tu nędznemu człowiekowi powiedzieć, że Göthe będzie musiał na ławce w pierwszej klasie w Polszcze przyszłej od pierwszego bakałarza dowiadywać się, dlaczego wąż nóg niema«. W tej końcowej uwadze było jakby drobne uchylenie zasłony, zakrywającej tajemnice świata, aby olśnić i zaciekawić przyjaciela ukradkowym ich blaskiem i wskazać mu kierunek, w jakim myśl jego ma dążyć na spotkanie myśli Słowackiego.

Krasińskiemu ten ostatni list Słowackiego nie wydał się już rozumnym i głębokim, jak poprzedni, a jego dzi-

[1]) Uczonych mineralogów nazywa Słowacki prostymi w przeciwstawieniu do natchnionych wiedzą genezyjską.

waczne, niezrozumiałe dla Krasińskiego skoki myśli pobudziły autora *Przedświtu* do rozmyślań, w których starał się to, co dlań było dziwacznem w liście przyjaciela, filozoficznie wytłómaczyć, jako naturalny objaw przejściowej epoki. »Od Juliusza list miałem bardzo długi, pisał wkrótce potem do St. Małachowskiego. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu, najwyższe tam prawdy dziki kształt przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W tej bójce między życiem a śmiercią świata, odbywającej się w każdym rozumie i sercu, nie dziw, że dziwy się rodzą. Przejście każde pewnych potworności musi być rodzicem; przejście samo w sobie jest niejako potwornością, a nie harmonią; gdyby było harmonią, nie byłoby przejściem do niej! I w naturze gatunki, łączące rodzaj poprzedni z następnym, zawsze noszą barwę jakąś dziwaczną: pół-rośliny, pół-zwierzęta, pół-ptaki, pół-czworonożne; planeta cały, gdy ma się przemienić fizycznie, doznaje potopu lub trzęsień ziemi, które mu potworną postać narzucają na chwilę. Rewolucye w porządku społecznym są potwornościami; zatem i w duszach opuszczających świat umysłowy stary, by nowy odkryć, muszą podobne kataklizma idealnie się odbywać. To bezprawie prawem jest«.

Tak objaśniając dziwaczność poglądów Słowackiego, zajmował Krasiński stanowisko filozoficzne, do pewnego stopnia pokrewne stanowisku Słowackiego i gdyby z tą krytyką zwrócił się był wprost do niego, możeby go nią lepiej uraczył, niż tem wszystkiem, co mu pisał o różnych »skrzydlatościach idei«. Co się tyczy osobistego spotkania się ze Słowackim, Krasiński donosił Małachowskiemu: »Odpisałem mu, że jeśli to ma być z jego dobrem, tom rad widzeniu się z nim. Lecz trzeba poczekać, aż mój ojciec stąd wyjedzie, co dopiero za miesiąc nastąpi, bobym nie miał czasu pasować się z Juliuszem« [1]).

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego do St. Małachowskiego, str. 54—55.

Taka odpowiedź była świadectwem dla Słowackiego, że Krasiński zostaje ciągle pod silnym wpływem ojca i że trudno spodziewać się, aby dał się z pod tego wpływu wyciągnąć, oderwać od swego »otęczowanego« świata i stać się apostołem i heroldem alfy i omegi świata. Już przedtem uważał go za człowieka, którego trzeba dźwigać z upadku i w owym liście »rozumnym i głębokim« pisał, jak wiemy: »nie sądź mię pokaleczonym przez ludzi — ale sądź dźwigającym«, ale w tym liście było tyle pochwał dla Krasińskiego, że nie zwrócił on uwagi na tę pretensyę przyjaciela, może nawet nie zrozumiał, że do niego się odnosi. Inaczej było, kiedy Słowacki wyraźnie wypowiedział się przed Małachowskim, że pragnie podźwignąć Krasińskiego i kiedy Małachowski doniósł o tem interesowanemu. Wtedy odpowiadając na tę wiadomość Krasiński pisał: »Miło mi jest, że na cokolwiek zdałem się Juliuszowi; zostaw mu myśl, że on mnie dźwiga, jeśli ta myśl jego wydźwignąć może« [1]). Z obu więc stron nie było ochoty do prowadzenia dalszej korespondencyi, zwłaszcza, że w owym czasie właśnie nadeszły przerażające wieści o rzezi galicyjskiej i pochłaniały powszechną uwagę.

Jakie wrażenie sprawiły na Słowackim, dla którego były jakby odpowiedzią na nieznany jeszcze światu wiersz *Do autora trzech psalmów*, o tem nie wiele wiemy, ale z tego, co wiemy należy wnioskować, że Słowacki nie uczuł się tak bardzo przygnębionym, jakby się tego można spodziewać [2]). Co się tyczy Krasińskiego, ten był do najwyższego stopnia poruszony i podniecony i w pierwszym zapędzie uczuć zamyślał o jakiejś rycerskiej wyprawie do polskiej Jerozolimy i tym pomysłem żył przez parę tygodni [3]), póki nie pogodził się z jego niewykonalnością. Wtedy to przypomniał sobie Słowackiego i natural-

[1]) Tamże 59.

[2]) Więcej o tem w rozdziale: Słowacki polityk.

[3]) Patrz Listy Zygm. Krasińskiego do St. Małachowskiego z d. 11 do 28 marca, str. 60—92.

nie jego zamiar osobistego zetknięcia się dwu Wenedów nad morzem, a ponieważ na ostatni swój list nie otrzymał od niego żadnej odpowiedzi, dopytywał się więc i Gaszyńskiego i Małachowskiego: »co Juliusz teraz porabia i myśli«?[1]). O jego poetyckiej odpowiedzi na *Psalmy przyszłości* ciągle jeszcze nic nie wiedział i długo nie miał się o niej dowiedzieć, a milczenie Słowackiego, nie mając żadnej o nim wiadomości od przyjaciół, przypisywał tylko ciężkiemu zmartwieniu, wywołanemu rzezią galicyjską. Więc pisał do Gaszyńskiego 5 maja: »Juliusz już do mnie ani słowa od początku wypadków tych grobowych nie napisał, musi być zarówno umarłym, jak ja«!

Ale zaledwie to pismo wyprawił do Gaszyńskiego, już miał od niego wiadomość o Słowackim, która inaczej objaśniała milczenie tego ostatniego i do rozpaczliwego nastroju Krasińskiego dodała ton melancholijnej rezygnacyi. »Juliusz o mnie powiada — czytamy w liście do Małachowskiego z 7 maja — żem Duch obłąkany i upadły; prawda, prawda, jakaś zgrzybiałość mnie trupia ogarnęła, codzień niżej zapadam! już mnie prawie niema«! A w liście do Gaszyńskiego z tego samego dnia pisał: »Zdanie Juliusza o mnie prawdziwe, szczególnie w tej chwili, ale Juliusz je wyrzekł zapewnie nie dlatego, że prawdziwe, lecz żem ubódł jego miłość własną; powinienby po chrześcijańsku starać się mnie wydźwignąć, tymczasem milczy«.

Zdaje się jednak, że i Krasińskiego ubodło odezwanie się Słowackiego, bo w kilka dni potem w jednym z następnych listów do Gaszyńskiego (z 13 maja) wraca do niego. »Czy Juliusza nie spotkałeś gdzie? Kiedy on ma dowody cudzych upadków, inni by pragnęli ujrzeć dowody jego wywzniośleniа się, czemu ich nie objawia? Już do mnie nie pisze, znać myśli, że nie warto i kto wie, czy nie odgadł prawdy, tak myśląc«.

---

[1]) W liście do Gaszyńskiego z 30 marca i w liście do Małachowskiego z 1 kwietnia 1846.

W taki to sposób urwała się, i to na zawsze, odnowiona korespondencya dwu Wenedów. Krasiński radby był może ją dalej prowadzić, ale nie pragnął widocznie osobistego spotkania się ze Słowackim, ten zaś tylko na takie spotkanie liczył jeszcze cokolwiek w swoich nadziejach »podźwignięcia« Krasińskiego, nie miał zaś wcale ochoty do prowadzenia korespondencyi dawnym sposobem »o skrzydlatościach idei«.

Zanim to jednak nastąpiło, była chwila, kiedy zdawało mu się, że poruszy i zjedna dawnego przyjaciela dla nowej wiary, jeżeli przemówi do niego z namaszczeniem apostolskiem i okaże mu pojedyńcze promienie genezyjskie, owinięte cudowną mgłą swego stylu, mgłą, która miała tyle uroku dla Krasińskiego. I wtedy napisał to, co wydałem niedawno w *Bibliotece Warszawskiej* p. t.: *List Apostolski* [2]), a czego rozbiór zostawiam do następującego rozdziału.

---

[2]) Bibl. Warsz. 1904, zeszyt czerwcowy. Jako komentarz do tego utworu podane zostały niektóre ustępy wyjęte z niniejszej pracy.

CZĘŚĆ V.

Łuna przedzgonna.

1846—1849.

ROZDZIAŁ XXII.

Słowacki filozof.

Fragmentaryczność filozoficznych pism Słowackiego. — *List apostolski* Słowackiego i jego geneza. — Dyalogi filozoficzne; walka na dwa fronty. — *Rozmowa z Helionem*; godzenie melampsychozy z chrześcijaństwem. — *Rozmowa z Helionem i Heloïs;* historya ducha ludzkiego w postaci romansu. — Mojżesz-Słowacki. — Romans wszechludzki wierszowany. — *List do Rembowskiego.* — Dlaczego jest zło na świecie? — Stworzenie Adama i grzech pierworodny. - Walka z antychrystową wieżycą wiedzy współczesnej. — Zienowicz i Humboldt. — Człowiek-mikrokosm. — Oryginalność filozofii Słowackiego. — Słowacki i Saint-Martin.

Tytuł, nadany piątej części tego studyum, pochodzi stąd, że twórczość literacka Słowackiego z ostatnich trzech lat przed śmiercią, przedstawia się nam, z bardzo drobnemi wyjątkami, jako wielka summa usiłowań literackich, po których fragmentaryczne tylko pozostały rezultaty, jako łuna blasków poetyckich, nie ujętych w dzieła wykończone, ale rozproszonych w ogromnej ilości fragmentów. Charakter taki noszą już po części i poprzednie okresy, ale w tym ostatnim występuje on jeszcze wyraźniej niż w tamtych.

W tej fragmentarycznej twórczości należy odróżnić trzy rodzaje, trzy kierunki: pisma, w których Słowacki światłem genezyjskiej mądrości chciał rozjaśnić wszystkie zagadnienia życia ludzkiego i przyrody, w których złożyć chciał swoją filozofię; pisma, w których genezyjską mą-

drość stosował do polityki narodowej; i wreszcie poezyą, a raczej jeden wielki, nieskończony a tryskający mnóstwem waryantów i fragmentów poemat, który, również ciągnąc soki swoje z mistycznej wiedzy, miał uwieńczyć, ukoronować i wpleść zarazem w wątek dziejów narodu ten pęd Słowackiego do wielkości, do anielstwa, do samoubóstwienia, co był główną osią jego ducha.

Zajmiemy się naprzód pismami filozoficznemi Słowackiego. Prócz wspomnianego w poprzednim rozdziale *Listu apostolskiego,* niema pomiędzy temi pismami ani jednego, któreby stanowiło skończoną całość, co po części jest skutkiem tego, że poeta rzucał pomysły swoje fragmentarycznie, przerabiał je potem, ale nie śpieszył się z przygotowaniem ich do druku, po części skutkiem smutnych kolei, przez jakie przechodziły autografy Słowackiego po jego śmierci, zanim się w ręce odpowiednie dostały. Z tych pism, prócz owego *Listu apostolskiego* i pewnego drobnego urywku, który podałem w *Pamiętniku literackim* z r. 1902, zeszyt IV, przy nieznanym liście Słowackiego do ks. A. Czartoryskiego, tylko dwa najobszerniejsze fragmenty ogłoszone zostały drukiem, mianowicie *List do Jana Nepomucena Rembowskiego* i tak nazwany przez wydawcę *Wykład nauki,* obie rzeczy wydane z autografów przez p. Biegeleisena razem z *Genezis z Ducha*[1]). Prócz tego mam pod ręką pięć mniejszych fragmentów, dotychczas nieogłoszonych drukiem i nieznanych, z których największy zajmuje cztery większe arkusze po obu stronach zapisane, najmniejszy mieści się na jednej stronie małej ćwiarteczki. Wreszcie do pism filozoficznych zaliczyć należy wierszem pisane ułamki tak zwanej *Teogonii* Słowackiego, niby to wydanej a właściwie bez ceremonii

[1]) J. Słowacki. *Genezis z Ducha. List do J. N. Rembowskiego, Wykład nauki, Dziennik* z r. 1847—1849. Wydanie pierwsze z pośmiertnych rękopisów poprzedzone wstępem i objaśnieniami przez Dra Henryka Biegeleisena. Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. (Bez roku!).

przerobionej przez J. H. Rychtera w jego wydaniu pośmiertnych utworów Słowackiego z r. 1889.

Chronologia tych fragmentów nie da się oznaczyć dokładnie. Wiemy tylko, że wszystkie powstały po napisaniu *Genezis*, a jeden z nich *(List do Rembowskiego)* w końcowych ustępach najwcześniej mógł być pisany z początkiem 1847, ponieważ jest tam wzmianka o jesieni 1846. Jest to prawdopodobnie najpóźniejszy ze wszystkich fragmentów. Odznacza się też odmienną formą od innych, mianowicie, jak tytuł wskazuje, ma formę listu, kiedy tamte prawie wyłącznie mają formę dyalogową. Z porównania zaś treści jego z treścią innych fragmentów można powziąć przypuszczenie, że w nim miały się zlać w jedną całość poglądy Słowackiego, w różnych przedtem wypowiedziane dyalogach.

Co wywołało te dyalogi? Wiemy, że po napisaniu *Genezis* nad morzem, latem 1844, Słowacki wahał się z jej ogłoszeniem. Po wystąpieniu pułkownika Kamieńskiego z protestacyą przeciw poselstwu Towiańczyków do cesarza Mikołaja, sądził, że nadeszła stosowna do wydania chwila, ale zamiar to był przelotny, *Genezis* pozostała w tece. Niedługo potem miał znaną nam wizyę, która utwierdziła go w mniemaniu, iż jest wybranym przez Boga apostołem. Otóż, skoro był apostołem, należało działać apostolskim sposobem, t. j. objaśniać, tłumaczyć nową naukę i powoływać do niej. Wprawdzie zdawałoby się, że przedewszystkiem należało ogłosić to, co miało być objaśnianem, ale Słowacki wolał, jak wiemy, trzymać *Genezis* w ukryciu, a tymczasem chciał innemi pismami, które zresztą także nie doczekały się ogłoszenia za jego życia, przygotowywać rodaków do przyjęcia alfy i omegi świata.

Pierwszem, jak się zdaje, z tych pism jest tak nazwany przeze mnie *List apostolski* Słowackiego. Z przekreślań i poprawek autografu, z którego wydałem ten utwór, należy wnioskować, że to był pierwszy brulion. Rzecz cała podzielona jest na dwa rozdziały, ale na po-

czątku niema cyfry, oznaczającej rozdział pierwszy. Z tego braku, jako też z pierwszych słów autografu, możnaby się domyślać, że ten utwór jest fragmentem, że mianowicie brak mu jakiegoś początkowego ustępu. Autograf bowiem zaczyna się tak:

»Wyższego hymnu spodziewałem się z ust twoich — ale młodzieniec jesteś i wizye twoje są jeszcze pełne blasków latających... Oto usiedliśmy przy nogach Pana naszego Chrystusa, na progu u bramy z jednej perły — i radujemy się poraz pierwszy, jako aniołowie, którzy widzą jednocześnie i czują«.

Z tego ustępu należałoby wnioskować, że przedtem jakiś młodzieniec rozwijał swoje na świat poglądy przed mistrzem-apostołem, którym jest sam poeta i że tych słów młodzieńca, zawartych w początkowym ustępie utworu, brak w autografie. Ale rozczytując się w korespondencyi Słowackiego, doszedłem do odmiennego poglądu: utwór, o którym mowa, nie jest fragmentem bez początku, ale całkowitym utworem; »hymnem«, wspomnianym na początku, jest znany nam list Zygmunta Krasińskiego do Słowackiego, rozwijający ideę o Polsce, jako o siostrze Chrystusa, a młodzieńcem, »którego wizye są jeszcze pełne blasków latających«, jest nie kto inny, jak autor *Irydyona*. Mistrz i młodzieniec usiedli na progu bramy z jednej perły, to znaczy wedle słów *Apokalipsy* u progu nowego Jeruzalem, które zstąpiło z nieba, a którego każda brama jest z jednej perły, czyli, odrzucając symbolikę, u progu nowej nauki, którą ma podać młodzieńcowi poeta. Ale o tym młodzieńcu dalej niema już wcale wzmianki i cała dalsza nauka poety zwraca się już wogóle do »braci naszych« (Napiszmy oto na złotej płycie skały ewangelią prawdy dla braci naszych).

Ta nauka, podzielona na krótkie ustępy, bardzo się zbliża i tym podziałem i tonem do prozy biblijnej: sam poeta w tylko co przytoczonym ustępie nazwał ją »ewangelią prawdy«, ten więc tytuł możnaby postawić na czele

utworu. Wszakże sądzę, że właściwiej jest nazwać ten utwór »*Listem apostolskim*«, niż ewangelią prawdy, bo ten ostatni tytuł, jeżeli jakiemu utworowi Słowackiego godzi się nadać, z jego wychodząc stanowiska, to tylko *Genezis z Ducha*, którą on uważał za alfę i omegę świata, utwór zaś, o którym mówimy, w takim mniej więcej zostaje stosunku do *Genezis*, w jakim listy apostolskie do ewangelii. Jest to w istocie, jakby list apostolski Słowackiego do Polaków.

Poeta wychodzi z tej zasady, że wszelkiemu złu, wszelkiej nędzy doczesnej na świecie nie Bóg jest winien, ale duchy, tak te, które są zamkięte w ciałach, jak i te, które się unoszą nad światem a oddziaływają na ludzi. Duchy te są różnej jakości, różnego stopnia, od najniższych do najwyższych ciągnie się niezmiernie długa drabina hierarchiczna, a nad wszystkiemi duchami, jako najwyższa unosi się sakramentalna siła Chrystusa, ta właśnie, która podług wyobrażenia poety spłynęła na niego podczas wizyi. Prawdziwy postęp świata polega na wyzwalaniu się z pod wpływu niższych duchów a dążeniu ku owej najwyższej sile, a dążyć ku niej nie można, nie mając wiedzy prawdziwej, wiedzy o tem, że wszystko na świecie jest z ducha i dla ducha. To też narody, ubiegające się o materyalną potęgę i zdobywające ją, są nieszczęśliwsze od narodu polskiego i Bóg okazał się dobrotliwszym dla tego ostatniego, niż dla tamtych, gdyby go bowiem nie ukrzyżował, nigdyby Polacy »nie usłyszeli ogromnego głosu w duchach swoich«, głosu, który im wiedzę prawdziwą odkrył.

W porównaniu z tą wiedzą wszystko to, co kościół i co nauka świecka podaje, jest tylko opinią, to jest wiedzą powierzchowną, nie docierającą do jądra przyczyny i stąd chwiejną, budzącą wątpliwości. Słowacki widocznie stosuje się tu do platońskiego podziału poznawania ludzkiego na επιστήμη i δόξα, który znajdował w *Republice* Platona i »duchem świętym się świadczy«, iż nic z opinii nie

mówi, a wszystko ze źrodła wiedzy prawdziwej wyprowadza. A wyprowadza czasem dziwne rzeczy, jak np., że »sakramentalna była półmiesięczna chmura mahometańskiego ludu... a póki pili z niej moc... zwyciężali świat«... i że »nie jest przeklętą moc żadna, ale jest przez najwyższą sakramentalną siłę rządzoną«...

Głównem zadaniem listu jest wezwać rodaków, aby się opamiętali i mieli na oku to, co ich czeka po śmierci. Oto jak poetycznym stylem odmalowany jest stosunek ducha do ciała za życia i stan ducha po śmierci.

»Póki łódź płynie chociażby przez spokojne powietrze, to żagle płócienne drżą i szelest wydają — a duch póki w ciele jest... to się uczuciem nieśmiertelności ciągle sprzeciwia ciału, i rzeczom skończonym, które go otaczają«.

»Lecz skoro zatrzyma się łódź a przeciwieństwo wszelkie ustanie, nie nadymają się więcej ani szeleszczą żagle napięte.... także i myśl wasza ucichnie w duchu — i ustanie jako zegar zatrzymany«.

»Teraz albowiem powiada w tobie duch nieśmiertelny: oto tu jestem; a obejrzawszy się na ciało, pyta się, gdzie jutro być mogę«...

»I w ciągłej jest niby naradzie z mocami cielesnemi, które go ograniczyły w potędze... A ta sprzeczność nieskończonego w nim uczucia z ciała ograniczoną potęgą, jest onym ruchem, co wy myślą zowiecie [1]). Lecz po śmierci czuje się jako siła, nową formą i czynem chcąca się objawić — jeżeli żebrakiem, to żebrakiem, jeżeli niewiastą, to niewiastą — jeżeli mężem, to mężem... jeżeli światem, to jedną z nowych gwiazd... między gwiazdami«...

»Albowiem mówi Chrystus, że wiele miejsca i mieszkania jest u ojca mego na niebiesiech — a ty wiedz, że światy tworząc mieszkamy w Ojcu naszym«...

---

[1]) Jest w tem jakby echo słów Sokratesa w *Teetecie* Platona: »Zdaje mi się, że dusza, gdy myśli, nie robi nic innego, jeno rozmawia, pytając siebie i odpowiadając sobie, twierdząc i przecząc«. Por. ks. Pawlicki: Historya filozofii greckiej, t. II, cz. I, str. 450.

»I dziś w Ojcu mieszkamy — jako najemniki, pracujące około ziemi przemienienia«.

Były to więc pojedyńcze promienie z genezyjskiego słońca wiedzy, przygotowujące do pełnego ukazania się tego słońca. Ale najgodniejszem uwagi w liście apostolskim Słowackiego jest to, co on mówi o sobie, o swojem stanowisku wobec narodu, o swoich nadziejach i swoim stosunku do Chrystusa.

»Oto jeden z tych, którzy pokoju nareszcie dostąpili, mówi do was, a po śmierci tchnienie swoje do słów przyłączy — aby serca otwierały się na prawdę pańską i radość z odjętej tajemnicy była powszechną«.

. . . .

»Gdy mię ujrzysz nad siły pracującym o Panie! to odejmiesz mi te ręce, które nic nie mogą — i to serce zbolałe i zużyte... i zagasisz bladą słoneczność dni dogasających — a dasz — jasny ranek nowego żywota... i południe ogniste, owocami sypiące — i znów porwiesz w błyskawicy — gdy czynami zasłużę, abyś mię wyższą mocą i czynnikiem stworzycielem uczynił«.

»Abym już nie był jako ciało duchem ożywione, ale stał się jako ciało duchem ożywiające — najstraszniejszy kształt mocarza na ziemi...«.

»Za czymże tęsknić będę, gdy wszystko jest w przyszłości — umiłowanie świata — i przemienienie serc — i wspólnictwo radości — i zmnożenie sił — i odjęcie boleści...«.

»Polsko! ojczyzno moja! wzywam cię na ten wieczernik ostatni — abym się przepasał prześcieradłem śmiertelnym i umywał krwawe nogi twoje...«.

. . . .

»Ostatnia noc bez miłości i ostatni wieczernik, gdzie sobie ludzie jadło wzajemnie wyrywali już się kończy...«.

»Ostatni świecznik wiary niepewnej i niewszechmiłosnej zagasa...«.

»Ale oto już różana jutrzenka w wieczerniku jest — i rumiane światło zorzy na obrusach zaświeciło...«.

. . . .

»Nie mówiłbym, gdyby nie płomienie i nie chrzest przez ogień...«.

»Lecz teraz mówię — w Panu Jezusie Chrystusie ufając, że nie grzeszę...«.

»Usprawiedliwienie moje zostawiwszy władzom sakramentalnym na niebiosach — które mię też zawstydzą — jeżelim na hańbę zasłużył«.

Kończył się ten list apostolski alluzyą do cudownej wizyi: »Jak w ogniu tak i teraz: Boże Ojców moich zmiłuj się nademną!«

»Płomień twój wskrzeszający nad Ojczyzną moją! Amen«.

Jeżeli zestawimy treść tego mistycznego pisma z podaną wyżej korespondencyą Słowackiego z Krasińskim z początkiem roku 1846, a w szczególności z listem jego z 17 lutego, to dostrzeżemy ścisłego związku między temi rzeczami. Związek ten przedewszystkiem uwydatnia się w tem, że jak w liście apostolskim, tak i w liście prywatnym z 17 lutego, wielki nacisk jest położony na zaczerpniętą z filozofii platońskiej różnicę pomiędzy wiedzą a opinią, różnicę, która, podług wyobrażenia Słowackiego, dzieliła go od dawnego przyjaciela i pozwalała mu występować wobec niego w roli mistrza i apostoła. Ważną jest także wskazówką początek listu apostolskiego: »Wyższego hymnu spodziewałem się z ust twoich«, który treścią i tonem swoim zupełnie odpowiada początkowi listu z 17 lutego, i do nikogo innego, prócz Krasińskiego, nie może być odniesiony.

I sam wyraz »hymn« jest tu użyty nie bez pewnej alluzyi do autora *Przedświtu*. Krasiński w zakończeniu tego poematu głosił, że

modlitwa jedyna
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału...

i jeszcze silniej akcentował ten wyraz, kończąc nim cały poemat:

Aż skonam zwrotką — w poświęcenia hymnie!

Słowacki w wierszu *Do autora trzech psalmów*, wskazując Krasińskiemu, jak ma śpiewać, jaki ton ma obrać, używa także tego wyrazu: »W takim hymnie, wieszczu stój!« Trudno wątpić, że i tutaj ten wyraz użyty jest z alluzyą do *Przedświtu*.

Ostatecznie genezę *Listu Apostolskiego* można sobie w ten sposób wyobrazić. Słowacki, wezwany przez Krasińskiego do wypowiedzenia swoich idei kierowniczych i zachęcony zapewnieniem, że ludzkość czeka na wiedzę prawdziwą, nie śmiał mu w liście zwyczajnym odkrywać swoich tajemnic i swego cudownego stosunku z Bogiem, i użył do tego formy biblijnej. Zaczynając pisać, nie miał gotowego planu, gotowego podziału owego pisma, więc też nie postawił na czele liczby, oznaczającej rozdział pierwszy; ale kiedy w ciągu pisania wypadło mu mówić o sakramentalnej sile, która na niego spłynęła i uczyniła go apostołem, uważał, że cały ten dalszy ustęp trzeba wyodrębnić, i oznaczył go jako: Rozdział II. Utwór ten zapewne miał odczytać przyjacielowi podczas zamierzonego spotkania się z nim na brzegu morza Śródziemnego, ale bardzo prędko przyszedł do przekonania, że o takiem spotkaniu się niema co myśleć, a to wtedy, kiedy Krasiński wydał mu się »duchem upadłym i obłąkanym«. Stąd to można dość szczegółowo oznaczyć datę powstania *Listu Apostolskiego*; nie mógł on być napisany wcześniej, jak około połowy lutego 1846 r., ani później, jak przy końcu kwietnia tegoż roku. Można jeszcze więcej ścieśnić granicę tego czasu, a to przypuszczając, że *List* nie mógł być napisany po nadejściu hiobowych wieści z Galicyi, bo te w przeciwnym razie odbiłyby się w nim jakiemś echem; to jest, że mógł być napisany tylko albo w drugiej połowie lutego, albo w pierwszej połowie marca 1846 r.

Po liście apostolskim nastąpiły dyalogi, których początek i porządek chronologiczny nie da się oznaczyć. Jest jednak pewna podstawa do przypuszczenia, że jeżeli z początkiem roku 1846 nie były już napisane niektóre z dyalogów, to przynajmniej poeta zamyślał wtedy o ich pisaniu. Tak mianowicie można sądzić ze znanego nam ustępu listu Słowackiego do Krasińskiego, gdzie powiedziano, że jeśli »sanktuaryusze«, t. j. Towiańczycy z Koła nie rozpoczną nowej epoki świata, »to Sokratesowym sposobem będzie uczyniona rewolucya powolna«. Czy rozumiał tu Słowacki przez »Sokratesowy sposób« coś więcej jak dyalogową formę jego nauki, trudno dać na to odpowiedź, ale wydaje mi się rzeczą pewną, że stawiąc to wyrażenie, miał w każdym razie dyalogi Platona na myśli i zastosowanie ich formy do szerzenia nowej nauki.

I oto około tego czasu zaczyna sam pisać dyalogi, które nazywa rozmowami, jak o tem świadczy najdrobniejszy z fragmentów, tylko na jednej stronniczce zachowany, gdzie znajdujemy następujący tytuł:

Teraźniejszość
z
Przeszłości
Rozmowa III.

Fragmentów dyalogowych mniejszych i większych można naliczyć do siedmiu lub ośmiu; prócz tego znajdujemy w nich wzmianki o dyalogach, jak się zdaje zaginionych. Do takich należą wspomniane w tak zwanym *Wykładzie nauki:* rozmowa o związku ducha z duchem świata i rozmowa z doktorem [1]).

Dyalogi mają charakter polemiczny, a polemika zwró-

---

[1]) Może do nich należy także rozmowa o celach finalnych, wspomniana w *Wykładzie nauki* (Biegeleisen 174 »z przeszłej rozmowy cele finalne ujrzałeś«), ale może też wzmianka ta stosuje się do której z dwu pierwszych rozmów.

coną jest na dwa fronty: przeciw nauce kościelnej i przeciw mądrości świeckiej. Pierwszej zarzucał martwość, trzymanie się formy, litery, drugiej płytkość, powierzchowność. We fragmencie czteroćwiartkowym, któryby można nazwać rozmową z księdzem, ponieważ ksiądz w niej jest interlokutorem, tak przedstawiał stosunek duchowieństwa do nauki Towiańskiego: »Teraz udajecie, że nie rozumiecie nauki naszej — i udajecie to odrodzenie się wnętrzne, to rodzenie się wiary we wnętrzu ludzkim, za głupstwo i uwierzenie głupich w wizye i w mistycyzm... i zaufanie w prorocze przepowiednie... lecz oto pokazuję wam, że jest to idea na której oparta jest w nas wszelka wiedza... z której łona wychodzi kreacyjna siła, z której wiedza ludzka prościej i piękniej odkwita na nowo... widzicie, że tu nie jest kilka mistycznego świata odkryć — ale całe odkrycie prawdy ewangelicznej, takie jakie musiało po ośmnastu wiekach pracującego czucia i rozumu rozkwitnąć... Widzicie, że to nie pijetyzm, ale wolność obudzonego ducha, rewolucya zaczęta przeciwko wielu duchowym uzurpatorom — grożąca królestwu ducha i ciała nową siłą z ducha mądrości Bożej poczętą. Widzicie, że to nie jest włożenie masek, ale ukazanie serc i twarzy.— Nawracajcie nas nie formą ale sumnieniem.... Bo wielu z was czują już prawdę naszą — a przejście ich na stronę prawdy będzie tylko aktem odwagi sumienia«.

W jaki sposób wiązał Słowacki swoje mistyczne teorye z ewanielią, na czem opierał twierdzenie, że nowa nauka jest tylko »całem odkryciem prawdy ewanielicznej«? Tego we fragmencie cytowanym nie znajdujemy, ale próby takiego uzasadnienia można znaleść w innych, późniejszych dyalogach. Uzasadnienie nie było łatwe, ale Słowackiemu niewiele do uzasadnienia było potrzeba i tak np. jedno niejasne wyrażenie w ewanielii wystarczało mu, jak zobaczymy niżej, aby cały gmach metempsychozy oprzeć na gruncie chrześcijańskim.

Dyalogi swoje Słowacki przerabiał, przelewał ich treść

w formę nową. I tak treść fragmentu rozmowy z księdzem mamy powtórzoną w jednym z fragmentów dyalogowych, wydanych przez Biegeleisena jako *Wykład nauki*, tréść niewydanego fragmentu czteroarkuszowego przeniesioną została do *Listu do Rembowskiego*, wreszcie ułamek poetycki, opiewający dzieje ludzkości w postaciach Heliona i Sofos, a wydany częściowo przez p. Rychtera pod niewłaściwym tytułem *Teogonii* (w jego wspominanem już i dostatecznie scharakteryzowanem wydaniu pośmiertnych rzeczy Słowackiego) jest powtórzeniem drugiej części t. zw. *Wykładu nauki*.

Pod tym tytułem, także niewłaściwym, przynajmniej o tyle, że mógłby równie dobrze służyć i *Listowi do Rembowskiego*, połączył p. Biegeleisen fragmenta dwóch dyalogów zupełnie odrębnych, z których pierwszy należałoby nazwać *Rozmową z Helionem*, drugi *Rozmową z Helionem i Helois*. Tak też je będę w dalszym ciągu nazywał.

Rozmowa z Helionem ma charakter polemiczny. Zadanie jej określa autor, występujący pod nazwą Tłómacza Słowa, w taki sposób: »porównajmy wiarę naszą i widzenie rzeczy cielesnych z wiarą i widzeniami teraźniejszego świata«. Przeciwnicy, z których opiniami toczy się tutaj walka, nie występują osobiście; mówi się tylko o nich i za nich. »Wyobraźmy sobie teraz — powiada Tłómacz Słowa — że przychodzi do nas jeden z tegoczesnych świętoszków Kościoła — człowiek świata, zapalony przeciwko nowemu ducha ruchowi i nauce, którą słyszał gdzieś na kazalnicy potępioną; z tym człowiekiem niby ku pomocy przychodzi doktor, nowej szkoły, systematu Galla zwolennik, wielki przeciwnik magnetyzmu, za doktorem zaś z uśmiechem przedrwiwania na ustach ukazuje się nam postać filozofa — studenta któregoś z niemieckich uniwersytetów... dyalektyka, który wreszcie przyjął objawienie, jako podporę«. I według zarysowanego tu programu pierwsza część dyalogu jest polemiką z wyobrażeniami kościelnemi, druga z wyobrażeniami uczonych przyrodników.

Czy była trzecia część, zawierająca polemikę z dyalektyką współczesnej filozofii niemieckiej? tego nie wiemy. We fragmencie wydanym tej trzeciej polemiki niema, a wielka szkoda, bo ona mogłaby nas lepiej, niż co innego, pouczyć o stosunku Słowackiego do filozofii niemieckiej.

W pierwszej polemice najobszerniej roztrząsane są różnice w poglądach na jałmużnę, na cuda, na znaczenie śmierci i na metempsychozę. Podczas gdy »świętoszkowie« zalecają cichą jałmużnę, Słowacki-Tłómacz Słowa powstaje przeciwko niej otwarcie i wzywa, aby ten, kto chce szpital dla stu biednych postawić a resztę pieniędzy rozdać ubogim, zamiast tej ofiarności zajął się przebudowaniem rządu społeczeństwa w duchu Chrystusowym, a gdyby tego nie mógł dokonać, »to głowę swoją dał, jako wielki buntownik idealista, nie chcący mniejszym, niż ma w duchu, rządu swego widzieć aniołem«, t. j. ażeby postąpił tak, jak jego król Agis.

Co się tyczy cudów, odróżnia on fałszywe od prawdziwych, a odróżnianie nie sprawia mu żadnej trudności, jako temu, na którym najwyższa sakramentalna siła spoczęła. »Prawie na łonie mądrości Chrystusowej półsenny — odpoczywam i bez wytężenia sił znachodzę prawdę, jakoby nie ze mnie wychodziła«... Fałszywe więc są wszystkie cuda materyalne, które nie miłość ku Bogu, ale strach tylko rodzą, prawdziwe są te, które budzą cześć dla sprawiedliwości boskiej. »Zawołaj z grobu człowieka i postaw go przed sądem na świadectwo, abyś wdowę ukrzywdzoną ratował; a ukocha lud Stwórcę za to, że ci dał moc, abyś przez otwarcie mogił, rzeczy ukryte uczynił jawnemi na świecie... Albo też przechodząc około sadu, który otacza ciemne zdrajcy jakiego zamczysko... rozkaż duchowi drzew, a upadnie na kolana — i wyciągnie się za tobą, jak wąż posłuszny z ogrodu... a trupy drzew... ze strasznym szelestem śmierci... w szyby bezsennego zdrajcy załopocą... I krzyknie lud: sprawiedliwy jest Pan, który takiej mocy człowiekowi udziela... że oto przeląkł w duchu zdrajcę«.

Słowacki więc nie tyle w cuda niezależne od woli ludzkiej, ile w cudotwórstwo wierzył i sądził, że tę siłę od Boga wziętą można wzmagać w sobie do takiej potęgi, że »srebrne komety jawić się będą i przylatywać... i pytać niby: czy już bliskie jest zwycięstwo ducha na ziemi?« Takiego cudotwórstwa Słowacki jeszcze sobie nie przypisywał, ale do niego dążył, gdy pisał matce, że gdyby mógł jeszcze silniej uwierzyć w moc swego ducha, toby górę ruszył z posad swoich i palcem wskazującym prowadził aż do morza... »Bo jest siła... ale jeszcze przez wiarę dopiero się rodzi i wydobywa...« [1]).

W uwagach o śmierci właściwie nie powiedział Słowacki nic nowego; oryginalnem jest tylko jej porównanie do firanki, za którą Pan Bóg karze lub nagradza, nie chcąc, aby ludzie wstrzymywali się od złych uczynków tylko z obawy kary a pełnili dobre uczynki tylko w nadziei nagrody. Zato nadzwyczaj godnem uwagi jest to, co Tłómacz Słowa mówi o metempsychozie. Zarzut wiary w przechodzenie dusz był najcięższym pociskiem ze strony księży przeciw towianizmowi. Mickiewicz nawet, jak wiemy, nie znajdował odpowiedzi na ten zarzut. Słowacki nie lęka się wcale przyjąć wyzwania i uznać nietylko metempsychozy, ale i panteizmu za prawdy, które od dawna w duchu ludzkim tkwiły, a choć wyprzedziły naukę Chrystusa, dają się z nią doskonale pogodzić, »gotowe wstać jako poddanki Chrystusa... i pokłonić swoje Indyjskie słoneczne głowy przed słońcem celów ostatecznych«.

Zwrot do natury, co się objawił w poezyi romantycznej, uważa Słowacki za dowód instynktowego uznawania prawd owych. »Cóż było to nagłe umiłowanie natury, przez poetów aż do przesytu głoszone... zaprawdę nie formę kamieni ani pnie i kawałki drzew ukochać powoływała poezya... ale ducha który jest wszędy... a czasem rewelatorstwem wieszcza wywołany — jak błyskawica jawił

---

[1]) Listy II, 251.

się w drzewie... brzozę ukraińską zamieniał nagle w poczciwą wieśniaczkę syna płaczącą... i w jednym oka mgnieniu dawał uczuć rozwidnionej myśli ludzkiej... że ta ogromna zielona muzykantka lasów — jest prawdziwą siostrą młodszą... pełna jakiejś przyszłej ludzkiej postaci — która już w niej jest — a objawi się dopiero po wiekach... Więc gdy rzekł poeta głowa kolumny, toć zaraz i kolumnę ujrzałeś żywą niby... oczyma zapatrzoną na mogiły Maratonu z sercem, które po niej biło, niby serce Greczyna. — Więc włosy palm... więc piersi róż... więc łany wyzłocone żytem, świadczyły o metampsychicznej wiedzy w poecie, która się w natchnieniu objawiała a w powszechnym czuciu duchowym na ziemi echo niby potwierdzenia znalazła... Od Ossyana czasów — ten indyjski element prawdy wiecznej — zaczął rewelatorską siłą działać na duchy Europejskie — w politeizmie zaś słabo tylko dzwoni echem niby dalekim«.

Ale jak pogodzić metempsychozę z wiarą w Chrystusa? Czy można uzasadnienie dla niej znaleść w ewanielii? Tłómacz Słowa nie wątpi, że metempsychoza to »gałązka wiedzy i wiary w krzyż Chrystusa wszczepiona«, że już »nie straszna, bo za ręce jak dziecię przez Chrystusa prowadzona« i że ziarno jej, jakkolwiek »do czasu umyślnie zakryte«, przecież »podwakroć wyraźnie« złożone jest w Ewanielii. Pierwszym ustępem, w którym się owo ziarno ukrywa, mają być słowa ewan. św. Mateusza Rozdz. XVII w. 10—13:

»I pytali go uczniowie mówiąc: Cóż tedy Doktorowie zakonni powiadają, iż Eliasz musi pierwej przyjść (nim Syn Człowieczy zmartwychwstanie).

»A on odpowiadając rzekł im: Eliasz ci przyjdzie i naprawi wszystko.

»Wszakże powiadam wam iż Eliasz już przyszedł, a nie poznali go, ale uczynili z nim, co chcieli. Takci i Syn człowieczy będzie od nich cierpiał.

»Tedy zrozumieli uczniowie, że im o Janie Chrzcicielu powiedział«.

Drugim takim ustępem mają być słowa Chrystusa do uczniów (Ewan. Św. Marka R. X. w. 29. 30) o tem, że każde poświęcenie dla Boga będzie stokrotnie wynagrodzone »teraz za tego czasu«, a »w przyszłym wieku żywotem wiecznym«.

Jeżeli w pierwszym ustępie przy wytężonej chęci znalezienia śladów metempsychozy w ewanielii mógł Słowacki znaleść pewne, bardzo niejasne zresztą dane do wysnucia wniosku, że według słów Chrystusa duch Eliasza przeszedł w ciało św. Jana, to już niepodobna zrozumieć, jakim sposobem dopatrzył ziarna metempsychozy w drugim ustępie. Za komentarz do tego drugiego ustępu użył Listu św. Pawła do Koryntów (R. XV. w. 51. Otóż wam tajemnicę powiadam, że wszyscy zmartwychwstaniemy, ale nie wszyscy przemienieni będziemy), ale zamiast rozjaśnić zagadkę, uczynił ją jeszcze ciemniejszą.

Polemika z doktorem jest o wiele krótszą i mniej rozwiniętą. Tłómacz Słowa uderza naprzód na twierdzenie nauki doktorskiej, że ostatecznym celem, do którego natura dąży, jest konserwacya rodzaju ludzkiego. Naturalnie myśl taka przeczyła zasadom towianizmu i wogóle zasadom wszelkiej teoryi ewolucyjnej. Następnie zaznaczał nieporadność nauki doktorskiej w leczeniu chorób i ułomności ciała ludzkiego, z powodu niezrozumienia, iż każde skrzywienie ciała jest jakiemś dawnem skrzywieniem ducha. »Którekolwiek mi daj ze spostrzeżeń analitycznych doktora — powiada Tłómacz Słowa do Heliona — a ja ci je chorobą ducha w przeszłym żywocie nieuleczoną wytłómaczę...«. I podana jest jako przykład fantastyczna próba wyjaśnienia, dlaczego głuchoniemi przy rozpoczęciu nauki objawiają nadzwyczajne zdolności i nadzwyczajny zapał, a potem w dawną smutną obojętność zapadają. Wszystko to było następstwem ich poprzedniego żywota.

Ponieważ na ciało trzeba oddziaływać przez ducha,

medycyna zatem bardzo ściśle łączy się z nauką o wychowaniu. W tej sferze pogląd poety, że główną i pierwszą podstawą wychowania powinno być poznanie natury dziecka, jegozdolności i skłonności, jakkolwiek oparty na metampsychozie, godził się zupełnie z zasadami zwykłej pedagogii. I temu jednak poglądowi towarzyszyły rozmaite dziwne, fantastyczne objaśnienia.

Co się tyczy *Rozmowy z Helionem i Helois*, to nie można fragmentu tego uważać za dalszą część przedtem omawianego dyalogu, jak to uczynił wydawca, p. Biegeleisen, a to nietylko dlatego, że tu Słowacki rozmawia z dwiema osobami, a nie z jedną, ale i dlatego, że są na początku tego fragmentu rzeczy, któreby były niepotrzebnem powtarzaniem się ze strony Słowackiego, gdyby dwa te fragmenty stanowiły jedną całość.

Jakie miał przed sobą Słowacki zadanie, pisząc tę drugą rozmowę, dowiadujemy się ze słów jego, jako mistrza, zwróconych do ucznia Heliona, który występuje tu jako przedstawiciel całej ludzkości. »Weźmiemy stan dzisiejszy twego ducha za cel, do którego dążyła przeszła praca świata... i rozbierzemy, jak na twoją wiarę składały się wszystkie przeszłe wiary... na twoje ciało i ducha wszelkie przeszłe ciała i duchy... to jest jak wiedza twoja i czucie z wiedzy wieków i z czucia wieków powstało« [1]). Miała to więc być historya ducha ludzkiego, pokazująca go w głównych fazach jego rozwoju. A ponieważ w tej historyi różnica płci ważną odgrywa rolę, więc poeta obok Heliona (nazywanego tu i Elionem), jako przedstawiciela pierwiastku męskiego, stawia »formę siostrzaną lecz słabszą kobiety«, której daje imię Helois i stąd historya ducha ludzkiego ma się zamienić w »romans« o tej parze duchów.

Pierwszym rozdziałem tego romansu jest życie pierwszej pary ludzkiej w raju. Duchy ich po raz pierwszy

---

[1]) Biegeleisen l. c. 175.

oblekały tu uproszone u Boga dla siebie człowieczeństwo. Przedtem duch Eliona żył i doskonalił się w formach roślinnych i źwierzęcych, jako duch koniczyny (t. j. republikańskiej, ale zgodnej natury, jak o tem *Genesis* poucza), jako duch orła i edeńskiego wolnego rumaka; Helois skarby piękności, wdzięku, dobroci i miłości macierzyńskiej zdobyła, kolejno przechodząc formy róży, słowika i łani. Duchy ich dzieci, Kaina i Abla, czekają na formę, którą im mają dać rodzice i tak samo, jak ci ostatni, bezpośrednio z niższej natury wychodzą; ale już po zabiciu Abla pojawia się nad poczynającą się ludzkością pierwszy duch bez organizacyi, t. j. bez ciała, który na drugą szatę ludzką oczekuje. W jego ślady idą potem duchy pierwszych rodziców, Adama i Ewy, czyli Eliona i Helois, i długo błądzą nad światem, zanim się w nową wcielą ludzką formę.

W tych dalszych wcieleniach bohater i bohaterka wszechludzkiego romansu występują z osobna. Eliona nazywa Słowacki Duchem słonecznym, dlatego, że on w późniejszych wcieleniach swoich ma działać na rozwój i postęp ludzkości »więcej z wiedzy niż z czucia«; Helois, która niegdyś była słowikiem śpiewającym, jest duchem miesięcznym, i w działaniu swojem powoduje się przedewszystkiem uczuciem. Naprzód pojawia się duch Heloizy, a pojawia się w rasie indyjskiej, i przychodząc na świat z ciemnem wspomnieniem już przebytego raz żywota ludzkiego, odkrywa młodszym od siebie duchom ludzkim idee n i e ś m i e r t e l n o ś c i i p r z e c h o d z e n i a d u s z, a w dalszym rozwoju tych idei, z tęsknoty za Helionem, z którym niegdyś była połączona, ustanawia prawo, ażeby duchy kobiece »przez ogień i płomienie za mężów duchami ulatywały«. Wiara ta, »piękna lecz straszna«, wymagała poprawy, ludzkość potrzebowała wskazania cnót, któreby ją do Boga zbliżać mogły i oto zjawia się na świecie prawodawca — Mojżesz.

Mojżesz nie jest wcieleniem ducha Heliona, jakby się

można było spodziewać, ale — samego mistrza, t. j. Słowackiego. Helion, dowiedziawszy się od mistrza, że Mojżesz był jednym z później przybyłych duchów, ale przez ofiarowanie miłości ziemskiej zbliżył się wyżej do Boga, mówi: »Mistrzu, zda mi się, że twój Duch był tym rewelatorem cnót i władz moralnych ducha«... i otrzymuje milczące potwierdzenie ze strony mistrza. Ten ostatni korzysta ze sposobności, aby pouczyć Heliona, że hierarchia duchów odmienną jest od hierarchii ciał i w ciągłej z nią zostaje walce, że z tej to walki pochodzą wszystkie wojny, zamięszania i rewolucye i że trwać ona będzie dopóty, dopóki hierarchia ciał, t. j. porządek panujący w świecie widzialnym, nie ułoży się podług hierarchii duchów.

Stąd to i Mojżesz, jakkolwiek najwyższy duch swego czasu, nie pochodzi z rodziny królewskiej panującej w Egipcie, ale jest żebrakiem, siadającym na progu królewskiego pałacu. Jednakże jemu to, nie komu innemu, objawia się Bóg w ogniach palącego się krzaku. A ponieważ Słowackiemu zdawało się, że i jemu Bóg się w ogniu pokazał, więc niewątpliwie w tej analogii trzeba szukać głównego źródła tego, tak pochlebnego rozumienia poety o sobie, jego pomysłu o swojej wspólności duchowej z Mojżeszem.

W czasach, gdy Mojżesz siedzi jako żebrak na progu pałacowym w Egipcie, a potem daje ludziom dziesięcioro przykazań, Helois przebywa trzecie wcielenie swoje, jako jakaś królowa, czy bogini egipska. Wspomnienia z odbytej przed dziesięciu laty podróży do Egiptu nasunęły poecie wiele charakterystycznych obrazów, któremi otoczył tę postać. Jak przedtem w Indyach, tak teraz w Egipcie Helois wymyśla nową wiarę swemu ludowi, wiarę wyższą od tamtej, ponieważ zamiast »owego przejścia dusz bez żadnej w doskonalenie się wiary«, zapala już »zorzę nieśmiertelności« [1]). Jednakże poeta, objaśniając w ten spo-

[1]) Biegeleisen l. c. 192.

sób trzecie wcielenie ducha Heloizy, zapomina, że już wiara indyjska mówiła o nieśmiertelności ducha.

Zostawiwszy na jakiś czas historyę Heloizy na boku, poeta zwraca się do Heliona, aby dalsze wcielenia jego ducha opowiedzieć. Więc w świecie przedchrześcijańskim wchodzi on w ciało Homera i jako taki, który pierwszy stworzył miłość ojczyzny w duchu swoim, staje się »pierwszym rewelatorem ducha Bożego w ludziach« i toruje drogę Sokratesowi, po którym dopiero możliwe było przyjście na świat Chrystusa. Żeby zaś pokazać uczniowi koleje jego ducha w świecie chrześcijańskim, każe mu mistrz opowiedzieć, przez jakie »dziwne zmiany marzeń« przechodził on będąc dzieckiem, ponieważ te marzenia są echem owych kolei. I tutaj to Słowacki wkłada w usta Helionowi swoje własne wspomnienia z dzieciństwa, znane nam z pierwszego rozdziału tej pracy, a z tych marzeń mistrz Heliona wysnuwa jego pohomeryczne żywoty. Więc był on naprzód uciekającym od pokus świata i biczującym ciało pustelnikiem Tebaidy, a te widzenia piekielne, które go tam trapiły, wywoływał duch Heloizy, »przechodzący się w noc miesięczną po ruinach dawnego pałacu, otoczony po królewsku podobnych duchów gromadą«. Potem był krzyżownikiem i walczył przeciwko Turkom, a bohaterstwo jego o tyle wyższe było od bohaterstwa Achillesa, że »na źwierzęcą naturę« nałożył »munsztuk honoru«. Potem się pojawił na świecie, jako artysta, malarz, w końcu jako ten, który »uciął skrzydło uczucia — a drugie skrzydło myśli podniósł do lotu«, to jest jako badacz praw przyrody i wynalazca.

Ale »czucie i wiedza mają być razem do lotu użyte«, a stać się to ma w Polsce, »w tej ogromnej republice... gdzie wokoło wrzały wulkaniczne siły ducha Bożego«, i gdzie duch Boży postawił dwa ogromne sfinksowe posągi przyszłości, przez które musi przejść każdy duch, nim wejdzie do niebios. Cóż to za posągi? »Obiór jednego przez wszystkich i zaprzeczenie wszystkim przez jednego«.

czyli wolna elekcya i *liberum veto*. Dlaczego dwie te formy, uznane powszechnie za główne przyczyny politycznego upadku Polski, mają być niezbędne do zbawienia duchów i dlaczego mają być wytworem współdziałania wiedzy i uczucia, tego nam poeta nie wyjaśnił. Sfinksy pozostały sfinksami, a Słowacki zwrócił się z kolei do Helois, aby malować jej losy naprzód w Skandynawii, »w tej lodowej kuźni narodów«, potem na Litwie. Ale tu właśnie romans jego urywa się.

Obok tej prozą pisanej historyozofii w postaci fantastycznego romansu są dwa urywki wierszowane Słowackiego, które wskazują, że poeta chciał ten sam temat przelać w formę poetycką. Jeden z nich, zapisany na kilku kartach czerwonego pamiętnika poety, a zaczynający się od słów: »Wiesz Panie, iżem zbiegał świat szeroki«, wyprzedził, jak się zdaje, prozaiczną formę, był niejako próbą, czy łatwo będzie temat historyozoficzny ująć w strofy. Próba widocznie się nie powiodła, bo przy samem rozpoczęciu rozmowy z młodzieńcem i dziewicą, którzy, jak się można domyśleć, mieli odgrywać rolę Heliona i Heloizy, poeta urwał, nawet nie dokończywszy strofy. Drugi urywek był najpewniej pisany już po prozaicznej *Rozmowie z Helionem i Heloizą*, był niejako obleczeniem tej *Rozmowy* w szatę poetycką, o czem świadczy wielka zgodność nietylko w ogólnym toku treści, ale i w bardzo wielu szczegółach.

Co się tyczy różnic, to naprzód warto zwrócić uwagę na to, że bohaterka romansu występuje pod imieniem Sofos, bohaterowi obok dawnego imienia Helion, dostaje się także imię Szczęsny. Skąd poszła zmiana w imieniu kobiecem, nie umiem odgadnąć, co się tyczy zmiany imienia męskiego, to niewątpliwie wyraził się w niej serdeczny stosunek z młodym Szczęsnym Felińskim, zawiązany w początkach roku 1848. Do wielkiej serdeczności stosunku przyczynił się zapewne wiele mistyczno-patryotyczny nastrój młodzieńca i stąd łatwość jego poddawania się du-

chowemu kierownictwu Słowackiego, ale wiele też znaczyć musiało i pochodzenie Felińskiego z Wołynia, wspólność znajomości i tradycyi wołyńskich. Już w liście z 22 stycznia t. r. pisał Słowacki do matki: »Był u mnie Feliński, zdaje mi się, godny kochania chłopiec«, we trzy tygodnie potem donosił, że go Feliński co czwartek odwiedza i dodawał: »zdaje mi się, że mnie kocha«, a w półtora miesiąca potem był już »Feluś« dla niego »czystym brylantem i skarbem«, prawdziwie takim, jakiego mu było potrzeba [1]). Otóż w tych to dopiero czasach — tak się domyślać należy — przerabiał Słowacki z prozy na wiersze swój romans historyozoficzny [2]).

Druga różnica, którą chcę wskazać, odnosi się już do treści: jest w wierszowanym poemacie inne niż w prozie pojmowanie metempsychozy. Oto, co w *Rozmowie* mówi mistrz do Heloizy, drugi już żywot cielesny przeżywającej w Indyach. »Nie byłaś ty już tą Oceanidą, pierwszy raz wyszłą z łona morza natury, perłami srebrnemi uwieńczoną bez wiedzy... albowiem cię już od tej fali ruszających się potwór, jeden żywot ludzki rozdzielił, ale słyszałaś jednak cały gwar zwierzęcej natury... i tych form niedawno porzuconych. We śnie jawił ci się czasem smok oczyma iskrzącemi patrzący na twoje piórka słowicze... Wieloryb biegł za tobą i t. d.«... »Dziś od tej natury i od tego piekła źwierzęcej formy tysiączne nas formy ludzkie odgradzają... i ty dziś upadłszy ze stopnia jednego... wyduchowionej i odrodzonej w duchu kobiety znalazłabyś czekającą na ciebie na niższym szczeblu formę zalotnicy, a pod nią formę złodziejki — a pod nią jeszcze jaką straszniejszą fałszu i krwi formę — a ż b y c i ę n a r e s z c i e p a n B ó g n i e g o d n ą l u d z k i e j o s ą d z i ł«...

---

[1]) Listy II, str. 279, 280, 283.

[2]) Poemat, a raczej jego fragmenta doszły do nas w kopii sporządzonej przez Felińskiego, ale opatrzonej własnoręcznemi wskazówkami poety. Kopia znajduje się w Ossolineum Rkps. 1792, Nr. 3.

Pisząc tedy ten ustęp, wierzył Słowacki i kazał wierzyć, że duch ludzki, podobnie jak w indyjskiej metempsychozie, może za karę przechodzić nawet w ciała źwierzęce. Ale gdy o tem samem, t. j. o drugiem wcieleniu ducha bohaterki, mówił w wierszowanej parafrazie historyozoficznego romansu, odmienił już pogląd w tym względzie.

... Już ty jednym Ewianym żywotem
Odgrodzona od morza form ogniem i błotem
Błyskającego... Jednak podziemna kraina
Jeszcze się tobie często we snach przypomina.
. . . .
. . . Bo jeszcze blisko pod kolany
Twemi — ten świat piekielny formy — rozwahany,
Nieustalony — w ciągłej rodzący się męce
Mgłami cię oblatuje — sny jakieś źwierzęce
Nastręcza. — Już cię teraz, byś nie utonęła
W tych morzach — Chrystus trzyma i słoneczne dzieła
Święto Jańskie — gdy zadrżysz — to we mgłach się jawią
Grady złotemi — albo girlandą żórawią
Anioły śpiewające w snach do nieba wiodą.
Dziś wiesz, że między tobą a chłonącą wodą
Tysiąc form ludzkich, niższych — stoi ku obronie.
Już wiesz, że gdybyś spadła — to w zimniejszym łonie
Ludzkim znajdziesz swe piekło —
. . . .
. . . .
Więc gdyby jaka dusza do reszty zepsuta
Chciała koniecznie progi przestąpić ostatnie
A pójść w źwierzęta — toby tu anioły bratnie
Globem trzęsły — a gwiazdyby przyszły z daleka
Bronić — tak wielka, mówię, jest godność człowieka
Umęczonego... Lecz toć nie było wiadomo.

Tak więc w późniejszych wyobrażeniach Słowackiego metempsychoza przybierała łagodniejszy charakter, rogatka, dzieląca świat ludzki od źwierzęcego, przepuszczała duchy tylko w jednym kierunku — postępowym, dla wstecznego była zamkniętą.

Pozostaje nam jeszcze do rozpatrzenia ostatni i najobszerniejszy z utworów filozoficznych Słowackiego: *List do Rembowskiego*. W nim, jak się zdaje i jak to już powiedziałem, chciał poeta zebrać w całość swoje fantastyczne poglądy na świat, w różnych wcześniej pisanych dyalogach rozproszone. Miał to być komentarz do *Genezis z Ducha*, a prócz tego uzupełnienie tej księgi mądrości. Sam Słowacki wskazał, że początkowe ustępy *Listu* powinny »w wyrozumieniu księgę genezyjską uprzedzić«, a więc służyć do jej objaśnienia; to zaś, co potem następuje, »od ostatniej kartki Genezyjskiej budować się będzie, w dalszą świata piramidę aż do celów ostatecznych«.

W tych początkowych ustępach jest naprzód mowa o tem, że fundamentalna prawda nowej wiary, iż wszelka widzialność pochodzi z ducha, który sam sobie formę obiera, i że wszystko istnieje dla ducha, — tkwiła już w przeczuciu pogańskiej starożytności. Za dowód poecie służy myt o Saturnie, przedstawiający tego Boga, jako starca zjadającego dzieci własne. Jakiś poeta starożytny stworzył ten myt w natchnieniu, nie zdając sobie sprawy z jego znaczenia, lud prosty brał dosłownie tę baśń tajemniczą i kłaniał się z przestrachem groźnemu posągowi, który ją wyobrażał, filozofowie zaś pogańscy doszli rozumem do tego, że w mycie, w posągu ukrywa się allegorycznie przedstawiona myśl o potędze czasu, który wszystko niszczy i pochłania. Otóż według naszego filozofa ten myt ma zupełnie inne znaczenie; znaczy on mianowicie, że duch jest ojcem wszelkiej materyi, a ta »chociaż w kamień zamieniona musi być wszakże przez ducha naszego wyświęconą i Bogu duchowi oddaną«, musi być uduchowioną, czyli przez ducha pochłoniętą [1]).

[1]) Nie wiemy, czy znał Słowacki z jakichkolwiek sprawozdań wykłady Schellinga z r. 1842 o mitologii (wydane potem jako *Philosophie der Mythologie*), w każdym razie chcę tu zaznaczyć, że i Schelling w tych wykładach nie godził się na tłómaczenie starożytnych mytu o Kronosie. »Wenn Kronos seine eignen Geburten ver-

Ale w jaki to sposób duch staje się ojcem materyi i twórcą własnych kształtów widzialnych? Poeta w duchu swoim pytał Boga o tę »najstraszniejszą ze wszystkich tajemnic« i Bóg pozwolił mu na pewnem zjawisku materyalnem zrozumieć tę tajemnicę. »Oczy moje utkwione były w ciemność... w kąt izby mojej... gdzie w odblysku słońca jesiennego świecił się krąg pajęczyny, podobny marze i cieniowi wielkiego miesiąca... Środek koła opuszczony przez pająka i pusty był mi punktem i celem niby widzenia« [1]). Otóż w tym środku pustym poeta wyobraził sobie »niewidzialny środek ducha jakiego w stanie spoczynku i nieobjawienia«, a ten duch, zgodnie z pojęciami teologii, jako też i współczesnej filozofii, miał w sobie troistość: był duchem (zapewne czystym, absolutnym), był miłością i był wolą. Poruszenie się i zadrganie sieci pajęczej dało poecie wyobrażenie o tem, jak ten duch »w miłości przez wolę« poruszył się i jak z tej trójcy środkowej z szybkością błyskawicy poczęły się rodzić inne trójce, wyobrażające łańcuch sił przyrody. Więc z pierwszej trójcy siłą woli urodziła się druga trójca — ruchu, z drugiej — trzecia, magnetyzmu, z trzeciej — czwarta, elektryczności, z czwartej — piąta, cieplika, z piątej wreszcie wytrysło światło, »forma złota«, »czysta forma świętości«, ostateczny cel przemian materyi. »I ujrzałem świa-

schlingt, so ist dies nicht in dem Sinn, in welchem die Zeit eben das, was sie hervorgebracht hatte, auch wieder zurücknimmt. Denn Kronos bringt nichts hervor, verschlingt seine Kinder schon in der Geburt, noch ehe sie das Licht erblicken, nicht wie die Zeit, welche ihre Kinder gebiert, existiren lässt und dann wieder verschlingt. Daher ich gelegenheitlich zum voraus bemerken will, dass jenes Verschlingen der eignen Kinder, welches wir später in der griechischen Theogonie antreffen werden, etwas weit Bestimmteres ist, als nur ein zufällig gewählter Ausdruck, um jene allgemeine Eigenschaft der Zeit auszudrücken, dass sie nämlich immerfort gebiert und das Geborene wieder zurücknimmt«. Schellings sämmtliche Werke. Stuttgart und Augsburg 1857 II-te Abtheilung II-er B. 292.

[1]) Biegeleisen l. c. 46.

tło w duchu, niby błyskawicę słoneczną, wychodzącą z owego pustego celu, w którym utopiłem był przed chwilą zamyślone oczy«.

Skoro wszystkie duchy pochodzą z Boga, dlaczego jest zło na świecie? Skoro naturalny porządek przemian prowadzi do światła — świętości, dlaczego tyle grubej, ciemnej materyi na świecie? Przyczyną złego jest lenistwo duchów, które dokonawszy czterech prac i doszedłszy do formy ciepła, zatrzymały się w pochodzie ku światłu. Odnosi się to nie tylko do duchów ludzkich, ale i do ciał niebieskich. »Patrz, oto Anioł globowy leży na przepaściach — jeszcze nie widzialny — ale już w siły piorunowe ubrany — rozcieplony; a w rozciepleniu tem już leniwy i rozmiłowany«. Stąd to pochodzi różnica między ciałami niebieskiemi świecącemi własnem światłem a pożyczanem, stąd hierarchia światów. »Ziemia — czytamy w dyalogu, który był pierwszą redakcyą wykładu, zawartego w *Liście do Rembowskiego* — może być grzesznicą względem słońca — a miesiąc potępieńcem i opóźnicielem duchowym sprawy ducha Bożego na ziemi — podobnie gwiazdy... stałe i przelatujące... cały ten lud srebrny i ognisty, który składa jedno słowo Boże, wolny będąc — pracą się własną poszczeblował — i w hierarchię pewną podług miłości wytrawionej w duchu — a światłem ukazanej w formie — ułożył«. Dla ciał niebieskich i dla ludzi jest jedno prawo duchowe. »Od gwiazd i od nas miłości żąda Stwórca... a duchowa miłości natura wszędy się jedną formą promienistości wyobraża«. I jak ostatecznym celem dla człowieka jest, ażeby przeobraził się w anioła, tak dla ziemi naszej, ażeby się stała słońcem.

Grzech lenistwa prowadzi za sobą karę, w samem ciele zawartą, a tą jest ogień. Jest to antyteza światła. Nie z ducha się on począł, »ale z ciał walki i z gruchotu kamieni wytrysnął: a światło nam do zdobycia przeznaczone, z ducha poczęte, nieszkodliwe, owszem żywiące, przeobraził w furyę niszczycielkę, podobną niby na pierw-

sze wejrzenie do słonecznego anioła; a jednak wręcz temu aniołowi w naturze przeciwną... światło bowiem zachowuje ciało i uwiecznia; ogień zaś trawi i rozkłada... światło z ducha miłości wytryska — ogień zaś z walki sił uderzających na siebie utworzony — ducha w ciałach wyszukuje, rani go, gryzie, umęcza i przerażonego z rozwalonego kościoła wypędza... Z ciała więc wyszedł, a na ducha się obrócił... z lenistwa duchowego wziął początek, a leniwym duchowi być więcej nie pozwala«.

Taki to dramat fantastyczny stworzył Słowacki na tle filozofii natury. Bohaterem jest duch, ów znany nam »wieczny rewolucyonista pod męką ciał«, który w piątej pracy, niby w piątym akcie, wskutek lenistwa upada i zamiast przemienić się w światło, wydobywa z siebie tylko ogień.

Taka była w ważniejszych punktach treść początkowych ustępów *Listu*, które miały służyć do lepszego zrozumienia *Genezis*. Dalsze miały być uzupełnieniem wiedzy zawartej w tej księdze. I tak *Genezis* doprowadziła dzieło stworzenia do ukazania się pierwszego człowieka na świecie, ale nie zastanawiała się nad jego znaczeniem, nad jego różnymi stosunkami. Tem się właśnie zajmuje w dalszym ciągu *List do Rembowskiego*.

Wyjaśnia on naprzód, co znaczy wyrażenie Pisma św., że człowiek stworzony był na obraz boży. Znaczy to, że był stworzony na obraz Chrystusa. Słowackiemu tak utkwiły mocno w pamięci Chrystusowe słowa ewanielii św. Jana: »Boga Ojca nikt nie widział«, że chcąc pogodzić z niemi inne ustępy Biblii, wszędzie, gdzie w nich Bóg ukazywał się ludziom, wszędzie tam widział zjawienie się samego Chrystusa. Widział je np. i »w krzu ognistym na pustyniach egipskich«, i w raju, w rozmowie Boga z Adamem.

Adama więc Chrystus stworzył na podobieństwo swoje, a stworzył dlatego, że długo umęczona i cierpiąca natura globowa błagała o wyższą formę. Pierwsi zatem ludzie posiadali przed upadkiem dary, jakich potem ludzkość

była pozbawioną: »utrzymanie się ciała wnętrznym z ducha stworzonym światła pierwiastkiem... wolność od pracy i boleści; — rozkosz tworzenia, królestwo nad źwierzętami, tę nareszcie niepojętą, złotą i Boską powagę, która oświecała nasze pierwsze w raju rodzice i stawiała je między lwami nagie — bezbronne — lecz nietykalne — blaskiem ciała — i świętością ducha, niby wonią jakąś niebieską owiane i bronione«... Adam i Ewa, to były »dwie formy całemu duchowi ziemskiemu do odkupienia przygotowane, męska forma dla ducha prawdy, słabsza i miększa Ewiana postać duchowi świętej piękności wychodzącemu z piany oceanowej za kształt służyć mająca«, to były »dwie niby bramy otworzone niższemu duchowi globu... a tak uczynione, że przez nie, czysty jedynie duch prawdy i świętości w wyższe sfery wstępować może«.

Potrzeba było objaśnić grzech pierworodny, który ani w *Genezis* ani w romansie historycznym objaśniony nie był, i tu anhellizm Słowackiego, a mianowicie jego pogarda dla chleba powszedniego i dla miłości płciowej miała sposobność wystąpić w całej pełni. Pierwsi rodzice, stworzeni na obraz Chrystusa, byli wyżsi nad inne źwierzęta nie tylko tem, czem dzisiaj ludzie są wyżsi, i nie tylko nieśmiertelnością, ale i tem, że nie potrzebowali pokarmu z zewnątrz, a karmili się światłem wewnętrznem, i że tworzyć mogli podobne do siebie istoty — z o s o b n a. »Obie te formy twórcze są... a każda z nich we własnej jedności Bogiem przepełniona znajduje siłę tworzenia«. Otóż grzech pierworodny polegał na zrzeczeniu się anhellizmu, na zniżeniu się ludzi w tych dwu względach do źwierząt. »Zły duch — wąż rzetelny — zawieszony na drzewie rajskiego ogrodu, przypomniał Ewie myśl piekielną — bo z łona przeszłości własnej, z łona natury genezyjskiej wydobytą. »Patrz, rzekł: oto w dolnych pod tobą krainach duchy tworów w różnej liczbie uderzając na siebie, stają się odtwarzańcami form sobie podobnych... — Spróbuj a zamiast poddanką być Nieśmiertelnego, który

ci twórczości udziela, a który w chwili tworzenia może ci tej siły zaprzeczyć... wezwij mnie na pomoc.. a razem z Duchem Adamowym w moim duchu spłomieniona, znajdziesz moc drugą, zupełnie sile Boskiej podobną... lecz od wyższej potęgi i kaprysu wcale niezależną. Chociaż nie potrzebujesz pokarmu, ciało twoje wszakże podsyć (jak źwierzęta czynią) wonnym i dojrzałym owocem, światło wyrzuć a wprowadź ogień w ciało twoje, a skoro to uczynisz, skoro męża swego ku jadłu nakłonisz: oczyma przelej w niego ognistość duszy miłośnej — gdy zaś w błyskawicy... o ciele jakoby spiorunowanym zapomniawszy, duchami się czystemi uczujecie, wtenczas ja trzeci — duch węża — bezcielesną siłą moją piorunową uderzę i dopełnię Trójcy, która tu na świecie, Boga nie potrzebując — siłę Bożą tworzącą zastąpi — i twórczości globowej berło przy człowieku utrzyma«. Stało się i Ewa usłuchała doradzcy».

W taki pełen poezyi sposób nowy Mojżesz poprawiał dawnego Mojżesza stosownie do swoich usposobień i jabłko wiedzy dobrego i złego zamieniał na jabłko chleba powszedniego i żądzy cielesnej. A obraz, w którym się ów pomysł wcielał, tak żywo stanął w wyobraźni poety, że zapragnął on wyśpiewać to samo w stroficznej, pełnej wdzięku formie. Tak powstał wiersz Słowackiego, wydrukowany w I tomie *Pism pośmiertnych*, (str. 94—95) a zaczynający się od słów: »*Na drzewie zawisł wąż*«. Trzy ostatnie jego strofy brzmią:

»Jeśli masz ognia mało,
To ściągnij oto dłoni
Po owoc tej jabłoni,
Jej duchem podkarm ciało«.

»Ty będziesz świata Panią«!...
Lecz już z jabłkiem od drzewa
Biegła w płomieniach Ewa,
A szatan poszedł za nią.

Oto z ziemią się stało,
Co z gwiazdy trapionemi:
Promienność poszła z ziemi,
A duch węża wziął ciało.

Z tak przedstawionego grzechu pierworodnego Słowacki wyprowadza różne »prawa dla wiedzy«. Jednem z takich praw, godniejszych uwagi, jest, że to, co »filozofia ślepa nazwała instynktem i popędem płciowym«, jest fenomenem czysto duchowym, jest dążeniem duchów do zlania się w twórczości, »która jest niby odzyskaniem Bóstwa na ziemi«, a ponieważ ciało przeszkadza duchom zlać się z sobą, więc z dążenia tego powstaje walka z ciałem. »Stąd ów blask w oczach miłośnika gniewowi wściekłemu podobny, stąd melancholia kochanków i gniew niby przeciwko ciału, które te duchy, ciągle zlać się i w jedności być chcące, rozdziela«. Dalszy wniosek z tak pojętego grzechu prarodziców jest, że małżeństwo, »w niższych globowych sferach ludzkości konieczne«, »dla duchów, które bliskie już się czują Chrystusowej odkupionej natury — jest grzechem i upadkiem« i że czystość jest »prawdziwą ofiarą za ludzkość, przymnożeniem sił twórczych w narodzie«.

Człowiek po grzechu pierworodnym stał się inną, niż był przedtem istotą; duchy ludzkie przeszły »pod prawo formy«, a ponieważ z natury swej mają uczucie nieskończoności w sobie, więc ciasno im w więzach ciała. Otóż to uczucie nieskończoności w duchu, »w sporze z formą jego skończoną — rodzi myśl«, a ta wynajduje sobie drogi »do poczucia się wspólnego z całą duchów braterskich gromadą« i do odzyskania nieskończoności, czyli zmysły. Ale tak jak urodzenie człowieka, wskutek grzechu pierworodnego, nie może się obejść bez trójcy, tak i poczucie się wspólne dwóch duchów potrzebuje pośrednictwa ducha trzeciego. Więc np., jeżeli chodzi o wzrok: »Między tobą widzącym — a widziadłem na które patrzysz — stoi duch światła lub ognia i związek duchów urzetel-

nia«[1]). Tak samo jest i w działaniu innych zmysłów i stąd zmysły nasze są trójcami. Jest to stan upośledzenia, z którego się uwolnimy dopiero wtedy, gdy odzyskamy pierwotną naturę prarodziców, jedność synów Bożych.

Rozdziałki, które bezpośrednio potem następują, a które mają tytuły: *Śmierć*, *Teraźniejszość z przeszłości*, *Historya aż do nas*, powtarzają mniej więcej te same myśli, które już poznaliśmy przy analizie dyalogów. Trzeci z wymienionych rozdziałków, sądząc po jego tytule, miał zadanie streścić w sobie romans historyozoficzny, zawarty w *Rozmowie z Helionem i Heloizą*, ale zadania tego wcale nie spełnił. Słowacki — zamiast historyę doprowadzić »aż do nas« — ledwie ją rozpocząwszy, porzucił, aby od początków rodzaju ludzkiego zwrócić się w stronę przeciwną i »zajrzeć śmiało w cele ostateczne w księgach św. Jana wymalowane«.

Wiemy, że jeszcze od czasów szwajcarskich Słowacki lubił wczytywać się w Biblią, kształcił na jej staropolskim przekładzie swój język, przejmował się dramatycznością jej obrazów, brał ją niekiedy nawet za wyrocznię dla siebie. Po transfiguracyi Biblia nabrała dla niego daleko większego znaczenia, więc też studyował ją inaczej niż przedtem, wyszukując w niej tajemnej zgodności z nowem objawieniem, a najwięcej interesu pod tym względem mógł w nim budzić Nowy Testament i pierwsze rozdziały ksiąg Mojżesza. Ale ze wszystkiego, co Pismo święte zawiera w sobie, najsilniej przemawiała do duszy poety *Apokalipsa*. Swoimi hyperbolicznymi obrazami, pełnymi mistycznej grozy, majestatu i barw olśniewających, do najwyższego stopnia podniecała wyobraźnię poety, poruszała całe jego duchowe jestestwo i na jego twórczości przedzgonnej najgłębsze ze wszystkich wpływów wycisnęła piętno. Szczególne znaczenie miały dla niego ostatnie rozdziały *Apokalipsy*, gdzie jest odmalowane zwycięstwo Chrystusa nad

---

[1]) Biegeleisen l. c. 70.

szatanem i odrodzenie ludzkości w postaci nowego Jeruzalem, zstępującego z nieba; bo tam zawarte były owe »cele ostateczne«, ku którym tak często lubił myśl kierować, które wśród zaprzeczeń, szyderstw lub obojętności świata dla genezyjskiej wiedzy, były dla niego jak dalekie latarnie morskie, wskazujące pewną do portu drogę.

Otóż teraz i uczniowi swemu kazał patrzeć w tamtą stronę i dla jego użytku streszczał ostatnie rozdziały *Apokalipsy*. Ale, rzecz dziwna, wyobraźnia jego, tak zwykle śmiała i potężna, wobec ognistych skrzydeł wyobraźni Objawiciela z Patmos, zdaje się chwiać i blednąć. Jego Jeruzalem Słoneczna wobec tej, jaka się ukazuje w Objawieniu św. Jana, wydaje się kopią dosyć szarą.

Ale ta kopia jest potrzebną, aby pokazać analogię czasów ostatecznych z teraźniejszością i z tej analogii wysnuć naukę i otuchę. I dziś już te siły Antychrystowe, które mają przy końcu świata dojść do najwyższej potęgi, zanim złamane zostaną, i dziś już one rosną i potężnieją, bo oto narody najwyżej dziś znaczenia mające, starają się »dojść do mocy duchowej przez ciało — a od wdzięczności i miłości Bożej uwolnić się chcą, mówiąc: żeśmy potęgi ducha przez rozum dostali«... Otóż przeciwko tym narodom, które budują »Antychrystową Babilońską wieżycę« poeta chce powstać z ojczyzną swoją, która jedna »w sakramentalnej sile Chrystusa« stojąca, mądrością Bożą i świętością ducha bogata, ludzkość do celów ostatecznych poprowadzi.

Słowacki stawał tu zatem zupełnie na stanowisku »*Przedświtu*«, przyjmował jego hasło: »Błogosławcie ojców winie«! zapominając jak w *Księdzu Marku*, a potem w wierszu *Do autora trzech psalmów* przeciwko temu hasłu występował. Zaznaczał też tutaj i to, co w swoich politycznych fantazyach rozwijał szerzej (a o czem później będzie mowa), mianowicie, jak kraj ma być zbudowany i rządzony, aby był obrazem nieba i rządów niebieskich.

Przeciwko tej Antychrystowej wieżycy wiedzy współ-

czesnej, usiłującej dotrzeć rozumem przez ciało do ducha i ujarzmić jego moce, należało ustawić wieżę wiedzy wprost z ducha zaczerpniętej, i właśnie w dalszym ciągu *Listu do Rembowskiego* starał się to Słowacki uczynić, szeregując wszystkie nauki i określając ich zadania ze stanowiska ducha. Więc n. p. fizyka z tego stanowiska rozważana jest »nauką dróg, któremi duch działa na formę«, chemia »nauką pracy ducha w złożeniu ciał«, botanika «nauką pracy ducha, którą odbył w tworach organizowanych na globie (z celem ducha w stworzeniu człowieka)«, historya — «nauką pracy, którą duchy globowe odbyły w formach ludzkich (z celem królestwa Bożego czyli przemienienia ludzkości w przyszłe anielstwo globowe«), sztuki piękne — »nauką pracy ducha w przeczuciu przyszłej formy... (cel jak wyżej)«, itd.

Budowę gmachu powietrznego, któremu pomimo całej jego fantastyczności pięknych linii odmówić nie można, przerywał niekiedy poeta, aby wdać się w polemikę z budowniczymi z przeciwka i natrząsać się z ich ignorancyi. Naprzykład chemia współczesna, «która na 54-ech wynalezionych ciałach niezłożonych stanęła«, jakże daleką była od prawdy, od »syntezy ducha«. Tu pamięć Słowackiego wydobywała z dawnych zapomnianych wspomnień postać wielkiego dziwaka i mistyka, profesora fizyki w liceum krzemienieckiem, Stefana Zienowicza, który powstawał przeciwko wszelkim współczesnym teoryom naukowym, jako błędnym i nie dającym dostatecznego objaśnienia zjawisk fizycznych i chemicznych, chciał fizykę i chemię oprzeć na teologii i w retorcie — jak o nim mówiono — szukał duszy. Przypomniawszy sobie tego człowieka, którego przed dwudziestu laty nieraz spotykać musiał, który już w r. 1826 i 1827 swoje poglądy przedstawiał Śniadeckim, zapałał ku niemu niezmiernem uwielbieniem, ujrzawszy w nim swego współwyznawcę i poprzednika [1]).

[1]) O dziwacznych poglądach Zienowicza i często humorystycz-

»Nieznany, lecz sławy wiecznej kiedyś spodziewać się mogący — Zienowicz — profesor liceum krzemienieckiego... już fizykę i chemię — wyprowadzał — z wszechmocną prawie potęgą wytłómaczenia z pierwiastku sił elektrycznych — był więc już tylko o jeden wyraz daleki od ducha... a pięćdziesiąt cztery razy wyższym nad wszystkich dzisiejszych świata analityków... Tak jak Ko-

---

nym sposobie ich wyrażania może dać wyobrażenie broszurka p. t. *List Stefana Zienowicza, profesora uniwersytetu kijowskiego, do Henryka Hrabiego Rzewuskiego* Wilno 1851. List był odpowiedzią na wezwanie Rzewuskiego, ażeby Zienowicz ogłaszał swoje dzieło, o którem fama oddawna chodziła po świecie. O swem stanowisku, jako profesora, tak pisał Zienowicz na wstępie: »wyuczyłem się na pamięć i zasad tych nauk (fizyki, historyi naturalnej i chemii) i różnych teoryj, nie rozumiejąc ani jednych, ani drugich, im bardziej zgłębić je chciałem, tem mi się ciemniejszemi stawały. Smutny stan nauczyciela, nie pojmować tego, co dla drugich łatwem jest do pojęcia, a smutniejszy uczyć tego drugich, czego sam nie rozumie, tłómaczyłem zatem wszystkie zjawiska przez własności ciał, przez siły fizyczne, chemiczne, organiczne, zmysłowe i umysłowe i przez naturę, a że dotąd niewiadomo, od czego pochodzą własności ciał, od czego siły i co to jest natura, wszystko zatem, czego nie wiedziałem, tłómaczyłem przez to, czego nie rozumiałem, tem ciekawość i uczniów i swoję zaspokajałem«.

O tem, jak traktowano elektryczność, cieplik i siłę żywotną w nauce współczesnej tak pisał (na str. 17): »Raz dla zabawki, zawiązawszy we trzech workach trzy żywe odmienne zwierzęta, wyrzuciłem na ulicę. Worki zaczęły biegać, skakać, padać, kręcić się. Na ten widok mnóstwo zbiegło się ciekawych, a z nich jedni zaczęli uważać obroty worków wirowe, postępne, przyciągania się, odpychania, podnoszenia się, słowem wszystkie fenomena opisali; drudzy zastanawiali się, że to nie może bydź bez przyczyny, musi bydź siła, od której te fenomena pochodzą, jak zaczęli rachować, wyrachowali siłę każdego worka. Inni zbliżywszy się do worków, i dotknąwszy, przekonali się, że w workach jest siła, wszyscy zatem badacze worków, chociaż wiedzieli, że worki są bezwładne, zgodzili się na jedno, że worki mają siły, od których te różne fenomena pochodzą, na tych siłach przestali, a kontenci, że wszystko gruntownie poznali, nie mając ciekawości rozwiązać worków i obaczyć, od jakich zwierząt te siły pochodzą«.

pernik wyższy był ideą prawdziwą od uczeńszych swego wieku astronomów... Pokaże się więc, że nie tylko odkrycie systematu słonecznego i odkrycie Ameryki do Polski należy (sic !) — ale wszelkie rewelacyjne to jest Boskie syntetyczne wiedze z niej wyszły — i przez innych narodów rzemieślnicze rozumowe moce zostały wypracowane«.

Czemże był wobec Stefana Zienowicza taki naprzykład Aleksander Humboldt, którego *Kosmos* ukazał się właśnie w tych czasach (w r. 1845). »Dość spojrzeć jest na nowe dzieło Humboldta, które jest niby obrazem wszystkiego, co wie dzisiejszy świat uczony. — Dość jest tego Światowiedza zapytać się, co jest ogień? co jest cieplik? co jest słońce — co piorun... a z całego dzieła wyskoczy dziesięć *Nie wiem*... z których jedno jest zdolne obalić cały kościół wiedzy« [1]).

Słowacki wszystko wiedział i wszelkie zjawiska fizyczne, wobec których nauka współczesna stała niepewna i wahająca się, umiał objaśnić najdokładniej — po swojemu. Cały też rozdział w *Liście* p. t. »*Dowód, że nauka dzisiejsza niezdolna jest żadnej Syntezy, o duchu nie wiedząc*« poświęcił wykazaniu wyższości swojej wiedzy nad wiedzą uczonych europejskich. Mianowicie wymienił kilka ważniejszych fenomenów z dwóch lat ostatnich (wybuch Hekli, nadzwyczaj lekka zima z 1845 na 46, trzęsienie ziemi w Toskanii w jesieni 1846 i inne) i stwierdziwszy, że nauka nie umiała się na nic więcej zdobyć, jak na obserwacyę tych zjawisk, stwierdził zarazem, że »był człowiek, który wiedział«, co to wszystko znaczy. »I człowiek ten: przez dwa lata patrzył zdziwiony na wiedzę Europejską... i na duch polski, który składa ciągłe ofiary z własnej przyszłości, z własnego narodowego rozumu...« [2]).

List do Rembowskiego nie został, jak wiemy, dokoń-

---

[1]) List do Rembowskiego 83—84.
[2]) Tamże 84—86.

czony. Koniec jego gubi się w luźnych urywkach, między któremi jest jeden, świadczący, że były chwile, w których wiara poety w swoją wszechwiedzę i zdolność wyjaśnienia wszystkiego na świecie słabła. »Aż potąd wziąwszy wiedzę początków, — brzmi ten urywek — umiłowany, odjechałeś mnie, a jam zesmętniał widząc, jak wielka jest budowa, która na tych fundamentach ducha wybudowaną być ma w przyszłości. Nie nam, którzyśmy dopiero co z ciemności wyszli, kusić się o tak wielkie rozświecenie świata — Owszem odwołaj nas Chrystus« [1]).

Końcowe urywki obracają się przeważnie około jednej myśli, bardzo oryginalnej i stąd godnej, aby ją umieścić u szczytu wyłożonej tu filozofii Słowackiego. Tą myślą jest, że człowiek — to mikrokosm, to »glob w skróceniu«; te same siły, co w globie, i w tym samym porządku w nim działają, a układ ciała jego temu porządkowi odpowiada. Więc duch w ruchu, czyli przez miłość budzona wola, »głowę napełnia i przez szyby zmysłów, jak z wierzchołka wieży wygląda«; duch w magnetyzmie to lewe »serdeczne« ramię; duch w elektryczności to prawe ramię, »Jowiszowe, czynne i piorunujące«; duch w ciepliku to serce »rozgrzane i uczuciowe«. Kończy się zaś ta kolumna ducha »grzeszną ognia potęgą — upodloną — i grzechowi ducha na teraz usługującą«. Dążeniem zaś człowieka powinno być, aby »samoistną miłością Bożą — pierwiastkiem światła w sobie złożonym, ogień transfigurować — i formę swoją w wieczną i świecącą przemienić« [2]).

[1]) Tamże 101—102.

[2]) Tamże 93. W swoim notatniku czerwonym Słowacki zapisał (na karcie 45): »Zdaje się, że niezażądanie światła jest pierwszym grzechem ducha zaleniwiającego się w naturze, chcącego nocy, snu, spoczynku, egoizmem indywiduów pierwszych, wyrabiających się z kamieni w rośliny. Jakoż królestwu roślinnemu braknie samoświatła i to przerwanie formy w łańcuchu poszlo przez wszystkie twory. — Lecz czyliż nie ma być odzyskanym w człowieku przez

Tak więc ostatecznym celem wszystkiego, co istnieje na świecie i we wszechświecie, jest przemienić się w światło, które jest formą świętości duchowej i szczytem istnienia. »Światłem, które ma siedm kolorów, jak głosem, który ma siedem tonów, można będzie wydawać uczucie, opiewać, że tak powiem, hymny miłości Bożej — palić się przed Nim tłomacząc ogień ogniami... dochodzić do najwyższego zachwycenia, nieznanego dotąd, wyższego stokroć nad zachwycenie muzykalne«.

Już mówiąc o *Genezis z Ducha* potrącałem pytanie, o ile oryginalną jest filozofia Słowackiego; tutaj po przedstawieniu jej w całości, wypada mi raz jeszcze zwrócić się do tego pytania. Słowacki po swojem przeobrażeniu duchowem studyował rozmaitych filozofów tak współczesnych, jak dawniejszych a nawet starożytnych, śledził z wielkiem zajęciem postęp nauk przyrodniczych, ale nie mamy śladu, aby te studya, które zresztą nie były głęboko w przedmiot wnikające, jakikolwiek wyraźniejszy wpływ wywarły na całokształt jego mistycznej filozofii. Wychodził on z tej zasady, którą zapisał w swoim notatniku czerwonym (na karcie 44), że »filozofia nowa zdobyte natchnieniem prawdy ciągle winna przez rozum obrabiać«, ale nie znaczyło to, żeby miał cokolwiek z treści tych prawd pod wpływem studyów naukowych odrzucać, lub na inne prawdy zamieniać. U współczesnych i dawnych filozofów, zarówno jak w nowszych badaniach przyrodniczych, szukał on tylko tego, co mogło podeprzeć fantastyczny gmach jego filozofii natury, resztę odrzucał bez wahania.

Więc ani dyalog Platona o naturze (Timaios), ani filozofia natury Hegla, ani Morfologia Goethego, ani dzieła Bacona, które Słowacki, jak wiemy, studyował w owych czasach, nie zostawiły śladu na jego filozofii. Przymierzał

---

miłość Bożą i mieć na ostatecznym celu zapalenie i rozpromienienie atmosfery globowej?«.

on to wszystko do swojej z natchnienia zaczerpniętej wiedzy, jakby na to tylko, aby poczuwać jej wyższość nad każdą inną i w niej się umacniać. Niewątpliwie idealizm tak filozofii platońskiej, jak i współczesnej niemieckiej był pokrewnym filozofii Słowackiego, która z ducha wyprowadzała wszystko, ale na tem ogólnem podobieństwie kończyło się pokrewieństwo. Najwięcej zapewne duchem swoim mistyczna wiedza Słowackiego zbliżała się do Nowoplatoników i do Schellinga, który podobnie jak tamci i jak Słowacki, rozum ludzki uważał za niedostateczny do rozwiązywania najwyższych zagadnień bytu i rozwiązania tego szukał w *intellectuelle Anschauung*, odpowiadającej extazie Plotina i natchnieniu Słowackiego; ale i tu zbliżenie było tylko częściowe i przypadkowe; nie mamy śladu, ażeby Słowacki czy to Nowoplatoników, czy Schellinga kiedykolwiek studyował. Tak samo i w zakresie socyologii szedł Słowacki własnemi drogami, które mu własna, poetycka fantazya ukazywała.

O Heglu, widocznie podczas studyowania jego filozofii natury, zapisał w swoim notatniku (k. 44): »Podług Hegla ta sama idea czysta wszędy w swoim innobycie jest pierwiastkiem świata. — Winienby był dodać idea czysta rozwijająca się czyli rosnąca do finalnego celu... wtenczas natura byłaby zrozumiana« [1]). Z Goethego

---

[1]) Porówn. u Hegla: »Die Natur hat sich als die Idee in der Form des Anderseyns ergeben«. Vorlesungen über die Naturphilosophie w wydaniu zbiorowem dzieł Hegla, Berlin 1842, Tom VII, Oddział I, str. 23. We fragmentach Beniowskiego (Pieśń XIII) humorystycznie traktował tę zasadę:

O! jeśli myślicie
Z Heglem, że czysta idea na świecie
Zjawiona, wszędy w swoim innobycie
Żyje: to w całym Ladawy powiecie
Nigdzie w smutniejszym ona wołokicie,
Nigdzie na gorszej nie była dyecie,
Jak w tym człowieku (Beniowskim) itd.

t. j. z jego pojmowania natury wiemy jak natrząsał się w liście do Krasińskiego, pisząc, że »Goethe sam dziwi się z największą powagą, że wąż ma dowcipne oczy, a Bóg jemu nóg odmówił«[1]). A w dzienniczku swoim pod rokiem 1847 (Biegeleisen l. c. 226—227) karcił Goethego za złe pojmowanie szatana[2]).

Że Słowacki, jak świadczą jego notatki, ze szczególnem upodobaniem studyował Bakona, który pozytywnym kierunkiem swojej filozofii tak dyametralnie się różnił od naszego poety, to jest rzeczą dziwną, a da się chyba objaśnić szczególnem umiłowaniem natury w Bakonie a także jasnością i świetnością jego wykładu. To była zapewne ponęta, która ciągnęła autora *Genezis* do angielskiego filozofa. Ale studyując go nie omieszkał protestować przeciwko jego poglądom zasadniczym[3]).

---

[1]) Porówn. ustęp z *Morphologie*, gdzie już jest idea Darwinowska wyrażona: »Das Thier wird durch Umstände zu Umständen gebildet; daher seine innere Volkommenheit und seine Zweckmässigkeit nach aussen«. A potem wąż za przykład podany: «Die Schlange steht in der Organisation weit oben. Sie hat ein entschiedenes Haupt, mit einem volkommenen Hülfsorgan, einer vorn verbundenen untern Kinnlade. Allein ihr Körper ist gleichsam unendlich, und er kann es dasswegen seyn, weil er weder Materie noch Kraft auf Hülfsorgane zu verwenden hat«. Goethes Werke, Stuttgart 1867, XXXII-er B. S. 218—219.

[2]) »Goethe nic nie wiedział — Mefistofel nie jest szatanem — jest to uczony i złośliwie dowcipny niemiec — sam nie wiedząc tajemnic stworzenia drwi z ludzi, którzy także nie wiedzą — w jednem miejscu, gdzie przemienia stół w winnicę jest szatanem, ale scena ta natchniona napisana jest mimo sumiennej wiedzy w poecie. — Goethe nie wierzy, że się taka sztuka stać może podług praw natury nie przez szatana, ale nawet przez człowieka. — Największy fałsz jest we wskrzeszeniu Heleny — wszystko szatanowi dać było potrzeba — wiedzę nadludzką — moc szkodzenia i obłąkiwania, władzę nad sercami, materyalizowanie tłumów — wszystko oprócz siły wskrzeszenia — bo ta jest świętych«.

[3]) Zdaje się, że Słowacki studyował Bakona w języku francuskim, bo wypisy z niego są przeważnie w tym języku. Na karcie 42

Na zakończenie tego rozdziału o filozofii Słowackiego winienem jeszcze zwrócić uwagę na stosunek jej do Saint-Martina. W notatkach Słowackiego nie ma nigdzie wskazówki, żeby on czytał tego mistyka, a jednak trudno przypuścić, aby go nie wzięła ciekawość poszukać utworów pisarza, którego imię Mickiewicz kilkakrotnie z katedry w Collège de France wspominał z wielkiem uszanowaniem.

Tak np. na wykładzie w dniu 3 marca 1843, to jest wtedy, kiedy Słowacki był jeszcze członkiem Koła i stałym słuchaczem Mickiewicza, ten ostatni mówiąc o tem, że podług *Symboliki* Kreutzera, we wszystkich podaniach mytologicznych przebija się jedna myśl ogólna, jedna religia pierwotna, i że to sprawiło wielkie wrażenie w Europie, robił uwagę: »Dawno przed Kreutzerem kilku filozofów mówiło już to samo. Pomiędzy innymi Saint-Martin dowodził, że wszystkie mytologie są tylko powtarzaniem się, pochodzą ze wspólnego źródła. Ale dzieła Saint-Martina nie miały czytelników, nie były dostępne mianowicie dla tej części publiczności, którą możnaby nazwać stanem średnim świata uczonego. Literaci zwyczajni i profesorowie nie wiedzieli nawet, czy był kiedy na świecie ten pisarz głęboki».

Że te słowa zachęciły Słowackiego do poznania Saint-Martina, chce mi się w to wierzyć tem więcej, że właśnie podniesiona w nich myśl o wspólności wszystkich tradycyj religijnych, bardzo wybitne w późniejszych wynurzeniach filozoficznych Słowackiego zajmuje miejsce. A nietylko ta myśl zdaje się świadczyć o wpływie Saint-Martina na Słowackiego. Drugą taką, wyraźniejszą jeszcze

---

notatnika czytamy: »Bakon tłómaczy źle bajkę Theogoniczną o Kupidynie. Il fut le plus ancien des Dieux et par conséquent il précéda tout excepté le Chaos, dont il passait pour le contemporain; Bakon powiada, że Kupidyn c'est la matière même et que rien n'a corrompu la philosophie plus radicalement, que la recherche des parens de Cupidon«.

wskazówką jest myśl francuskiego mistyka, podana w jego *De l'esprit des choses*, że pierwszy człowiek przed swoim upadkiem nie potrzebował żeńskiej połowy do rozradzania się, że do tego starczyła mu kontemplacya boskiego wzoru[1]), myśl bardzo pokrewna tej, którą poznaliśmy w *Liście do Rembowskiego*, gdzie pierwszym rodzicom przypisaną jest zdolność tworzenia z osobna, tylko przez silne poczucie jedności z Bogiem.

Inny ślad bezpośredniego wpływu Saint-Martina na Słowackiego, spostrzegamy w jego cytowanem już w poprzednim rozdziale »Kazaniu o Wniebowstąpieniu«, gdzie duch Chrystusowy, unoszący się nad światem, przedstawiony jest »niby chmura pełna piorunowej siły nad głowy ludzkie zlatująca«, która wyładowuje się dopiero wtedy »gdy się ku jakiemu na wysokości stojącemu człowiekowi przybliży, w którym moc zażądania i zapał ku ogniowi Boskiemu i zgłodniałość niby niczem innem, tylko ogniem Boskim nakarmić się mogącą poczuje«... Podobne myśli i obrazy znajdujemy w jednem z ważniejszych dzieł Saint-Martina, »*Le ministère de l'homme-esprit*«. »Quand l'Homme-Esprit se livre courageusement au travail de sa régénération, et qu'il développe l'activité de facultés qui sont en lui, il semble que, *des divers points de l'horizon spirituel il se rassemble sur sa tête comme autant de vapeurs actives et vivantes* qui viennent établir des sources fécondes et abondantes au-dessus de lui. *Le feu de ces nuages fermente; il éclate:* la source s'entr'ouvre, et il en découle mille ruisseaux de rosée divine qui descendent sur l'homme et qui l'inondent; ces ruisseaux vivifians

[1]) Ad. Franck. La Philosophie mystique en France à la fin de XVIII-e siècle. Saint-Martin et son maitre Martinez Pasqualis, Paris 1866 str. 159. Dzieła Saint-Martina są wielką obecnie rzadkością, trudno je znaleźć nawet w bardzo zasobnych bibliotekach publicznych zagranicą, nie mówiąc już o krajowych; dlatego też z niektóremi tylko miałem możność zaznajomić się bezpośrednio.

s'introduisent en lui et le pénètrent, comme font les pluies matérielles pour les champs terrestres. *C'est le zèle et le désir de l'homme* qui est le premier centre et le premier noyau de ces nuages si salutaires; c'est lui *qui attire et fixe les vapeurs divines et spirituelles qu'il a le pouvoir de convoquer et de mander*, pour ainsi dire, *de toutes les contrées où Dieu agit*, c'est à dire de l'entière universalité des choses« [1]).

Zgodność pomiędzy poglądami Słowackiego a Saint-Martina zachodzi także w pojmowaniu pierwiastku **zła**. Saint-Martin, który za pośrednictwem swego mistrza, portugalskiego żyda Pasqualisa, zostawał pod wpływami żydowskiej filozofii mistycznej, zwanej *Kabałą*, wraz z tą filozofią, nie uznawał przeciwieństwa między pierwiastkiem dobra a zła za niewyrównane i jak podług Kabały Samaël, książę ciemności, utraciwszy połowę imienia swojego, stanie się znowu aniołem światłości i uzyska łaskę Boga [2]), tak i Saint-Martin twierdzi, że »le mal n'est point un principe éternel et essentiel, opposé par sa nature nécessaire au principe du bien, comme l'ont cru les Manichéens« i dodaje: »systême auquel on m'a cru dévoué, tandis que j'en étois adversaire« [3]). Otóż Słowacki, jakkolwiek nigdzie nie wypowiedział tej zasady tak wyraźnie, jak Saint-Martin, dowiódł i w *Samuelu Zborowskim*, w postaci Lucyfera i w *Królu Duchu*, że tej zasadzie hołdował.

Zasada ta zostaje w związku z inną ideą wspólną Kabale, Saint-Martinowi i Słowackiemu — z ideą emanacyi. Duchy, które są twórcami wszelkiej widzialności, nie były — podług *Genezis* — stworzone przez Boga, ale

---

[1]) Le ministère de l'homme — esprit par le philosophe inconnu. A Paris 1802, p. 429—430.

[2]) La Kabbale ou la philosophie réligieuse des Hébreux par Ad. Franck. Paris 1889, str. 286.

[3]) Le ministère de l'homme — esprit str. 278.

tkwiły w Nim od wieków, były więc cząstką Jego i wyszły z Niego, (to jest ze Słowa, które w Nim było), gdy zażądały kształtów. Zło, które następnie powstało na świecie, nie wypłynęło z Boga. ale z tych duchów, z tej ich własności, że obdarzone były wolną wolą i że mogły ją ku różnym, zgodnym lub niezgodnym z myślą Boską celom kierować. Tym sposobem Słowacki ideę emanacyi starał się pogodzić z ideą wolności chrześcijańskiej i w tym względzie także szedł śladem Saint-Martina [1]).

W końcu, co się tyczy poglądu na znaczenie dobrowolnej ofiary, jako jedynie zbawczej zasady, i tu jest widoczna zgodność między Słowackim i Saint-Martinem, który wymagał od człowieka, aby on, naśladując Chrystusa, w całem życiu swojem wcielał ideę poświęcenia, aby stawał się »une victime regulière et sans tache« [2]). Ale jest też i różnica między nimi, która jak to już wyżej zaznaczyłem, nadaje filozofii Słowackiego piętno oryginalności. U Saint-Martina zasada poświęcenia staje się prawem doskonalenia się, prawem rozwoju duchowego dopiero od chwili, kiedy ją Chrystus okazuje światu na krzyżu, u Słowackiego nie tylko wyprzedza ona Chrystusa w dziejach ludzkości, ale i te dzieje wyprzedza i jest odwiecznem prawem, do całej natury od jej początków stosowanem.

---

[1]) Por. Franck — La philosophie mystique en France p. 142.
[2]) Le ministère de l'homme-esprit. p. 296.

ROZDZIAŁ XXIII.

Słowacki polityk.

1846—1848.

Wieści o ruchach powstańczych. — Wrzenie w emigracyi. — Klęska i manifest rewolucyjny. — Stanowisko Słowackiego wobec wypadków 1846. — Broszura Słowackiego *Do księcia A. C.* — Obrona republikanizmu; ideał duchowy Polski. — Odpoczynek letni w Dieppes; Słowacki rozmawia z Bogiem. — Wydanie pierwszego rapsodu *Króla-Ducha.* — Pismo *Do emigracyi· O potrzebie idei.* — Teorya złotej wolności. — Słowacki w Towarzystwie Historyczno-literackiem. — Odczyty Chojeckiego i Hofmanna. — Drugi list do księcia Czartoryskiego; ujęcie się za Mickiewiczem. — Odnowienie stosunków z Goszczyńskim. — Słowacki wśród młodej emigracyi. — Wiersz *Do Ludwika Norwida.* — Założenie Związku Narodowego. — Stosunek Słowackiego do Koła. — Wyjazd Mickiewicza do Rzymu. — Aleksander Niewiarowski przeciw Słowackiemu. — Rewolucya lutowa. — *Głos brata Juliusza* i zawiązanie konfederacyi. — Wyprawa do Poznania. — Słowacki w Wrocławiu; złudzenia i trwogi.

Pod sam koniec lutego 1846 roku zaczęły dobiegać do Paryża wieści o ruchach powstańczych w Polsce, wieści splątane, mętne, przesadne, zapowiadające wielki ruch narodowy na całej przestrzeni dawnej Polski. Wszystkie serca w emigracyi zabiły przyspieszonem tętnem, w przekonaniu, że nadeszła — i to tak niespodziewanie — ta przez piętnaście lat ciężkiego tułactwa oczekiwana chwila powrotu do ojczyzny z bronią w ręku. Ruch się zrobił w paryskiem wychodztwie, jak w mrowisku.

Dziennik Narodowy w kilka dni po nadejściu pierwszych wieści pisał: »Wypadki w Polszcze obudziły w Emigracyi wielką niespokojność i niecierpliwość; w braku ogólnej organizacyi, każdy będąc sobie oddany, chodzi, projektuje, radzi. Jedni radzą wychodzić en masse bez broni i tym sposobem spodziewają się dojść aż do Polski; drudzy uważają za najskuteczniejsze przedzierać się pojedyńczo i t. d. Projektu pierwszego nie dyskutujem, gdyż jest niepodobnym do uskutecznienia; drugi stosować się może tylko do małej liczby. Lecz massa, jak się ona do Polski dostanie? Gdzież są ci co przez lat piętnaście uważali się jej naturalnymi naczelnikami? czemu milczą? czemu nic nie mówią, co w tak ważnych chwilach powinna robić Emigracya? czemu się nie zbiorą i o tem nie poradzą? czy jeszcze i dziś wstrzymuje ich osobistość lub różność opinii«? [1]).

W ten sam dzień, w którym ukazał ów wołający o kierownictwo numer *Dziennika Narodowego*, wołaniu jego stawało się — przynajmniej po części — zadość. Stronnictwo monarchiczne, które wtedy chętnie przybierało nazwę »insurrekcyjno-monarchicznego«, t. j. Towarzystwo Trzeciego Maja wystąpiło z adresem do księcia, w którym składało bezwarunkowe przewodnictwo w jego ręce a w nadziei, że cała emigracya pójdzie za jego przykładem, oświadczało, iż skoro ujrzy naczelnictwo księcia przez emigracyą uznane, »szerzenie teoryi swojej zupełnie jako towarzystwo zawiesi«, co miało znaczyć zapewne, że rozwiąże się jako stronnictwo dynastyczne, ażeby nie zrażać nikogo od zjednoczenia się emigracyi pod wodzą księcia. Na ten adres sędziwy książę odpowiedział w dziękczynnych słowach, przewodnictwo przyjął, obiecywał przynieść krajowi, to czego się po nim spodziewano, t. j. »siłę moralną, kredyt, pożyczkę, broń, posiłki, wszystko co trwałość walki i ostateczne zapewnia zwycięstwo«, a w myśl

[1]) *Dziennik Narodowy* z d. 7 marca 1846. nr. 257, str. 1032.

owej gotowości Towarzystwa Trzeciego Maja do zawieszenia propagandy dynastycznej przypominał, że w tym jednym punkcie między nim a jego stronnikami była zawsze różność zdania; »żem nigdy nie zachęcał ani chwalił rozwijania waszej teoryi w jej zastosowaniu do mnie«[1]).

To przypomnienie, choć spóźnione, było konieczne wobec znanej już w Paryżu odezwy Rządu Narodowego, który się 22 lutego ukonstytuował w Krakowie i wymagał »nieograniczonego posłuszeństwa«, dla siebie. W prawdzie ten rząd dłużej nad tydzień nie cieszył się władzą i od kilku dni już nie istniał, ale o tem w Paryżu nie wiedziano, a odezwa jego, w której były wyrażenia, jakby wzięte z *Grobu Agamemnona* (»Jest nas dwadzieścia milionów, powstańmy razem jak mąż jeden, a potęgi naszej żadna nie przemoże siła«) sprawiały silne wrażenie i zarazem złudzenie, że ci, co tak przemawiają, muszą przecież znacznemi rozporządzać siłami. To też, — jak świadczy *Dziennik Narodowy*[2]) — »po odebraniu wiadomości o utworzeniu się w Krakowie Rządu Narodowego, po odczytaniu jego manifestu, wszyscy bez wyjątku, nie mówim uznali go, ale się oddali bezwłocznie pod jego rozkazy i rozporządzenia, nie zważając ani na jego formę, ani na pochodzenie, ani na zasady«...

Śród powszechnego wrzenia w emigracyi tylko organ centralizacyi demokratycznej zachowywał pełną znaczenia cierpliwość. Centralizacya wiedziała, że powstanie było dziełem jej propagandy a nie życzyła sobie, aby emigracya wobec ruchu powstańczego skupiała się pod czyjąkolwiek inną jak centralizacyi demokratycznej chorągwią. Więc *Demokrata Polski* ostrzegał przed obietnicami środków dyplomatycznych i interwencyi obcej i zapewniał, że ci, co to obiecują emigracyi, »łudzą ją w interesie własnej, osobistej a utraconej pozycyi«. Oświadczał, że dziś jeszcze

---

[1]) Trzeci Maj 1846 z d. 10 marca, str. 252.

[2]) Z dnia 31 marca 1847, nr. 259.

nie wszystko może być objawione, zalecał cierpliwość i spokój, póki chwila jawności nie nadejdzie i dodawał, »że członkowie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego oczekują tej chwili z tą samą ufnością i wiarą, z jaką oczekiwali dziś nastąpionych wypadków« [1]).

»Chwila jawności« nadeszła daleko prędzej, niż się spodziewali demokraci i zupełnie inna, niż się spodziewali. Z Galicyi nadciągnęły Hiobowe wieści: Kraków zajęty przez Rosyan i Austryaków, dyktator, co dwadzieścia milionów pod broń powoływał, w dziewięć dni po manifeście poddaje się z całą armią, nie dochodzącą tysiąca ludzi, i z całą artyleryą z trzech działek złożoną, Prusakom, w Tarnowskiem i Bocheńskiem chłopi, na których barkach centralizacya chciała oprzeć powstanie, przez rząd austryacki z łatwością obróceni przeciw powstańcom i zachęceni do napadów na dwory i do mordowania szlachty.

Zdawałoby się, że takie niepowodzenie dzieła, którego autorstwa nie mogła się wyprzeć centralizacya, powinno było osłabić jej kredyt wśród emigracyi, a samą centralizacyę zmusić do pewnej skruchy. Ale stało się inaczej. Nie można się było wprawdzie szczycić straszną, nie tyle rozmiarami, ile charakterem swoim, klęską, ale można się było szczycić poetycznie i patryotycznie i demokratycznie napisanym manifestem. »Innego manifestu żadna już władza wydać nie może; — pisał *Demokrata Polski* — stanęliśmy o kilka stopni wyżej w historyi narodów«, a klęskę, która za tym manifestem poszła, nazywał »jednym więcej wieńcem«, który »przydaliśmy do historyi nieszczęść naszych« [2]). Niebawem zjawiło się w Paryżu kilku rozbitków z maluczkiej rewolucyi krakowskiej i ci zaświadczyli publicznie drukiem, że zasady, »dla wywalczenia których naród w ostatniem powstaniu za broń chwycił«, były tylko wypływem zasad Tow. Demokrat. i przeto

---

[1]) *Demokrata Polski* z d. 10 marca 1846.

[2]) *Demokrata Polski* z 4 kwietnia 1846, str. 154.

oni, »oddając świadectwo prawdzie, pośpieszają za przybyciem do Francyi złączyć się z Towarzystwem Demokratycznem«.

Stronnictwo grupujące się koło Czartoryskiego, które pod wpływem wieści o rządzie narodowym, »jednym na całą Polskę i samowładnym«, wyrzekło się barwy dynastycznej, aby nic nie stało na przeszkodzie zjednoczeniu się emigracyi pod kierownictwem księcia, bardzo niemile było dotknięte tem oświadczeniem rozbitków rządu narodowego. *Trzeci Maj* w numerze z d. 18 kwietnia 1846 w naczelnym artykule p. t.: »Ex-rząd krakowski« zapytywał »tych panów«, co rozumieją przez zasady ludowe i dodawał, że jeśli przez nie rozumieją najobszerniejszą równość cywilną, zatarcie wszelkiego śladu przywilejów, które były zabytkiem dawnego republikanckiego bezprawia, a dzielą dziś społeczeństwo polskie tylko z woli państw zaborczych, jeżeli wogóle przez zasady ludowe rozumieją zasady cywilizacyi i ludzkości oparte na chrześcijańskiej miłości i braterstwie, to »do rozszerzenia i upowszechnienia tych zasad w Polsce towarzystwo demokratyczne nie przyczyniło się bynajmniej, długo bowiem przed zjawieniem się tego związku zasady te panowały już w kraju; wprawdzie towarzystwo demokratyczne wiele o nich rozprawiało, lubo żadne zasadom tym nie groziło ze strony Polski rzetelne niebezpieczeństwo; ale towarzystwo demokratyczne inny wytknęło sobie cel, to jest *Rząd Wszystkich przez Wszystkich*, słowem wprowadzenie nazad republikanckiej do Polski ustawy«, a to pod pozorem zapewnienia zasadom ludowym, którym nic nie groziło, tem pewniejszej rękojmi.

»Przy tak smutnej rzeczywistości — pisał dalej *Trzeci Maj* — nadymać się i głosić tryumf teoryom i pojęciom, które tak oczywiście pokazały swą nicość i niedołężność, które zmarnowały w krótkim przeciągu czasu to, co Bóg i czas przysposobił, które w całej spuściznie zostawiły rzeź domową w Polsce, jest to summum zarozumiałości

i nierozumu, które się tylko pojąć dadzą przy bardzo młodym wieku i wcale ciasnych głowach«.

»Że panowie improwizowani dygnitarze byłego powstania krakowskiego, weszli na macierzyste łono Towarzystwa Demokratycznego, które ich tak pięknie wyedukowało i wykierowało, to się do pewnego punktu da pojąć, ale na cóż do tego mieszać Naród, na co natrząsać niejako dzisiejszej jego niedoli«.

Trzeci Maj rozmijał się z prawdą, gdy utrzymywał, że Towarzystwo Demokratyczne nie przyczyniło się do rozszerzenia pojęć demokratycznych w kraju, ale miał niewątpliwie zupełną słuszność za sobą, gdy sądził, że chlubienie się manifestem, napisanym przez kilku nieznanych ludzi w imieniu narodu, a także wieńcem męczeńskim, przeważnie przez własną naiwność splecionym, było »summum zarozumiałości i nierozumu«.

Między dwoma głównymi stronnictwami emigracyi wszczęła się zacięta walka o to, które z nich ma stanąć na czele koncentracyi, przez wszystkich uznawanej, wobec ostatnich wypadków, za konieczną. Z obu stron wyszły odezwy, wzywające emigracyą do łączenia się, tu pod wodzą księcia Adama, już nie króla *de facto*, ale naczelnika, tam pod chorągwią centralizacyi demokratycznej, na której — jak głosił *Demokrata Polski* — kraj napisał: *pod tym znakiem zwyciężę.*

I w istocie rozpoczął się ruch koncentracyjny w dwu kierunkach i łamy *Trzeciego Maja* i *Demokraty Polskiego* zaczęły okrywać się nazwiskami ludzi, którzy dotychczas stali poza obrębem jednej i drugiej organizacyi. Z porównania ilości tych podpisów po jednej i po drugiej stronie okazuje się, że Towarzystwo Demokratyczne mimo świeżej katastrofy miało więcej przyciągającej siły, niżeli obóz księcia. Już to samo, że tak zwany komitet narodowy polski, — który stał na czele osobnego odłamu demokracyi emigracyjnej, a którego prezesem był Lelewel, — rozwiązał się w owym czasie i wezwał Zjednoczenie, któ-

remu przewodniczył, do zlania się z Towarzystwem Demokratycznem, już to samo było walnem dla tego ostatniego zwycięstwem.

Taką to walką, takiemi sprawami zajęta była emigracya w pierwszych kilku miesiącach po smutnych wypadkach lutowych. Co w tych czasach porabiał Słowacki? jakie wrażenie wywarły na nim te wypadki? Jakie stanowisko zajął w domowej wojnie emigracyjnej? Na pierwsze dwa pytania nie wiele możemy odpowiedzieć. W korespondencyi jego z matką, głównem źródle biograficznem, przypada na te właśnie czasy więcej niż półroczna luka (od 1 lutego do sierpnia), wywołana stosunkami politycznymi. Słowacki zawiesił korespondencyę z matką widocznie na wskazówkę tej ostatniej, skoro w pierwszym liście po przerwie pisał: »Spokojnie czekałem pory, aż mi pozwolisz, abym ci doniósł o mojem zdrowiu«. I dodawał zaraz: »Ostatni twój list z cebulkami (t. j. z pieniędzmi) nie zawierał żadnego rozkazu, owszem kończył się tak że pomimo najgorętszej chęci pisania musiałem się był zatrzymać; wierz mi jednak, droga moja, że wśród tego wstrzymywanego milczenia często były chwile, iż myśl o twojej niespokojności jak piorun przechodziła przez wszystkie moje nerwy; zastanawiałem się często śród pokoju jak wryty i miotałem głową w rozpaczy, ale cóż było robić? Szczęściem, że to wszystko minęło, że ty zdrowa i spokojna, że mnie kochasz i t. d.« [1]).

Z przytoczonego ustępu, jedynego, który w korespondencyi Słowackiego odnosi się do ówczesnych wypadków politycznych, dowiadujemy się tylko o niepokoju, jaki trapił niekiedy poetę na myśl o matce, nie mającej tak długo wiadomości od syna, ale nie znajdujemy żadnego śladu wrażenia, jakie wieść o rzezi szlachty w Galicyi wywarła na tym, który tak niedawno szydził ze strachu »szlachcica« Krasińskiego przed rzezią. Możemy tylko z innego

[1]) Listy II, 155—156.

ustępu tego listu wnioskować, że po rzezi, która zadała kłam optymistycznym poglądom poety, zawartym w wierszu *Do autora trzech psalmów* i jego urąganiom pod adresem Krasińskiego, Słowacki skazywał ten wiersz na wieczne więzienie w tece. Tak bowiem pisał do matki: »Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni i mam czułe listy od niego; mówię o Zygm... Nigdy nie myślałem go obrażać, ani mu szkodzić«... Te słowa odnosiły się zapewne do obaw matki, że Krasiński jest obrażony na Słowackiego za *Księdza Marka*, ale dla nas są niewątpliwą wskazówką, że przynajmniej w czasie pisania tego listu Słowacki nie miał zamiaru wydobywania kiedykolwiek z teki obrażającego wiersza, bo gdyby miał ten zamiar, nie pisałby tak do matki [1]).

Jakie wrażenie wieść o rzezi galicyjskiej wywarła na Słowackim i co on sądził o niej, można o tem powziąć pewne wyobrażenie tylko z pewnych współczesnych fragmentów prozaicznych poety [2]). W rzezi widzi on tam »niezbożne zaślepienie« i robotę szatańską. »Szatan pracą kilkunastoletnią emigracyi posłużył się jakby wojskiem własnem, demokratami chłopy rozigrał, arystokratami szlachtę podczupurzył, Metternichem, jak swoim biczem, trzasnął«. Uznawał więc, że propaganda centralizacyi demokratycznej, w której obronie walczył z autorem *Trzech Psalmów*, fatalne przyniosła owoce, ale winę główną przypisywał szlachcie. »Dał nam tu na wygnaniu (Bóg) poznać ciężkie winy nasze, iżeśmy, żyjąc w rodzinnej ziemi, nie pełnili jego przykazań. Pragnęliśmy wolności, a sami byliśmy niewolnikami złego. Pragnęliśmy swobody i szczęścia, a w ucisku i nędzy zostawali nasi bracia chłopi. Ci, co jeszcze od Polski odebrali opiekę nad nimi, jako źli

---

[1]) Potwierdza to i ks. Zygm. Szczęsny Feliński w swoich *Pamiętnikach*. Kraków 1897, str. 279.

[2]) Podał je p. Hoesick w trzecim tomie swojej monografii (w przypisku na str. 415 i 416), nie zaznaczając, skąd ich dostał.

ojczymowie nie szanowali sierot, które im matka konając powierzyła. O ciężka dola twoja, nieszczęśliwy rodzie szlachecki, ale i ciężki jest grzech twój. W narodzie licznym, jak gwiazdy na niebie, tyś jaśniał, jako słońce, płomieniami cnoty twojej... Ale ojczymowstwem względem ludu niegodnymi się stali tej łaski. I odwrócił Pan oblicze swoje od nieprawości naszych... Aż w niezbożnem zaślepieniu synowie jednej matki bratobójczymi nożami wylali potoki krwi własnej. Stanęli nad przepaścią. Szlachecki rodzie, u stóp twoich śmierć i piekło, a tam w górze Bóg i Polska. Wyrwij duszę z ziemskich kałów, czyste serce wznieś do Boga... Mierzysz chłopa swym rozumem, a on wyższy jest nad ciebie wiarą swoją... Uszanuj grubą siermięgę, bo to strój przyszłych żołnierzy, co Polskę wywalczą... Ty i lud wiosek twoich niechaj będą, jak rodzina poświęcona prawem Boga. I zdobędziesz serce — sercem, a gdy czyny będą spełnione, chłop ci poda prawicę do budowy wielkiej. I odrodzisz się na ziemi, w bohaterów się przemienisz, wy i chłopi świat zbawicie z Bożej woli«.

Godził się więc Słowacki na hasło Krasińskiego: »z szlachtą polską polski lud«! ale jeśli porównamy przytoczone tu jego słowa z *Psalmem miłości*, to okaże się różnica w pojmowaniu tego hasła. Krasiński spoglądał na związek między szlachtą i ludem, jako na rzecz oddawna istniejącą i która przyniesie pożądane owoce, byle jej tylko demagogowie nie psuli. Słowacki traktował ten związek, jako rzecz przyszłości, jako ideał, oczekujący wcielenia i obowiązek tego wcielenia wkładał na szlachtę. Że tym razem pojmowanie Słowackiego było głębsze, niż autora *Trzech Psalmów*, któremu zbyt różowo przedstawiał się patryarchalny stosunek szlachty do ludu, na to się trudno nie zgodzić.

Człowiek, co w rzezi galicyjskiej widział rękę szatańską, a w propagandzie demokratycznej, tak niedawno i tak ogniście przez siebie bronionej, chwilowe narzędzie tej ręki, nie mógł nie uczuć przygnębienia na wieść o krwa-

wych wypadkach. Ale w swojej teoryi świata znajdował on łatwy sposób otrząśnięcia się z tego przygnębienia Bo cóż znaczy rzeź ciał wobec migracyi dusz? »Drzewo ucięte z większą mocą odrasta — czytamy w jego notatniku czerwonym (k. 54) — duch bowiem drzewa jest pod prawem ofiary i przez ofiarę postępuje, podobnie duch ludzki ofiarowawszy się za ojczyznę większym i piękniejszym wraca«... Kiedy zapisywał tę uwagę, nie wiemy, ale w jego dzienniku z ostatnich lat życia znajdujemy inną, pokrewną uwagę, która ma wyraźną datę 8 listopada 1848, a zatem zapisaną została w chwili ukazania się na horyzoncie literackim *Psalmu żalu* Krasińskiego, i tak wygląda, jakby była wewnętrzną odpowiedzią na jego skargi i wyrzuty wywołane wierszem *Do autora trzech psalmów*. Uwaga ta brzmi:

»Z pod rzezi humańskiej wyszło więcej znakomitych Polaków, którzy teraz działają — niż z liceum Krzemienieckiego«.

Jeżeli w istocie *Psalm żalu* wywołał tę uwagę, to wniosek domyślny, który z niej wypływał, był ten, że i rzeź galicyjska powinna przynieść Polsce podobne zyski, że więc z wyższego sądząc stanowiska rzezi tej nie można za taką uważać klęskę, za jaką ją uważa Krasiński.

Jakie stanowisko zajął Słowacki w walce stronnictw emigracyjnych, która wybuchła po rewolucyi krakowskiej i rzezi galicyjskiej, na to pytanie znajdujemy dosyć wyraźną odpowiedź w małej broszurze, którą wydał podczas tej walki w formie listu *Do księcia A. C.* (Adama Czartoryskiego). Broszurka wyszła w. Paryżu bez daty, ale że wyszła w czerwcu 1846, dowodzi tego list Krasińskiego do Gaszyńskiego z dnia 19 czerwca 1846, gdzie Krasiński pisze: »Odebrałem odezwę do księcia Adama Czartoryskiego, z dziwną dozą Towiańszczyzny i stylem naciąganym, ale nie bez siły i fantazyi napisaną. Jeśli to nie Ju-

liuszowe pióro, to nader podobne do niego, bo naśladujące je z niesłychaną sztuką naśladownictwa« [1]).

List miał za *motto* pewien ustęp ze sławnych listów Juniusa do króla angielskiego. W tym ustępie ukrywający się pod niezbadanym przez wiek cały pseudonimem Sir Filip Francis wzywał króla, aby ten »odłożywszy na bok nędzny formalizm królewski przemawiał do swoich poddanych *with the spirit of a man, and in the language of a gentleman*, i opowiedział im, jak fatalny spotkał go zawód; a to przyznanie się nie przyniesie mu hańby, ale raczej zaszczyt jego rozumowi«. *Motto* było widoczną alluzyą do zawodu, jaki księcia spotykał, tak wtedy, gdy ogół emigracyi nie chciał poprzeć jego dynastycznych dążności, jak i teraz, gdy w nim nie chciał uznać swojego naczelnika.

List był napisany nawpół humorystycznie, nawpół poważnie, z wyrazem uszanowania, jakie Słowacki miał zawsze dla powagi księcia, i sympatyi dla jego osoby, ale zarazem z niezależnością, jakiej wzór znajdował w listach Juniusa. »Szlachetna postać Księcia, wiek Jego, długie cierpienie wygnania i smutek na obliczu spokojnem wyryty... schylają mnie przed Waszej Ks. Mości powagą«. Naród nie może być długo »na te uroki nieczuły« i będzie czynił wyrzuty emigracyi, że stroni od niego, że mu »z ramion swoich nie uczyniła poręczy« do jego »drążkowego krzesła wygnania«. — »A jednak my nie winni. — Czynność W. Ks. Mości ubrała się w formy tak duchowi narodowemu nienawistne, że mimowolnie wszystkie wielkie duchy musiały Księcia opuścić i — w celach swoich albo w pracowniach swoich zamknąwszy się — przemyślają o sprawie narodowej«...

Jednym z tych wielkich duchów, które przez skro-

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego I, 289. W cytowanym ustępie poprawiłem widoczny błąd druku: »odezwę od księcia« zam. »odezwę do księcia«.

mność przyrównał potem do »małych strumyków nową drogę sobie torujących«, był on sam, Słowacki. Zamknięty w swojej pracowni anielstwa i zajęty głównie tłomaczeniem tajemnic świata zwracał wprawdzie uwagę na sprawę narodową, i wierzył, że jedynem jej rozwiązaniem jest, aby się emigracya polska a za nią naród stał objawicielem Alfy i Omegi świata, ale lękał się odezwać z tem do emigracyi i narodu, czując, że nie byłby zrozumiany. Pisząc *Samuela Zborowskiego* miał przed oczami fantazyi jakiś ideał Polski, jako Nowej Jerozolimy, zapowiedzianej przez św. Jana, ale ideał tak mętny, że z niego jedna tylko cecha występowała wyraźnie: *liberum veto*. *Psalmy przyszłości* zelektryzowały go i pobudziły do tego, że w sporze Krasińskiego z centralizacyą demokratyczną stanął po stronie tej ostatniej, jako wcielającej w siebie wieczne prawo ducha, pierwiastek rewolucyjny. Było to pierwsze zstąpienie Słowackiego z wyżyn anielstwa na arenę walki politycznej, był to manifest pełen gromów i błyskawic przeciw konserwatyzmowi polskiemu — ale i ten manifest pozostał w ukryciu.

Teraz, kiedy się rozpoczął ruch koncentracyjny w emigracyi i odnowiła się walka między dwoma głównemi jej stronnictwami, Słowacki zapragnął, jako bezimienny partyzant, wmięszać się do tej walki, i zaznaczyć swoje w niej stanowisko — publicznie.

Co stanowiło główną różnicę między walczącemi o pierwszeństwo w emigracyi stronnictwami? Oba przyznawały się do zasad demokratycznych, bo i Janusz Woronicz, wydawca ówczesny *Trzeciego Maja*, głosił na publicznem posiedzeniu, że »i my monarchiści głośno wyznajemy się być demokratami«, ale kiedy jedno chciało prowadzić demokratyzacyą społeczeństwa powoli budując na podstawach konstytucyi 3 maja i pod ochroną monarchizmu, drugie chciało iść równym krokiem ze społecznemi, rewolucyjnemi dążeniami zachodniej Europy i odrzucało i monarchizm i konstytucyą 3 maja, tę ostatnią jako

zabytek przestarzały i niepotrzebny. Oba się też wzajemnie oskarżały o maskowanie właściwych celów, i podczas, gdy demokraci nie przestawali głosić, że monarchiści mają tylko interes kasty na oku, ci ostatni uderzali na demagogią przewódców demokracyi, a w szczególności na to, że chcą przywrócić dawne republikańskie ustawy, które były przyczyną upadku Polski.

Zgubność republikanizmu w Polsce bardzo obszernie na podstawie historycznej uzasadniał jeden z poważniejszych członków stronnictwa monarchicznego, Stanisław Leonard Gajewski na publicznem posiedzeniu Towarzystwa Trzeciego Maja, w rocznicę konstytucyi tego imienia, i konkludował: »Republika w Polsce jest to bezsilne i bezowocne pasowanie się, nieład, niemoc i śmierć narodu. — Monarchia w Polsce jest to moc, siła, porządek, wojna z najazdem, niepodległość Polski w dawnych granicach, wolność i podniesienie do równości prawa uciśnionej klasy ludu, trwałość i potęga państwa« [1]).

Myślę, że to owe ciosy, które spadały w obozie *Trzeciego Maja* na republikanizm, pobudziły Słowackiego do napisania listu *Do księcia A. C.*, pod którym poeta podpisał się jako »Republikanin z ducha«. Nie podobało się Słowackiemu, że dawny republikanizm polski tak bezwzględnie był potępiony i to na korzyść konstytucyjnej monarchii nowoczesnej, którą uważał za obcy wynalazek i dla której, jak dla całego postępu nowożytnego, nie wprost z ducha, ale z rozumowych badań wypływającego, uczuwał wielką pogardę. Więc postanowił wystąpić w obronie dawnego społecznego ideału Polski, jaki mu się roił w niejasnych kształtach w głowie, gdy go chciał wcielić w postać Samuela Zborowskiego; postanowił bliżej go określić, oprzeć na podstawie swojej wiedzy z ducha i zalecić księciu do przyjęcia zamiast zagranicznych wzorów społecznych.

---

[1]) *Trzeci Maj* 1846, str. 281.

Więc »rasy są to urny nowe dla starych duchów. — Gdy się ciało jakiego narodu zestarzeje i wielkości duchowej nie odpowiada, duchy zaczynają wielką migracyę, szukają domów lepszych, jaśniejszych, lepszymi organami obdarzonych«... »Słowiańska rasa jest jedną z ras późniejszych, na przyszłość przez Boga przygotowanych«. Ta rasa jest najdoskonalszą ze wszystkich na świecie, a w tej rasie pierwsze miejsce zajmują Polacy, którzy są w ten sposób najdoskonalszym narodem na świecie. Dlategoteż nie powinniśmy brać obcych wzorów, a Francuzów »szwędanie się ciągłe za niskimi dociekaniami praw postępu — może być dla nas doskonałą igraszką, ale nie wzorem przyszłości«. Niższość Francuzów objawia się między innemi i w tem, że Francuz »liter nawet niektórych słowiańskich nie wymówi; zda się, że murem chińskim przedzielony od naszej wszystko-mogącej natury«. A tymczasem książę »niby ptasznik na usadce« czeka na ducha narodu polskiego »z konstytucyjną francuską siateczką«, aby go, »z głową nakryć jako szczygiełka i do życia konstytucyjnie klatkowego przymusić«.

Nie, Polska powinna mieć inną formę społeczną, odpowiednią swemu powołaniu, swojej idei, a tą ideą jest złota wolność. »Słowianie są czynnikami wolności duchowej« i już w początkach słowianizmu »Polska pokazuje się jako wielkie słoneczne Wolności morze, a dwie odeń gwiazdy... Nowogród i Psków świecą na północy«. Kiedy systemat wielkich kniaziów moskiewskich zaczął spędzać tę wolność z oblicza ziemi, Nowogrodzianie i Pskowianie wykradli się z ciał niewolniczych i Polakami zostali. »Cząstki więc te wolności duchowej zebrały się siłą niby wzajemnej atrakcyi ściągnięte w jedno — w jeden naród polski — i zbite mocą zejścia wybuchnęły prawdziwie szaloną siłą złotej wolności«.

Na czemże polegała ta złota wolność? w jakie formy

miała się rozwinąć? Tutaj Słowacki miał sposobność okazać, że jakkolwiek stanął jako partyzant do walki przeciw monarchistom, to nie dla tego, aby popierać demokratów, z którymi się w wierszu *Do autora trzech psalmów* zdawał solidaryzować, bo i ich pojęcia społeczne, wyciągnięte z rewolucyi francuskiej, potępił, i wolność i równość zupełnie inaczej niż oni rozumiał. Wolność polska w pierwotnem pojęciu była duchową, a stąd pozbawiona tej obrzydliwości, która na dzisiejsze cielesne komunizmy i purpurowe demokracye upada. Szło tam o rząd, w którymby duch wyższy nie służył niższemu, — nie zaś o postawienie cielesne wszystkich pod jednę miarę podług średniej ludzkiej urody zrobioną, do której niedorosłych żadna ludzka siła nie dociągnie.. a wyższych — chyba ucięciem głów — zrównać i przystosować potrafi. O równości więc cielesnej mowy nawet nie było. Nikt nie myślał wyciągać z za pieca pijanego chłopa i stawiać go w jednej parze z pięknym i szlachetnym rycerzem. Starano się jedynie o wolność jak największą w formach rządu, tak aby rosnący w piękność Duch nie miał żadnej przeszkody«... W ten sposób miała się utworzyć »prawdziwa Hierarchia na świecie podług zasługi mocy duchowej zbudowana... w kryształ ścięta... porządkiem prawdziwym cielesnym objawiająca się: gdzie wszelka Rewolucya ze źwierzęcych samolubnych pasyj musiałaby pochodzić... a wszelki Rząd z miłosnego ducha i porządku wypływać. Taki był ideał duchowy Republiki, do którego Polska — pobrawszy wszystkie słowianizmu wolnego cząstki — dążyła«.

Jeżeli ten ideał nie został osiągnięty, to — jak nam pozwala domyślać się poeta — wina tu spada na rząd polski, który nie miał w sobie dość miłosnego ducha, stawiał tamy bezgranicznemu indywidualizmowi, i nie pozwolił róść w piękność bez żadnej przeszkody takim duchom, jak n. p. Samuel Zborowski.

Taką to utopię zalecał Słowacki księciu, odwracając go od monarchizmu konstytucyjnego. Broszurę i w obozie Trzeciego Maja i w obozie demokratycznym musiano uznać za niedorzeczne dziwactwo, bo ani *Trzeci Maj*, ani *Demokrata Polski* nie wspomniał nawet o niej.

W parę miesięcy po wydaniu broszury Słowacki wybrał się na zwyczajny letni odpoczynek nad morze. Czuł się zmęczonym upałami i słońcem, a także »ciągłą tęczą kolorów, które biły na niego od atłasów i axamitów«. Pani Bobrowa wydawała starszą córkę za mąż, Słowacki znowu bywał u niej często — naturalnie nie w dawnej roli aspiranta do jej miłości, ale w roli ducha opiekuńczego — i przypatrywał się przez cały miesiąc, jak przygotowywano dla panny młodej wyprawę. »Przewracanie się jak w piecu wulkanicznym różnych jaskrawych i drogich rzeczy — pisał do matki — oszołomiło mię nadzwyczajnie; chcąc, orzeźwić się, pojechałem nad morze«.

Tym razem wybrał na odpoczynek letni miasteczko Dièppes, i tu w kilka dni po przyjeździe otrzymał list od matki, który go bardzo ucieszył, bo zdawało mu się, że znajduje w tym liście nachylanie się matki do jego wyobrażeń mistycznych, z któremi przedtem ona pogodzić się nie mogła. »Serce moje wiele czuje teraz dla ciebie, z tego powodu, że w ostatnim liście zdjęłaś z mego natchnienia to niby zaprzeczenie, któreś była na nim listami twemi położyła«. I skarżył się na dawniejsze listy: »Odjęłaś mi wiele wiary, rzetelnie wiele mi sił było zabrakło... O! wróć mi, droga, całego ducha twego pomoc, całą miłośną siłą przez Boga we mnie uderzaj, wystaw sobie, że ja okręt jestem i twojemi westchnieniami płynę... nie dziw się porównaniu, patrzę na morze z okien moich... jestem w małej mieścinie«.

W tej mieścinie kąpielowej znalazł jednego tylko znajomego, Franciszka Szemiotha i tam to, w dzień swoich imienin, 23 sierpnia, napisał do niego wierszyk, mistyczną

barwą powleczony [1]). I ten znajomy niebawem odjechał, ale Słowackiemu nie było nudno w samotności, do której przywykł, którą umiał zapełnić mistycznemi marzeniami, zwłaszcza, że czas piękny pozwalał na kontemplacyę przyrody. »Na tych skałach, gdzie żony tak często z rodzinami siadają, wyglądając mężów i ojców, którzy zwyczajnie na połów sztokfiszu wyjeżdżają i większą część roku bawią, ja często siadam nocą i w Bogu utonąwszy, dziwne robię zaklęcia, dziwną pracę odbywam... pracę nad sobą samym, nad własną moją ubogą naturą, nad tym duchem, który nad światem cierpi, a pomódz mu jeszcze nie może... Wczoraj gdym sobie w rozmowie z Bogiem dopomagał wspominaniem Mojżeszowej wielkiej, rozkazującej modlitwy, z jednej strony kawał smętnego miesiąca świecił jakby jeden ze świeczników zakonu, a z drugiej strony ciągle się błyskało jak na Synaju« [2])...

Czytając te słowa, przypominamy sobie *Rozmowę z Helionem i Heloizą*, gdzie Tłómacz Słowa, t. j. sam Słowacki występuje, jako nowe wcielenie ducha Mojżeszowego, i gotowi jesteśmy wierzyć, że i teraz poecie siedzącemu na skale i rozmawiającemu z Bogiem zdawało się, że jest nowym Mojżeszem, któremu, jak i dawnemu, Bóg pokazał się w ogniu, ale który nie czuł tej siły, co dawny, i dlatego dziwne robił zaklęcia i pracował nad sobą, aby tę siłę wydobyć z siebie.

Praca nie była daremną, poeta w istocie wydobył z siebie siłę cudotwórczą, tylko innego rodzaju, niż była Mojżeszowa. Wyobraźnia jego, przez długi czas mistycznymi karmiona wyobrażeniami, ale wahająca się, niepewna, nie znajdująca odpowiedniego dla siebie tematu i dlatego niezadowolona ze swej twórczości, wyrwała się nagle na przestwór bezgraniczny i zaczęła cuda tworzyć:

---

[1]) Tekst drukowany w wydaniu *Pism pośmiertnych* T. I. różni się nieco od brulionu, który się zachował w czerwonym notatniku poety.

[2]) Listy II, 257.

Słowacki zaczął pisać *Króla Ducha* i już pod koniec roku 1846 przygotowywał rapsod pierwszy do wydania. W poczúciu twórczej radości, przeplatanej chwilami niemocy, pisał o tem do matki , dla ostrożności poezyę nazywając malarstwem. »Bóg mię uciska, albo takiemi radościami napełnia, których innym, we wnętrzu ducha nieporuszonym, udzielić nie mogę. Pracuję, myślę, przygotowuję moje obrazy na expozycyę. Malarstwo mię zatrudnia chciałbym w tych płótnach światło wyrazić więcej, niż kolorowość natury, światło, z którym w oczach Rafael zaczynał. Czemuż ty, droga, być ze mną i we mnie nie możesz.... Czemuż to, co ja widzę, jest ci jeszcze zupełnie obce i za granicami pięknych i szlachetnych myśli twoich«? A jak wielką wagę przywiązywał do tej pracy poetyckiej, świadczą o tem dalsze słowa listu: »Nigdy może tak trudno nie było na świecie duchowi ludzkiemu jak teraz, nigdy mu Bóg tak wielkich celów nie pokazał, nigdy taką niemocą nie cisnął«[1]). Prosił też matki, aby go wspierała zdaleka swoją miłością i ufnością

Wkrótcę po wydaniu pierwszego rapsodu, w początkach roku 1847, myśl poety zwróciła się znowu do polityki. Widząc, że jego list *Do księcia A. C.* pogrzebany został w niepamięci, postanowił on wystąpić z drugiem pismem, w którem ta sama myśl co w liście, tylko w innej formie, miała być przedstawioną. Zwracał się tutaj już nie do księcia, ale do całej emigracyi i nie przeplatał już swoich utopijnych pomysłów humorystyką, ale ton poważny zachowywał od początku do końca.

Broszura miała tytuł: *Do emigracyi. O potrzebie idei.* Dwa są tylko narody, podług Słowackiego, które mają ideę i podług niej żyją: Anglicy i Rosyanie. Idea pierwszych streszcza się w słowach: chcę panować na morzu, idea drugich: chcę panować na ziemi. Inne narody europejskie nie mają idei, tylko ideały t. j. wzory

---

[1]) List z 14 grudnia 1846. Listy II, 261.

ludzi, ku którym się duchem podnoszą. Takim ideałem dla Francuzów był Napoleon, dla Niemców jest dziś jeszcze (t. j. w czasach Słowackiego) Markiz de Poza. Dzisiejszym ideałem Polski, która o swojej dawnej misyi zapomniała, jest kolorowy ułan, »który w obozie arystokratycznym za myślą porządku, w demokracyi zaś głośno za równością cielesną obstaje«. Ale ten ideał zuchawojaka, dobry dla popisowej młodzieży, nie wystarcza dla całego narodu. Potrzeba więc nad tym ideałem postawić wyższą ideę prawdziwą, którejby cały naród mógł służyć, jak służą Anglicy i Rosyanie swojej idei, i rozwijać w ten sposób swoje siły.

Cóż ma być tą ideą? Gdzie jej szukać! »Wy, którzy w kontrakcie społecznym albo w jezuityzmie albo w konstytucyjnych machinacyach szukacie sił naszych, dlaczegóż nie pomyśleliście o wyjęciu z dusz waszych dawnej polskiej idei, która była zbudowaniem kraju na wolności ducha ludzkiego, z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń. A więc tą ideą przewodniczką jest zalecana już w liście *Do księcia A. C.* »złota wolność«, uzupełniona tylko swoim najjaskrawszym kwiatem — jakiem było *liberum veto*. Ona to ma nadać Polakom wyższość nad wszystkiemi zasadami, uczynić z Polski »wysokość między wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody«.

Jakiż jednak mały warunek potrzebny jest do tego, aby jednomyślność dążeń, która z prawa *veto* wypływa, mogła być możliwą, a samo to prawo stało się błogosławieństwem? Poeta ledwie o tem wspomina, i z zamkniętemi oczami przeskakuje przepaść, dzielącą jego marzycielskie światy od rzeczywistości. »*Veto* także od anioła iść powinno jako *veto* ducha; a gdy od ciała idzie, szataństwem jest i ziemi ohydą«. A więc chodzi o to tylko ażeby wszyscy Polacy byli aniołami, bo przecież każdemu z nich powinno przysługiwać *veto*. I Słowacki wierzył, że

taki stan anielstwa był kiedyś w Polsce, i wtedy jednomyślność z ducha nie była niepodobieństwem, a świętość i wola jednego obywatela uszanowaną była przez wszystkich, dopóki jadło, kielich i pieniądz nie zaczęły jednomyslności i głosu ludzkiego kupować«. Nie zastanawiał się też i nad tem, że gdzie wszyscy są aniołami, *veto* musi być zupełnym zbytkiem.

Następował zwrot do emigracyi. Emigracya powinna być »jako olbrzymie *veto* z ducha położone«, »jako wielki duchowy anioł-zaprzeczyciel« i powinna ideą tą (naturalnie ideą złotej wolności i *liberum veto*) podbijać duchy narodów, »aż ją ukochają dla wielkości i anielstwa jej celów«. Ale jestże ona taką? »Oto już opinia jest, że myśleć nie umiesz a dobra tylko jesteś do korda, jak gdybyś ty nie wzięła testamentu żadnego po ojcach twoich i nie wiedziała o żadnym ducha polskiego rozkazie!«.

Broszura kończyła się przypowieścią, w której odźwierciedliło się wyobrażenie poety o swojej roli zbawczej wśród daremnych usiłowań politycznych narodu. W Warszawie za Wisłą ukazuje się widmo dawno niewidzianej, ojczyzny. Lud cały rzuca się ku niej, ale nie ma mostów, którędy by ją sprowadzić, a nikt nie umie pływać. Więc daremne wszelkie usiłowania, ażeby się dostać do niej, widmo zaś po kilku godzinach czekania znika. Powszechny smutek zapanował, ale pocieszano się nadzieją, że widmo to znów się pojawi po drugiej stronie rzeki i głośno krzyczano do niego: pokaż się. Tylko jeden człowiek nie krzyczał i nawet głośno naganiał bezsilne krzyki i wołania, »a sam co ranek, rozebrawszy się do naga, biodra swoje przepasywał i rzucając się do wody, mordował się z Wisły falami... aż mu pierś ową pracą rozrosła się, a oddech posilniał tak, że nietylko na wodzie, ale pod wodą mógł zostawać całe godziny«. Pewnego razu dał się słyszeć głos jakby zpod ziemi wychodzący: »Ojczyzną waszą jestem! znów przychodzę«. Ale nikt nie wiedział, skąd ten głos pochodzi i jak dostać się do tej

ojczyzny, wołającej a niewidzialnej, nikt, oprócz jednego tego człowieka, co się nauczył pod wodą oddychać. On jeden domyślił się, że ojczyzna idzie od Krakowa ku Gdańskowi dnem rzeki i w stosownej chwili rzucił się do wody, aby stamtąd wydobyć ojczyznę, a choć omdlał, poznawszy, że sam nie zdoła jej na brzeg wyciągnąć, jednak swoją wolą i miłością i poznaniem jej drogi uratował ją.

Z przypowieści wypływała nauka, że zbawienie ojczyzny tkwi w Alfie i Omedze świata, że dla uratowania jej trzeba całemi godzinami przebywać »w głębiach wiedzy bożej«, jak to czynił sam poeta, który z tych głębin właśnie wyniósł prawdziwą ideę Polski.

Ta broszura pokryta została z początku milczeniem pism emigracyjnych, ale Słowacki postarał się o to, aby o niej zaczęto mówić i nią się zajmować. Był on oddawna, jeszcze od r. 1839, członkiem Towarzystwa historyczno-literackiego, które właśnie w tym czasie, w początkach 1847 roku, usiłowało rozbudzić w sobie większe życie za pomocą urządzania publicznych sesyi i radziło o tem w szeregu posiedzeń. Na jedno z nich, 25 marca 1847 r., przybył Słowacki i zabrawszy głos »oświadczył na wstępie, że Ewangelia o bogatym połowie jest powodem przybycia jego na zebranie; że mniemał zastać na niem pierwszego rybaka, Adama Mickiewicza, i być mu tylko do pomocy. Lecz, ponieważ go nie ma, więc sam przedstawi swe myśli. Uważa, iż przez zaprowadzenie otwartych posiedzeń, żadna większa zachęta w pracach osiągniętą być nie może. Ponieważ jawność nic dodać nie może Towarzystwu, więc powinno w swojej wewnętrznej organizacyi szukać środka podniesienia prac i nadania im życia. Takim środkiem byłoby wystawienie przez Towarzystwo jakiejś myśli, Idei«[1]).

[1]) L. Gadon. Z życia Polaków we Francyi (Paryż 1883 str. 50—51) na podstawie protokołów Tow. Hist. - Liter.

Tym sposobem Słowacki zwrócił uwagę intelligencyi polskiej, gromadzącej się w Towarz. hist.-literackiem, na swoją świeżo wydaną broszurę, równie jak *List do księcia A. C.* bezimienną, i wywołał dyskusyę, która — jak się dowiadujemy z cytowanego źródła — odnawiała się i na kilku dalszych posiedzeniach. Czy dyskusya toczyła się tylko nad ideą zawartą w broszurze Słowackiego, czy w ogóle nad tem, jakiej idei wyrazem ma się stać Towarzystwo, tego nie wiemy, ale to wiemy, że idea Słowackiego przemówiła do przekonania jednego z najmłodszych, jeżeli nie najmłodszego członka Towarzystwa, którym był Edmund Chojecki. Młody ten literat warszawski, ledwie 25 lat wtedy liczący, przybył do Paryża jeszcze w 1844 roku, ale dopiero w r. 1847 został członkiem Towarzystwa hist.-lit., w półroku zaś po owej wywołanej przez Słowackiego dyskusyi (7 października) wystąpił w Towarzystwie z odczytem p. t. *Rzecz o potrzebie idei*. Otóż odczyt ten, o ile go znamy ze sprawozdania w *Trzecim Maju* [1]) napisany był widocznie w duchu i pod wpływem broszury Słowackiego. Chojecki n. p. utrzymywał, że *liberum veto* »było czemś takiem w idei polskiej, bez czego Polski niepodobna kochać«, i uderzał na »przeklęty materyalizm i wymyślone przez ludzi formy, będące tylko przeszkodą w rozwijaniu się ducha, w swobodnem spełnianiu posłannictwa«.

Trzeci Maj streszczając te poglądy, dodawał od siebie uwagi. »Polska o materyalizm i o formy niedbała i niedba; co stąd ma? widzimy. Duch, który nie dba o ciało, jest albo nikczemnym albo szalonym. Wartość ciała, wartość formy sam Bóg przez Chrystusa okazał. Spirytualiści gubią się w pojęciach; sami nie wiedzą, co mówią. Nie Polsce ducha, ale duchowi polskiemu braknie materyi, braknie formy«.

Ale monarchiści nie poprzestali na tej odprawie da-

---

[1]) *Trzeci Maj* z dnia 12 października 1847, str. 41.

nej uwielbieniu *liberum veto*. W miesiąc po odczycie Chojeckiego, 4 listopada, wystąpił w Towarzystwie z odczytem na temat tej idei jeden z wybitniejszych publicystów emigracyjnych, Karol Hofmann. *Trzeci Maj* [1]) tak pisał o tem: »Pan Hofmann odczytał wyborną rozprawkę o *liberum veto*. Pokazał nieprawidłowość mniemania, jakoby idea jednomyślności była samorodną i wyłączną polską. Przywiódł kilka innych krajów, gdzie system jednomyślności był w życiu. Co zaś byłoby własnością szczególną Polski, coby ją było uchowało od upadku, to system większości, który główną i prawdziwą reformę stanowi w Konstytucyi 3-go Maja, a który omal że przez Jana Zamojskiego nie został wprowadzonym«. Była więc rozprawka Hofmanna wymierzona wprost przeciw idei Słowackiego. Ten, obecny na owem posiedzeniu, zabrał głos po odczycie a z przemówienia jego *Trzeci Maj* takie dał sprawozdanie. »Pan Juliusz Słowacki przydał (do pracy Hofmanna) kwiatek humorystyczny nie bez wartości. Jakoby w odwet za wykazanie niesamorodztwa polskiej idei *liberum veto*, autor *Beniowskiego* wywodził od Homera pomysł monarchii konstytucyjnej. Ujrzał ją w utworze Olimpu. Przymierzył Ludwika Filipa do Jowisza, panów i deputowanych do bogów, wyborców — do półbogów, Thiersa — do Wulkanu; i pokazał, że posiada tę śmiałą zdolność porównywania, którą Niemcy zowią *Witz*, a którą nazwaćby po polsku można igraszką dowcipu. W istocie był skutek dowcipu — był śmiech. Pomimo wszakże rozśmieszenia nas, poważnieśmy osądzili uwagi mistyka-humorysty i wzięliśmy je za jeden więcej dowód, że pan Słowacki gubi się w obłokach pomysłów i przyjść nie może do ostatecznego, zrozumiałego wypowiedzenia się, czego chce. Nam się zdaje, że on nie jest przyjacielem własnej zdolności, która jako dżdżu kania, pragnie

[1]) Z dnia 6 listopada 1847.

prostoty i rzeczywistości. Cokolwiekbądź, posiedzenie 4 listopada było zajmującem i korzystnem!« [1]).

To, co sprawozdawca *Trzeciego Maja* traktował, jako humorystykę, Słowacki podawał jako rzecz poważną. Za dowód służy drugi list poety do księcia, pisany mniej więcej w tych czasach, ale niedawno dopiero wydany [2]), gdzie te same pomysły podane są na wstępie z zupełną wiarą poety w ich prawdziwość. Założeniem bowiem tego listu było, »że jako Grecy przez Rzym podbici, szukali napróżno obudzić ducha narodowego — i wolności przez oręż i polityczne wybiegi —... a tego nie widzieli — że idea przyszłości i forma duchowi greckiemu przygotowana — w księgach Homera, codziennie odczytywanych, na dnie leżała, podobnie my, nie zastanawiając się nad duchem narodu naszego, a na francuski raj konstytucyjny zapatrzeni, spływamy pokoleniami, z rzeką czasu, w otchłanie niepamięci... bezczynni, uciemiężeni, i ludom bolesnym żadną nie będąc pomocą«.

Ten drugi list jest jakby uzupełnieniem i rozwinięciem treści pierwszego, a także broszury *O potrzebie idei*. Zbawienie Polski nie w regimencie ułanów, nie w księdze konstytucyi, ale w znanej nam już idei złotej wolności, do której dodaje poeta, jako czysto-polską i zbawczą, ideę konfederacyi, zapominając, a może nie wiedząc, że konfederacya była zaprzeczeniem *liberum veto*.

---

[1]) Nazajutrz po owem posiedzeniu Słowacki zapisał w dzienniku swoim taką uwagę: »W usiłowaniach ludów do postawienia rządu na jednomyślności upadek Polski tyle może znaczyć, ile np. spalenie się wagonów na drodze Wersalskiej, gdyby go chcieć użyć przeciwko drogom żelaznym (nieśmiertelni jesteśmy!«). Biegeleisen 231.

[2]) Wydałem go w Pamiętniku literackim 1902 IV, 640—654. List, jak z treści jego wynika, pisany był prawdopodobnie już po 29 listopada i po wydaleniu Bakunina z Francyi za mowę, mianą na polskim obchodzie rocznicy listopadowego powstania. Porówn. Wł. Mickiewicz (Żywot III, 477).

Ale co w tym liście zwraca na siebie szczególną uwagę, to stosunek współczesny Słowackiego do Mickiewicza, jak się on tam odźwierciedlił. Mickiewicz od trzech lat już nie wykładał w *Collège de France*, miejsce jego zajmował Francuz, Cypryan Robert i o powrocie Mickiewicza na katedrę ani mowy nie było. Zmienił się też stosunek Mickiewicza do Towiańskiego i Koła; różnica w poglądach pomiędzy mistrzem a zastępcą jego na realizacyą doprowadziła do rozdziału Koła na dwie grupy, z których jedna (około 20), złożona z tych, co bezwzględnie ufali Mickiewiczowi i jego wyłącznie mieli za przewodnika duchowego, w bardzo luźnym związku zostawała z Towiańskim, właściwie była od niego teraz niezależną[1]). W emigracyi, poza Towiańczykami, był Mickiewicz jakby pogrzebany: nie mówiono o nim, nie zwracano się do niego, nie liczono na niego. Pod wpływem tych to stosunków dawna niechęć Słowackiego do Mickiewicza, która jeszcze przed dwoma laty w tak gwałtownych wypowiadała się

[1]) Ówczesny stosunek Mickiewicza do mistrza i dwóch grup Towiańczyków najlepiej się wyraził w pewnem przemówieniu poety 27 lutego 1847 wieczorem przy ulicy Saint-Charles, gdzie się zebrania grupy mickiewiczowskiej odbywały. »Jedną z największych trudności, jakiej doświadczyłem i jaka was dotykać musiała, była natrącona niepewność mego położenia względem Mistrza. Nie jestem ja jeszcze z nim w takim stosunku, w jakim bym być był powinien; ufam wszakże, że nie ustająo w pracy, wejdę na tę ścieżkę, gdzie się z nim spotkam. Dzisiaj nawet jest mi łatwiej zbliżyć się do Mistrza niż było przedtem, kiedy mogę w spólce bratniej przez realizacyą słowa na ziemi, posuwać się po tej jedynej drodze prowadzącej do niego. Co się tyczy braci, którzy polegają na mnie, którzy zawierzyli w czystość moich chęci, tych biorę na siebie przed Bogiem i ludźmi, przed duchem mistrza odpowiadam za nich; którzy zaś nie są ze mą, bynajmniej im tego nie mam za złe, niech tylko stają otwarcie. Każdy, kto przychodzi do mnie po radę, po rozwiązanie swoich wątpliwości, obowiązuje mnie do pomocy jemu; ale kto wypowiada wojnę, robi mi owszem ulgę, bo wiadomo, że łatwiej jest bić się z kimkolwiek, niżeli go nosić«. Współudział Ad Mick. II, 56.

wyrazach, ustąpiła miejsca głębokiemu uwielbieniu dla niego, jako dla apostoła mistycznej wiedzy. Wieloletni i różnorodny antagonizm niczem nie był teraz z zewnątrz podsycany, więc te różnice, które ich nie przestawały dzielić, a tkwiły w głębi ich temperamentu, bladły, zacierały się w umyśle Słowackiego, natomiast pokrewieństwo wierzeń, które ich łączyło, a oddzielało od emigracyi, występowało z całą siłą. Słowacki w drugim liście do księcia czyni temu ostatniemu zarzuty, że nie wystąpił w obronie Mickiewicza, kiedy go rząd francuski usunął z katedry. »Wszakże to pierwszy raz po tylu wiekach Sorbona — od Danta jeszcze głucha i nierodząca — pierwszy raz mówię twórcze teologiczne słowo usłyszała... Polak mówił.. Zdaje się, że ów dawny Awarys Scytyjski, od którego Pitagoras pobrał myśli najwyższe — wrócił — a odebrawszy poplamione przez ludzi swoje własne ideje — rzucał je na nowo — ze świeżością kwiatów... z blaskiem słońc nowo z rąk duchowi jakiemu wylatujących«... »Ale Wasza ks. Mość tyle wpływów u Rządu francuskiego mający — z takiem uszanowaniem przez ministry traktowany, żeś nie obronił tego głosu, a przynajmniej (nie) starał się od zagłuszenia ratować... tego mi z trudnością pojąć przychodzi«... »Niechby przynajmniej za wdaniem się Waszej ks. Mości została pustą i kirem okrytą ta katedra, na której w meteorycznym niby blasku natchnienia pojawił się i zniknął jeden z najdzielniejszych geniuszów polskich. — Niechbyśmy nie byli skazani dziś słuchać głosu jednego z rzemieślników francuskiej literatury i kursu jego, który zda się jest fakturą księgarza spisaną i ocenioną przez francuskiego komisyonera«.

Ale ten głos obrończy, który dopiero niedawno wyszedł z ukrycia, nie doszedł nigdy uszu Mickiewicza; bodaj czy też go doszło i to uznanie dla artyzmu jego, jakie wyrażał wówczas Słowacki przed młodymi znajomymi swymi. Feliński w swoich pamiętnikach powiada, że w ciągu dwuletnich (właściwie kilkunastomiesięcznych)

stosunków swoich ze Słowackim nie zdarzyło mu się słyszeć ani razu, żeby naganił chociażby najmniejszy urywek z utworów Mickiewicza, pomimo, że wogóle był bardzo surowym krytykiem. A stawiając siebie na równi z Mickiewiczem o poezyi Krasińskiego i Zaleskiego mówił: »Oni nas błyszczącym pyłem przysypują, ale przyjdzie czas, kiedy powiew zdrowej krytyki pył ten rozmiecie a czyste złoto wówczas się ukaże«[1]).

I stosunek Słowackiego do Goszczyńskiego pod wpływem pokrewnych pobudek uległ wówczas radykalnej zmianie. Przed kilku laty, kiedy Słowacki pouczał Koło Towiańczyków, Goszczyński był ślepo oddanym Mickiewiczowi, jako zastępcy mistrza. Kiedy się drogi mistrza i jego zastępcy rozeszły, Goszczyński nie miał dość śmiałości, aby opuścić mistrza, rozstał się więc z jego zastępcą. Ta walka wewnętrzna w Kole, o której Słowacki nie mógł nie wiedzieć, uczyniła i jego i Goszczyńskiego względniejszymi dla siebie wzajem. To też kiedy pewnego dnia majowego (14 maja 1847) spotkali się na polach elizejskich, przywitali się uprzejmie, jak ludzie, którzy chcą zapomnieć o dawnych urazach. Słowacki prosił zaraz dawnego współmieszkańca, ażeby wstąpił do jego mieszkania i w ten sposób odnowił się dawny stosunek, nie tak serdeczny i ścisły, jak przed czterema laty, ale zawsze przyjacielski. Słowacki zapewne z politowaniem spoglądał na Goszczyńskiego, któremu po usunięciu się z Koła Mickiewicza przypadła rola wprawdzie nie naczelna, ale zawsze za ciężka na jego temperament, a którego przytem gniotła ciągle, więcej niż innych, bieda emigrancka; Goszczyński po odłączeniu się Mickiewicza musiał pobłażliwiej spoglądać na dawne wystąpienie Słowackiego z Koła.

Niedługo potem Goszczyński pojechał do Szwajcaryi, ażeby się widzieć z mistrzem, do którego od dawna był wzywany, ale dla braku pieniędzy dotychczas pojechać nie

---

[1]) *Pamiętniki* ks. Z. S. Felińskiego. T. I, 276—277.

mógł. Czy to pod wpływem odnowionej znajomości ze Słowackim, który sam jeden z Towiańczyków poezyi nie zarzucił, czy pod innymi jakiemi wpływami, zbudziła się w nim oddawna nieuczuwana potrzeba tworzenia poetyckiego i roztrząsając rozmaite wątpliwości swoje przed mistrzem zapytał go: »Jak mam uważać poezyą, bo dotąd zaniedbywałem ją, mając ją za jedną z dróg starych, niezgodną z duchem Świętej Sprawy«. Na to ten sam Towiański, który przed czterema laty nazywał, jak wiemy, »improwizacye, poezye, sztuki« pogaństwem, odpowiedział teraz: »Poeta jest wielkim sługą Bożym. Pisz i pobudzaj do tego innych«. I dodał zapewnienie, którego bez uśmiechu odczytać trudno temu, kto zna próbkę formy poetyckiej Towiańskiego[1]). »Ja sam, gdybym nie przyjął swojej misyi, puściłbym się w poezyę«[2]).

Nie będę dociekał, dlaczego Towiański dał tak niespodziewaną odpowiedź Goszczyńskiemu; dość, że odpowiedź ta uszczęśliwiła biednego poetę. Otrzymawszy takie pozwolenie, zatrzymał się na jakiś czas w dobrze znajomym sobie Strassburgu, u przyjaciela Szweycera, aby zabrać się do wydania dawniejszych i nowych swoich poezyi i pod koniec listopada 1847 napisał list stamtąd do Słowackiego, dzieląc się z nim swoją radością z odzyska-

[1]) Zobacz list Towiańskiego do Mickiewicza z d. 4 czerwca 1845 (Wł. Mickiewicz. Żywot Ad. Mick. III. Dodatek XXVII) gdzie Towiański przytacza wiersze, dyktowane mu jakoby przed czterema laty (t. j. 1841) przez ducha Adama.

A ta nowa skruchy droga —
Zbliżająca mnie do Boga
Wzbudzi zapał odrętwiały —
Do oddania Słowu chwały —
I wyleję pieśń z mądrości
Nie jak dotąd z próżności.

[2]) Z. Wasilewski. Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim. Bibl. Warsz. 1895, I, str. 400.

nej wolności poetyckiej. »Co mię dziś najwięcej raduje, ożywia, wzmacnia, to to, że mogę dalej przeciągać moją drogę poety, którą Bóg wie, od jak dawna idę, a której prawie się już wyrzekłem«... »Nie tylko, że mi wolno pisać znowu, ale jest to moja powinność. Mam odtąd służyć Duchowi Chrystusa poezyą, jak dotąd służyłem Duchowi Ziemi. Mistrz dał mi nieocenione do tego światło. Pokazał mi całą ważność poezyi, całą wysokość przed Bogiem prawdziwego poety, wytknął mi dotykalnie całą fałszywość, poziomość, czczość, nikczemność największej części dotychczasowych poezyi, całą ich nicość wobec Nowej Epoki, a obok tego całą wielkość poezyi, brzmiącej czystym tonem Nowej Epoki, płonącej czystym blaskiem jej niebieskiego światła«. Donosił też o sobie, że już zaczął »dzięki Bogu« pisać. »Jak mi się udały te pierwsze prace? To czas w skutkach pokaże. Że nie są jednak niczem, mam na to pocieszające świadectwo nieomylnego znawcy, Mistrza naszego, tak w poezyi, jak w każdej rzeczy« [1]).

Dla Słowackiego te wiadomości były bardzo przyjemne. Więc w ten sposób przyznawano mu słuszność w tem, za co go przedtem potępiano; przyznawano, że był »wielkim sługą bożym«, bo przecież nikt nie mógł zaprzeczyć, że poezya jego od lat kilku brzmiała tonem nowej epoki. To go usposobiło bardzo przychylnie dla mistrza i tego Koła Towiańczyków, które przy mistrzu stało, a którego naczelnikiem był »wódz Sprawy«, Karol Różycki, i obudziło chęć zawiązania ścisłych stosunków z tem Kołem, a przedewszystkiem z Różyckim. Odpisał więc zaraz Goszczyńskiemu, do listu dołączył sześćdziesiąt franków dla ciężką biedą gnieciónego poety i prosił go o pozdrowienie w jego imieniu Różyckiego, jeżeli sądzi, że mu to braterskie i pełne miłości wspomnienie nie będzie obcem. Widocznie chciał się poeta wywiedzieć, jak spoglądają

[1]) Z. Wasilewski. Tamże.

w Kole na niego i jakby przyjętem było jego zbliżenie się do Koła.

Czy dar wydał się Goszczyńskiemu za obcesowy? Czy pamięć dawnego stosunku Słowackiego do Koła budziła w nim obawy, że i teraz Słowacki nie potrafiłby się z niem zespolić? Wprawdzie pisał w owym liście, że »przez pięć lat pracował nad sobą srogo i bez przebaczenia dla win własnych«, ale nie byłoż to jednem z licznych złudzeń jego? Czy takie były myśli Goszczyńskiego, napewno nie wiemy, ale to wiemy, że upłynął miesiąc, a nie było od niego ani podziękowania, ani żadnej odpowiedzi, pomimo iż Słowacki prosił o prędką odpowiedź.

To milczenie jednak nie powstrzymało Słowackiego od dalszego pukania do bram Koła, z którem się chciał połączyć. Tę chęć wyraźnie wypowiedział w drugim liście do Goszczyńskiego z datą 25 grudnia: »Kochany Bracie Sewerynie! Nowy Rok następuje — pozdrawiam Cię w Duchu Świętym Sprawy, łącząc się z Tobą w oczekiwaniu i w trudzie teraźniejszej pracy. Czuję Ciebie, choć daleki jestem od Ciebie i proszę Boga, aby na drogach prawdy w dopełnieniu czynu zbliżył nas i razem postawił. Zmęczony jestem wielce pracą z ludźmi, a jednak czuję, że nie bez owocu są moje usiłowania. Wielu się przybliżyło i rozjaśniło w Duchu nowej epoki; braknie mi tylko wspólnictwa serdecznego od Was, któreby mię samego wzmocniło i do owego usiłowania mocnym uczyniło«.

Skąd pochodziła ta chęć zbliżenia się do Koła i co znaczyły słowa przytoczone o wielkiem zmęczeniu pracą z ludźmi? Słowacki od niedawna wszedł był w nową fazę życia. Skończyła się jego samotność anielska, zaczęła lgnąć do niego fala ludzka, która go dotychczas przez całe życie stale omijała. Tą falą była nowa emigracya polska, która po roku 1846 znalazła się na bruku paryskim i wogóle ludzie z młodszego pokolenia, przybywający do Paryża. Z nowej emigracyi prócz innych bywali u niego najczęściej Karol Rogawski, były sekretarz krakowskiego dyktatora

Dzwonkowski, Andrzej Fredro, Józef Czarnowski, Stanisław Tchórzewski; prócz tego do grona bliższych znajomych jego z młodzieży należy zaliczyć Chojeckiego, dwóch Norwidów: Ludwika i Cypryana, młodziutkiego Kornela Ujejskiego i Aleksandra Niewiarowskiego. Feliński, najserdeczniej zaprzyjaźniony ze Słowackim, zwiększył to grono nieco później [1]).

To młode pokolenie innemi oczami patrzało na Słowackiego, aniżeli stara emigracya, inaczej było wrażliwe na głos jego poezyi. Różne ułomności charakteru poety, które tak jaskrawo objawiały się przed laty i tylu wśród emigracyi zniechęcały ku niemu, dla młodych przybyszów nie istniały; dla nich zakrytą była piętnasto — czy szesnastoletnia przeszłość emigracyi. Pociągani blaskiem sławy, świeższej niż Mickiewiczowska, olśniewani bogactwem cudownych barw jego poezyi, pragnęli go poznać, i poznawali go takim, jakim był w ostatniej fazie życia, to jest kiedy chodził w szatach świętości i więcej miał ducha niż ciała w sobie.

Jak wyglądał wówczas Słowacki i jakie wrażenie wywierał na tej młodzieży, najlepiej nas pouczy o tem ustęp z *Pamiętników* Felińskiego. »Powierzchowność miał bardzo niepospolitą, pisze ówczesny młody wielbiciel Słowackiego, budowa ciała wątła, mało rozwinięta, z jednem ramieniem nieco podniesionem, z piersią zapadłą i wychudłemi rękami, ukoronowana była głową kształtną o wyniosłem czole, z pod którego świeciły ogromne czarne oczy, patrzące tak głęboko i wyraziście, iż wzrokiem jednym mógłby całe poemata wypowiadać. Mały, czarny

[1]) Winienem sprostować przy tej okazyi parę drobnych informacyi p. Hoesicka w jego książce o Słowackim, której zresztą zawdzięczam wiele cennych wskazówek bibliograficznych. Mianowicie błędną jest informacya, że Niewiarowski przybył do Paryża później, niż Feliński, (T. III, str. 453), a także, że Chojecki dał za *motto* swojemu dziełku o rewolucyonistach i stronnictwach wstecznych dwie strofy z *Króla Ducha*. (III, 418).

wąsik zaledwie ocieniał wązkie, lecz bardzo ruchome wargi, na których każde odbijało się uczucie, tak, iż na przemian już to drżały one rzewnem wzruszeniem, już zaciskały się gniewem, już wreszcie wykwitał na nich wyraz takiego szyderstwa, iż biada temu, kto ten ironiczny uśmiech wywołał; żadna zniewaga nie zabołałaby go tyle, co ta lekceważąca wzgarda. Ze wszystkich wieszczów naszych, nie wyłączając nawet Mickiewicza, który w chwilach natchnienia przeistaczał się nie do poznania, żaden nie miał oblicza tak uduchownionego w życiu codziennem, jak Słowacki. A nie tylko wyraz twarzy, lecz i mowa jego nie schodziła nigdy z wyżyn poetycznego nastroju. W epoce, w której go poznałem, t. j. na parę lat przed jego śmiercią, nie widziałem go ani razu w usposobieniu nie mówię już trywialnem, ale pospolitem nawet. Czuć w nim było zawsze mędrca i poetę, zajętego wyłącznie kwestyami ducha i wieczności, albo opatrznościowego posłannictwa narodów« [1])

Dla uzupełnienia tej charakterystyki trzeba dodać to co poeta pisał w owych czasach do matki o swoim wstręcie do mięszania się ze zwykłymi »zjadaczami chleba«. »Wolę nic nie jeść albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać, włócząc go po publicznych traktyerach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mięszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czem gorszem« [2]).

Łatwo zrozumieć, z jaką czcią spoglądała młodzież na poetę, który się taką otaczał atmosferą świętości i żył myślą ciągle na wyżynach świata. Łatwo zrozumieć, że poddawała się chętnie urokowi jego wymowy i bez oporu dawała się prowadzić w krainę mistycznych marzeń, które im twórca *Genezis* podawał za alfę i omegę świata. A jakże szczęśliwymi musieli się czuć ci, do których on zwracał

---

[1]) *Pamiętniki* ks. Z. S. Felińskiego I, 278.
[2]) Listy II, 278.

się w jakimś osobno dla nich przeznaczonym utworze poetyckim, jak np. Kornel Ujejski albo Ludwik Norwid.

Ujejski wydał był wówczas w Londynie swój pierwszy zbiorek poezyi, *Skargi Jeremiego*, młodzieńczy wyraz żalów patryotycznych po krwawych zawodach 1846 roku, w którym się rozlegały liczne echa poezyi Mickiewicza i Słowackiego i zapewne ofiarował jeden egzemplarz Słowackiemu, który mu podziękował za to znanym wierszem *Do autora Skarg Jeremiego*. Wprawdzie ten wiersz, cudowny obrazek, mgłą i słońcem malowany, był do pewnego stopnia — na co dotychczas nie zwrócono uwagi — krytyką stanowiska młodego poety, który chciał występować jako pogromca i prorok (stąd imię Jeremiego), a któremu Słowacki wyznaczał skromne stanowisko baranka tęskniącego za macierzą; — ale krytyka, jeżeli w istocie była w intencyi autora, roztapiała się w takich anielskich blaskach życzliwości, że gdyby jej nawet dostrzegł młody poeta, dotknąćby go nie mogła[1]. Że go nie dotknęła, że był zachwycony tym wierszem, świadczy o tem poetycka odpowiedź jego *Do autora Kordyana*, gdzie przyjmując nadaną sobie rolę baranka, Słowackiego wielbił jako proroka, »co już nieraz z Panem rozmawiał — w ognistym krzaku«.

---

[1]) Stosunek Słowackiego do młodzieży dobrze się maluje w tych słowach listu do matki z 14 grudnia 1846: »Ty wiesz,. ja, niegdyś dziecko niepohamowane, teraz żyję, jak gdyby we mnie nic ludzkiego nie było, ani krwi, ani żądzy, ani chęci, ani zawrzenia, ani wybuchu. Uśmiechać mi się nawet nie wolno, trzeba wszystko zrozumieć, przyjąć, ukochać, ożywić, przemienić i Bogu na ziemi pokazać pracę anielską« Listy II, 261—262. Co się tyczy Ujejskiego i jego stosunku do Słowackiego, to ks. Feliński tak pisze o tem: »Był on wówczas bardzo jeszcze młody na dwadzieścia lat nawet nie wyglądał, przytem wesoły jak dziecko, lubił zabawy, teatra, zajmujące wycieczki, w towarzyskim zaś stosunku można go było wziąć za wszystko raczej niż za poetę. Słowacki cenił jego talent, z powodu jednak różności charakterów i zasad nigdy do ściślejszych między nimi stosunków nie przyszło«. Pamiętn. I, 285.

Ludwik Norwid, młody i majętny literat z Warszawy, który w r. 1846 przybył do Paryża dla studyowania medycyny, ale przez lat parę wcale się nią nie zajmował, najwięcej może ze wszystkich młodych przybyszów ulegał wpływowi Słowackiego. Uczcił go też za to mistrz aż dwoma wierszami, z których jeden *(W braterstwie idei świętej)* był jakby manifestem Słowackiego do młodzieży, która się wówczas do niego garnęła, czemś w rodzaju *Ody do młodości* z tą różnicą, że była mistyczną i wypowiadała wojnę nie egoizmowi, ale rozumowi ludzkiemu, pragnącemu drogą analizy dochodzić praw fizycznych. Cała pogarda Słowackiego dla nauki, znana już nam z różnych jego traktatów, wyraziła się w tym wierszu:

Bo patrzcie! Tak jak orlice,
Patrzcie na dolinę z góry:
Oto są dzieciątek chmury,
Oto są globu dziedzice.
. . . .
. . . .
Patrzcie tylko, jacy oni!
Patrzcie tylko, co je bawi!
Patrzcie, jacy są ciekawi!
Jak patrzą w każdą foremkę,
W każdą jamę oczy włożą,
Każdy proszek biorą w rękę,
Ważą — próbują, czy stworzą;
Cieszą się, że piorun pali,
Że gwiazda na czas przychodzi,
Patrzcie — starzy już i młodzi
Krzyczą, że wszystko poznali!

A pokazując te wszystkie zabiegi naukowe świata swoim młodym przyjaciołom, którym, jako wyznawcom mistycznej wiedzy, dostaje się tytuł aniołów, wzywa ich, aby się z tej całej krzątaniny śmiali wesoło.

O anioły! o anioły!
Czyńcie sobie z nich wesoły
Śmiech — i pozwólcie czoła stroić w zamyślenie.

Dlaczego się mają śmiać wesoło, odgadnąć łatwo, zresztą sam poeta tłómaczy:

Swiat szuka, a wy już wiecie.

Powiedziałem już wyżej, że młoda emigracya, która w r. 1846 przybyła do Paryża po ruchach poznańskich i krakowskich, stanęła pod sztandarem Centralizacyi demokratycznej, która owe ruchy wywołała, i szczególnem uwielbieniem otaczała manifest krakowski. Nadało to Towarzystwu Demokratycznemu przewagę nad innemi stronnictwami, ale z tej przewagi nie długo się ono cieszyło. Pomiędzy młodymi a starszymi demokratami różnice były nadto wielkie, aby pierwsi mogli przylgnąć do drugich. Młodsi, trochę już rozczarowani niepowodzeniem, ale z duszą świeżą, nieprzesiąkłą nienawiścią stronniczą, łaknący marzeń i poezyi [1]), znaleźli w starych demokratach doktrynerów suchych i zaciętych, którzy — jak powiada ks. Feliński — »naśladując przez lat kilkanaście cudze obyczaje i karmiąc się obcemi zasadami, wygluzowali z duszy wszystkie niemal narodowego charakteru znamiona«. Prędko więc między starem a młodem pokoleniem demokratów psuć się zaczęła harmonia i już po roku młodzi oddzielili się od starych i zamyślali o założeniu osobnego związku na podstawie odmiennych zasad społecznych.

Jakie to były zasady? Ks. Feliński powiada, że nowe to stronnictwo pośredniczyło niejako między Demokratami i Trzecim Majem, biorąc od pierwszych formę rządu (t. j. republikanizm), od drugich zaś zamiłowanie religii i własnej narodowości« [2]). Ale główną, jak się zdaje, cechą tego

---

[1]) *Trzeci Maj* (z 26 listop. 1847) w bardzo surowej recenzyi *Skarg Jeremiego* pisał: »Po krwawych scenach *Komedyi Nieboskiej*, odegranej w Galicyi, podobało się wielu z naszych młodych bohaterów zostać *Orciami* i tym sposobem potrzebę moralnego pracowania nad sobą, nad swojem wykształceniem, potrzebę poświęcania się w czynie dla Ojczyzny zastąpić sielankami, elegiami, poematami etc«.

[2]) *Pamiętniki* I, 272.

stronnictwa było bujanie marzycielskie i to była główna przyczyna, dlaczego ta młodzież garnęła się do Słowackiego i u niego szukała moralnego oparcia dla siebie. O ile się przyczynił Słowacki do zawiązania się tego stronnictwa, złożonego z kilkudziesięciu młodych emigrantów, a które przybrało nazwę Związku Narodowego, na to dokładnej nie ma odpowiedzi, ale to wiemy, że poeta w dzienniku swoim pod datą 28 października 1847 zapisał: »W tymże dniu sztandar Messyanizmu w klubie ogłosiłem za nasz«, co jedynie do owego związku stosować się może. We trzy tygodnie potem (18 listopada 1847) ukazał się manifest tego nowego stronnictwa p. t.: *Do braci Polaków*« [1]).

Jak spoglądała stara emigracya na tę próbę organinizacyjną młodej? *Demokrata Polski* zbył odstępców pogardliwem milczeniem, ale inne główne organy emigracyjne nie milczały. *Trzeci Maj* (z 11 grudnia 1847) pisał o manifeście nowego związku, że jest on »tylko wspomnieniem pierwszej młodości Emigracyi, dziecinnego jej umysłowego stanu. Słów tam o braterstwie niezmiernie wiele, Polska jest Chrystusem narodów i tym podobne rzeczy, które gdyby założyciele związku chcieli rozczytać się w starych szpargałach emigracyjnych, nie znaleźliby tyle nowemi, ile się im dziś zdają w ich niewinności politycznej«...

»Nie możemy w istocie rozbierać surowo pompatycznego manifestu tych nowych w Emigracyi, jak z pod ziemi wychodzących szermierzy, którzy zabierają się do wielkiej politycznej reformacyi rodzaju ludzkiego, — musimy wyznać z prostotą, iż rozczytując się w tym manifeście przychodzą nam na pamięć te czasy szczęśliwe dzie-

---

[1]) Do braci Polaków i akt założenia Związku Narodowego w Emigracyi. 8vo Paryż 1847. Tego ciekawego druku nie udało mi się odszukać ani w krajowych bibliotekach, ani w Paryżu za pośrednictwem naukowej stacyi Akad. Um.

cińStwa — w których udając dorosłych ludzi, powtarzając w grach naszej niedorosłej fantazyi sprawy ludzkie, zaprzęgaliśmy cztery krzeseł (sic) do kanapy i puszczaliśmy się tym sposobem w dalsze podróże, zachowując całą powagę przybranej roli furmanów i podróżnych«.

W tym tonie był cały artykuł, a kończył się następującym zwrotem: »Co się tycze młodych polityków, którzy dla effektu zapewne wykrzykują na końcu swojego manifestu: »Boże błogosław usiłowaniom naszym«, mybyśmy rzekli: »Daj im wyróść Panie! A w czasie ich politycznej i intellektualnej małoletności prowadź ich po bezpiecznych drogach«.

Nie tak sroga chłosta ojcowska, ale zawsze chłosta, dostała się młodej emigracyi od *Dziennika Narodowego*. »Czterdziestu kilku młodszej naszej braci — pisał on — z trzema czy czterema starymi emigrantami, ogłosiło założenie *Związku Narodowego w Emigracyi Polskiej*. Nie będziem rozbierać ani aktu założenia, ani odezwy do Emigracyi, albowiem uważając, iż nic z tego nie będzie, nie chcemy na próżnej dyskusyi tracić czasu ni papieru. Lecz jeżeliby kto od nas żądał koniecznie zdania o pismie wydanem przez pięćdziesięciu, to powiemy w kilku słowach: że kiepskie, bez cechy, bez charakteru; mieszanina złego z dobrem, postawienie obok siebie rzeczy najsprzeczniejszych; gadanina bez mocy, bez loiki i bez znaczenia. Jeśli wszakże pismo to ma jaki charakter, to komunistyczno-republikański, z którym niezawodnie źle się wybrało do Emigracyi«.

»Żeby wszakże młodszych naszych braci nie odprawiać zupełnie z niczem, udzielimy im rady: powinni wcielić się w stare i doświadczone latami i biedami ciało tułacze, nie stanowić kupki osobnej, a jeszcze mniej żądać, aby stare wiarusy wstępowały w szeregi rekrutów i pod ich się dowództwo oddawały« [1]).

---

[1]) *Dziennik Narodowy* z d. 18 grudnia 1847, str. 1398.

To dobroduszne urąganie starej emigracyi nad nowym związkiem musiało mocno dotknąć i młodych członków tego związku i ich patrona Słowackiego i teraz dopiero możemy należycie zrozumieć przytoczone wyżej słowa listu jego do Goszczyńskiego: »Wielu się przybliżyło i rozjaśniło w Duchu nowej epoki; braknie mi tylko wspólnictwa serdecznego od was, któreby mię samego wzmocniło i do owego usiłowania mocnym uczyniło«. Dla podparcia swojej powagi u młodych i dla własnego — jak pisał — umocnienia wiary w siebie, potrzeba mu było sprzymierzeńców, a tych najprędzej mógł znaleźć wśród ludzi pokrewnych wyobrażeń. Wprawdzie był z nimi niegdyś na stopie wojennej, ale od tego czasu wiele już wody upłynęło i niechęć jego ku nim zupełnie ostygła.

Jak przyjęto w Kole chęć Słowackiego nowego nawiązania z Kołem braterstwa? Na drugi list Goszczyński prędko odpowiedział (7 stycznia 1848) listem, w którym dziękując Słowackiemu za nadesłane sobie pieniądze, a jeszcze więcej »za miłość szczerą i prostą«, droższą od wszelkiego daru materyalnego, która temu ostatniemu towarzyszyła, donosił mu, że Karol Różycki przyjął jego pozdrowienie »w miłości braterskiej«; o Kole zaś wogóle tak pisał: »Śmiem ci powiedzieć, kochany Juliuszu, raz na zawsze, że nie masz braci takich nigdzie, jak tutaj, nigdzie, którzyby cię więcej kochali, mogli być więcej pożyteczni Tobie, oni jedni znają Ciebie, Twoje potrzeby, Twój interes i interes wieczny Twojego Ducha i troszczą się tem najmocniej. Oni jedni wiedzą, czem byłeś, czem być możesz, czem być powinieneś wedle woli Boga. Oni jedni są prawdziwymi Twymi braćmi, dotrzymają Tobie kiedy złe zechce Cię zgubić na wieki, choćby to przyszło wykonać z bólami Twego człowieczeństwa. Próbę tego miałem na sobie. Oni jedni kochają Cię miłością Chrystusa«...

Że ta odpowiedź nie była taką, jakiej Słowacki ocze-

kiwał, że go niemile dotknęła, trudno wątpić o tem. Był w niej jakiś ton opiekuńczy, który się nie godził z pojęciem, jakie miał poeta o swojej wysokości duchowej. A przytem co znaczyła gotowość braci do ratowania go od zguby wiecznej? Widocznie bracia spoglądali na Słowackiego jeszcze temi samemi oczami, co przed czterema laty, kiedy na czele Koła stał Mickiewicz, a wyrażenie »oni jedni znają ciebie« przy całej serdeczności tonu brzmiało dosyć dwuznacznie.

W parę tygodni po otrzymaniu tego listu znalazł Słowacki sposobność dać uczuć bratu Sewerynowi, że nie takiego za swoje dobre chęci i ofiary spodziewał się od niego i Koła przyjęcia. Sposobność była następująca.

Mickiewicz, który pomimo wielkiej czci dla mistrza i jego tonu, od roku już nie zasięgał od niego rad i wskazówek, czyli, używając jego własnych wyrażeń, zachowywał t o n jego, ale dla tonu tego chciał mieć t a k t własny, we wrześniu 1847 uczuł gwałtowną potrzebę przejścia ze sfery wewnętrznej pracy ducha w sferę czynu. Szukając szczególnych pobudek zewnętrznych dla tej potrzeby, znajdujemy tylko jedną wyraźną: oto w tym czasie Pius IX, który już od roku zasiadał na tronie papieskim i liberalnym duchem swoich rządów zjednywał serca swoich poddanych, wskutek zatargu z Austryą, złowrogo patrzącą na kierunek polityki nowego papieża, ukazał się Włochom i światu całemu w postaci bohatera narodowego. W dziennikach przytaczano słowa, które miał wyrzec, dowiedziawszy się, że Austryacy nie zważają na jego protestacyę z powodu bezprawnego zajęcia przez nich Ferrary: »Będę protestował raz jeszcze, a gdy to nic nie pomoże, rzucę klątwę na Austryaków, a gdy i to nic nie pomoże, siądę sam na koń, stanę na czele mojego ludu, a dwa miliony chrześcijan odpowiedzą mojemu wezwaniu« [1]).

Jak się te wiadomości odbiły w bohaterskiem sercu

---

[1]) Ob. *Dziennik Narodowy* z d. 4 września 1847.

Mickiewicza, łatwo odgadnąć. Oto był papież, jakiego on pragnął, o jakim marzył[1]). Więc uczuł, że dla niego i tych, za których odpowiadał, nadeszła chwila jakiegoś stanowczego działania, jakiegoś exodu z ziemi egipskiej. Zgromadziwszy (27 września) swoich »braci« na Saint-Charles, zapytał ich: »czy nie zbliża się czas, abyśmy stanowczo ruszyli z emigracyi — nawet krokami ziemskiemi« i dodał: »Moim to jest instynktem, żebyśmy wyszli«. Udawać się po radę do mistrza nie widział potrzeby; chciał tylko, ażeby bracia rozważyli głęboko w sumieniu swojem, czy chwila wyjścia nadeszła, i w jaki sposób, jaką drogą, ma się ono odbyć. A żegnając się z nimi powiedział: »Pamiętajcie tylko, że nam nie wolno umrzeć na tej ziemi. Może nasze wyjście zrobi więcej niż wszystko, tak jak wyjście z Egiptu«[2]).

Bracia uczuli to samo, co ich Mojżesz, a w obraniu sposobów i chwili zdali się zupełnie na niego. Ten zaś udzielił im na piśmie takiego poglądu swego: »Objawienie ducha chrześcijańskiego w polityce, budowanie państwa Chrystusowi, musi wziąć początek z Rzymu, który jest kościołem i państwem. To państwo było duchem wyjednane na ziemi. W Kościele zachował się u ołtarza ton chrześcijański, w jego ustanowieniach zachowało się podanie, a w jego działaniach takt. Powołani, abyśmy du-

---

[1]) Dla nowego papieża uczuwał wielką cześć od początku jego panowania. Ks. Duński pisał do ks. Kajsiewicza pod datą 7 grudnia 1846 o Mickiewiczu: »Dla papieża z najgłębszem jest uszanowaniem, czcią i nadziejami«. Jego zwrot do Kościoła charakteryzują te słowa wyrzeczone do ks. Duńskiego: »Gdybym kiedykolwiek dostrzegł, że Towiański sprzeciwia się prawdom wiary w Kościele złożonym, czyż sądzisz, że nie miałbym tyle mocy i pokory stawienia się przeciw i odwołania publicznego«? (Smolikowski opus. cit. IV 168). A pod datą 5 lutego 1847 ks. Duński pisał już o zamiarze Mickiewicza, trzymanym w ukryciu, pojechania do Rzymu. »Kazanie papieża bardzo go uderzyło. «Czysty człowiek, i to wielka rzecz, że odnawia słowo żywe«. Tamże IV 172.

[2]) Współudział II. 97—100.

chowi Państwo na ziemi zdobywali, z Rzymu, posady naszej, na ziemię iść musimy« [1]).

Od tej chwili wybierał się Mickiewicz ciągle do Rzymu, ażeby Piusowi IX odkryć swoje myśli i zamiary i znaleźć dla nich najwyższe kościelne uświęcenie, ale dla braku pieniędzy nie mógł się wybrać wcześniej, jak w styczniu 1848. Zamiar tej podróży, bez porozumienia z mistrzem, nie mógł podobać się temu ostatniemu i tym jego wyznawcom, którzy nie tylko ton, ale i takt od niego brali, to jest Kołu Różyckiego, i ci wystosowali pismo do Mickiewicza, gdzie go mocno karcili za to, że chce »wezwać pierwszy Urząd kościoła do przyjęcia woli Bożej, sam jej nie przyjmując«, że chce go »przyprowadzić do braterstwa z duchem i człowiekiem męża Epoki, sam niewierny temu braterstwu« i t. d. [2]). Ale ta protestacya, doręczona Mickiewiczowi, gdy już był na wsiadanem, nie powstrzymała go od podróży do Rzymu, i bawiący ciągle jeszcze w Strasburgu Goszczyński, który był jej autorem i czuł się odpowiedzialnym wobec mistrza za jej niepowodzenie, chciał jej przynajmniej w inny sposób nadać skuteczność, a to zawiadamiając o tym akcie żonę Mickiewicza i Koło oddanych mu mistyków. W tym celu napisał dwa listy, jeden do pani Celiny, drugi do Koła Mickiewiczowskiego, i przesłał je jednemu z Towiańczyków w Paryżu, niejakiemu Rutkowskiemu, aby ten je komu należy doręczył. Rutkowski jednak miał jakieś powody, dla których ociągał się z doręczeniem listów i wtedy Goszczyńskiemu przyszło na myśl użyć do tej sprawy pośrednictwa Słowackiego. Napisał więc do niego list, w którym pokrótce przedstawił całą sprawę i prosił o odebranie od Rutkowskiego wiadomych listów i o przesłanie ich pod wskazanymi adresami wraz z kopią pisma do Mickiewicza.

O Mickiewiczu pisał w tym liście Goszczyński: »Może

---

[1]) Tamże II, 100.

[2]) Wład. Mickiewicz. Żywot III, 489—490.

on mieć w tej służbie najlepsze zamiary dla Sprawy Bożej i nie posądzamy go o inne, ale w stanie, w jakim się znajduje, czyn jego obraca się koniecznie przeciw Sprawie Bożej, przeciw duchowi Chrystusa, przeciw jego prawdziwemu kościołowi. Wezwany od męża Bożego 13 sierpnia 1846, aby przybył do niego dla zespolenia się z nim w tem, co mu wola Boża poda dla jego wysokiego stanowiska w sprawie woli Bożej, na jego drogę dalszą, nie uczynił dotychczas zadość temu wezwaniu, i dopóki tego nie uczyni, jest w oporze woli Bożej, niema braterstwa Chrystusowego ani z Mężem Bożym, ani z innymi braćmi, a to braterstwo jest dziś koniecznym warunkiem dla nas«[1])...

Odczytując ten list musiał być Słowacki uderzony dziwnym obrotem rzeczy. Oto ci, co przed czterema laty potępiali go przed ówczesnym zastępcą mistrza, Mickiewiczem, teraz przed nim wynurzali skargi na Mickiewicza. Łatwo przypuścić, że ten obrót rzeczy sprawił mu zadowolenie, że widział w nim pewne zadośćuczynienie za niechęć, jakiej niegdyś doznawał ze strony Koła. To też w pierwszej chwili pod wpływem tego uczucia gotów był spełnić to, o co go proszono, i napisał stosowny list do Rutkowskiego; ale gdy trzeba było odpisać Goszczyńskiemu, gdy sobie przypomniał poprzednie pismo jego, gdy sięgnął myślą do tych czasów, kiedy Goszczyński występował jako jego oskarżyciel, poruszyła się w nim dawna gorycz, zbudził się dawny żal do tego, co go tak surowo niegdyś osądził, oburzyła go myśl, że go chcą w walce domowej użyć za narzędzie do jakiejś podrzędnej i niedość jasnej czynności i odpowiedział Goszczyńskiemu odmownie i z goryczą.

»Jużem był napisał list do brata Rutkowskiego, przesyłając mu pismo Twoje, gdy po głębszej rozwadze Duch Chrystusa zabronił mi udziału wszelkiego w sprawie, do

[1]) Bibl. Warsz. 1895 I, 407.

której w duchu miłości i prawdy nie zostawszy użyty, teraz powołany do niej nie w imię Boże, musiałbym jej jako narzędzie cielesne służyć, (i tem samem) przez Ducha rozszczepienia powiększyć rozdział, którego winien nie jestem«... Następnie oświadczywszy, że doręczanie pism po wyjeździe Mickiewicza byłoby tylko aktem legalności, która jest »marą i oszukaństwem człowieka« i że to do mistrza nie do braci należy osądzić krok brata Adama, pisał dalej: »Cierpię ja mocno za wszystkie rzeczy, które się przeciwko Sprawie dzieją, a jeszcze straszniejsze Jej męczeństwo przewiduję. Wszakże nie wewnętrzną i ciągle żywioną kłótnią w Kole, która żar fałszywy rozżarza i ducha w zamknięciu trawi, ale publiczną i otwartą Ducha Sprawy twórczością, czynem, zasiewaniem Ducha prawdy, zaradzić złemu usiłuję, spodziewając się, że tem najlepiej przeświadczę braci o mojej miłości, jeżeli ze mnie tylko pożytek, a nigdy zgorszenia mieć nie będą. Teraz czyn, którego po mnie kochany bracie Sewerynie żądasz, choćby w duchu usprawiedliwiony, wyszedłby na publiczne zgorszenie (tak, jak uchylenie się moje dawniejsze z Koła przez was samych zamienione było w akt żółci i zazdrości) i utraciłby tę niewinność wewnętrzną, za którą Ty sam brata Adama napominasz... Dlaczegożeś względem mnie nie miał tej braterskiej miłości, a nie rozsądził równie, czy położenie moje względem paryskiego Koła pozwala mi być skarg roznosicielem i podżegaczem sporów«...

Jak przyjął Goszczyński tę gorzką odmowę, nie wiemy, ale to pewna, że nie powstrzymała go ona, gdy wrócił przy końcu marca 1848 roku do Paryża, od starań, aby wprowadzić Słowackiego do Koła; i jeżeli to nie nastąpiło, to była w tem nie jego wina, ale ówczesnych wypadków politycznych.

Tymczasem bardzo prędko po owej odmowie, spotkała Słowackiego, jako przewodnika duchowego garnącej się ku niemu młodzieży, wielka przykrość. Jeden

z tych, którzy po przybyciu do Paryża błąkali się w mistycznych mgłach towianizmu, a którego Słowacki mógł uważać za swego ucznia, Aleksander Niewiarowski, znany później powieściopisarz, otrząsnąwszy się prędko z wpływów towianizmu, wystąpił w *Trzecim Maju* [1]), może nie bez zachęty ze strony tego pisma, z gorącą filipiką przeciwko siewcom towianizmu, szczególnie przeciwko samemu Towiańskiemu. Opowiadał on tam, jak jeszcze w kraju spotykał się z tą doktryną, głoszącą, że na jej tylko drodze leży zbawienie Polski, jak potem przybywszy do Paryża usłyszał od braci, że pierwej musimy dójść do Boga, a stamtąd wejdziem w ojczyznę, w jakąś wielką, czystą, świętą i szczęśliwą, i jak nie mógł się na to zgodzić, sądząc, że logiczniej jest dążyć przez ojczyznę do Boga; jak następnie uległszy wpływowi pewnego człowieka »sławnego w całym narodzie« zaczął spoglądać na Polskę, jako na kwestyę podrzędną, jak wreszcie dostawszy do rąk pisma mistrza i wyczytawszy w nich, że »obowiązkiem braci i Polaków obecnie jest starać się, aby Rosya była wielka i szczęśliwa podług woli Bożej«, przekonał się, że nauka mistrza prowadzi do renegacyi i zdrady ojczyzny i teraz wzywa ziomków, żyjących pod opieką praw wolnego narodu, aby bez zwłoki złożyli sąd na zdrajców, t. j. na Towiańczyków, przyciągających do siebie zdatniejszą młodzież z kraju.

Kto był owym »sławnym w całym narodzie« człowiekiem, którego wpływowi uległ Niewiarowski, gdy zaczął patrzeć na Polskę, jako na kwestyę podrzędną? *Dziennik Narodowy* [2]) streszczając odezwę Niewiarowskiego domyślał się w tym człowieku Mickiewicza, zapewne dlatego, że imię to było najsławniejsze, ale że to Słowackiego miał na myśli Niewiarowski, to dla znających zblizka spo-

---

[1]) *Trzeci Maj* z datą 5 lutego 1887.

[2]) Z 12 lutego 1847.

sób życia i poglądy Słowackiego, nie może ulegać wątpliwości. Oto jak brzmi ów ustęp:

»Wkrótce potem niebacznie poddałem się pod wpływ uroczej władzy słów człowieka istotnie ogromnej intelligencyi, sławnego w całym narodzie — którego dziś nawet ani o brak cnoty, ani narodowości obwinić sumiennie nie mogę. Ten dowodzenia swoje czerpiąc więcej z wyobraźni własnej jak z Towianizmu, wspierając je potęgą olbrzymiego artyzmu i erudycyi, prawie pokonał mój sąd osobisty. — Wedle niego — należało wszystkiego się wyrzec dla Boga — naprzód rodziny — bo tak Chrystus kazał — (niepomny, że Chrystus nauczał: Ktoby rzekł, iż miłuje Boga, a brataby swego nie miłował, kłamcą jest), dowodzenie moje — broniące uczuć przyniesionych prawie wraz z życiem na świat, nazwał sentymentalizmem — Ojczyzny nie niszczył — ale wskazywał nad nią wszechogrom Boga i natury — jako potęgi podobne do zdobycia dla sił człowieka — tym sposobem podnosząc dumę moją, przyzwyczaił poglądać na Polskę, jak na kwestyę podrzędną, którą tylko mimochodem zajmować się będziemy — sam prowadząc istotnie życie nadzwyczaj świątobliwe i czyste, wymagał po mnie podobnej ofiary dla Boga«.

Cała podana tutaj charakterystyka »sławnego człowieka« daleko lepiej stosuje się do Słowackiego, niż do Mickiewicza; zresztą późniejsze wspomnienia Niewiarowskiego usuwają wszelką możliwą w tym względzie wątpliwość.

Słowacki był mocno dotknięty odezwą jednego ze swoich uczniów, która choć o nim samym wyrażała się z pewną względnością, piętnowała mianem zdrady i kłamstwa jego naukę. Echo tego przykrego wrażenia słyszymy w liście do matki z 13 lutego 1848, mianowicie w słowach: »wiele smutków mam teraz i nie jestem silny przeciw wszystkiemu«[1]. Ale jeszcze silniej odzywa się

[1]) Listy II, 280.

ono w wierszu *Do Ludwika Norwida*, o którym już była mowa, a który nosi datę o trzy dni późniejszą (8-go lutego) od daty ogłoszenia odezwy w *Trzecim Maju*, i niewątpliwie wywołany był ową odezwą. Ostatni ustęp tego wiersza jest bardzo wyraźnie wymierzony przeciw Niewiarowskiemu.

Ale kto, bracia, pogardzi słowem,
Siłą u słowa czerpaną,
Komu dziś w ciele błysnąć nie dano,
Kto wierzga dawnym narowem,
Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko,
Jeno przez oczy ciekawe:
Taki dziś, bracia, pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko;
I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głaz, co ducha obarczał,
On siedział, głupi, kłamstwa lokajem
I widział prawdę — i warczał.

W chwili kiedy pisał Słowacki ten wiersz, gotowały się w Paryżu wypadki, które miały zmieść z tronu dynastyę Orleanów i sam tron obalić, a potem rewolucyjnem echem odbić się daleko i całą niemal wstrząsnąć Europę. Niezadowolenie z mieszczańskich rządów Ludwika Filipa, z jego małodusznej polityki, dosięgło szczytu i skorzystało z zakazu bankietów politycznych, urządzanych dla agitowania w sprawie reformy wyborczej, aby gwałtownie wybuchnąć (22 lutego) i objąć płomieniem rewolucyjnym całą stolicę. W ciągu kilku dni nastąpiło we Francyi zupełne przeobrażenie polityczne: ogłoszono republikę z hasłem: »wolność, równość, braterstwo«, a na czele rządów miejsce dawniejszych ostrożnych dyplomatów zajęli tacy ludzie, jak Lamartine, Arago, Louis Blanc itp.

Łatwo odgadnąć, jak silne wrażenie wywarły te niespodziewane wypadki na emigracyi. »Już tydzień żyjemy

pod ich panowaniem, pisał *Dziennik Narodowy* w pierwszym numerze po wybuchu rewolucyi (2 marca), a jeszcze zdaje się, jakoby to był sen; zmiany zaszły do nieuwierzenia, najpewniejsze, najoczywistsze, lecz tak śpiesznie, tak nagle, iż w rzeczywistość ich wierzyć zdaje się nie podobna«. Znowu, jak przed dwoma laty, zdawało się, że wybiła godzina wyzwolenia; wszak Francya rewolucyjna musi podać rękę narodom uciśnionym. Zaraz też, w cztery dni po wybuchu rewolucyi, odbyła się wielka manifestacya publiczna emigracyi. Kolumna, złożona z kilkuset emigratów, na czele której szedł generał Dwernicki, udała się w uroczystym pochodzie, wśród radośnych wiwatów publiczności, do ratusza, gdzie Dwernicki złożył od Polaków powinszowanie nowemu rządowi, przedłożył żądania Polski i nadzieje, jakie ona pokłada we Francyi republikańskiej i przedstawił projekt utworzenia legionu polskiego.

Chodziło o to, aby emigracya, rozdzielona partyjnemi spory, co prędzej się połączyła, uorganizowała i czekała w gotowości na wypadki, któreby ją powołały do czynu. W tym celu znaczna część ogółu paryskiego wybrała komisyę [1]), której zadaniem było doprowadzić do połączenia emigracyę i utworzyć komitet, który by był jej naczelnym urzędem. Ale nie wszystkie stronnictwa chciały zgodzić się na takie połączenie i uznać komisyę. Towarzystwo demokratyczne wobec tryumfu rewolucyi demokratycznej we Francyi o żadnem innem połączeniu nie chciało myśleć, jak tylko o takiem, żeby cała emigracya zapisała się w jego szeregi, a kiedy Towarzystwo Trzeciego Maja na posiedzeniu 5 marca uchwaliło przyłączyć się do Towarzystwa Demokratycznego, nie zrywając jednak swojej organizacyi, to i takiego warunkowego przystąpienia Cen-

[1]) Do komisyi obrani zostali: generał Dwernicki, Tomasz Malinowski, Wład. Dzwonkowski, Ferd. Rogiński, Ludwik Wierciński, Karol Hoffman i Henr. Nieweglowski.

tralizacya nie przyjęła; żądała ona, aby Trzeci Maj rozwiązał się i wszedł do Towarzystwa Demokratycznego pojedyńczo, wskutek czego monarchiści się cofnęli[1]).

Młoda emigracya, złączona w związku narodowym, której duchowym patronem był Słowacki, nie chciała również bezwzględnego zlania się z Tow. Demokratycznem, ale brała udział w staraniach o połączenie emigracyi w zupełnie nowej formie. Prezes komisyi, mającej na celu połączenie emigracyi, generał Dwernicki, prosił publicznie rodaków, ażeby »każdy, kto będzie miał myśl jaką, tyczącą się organizacyi, zechciał mu ją zakomunikować, jako materyał do zleconego mu zadania i to, jak świadczy X. Feliński[2]), nietylko świadek ale i uczestnik spraw owych, było pobudką dla Słowackiego do wystąpienia z własnym oryginalnym pomysłem uorganizowania się emigracyi. Pomysł ten wyłożył on naprzód na pewnem zgromadzeniu młodej emigracyi, która chciała jakiś nowy klub zawiązać, »w bliższem kółku«, jak opowiada X. Feliński, a następnie ogłosił drukiem p. t. »*Głos brata Juliusza Słowackiego do zgromadzonych i w klub zawiązać się chcących Polaków itd.*[3]).

Co to był za pomysł? Ziarno jego widzieliśmy już w drugim liście poety do X. Adama Czartoryskiego, a jest niem idea konfederacyi. »Wiadomo wam wszystkim, M. Panowie, mówił Słowacki, że w formowaniu się kryształu pierwszy stan i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, już ten kształt i tę formę zachowuje, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się, i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno wszelkim organizowaniom

[1]) Patrz *Dziennik Narodowy* z dnia 25 marca 1848.

[2]) Pamiętniki X. Z. S. Felińskiego, I, 343.

[3]) X. Feliński nie objaśnia wcale, co to miał być za klub, który młoda emigracya chciała zawiązać, a o którym jest mowa w broszurze Słowackiego.

się ducha w ludzkości«. Tymczasem w Polsce po jej upadku politycznym nie brano tego na uwagę. Nauczyciele »od myśli republikańskiej polskiej młodzież odstręczali — nazywając ją anarchią, jej przypisując wszystkie nieszczęścia kraju, natomiast zaś wpajali w młodzież potrzebę zgody«, wystawiając ją jako »bezwarunkowe poddanie się woli jednego człowieka«. To też kiedy wybuchło powstanie 1830 roku, o formach polskich nie było wcale mowy, a chwycono się samych form cudzoziemskich. Więc była Rada administracyjna, dyktatura, kluby, sejm na modłę izby deputowanych; tak samo potem na emigracyi same formy francuskie: komissye, komitety, towarzystwa. Tak samo i teraz emigracya tworzy komisye, tymczasem powinna się tak zorganizować, aby się stała krysztalicznym zawiązkiem, wzorem organizacyi dla całego narodu. Musi zatem sięgnąć po formę czysto-polską, a tą formą jest konfederacya.

Było to, jakby powtórzenie rady, którą dawał Bartek Prusak na naradzie w zaścianku Dobrzyńskich, tylko uzasadnienie i wyjaśnienie tej formy było zupełnie inne. Należy wątpić, czy słuchacze rozumieli dobrze to, co im mówił Słowacki o pochodzeniu konfederacyi i o jej naczelnym urzędzie. Ponieważ według niego żadna konfederacya powstać i zawiązać się nie mogła bez uprzedniego *veto*, więc to veto, czyli idea zaprzeczenia była »naczelną osobą konfederacyi«, a pod nią dopiero »stawały dwie drugie osoby, przez zapał idei wybrane i okrzyknione za równe sobie, w trzecim duchu onego to zaprzeczyciela i ojca konfederacyi stojące i połączone«. Każdy więc rząd konfederacki był trójcą, chociaż składał się tylko z dwóch osób (zapewne z marszałka i regimentarza), bo trzecią osobą, ojcem konfederacyi było *veto* [1]). Dziś jednak,

---

[1]) X. Feliński (Pamiętniki I, 343—344), z pamięci widocznie odtwarzając przemówienie Słowackiego, znacznie odbiega od tekstu drukowanego.

sądził Słowacki, należało uwidzialnić tę abstrakcyjną osobę w jakimś człowieku. Takie trójce naczelne miały się tworzyć w jednej chwili po wszystkich prowincyach i poddawać się trójcy głównej, najwyższej.

Było to — rzecz widoczna — zastosowanie do polityki mistycznej nauki o tem, że do wszelkiego tworzenia potrzebna jest trójca. Niewątpliwie Słowacki wierzył święcie w cudowną moc formy konfederacyjnej, ale jak zawsze, tak i teraz tkwił w nim instynktowy lęk, aby powiew chłodnego rozumu nie zburzył kryształowej bańki jego marzeń, więc wypowiedziawszy swoją radę, prosił, aby pomysłu jego nie oddawano pod dyskusyę. Młodzi słuchacze, przejęci głębokiem uszanowaniem dla swego patrona-mistyka, zastosowali się do jego życzenia, i dyskusyi nie podjęli, nie wszyscy jednak musieli uznawać pomysł konfederacyi za szczęśliwy, ponieważ — jak dowiadujemy się z przypisku do broszury Słowackiego — tylko »niektórzy z braci przystąpili do związku i podpisali akt zawiązania się w konfederacyę«[1]. Podpisanych razem ze Słowackim było ośmiu, w tej liczbie Feliński i Ujejski.

Sam akt, po stylu sądząc, niewątpliwie wyszedł zpod

---

[1]) X. Feliński opowiada w swoich *Pamiętnikach* I, 344—351 jak zgromadzeni zawiązawszy konfederacyę, aby tę formę zalecić całej emigracyi, wyprawili poselstwo naprzód do generała Dwernickiego, potem do Mickiewicza, który jakoby wtedy powrócił był do Paryża. Sam X. Feliński miał brać udział w tych poselstwach. Otóż w tem opowiadaniu, przynajmniej o ile chodzi o Mickiewicza, złudzenie pamięci odegrało nadzwyczajną rolę, bo Mickiewicz wrócił ze swej podróży do Włoch dopiero w kilka miesięcy po owem zgromadzeniu (11 lipca 1848, patrz Wład. Mick. Żywot IV, 184), więc o żadnem poselstwie do niego mowy być nie mogło, i cała rozmowa X. Felińskiego z Mickiewiczem o konfederacyi, obszernie przedstawiona w *Pamiętnikach*, osnutą jest zapewne na jakichś mętnych wspomnieniach innego jakiegoś spotkania się X. Felińskiego z Mickiewiczem. W tym szczególe mamy przestrogę, jak ostrożną musi być krytyka nawet wobec świadectw najszlachetniejszych ludzi.

pióra Słowackiego [1]). Trójca wodzów konfederacyi, o której jest mowa w *Głosie brata Juliusza*, w akcie miała się składać z »brata kierującego duchem«, (który był tymczem »zaprzeczyciel i ojciec konfederacyi« w *Głosie*), »brata administratora czyli marszałka« i »brata żołnierza czyli regimentarza«. Ponieważ chodziło o to, aby całej emigracyi zalecić ten pomysł, całą ją pociągnąć do konfederacyi, zgromadzenie przez posłów, (Felińskiego i Andrzeja Fredrę) przedstawiło swój akt komisyi, której zadaniem było uorganizowanie emigracyi. Ale komisya spoglądała zapewne na ten akt takiem samem okiem, jakiem przed kilku miesiącami spoglądał *Trzeci Maj* i *Dziennik Narodowy* na nowy związek młodej emigracyi i ogólnemu zgromadzeniu, które ją wybrało, nawet nie wspomniała o nim.

Łatwo zrozumieć, jak to dotknęło Słowackiego i młodych konfederatów. Dnia 24 marca wydali oni nowy akt, w którym użalali się na komisyę emigracyjną, że lekceważyła ich pomysł, »ofiarą czynu naszego, z uszanowania jej poniesioną, pogardziła« [2]). Nie dali jednak za wygraną i dnia następnego (25 marca) już w zmniejszonej liczbie (6) obrali Trójcę wodzów dla swojej konfederacyi, którą określali, jako »konfederacyę przedwstępną do zorganizowania w Jedności usiłowań Ludu polskiego idącą« [3]). Obrani zostali jednomyślnie: Karol Różycki, Adam Mickiewicz i Władysław Dzwonkowski, jeden z członków komisyi organizacyjnej, przez ogół emigracyi obranej. Ostatniemu

---

[1]) Drukowany u Wład. Mickiewicza (Żywot Ad. M.) jako I dodatek do T. IV.

[2]) Ob. Wład. Mickiewicz. Żywot A. M., T. IV, str. 46.

[3]) Ten nowy akt konfederacyi, z liczbą 4, podany jest w korespondencyi Adama Mickiewicza T. IV. str. 63. Rzecz godna uwagi, że zamiłowanie konfederatów barskich w manifestach, które Słowacki wydrwiwał w *Księdzu Marku* ustami hetmana Branickiego, odezwało się echem w tej przez samego poetę zawiązanej konfederacyi.

zaszczyt należenia do Trójcy dostał się podobno przypadkowo. X. Feliński w liście do Maryi Góreckiej utrzymuje [1]), że Słowacki chcąc, aby konfederacya porwała za sobą cały naród, zalecał na członków Trójcy trzech najpopularniejszych mężów kraju, t. j. Mickiewicza, Różyckiego i X. Adama Czartoryskiego. Ale w chwili, kiedy przystępowano do wyboru, już X. Czartoryski wyjechał z Paryża do Berlina, aby być bliżej spodziewanych ruchów w kraju, i dlatego zamiast niego obrany został Dzwonkowski. Mickiewicz zajęty wówczas tworzeniem legionu polskiego we Włoszech, także nie był obecny w Paryżu, ale spodziewano się zapewne, że prędko powróci [2]).

Obrawszy wodzów, wyprawiono do tych, którzy byli w Paryżu, delegacyę z zaproszeniem do objęcia urzędu, ale ani Różycki, ani Dzwonkowski nie dali się nakłonić do objęcia wodzostwa nad tą improwizowaną przez Słowackiego konfederacyą. Wskutek tego zgromadzeni konfederaci, tym razem w liczbie tylko pięciu, wydali 30-go marca jeszcze jeden manifest (Nr. 5) [3]), w którym oświadczali, że ponieważ obrani wodzowie nie chcieli przyjąć ofiarowanego im urzędu, więc oni uważają się za wolnych od posłuszeństwa względem wodzów. »Postanawiamy nadto, — kończył się manifest — iż konfederacya przez ono uchylenie się wodzostwa, nieuorganizowana, zawieszoną być ma w formie swej i pełności aż do czasu, w którym z większą siłą i powagą zupełność swą działalną odzyska. — My zaś jako bracia skonfederowani i jednością idei związani — w duchu przyszłej Rzeczypospolitej polskiej działać postanawiamy«.

W ciągu pisania owych manifestów nadchodziły coraz cudowniejsze wiadomości o tryumfach rewolucyi

[1]) Wład. Mickiewicz. Żywot A, M. IV, 45.

[2]) Różycki był także w tych czasach za granicami Francyi (w Szwajcaryi), ale właśnie w dniu obioru (25 marca) powrócił do Paryża.

[3]) Ob. Wład. Mick. l. c. T. IV. Dodatek II.

w Wiedniu, w Berlinie, wreszcie o powstaniu w Poznańskiem. Cała emigracya zerwała się na nogi. Nie czas już było myśleć o jej organizowaniu, wszyscy rwali się do kraju. »Do Polski! do Polski! jednogłośny okrzyk Emigracyi naszej«, pisał *Demokrata Polski* z dnia 8 kwietnia. »Każdy radby przeszumiał wichrem, przemknął telegrafem; — skrzydło ptaka, kolej żelazna, za leniwe dla gorącej wyobraźni i chęci. Jedni pojedyńczo pośpieszyli i śpieszą; — drudzy oddziałami wyszli i wychodzą. Wszyscy da Bóg zejdziem się na ojczystej ziemi i na czas staniem do orężnej walki«.

Ten zapał ogarnął i naszych młodych konfederatów wraz z ich duchowym przewodnikiem; ogarnął, porwał i zaniósł w Poznańskie. Stało się to w kwietniu 1848.

Słowacki od początku zimy projektował na wiosnę podróż w stronę kraju, do Drezna, czy Karlsbadu, dla spotkania się z matką, która do jakichś wód mineralnych miała jechać, a której przedewszystkiem chodziło o zobaczenie syna po tylu latach rozłąki. Łatwiej było teraz matce poruszać się z powodu, iż wraz z Teofilami przeniosła się była na stały pobyt do Galicyi w okolice Lwowa, do wioski Ubienia, która przeszła spadkiem na nich po jakiejś dalszej krewnej i gdzie Teofil teraz na własnej ziemi miał gospodarować; — i łatwiej korespondować z synem. Jeszcze w październiku 1847 spadła na Słowackiego niespodziewana wiadomość, że matka wybiera się w odwiedziny do niego i wywołała z duszy poety szczery i gorący zachwyt, bardzo niepodobny do owej wahającej się radości, jaką okazał był przed dwunastu laty na podobną wiadomość. Ale w jesieni trudno było matce wybrać się w daleką podróż, więc odłożyła ją do wiosny. Cała korespondencya matki z synem z zimy 1847 na 1848 obraca się około tego projektu, ale od wybuchu rewolucyi lutowej listy matki nie dochodziły do rąk syna, on zaś pisał do niej i potem, ale zajęty politycznemi pla-

nami, nic pewnego nie mógł jej donieść, kiedy i gdzie się z nią spotka.

Znalazłszy się w Poznaniu, dokąd wskutek stanu oblężenia musiał z dyliżansu dostać się ukradkiem, dał znać zaraz matce o sobie. »Zdziwisz się zapewno, odbierając ten list z Poznania; ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina, że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach. Bóg i Pan mój pozwolił mi widzieć to i uczuć. A ja używam tego szczęścia, o ile mi jest wolno, ważnością chwili teraźniejszej uciśniony«. Donosił dalej matce, że nie wie, jak długo mu tu wypadnie zabawić, ale przyrzekał tak »kierować się«, aby jak najprędzej znaleźć się u matki w Ubieniu, gdzie »jako z długiej pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec« z rozkoszą położy się w tem łóżku, które mu matka przyrządzić każe. »Jak blisko ta chwila? nie wiem, bo mam obowiązki, od których tylko sam Bóg uwolnić mię może« [1]).

Jakie to były obowiązki? i co porabiał Słowacki w Poznaniu? W mieście tem panowały wówczas dziwne stosunki. Pod wpływem rewolucyi berlińskiej i powrotu do Poznania więzionych dotychczas w Berlinie, a teraz uwolnionych rewolucyonistów polskich z r. 1846 r., jak księgarz Stefański, Libelt i inni, (Mierosławski przybył później), agitacya rewolucyjno-narodowa objęła wkrótce Poznań i całą prowincyę. W Poznaniu obrano komitet narodowy, który miał przyszłą akcyą kierować. Rząd pruski, czując chwilową słabość swoją wobec tego ruchu, nie występował przeciw niemu otwarcie i stanowczo, wchodził nawet w układy z przewódcami, a jednocześnie przeciw żywiołowi polskiemu podburzał ludność niemiecką i żydowską Poznania i gromadził siły.

Słowacki trafił na tę chwilę do Poznania, kiedy już w Poznańskiem zgromadziły się znaczne oddziały ochot-

[1]) Listy II, 284—285.

ników do powstania narodowego i czekały rozkazów od komitetu narodowego. Jego młodzi towarzysze podróży ruszyli zaraz do oddziałów, on, wątły, schorowany, wyschnięty i myśleć o tem nie mógł. Wszakże musiało mu to sprawiać tajemne zadowolenie, gdy porównywał obecne swoje zachowanie się względem powstania narodowego z zachowaniem się swojem przed 18-tu laty. Wtedy, młody i zdrów, uszedł z ogniska ruchu rewolucyjnego, który własnemi pieśniami rozdmuchiwał, teraz znacznie starszy i słaby przybywał zdaleka do takiegoż ogniska, aby służyć narodowi, czem mógł, a co w jego oczach było ważniejsze od wszelkiej pomocy materyalnej — duchem swoim.

Słowackiego, jako sławnego poetę, z wielką czcią goszczono i przyjmowano w Poznaniu i przypuszczano do narad komitetu kierującego ruchem narodowym. Czy proponował on kierownikom, jakby się można było spodziewać, aby zastosowali do ruchu rewolucyjnego formę konfederacyi, której cudowne przypisywał własności? tego nie wiemy, ale wiemy z opowiadania Klaczki[1]), świadką ówczesnych narad politycznych, że wobec uwag rozważniejszych członków komitetu, ażeby nie dawać hasła do walki, nie mając broni i »na rzeź niechybną nie wydawać tych chłopów biednych, którzy nie mają nic więcej prócz kos«, Słowacki wystąpił ze zwykłą swoją pogardą dla środków materyalnych. »Cóż wy myślicie? miał mówić, czy się wam zdaje, że dzisiaj potrzeba jeszcze, jak dawniej, armat, pułków i oficerów, ażeby zwyciężyć? Jeżeli jesteście tego przekonania, to się mylicie, bo zaprawdę powiadam wam, że dzisiaj przyszła epoka świętej anarchii«... Wtedy to zapewne napisał satyryczny wierszyk

---

[1]) F. Hoesick. U Juliana Klaczki. Szkice i opowiadania historyczno-literackie. Warszawa 1900, str. 481—4, a także Życie Jul. Słowackiego III, 470—472.

Wiwat Poznańczanie, w którym wyśmiewał ociąganie się Poznańczyków z ruchem dla braku broni [1]).

Życzenia Słowackiego spełniły się: rzucono się do walki, nie licząc się z materyalnymi zasobami własnemi, ani z siłą wroga. Na scenie powstania zjawił się sławny z ulicznych tryumfów berlińskich Mierosławski, dzięki zamaszystej dzielności ludu wielkopolskiego zajaśniał paru zwycięzkiemi potyczkami, które żadnej przyszłości nie miały przed sobą i jak wirtuoz po odegraniu koncertu znikł ze sceny, zostawiając likwidacyę powstania tym, którzy widzieli całą jego niewczesność. Rząd pruski zabrał się teraz surowo i otwarcie do poskromienia ruchów i agitacyi rewolucyjnej, wskutek czego Słowacki po miesięcznym pobycie w Poznaniu, musiał się wynieść z tego miasta i szukać gdzieindziej schronienia.

Obrał za miejsce schronienia Wrocław, zapewne dlatego, ażeby być bliżej dogasających ruchów poznańskich, wreszcie, że stąd łatwiej było niż z innych miast niemieckich porozumiewać się z matką. Ale nie wzywał jej jeszcze, aby przyjechała do niego, naprzód dlatego, że nie był pewny, czy mu lada chwila policya pruska nie każe Wrocławia opuścić, powtóre, że zanadto był jeszcze zajęty wypadkami politycznymi. Pomimo widocznego upadku powstania, Słowacki, w pierwszych dniach pobytu we Wrocławiu, nie tracił jeszcze nadziei na szczęśliwy obrót wypadków i pełen był poczucia, że odegrał i wciąż jeszcze odgrywa wielką w nich rolę, rolę jakiegoś króla-ducha, nastrajającego duchy innych ludzi, rozdającego im siłę, rządzącego ich wolą. Bardzo wyraźnie odźwierciedla się to w drugim liście jego do matki, pisanym z Wrocławia z datą 14 maja:

---

[1]) Bliższe szczegóły o pobycie Słowackiego w Poznaniu można znaleść w poznańskim Dwutygodniku dla kobiet z r. 1881 Nr. 9., gdzie jest artykuł Juliana Bukowieckiego »Z moich wspomnień o Słowackim«.

»Siedziałem przez miesiąc gościnnie przyjęty w jednym domu poznańskim (u Bukowieckich), teraz siedzę w ciupie najętej u Niemca... jak ptaszek uwięziony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozsypanych braci moich, i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne, serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za Ducha Nieśmiertelność. Boży czas zaczynają«.

»Miesiąc ten życia mojego pełny cudów: spotykałem się z ludźmi, z któremi się spotkać było życia mego zadaniem. Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkim. Napełniony życiem, rozdający siłę, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem. Wola się moja z dopuszczenia Bożego pełniła« [1]).

Następnie prosił matki, ażeby nie miała żalu do niego, że nie jechał prosto do niej. »Zastanowiony byłem przez wypadki, które podług myśli Bożej przemienić i urządzić było potrzeba«.

Nie można czytać przytoczonych ustępów listu bez żalu i politowania dla biednego poety, któremu nieuleczalny obłęd wielkości odbierał wszelkie poczucie realnego życia. Jednakże możemy domyśleć się motywów, na których opierała się wiara Słowackiego w to, że odegrał rozstrzygającą, opatrznościową rolę w poznańskich wypadkach. Oto kilku młodych jego towarzyszy podróży do Poznania, przeważnie niedoszłych konfederatów, których mógł uważać za swoich uczniów, wstąpiło do oddziałów powstańczych i brało udział w potyczkach. Oni to, według jego mniemania, trafili do serc ludu wielkopolskiego i zapalili je ogniem od mistrza wziętym. Do takiego przypuszczenia prowadzi ustęp listu poety, pisanego także z Wrocławia, do młodego francuskiego malarza Petiniaud,

[1]) Listy II, 287.

który zostawał w przyjacielskich stosunkach ze Słowackim i nachylał się ku jego wyobrażeniom mistycznym. Podnosząc powstanie wielkopolskie na wysokość termopilskich bojów i ubolewając, że szlachta chce za każdą cenę pokoju i powstrzymuje wulkaniczne siły ludu, tak pisał o tym ludzie. »Oh, mon ami, quel peuple! Je n'ai jamais rêvé un pareil. Il renferme en lui le germe de la nouvelle époque. Son éducation est un don Divin, — son élevation présente un miracle. Il y a deux ans le même peuple était reputé en Pologne pour un être le plus pourri et le plus matérialiste. Aujourd'hui, je vous dis, qu'il surpasse les compagnons de Léonidas — et qu'il fait honte aux blancs-becs de gentilshommes, qui veulent le commander. *Nos frères, seuls*, mon ami, *ont trouvé la clé, qui ouvre ces âmes* d'une sainteté primitive, *c'est avec eux seulement qu'ont fraternisé ces hommes rudes*, qui par leur courage héroique rappellent les anciens soldats de la garde de Napoléon« [1]).

Otóż przez »nos frères« rozumiał tu Słowacki niewątpliwie młodych swoich przyjaciół konfederatów, znanych zapewne dobrze Petiniaud'owi i braterskiemi uczuciami z nim związanych. Mogło mu się zdawać, że przez nich, jak już powiedziałem, wywiera wpływ na tok wypadków politycznych. Ale bodaj, czy i ten motyw jest potrzebny, ażeby zrozumieć słowa poety, że »jego wola z dopuszczenia Bożego pełniła się«. Był on tak wtedy rozegzaltowany i tak głęboko wierzący w cudowną moc swego ducha, że mógł bezpośrednio tej mocy przypisywać efemeryczne powodzenie oręża polskiego [2]).

---

[1]) Listy nieznane Juliusza Słowackiego. Bibl. Warsz. 1896 T. I, str. 311—320.

[2]) Wiadomo, że uczeń Jakóba Boehma i wydawca dzieł jego, Gichtel, miał to przekonanie, że to nie Marlborough i Eugeniusz Sabaudzki pobili armię Ludwika XIV pod Hochstedt, Oudenarde i Malplaquet, ale on, Gichtel i to nie wychodząc ze swego pokoju, tylko siłą swego ducha.

Zaraz po przyjeździe do Wrocławia spotkał się z niespodziewaną a niepokojącą go osobiście wiadomością, że w Paryżu nagle umarł Jan Loman, dawny jego i dobry znajomy, którego ostatniej jesieni podczas niebezpiecznego zapadnięcia na zdrowiu mianował wykonawcą swego testamentu, któremu przed wyjazdem do Poznania poruczył wszystkie swoje interesa pieniężne, wręczył wszystkie papiery giełdowe, stanowiące naówczas główne źródło utrzymania poety. Bo trzeba zwrócić uwagę na to, czego dotychczas nie uwydatniałem, że poeta przy najwyższym idealizmie i najwyższej pogardzie dla chleba powszedniego i jego zjadaczy, odznaczał się wielką zabiegliwością w sprawach pieniężnych i umiał spekulować papierami giełdowymi — zapewne przy pomocy jakichś doradców, może właśnie Lomana — tak szczęśliwie, że, jak własne rachunki jego świadczą, w r. 1843 zyskał na akcyach 1800 franków, w r. 1844 — 3400, a w r. 1845 — 5300 fr.[1]), co jak na niewielkie summy, któremi obracał, stanowi zysk ogromny. Miał też całą teoryę gotową, która jego idealizm sprowadzała do harmonii z wielkiem uszanowaniem dla pieniędzy, dla kapitału ruchomego.

»Szczęście człowieka, zbliżającego się najbliżej (sic) do szczęścia duchowego i rajskiego — są słowa poety — jest w wolności jego i w wolności połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach, a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały. Panowie nasi najwięksi ziemni (t. j. właściciele ziemscy) są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że je w każdym dniu mogę na jakibądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się niemi«.

»Ziemie obszerne robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój. Gdy przeciwnie w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały

---

[1]) Zobacz Biegeleisen Dzieła Jul. Słowackiego V, 491.

kraj, który za nie odpowiada. Mimowoli musisz dobrze życzyć każdemu ze współżyjących. Gdy cię kto chce ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawiają niby na gwiazdach... Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz, a twej miłości zadość uczynić [1]).

Otóż nagła śmierć Lomana groziła poecie obcięciem tych skrzydeł, które go nad ziemią utrzymywały, odjęciem tej wolności materyalnej, która mu była potrzebną do zachowania wolności duchowej. Napisał też zaraz do Petiniaud'a list, ażeby się wywiedzieć, jak rzeczy stoją i prosić go o zabezpieczenie wręczonych Lomanowi akcyi; a ponieważ zdawało mu się, że zostaje w ciągłem bezpośredniem zetknięciu z Bogiem i w każdem zdarzeniu upatrywał jakąś wskazówkę dla siebie z góry, więc i w tej śmierci widział ją naturalnie, ale nie mógł jej zrozumieć. »Je ne sais vraiment, comment considérer cet événement, qui me vient de la part de Dieu, tandis que je le sers avec tout le zèle, dont mon âme est capable« [2]). W każdym razie widział w tem jakąś przestrogę z ręki Boga. »Nie zostawia mnie także Pan mój bez zatrwożeń i pogróżek«, pisał współcześnie do matki.

---

[1]) Listy II, 336.
[2]) Bibl. Warsz. 1896, I, 318.

ROZDZIAŁ XXIV.

Rok przedśmiertny.

1848—1849.

Pragnienie i obawa spotkania się z matką. — Nieporozumienia adresowe. — Matka i syn we Wrocławiu. — Rozstanie się; zabiegi matki w interesach księgarskich syna. — Słowacki po powrocie do Paryża. — Niezadowolenie z listów matki. — Wuj i siostrzeniec; rady dla wuja. — Nowy niepokój o matkę i uspokojenie. — Lipskie wydanie wiersza *Do autora trzech psalmów*. — Trzy teksty tego wiersza; co o nich sądzić? — *Psalm żalu*, jako odpowiedź Słowackiemu. — Ostatnia zima z marzeniami o wiośnie. — Choroba, testament. — Kiedy pisany wiersz: »*Testament mój*«. — Ostatnie chwile, śmierć i pogrzeb.

Trwoga pieniężna prędko minęła, ustępując miejsca pewności, że kapitał zostawiony w Paryżu nie ulegnie zatracie; ale za to nadzieje polityczne, któremi jeszcze w pierwszych dniach pobytu we Wrocławiu widocznie łudził się poeta, z każdym dniem bladły i gasły. W końcu nic z nich nie zostało i wtedy poeta wszystkie myśli zwrócił w stronę matki, wszystkie pragnienia skupił w jednem pragnieniu: zobaczenia się z matką po 18 latach rozłąki i zaczerpnięcia w jej uścisku nowych sił do »służby Bożej«, wzmocnienia wiary swojej w swoje wysokie posłannictwo. »Widzieć się z tobą — pisał 18 maja — byłoby dla mnie wielkim szczęściem w tych czasach, w których mię wiele rzeczy boli i udręcza. Choćby więc na ty-

dzień przyjedź, a ja cię będę czekał w dzień umówiony na drodze żelaznej, i postaram się dla ciebie o mieszkanie«. Ale pragnąc przyjazdu matki, lękał się go zarazem; lękał się, czy on zamiast rozkoszy i wzmocnienia wiary we własne siły nie przyniesie mu osłabienia tej ostatniej, jeżeli matka, nie dostrojona do synowskiego tonu, będzie nań spoglądała dawnemi oczami i według dawnych marzeń oceniała jego stan dzisiejszy. »Odpisz mi, droga, jaknajprędzej i powiedz, czyli będziesz mogła przyjechać i czy będziesz dość silna, abyś mię znów mojej służbie Bożej i Bogu oddała, bez żadnego zachwiania się i bez żadnej boleści, którąby skruszyła siły moje«[1]).

Takie obawy, wywołane myślą o spotkaniu się z matką, nie poraz pierwszy Słowacki wypowiadał w listach do niej. Podczas ubiegłej zimy, kiedy ciągle na horyzoncie jego nadziei i matki było ich spotkanie się na wiosnę, i kiedy matka w listach swoich w zwyczajny sposób macierzyński wypowiadała niecierpliwą tęsknotę do tej chwili i snuła marzenia daleko odbiegające od marzeń syna (np. jakąby to rozkoszą dla niej było zamieszkać z synem w jakim domku wiejskim z ogródkiem); — wtedy z przerażeniem spostrzegał Słowacki tę przepaść, jaka dzieliła jego wyobrażenia o życiu i szczęściu od wyobrażeń matki. »Wystawić sobie, droga moja, nie możesz — pisał 28 grudnia 1847 — ile ja jestem utęskniony do widzenia się z tobą, lecz to dlatego, abym choć jednę chwilę mógł się uczuć z tobą w jednem uczuciu, nie we wspólności serc tylko razem bijących, ani też w myślach wspólnie rozweselonych, ale w jednym mówię duchu, który rządzi sercem i myślą. Teraz serce twoje jest ze mną. Ale myśli często się mijają; ty innych rzeczy dla mnie pragniesz, o innem szczęściu dla mnie marzysz. Gdyby się spełniły

[1]) Listy II, 293.

prośby twoje, niesione do Boga, płakałabyś sama, będąc w Bogu i widząc, coś uczyniła«.

»Więc ty myślisz istotnie, że ja mam prawo siąść w domeczku wiejskim i zakładać ogródek? A skądżeś ty wzięła ducha mego, gdyś go rodziła? Czy z ogrodu jakiego wyszedł? czy bez czucia? czy bez zdolności? czy z naturą podłą człowieka starca, który przez czterdzieści lat myślał już tylko o brzuchu i o strzelaniu na kaczki? Wszak zda mi się, że przyszedłem zdolny czuć i podzielić z tobą całą piękność czującej i wykształconej nieszczęściami duszy twojej, a nigdy ciebie nie zawstydziłem, ani upokorzyłem podłością jaką, w mojej będącą naturze, bom gdzieś ofiary czynił już przed światłem żywota — i teraz czynię — i jeszcze więcej chcę, abym czynił, coraz wyżej idąc w piękności i świętości ducha mojego — oczekując chwili, w której się znów z ducha narodzę — jeżeli upokorzony, to nie przez winę moją — bo wola moja jest iść przez Boga — nie przez ziemię«. Gdyby matka prosiła Boga o taki odpoczynek dla syna, któryby mu »bracia« w jakiejś »chacie ciepłej, drewnianej koło miasta« zgotowali przez wdzięczność za to, że ich uzdrawiał miłością i pracą ducha, to jeszcze taką prośbę by rozumiał, choć i wtedy smuciłby się, że matka prosi o spoczynek dla niego. »Bo szczęście jest to ruch wewnętrzny ducha i wywieranie miłości na zewnątrz. Kto nic z siebie nie tworzy i nie wyciąga — ten nie zbogaci się na ziemi; sama wiesz, że władza uczucia szczęścia jest szczęściem — wszak to wiesz dobrze« [1]).

Bał się tedy syn, ażeby matka, przy spotkaniu się z nim, swojemi wyobrażeniami, tchnieniem swoich pragnień ziemskich nie roztrąciła tego czarownego gmachu anielstwa, w którym czuł się tak silnym, wielkim i szczęśliwym. Następny list matki jeszcze zwiększył te obawy. »Ostatni twój list — pisał 22 stycznia — zasępił mnie

[1]) Listy II, 273—274.

Miłości twojej takiej, jaka w nim jest, nic we mnie nie odpowiedziało. Może to jest ubóstwo ducha mego; wtenczas płacz nademną i przebacz. Ale że cię kocham, to wiem, ile razy spowiadam duszę moją i pytam ją, jak Bóg, czyliby życie za ciebie w potrzebie ofiarowała? Spróbuj mnie, droga moja, jako człowieka, ale nie baw się mną, jak dzieckiem. Gdy ci ksiądz mówił, że w stworzeniu kochać się nie wolno, nie uczułaś prawdy tych słów, bo ksiądz je mówił, jak papuga; ale gdy ja ci powiem, że wzdrygam się mimowolnie na taką miłość, a zarazem powiem, że jestem spragniony miłości matczynej, może uwierzysz i uczujesz. Świętą jest rzeczą matce widzieć się z synem, ale mówić, że patrząc się na niego, będzie się rozpływała, że w tym znajdzie szczęście, mówić to i pisać takim tonem, jest to ściągać na siebie i na syna nieszczęście. Bo wolałbym być pod ziemią, niż być jakiemu człowiekowi celem żywota; wierzaj mi, że przez miłość dla ciebie radbym być teraz z ziemi zabrany raczej, niż być tobie dostateczną nagrodą i całem westchnień ducha twego zaspokojeniem«.

Skąd pochodziło to pełne wstrętu odpychanie miłości macierzyńskiej? Tylko stąd, że matka pojmowała syna podawnemu, tak jak on sam siebie dawniej pojmował, jako jakiegoś polskiego Byrona czy Szekspira i takim go kochała, a niezdolna była podnieść się do jego teraźniejszego wyobrażenia o sobie, że jest wybrańcem Bożym, jakimś nowym Mojżeszem, mającym światu podać nowe objawienie.

»I ty droga moja, gotujesz sobie wielką boleść, bo sądzisz mnie człowiekiem pełnym słabości ludzkich, żądz niezaspokojonych, nadziei na przyszłość, celów różnych chciwym, który wszędzie czemściś zająć się szuka, czas zwykł był przepędzać mile, od nudy ucieka, rzeczami się bawi, ludzi naśladuje. Wszystko to jest snem twoim o mnie, który ty strać z oczu, a wróć do dawnego pojęcia, któreś raz o mnie w liście wyrzekła. Jestem człowie-

kiem, który ma *une idée fixe* i w niej żyje, i żyje póty, póki w niej żyje, a bez niej żyćbym się nie zgodził nawet w raju, nawet w Polsce, gdyby ona tą ideą nie była«.

»Do jakiegoż ty mię stanu przywiodłaś? Oto muszę się fixatem nazwać przed Matką moją, abym wytłómaczył duszę moją! O, jak bolesny jest świat i bez wiedzy żadnej i bez wiary żadnej w wielkość, do której może urość człowiek z samą jedynie chłopka prostotą! Więc ty sądzisz, że ludzie będą zawsze tacy jak dziś, nic nie wiedzący, skąd przyszli i co robią na ziemi? Więc myślisz, że zebranie pewnej liczby talentów i pewnej ilości ludzkiego szacunku jest to wszystko to, do czego syn twój może dążyć na ziemi? A jeśli on ma od Boga to o czem jeszcze świat nie wie? Jeśli on przyszedł umyślnie na świat, aby powiedział i uczynił to, czego inni ludzie jeszcze nie powiedzieli i nie uczynili, powiedz, czy ty go sądzić możesz? A jeśli sądzisz, a nie rozumiesz, powiedz, jak mu to boleśnie?« [1]).

Takie obawy żywił syn i teraz, gdy wzywał matkę, aby przyjechała choć na krótko dla zobaczenia się z nim do Wrocławia. Wzywając był pewny, że list jego prędko dojdzie do matki i ta natychmiast przybędzie. Ale wskutek nieporozumień adresowych, ani pierwszy list wzywający, ani następne listy poety przez dłuższy czas nie dochodziły rąk matki, zalegając na poczcie. Nie odbierając odpowiedzi od niej, Słowacki niecierpliwił się, niepokoił, słał jeden list za drugim, ale wszystkie bez echa tonęły w głuchem milczeniu. W tem niespokojnem oczekiwaniu zapominał już o obawach, które przedtem myśl o spotkaniu się z matką wywoływała i o niczem już nie myślał, tylko o tem, ażeby coprędzej rozwiązać niepewność i niepokój oczekiwania.

---

[1]) Listy II, 278—279.

A mniej więcej w tym samym czasie matka nie odbierając wezwania od syna, nie wiedząc co się z nim dzieje, pisała żałosny, błagalny i do głębi rozczulający swoim tonem list do krakowskiego malarza Wojciecha Stattlera. »W chwili kiedy miałam zobaczyć syna mojego i jednem uściśnieniem nagrodzić sobie osiemnaście lat niepokoju, a jemu tyle bied tułactwa, znowu go nieszczęście rzuca daleko, a ja znowu pytam: czyliż go kiedy na tej ziemi zobaczę? Jesteś, Panie, przyjacielem jego, jesteś dobrym, zacnym, jesteś mi drogim, boś syna mojego polubił«... »chciej mi donieść, co wiesz o nim, czy wyjechał z Wrocławia i gdzie jest teraz i daruj natrętnej prośbie zbolałej matki, Ty przyjacielu mojego Julka, mój przyjacielu«.

Dzięki pośrednictwu Stattlera Słowacki mógł się nareszcie porozumieć z matką i 9 czerwca pisał do niej: »Po różnych wędrówkach, od miesiąca już jestem we Wrocławiu i różnemi drogami piszę do ciebie, prosząc, abyś się starała przyjechać do mnie. Pisałem pod adresem bankiera i Sylli, pisałem do Sylli poste restante, pisałem do Teofila do Ubienia, pisałem przez trzy okazye, a w każdym z tych listów zawsze to jedno — przyjeżdżaj i pobłogosław mię, nim Pan Bóg porwie mię znów na drogi swoje... Jeżeli zaś przyjechać nie możesz, pisz, donoś mi, co się z tobą dzieje, bom już od miesiąca obumarły w oczekiwaniu i w tęsknocie« [1]).

Zaraz po odebraniu tego listu od syna matka w zachwycie pisała do Stattlera: »Panie! Jesteś wielkim moim dobroczyńcą, bo mam list Julka i wiem, gdzie go widzieć mogę... To takie szczęście dla mnie, że ledwie wierzyć mogę, aby się ziściło«.

Ziściło się snute przez osiemnaście lat w tęsknocie i łzach marzenie matki: około 20 czerwca znalazła wreszcie syna we Wrocławiu. Ale jakim go znalazła! Jak nie-

---

[1]) Tamże II, 299.

podobnym był ten, którego witała, od tego, z którym się przed ośmnastu laty żegnała! Tamten był prawie dziecko jeszcze, z puchem młodości na twarzy, z wyrazem wzgardy na ustach, z blaskiem najświetniejszych nadziei na czole, z nierozwianemi jeszcze marzeniami o »kochankach, koronach i wieńcach«, które mu się śniły niegdyś w dziecinnym pokoiku »na przeciwko wież St. Michalskich«. Teraz stał prawie szkielet przed nią, z gorejącemi jedną ideą oczyma, tą ideą, w której skupiło się całe życie jego, »bez której żyćby się nie zgodził nawet w raju, nawet w Polsce, gdyby ona tą ideą nie była«.

Jakież sprzeczne uczucia musiały miotać sercem matki, gdy we Wrocławiu stanął przed nią wysiadającą z wagonu, a ona chwyciła go w swoje objęcia. Przygotowaną była wprawdzie trochę do tego, co miała zobaczyć, bo jeszcze w zimie pisał do niej: »wielkiego mizeraka syna oddam ci, zamiast tego, któregoś ty na świat wysłała«, ale należy wątpić, czy jakiekolwiek przygotowanie mogło zahartować serce matki na widok tej zmiany, jaką znajdowała w postaci syna. Gdybyż mogła się była przejąć tą ideą, która była wypisana na twarzy jego, gdyby mogła uwierzyć, że jest nowym Mojżeszem, to światło tej wiary olśniłoby ją może i zakryło przed nią całą ruinę ciała. Ale nie, ona tej wiary nie miała, i w tym, który stawał przed nią, trwożnie szukała resztek dawnego Julka.

Ileż tam łez gorzkich matczynych musiało się polać w ukryciu przed synem! Bo przecież dobrze matka pamiętała groźne przestrogi syna, że jej boleść mogłaby skruszyć jego siły, a jej nieufność dla jego roli objawiciela, zakrwawić mu może serce. Więc w symfonii uczuć, która przepełniała jej serce, gdy w cichym Wrocławiu teraz sam na sam przez dwa tygodnie obcowała z synem, musiała hamować dźwięki żalu i trwogi, które się kojarzyły z dźwiękami radości.

Obraz matki i syna i ich stosunek wzajemny podczas

owego pobytu we Wrocławiu, wybornie się odźwierciedlił w liście ich wspólnie pisanym do Filów. Szczera, prosta, bezpretensyonalna dusza matki, zawsze po dawnemu szukająca chluby z Julka, w tych wypowiadała się słowach: »Julo chciałby bardzo być w Ubieniu, chociaż tak, jak i ja nie rości sobie do niego prawa i nigdy gospodarować nie myśli, tylko przy was niekiedy dla odetchnienia chciałby posiedzieć i przypomnieć sobie niejako wakacyjne czasy w Mickunach przebyte, bo mu tam było najmilej i z największą przyjemnością rozpamiętywa, z jaką swobodą duszy przebiegał lasy i kąpał się w Wilejce; z jakiem uczuciem przebiegamy myślą upłynione czasy, z jakiem się zastanawiamy nad upływającemi i przypływającemi, trudno Wam to wyrazić«... »Tu tak spokojnie, a niewiele wiem, co się na świecie dzieje, gdyż gazet żadnych nie mam, tylko Julo wpada na pół godziny do cukierni, przebiega niektóre i powraca, abym nie traciła czasu, nie widząc go«. Potem pisała o jakichś dwóch nieznanych nam portretach syna: »Odbierzcie portret zrobiony przez Gaszyńskiego, bo niepodobny i gamoniowaty, podobniejszy ten, co Filo robił, niech go nie stracą. Julo jeszcze teraz bardziej ma fizyognomię myślącą i więcej schudzoną, spokojny, poważny« [1]...

W tym samym liście syn, nastrojony na ton apostolski i wpatrzony w swoje urojone posłannictwo Mojżeszowe, tak się odmalował, pisząc o sobie i swoim możliwym przyjeździe do Ubienia. »Chciałbym do was z całą swobodą ducha przyjechać — aby pod waszemi drzewami odpocząć — teraz zaś — nie należę do siebie — ale mnie Bóg gna — i ciągłe każe składać ofiary. Ofiarą to będzie także wielką, jeśli teraz nie zobaczę się z wami, bo chciałbym choć noc jednę po tylu latach tułaczki przespać na łóżku,

---

[1]) Charakterystyczną w swej prostocie jest i pisownia matki w tym liście, mianowicie *o* najczęściej zastępuje miejsce *ą* np. straco zam. stracą itp.

któreby mi Siostra Wujenka zasłała świeżemi i pachnącemi zielem domowem prześcieradłami — choć jedną ucztę zjeść w domu krewnych, którzy mię zawsze kochali. Wierzcie mi, iż wyświęcona moja natura tego teraz jedynie pragnie, aby dary miłośne od ludzi odbierała i wdzięcznością za nie rozweseloną być mogła. Przygotujcie się więc na to, że mię kiedyś nie dzień jeden, ale całe miesiące w waszym Ubieniu gościć będziecie, bo ja z mego podróżnego stanu i charakteru już wyjść nie mogę — i tylko jako podróżny aż do śmierci być muszę. Wszelako wasz dom wydaje mi się zawsze piękną gościną i drzewem najweselszego odpoczynku... Oto więc was proszę — abyście zawsze z lampami zapalonemi czekali na mnie, czekając, aż do drzwi waszych zapukam« [1])...

Prędko nadeszła chwila rozstania się; matka musiała odjechać na wschód do Lwowa, syn na zachód, do swoich pokoików paryskich, które na niego działały »sposobem kaplicy«. Przy rozstaniu się, matka spełniła to, czego syn pragnął, dlaczego głównie chciał się z nią widzieć: dała mu błogosławieństwo na tę »służbę Bożą«, o której w głębi serca powątpiewała. »Wierzę w słowa twoje ostatnie — pisał do niej Słowacki z drogi do Paryża — wiem, że mnie czujesz i kochasz mnie takiego, jak jestem, a to mi zdjęło z serca najboleśniejszy kamień... Zawsze się lekałem, aby ci na oczach stanąwszy, nie być boleścią i dni twoich nie zatruć. Ale tyś się zgodziła z wolą Boga, oddałaś mię Jemu — wszystko największe spełniłaś. Zwycięstwo twojej miłości nademną jest zupełne. Nic nie ma we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowach twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła« [2]).

W tym samym liście, chcąc sprawić matce przyjemność, a zarazem i sobie, donosił jej, jak w Dreźnie na

[1]) Listy II, 305—306.
[2]) Tamże II, 309.

promenadzie spotkał się z »liczną przyjaciół gromadką« i »musiał dawać jej posłuchanie«, a przyjaciele »byli tak liczni, że pani Branicka, córka Hermana, siedząc daleko, pytała ojca, co to tam się dzieje, że się tak wszyscy zbiegli i tak się witają. Nie uwierzysz, droga moja, jak mi było miłe to zapytanie młodej a znanej mi dzieckiem kobiety, która się liczbą miłujących mnie ludzi zdziwiła«.

Matce musiało być przyjemnie, gdy w ten sposób z pod szaty Mojżeszowej ukazywała się jej postać bardzo podobna do dawnego Julka, którego tak dobrze rozumiała. Powróciwszy w okolice Lwowa, z największą gorliwością zabrała się do uregulowania interesów księgarskich swego syna. Chodziło o to, aby zalegające u niego na składzie dawne wydawnictwa puścić w ruch księgarski w Galicyi i w tym celu matka weszła zaraz w układ z księgarzem lwowskim Milikowskim. Chodziło jej także o to, ażeby sława jej syna nietylko przez książki, ale i przez medaliony szerzyła się po świecie.

Słowacki nie przeszkadzał matce w tych staraniach, ale czuł, że one z jego charakterem apostolskim nie rymują jak należy. »Interesa książkowe tak prędko mi załatwiłaś — pisał do niej 1 sierpnia z Paryża — że aż się zdziwiłem. Widzę, że ty żywa i umiejąca chodzić po świecie za światowemi rzeczami; ja przeciwnie; ciężą mi one, a co powiem więcej, przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszerowi; chciałbym przesiać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarnek czystszego zboża dać moim miłym na siejbę. Nadto wysoko ważę teraz ducha Polski. Wstyd mi wielu melancholii Byrońskich, strach, aby one nie zaraziły innych. Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, poślę wszystkie żądane książki, zniżywszy je tak w cenie, aby frank znaczył złotówkę«...

»Co do medalionów, te trzeba kazać odlewać na nowo

i to w znacznej liczbie, bo jednego ani dwóch nikt się nie podejmie zrobić; skoro więc ułożę się ze snycerzem, poszlę, jak żądasz. Wyznam ci jednak, że mi to z trudnością przychodzi samemu o własnej twarzy myśleć; ty nie wiesz, jak to upokarza! jak szkodzi! uczynię to jednak niezawodnie« [1]).

W następnym liście, powracając do układu z Milikowskim, jeszcze silniej może wyrażał niechęć ku dawnym swoim utworom poetyckim. »Dobrzeby jednak było, gdyby Milikowski, zachęcony wyprzedażą łatwiejszą i zyskiem, zgodził się kiedyś zabrać resztę edycyi i uwolnił mnie od pak, które mi są nawet na oko niemiłe, bo chciałbym, aby niektóre z nich nigdy były nie wyszły. A następną edycyę robiąc, starać się będę niektóre z moich niedokończonych poematów zatracić«.

Czy Słowackiemu nie przychodziło do głowy, że miał inne sposoby uwolnienia się od utworów, które mu nawet na oko były niemiłe, szczególnie od tych, o których sądził, że lepiejby było, aby nigdy były na świat nie wyszły? Dlaczego przyczyniał się do rozpowszechniania utworów, które poczytywał za godne zatracenia? Była w tem niekonsekwencya, jakaś słabość dla dzieci swojej muzy, które uważał za nieprawe, może chęć dogodzenia matce i młodym wielbicielom swojej poezyi, którzy w bezkrytycznej egzaltacyi nie robili żadnej różnicy między »wyświęconą« a niewyświęconą poezyą Słowackiego.

Jeżeli spytamy teraz, co to były za niedokończone utwory, których nie chciał w przyszłej edycyi widzieć, to odpowiedź na to znajdzie się wyraźna. Tylko trzy utwory wydane przez Słowackiego mogły być przezeń nazwane niedokończonemi, mianowicie: *Kordyan*, *Beniowski* i *Król Duch*. Że do *Króla Ducha*, którego dalsze pieśni ciągle pisał wtedy, nie mogło się odnosić jego potępienie, tego do-

[1]) Listy II, 311—312.

wodzić nie potrzeba; więc tylko *Kordyana* i *Beniowskiego*, t. j. pięć pierwszych pieśni wydanych, stawiał na indeksie swojej wyświęconej natury.

W Paryżu wrócił do swego dawnego życia, a po niejakim czasie i do dawnej samotności, która mu była nieraz koniecznie potrzebną dla utrzymania wiary w swoje wysokie posłannictwo i swoje mistyczne marzenia. Z młodych przyjaciół i wielbicieli swoich miał on dwóch tylko teraz w Paryżu. Jednym był Feliński, którym już dawniej zachwycał się w listach do matki, a o którym teraz pisał, że »ukochany to chłopiec, już z chłopca człowiek«, że »postępki jego były anielskie, wiedza rozkwitająca: stanie się kiedyś chwałą naszą«. Drugim — Józef Komierowski, właściciel ziemski z Łomżyńskiego, którego w listach nazywał Gdańskim przyjacielem, ponieważ przyjechał był do Paryża z Gdańska. Trzeba się domyślać, że obaj oni wskutek smutnego obrotu wypadków politycznych, tak w kraju rodzinnym, jak we Francyi, wskutek zawodów tyle obiecujących nadziei, czuli się przygnębionymi na duchu, a to przygnębienie źle oddziaływało na Słowackiego, tak, że rad był, kiedy odjechali, a on sam został ze swemi marzeniami.

»Co do mnie, zdrów jestem — pisał do matki 11-go września — i przez kilka dni samotności, na którą mnie wystawił odjazd moich kochanych, Felusia i Gdańskiego przyjaciela, pokrzepiłem się znacznie w sobie, bo samotność jest mi czasem potrzebną dla odzyskania wewnętrznej sprężystości. Omdlenia i zniechęcone duchy ludzi, którzy mnie otaczają, są mi nieraz zabójczą treścią; duch mój żyć z ludźmi bez zlania się duchowego nie umie. — Wiesz droga, że ich dla przepędzenia czasu, ani dla zabawy nie szukam, idę do nich, jak siła po siłę i dla siły... czasem odchodzę rozbrojony... jak kropla karminu w wodę wrzucona już nie odzyskana. Ale ja, droga moja, odzyskuję sam siebie, bo zawsze jakąś część zostawiam w świa-

tłach najwyższych Bożych, która mi powraca i oświeca resztki pozostałych sił we mnie duchowych«.

Ale jeżeli obcowanie z ludźmi, chociażby pokrewnych wyobrażeń, chociażby poddającymi się jego wpływowi, osłabiająco działało na ducha poety, zupełnie inny skutek wywierały listy od takich ludzi. Doniosłszy matce, że miał od »Felusia« z Tyrolu list »przecudnej piękności«, a od jednego z »młodych braci piękne przypomnienie się« z Krakowa, dodawał, że nigdy jeszcze tak listami nie żył, jak teraz, bo listy te nie były już tylko prostą gawędą rozdzielonych znajomych. »Listy od ludzi już podobnych sobie wnętrznościami ducha Bożego są prawdziwie zlewaniem się światłości i spromieniają się w duchu. O, jak dobrze módz odetchnąć odetchnieniami ludzi porozrzucanych po ziemi, którzy w westchnieniu o jedno proszą: aby duch prawdy i miłości wywiódł wszystkich na jednę wysokość i spodobnił sobie różne skarykaturowane ludzi natury i miłość wzajemną rzeczą podobną a nawet konieczną uczynił«.

Wobec pięknej frazeologii młodych przyjaciół, która wydawała się poecie »zlewaniem się światłości«, listy matki, która pozornie tylko, dla spokoju syna, godziła się z jego wyobrażeniami, ale w listach zapału dla nich wcale nie okazywała i przeważnie na realną stronę życia zwracała uwagę, — te listy wyglądały w oczach poety bardzo poziomo. Podejrzewał więc matkę, że ona nie zespoliła się z nim duchowo i innemi patrzy oczyma na niego, niż on sam na siebie i czynił jej z tego powodu wyrzuty. »Nic mi nie braknie w tym uweseleniu ducha mego, tylko, żebyś ty, droga moja, całkowicie ze mną była, bo mnie to czasem zasępia, gdy myślę, żeś ty może odjechała, o tej spokojności ducha mego niezupełnie przeświadczona, a zatem sama jej nie mająca; listy twoje są pohamowane i nic się z nich nie wydobywa, tylko, że zawsze jesteś dla mnie miłująca i łaskawa. Błogosławieństwa twego zupełnie nie mam, w pociechach moich udziału nie bierzesz, chociaż

wiem, że cierpiałabyś, gdyby mi się co boleśnego przytrafiło« [1]).

Ten poziomy nastrój matki, ten brak z jej strony wiary w wysokie, apostolskie posłannictwo syna, przypisywał zapewne wpływowi swego wuja a jej brata Teofila. Bo pomiędzy wujem a siostrzeńcem był kontrast zupełny: z jednej strony nieograniczona, »po za granicę ziemi wylatująca« ambicya i fantazya, nic się z rzeczywistością nie licząca; z drugiej — ograniczony zakres pragnień, a obok tego zmysł dla realnego życia. Pani Salomea zaś była na połowie drogi między nimi; z synem miała wspólną skłonność do marzeń i egzaltacyi, z bratem szczerość i prostotę uczucia. Więc w przytoczonym już liście pisał poeta do matki o wuju: »jego zbytnia troska i zapatrzenie się w ziemi robi mi go obcym i dawno już pozbawiło mię listów jego serdecznych, które dawniej tak miłe mi były, że sam wzrok rzucony na charaktery jego ręki, sprawia mi dotychczas najżywsze wrażenie»... I żądał od matki, aby starała się inaczej nastroić swego brata. »Weźże go ty, droga moja Matko, rękami za ramiona. Oczyma wypytaj oczy jego a potem wstrząśnij i obudź z tego letargu, w którym on może tylko względem mnie zostaje, podobny do umarłego, bez polotu wielkich żądz duchowych, które aż po za granicę ziemi wylatują z człowieka«.

W końcu listu zwracał się Słowacki już wprost do wuja i jego kłopotów gospodarskich i pisał: »Jeśli cię ta wioska dręczy, Filu, rzuć ją, a przyjeżdżaj tu, pracą osobistą zyskiwać życie, a szczęśliwszy będziesz, i ja ciebie jak brata mając, serce przy sercu, mocniejszy będę. Z niewoli się wydobywajmy, Najdrożsi moi, a nad niewolę głodnego żywota straszniejsza jest jeszcze niewola żywota przepędzonego w rozpaczy aż do końca«.

Słowacki przeczuwał, a może i wiedział coś od matki, że wuj mistyczne jego wyobrażenia traktował, jako

---

[1]) Listy II, 323—325.

rodzaj obłędu, a znów z dawniejszych czasów pamiętał, że to, co go wtedy najwięcej od niego dzieliło, to była ultra-bajroniczna pogarda dla świata, dlatego w następnym liście (9 października 1848) starał się wuja przekonać, że właśnie dzięki duchowemu przeobrażeniu, które w nim nastąpiło, stał się bliższym wujowi niż był dawniej. »Zdawało mi się, żeś podzielał z ludźmi zwyczajnemi tę pospolitą opiniją, która mnie i moich braci ściga teraz zaciekle, bez wyrozumienia, bez sprawiedliwości, jedynie przez tę nieszczęśliwą duchów niższych chorobę, która wszelkiemu wzniesieniu się idei nad powierzchnię jej teraźniejszą staje zawsze oporem. Smętno mi więc było, żeś nie starał się mnie samego wybadać, w ducha mego głębi znurtować, aleś niby odstąpił i powiedział: »No, Julek teraz stracony«. Bo wyznaj, Filu, że tak sobie powiedziałeś w sumieniu twoim, sądząc, że już wyegzaltowany nigdy się na nic nie przydam tej ziemi, ani się imę pługa, który innych ludzi tak ręce morduje... Otóż przeciwnie się dzieje, kochany Teofilu. Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojej, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, spadła ze mnie, a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi, niż ludzi blichtrem świecących, a że nie jestem bez miłości sprawiedliwej, dowiodę ci kiedyś, przyjechawszy do domku twego« [1]). A w późniejszym liście do wujenki błagał: »Nie oziębiajcie tej atmosfery, która nas duchy otacza i żywi. Choćby z pewną to trudnością wam przyszło, wzbudźcie w sobie miłości trochę dla mnie, a ja to poczuję i wypłacać się wam będę sercem, jak mogę« [2]).

Jakby chcąc dowieść wujostwu, że choć »wyexaltowany«, może się jednak na co »przydać tej ziemi«, przesyłał im w następnych listach rady, dotyczące gospodarowania i stosunków z włościanami, które podówczas świeżo

[1]) Listy II, 326.
[2]) Tamże II, 328.

po zniesieniu pańszczyzny były bardzo trudne i przykre i na które Teofilowie skarżyli się.

»List wasz ostatni zrozpaczony o wioszczanym waszym położeniu — pisał w grudniu 1848 — mocno mię zasmucił. Rozbierałem w sobie głęboko wasze położenie, czułem go (sic) boleśnie, bo wiem, co to mieć opodal gromadę ludzi, złą wolą ku nam wytężonych«. I przepraszając za śmiałość, podawał im radę, ażeby czynili tak, »jak to w Polszcze pod Warszawą wielu szlachty czyni«, to jest zaprowadzili gospodarstwo parobczane, a kreśląc dość szczegółowy obraz tego gospodarstwa, rzucał nań jakieś homeryczne blaski. »Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtora set złotych (jak pod Warszawą) karmieni przez Pana kartoflami najczęściej, byle dobrze słoniną okraszonemi, a rzadko mięsem w święta częstowani (jak to jest pod Warszawą) służyliby mnie wiernie i stanowiliby mi niby piekarnianą rodzinę moją, rześką i dobrze życzącą. Nierazbym z niemi słodko wieczór przepędził przy ogniu, zawezwawszy do rozmowy i pastucha, i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w tej wieczorynce. A wkrótce sam choć słaby, wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolę moją; nie na szerokość jej, ale na dobrą uprawę rachował; nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystko łożył; tak wkrótce stał się zdolnym powiększyć moją czeladkę i nie potrzebując już, mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczej, widząc mię słabym a wewnętrznie rozgniewanym, coraz gorzejby się podemnie podsuwali«.

Były to bardzo rozsądne i nic a nic nie tchnące mistycyzmem rady; a tak samo i następne uwagi, »że we wszystkim, chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić, trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywanie rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczyzna i królowanie szlachty polskiej jest jedną z takich rajskich róż,

które już Ewa Polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludu zyskała« [1]). Nie było także mistycyzmu, tylko zdrowy na świat pogląd i w tej uwadze, że jeśli się coś czyni szczerze w poczuciu dobra ogólnego, »choć bić będziesz kijem, ludzie kochać cię będą. I owszem jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorżką, wzgardą naszą fałszowi każdemu przynależną uderzyć. A gdy to czyniąc, nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej, tylko miłość rozważną i ojcowską« [2]).

Tylko ekonomiczne poglądy poety na znaczenie kapitału i ziemi, które już po części znamy, a które w przedśmiertnych listach poety do wuja były wypowiedziane. noszą zabarwienie mistyczne. Wuj zapytywał Słowackiego, czy mu nie potrzeba pieniędzy z dochodów gospodarskich, których część przypadała na poetę i czy mógłby, gdyby te pieniądze nie były poecie potrzebne, przykupywać za nie ziemi? Słowacki kilka razy odpowiadał, że pieniędzy nie potrzebuje, bo ma zapas dostateczny, gniewał się nawet za posądzenie, że odmawia przez delikatność (»delikatność ugrzecznionego człowieka uważam za szatańatwo«), ale przykupywaniu ziemi był najmocniej przewny, bo uważał, że każdy człowiek potrzebuje mieć tylko taki kawałek ziemi, któryby go w ostatecznym złym razie z pracy rąk własnych mógł wyżywić, kapitałów zaś w których jak już wiemy, Słowacki widział skrzydła, utrzymujące nas nad ziemią, nie powinien wkładać w ziemię. »Nie wrastajmy w grunt jak dęby, ani chciejmy podobnej dębom trwałości; duchy dębów cierpią, że sobie na lat tysiące piekielną nieruchomość u Boga uprosiły, ptakom zazdroszczą, komarom nawet, które chwilkę żyją wesoło. w złotym słońca promieniu ulatując, gwoli duchowi, który ulatywać pragnie« [3]).

---

[1]) Listy II, 330—332.
[2]) Tamże II, 334.
[3]) Tamże II, 337.

Matka niedługo bawiła przy bracie w Ubieniu; jeszcze z początkiem jesieni wróciła do Krzemieńca i odtąd listy od niej i wiadomości o niej stały się rzadsze, co wywoływało niepokój w synie nietylko o jej zdrowie, ale także i przedewszystkiem o stan jej ducha, o to, czy jej pogodzenie się z wolą Boga, ze »służbą Bożą« syna, nie było pozorne, czy wierzy ona w szczęście obecne syna i nie boleje nad zawodem dawnych nadziei.

Ostatnią w swojem życiu wigilią Bożego Narodzenia poeta przepędził samotnie w swoich pokoikach w takich smutnych rozmyślaniach o matce, a wkrótce potem pisał do wujostwa: »Niespokojność mnie jakaś przenika o Matkę moją. Tak rzadkie są wasze listy a w nich nigdy wzmianki, czy od niej był list, jak ona się ma? czy się nie dręczy biedaczka, w wielu rzeczach zawiedzione widząc swoje nadzieje. Bo wam zapewne to wiadomo, że spodziewała się widzieć Julka, a znalazła spokojnego człowieka, w którym bicie serca zostało odmienione, umysł spokojny, cierpliwość i zarazem obojętność na dniowe zmiany i smutki ludzkie. Jeżeli w jakiem natchnieniu nie zobaczy ona doskonale tego nowego stosunku, który jest między mną a światem, nieraz może dręczyć się będzie. Dotąd ją szczęście moje przyszłe utrzymywało, będąc celem jej myśli i westchnień, teraz może ona nie zupełnie w to uwierzyła, że szczęście moje jest we mnie i tylko przez rozweselenie się ducha mego w miłości i w Prawdach Bożych dopięte być może. Piszcie mi więc, a nawet przyszlijcie czasem który z jej listów, abym choć dotknął się papieru, na którym święta jej dla mnie ręka wyrazy kreśliła« [1]).

Bardzo prędko nadszedł list od matki i rozproszył obawy syna, a przynajmniej pomógł mu do rozpędzenia tych obaw. Po jego odebraniu Słowacki pisał do matki: »Ostatni twój list pełny miłości i dobroci był mi prawdzi-

[1]) Listy II, 329.

wie potrzebny, bo mię wiele rzeczy bardzo udręczało, a nadewszystko ta myśl, żeś ty nieszczęśliwszą niż przedtem w miłości twojej dla mnie do domku swego jechała, niby zawiedziona i w tych biednych resztkach nadziei, któreś z sobą była przywiozła. Ale tak nie jest, nieprawdaż? Ty już szczęście moje widzisz w moim widzeniu szczęścia — i po za uczuciem mojem nie szukasz dla mnie radości. Byłoby to próżno, a ty sama wiesz, że nie pozór szczęścia, ale rzetelność jego, to jest uczucie, szczęściem jest. Idzie więc o to, abym był zdrów i taki, jak jestem, długo zachował się dla ciebie«.

Zdaje się, że o tym samym liście pisał do wujostwa (22 stycznia 1849), »że pismo to było niepojętej pełne uroczystości, o niebiosa rozognione odbite i podniesione w duchu tak, jak mi było potrzeba czuć ducha ukochanej mojej, który już wysoko wsłuchany jest w głosy niebieskie i czujny i nie na samej już tylko ziemi dobra swego patrzący« [1]).

Pomiędzy wielu rzeczami, które Słowackiego udręczały — jak pisał do matki — pod koniec roku 1848, możemy się domyślać jednej, której tu pominąć nie można. W jesieni tego roku ukazał się *Psalm żalu* Krasińskiego, a prawie jednocześnie, bez wiedzy i woli Słowackiego wydano w Lipsku jego wiersz *Do autora trzech psalmów*. Tego wiersza, jak wiemy od najbliższych przyjaciół Słowackiego z ostatnich lat życia — Reitzenheima i Felińskiego [2]) — Słowacki nie miał zamiaru drukować, po części może, aby nie urażać Krasińskiego, najwięcej zapewne dla tego, że jego poglądy na centralizacyę demokratyczną i jej propagandę, musiały po rzezi r. 1846

---

[1]) Tamże II, 332—333.

[2]) Feliński. Pamiętniki I, 279—280 i Reitzenheim w przedmowie do swego szkicu (Juliusz Słowacki 1862 Paryż). Reitzenheim powiada: »Opuszczając Paryż przy końcu r. 1848, byłem z pożegnaniem u Juliusza, w rozmowie kilkogodzinnej i ostatniej pomiędzy nami ubolewał często, że ogłoszono ten wiersz«.

uledz zmianie. Ale wiersza tego nie ukrywał przed młodymi wielbicielami swej poezyi i jeden z nich, Cypryan Norwid, brat owego Ludwika, którego Słowacki uczcił aż dwoma wierszami, posiadał odpis tego utworu. Na wiosnę 1848 Cypryan Norwid bawił w Rzymie, tam zbliżył się do Zygmunta Krasińskiego, i jak się słusznie domyśla p. Hoesick, wtedy to musiał pokazać ten wiersz a nawet dać go do przepisania temu, przeciw któremu był on wymierzony. Musiał go dać bez wszelkich zastrzeżeń, bo inaczej, można być pewnym, Krasiński nie zrobiłby z niego publicznego użytku.

Że ten postępek »rzekomego« przyjaciela Słowackiego, jak go słusznie nazywa ks. Feliński, był nielojalny, w tym względzie, sądzę, dwóch zdań być nie może. Co się tyczy pytania, kto ten wiersz podał do druku, bez wiedzy i woli autora, w Lipsku, to są w tym względzie dwie wersye. Jedna z nich pochodzi właśnie od Cypryana Norwida. W swojej mocno pretensyonalnej a mętnej rozprawie o *Juliuszu Słowackim*, powiada on, że Słowacki chciał ten wiersz pewnego razu spalić, »ale obecny temu pan Edmund Chojecki z ognia rękopism wyrwał i w Lipsku wydał« [1]). Prof. Małecki w swojej monografii (III, 186) odrzuca tę wersyę, a na jej miejsce podaje inną, »z ust wiarogodnych«, jak powiada, zaczerpniętą. Podług tej drugiej wersyi rękopis, z którego wydanie lipskie zrobiono, przywiozła do księstwa Poznańskiego z Paryża pani Łubieńska, autorka powieści *Niedowiarek* — otrzymawszy go tamże od Mickiewicza, któremu, jak się trzeba domyślać, musiał przynieść ten wiersz ktoś trzeci. Od Pani Łubieńskiej dostał się on młodemu naówczas literatowi, Ryszardowi Berwińskiemu i tak mu się podobał, że Berwiński chciał go koniecznie ogłosić drukiem. »Przez pośrednictwo jednego z posłów wielkopolskich (Libelta), na osławiony Sejm niemiecki do Frankfurtu właśnie wtedy

---

[1]) O Juliuszu Słowackim Cypryan Norwid. Paryż, 1861, str. 170.

jechać zmuszonych, potrafił Berwiński przeprowadzić wiersz ów przez zagraniczną prasę — w Lipsku. Słowacki dowiedział się później o tem, kto bezpośrednio spowodował ten krok zupełnie widokom jego przeciwny. Były o to niemiłe i cierpkie bardzo korespondencye między Paryżem a Poznaniem! Ale co się stało, nie mogło być już odrobione«.

Nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że jedna wersya dałaby się pogodzić z drugą, a to przypuszczając, że owym trzecim, który pośrednio czy bezpośrednio dostarczył wiersza Mickiewiczowi, był Chojecki. Ale to rzecz podrzędna, tutaj chodzi mi o coś ważniejszego, mianowicie o to, jaki tekst wiersza *Do autora trzech psalmów* mamy uważać za prawowity, bo dwa dotychczas znane teksty, lipski (tekst pierwodruku) i lwowski znacznie się różnią od siebie.

Prof. Małecki we wskazanym tylko co ustępie bardzo surowej krytyce poddał tekst lipski. Przypuszcza on, że dostarczył go Mickiewiczowi ktoś taki, »który ją spisał sobie tylko z pamięci, a z pamięci lichej i słabej — nie zaś z rękopisu bezpośrednio pochodzącego z pracowni autora«. Uznając jedynie tekst lwowski, przez siebie wydany, za prawdziwy, takie przeprowadza między dwoma tekstami porównanie. »Niech tylko kto porówna wiersz rzeczony w tym autentycznym kształcie, jak go ukazuje wydanie lwowskie z r. 1866, z bałamutną jego redakcyą w edycyi lipskiej: a przekona się, że wyrazów a nawet zdań całych, jak najbezmyślniej poprzekręcanych, jest w redakcyi tej przynajmniej tyle, ile w utworze całym jest wierszy; nie mówiąc już nic o całkowitych ustępach albo zupełnie wypuszczonych, albo też danych w kolei niewłaściwej, t. j. takiej, że co miało nastąpić pózniej, idzie naprzód, a co miało być dane pierwej, następuje gdzieś o kilka dopiero stronic zapóźno«. Taki tekst — sądzi Małecki — nie mógł wyjść z pod pióra samego poety, zwłaszcza jeżeli to był odpis na czyste. »Jeżeliby to zaś miał być brulion: to go właśnie mam przed sobą; gdyż manuskrypt, z którego od-

drukowano wiersz ten w mojem wydaniu, jest to właśnie dopiero pierwszy rzut jego, z licznemi wprawdzie mazaninami i poprawkami po różnych miejscach, ale bez tych pomyłek, które wytykam — i bez żadnych też śladów... płomienia, z którego miał rękopis ten być wydobyty przez Chojeckiego«.

Otóż ten sąd Małeckiego o tekście lipskim jest niesłuszny. W istocie jest w tym tekście na początku parę krzyczących błędów [1]), ale tylko parę, wszelkie zaś inne wyrażenia, któremi tekst lipski różni się od lwowskiego, bynajmniej nie kwalifikują się do nazwy »bezmyślnych przekręcań«. Co się zaś tyczy przestawiania ustępów lub wypuszczania tych, które się znajdowały w brulionie, to mamy dziś pewność, że nie było to skutkiem nieładu w manuskrypcie, o jakim pisze Małecki, ale przeciwnie skutkiem tego, że Słowacki chciał pewien nowy ład do niego wprowadzić.

Dowodem na to jest nieznany dotychczas światu autograf wiersza *Do autora trzech psalmów*, nabyty niedawno przez prof. Kallenbacha dla Biblioteki Krasińskich w Warszawie, a dostarczony mi łaskawie przez Zarząd tej Biblioteki już w czasie, kiedy się drukował rozdział niniejszej pracy, poświęcony temu wierszowi. Autograf pisany czytelnie, starannie, poprawek bardzo mało; jest to widocznie odpis zrobiony przez poetę dla któregoś z młodych przyjaciół. U dołu pod tekstem jest notatka obcą ręką zrobiona, wskazująca, gdzie i w którym roku to się stało. Brzmi ona: »NB. Autograf samego mistrza w r. 1848 z Paryża«. Ponieważ od kwietnia do końca lipca w tym roku Słowacki nie był w Paryżu, więc autograf pochodzi albo z ostatnich pięciu miesięcy tego roku, albo z trzech

---

[1]) W szczególności jeden jest niesłychanie rażący błąd: »To nie chmurny lot i k a r a (zam. Ikara), który potrzeba policzyć na karb zecera, a raczej korektora. Ten to błąd widocznie tak oburzył Małeckiego, że w oburzeniu krytycznem wpadł w przesadę w sądzie o całym tekście.

pierwszych. Ostatnie przypuszczenie wydaje się bliższem prawdy z różnych względów, przedewszystkiem dla tego, że wiersz lepiej odpowiada owczesnym różowym nadziejom Słowackiego i jego młodych przyjaciół, niż przygnębieniu, jakiemu i on i oni ulegać musieli po rozbiciu się nadziei rewolucyjnych. Ale szczegółowa datą jest tu rzeczą mniejszej wagi.

Ważnem jest to, że porównywając nowy tekst, który będę nazywał warszawskim, z tekstami lwowskim i lipskim, przekonywamy się, że w pojedyńczych wyrażeniach różni się on i od jednego i od drugiego, że jest zatem trzecim tekstem i to takim, który pośrednie między dwoma dawnymi zajmuje miejsce, ale pod względem układu części jest zupełnie identyczny z tekstem lipskim i tych samych brak w nim ustępów, co i w tekście lipskim.

I tak po ustępie, który się kończy wierszem »Już go nie ma — i was nie ma« następuje w autografie warszawskim ustęp zaczynający się od słów: »Bądźże mi weselszej cery«, poczem idą dalsze ustępy w porządku lwowskiego wydania aż do słów: »Pod męką ciał leżący duch«. Potem dopiero mamy obraz Bogarodzicy na tle nieba (Duch, światło (zamiast: ogień), Młodość — Orla i żywa) aż do słów: »Człowiek dobrej woli«; potem ustęp: »A tu niżej — kilka krzyży« (zamiast: Pan poniży) aż do »Jak miesiąc w pełni«; potem hymn: »We łzach Panie ręce podnosimy do Ciebie«; potem zaraz ten ustęp, który się z hymnem naturalnie wiąże (W takim hymnie wieszczu stój) i na którym zamyka się tak tekst warszawski, jak lipski. Co się tyczy opuszczonych ustępów, to brak tu, jak w lipskim trzech: tego, który się zaczyna od wiersza: »Jam spróbował na mej głowie«, drugiego ze środka poematu, (Nie myśl, że wszystko na naszej łące) i bardzo pięknego końcowego (Lecz dopóki ty i twoi).

Jeżeli ten układ porównamy ze streszczeniem wier-

sza, które Krasiński podał w przedmowie do *Psalmu żalu*, to się okaże, że i Krasiński miał sobie dany wiersz w tym samym układzie i można się dziwić, że na to streszczenie nie zwrócił uwagi Małecki i że go to nie naprowadziło na myśl, że przecież układ lipskiego tekstu nie jest tak błędnym, jak go osądził.

Ostatecznie historyę tekstu tego wiersza wyobrażam sobie w następujący sposób. Słowacki napisawszy swój wiersz w końcu 1845, trzymał go przez parę lat w nieuporządkowanym brulionie. Ten brulion, wnosząc ze słów Małeckiego (»z licznemi mazaninami i poprawkami po różnych miejscach«) musiał być podobny do brulionów *Zawiszy Czarnego* lub *Króla-Ducha,* w których nieraz łatwo zabłądzić [1]). Kiedy w r. 1847 zaczęła otaczać Słowackiego młoda emigracya, demokratycznie i marzycielsko nastrojona, i okazywać wielkie uwielbienie dla jego poezyi, a nawet gotowość politycznego organizowania się pod jego kierunkiem, przyszła mu ochota pokazać jej i ów nieznany dotąd światu wiersz *Do autora trzech psalmów*. W tym celu wyciągnął go z brulionu, uporządkował strofy w nieładzie tam zapisane, tu i owdzie pozmieniał wyrażenia dawniejsze na nowe, które mu się, gdy przepisywał wiersz, wydawały lepszymi od tamtych, trzy zaś ustępy odrzucił zupełnie. Jeden z nich środkowy (Nie myśl, że wszystko na naszej łące) odrzucił może dlatego, że ten ustęp nie dawał się dobrze przypiąć do całości, a przytem pod względem siły wyrażenia był słabszym od innych; drugi bliższy początku (Jam spróbował na mej głowie), w którym była historya jego walki z »wrogami w Bogu«, odrzucił zapewne dlatego, że nie chciał w tę historyę wtajemniczać swoich młodych przyjaciół i że były inne jeszcze tam rzeczy, które owych przyjaciół razić mogły

[1]) Ten brulion, niestety, niewiadomo gdzie się teraz znajduje. Prof. Małecki przypuszcza (w liście do mnie), że go komuś darował, ale nie przypomina sobie komu.

(Myśl Boża rzucona przez Mongoły). Najtrudniej zrozumieć, dlaczego odrzucił tak piękny pod względem formy i zapału ustęp końcowy. Nie będę się wdawał w zbyt szczegółowe przypuszczenia, jakieby tu można czynić; powiem tylko, że i tu zapewne działał jakiś wzgląd na młodych przyjaciół, za których duchowego opiekuna uważał się Słowacki.

A teraz pytanie, czy Krasiński miał prawo odpowiadać publicznie na wiersz, zwrócony wprawdzie do siebie, ale ani przesłany sobie, ani ogłoszony drukiem, a tylko ukryty w rękopisie? Biorąc rzecz na ścisłą wagę, miał prawo odpowiedzieć tylko taką bronią, jaką był zaczepiony, to jest wierszem niedrukowanym. Zdaje się, że Krasiński uczuwał pewne wątpliwości w tym względzie, on, tak czuły na wszystko, co dotykało godności osobistej, ale nad wątpliwościami wziął górę wzgląd na dobro publiczne. Oto co pisał w przedmowie do *Psalmu żalu* o tej pieśni Słowackiego, którą nazywał »jedną z przedziwności języka polskiego«. — »Jeden ją wybrzmiał z piersi swych — ale po wielu piersiach drzemią zawarte w niej tchnienia. — Nie sposób jej tu w całości wydać, bo imię wieszcza, który ją wyśpiewał i wola jego o niej, nieznanemi. — Pokrótce więc tylko treść w niej leżących zarzutów i pomysłów się opisze. — Teć albowiem nie tylko są jednego wyłączną, rzeczywistą, ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością«. Chciał więc niejako odpowiadać tylko na to w pieśni Słowackiego, co było głosem całego stronnictwa, a odpowiedź miała być gorzką dla »wersalskich dzieci« nauką.

Ale wykonanie nie odpowiedziało zamiarowi; walka z zasadami, ze stronnictwem już na samym początku *Psalmu żalu* wystąpiła jako pojedynek ze Słowackim i w dalszym ciągu poematu nieraz taki charakter przybierała. Więc boleśnie musiał Słowacki odczuć takie ciosy wprost w pierś swoją wymierzone, jak np.:

Tyś odważny — ja się boję
Kazirodczych ran!
Bojaźń moją, męstwo twoje
Niech osądzi Pan!

Albo ten, który zaraz potem następuje:

Więc gdy padać miały trupy
Twych nieszczęsnych braci —
Gdy z nich mieli zdzierać łupy
Chłopi — Żydzi — kaci; —
Kiedy ziarno siane w śmieci
Od wersalskich dzieci
Zdradą miało zejść niemiecką —
Więc i ty jak dziecko,
W bańce siedząc własnych marzeń
Nie przeczułeś zdarzeń?
Nie wcieliłeś się w to ciało,
Co tak cierpieć miało!
Ach! Nie wziąłeś ran — przed ciosem
W pierś twą, magnetycznie, —
Aleś jednym wciąż piał głosem
Tylko fantastycznie!

Zarzuty były słuszne i tem boleśniej zapewne dotykały Słowackiego, ale czy słusznem było wyciąganie na jaw, na świat drukowany, i piętnowanie publiczne tego, z czego sam Słowacki nie robił użytku publicznego, co tylko niektórym pokazywał przyjaciołom? Na obronę Krasińskiego w tym względzie można to tylko powiedzieć, że jak sam występował bezimiennie, tak i przeciwnika nie nazywał po imieniu; wszakże tajemnica okrywająca imiona musiała bardzo prędko stać się, przynajmniej dla emigracyi, przeźroczystą.

Psalm żalu był takiem odparciem wiersza *Do autora trzech psalmów*, jakiem ten ostatni był względem *Psalmu miłości*, naturalnie z różnicą talentu poetyckiego, jaka zachodziła między twórcami tych utworów. Prof. Tarnowski zupełnie słusznie czyni *Psalmowi żalu* (z wyjątkiem pierwszych pełnych siły ustępów) zarzut »ciężkiej prozaiczno-

ści« i bardzo trafnie mówi o nim: »to nie psalm, to dyskusya« [1]). Otóż do tych słów chciałbym nawiązać uwagę, że Krasiński łaknął zawsze dyskusyi o ideach, któremi był przejęty, które wcielał w poemata i że to pragnienie dyskusyi mogło także odegrać pewną rolę w rozstrzygnięciu wątpliwości, czy właściwą jest rzeczą odpowiadać drukiem na rzecz niedrukowaną.

Znając wrażliwą i drażliwą duszę Słowackiego, łatwo przypuścimy, że ten psalm musiał silnie ją potrącić. Ślad tego potrącenia widzieliśmy już w uwadze o rzezi humańskiej zapisanej w dzienniku pod koniec r. 1848; wyraźniejszym jeszcze śladem są krótkie urywki poetyczne, drukowane z autografu w Warcie 1882 (str. 3992). Świadczą one, że poeta zabierał się do odpowiedzi na *Psalm żalu*, ale w jakim kierunku miała być ta odpowiedź, tego z nich dowiedzieć się nie można.

Dlaczego zaniechał odpowiedzi? Czy go *Król-Duch* odciągał od niej ku sobie? Czy po ostygnięciu z pierwszego wrażenia spoglądał na dalszą polemikę z Krasińskim, jako nieodpowiadającą nastrojowi, w którym się chciał utrzymać, a którego głównymi tonami były miłość i spokój? Wszakże na niedługo przedtem pisał do matki: »Ufam, że ci się nic nie stanie, jeżeli ja w ofierze i w pracy wytrwam, a nie dam się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu passyi duchowi, który mię nieraz do walki ze światem podmawia. O spokojność i miłość proś dla mnie Boga«... [2]). Bardzo być może, że oba względy działały tu razem.

Smutną była ostatnia zima, którą Słowacki przeżywał na tej ziemi i bardzo różną od poprzedniej. Nie było teraz owych młodzieńców, których »miłość sprowadzała«

[1]) St. Tarnowski. Zygmunt Krasiński. Kraków 1893, str. 542—3.
[2]) Listy II. 320.

Słowackiemu, nie było różowych nadziei, lutową rewolucyą wywołanych, a natomiast horyzont polityczny wszędzie zaciągał się posępnymi chmurami; rojenia o wodzostwie nad narodem nie znajdowały podniety a stan zdrowia coraz był gorszy. Jedna tylko myśl rozwidniała tę smutną ostatnią zimę poety: że na wiosnę pojedzie do matki i wujostwa, do Ubienia, który sobie w swojej magicznej wyobraźni wystawiał, »jak kraj jakiś słońcem bardzo złoty i świecący, a lipami ciemnemi nakryty«.

Jeszcze w październiku pisał do wuja: »Tak Filu, najrzetelniej ci powiadam, że z najżywszą radością wybieram się do was na wiosnę, wszystko tak urządzam, ażebym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka«. A matce w grudniu donosił, że »myśli jego do wiosny całym pędem lecą«, że mu »do kaszy Filowej tęskno«, a zapomniawszy widać o tem, co było przeszłej zimy, dodawał: »Wiosna więc jest teraz celem moim a pierwsza to od wielu lat zima, która się dla mnie toczy z jakąkolwiek na końcu rozradowania nadzieją« [1]).

Ale gdy nadeszły szczegółowe wiadomości o ostatnich wypadkach galicyjskich, o bombardowaniu Lwowa, o tak zwanej kapitulacyi, której jednym z warunków było, że emigranci winni opuścić państwo austryackie [2]), zachwiały się nadzieje Słowackiego na wyjazd wiosenny do złocistego Ubienia pod ciemne lipy. »Mocno, mocno chciałbym być z wami, pisał w styczniu 1849 do wujostwa; wypowiedziałem nawet mieszkanie moje, zawsze w tej nadziei, że można będzie was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje; byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie lekarstwo

---

[1]) Listy II, 332—333.

[2]) Wiadomości te znajdował Słowacki w ostatnich numerach *Demokraty Polskiego* z r. 1848 w artykule: »Ostatnie wypadki we Lwowie i ich przyczyny«.

niby na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym was obaczyć i z wami pożyć potrzeba, a raczej powiem, chce się, tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów, gdzie mi było obszernie, wolno i lubo«.

»Za miskę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło i cieleśnie w niedostatku przecierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cóżbym robił? Chyba jak świerszczyk pstrykał w której belce, staruszce-matce domku naszego« [1]).

Nadeszła wczesna wiosna, już z końcem lutego, i wywołała z przetrawionych płuc poety krwotoki. »Kilka dni temu, pisał 4 marca do wuja z zastrzeżeniem, aby matce tego nie pokazywał, byłem mocno bardzo krwią zaatakowany, która mi się po wielekroć razy z ust wypluwać dawała; teraz zamknęło się ujście i żywot mój w łono moje powrócił, ale widziałem z bliska Pana mego i Boga mego, który mię już chciał jak żołnierza od was wziąć, a na inne i może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem i teraz wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z wami zostać mi kazano«.

Podczas tej choroby ułożył krótki testament, w dwóch paragrafach: w pierwszym zapisywał wszystko, co miał i przekazywał wszystkie prawa swoje matce i wujowi »mianując ich wspólnie i solidarnie sukcesorami, z wyłączeniem wszystkich innych osób«; w drugim — czynił wykonawcą testamentu swego przyjaciela paryskiego, p. Karola Pettiniaud Dubos.

Mówiąc o testamencie urzędowym Słowackiego niepodobna nie wspomnieć o jego testamencie poetyckim *(Testament mój)*, którym Małecki zamknął swoją mono-

---

[1]) Listy II, 322.

grafię, w tem przekonaniu, że był on napisany »krótko przed zgonem« i że lepiej, niż nagrobek wystawiony przez matkę[1]) »określa cały charakter życia i działania Słowackiego«.

Nie mogę się zgodzić ani na jedno, ani na drugie twierdzenie znakomitego krytyka. Małecki mało poświęcał uwagi wewnętrznemu życiu poety po transfiguracyi, jego wyobrażeniom filozoficznym, religijnym i społecznym z ostatnich lat życia i dlatego tylko, sądzę, mógł przypuszczać, że *Testament mój* był pisany na krótko przed śmiercią. Ktokolwiek uważnie śledził podaną tu przeze mnie historyę ducha poety od czasu transfiguracyi i z równą uwagą odczyta wiersz, o którym mowa, ten musi przyjść do przekonania, że myśli w nim zawarte i cała jego dekoracya niema nic wspólnego ze sferą wyobrażeń Słowackiego z czasów mistycyzmu wogóle, a w szczególności z ostatnich chwil życia. Jakto? Słowacki, Król-Duch, nie miałby nic lepszego do żądania od przyjaciół, których zostawia, jak żeby zgromadzili się w nocy i serce jego spalili w aloesie, a potem zasiadłszy przy puharze zapili jego pogrzeb! Słowacki Król-Duch miałby szczycić się z tego, że serce

[1]) Nagrobek, o którym mowa, znajduje się w kościele św. Anny w Krakowie w nawie bocznej po lewej stronie, a ma napis następujący:

Pamięci
JULIUSZA SŁOWACKIEGO
syna Euzebiusza
urodzonego w Krzemieńcu,
zmarłego w Paryżu,
który walkę poezyi
ku odrodzeniu się ducha i
uczucia ludzkości
po chrześcijańsku
w dniu 3 kwietnia 1849 roku
zakończył,
w żalu nieutulona matka
poświęca.

jego dumne i drapować się w obojętność dla świata? Słowacki Król-Duch miałby wzywać ludzi »żywych«, ażeby nieśli przed narodem oświaty kaganiec? Jakiej oświaty? Czy tej, którą uważał za antychrystową wieżycę i której przeciwstawiał wiedzę z najgłębszych tajników ducha dobytą, a nie mającą nic wspólnego z tem, co się przez oświatę rozumieć może? Żal mi młodych trybunów a jeszcze więcej starych, którzy nie wiem już poraz który cytowali tę wspaniale brzmiącą strofę, w przekonaniu, że cytują ostatnią wolę Słowackiego, żal mi ich, że będą zbici z tropu tym moim komentarzem. Ale na to rady nie ma. Jeżeli zechcą nadal cytować tę strofę, będą się musieli odwołać od Słowackiego-mistyka do Słowackiego-bajronisty. Bo ten wiersz niewątpliwie pisany był jeszcze pod znakiem Byrona, wszystko za tem świadczy: i pretensyonalny ton całości, i to serce spalone w aloesie, i te puhary pogrzebowe i ten kaganiec oświaty, i to chlubienie się obojętnością dla świata; nawet ta siła fatalna, co ma zjadaczów chleba w aniołów przerobić, nie pochodzi z okresu mistycznego, ale jest zabytkiem jeszcze epoki bajronicznej, tych czasów, kiedy wszystko, co nie miało na celu sławy, pachniało poecie nicością.

Powiedzieć dokładnie i stanowczo, kiedy był ten wiersz napisany, trudno, ale wolno podać jako domysł, że stało się to w czasach niedoszłego pojedynku z Ropelewskim, w oczekiwaniu jego, albo też i po zawartej już zgodzie, kiedy poeta spokojnie już mógł rozmyślać nad tem, coby miał do powiedzenia ludziom umierając. Stylem też, obrazami, tonem nierównie podobniejszy jest ten wiersz do *Beniowskiego*, niż do *Króla-Ducha*.

Czyż np. te wiersze:

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... Taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?

nie są jakby echem tej strofy *Beniowskiego* z pieśni IV:

Lecz późno, późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? nie wiem i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary i t. d.

Co się tyczy drugiego twierdzenia Małeckiego, że *Testament* lepiej niż nagrobek wystawiony przez matkę »określa cały charakter życia i działania Słowackiego«, to na to tylko tyle odpowiem, że słowa matki o synu, iż prowadził »walkę poezyi ku odrodzeniu się ducha i uczucia ludzkości«, choć może nie dość zręcznie ułożone, lepiej mojem zdaniem wyrażają to, co jest nieśmiertelnego i wielkiego w spuściznie Słowackiego, niż szumne strofy *Testamentu* z aloesami i puharami.

Polepszenie, o którem pisał Słowacki do wuja, niedługo trwało. Już pod koniec marca było z nim tak źle, że kiedy odwiedził go Feliński, który właśnie w tym czasie przyjechał był do Paryża, Słowacki przywitał go słowami: »Dobrze, żeś przyjechał, nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już się wszystko kończy, Pan Bóg mię wzywa do siebie«.

Te ostatnie chwile nie dadzą się lepiej przedstawić, jak słowami listu Felińskiego do wuja poety, pisanego we dwa dni po pogrzebie Juliusza, słowami, w których czuć jeszcze to skupienie ducha, jakie wywołuje w jej świadkach majestat śmierci.

»Pierwszego kwietnia, są słowa Felińskiego, kiedym przyszedł do niego, powiedział mi, że w nocy tak mu źle było, iż dnia nie spodziewał się dożyć. — Pytał, czy nie znam jakiego ubogiego rodaka, którýby chciał sypiać u niego, gdyż czuje, że śmierć się zbliża, a wolałby, żeby mu oczy zamknął rodak niż obcy. Prosiłem, aby mi pozwolił przenieść się do siebie, ale nie przyjął tego, nie chcąc odrywać mnie od moich obowiązków; a kiedym

nalegał dłużej, powiedział, że później pomówimy o tem. »Wreszcie dodał, może mię Bóg tak jakoś przeniesie«! — Nazajutrz mówił mi, że zaczął przepisywać swój niewydany jeszcze poemacik, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Prosiłem, aby mi dyktował, co też uczynił; i tak jedną część napisaliśmy, ale i to już go męczyło, więc resztę odłożyliśmy na później. Żegnając się polecił mi, żebym był u księdza Praniewicza, i zapytał go, czy może przyjść z Sakramentami do niego. — Trzeciego kwietnia we wtorek, uprzedziłem księdza i przyszedłem do Juliusza zapytać, kiedy chce się spowiadać. Zastałem u niego Francuza Petiniaud, z którym Juliusz od dwóch lat był już w zażyłości i który od czasu choroby codzień go nawiedzał; ten mi powiedział, że Juliusz bardzo źle noc przepędził, a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątej zemdlał i zdawało się, że już skończył. Ja zastałem go w łóżku, ale już przytomnego zupełnie. Zapytałem go o zdrowie, powiedział, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo słabym. Zapytał o księdza i chciał, abym go natychmiast wezwał. Wpół godziny przywiozłem księdza, który pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po Sakramenta. Tymczasem Juliusz widząc nas rozrzewnionych, wziął mię za rękę i głosem przerywanym, ale wyraźnym i spokojnym powiedział te kilka wyrazów, które w pamięci głęboko zachowałem: »Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można, ale szczęśliwy jestem, że dziś, jakby na pożegnanie, list jej odebrałem i z myślą o niej umieram«. Po chwili milczenia wzniósł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej: »Wiara w nieśmiertelność ducha i w sprawiedliwość Bożą jest nowym darem Stwórcy nam udzielonym. Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Dotąd przeczuwano, że Bóg jest sprawiedliwy, ale nie pojmując jego sprawiedliwości, przypuszczano istnienie mnóstwa sztucznych kółek, za po-

mocą których Bóg wynagrodzi kiedyś niesprawiedliwość i cierpienie tego żywota. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ją pojmuję; tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką dziś oddaję w ręce mego Stwórcy. — Wszak prawda? gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy w własnym dworze, przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi«.

»Wtem ksiądz powrócił, a kiedy po spowiedzi ofiarował mu przenajświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnej mocy i ukląkł na łóżku, potem przyjął ostatnie namaszczenie z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnej twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie można było oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknego świętem zachwyceniem. — Po chwili takiego skupienia wewnętrznego, wyciągnął ręce do nas i z łagodnym uśmiechem powiedział: »Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta; myślałem często o tem, czy też tej łaski dostąpię«. Potem wypił trochę gorącej herbaty i prosił, żebyśmy go zostawili, gdyż chciał spocząć. Wyszliśmy do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte i widzieliśmy jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, żeby to nie był sen ostatni, otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i chrapliwy«.

»Widząc, że nie śpi, weszliśmy znowu, prosił o trochę wina czerwonego, które już z trudnością połykał. Potem kazał mi przynieść książkę, z której mi w wilię dyktował i pokazywał mi w jakim porządku potrzeba dalej przepisywać, ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją mówiąc z uśmiechem: »Wszystko to głupstwo«! Potem prosił, żeby go posadzić w innej pozycyi, a kie-

dyśmy to uskutecznili, powiedział zawsze z uśmiechem: »Może to w tem położeniu śmierć mnie zastanie«. Potem zamilkł, ale często spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć o której godzinie do wieczności się przenosi. Przed samym zgonem wyciągnął do nas ręce i zrobił znak, że chce wstać, lecz zaledwieśmy go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drżeć poczęło. Oddech był coraz cięższy, trudniejszy i powoli słabł, oczy nawpół się zamknęły i mgłą zaszły, podtrzymywałem mu głowę, a Petiniaud nacierał mu puls i skronie, ale już nić nie pomagało; po chwili oddech ustał i serce bić przestało. Wszystko się skończyło, już nie żył! Kiedy pierwsza boleść się uspokoiła, zamknąłem mu oczy i poleciłem Bogu ducha jego« [1]).

W tem opowiadaniu, którego prostota i zwięzłość świadczy o wierności, dwa momenta zwracają na siebie szczególną uwagę swoją zagadkowością i domagają się wyjaśnienia. Blizki śmierci poeta spodziewał się, że go Bóg »tak jakoś przeniesie« na tamten świat. Nie znaczyż to, że spodziewał się w chwili śmierci jakiegoś cudu, jakiegoś wniebowzięcia, w rodzaju Eliaszowego odjazdu z ziemi na wozie ognistym, który w paru waryantach (nie drukowanych) *Króla Ducha* przedstawiał? Człowiek, który od siedmiu lat dążył do świętości i miał się za świętego, i który wierzył mocno, że już mu raz Chrystus w ogniach się ukazał, nie mógłże roić w swojej wyobraźni cudów łaknącej, że mu się Chrystus poraz drugi ukaże, aby go zabrać i »przenieść tak jakoś« do siebie? Jest to tylko domysł, ale domysł, mający wszelkie szanse prawdopodobieństwa, bo zgodny z całą przeszłością poety od czasów transfiguracyi, oparty wreszcie na pewnym

---

[1]) *Dzwonek*, pismo młodemu wiekowi poświęcone, T. I, Lwów 1850, str. 55—59.

ustępie znanego nam *Listu apostolskiego* poety, gdzie podobna nadzieja jest wyrażona [1]).

Drugi moment, to jego ostatnie słowa, dotyczące poezyi. Słowacki zostawiał swój wielki poemat, który pisał do ostatnich chwil życia, w stanie największego rozproszenia i nieładu. Był to chaos, chaos pomysłów, chaos waryantów, z którego wyprowadzić ład twórczy było zadaniem za ciężkiem dla tak odśrodkowej natury, jaką była jego, i przy tak starganych siłach fizycznych. Największy, najtrudniejszy do rozplątania chaos, panował w rapsodzie o Piaście, aniołach, Rzepisze i Wodanie. Małecki naliczył aż cztery odmienne obrobienia tego tematu, ale właściwie było ich więcej, skoro za czwarte obrobienie uważał wydawca pośmiertnych pism Słowackiego »ten cały bezlik urywkowych ustępów, rozprószonych po różnych częściach całego rękopisu, który zwolna powstawał w ciągu lat kilku« [2]). Otóż poeta, czując zgon bliski, chciał przynajmniej tę część poematu, która była najbardziej zawichrzoną, a miała cudownie piękne ustępy, uporządkować, a tak wielką przywiązywał do tego wagę, że nawet po komunii jeszcze się tem zajmował i dawał wskazówki Felińskiemu. Dlaczegoż nagle zatrzymał się, zamknął księgę i wyrzekł: wszystko to głupstwo! Widocznie w tej chwili zrodziła się w jego myśli wątpliwość, czy jest *Król Duch* takim utworem, za jaki go uważał, czy po-

---

[1]) W *Liście Apostolskim* (Bibl. Warsz. 1904, II, 470) powiada Słowacki: »Gdy mię więc ujrzysz nad siły pracującym, o Panie! to odejmiesz mi te ręce, które nic nie mogą, i to serce zbolałe i zużyte, i zagasisz bladą słoneczność dni dogasających, a dasz jasny ranek nowego żywota... i południe ogniste, owocami sypiące i znów porwiesz w błyskawicy, gdy czynami zasłużę, abyś mię wyższą mocą i czynnikiem stworzycielem uczynił«. Tu więc poeta spodziewał się Eliaszowego porwania dopiero w następnym żywocie, ale w kilka lat potem mógł tę nadzieję stosować i do obecnego żywota swego.

[2]) Małecki l. c. III, 162.

wstał z natchnienia Ducha św.[1]). A mogła mu się ta myśl nasunąć szczególnie wtedy, gdy przeszedł do waryantów, przedstawiających scenę uśpienia w zamku Popiela, scenę, w której w całej pełni i doskonałości występuje wdzięk poezyi Słowackiego, umiejącej cudownie chwytać i uwieczniać przelotne rysy, ale która jest igraszką, grą wyobraźni z Duchem św. nie okazującą żadnej wspólności.

Tak skończył życie genialny poeta, obłąkany ideą wielkości, przez całe życie zamknięty w kryształowym gmachu marzeń i królujący tam samowładnie. Na trzeci dzień chowano biednego Króla-Ducha bez wszelkiej pompy; skromny wóz żałobny powiózł zwłoki jego naprzód do parafialnego kościoła św. Filipa du Roule, a stamtąd po nabożeństwie żałobnem na cmentarz Montmartre. Za wozem szła garstka ziomków, około trzydziestu. Nad grobem prócz posępnego śpiewu kapłana, żaden głos się nie ozwał; nikt nie przemówił, aby pożegnać wielkiego poetę odlatującego w świat duchów, nawet Anioł Pański nie roztrącił cmentarnego milczenia.

Gdzież był Hektor Mickiewicz? czemu nie stanął nad trumną Achillesa, i nie rzucił mu pojednawczego słowa do grobu? P. Władysław Mickiewicz w życiorysie ojca (IV, 224—245) broni go, dowodząc, że dopiero po pogrzebie Słowackiego dowiedział się o jego śmierci, a to z powodu oddalonego mieszkania na Batignolles. I tak zapewne

---

[1]) Na jednym z brulionów *Króla Ducha* (zeszyt N. karta 109 (b) u góry na boku napisał poeta takie wezwanie do Ducha św.

Duchu święty, gołębico zleć
Duchu święty, nad tą pieśnią świeć.

Porówn. także przedmowę umieszczoną w *Pismach pośmiertnych* przed rapsodem drugim.

było; ale dlaczego potem nie umieścił choć krótkiego nekrologu w *Tribune des peuples*, której był wówczas redaktorem? Niestety i śmierć niezdolna była rozbroić zaciętej duszy Litwina z niechęci, którą czuł za życia do wielkiego przeciwnika, a kłamać uczuć nigdy nie umiał.

ROZDZIAŁ XXV.

Król-Duch.

Rozwój pomysłu *Króla-Ducha*. — Przez wieki idąca powieść. — Początek poematu w pierwotnym pomyśle. — Myt o Herze Armeńczyku. — Zaślubiny ducha z ideą. — Cudowna postać niewieścia; jej różne znaczenia. — Jej stosunek do Goplany, Swentyny i Anieli. — Popiel syn popiołów. — Popiel jako wyraz ducha passyi Słowackiego. — Duchy w służbie Popiela. — Dwa anioły w nim zamknięte. — Motywy zbrodni Popiela. — Popiel i Iwan Groźny. — Myt o Wandzie. — Pośmiertne losy Popiela. — Król-Duch na tle obrzędu Dziadów. — Powieść o Piaście i Pysze. — Rapsod o Mieczysławie. — Rapsod o Bolesławie Śmiałym. — Zmysłowość, jako fatalizm. — Matka Bolesława i tajemnicza przysięga z jej rozkazu. — Waregi i Słowianie. — Pogląd na całość poematu; *Król-Duch* jako synteza Słowackiego. — Stosunek nidzy wiarą a fantazyą poety. — Motyw z arabskiej podróży. — Styl Słowackiego; jego stopnie doskonalenia się. — Stroficzność *Króla-Ducha*. — Znaczenie poematu dla narodu; *Król-Duch* i *Pan Tadeusz*. — Wpływ poezyi Słowackiego.

Król-Duch jest ostatnim wyrazem poetyckiego geniuszu Słowackiego i wieńczy eteryczny gmach poezyi jego; tylko nie z posągiem szczytowym można go porównać, ale chyba z wieńcem obłoków, płonących apokaliptycznemi barwami w promieniach zachodzącego słońca i za lada powiewem zmieniających przeźroczyste kształty. Słusznie też analiza tego poematu, pisanego do ostatnich chwil życia poety, zajmie ostatnie miejsce w historyi jego ducha.

Już dawniej wskazałem, że ziarno idei *Króla-Ducha* zapadło w duszę poety w chwili jego transfiguracyi i zna-

leźć je można w wierszu *Tak mi Boże dopomóż*, pisanym nazajutrz po pierwszem widzeniu się z Towiańskim. Słowacki, powiedziałem, wierzy tu już najgłębiej w swoje posłannictwo jako ducha-wodza narodu, w swoje pośrednictwo między Bogiem a narodem; gdy się z tem połączy idea metempsychozy i chęć wytłómaczenia losów Polski, pomysł *Króla-Ducha* będzie pełny.

Jakże i kiedy się ten pomysł rozwijał? Urywek planu, który się przechował, wydrukowany w T. II *Pism pośmiertnych* w *Dodatku* przed waryantami poematu (str. 369—370) mało rzuca światła na to pytanie, ponieważ ten urywek widocznie nie tylko nie poprzedził pisania utworu, ale — jak to z porównania jego z rozmaitymi waryantami wynika — był dobrze późniejszą próbą ujęcia w ład gotowych już ustępów, których pomysły rozbiegały się w różne strony. Ale rzucają na to sporo światła waryanty, a także przedmowa do drugiego rapsodu i wiersz ułamkowy, wydany w I tomie *Pism pośmiertnych* (przy końcu) i zatytułowany przez wydawcę: *Poeta i natchnienie*.

O tym pięknym fragmencie i jego znaczeniu już dawniej była mowa; teraz chodzi tylko o stosunek jego do *Króla-Ducha*. Fragment świadczy, że już w czasie jego pisania, to jest mniej więcej w pół roku po transfiguracyi, Słowacki głęboko był przejęty wiarą w metempsychozę, do której skłonność miał oddawna [1]), i głęboko wierzył, że wiele już żywotów przebył, za nim narodził się poraz ostatni, jako poeta »z potęgą słowa«. I już wtedy wierzył w to, że między dawnemi jego żywotami były żywoty pełne wojowniczych czynów, pełne krwi i zbrodni. Kiedy Atessa pokazuje mu swoje rany na rękach i nogach, płonące na szafirze nocy, jak pochodnie, poeta odpowiada jej:

---

[1]) Jeszcze ze Szwajcaryi pisał do matki: »Zdaje mi się czasem, że przypominam sobie coś z przeszłego życia na ziemi«. Listy I, 305.

Pal się!... nie mogę żadnej dać pomocy,
Tylko to powiem, że przez krew i zbrodnie
Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
Która po twojej trzyma niezawodnie
Najpierwsze miejsce u samego Boga...
On wie, że w moim duchu nie miał wroga.

A w jednej z dalszych strof mówi o sobie, że »stutysięcznym śpiżem — na świecie imię obwoływał Pana«. Jednem słowem, już wtedy, t. j. na początku 1843 r., roiły mu się w głowie marzenia, które miał wcielić potem w postacie Popiela i Mieczysława.

Ale do wcielenia tego poeta nie zaraz się zabrał. Poprzedziły je długie rozmyślania nad życiem zagrobowem, zaziemskiem ogniwem, wiążącem ziemskie żywoty jednego ducha, a także powolne wyrabianie się tego pojęcia o Królu-duchu, jakie w poemacie tego nazwiska występuje. Ślady tego znajdujemy w czerwonym pamiętniku poety. Oto co czytamy na karcie 49 o życiu zagrobowem: »Po śmierci w duchu cierpienie lub wesele to jest miłość błyskawicowana w bezczasie — a jego *ja* niby skąpane w całej harmonii duchów. Po którym to chrzcie pośmiertelnym wraca w ciało i zaczyna znów czuć podług wymiaru i czasu. Dnie więc mego żywota duchowego w ciele są podług zegaru — noce bezcielesnego pośmiertnego żywota są podług czucia. Dnie ziemskie mają ranek to jest młodość — południe pracy poświęcone to jest wiek dojrzały — i wieczór ku odpoczynkowi i rozmyślaniu to jest starość. — Noce zaś pośmiertne są bez podziałów i trwają albo chwilę albo lat tysiące — a Duch twój rodząc się w ciele bez opamiętania się jest na ową krótkość lub długość boleści lub radości. Nie pytaj się więc dziecięcia wróconego z duchów krainy, jak długo między dniem (ciałem) a dniem (ciałem) duchował... albowiem w jednej chwili boleści bezcielesnej mógł on czuć stutysięcznych lat torturę — albo też przeciwnie.... tysiączno-

letnie wesele ducha mogło mu się zdawać błyskawicą radości... jednym westchnieniem radości Bożej....«

Poeta, marząc o swojem następnem na świat przyjściu z zagrobowego żywota, takie wpisywał wiersze do wspomnianego pamiętnika (K. 51).

Dusza się moja zamyśla i zwodzi
Wszystkie pamiątki . . . . .
Z któremi znów się napowrót urodzi.

O! ileż znowu dni dziecka różanych
Ileż przypomnień z tego mi żywota
Wróci... a smętnych stąd jęków harfianych.

Bądźże mi lepszy wieku krotochwili
I ty najpierwsza młodości godzino,
Niż ta, za którą mi łzy dzisiaj płyną.

A poniżej dopisał prozą: »Ileż dni przejdzie mi dziecinnych na łowach motyli, ileż pamiątek z dzisiejszego żywota zabłyśnie w oczach przyszłego dziecięcia etc.«

Co się tyczy pytania, jak się rozwijało w Słowackim pojęcie o Królu-Duchu, to do objaśnienia jego znajdujemy także w czerwonym pamiętniku parę godnych uwagi wskazówek. Na karcie 47, bezpośrednio po notatce, mającej wyraźną datę 17 stycznia 1844, znajdują się następujące, prawdopodobnie niedługo po owej dacie zapisane słowa: »Jeżeli naród odbywa jaką fazis, podobną do odbytej przez drugi naród, to wejrzawszy w massę duchów, ujrzelibyśmy, że Król-Duch czyli typ jest to duch przeszły z narodu w naród a mocniejszy nad nim, a upragniony przez massy, albowiem ciała na ciała działać nie mogą, Duchy więc muszą zupełnie swoją mocą je przytłaczać«. Zakończenie tego ustępu nie jest dość jasne, ale z poprzednich słów jasno wynika, że Król-Duch, według wyobrażeń ówczesnych Słowackiego, jest to duch, silniejszy od innych w danym narodzie, a stąd na swoją modłę urabiający inne duchy i w ten sposób wprowadzający naród w nową fazę życia, że jestto wreszcie duch nie

pochodzący z narodu, w którym ma odgrywać przewodnią rolę, ale z obcej jakiejś a silniejszej sfery.

Ale wyrażeniu »Król-duch« Słowacki nadawał czasem większe znaczenie niż przewodnika jednego narodu; widział w nim mianowicie apostoła z ramienia bożego, który ma całą ludzkość prowadzić przez pewien okres czasu. Wspominałem już z okazyi *Rozmowy z matką Makryną* w jaki to sposób wyobrażał sobie poeta następstwo »prawdziwych świata papieży«; tutaj dodam, że takiego »prawdziwego papieża«, takiego »apostoła z ramienia bożego«, nazwał Słowacki w owem kazaniu »Królem-duchem wieku«. A takim »Królem-duchem« w wieku dziewiętnastym miał być już nie jeden człowiek, ale cały naród, mianowicie naród polski[1]). Ale ponieważ siebie uważał Słowacki za najwyższego ducha w tym narodzie, więc jemu ostatecznie przypadał zaszczyt być nie tylko Królem-duchem swego narodu, ale i całej ludzkości.

Wiemy, co go utwierdzało w tem mniemaniu, co mu dało niezwruszoną wiarę, że otrzymał »rozkaz boży i owionięcie bark niby ogniem i siłą sakramentalną z nieba idącą«: była to cudowna wizya w nocy z d. 20 na 21 kwietnia 1845; to też w genezie *Króla-Ducha* — jak już na to zwracano uwagę[2]) — odegrała ona niemałą rolę. Ale i po tej hallucynacyi upłynęło sporo czasu, zanim poeta postanowił opiewać dzieje swoje, jako Króla-ducha i zanim zabrał się do ich pisania.

W ciągu tego czasu przychodziła mu inna myśl do głowy, pokrewna nieco z pomysłem *Króla-Ducha*, ale daleka od zupełnej identyczności. Było to prawdopodobnie wtedy, kiedy pisał *Rozmowę z Helionem i Heloisą*, w której chciał światłem wiedzy genezyjskiej rozjaśnić dzieje

[1]) »Przyszedł wiek, że dla wielości duchów Chrystusowi poświęconych już nie człowiek jeden — ale naród cały papiestwem ducha zajmie się«...

[2]) Mam tu na myśli rozprawkę p. K. Jareckiego »Znaczenie i idea *Króla-Ducha* Słowackiego« Bibl. Warsz. 1903 III, 530.

ludzkości, ponieważ myśl, o której mówię, zostaje w pewnym związku z treścią tej rozmowy, jest jakby pośredniem ogniwem pomiędzy nią a pomysłem *Króla-Ducha*. Zapisał ją poeta na jednym z zeszytów brulionu *Zawiszy Czarnego* w następujących wierszach:

Śni mi się jakaś wielka a przez wieki idąca
Powieść... niby na twarzy ogromnego miesiąca
Ludy wymalowane... krwią swoją purpurową
Idące błagać Boga i wiekuiste słowo
Na niebiosach zjawione... — O pomóż Zbawicielu
Abym te wszystkie rzeczy... do gwiazdy i do celu
Doprowadził... a ludzkim się nie zmieszał oklaskiem,
Ani łzami się zalał... ani śćmił twoim blaskiem.
Ojczyzny nieśmiertelnej... serce wielkie niech słyszę
Ciągle w sobie bijące... a na wielką się ciszę
Przygotuję...[1]) że żadnych stąd oklasków nie będzie...
Chyba gdzieś jakie pary... białe wodne łabędzie
Po stawach ukraińskich... albo też i nad nami
Które są echem krain...[2]) tych... i muzykantami
Niebios... Cecylii świętej... za życia poślubione...
Głos słysząc... złote palmy... niewidzialną koronę
Spuszczą z chmur turkusowych... i ze złotego nieba
Róż ognistych nasypią... więcej też[3]) nie potrzeba
Kaznodziei poecie....
Prześwięte więc żywoty
Opiszę... i tych jasnych duchów słonecznik złoty
Ciągle ku przejasnemu słońcu... odwracający
Oblicze... więc i wielki ów kraj teraz płaczący
Wolności... i wierzbami rozwieszony nad grobem
Zbudzę... I ojce nasze nad Zbawiciela żłobem
W gwiaździe wschodniej zjawione... ubiorę w dawne ciała,
Więc i Litwę — co wtenczas nad jeziormi siedziała...

Na tem urywa się fragment, zawierający pomysł poematu, który z *Królem-Duchem* ma to wspólnego, że zapowiada przez wieki idącą powieść o dawnych dziejach

[1]) W autografie przez nieuwagę zapewne napisał poeta »przygotował«.

[2]) W autografie: »kraju«.

[3]) W autografie: »więc tejż«.

ojczyzny, ujętą w żywoty wielkich duchów. Ale o tem, żeby te »prześwięte żywoty« miały być odradzaniem się jednego Króla-ducha, i żeby tym królem miał być poeta, nie ma jeszcze we fragmencie wyraźnej wskazówki.

Pomysł *Króla-Ducha* a przynajmniej początek pisania tego poematu należy odnieść do drugiej połowy 1846. Wynika to ze słów przedmowy do drugiego rapsodu, gdzie powiedziano o pierwszym, że »leciał szybko, jak wiatr błyskawicy«; — wynika, jeżeli tę przedmowę zestawimy ze słowami listu do matki z 14 grudnia t. r., gdzie poeta donosił matce, że »pracuje, myśli, przygotowuje obrazy swoje na expozycyę«, czyli że zabiera się do wydania pierwszego rapsodu. Jeżeli pierwszy rapsod leciał szybko, to musiał być rozpoczęty na niedługo przed grudniem 1846. Być może, że pomysł tego poematu dojrzał w Słowackim podczas samotnego pobytu sierpniowego w Dieppes, kiedy to poeta często siadał nocą na brzegu morza i „w Bogu utonąwszy, dziwne robił zaklęcia, dziwną pracę odbywał... pracę nad sobą samym, nad własną swoją ubogą naturą, nad tym duchem, który nad światem cierpi a pomódz mu jeszcze nie może«.

W pierwotnym pomyśle początek poematu miał sięgać głębiej, niż to znajdujemy w drukowanym tekście, *Król-Duch* miał się urodzić z genezyjskich tajemnic, więc o nich też miała być mowa na wstępie. Świadczą o tem wyraźnie waryanty, które się przechowały w autografach [1]. W jednym z nich (w zeszycie ze znakiem A) Król-duch występuje jako coś bezosobowego i bezcielesnego, jako jeszcze »wędrujący sen«... »nieobroniony doświadczalnym ciałem«. Pierwszy kształt ludzki nadaje mu »matka miesięcznica«, upostaciowana siła twórcza przyrody, nazywana w innych waryantach »złotą miesięcznicą«, »twórczynią ciała«, »nimfą miesięczną« i t. p. Waryant wspomniany zaczyna się od wierszy:

---

[1]) Rkp. Bibl. Ossolińskich l. inw. 1773.

Zaledwo pierwsza ducha błyskawica
Stanęła moim oczom przed wrotyma,
Przybiegła do mnie matka miesięcznica
Pani z jasnemi jak turkus oczyma...

W dalszym ciągu ta matka objaśnia bohaterowi poematu, dlaczego mu nadała kształt ludzki: oto by go rozbudzić z uśpienia.

Cóż miałam czynić? W tej strasznej godzinie,
Gdym cię ujrzała poczętego w Słowie,
Tyś w duchu usnął... o światła przyczynie
I o słonecznej zapomniał budowie.
W tobie miłości srebrny płyn — co płynie
Z ducha — i siła co się gromem zowie,
I ta co z gromu rodzi się a ciało
Rozgrzewa — w tobie tych sił troje spało.

W dalszych słowach matki miesięcznicy znajdujemy historyę Króla-ducha, z tych pierwszych czasów, kiedy wędrował jeszcze przez świat nieorganiczny.

Tu pierwszą pracę przed lat milionem
Czyniłeś... gdy cię ogniowi ratował
Duch stwórcy, a ty zatrwożony zgonem
W kształtyś kamienne wszedł i zanocował.
Tu bazalt twemu duchowi był tonem,
Tu się duch Pański po granitach snował,
A one... ledwo co wiek, ciemne skały
Jedna za drugą... jeden krok dawały.

W innym waryancie (zeszyt ze znakiem C) znajdujemy inaczej i w innej formie stroficznej podaną genealogię Króla-ducha. Siłą swojego tonu, a po części formą przypomina poezyę Danta.

Bom ja przed wieki był i byłem w Panu,
Ja moc światłości i tworząca siła,
Boska mię w sobie potęga stworzyła,
Jam dzisiaj winien nieszczęsnego stanu,
Jam winien ciała, które mnie uciska,
Jam elementa tworzył i zjawiska.

Przezemnie stoją wielkie skał budowy,
Ze mnie są, które biją w nie, pioruny.
Kształty, to dawne mego ducha trûny. —
Starszym od globu — bom jest duch globowy.
Ja zórz rumieńcem wychodzę podziemnie,
Jam jest duch — nic się nie stało bezemnie.

Ja świat do celów ostatecznych wiodę,
Ja wszelkie prawo kładę w sił objawie
I potem Anioł staję na tym prawie....

Te wszystkie i inne próby przedstawienia swego pierwobytu poeta odrzucił potem, może dlatego, że nie łatwo mu było przejść od nich do powieści fantastyczno-dziejowej, a może z przyczyny wyrażonej w przedmowie do drugiego rapsodu, mianowicie, że »wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie pod trwogą Boga zostającemu«. Jakkolwiekbądź, dosyć, że odrzuciwszy pierwsze próby, poeta zaczął swój poemat nie od początków bohatera-ducha, ale od przejścia jego z jednego narodu w drugi, w ten naród, który według znanego nam już twierdzenia poety potrzebuje takiego ducha, który pragnie jego zjawienia się, aby módz przejść w nową fazę życia.

Punkt oparcia dla swojej fantazyi, z którego podnosząc się mogła swobodnie puścić się na zmierzchem okryte pierwotne dzieje Polski i bujać nad niemi, znalazł Słowacki w pięknej a pełnej głębokiego znaczenia opowieści Platońskiej o Herze Armeńczyku, a raczej Pamfilijczyku z wojska armeńskiego, którą się kończy jego *Rzeczpospolita* [1]).

W tym ustępie jest naprzód mowa o tem, że ów Her padłszy w pewnej bitwie przez dziesięć dni leżał martwy na pobojowisku, ale zachowując całą świeżość ciała, a gdy go zabrano stamtąd i dwunastego dnia położono na sto-

[1]) Małecki w swojej monografii o Słowackim podał w streszczeniu ten myt i wskazał — dość zresztą ogólnikowo — co z tego mytu zaczerpnął Słowacki.

sie, aby spalić, ożył. Potem następuje obszerne, poetyczne, pełne głębokiej symboliki opowiadanie Hera o tem, co widział na tamtym świecie, jak się odbywa sąd nad duszami, jak jedne dusze po owym sądzie idą do niebios, inne pod ziemię, i jak z pod ziemi wracają na ziemię i same, własnem doświadczeniem i upodobaniem kierowane, obierają sobie formy życia ludzkie lub źwierzęce, w których mają nowe życie rozpocząć na ziemi; w ten sposób stają się sprawczyniami swoich przyszłych losów. Her był tylko świadkiem, ale nie uczestnikiem tych wyborów, ponieważ kazano mu wrócić do dawnego ciała, polecając, aby opowiedział ludziom, co widział na tamtym świecie.

Filozoficzna dążność tego mytu doskonale odpowiadała wyobrażeniom Słowackiego o przechodzeniu dusz, o karze i nagrodzie pośmiertnej, o rozwoju i doskonaleniu się form opartem na dobrowolnym wyborze, i myślę, że nie była bez wpływu na te wyobrażenia, ale w tworzeniu *Króla-Ducha* małą odegrała rolę. Słowacki potrącił wprawdzie w paru strofach o scenę wyboru form z *Republiki*[1]), ale prędko się z nią rozstał, aby się zająć wyłącznie losami Hera Armeńczyka, któremi pokierował zupełnie wbrew tradycyi platońskiej. U Platona dusza Hera z rozkazu sędziów musiała wrócić do swego dawnego ciała, u Słowackiego zrównana jest w tym względ-

[1]) Mianowicie w VI i VII strofie pierwszego rapsodu, a także w jednej z odrzuconych strof odmiennej budowy, (Zeszyt B., k. 9), gdzie jest mowa o Pani duchów, która

...przyleciawszy gdzieś nad otwór, złoty
Zewnętrznych świateł od ziemi wnikaniem,
Rzekła — po drugi raz wychodźcie z groty
Z nowym zaraniem...
Ten, co chciał sławy ... zapragnie prostoty,
Ten, co chciał miecza — wsławi się śpiewaniem,
Pierwsze uczynki zbrzydziliście sobie,
Porozbudzani z fałszów ciała w grobie...

dzie z innemi duszami, i o tyle tylko przypomina duszę platońskiego Hera, że sama z początku nie chce odmiany własnego ciała. Ale pomimo tej niechęci przemiana następuje i dusza Hera staje się pniem, na którym poeta zaszczepia dzieje Króla-Ducha. Ostatecznie myt platoński w budowie *Króla-Ducha* na to się tylko Słowackiemu przydał.

Jakże się odbywa to zaszczepienie? Jest w tem udział jakichś duchów, które swoją rolą przypominają trochę Arielów Szekspirowskich i ich kopie z *Balladyny*. Tylko niewiadomo, kto tu odgrywa rolę Prospera albo Goplany; zapewne Opatrzność. Smutnemu Herowi, który siedząc nad letejską wodą nie chciał odmiany ciała, a więc i odmiany żywota, owe duchy przysłoniły dawne ideały helleńskie, za któremi tęsknił, a pokazały nowy ideał, który go wyrwał z odrętwienia i pobudził do rzucenia się w nowe formy.

Jutrzenek greckich różaną pogodę
 Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
A pokazały — jako świt daleki,
Umiłowaną odtąd — i na wieki!

Ten nagły przewrót w Herze Armeńczyku odpowiada przeobrażeniu, jakie nastąpiło nagle w Słowackim po zetknięciu się z Towiańskim. Podobieństwo nie na tem się ogranicza, że Her zarówno z poetą jest odrazu olśniony i zachwycony widokiem nowego ideału, ale i na tem polega, że w jednym i drugim pod wpływem tego zjawiska budzi się niesłychana energia. Słowacki wylał tę energię w wierszu *Tak mi Boże dopomóż;* jego bohater wypowiada ją w tej strofie:

W jednę girlandę męki me uwiążę,
 Jak człowiek, który za tysiące czuje,
I tą girlandą, jako świata książę,
 Czoło uwieńczę i ukoronuję;
Niechajże na mnie idą duchy węże!

Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mię ognistą otoczy otchłanią...
Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!

Jest to przysięga wierności, są to jakby zaślubiny ducha z ideą, która nie darmo nosi tytuł królowej, bo tytuł ten przejdzie na tego, który jej ślubował wierność.

Ale kto jest ta królowa? Jaką ideę wyobraża? Jaką postać przybiera? Jaką rolę odgrywa w poemacie? Nad temi pytaniami trzeba się zastanowić. Niektóre z nich roztrząsał już Małecki i przyszedł do przekonania, że owa »Umiłowana na wieki« oznacza ojczyznę, biorąc ten wyraz w jak najszerszem i najwznioślejszem znaczeniu, t. j. Polskę, »jaką być ma wedle tego, co sobie o niej marzą i co przez całą dawność jej przeszłości o ojczyźnie sobie marzyli jej najlepsi i duchem najwznioślejsi synowie« [1]).

Że takie znaczenie tkwi w tej postaci, że w tem znaczeniu ona przedewszystkiem występuje, i że z tego punktu widzenia najlepiej się odsłania ukryta myśl poematu, na to się nie można z Małeckim nie zgodzić. Ale z drugiej strony trzeba przyznać, że postać ta ma zmienność dyamentowych blasków i oprócz głównego znaczenia można w niej dojrzeć wielu innych. Małeckiemu nawet nasunęło się pytanie, czy obraz, który się objawia Herowi, nie jest obrazem Bogarodzicy, a jakkolwiek tę myśl odsunął, to jednak przyznał, że poecie »te dwa ideały, t. j. ideał całego chrześciaństwa i ideał nasz narodowy, przed oczyma spływały i że chcąc mówić o ostatnim, pożyczył form od pierwszego« [2]).

Ale te dwa różne znaczenia, dwie różne barwy blasków, bijących z tej postaci, nie wyczerpują bynajmniej zakresu jej zmienności, zwłaszcza jeżeli pod uwagę weźmiemy nietylko drukowane strofy *Króla-Ducha*, ale i te,

---

[1]) Małecki l. c. III 128.
[2]) Tamże III 130—131.

które jeszcze czekają w autografach na wydanie. Cudowna postać ta niewieścia ukazuje się nam w poemacie nietylko jako wcielenie idei narodowej, nie tylko jako obraz Matki Boga z tradycyi wzięty katolickiej, ale niekiedy przybiera znaczenie twórczej siły przyrody, to znów jest jakby wcieleniem pierwiastku kobiecego, des Ewigweiblichen, gdzieindziej ukazuje się jako uosobienie piękności, bardzo często występuje w znaczeniu muzy, mistrzyni, natchnienia poety, wreszcie jako mistyczny obraz niewiasty, wzięty z *Apokalipsy*, obraz, który, jak wiemy, tak głęboko zapadł był w duszę poety.

W tym ostatnim obrazie, jak to wskazałem przy rozbiorze wiersza *Poeta i natchnienie*, widział Słowacki Najśw. Pannę, ale nie tę, która w źwierciedle ewangielicznem się odbiła, to jest nie w jej zwykłem, tradycyjnem znaczeniu, ale w znaczeniu przedstawicielki nowego mającego dopiero nastąpić odrodzenia ludzkości. Wtedy, przed czterema laty, postać ta nie była dla niego wcieleniem ojczyzny, przeciwnie nazywał ją inną matką w przeciwstawieniu do Polski; ale już wtedy, w innym współczesnym wierszu (Pisma pośmiertne T. I, 68—70) dawał jej nazwę Pani Słowa (Prześwięta ludom matka — Pani Słowa), bardzo blizką nazwie córki Słowa, która się dostała między innemi owej umiłowanej przez Króla-ducha postaci, czyli wcielonemu ideałowi ojczyzny. Teraz poeta ojczyznę zupełnie identyfikował z apokaliptyczną niewiastą, tylko postaci swojej nadawał wdzięk eteryczny, jakiego *Apokalipsa* jej nie nadaje.

....w powietrzu jako w dyamencie
Ukazał się wid... Piękność, córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy.
Jaką judejscy widzieli prorocy...

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła;
Szła nad lasami i leciała dołem,
Nad chaty, jako komeciana miotła;

Tęcze ją ciągłem oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła,
I na powietrze rzucała niedbale
Perły, jaśminy i maki-korale.

Już w tym obrazie owa postać występuje nie tylko jako wizya z *Objawienia św. Jana*, nie tylko jako »pani któregoś z ludów na północy«, to jest wcielony ideał Polski, ale i jako wcielenie piękności. W tym ostatnim charakterze ukazuje się ona i w niektórych niewydanych fragmentach, mianowicie w następujących strofach, cudownie pięknych, wziętych z autografu (Zeszyt L. k. 86):

A tymczasem się na jutrzni różowej
Pokazywała nad pogańską zgrają
Święta w koronie niebieskiej królowej,
Nad którą ciągle ranne gwiazdy wstają
Wylatujące cicho w szafir święty
Jedna za drugą — jako dyamenty.

Tę ja lecącym duchom pokazałem
I wszystkie miłość zażegła gorąca...
Pierwszy raz widzą nieskalaną ciałem
Na drżących złotach wielkiego miesiąca.
Piękność tę, która napełnia zapałem
I w struny wszystkie duchów naszych trąca,
Że odpoczynku na wiatrach nie mają
I tak jak wielkie złote harfy grają,

Pierwszy raz widzą... i wnet zmieniają się
W naturach...

Z wyraźnym charakterem uosobienia piękności występuje ta postać i w tym oto ustępie (Zeszyt M. k. 99)[1].

I była cisza. Aż Ta, która wiodła
Pięknością swoją, jak złotą pochodnią,

---

[1]) Strofa ta jest wydrukowana w waryantach do rapsodu drugiego. *Pisma pośmiertne* T. II. str. 376.

Myśli śpiewaka do Boskiego źródła,
Nad drogi żądzą zwalane i zbrodnią,
Rzekła......

Naturalnie, wcielona piękność w tym ustępie ma także znaczenie muzy, wcielonego natchnienia poety. Z tem szczególnem znaczeniem występuje ta cudowna postać powietrzna i gdzieindziej, naprzykład w pierwszej strofie drugiego rapsodu (*Pisma pośmiertne* II 213):

A teraz tobie cuda niesłychane
Opowiem, moja piękna Przenajświętsza,
Bez ciebie nigdy sam nie zmartwychwstanę
W ten świat, który się podług blasków spiętrza.
Ty przez jutrzenki widziana różane,
W miesiąców złote utopiona wnętrza,
Ciągle mię wznosisz do się, różo złota,
Zawsze widziana w przededniach żywota.

Jeszcze wyłączniej w znaczeniu muzy ukazuje się nam w rapsodzie III (Pieśń I strofa 11).

O Panno, któraś tej ziemi tęsknotę
Uspokoiła i rozczarowała,
Śćmiona przez ducha moc i światło złote
W płomieniach serca i w czystości ciała...
Oświeć tę nędzną rytmiarza robotę[1]).
Niech tak w przeczuciach stanie doskonała,
Jak utęsknienie wieków niegdyś było
Za nieskalaniem i za bezmogiłą.

W pewnym ustępie niedrukowanym (zeszyt L. k. 39) »Umiłowana« występuje i jako muza, i jako duch opiekuńczy poety i narodu zarazem, i to duch, który ożywiał ciało Dubrawny:

. . . . .wtem moja z chmur umiłowana
Błysła i w górę mię podniósłszy śpiewem

[1]) W autografie (zeszyt N. k. 109) wiersz ten nieco odmiennie podany: »Oświeć tę ducha rytmiarza robotę«.

Cała słoneczna i cała różana
Nad mgłą i ziemskim duchowym wyziewem
Panując, w miasto mię św. Jana
Niosła — a niosąc cudownie śpiewała:
Dubrawny jestem duch — z jej wyszłam ciała.

Widzisz, jak dobrze byłam tam ukryta
Przez świętą dla cię miłośną pokorę,
Ja patrz — jaśniejsza niż ta Amfitryta,
Która pod wodą miesiącami gore.
Tu patrz — w promieniach na błękity wzbita
A tam zmuszona na twe oczy chore
Mroki gojące mieszać z memi łzami
Albo jak dziecko tulić piosenkami.

O marne trudy i troski matczyne!
Próżno jak anioł podawałam ramię,
Próżno w lilijach i różach gontynę.
Pokazałam ci i na niebie znamię
I w słońcach całą tę leśną krainę,
Gdzie się duch święty z ciał szatanem łamie.
Mocniejsze ciebie, niż dotknięcie pańskie
Wiodło pod ziemię uczucie pogańskie.

Coś widział — ten świat szafirowy, ciemny,
Który ci zdał się otwarty — szeroki —
Zorzą błyszczący... jest to świat podziemny,
W elementarne ubrany obłoki,
A ty duch sobie samemu tajemny,
Cobyś miał dawne Judejskie proroki
Wskrzesić i stanąć tu żyw między nami,
Jak oni — w ogniach — na wozach z ciałami,

Ty wolisz... białe... i srebrne narcyzy
Nad smętną wodą Letejską stojące
Deptać... i budzić Nimfiarki cyprysy
Na onej dawnej, pełnej śpiewu łące,
Wolisz w tej wodzie własne widzieć rysy...
. . . .
O dość!... zaklinam,... bo nie dolecicie
Do ostatecznych celów... form twornicy,
Wracając co krok w mglę — a dawne życie
Miłując...

Jak w przytoczonym, a dotychczas nieznanym ustępie, cudowna postać niewieścia, o której mówimy, występuje jako opiekunka, duchowa matka poety, tak znów w całym szeregu innych ustępów, objawia się jako matka jego ciała, jako wogóle twórcza siła przyrody, w szczególności zaś jako siła wody, która zapewne wskutek oddziaływania na nią miesiąca, nazwana jest przez poetę miesięcznicą[1]. W *Królu-Duchu,* mianowicie w niewydanych waryantach, nazywa się ona »Pani duchów — z miesiąca«, »Pani zjawień« »Pani miesięczna«, »Złota miesięcznica«, »Matka mojego ciała«, »Ciał naszych miesięczna twórczyni«, i inne ma nazwy, wreszcie, jakby umyślnie na to, ażeby wskazać, że ta przedstawicielka twórczej siły przyrody zlewa się w wyobraźni poety w jedno z madonną z Apokalipsy wziętą, otrzymuje ona nazwę i »Pani Słowa«. Jeden z ustępów, w których owa postać występuje w znaczeniu powyższem, podałem już tam, gdzie była mowa o początku *Króla-Ducha* w pierwotnym pomyśle; oto zaś inne podobne ustępy:

Wtem nagle stały się otchłanie cichsze
I pani... duchów, zesłana z miesiąca,
Szła w świateł błysku i w tęczowym wichrze
Przelatująca.
Ku niej więc duchy globowe, najlichsze
Jak duchy ziaren, które w ziemi trąca
Anioł słoneczny... wstawaliśmy wszyscy
W jej świetle bladym — odkupienia bliscy,
(Zeszyt B karta 8).

W zeszycie D. na karcie 22 znajdujemy ustęp, w którym Króla-Ducha w stanie bezcielesnym otaczają inne duchy, pytają o różne rzeczy, a potem tak mówią:

[1]) W dzienniku pod datą 23 września 1847, zapisał Słowacki taką uwagę: «W każdem ciele choćby nieorganicznym jest duch wyrabiający z siebie magnetyczny płyn — elektryczny — i cieplik — duch ten zapomożony przez miesięcznicę wodę i przez odkupiciela światło objawia się w istotach organicznych...» Biegeleisen. J. Słowacki, 229.

A miej tę wiarę, że cię zjawień Pani,
Ta, która gada rzeczy pełne wdzięku,
I po duchowej przelata otchłani
W słońcu na głowie — i z kwiatami w ręku,
Nie zbłąka w drodze, ale do przystani,
Gdzie wyżej żądzy i wszelkiego jęku
Duch prawdy mieszka — doprowadzi stale
Przez wszystkie burze, natchnienia i fale.

W tym samym zeszycie na karcie 34 czytamy:

A wtem przybiegła złota miesięcznica
Matka mojego ciała — i schylona
Budziła mię tak jako błyskawica
Gdy w szyby wleci cicha i czerwona...

W zeszycie F. na karcie 64:

Takie szły głosy... kiedy Pani Słowa
Ciał naszych trzecia — miesięczna twórczyni
Stanęła we mgłach — cała purpurowa
Świecąca... siostra nasza... choć Bogini.
Pod nią znów puszcza szumiała sosnowa,
A nad nią znów ta, która w niebie czyni
Dźwięk bardzo miły — czasem niespożyta
Lutnia słowiańska — z siedmiu gwiazd uwita.

W tym samym zeszycie na kartach 60 i 61 są aż trzy strofy, poświęcone tej »ciał twórczyni«, której dostają się tu rozmaite nazwy. W mieniącej się postaci tego bóstwa, poeta, dawny Achilles, poznaje twarz swojej matki, Tetydy. Jest tam jakaś rozmowa ducha poety z Eliaszem, który jest uosobieniem siły elektrycznej:

Do niego rzekłem ratuj: a on — niech cię Pani
Miesięczna, ciał twórczyni i snów robotnica
Wspomoże, rzekł: jam ujrzał, że wstała z otchłani
I szła do mnie cudowna świecąca dziewica.
Na głowie gwiazda, która powietrze rani
I przed zorzą kwiateczki rosami nasyca,
Paliła się — a włosów paliły się sploty,
Jak dyadem Cybelli i kosz jaki złoty.

Ta w ogień, który palił me treście duchowe
Wrzuciła kilka pereł cudnego nasienia
I wnet duch się uwolnił... przez mgły purpurowe
Jak woda — gdy się w parę konając — zamienia.
Tetys... matko, krzyknąłem – lecz oną królowę
Mgły zdjęły w krajach ducha z mojego spojrzenia,
Ani się myśl u myśli poradzić umiała,
Kto ta oświecicielka pamięci i ciała.

O matko wieczna łez... córo głobowa,
Miesięcznico widziana — we snach pamięci,
Jeśli twoja astrami świecąca głowa
Dotąd się w duchu moim maluje i święci,
Uczyń to, aby druga świętości połowa,
Piękność... dawniej od córek niebieskich dziewięci
Człowiekowi znoszona z niebieskich błękitów
Wstała we mnie słowiańskich dojrzawszy rozwitów.

Widzieliśmy tedy tę cudowną, niewieścią postać powietrzną, którą poeta nazywał Panią lub córką Słowa w najrozmaitszem znaczeniu na tle niebios ukazującą się w poemacie, najrozmaitszemi epitetami ozdobioną. Cóż jest wspólnego we wszystkich tych rozmaitych objawieniach jednej postaci? Oto jej wdzięk eteryczny i to, że jest postacią niewieścią. Jest więc jedno jeszcze i najbardziej ogólne znaczenie, które przypisać trzeba Pani Słowa: jest ona najidealniejszą przedstawicielką kobiecego pierwiastku, des Ewigweiblichen w ludzkości[1]).

W tym względzie nastręcza się ciekawe zestawienie tej postaci z bohaterką *Beniowskiego*, panną Anielą, która

---

[1]) Niedarmo też Mieczysław (w pewnym przekreślonym ustępie, zeszyt N. k. 103) opowiadając swoje «złote sny», mianowicie sen o Adamie, wężu i Ewie, tak mówi o tej ostatniej:

a ta mi znajoma,
Żem ją gdzieś widział tęcz owitą pasy
Ulatującą nad słowiańskie lasy.

Słońce widziałem, że miała nad czołem,
A księżyc biały pod nogami gniotła...

także w najogólniejszem znaczeniu jest wcieleniem wdzięku dziewiczego, ale prócz tego świeci blaskami rozmaitych innych idei i, jak to już gdzieindziej wskazałem, stanowi istotny węzeł między *Beniowskim* a *Królem-Duchem*. Panna Aniela, powiedziałem dawniej, »ze stanowiska pięknej, czułej i hartownej kochanki bohatera rycerskiego romansu wznosiła się wysoko, stawała się jakby natchnieniem, duchową przewodniczką Beniowskiego, a zarazem wcieleniem nowych poglądów poety na powołanie narodu. Tym sposobem przez nią właśnie chciał poeta swój poemat, rozpoczęty w celach, które mu się później wydawały nizkimi, w celu walki o sławę, dostroić do swego duchowego przeobrażenia...«

Było to rzeczą trudną; poeta przekonał się, że nowe idee nie dadzą się pogodzić z wątkiem dawnego poematu, więc postanowił rozstać się z nim i dla nowych idei wziąć nową osnowę. Z jedną rzeczą tylko rozstać się nie chciał, z postacią Anieli, która coraz wyższego i bardziej mistycznego nabierała znaczenia i pragnął wyprowadzić ją z niedokończonej, skazanej na ruinę budowy, ażeby wprowadzić do nowego poematu, jako swoją muzę, swego opiekuńczego anioła, wcielenie swoich natchnień Świadczą o tem niedawno wydane przezemnie fragmenta, gdzie Aniela przedstawiona na tle przyrody podolskiej, staje się poniekąd wcieleniem piękności tej przyrody, a następnie nabiera znaczenia wcielonej idei narodowej, jakiejś nadziemskiej, kierującej wypadkami istoty.

Jest tedy Pani Słowa z *Króla-Ducha* jakby dalszem rozwinięciem postaci, jaką w końcowych, urywających się strofach *Beniowskiego* zaczęła przybierać przedstawicielka dziewiczego pierwiastku, Aniela, która w końcu »nad światem stoi, jak duch zachwycona«. A ten wdzięk szczególny, który zdobi jednę i drugą, pierwszą w całym roz-

---

[1]) Nieznane fragmenta i waryanty Beniowskiego. *Gazeta lwowska* 1902, Nr. 212—223.

kwicie, w całym blasku, drugą w pierwszych jego promieniach, mianowicie eteryczność i lotność, znajdziemy i w dwu innych postaciach dziewiczych stworzonych fantazyą Słowackiego, z których jedna jest współczesną pannie Anieli, druga pochodzi jeszcze z tej chwili, kiedy poeta odprawiał dopiero zaręczyny z muzą fantastyczną, i spodziewał się dostać za nią w posagu wielki poemat w rodzaju Ariosta, związany z sześciu tragedyi, czyli kronik dramatycznych. Mówię tu, jak się domyślić łatwo, o Swentynie, której wdzięk eteryczny we właściwem miejscu podnosiłem, i o Goplanie. »Powietrzna Goplana« dźwiga na sobie jeszcze ciężar naśladownictwa, więc choć jest, jak »bańka z kryształu, którą wichry wydmą — Z błękitu fali... i barwami kwiatu — Malują zorze«, przecież gwoli Szekspirowi, »kocha się w rumianym chłopie« i dopiero po utracie kochanka chwyta się łańcucha żórawi, aby w błękit ulecieć. Oryginalniej pomyślana, choć niezupełnie wyzwolona z naśladownictwa Swentyna, stojąc za Sawą na galopującym rumaku, zdaje się bujać w powietrzu i »jak sen po błękitach« leci za swoim bohaterskim bratem. Obie one reprezentują fantazyę poety w dwóch różnych okresach jego twórczości, i są jakby stopniami, po których wspina się ona do wyższej doskonałości i eteryczności, w wyższe sfery błękitu, gdzie się próbuje naprzód wyrazić w mistycznie pojętej Anieli — Anhellicy, wreszcie znajduje wyraz dla siebie najwyższy w jeszcze mistyczniejszej a mieniącej się tęczą barw dyamentowych Pani Słowa. Do najrozmaitszych znaczeń, w jakich się nam ta postać cudowna ukazuje, przybywa tedy jeszcze jedno, bodaj czy nie najistotniejsze: Pani Słowa to wyobraźnia Słowackiego, rozmiłowana w eterach, błękitach i światłach niebieskich, wyobraźnia poety, którego dusza stroniła od ludzi a rwała się ciągle nad poziomy, szukając naprzód blasku sławy a potem świętości.

Ale wróćmy do bohatera poematu. Zapragnąwszy nowego żywota wskutek umiłowania cudownej Pani-idei i przysiągłszy jej wierność, Her budzi się na świecie dzieckiem jakiejś strasznej kobiety, czarodziejki zapłodnionej przez popioły, która też dlatego nazwała go *Popielem*, a wydała go na świat, ażeby był wykonawcą jej zemsty. Już Małecki wskazał, jaki związek zachodzi między *Królem-Duchem* a *Lillą-Wenedą*, mianowicie, że matka Popiela to jedna z postaci owej tragedyi, Róża Weneda, która ma się zapłodnić popiołami i porodzić mściciela pokonanych Wenedów. Ale dlaczego poeta zaczepiał o tę tradycyę fantastyczną, przez siebie samego utworzoną? Po części dlatego, że fantazya jego, lubująca się zawsze w jaskrawych barwach, lubowała się i w jaskrawości tego pomysłu. Dość przypomnieć pokrewne pomysły w *Wacławie*, gdzie piastunka grafa daje mu w czarze zamiast lekarstwa, ogień miłosny, zmięszany z trującym prochem przodków, albo w *Żmii*, gdzie Ksenia wytacza krew z własnego dziecka, ażeby ją wylać na grób jego ojca. Powtóre dlatego, że obrawszy bajecznego Popiela za pierwsze wcielenie Króla-Ducha, w samem imieniu jego znajdował zachętę do powiązania tej postaci mitycznej z zakończeniem mitycznej tragedyi swojej.

Lubowanie się w jaskrawości i właściwa poecie chęć wyprowadzania znaczenia osób z ich nawy zasłoniły przed jego oczyma rażącą niekonsekwencyę (jedną z bardzo wielu w jego twórczości), jaką popełniał wskutek powiązania sprawy pomszczenia Wenedów na Lechitach ze sprawą, poruczoną przez moce niebieskie Królowi-duchowi, z jego zadaniem, aby prowadził naród lechicki ku wyższym przeznaczeniom [1]). On, »syn wyrżnię-

[1]) Na tę niekonsekwencyę zwraca już uwagę M. Zdziechowski w swojem studyum «Messyaniści i Słowianofile», Kraków 1888, str. 174. «Słowacki powiązał «Króla-Ducha« z «Lillą-Wenedą» chyba dlatego tylko, aby przyoblec w poetyczniejszą szatę bohatera swego,

tych ludów«, on, wychowany przez matkę na to, aby się stał ich mścicielem, ani jedną myślą potem nie sięga w stronę tego zadania, gubi je po drodze swoich nowych tajemniczych dążeń, i jakby przez najwyższą ironię dla dawnego pomysłu poety: *ex ossibus ultor*, własną matkę, kapłankę tej idei, oskarża umyślnie o czary i pali jako czarownicę. Owa to niesłychana niekonsekwencya była niewątpliwie głównym powodem, że Krasiński po ukazaniu się pierwszego rapsodu *Króla-Ducha* pisał o nim do Gaszyńskiego, że ma »rysunki barw pełne, lecz bez treści żadnej, dźwięki najdźwięczniejsze, ale bez myśli! Przynajmniej tak schowana, że jej ja nie mogę dójść, może też zgłupiałem. Jużci wiem, że idzie o metampsychozę ducha człowieczego i to przez wieki wszystkich polskich dziejów; to wiem, ale nic więcej! Albom ja waryat, czytelnik, albo autor co pisał«[1]). Że ta niekonsekwencya daleko więcej raziła Krasińskiego, niż nas dzisiaj razi, to rzecz bardzo zrozumiała: na tle jednego rapsodu występowała ona daleko jaskrawiej, daleko silniej rzucała się w oczy, aniżeli na tle kilku rapsodów, gdzie znaczenie jej w stosunku do całości maleje.

Ale spytajmy teraz, co mogło skłonić Słowackiego, że pochód Króla-ducha przez dzieje Polski zaczął od wcielenia jego w postaci Popiela. Że go nie pociągała ku sobie legenda, to najlepszy w tem dowód, że nic z jej zewnętrznych rysów nie wziął, prócz ujemnego charakteru Popiela, jego pociągu do zbrodni. Otóż stąd trzeba przypuszczać, że poeta już w pierwotnem układaniu planu poematu kierował się przedewszystkiem zamiarem, aby przedstawić Króla-ducha w pierwszem wcieleniu i pierwszem oddziaływaniu na naród w postaci jakiegoś tyrana, okrutnika, namiętnego niszczyciela, (któryby był za-

lecz wpadł przeto w błąd psychologiczny, nadawszy Popielowi od urodzenia pociąg do zemsty i zdrady najniepotrzebniej w świecie«.

[1]) Listy Zygm. Kras. I. 307.

razem narzędziem w ręku bożem). Temu zamiarowi odpowiadała swoim charakterem legendowa postać Popiela, a nazwisko tego bajecznego króla przy znanej skłonności poety do etymologicznych wywodów zaciągnęło wyobraźnię jego, z rażącą ujmą dla konsekwencyi, na dawne manowce walki Wenedów z Lechitami.

Z kolei wysuwa się pytanie, jak się zrodził w Słowackim pomysł przedstawienia Króla-ducha jako tyrana i okrutnika. Za jeden z motywów, działających w tym kierunku, możnaby uważać kilkakrotnie uwydatnione przezemnie zamiłowanie poety we wszelkiego rodzaju jaskrawościach i krańcowościach, ale sądzę, że głównym motywem było to, że Słowacki uczuwał w sobie dwa przeciwne prądy uczuć: jeden altruistyczny, który do czasów transfiguracyi bardzo słabo się w nim objawiał, a obudził się wskutek wstrząśnienia duchowego, jakie wywołał w nim Towiański; drugi, to »duch passyi«, jak go nazywał Słowacki, wrogi ludziom, duch, którym się poeta odznaczał od lat dziecinnych [1]), który się w poezyi jego do czasów transfiguracyi objawiał jaskrawo w całym szeregu utworów, najjaskrawiej w *Arabie*, a który po transfiguracyi, choć nastrojem świętości przytłumiony, wybijał się nieraz na wierzch. Do takiego usposobienia przyznawał się Słowacki kiedyś w liście do matki ze Szwajcaryi, pisząc: »Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą, jak wszystkie źwierzęta żyjące

[1]) Wiele dowodów na to twierdzenie można znaleźć we *Wspomnieniach z przeszłości* Odyńca. W szczególności zwracam uwagę na to, co Odyniec mówi o stosunku Julka do panien Bécu (»ileż to razy widziałem je zalane łzami, gdy im Julek do żywego dokuczył, pewny, że się nie poskarżą przed matką, aby jej przez to nie zmartwić«) i do jego nauczyciela, następcy po Błotnickim, Józefa Massalskiego. Massalski, powiada Odyniec, nazywał go żartem *mon petit diablotin*, »a na seryo mówiąc z przyjaciołmi, przyrównywał go do owego karła w poemacie Walter-Skotta (Pieśń ostatniego minstrela), który znajdował rozkosz w dokuczaniu drugim«. Wspomnienia z przeszłości 177.

samotnie«, a mniej więcej współcześnie wkładał w usta Szczęsnemu z dramatu *Horsztyński* pokrewne słowa, zwrócone do domowników ojca: »będę zgrzytał i giął w ręku żelazne sztaby, a raz zasnąwszy snem okropnym upojenia — nie obudzę się, póki ostatni z was nie skona za moją wielkość i dumę«.

Wówczas spoglądając na siebie przez pryzmat bajronizmu, nie miał sobie za złe takiego usposobienia, i owszem, do pewnego stopnia szukał w niem chluby. Potem było inaczej. Na kilka, miesięcy przed śmiercią, chcąc natchnąć matkę, wobec smutnego zwrotu wypadków politycznych, lepszą nadzieją, pisał do niej: »Ufam, że ci się nic nie stanie, jeżeli ja w ofierze i w pracy wytrwam, a nie dam się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu passyi duchowi, który mię nieraz do walki ze światem podmawia. O spokojność i miłość proś dla mnie Boga«....[1]) Ale jeżeli w okresie mistycyzmu potępiał ducha passyi w sobie, to wielkich niszczycieli, okrutników, wielki rozlew krwi i okrucieństwa otaczał urokiem mistycznym, widząc w niszczycielach narzędzia boskich wyroków, w okrucieństwach i mordach sposoby podnoszenia ludzkości ku Bogu, jak to wskazywałem nieraz przy rozbiorze jego utworów mistycznych.

Chcąc tedy napełnić pierwsze wcielenie Króla-ducha sobą, swoim nastrojem, Słowacki wybrał z siebie i użył w tym celu owego »ducha passyi«, który tak był różny od późniejszego nastroju świętości i stanowił jakby jego antytezę. Słowackiemu, który słyszał w duszy swojej »ogromną szmerność podgrobową«, echo dawno przebytych żywotów, zdawało się, że ów »rozpaczliwy, wszystko burzący duch passyi«, który w sobie spostrzegał, jest tylko zabytkiem, świadectwem jednego z dawnych żywotów, kiedy — według słów jego — »przez krew

[1]) Listy II, 320.

i zbrodnie«, szukał chrześcijańskiej Psyche, »rosnąc w piękność mocy«.

W Popielu zatem, mojem zdaniem, należy widzieć przedewszystkiem wcielenie anty-społecznego, chorobliwego indywidualizmu poety, który on przeciwstawiał wprawdzie swojej późniejszej świętości, ale który chciał zarazem w tej postaci wytłómaczyć i niejako uświęcić i pogodzić z wielkością swego powołania.

Przypatrzmy się Popielowi, jego czynom, a przedewszystkiem dążeniom. Już przedtem napomknąłem, że nie są one jasne. Matka czarodziejka, która jest jakby uosobieniem tradycyi i zemsty narodowej, daje mu przy urodzeniu dwa duchy, odpowiadające dwu przeciwnym prądom, nurtującym w duszy samego poety:

Na prawo stanie-ć jeden Anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy:
Ci dwaj, ty trzeci i mój głos, jak grzmoty,
Pędzący w zemstę....

Ten głos matki okazuje się potem zupełnie zbytecznym; wprawdzie zemsta narodowa była jego »pierwszą apostołką«, ale potem Popiel o niej zupełnie zapomina i staje się rzeczą widoczną, że sam »anioł lewy« wystarczał do spełnienia jej zadania.

Jest jeden tylko widoczny wpływ zemsty na bieg wypadków. Popiel zostaje pachołkiem na dworze króla Lecha, a ambitna dusza jego patrzy wysoko, ma »uwiązany cel do wież wierzchołka«. Że do tego celu, do osiągnięcia najwyższej władzy, dochodzi on cudownie prędko, sprawczynią tego ma być zemsta — apostołka

Więc ile razy posłucham jej rady
(A rada była dla ducha fatalna)
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna,
. . . .
Żądałem wodzem być... i wraz dwa wodze
Krwi rozszalonej piorun w mózg uderzył.

Ja, co bywało za stadami chodzę,
Kiedym się z duchy ciemnymi sprzymierzył,
Teraz tak straszny! że komu ja szkodzę,
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył...
Choćbym oczyma uderzył po stali...
W pancerz... i w serce ruszył — wnet się wali.

Jakiż związek zachodzi między zemstą a usuwaniem zawad przez rękę niewidzialną, i przymierzem z duchami ciemnymi? Trzeba się domyślać, że duchy »wyrżniętych ludów« w imię zemsty służą zrodzonemu z ich popiołów, spełniają wszystkie jego myśli i chęci, tem skuteczniej, że niewidzialne. To też zanim został wodzem wojsk Lecha, był Popiel wodzem najstraszniejszego wojska na świecie — wojska duchów.

Gromadą duchów zarządzałem ciemną,
I te, jak sługi moje, były ze mną.

Te duchy nie tylko spełniają wszelkie szczegółowe pragnienia Popiela, ale i kierują jego losami. Pewnego razu Popiel wracając jako wódz z wojskiem z dalekiej wyprawy, znajduje mnóstwo skrzydeł orlich na polu; on i jego rycerze przystrajają temi skrzydłami swoje hełmy i tak stają przed królem. Król jest przerażony tym widokiem, bo jego córka Wanda miała sen, że koronę, która ma jej po ojcu przypaść, zerwą jej kiedyś z głowy »na koniach lecący orłowie«. Król w zjawieniu się Popiela z orlem skrzydłem widząc wytłómaczenie snu, chce zapobiedz przyszłemu nieszczęściu Wandy i każe wtrącić Popiela do podziemnej ciemnicy. Któż to wszystko sprawił? Wszystko to urządziły, nie pytając się Popiela o zgodę, owe duchy wyrżniętych ludów, owa gromada duchów ciemna, która w imię zemsty służyła Popielowi i jeśli go wtrąciła do więzienia, to na to tylko, aby skupiwszy tam całą moc nienawiści i energii, wydostał się stamtąd i poszukał na świecie siły zdolnej pokonać i oddać mu w ręce państwo Lechitów.

. . . . ciemni szatani
. . . .
Sprawili, że snu na nią malowidła,
Na orły spadła rzeź — a na mnie skrzydła.

A nie tylko owe ciemne duchy, w których się trzeba domyślać wyrżniętych Wenedów, służą Popielowi i wspierają go we wszystkich walkach i zamiarach. Pozyskał on sobie wdzięczność innej jeszcze falangi niewidzialnej, a to wskutek zamordowania Germana-barbarzyńcy, który dla igraszki ściął mieczem głowę jakiemuś cudnemu białemu posągowi, zabytkowi starożytnej kultury. Posąg zniszczony przysłał mu za to na pomoc rycerzy, zapewne duchy błędne ze starożytnego świata. Nie dość tego; ze słów Popiela dowiadujemy się, że przez swoje czyny zebrał on sobie takich rycerzy niewidzialnych całe miliony.

Nie wiedzą ludzie, przez jakie jakie ja tony,
   Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie
Zebrałem owe duchów miliony,
   Które, gdy wezwę, to mię strach ogarnie!
Bo ze słońc różnych są i z różnej strony....
   Jako girlandy w chmurach i latarnie
Pokazują się, kiedy sam nie zdołam
Czynić, a one na pomoc przywołam.

Wszystko to staje się zrozumiałem w świetle nauki Towiańskiego o niezliczonych kolumnach duchów, wysokich i nizkich, jasnych i ciemnych, unoszących sie nad ziemią. Ale tylko w ogólnych rysach; w szczegółach panują niejasności nie do rozproszenia. Dlaczego poeta nazywa duchy wyrżniętych ludów »ciemnymi szatanami«, »ciemną duchów gromadą«, a o Lechitach powiada: »Cudowne jakieś Lecha pokolenie — Mające w sobie całe Polski *Słowo* — I moc, i rózgę cudów Mojżeszową«? Widocznie na wzajemny stosunek Lechitów i Wenedów inaczej się zapatruje, niż wtedy, kiedy pisał białą *Lillę Wenedę*, ale w takim razie dlaczego ten, który nad brzegami Lety umiłował na wieki Panią Słowa, wcielony ideał lechickiej

ojczyzny, ma się koniecznie rodzić z popiołu wyrżniętych ludów, dlaczego dla ich pomszczenia prowadzi Germanów na »cudowne Lecha pokolenie?« Co się dzieje potem z Germanami, którzy zwyciężają Lechitów? Dlaczego zostawszy królem, w zawziętości morderczej nie kieruje się już zemstą i nie oszczędza nawet własnej matki? Te i inne pytania, nasuwające się czytelnikowi przy rozważaniu pierwszego rapsodu *Króla-Ducha*, pozostają bez odpowiedzi.

To tylko pewna, że postać Popiela jest jakby trzypiętrową; trzy różne żądze piętrzą się w nim jedna nad drugą bez koniecznego ze sobą związku. Naprzód ożywia go natchniona mu przez matkę żądza zemsty i zjednywa mu pomoc duchów; potem opanowuje go na jakiś czas żądza miłości zmysłowej, w której ogniu zapomina o wszystkiem, prócz jej przedmiotu: królewny Wandy. Potem jej miejsce zajmuje trzecia żądza: zbrodniami kołatać w niebo, aby się przekonać, czy jest sprawiedliwość boska.

Wiemy, że w Popielu zamknięte są dwa anioły: prawy i lewy, anioł miłości i anioł »krwi i zawieruchy«. Te duchy potrafią wybiegać ze swego zamknięcia i wtedy każdy z nich działa na własną rękę bez wiedzy Popiela. O duchu dobrym powiada wojewoda Śwityn:

Duch litośniejszy twój jest ci za szpiega:
    On naprzód zgniłe serce twe wypyta,
A potem chodzi i ludzi ostrzega.
    Gdy twoje ciało śpi... a ząb twój zgrzyta,
Duch twój wychodzi i po kraju biega
    I targa włosy... jęczy jak kobieta...
Ty zmordowany jego lamentami
Wstajesz, nie wiedząc, żeś płakał za nami.

Duch zły, wydostawszy się z zamknięcia, postępuje naturalnie inaczej. Popiel mówi o nim:

Przypadłem w zamek jeden nadwiślany,
    Który zastałem cały już w purpurze...

Ze trupy swoje wyrzezane chował.
Duch mój przedemną tam był — i mordował.

Co się tyczy samego Popiela, w którym mieszkają oba duchy, ten działa wyłącznie pod wpływem »ducha krwi i zawieruchy«. Temu duchowi trzeba przypisać, że Popiel, jeszcze nim został pachołkiem u króla Lecha, już nienawidził ciszy i spokoju, a gdy sam został królem, piętrzył zbrodnie jedne nad drugiemi pod same niebiosa, ażeby niemi »przedrzeć błękit« i wywołać twarz bladego Boga. Że anioł prawy jest biernym świadkiem tych wszystkich zbrodni, to jest rzecz dosyć dziwna, ale dziwniejsza to, że nie waha się w pewnych chwilach napełniać duszy zbrodniarza anielską błogością uczuć. Popiel mówi o sobie:

Lecz co dziwniejsza, że tak próchniejący!
Taki upadły! i taki zużyty!
Czasem się czułem, jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i wieść w błękity
Tę ziemię, jako anioł wzlatujący
Z pieśnią...

Jakże to zrozumieć, że dwa tak różne anioły mogą żyć w zgodzie z sobą w duszy Popiela? Rozwiązanie zagadki znajdujemy przy końcu rapsodu, ale rozwiązanie to wprowadza nową niekonsekwencyę do poematu. Sądziliśmy, że Popiel zbrodniami szturmuje do nieba, aby dowiedzieć się koniecznie, czy jest Bóg sprawiedliwy, czy go nie ma; tymczasem w końcu dowiadujemy się, że właściwie zadanie jego było inne, że zbrodnie w jego ręku były tylko środkiem wychowawczym, jak rózga w ręku kochającego, ale surowego rodzica, że krew i mordy miały służyć tylko do zahartowania narodu, że Popiel jest męczennikiem poświęcającym się dla niego, który pragnie zbrodniami szczęśliwą przyszłość narodowi wyjednać, choć wie, że musi je odpokutować.

Idźcie... Już więcej nie jesteście sługi
  Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią... i nad jej strugi
  Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
Niejeden sobie wieśniak wieczór długi
  Umili pieśnią i tem się rozhardzi,
Że będzie o swych ojcach przypominał,
Jak śmiało na śmierć szli, gdy król wyrzynał.

Co do mnie, jam jest bicz okropny, boży,
  I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
. . . .

Sam poeta widocznie spostrzegł, że motywy zbrodni Popiela są niejasne, rozbiegają się w różnych kierunkach gdy stawiał tę strofę:

Taki był koniec mojego żywota,
  Śpiewany długo w kraju przez Rapsodów,
Którzy nie doszli, w czem była istota
  Czynów? w czem wyższość od rzymskich herodów?
Nade mną była myśl słoneczna, złota,
  Do niej moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto w złotych celów progi.
Jam szedł jak rycerz krwawo — i bez trwogi.

I, żeby nie było wątpliwości, co było ową myślą słoneczną Popiela, ku jakiemu motywowi ostatecznie przechyla się poeta, wkładał on w usta swego bohatera te słowa:

Ale przeze mnie ta ojczyzna wzrosła,
  Nazwiska nawet przeze mnie dostała;
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
  Dotychczas idzie: Polska — na ból skała.

Etymologia w ostatnim wierszu zawarta jest godna myśli politycznej z nią związanej [1], więc się też ani nad

[1]) Dobrą odprawę tej myśli dał *Dziennik Narodowy* wkrótce po ukazaniu się *Króla-Ducha* w numerze z 6 marca 1847. Umieściwszy wiersz *Do Juliusza Słowackiego* napisany z powodu nowego poematu jego przez jakiegoś H. J., który mówił o sobie, że »zgłębiał

jedną, ani nad drugą zastanawiać nie będę. Dodam tylko, że poeta chciał potem w inny jeszcze sposób uzasadnić dobroczynny wpływ zbrodni Popiela: mianowicie oczyszczającą migracyą duchów. W waryantach do rapsodu drugiego[1]) znajdujemy taką strofę:

Powiedz, jak duchy te niewolą psute
  I panowaniem cielesnem zbrudzone,
Mieczami potem z podłych ciał wyprute,
  Rzezią zalękłe, ogniem wypędzone,
Do innych ojczyzn poszły za pokutę
  Wolności nie znać — aż przeanielone
Ducha świętego zachwycą ustami
I wrócą kochać — walczyć — i żyć z nami.

Powiedziałem, że w Popielu trzeba szukać przedewszystkiem antyspołecznego nastroju poety, podniesionego tutaj do najwyższej potęgi, do barw jak najjaskrawszych.

---

rapsod raz, drugi i trzeci«, redakcya *Dziennika Narodowego* takie wypowiadała zdanie o *Królu-Duchu*. »Wprawdzieśmy go nie czytali trzy razy, jak autor wiersza, ale po jednem uważnem odczytaniu zdawało się nam, żeśmy schwycili myśl prawdziwą poematu, a która jest: iż panujący tyran okrucieństwy i mordami swych poddanych może odrodzić naród upadły na duchu, wlać weń hart, dodać mu odwagi i męskości i przez pogardę śmierci popchnąć go do nowego życia i czynów wielkich.

Wyznajem, iż poemat jest tyle niezrozumiałym, żeśmy się mogli omylić przyznając mu myśl tu przez nas wynurzoną; lecz jeżeliśmy ją odgadli, oświadczyć winniśmy, iż w naszem pojęciu jest ona arcybłędną. Nie przeczym, aby w poranku narodu, przy jego początkowej organizacyi, ręka potężna i sroga władcy, nadająca każdemu ruchowi podwładnych rygor i surową dyscyplinę, nie postawiła narodu w warunkach bytu silnego i pewnego i nie popchnęła go do wielkości przy zachowaniu ciągłem ducha organizmu i porządku, — ale przeczym, aby tyrania i morderstwa mogły odrodzić naród zdenerwowany i upadły moralnie. Historya mówi przeciw temu: ani Tyberyusz, ani Neron, ani wszyscy następni tyrani rzymscy nie odrodzili Rzymian i nie wleli w nich przez okrucieństwa pierwotnego ducha«.

[1]) *Pisma pośmiertne*. T. II, str. 376.

Ale nie tylko ten jeden rys, wzięty z siebie, włożył Słowacki w swego bohatera. Można znaleźć i inne, choć mniej silnie uwydatnione cechy, wspólne bohaterowi i poecie. I Popiel obok zemsty obiera sobie sławę (Ja biorąc skrzydła, za cel brałem sławę) i Popiel jest czuły na wdzięk posągów greckich, co zaś jeszcze widoczniej zbliża bohatera do poety, to żywość marzeń zmysłowych Popiela, które stają się wprost wizyami i z tego względu przypominają wizye *Lambra* i *Kordyana*.

Ale jeżeli z jednej strony Popiel jest wyrazem pewnych popędów i usposobień samego poety, to z drugiej uderza nadzwyczajnem podobieństwem z postacią cara Iwana Groźnego. Słowacki zabierając się do pisania *Króla-Ducha,* który miał mieć za tło dzieje Polski, czuł potrzebę bliższego rozpatrzenia się w tych dziejach, nie dlatego, żeby stosować się do nich, ale raczej, żeby wybierać to, co jego wyobrażeniom mistycznym odpowiadało. W tym celu studyował Naruszewicza i robił z niego wypisy; ale łatwo sobie wyobrazić, jak mało siły przyciągającej miał dla Słowackiego suchy i trzeźwy Naruszewicz. Przytem w dziejach Polski nie znajdował poeta wzoru tyrana, jakiego chciał przedstawić w pierwszem wcieleniu *Króla-Ducha*. Tylko Mieczysław Stary zbliżał się do tego wzoru, to też w czerwonym notatniku poety (k. 29) znajdujemy wypis z Naruszewicza o tym księciu, że »postrachem chce panować i tłumi szlachtę«.

Ale czego mu nie mogła dostarczyć historya Polski Naruszewicza, to znalazł w obfitości w historyi Rosyi Karamzyna, którą, jak wiemy od niego, jeszcze w czasach młodzieńczych czytał z upodobaniem, którego z kronik zaczerpnięta barwność obrazów tak pociągała wyobraźnię Słowackiego. Z tego dzieła teraz robił w swoim notatniku wyciągi odnoszące się do historyi Iwana Groźnego, tutaj w całym blasku okrucieństwa, ukazała mu się ta straszliwa postać, na którą już uwagę jego musiały przedtem zwrócić wykłady Mickiewicza w Collège de France. Cały sze-

reg tych wykładów poświęcony był Iwanowi Groźnemu i stosunkom współczesnym w wielkiem księstwie moskiewskiem w przeciwstawieniu do Zygmunta Augusta i Batorego i współczesnych stosunków w Polsce. Wcale szczegółowo między innemi był tam przedstawiony stosunek Iwana do ks. Kurbskiego, sławna polemika między tyranem a byłym wodzem wojsk jego i poświęcenie się sługi Kurbskiego, Szybanowa, który ośmielił się wręczyć Iwanowi groźny list swego pana.

Ten ostatni stosunek znajduje wyraźną analogię w poemacie w stosunku Popiela do Śwityna i Zoryana. Wojewoda Śwityn, jak wojewoda Kurbski, sławny jest ze zwycięstw wojennych i z rozszerzenia granic państwa, tak samo skazuje się na dobrowolne wygnanie, uchodząc przed pewną śmiercią, tak samo pisze list do tyrana, w którym go wzywa przed sąd boży, tak samo posyła list przez człowieka zupełnie sobie oddanego, którym jest gęślarz nadworny Zoryan. Popiel tak samo jak car Iwan po odebraniu listu Kurbskiego, czytając list Śwityna przeszywa ostrem żelazem nogę na wszelkie tortury przygotowanego posłańca.

Jednem słowem analogia w podanych szczegółach jest uderzająca i wskazuje, że Słowacki malując swego Popiela, jako tyrana, miał wzór przed sobą w postaci Iwana Groźnego. A nie ogranicza się ona tylko do tych szczegółów, można ją znaleźć i w bardziej zasadniczych rysach. Wszak o Iwanie, który w początkach panowania swego budził najlepsze nadzieje, możnaby powiedzieć jak o Popielu, że miał w sobie dwa różne duchy; wszak i jego, jak Popiela, lud ukochał »za siłę i za strach i za męczarnie«; i jego duchowi »szata się pruła« pod koniec życia i on miał zawsze z sobą »tłum siepaczy«... gotów »mordować do końca«.

Ale Popiel, nim występuje w postaci tyrana, odgrywa w poemacie inną jeszcze rolę: bajecznego Rytygiera. Słowacki wbrew tradycyi kronikarskiej przyplątał do postaci

Popiela myt o Wandzie, ale z tem podaniem obszedł się równie samowolnie, jak z mytem o Popielu. Możnaby myśleć, że wprowadził Wandę tylko dlatego, aby ozdobić pierwszą część swego poematu jakąś postacią dziewiczą, bo Wanda poza tem wydaje się zbyteczną w poemacie. Ale choć niewątpliwie odmalowana z właściwym Słowackiemu wdziękiem ozdobiła i rozjaśniła nieco pełen ponurych cieni i krwawych barw rapsod, to jednak przyznać należy. że poeta skrzywdził temat podaniowy, przedstawiając Wandę, jako zwyciężoną, nie jako zwycięską, i odejmując jej tę siłę piękności, która sama jedna zdolna była porazić wrogów.

Tylko śmierć Wandy w falach Wisły przedstawiona jest zgodnie z podaniem i tu — rzecz godna uwagi, świadcząca jak uporczywie trzymały się wyobraźni poety obrazy z dawnej zaczerpnięte lektury — odezwały się dalekiem echem pewne reminiscencye z pokrewnej sceny w *Hamlecie*, a nawet z *Maryi* Malczewskiego. Popiel, rozpaczający nad trupem Wandy, czyli mówiąc stylem poety »wyrzucający się duchem w kształty piramidalne«, przypomina wyrzekania Laertesa i przedrzeźniania Hamleta nad trumną Ofelii, a Wandy »ust perły, Wisły Amfitrytom — Z upiorną niby odśmiechnione złością« przypominają» mizg upiorzycy«, w który przystroił Malczewski twarz utopionej Maryi.

O pierwszym rapsodzie powiedział, jak wiemy, Słowacki, że »leciał, jak wiatr błyskawicy«, o dalszych, że »się wloką, jak wół, pracowitym krokiem, ciężko i poważnie«. Znaczyło to zapewne, że pierwszy rapsod po pierwszych wstępnych próbach, o których była mowa, wylał się w krótkim przeciągu czasu jakby z jednego natchnienia, bez udziału refleksyi, a więc bez wahania się i poprawiania. Niekonsekwencye, które znaleźliśmy w tym rapsodzie, przytwierdzają temu przypuszczeniu. Przy pisaniu dalszych rapsodów było inaczej: natchnienie rwało się, refleksya

brała udział w tworzeniu, poeta odrzucał ustępy gotowe, bo zmieniał plan, albo nie był z ich wykończenia zadowolony i stąd poszło, że dalszy ciąg *Króla-Ducha* rozlewał się na mnóstwo waryantów.

Żeby zrozumieć lepiej różnicę, jaka zachodzi między pierwszym a dalszymi rapsodami, trzeba jeszcze zwrócić uwagę i na to, że w pierwszym jest daleko więcej żywiołu osobistego, niż w dalszych, że poeta więcej tu wypowiadał siebie, nie krępując się ani historyą, ani tradycyą legendową, i to podtrzymywało ciągłość jego natchnienia. W dalszych rapsodach mniej już miał sposobności i potrzeby wypowiadania siebie, a więcej stosować się musiał do danych zewnętrznych.

W rapsodzie drugim (podług pierwotnego planu) chciał poeta przedstawić pośmiertne męki Popiela, jako Króla-ducha, zanim ten miał nowe przyoblec ciało — Mieczysława. Popiel po śmierci uczuł »wielki ducha bezprzytułek«, serce jego jest »jedną wielką raną«, albo jest jak »zegar zatrzymany«, na którym »ból godzinę zawsze jedną znaczy«, »sny o losach ojczyzny« otaczają go »jak wianek upiorów«, które go sieką i tną mieczami, nie mogąc zabić. Popiel spostrzega, że jego męki wypływają z poczucia następstw, które straszliwe panowanie jego ściągnęło na Polskę, z poczucia tego, co się dzieje w Polsce, gdzie dwunastu wojewodów, dwunastu katów szło teraz jego krwawym śladem; z poczucia tego, ile zawinił względem ojczyzny.

Cały się stałem ojczyzną... i cały
Stałem się prochem i cały rozpaczą.

Trzeba naturalnie przypuścić, że Król-duch nic nie wiedział wtedy jeszcze, czy też zapomniał w mękach o tem, co głosił w pierwszym rapsodzie, iż »kupił naród krwią«, i »ze sług zrobił rycerzy twardych«. Ale nadchodzi kres mękom, zaczyna się świtanie w tej nocy cierpień, w jakiej był Król-duch pogrążony. »Jak mgła purpurowa« za-

czyna on rosnąć »do nowej walki i podróży«, kiedy Pani Słowa przysyła do niego dwa duchy, które mu przynoszą odpuszczenie grzechów i polecenie, aby ofiarował Bogu w myśli — Miecz i Sławę, co ma oznaczać, iż przeznaczeniem jego jest, iż ma się narodzić na świat jako król Mieczysław. Nie zaraz jednak to się staje; przedtem jeszcze Król-duch błądzi jako upior po kraju, straszy wojewodów, pokazując się im w dwunastu tarczach, jak wściekła burza bierze udział w ich walkach.

Na dusz widmami obwieszone brzozy
  Wpadałem, jak wiatr — żarł, jak błyskawica,
Zmuszał je w piekło, aby szli ogniści —
Z dusz okrwawionych obrywał, jak z liści.

Skąd ta wściekłość w Królu-duchu, kiedy mu już grzechy zostały odpuszczone? Czy to resztki złowrogiej energii w ten sposób wyrzuca z siebie i rozprasza? Może, ale na pewno nic nie wiemy. Dopiero widok chaty Piastowej z bocianiem gniazdem u szczytu, nad którą zatrzymał się Król-duch w kształcie chmury, a która miała wówczas anielskich gości, budzi w nim nowe, błogie uczucie rozrzewnienia i zachwytu. W Piaście Król-duch poznaje nowe wcielenie ducha owego sługi Śwityna, śpiewaka Zoryana, któremu sam był zgotował śmierć męczeńską, i dawny zabójca zlewa teraz siedmiorakie błogosławieństwo na tego chłopka-kołodzieja i ziemię polską, na której on teraz gospodarzy, której on teraz jest przedstawicielem. Błogosławi Król-duch prostocie i pokorze i pogodzie wieśniaczej, sam przejęty nieznanemi sobie dotąd uczuciami pokory i pogody ducha, — a w tym nastroju słyszymy jakby echo tego błogiego usposobienia, w jakiem Słowacki pozostawał w pierwszych miesiącach po swojej transfiguracyi.

Wreszcie następuje chwila nowego wcielenia; zgodnie z mistycznym poglądem Słowackiego, że do tworzenia wszelkich istot potrzebna jest trójca, zjawiają się dwa »duchy mieczobójce« i wzywają Króla-ducha, aby się »spło-

mienił« z nimi; i w ten sposób rodzi się Król-duch jako Mieczysław I.

Taka jest treść ustępu, który w pierwotnym planie Słowackiego miał następować zaraz po rapsodzie pierwszym, i który z tego powodu Małecki podał w *Pismach pośmiertnych* (II, 211—229) jako rapsod drugi. Ale sam poeta odrzucił potem ten ustęp i nie myślał z niego robić drugiego rapsodu. Odrzucił też wiele innych prób przedstawienia pogrobowego życia Popiela, które się przechowały tak w drukowanych, jak i niedrukowanych waryantach *Króla-Ducha.* Nie będę odgadywał, dlaczego to uczynił, bo to rzecz zbyt trudna, ale chcę zwrócić uwagę na niektóre waryanty, wskazujące, jakiemi drogami błądziła wyobraźnia poety, gdy chciał przedstawić króla-ducha w zaświatowem życiu po pierwszem wcieleniu.

Jeden z nich, drukowany w t. II. 380—382 świadczy, że poeta chciał ducha Popiela wprowadzić do Erebu i tam mu wyznaczyć jakąś rolę w gronie pogan starożytnych, a także Żydów. Inne zaś, niedrukowane waryanty świadczą, że poeta długo się nosił z myślą wprowadzenia do swego poematu obrzędu Dziadów, i przedstawienia na ich tle Króla-ducha, i kilka razy wracał do tego tematu. W tych waryantach nie tylko temat, ale i forma niekiedy pożyczoną jest z drugiej części *Dziadów* Mickiewicza. Oto w zeszycie D na k. 23 znajdujemy taki ustęp:

Świece gasną — kogut pieje,
Czas przypomnieć ojców dzieje.

Jakieś widmo.

GUŚLARZ.

Kysz.

LUD.

Nie słucha.

GUŚLARZ.

Dziatki, widmo Króla Ducha
Przyleciało nam na Dziady.

LUD.

A kysz! A kysz!

GUŚLARZ.

On gromady
Pan... on zaczął ludu dzieje,
Niech zapieje — niech zapieje.

LUD.

Duch straszliwy — stoi niemy,
Twarz zielona — włos płomienny,
Przez ten płomień ciebie klniemy,
Przez ten miesiąc trójpierścienny,
Przez ten ciężki czar i senny,
Przez powietrze parne — krwawe
Klniemy: śpiewaj krew i sławę,
Albo precz — odsłonim krzyż.

Milczy i trwa — a kysz — a kysz.

GUŚLARZ.

Milczy i krew ociera z czoła.
Dziateczki — to duch obcy wleciał do kościoła,
Pierwszy raz go tu widzę...

Nazwanie Króla-ducha »panem gromady« pozwala wnioskować, że w wyobraźni Słowackiego duch Popiela zlewał się chwilowo z duchem złego pana z II części *Dziadów*. W zeszycie F są także różne próby przedstawienia obrzędu Dziadów. Np. na karcie 55 i 56 czytamy:

Zaledwo duch zakończył, wnet guślarze wstają
Zielem kadzą — dmuchają na ogień — śpiewają,
Brzmi kaplica — a kądziel zapalona świeci
Łuną, na twarze chłopków, chłopianek i dzieci i t. d.

W tym samym zeszycie na karcie 58 jest kilka oktaw poświęconych temu obrzędowi. Między różnemi postaciami, które migają na tle ogni obrzędowych, ukazuje się nam

tutaj i dobrze znajoma Zosia z drugiej części *Dziadów*, ale w jakim stroju! Tylko rozrzutna wyobraźnia Słowackiego mogła ją ustroić w dyadem apokaliptyczny.

Za nimi patrzcie ta dzieweczka, w dłoni
Która badylek trzyma koralowy
A za motylem i barankiem goni
Z tęczami u nóg, ze słońcem u głowy.

Z innych urywków na temat Króla-ducha na Dziadach podaję jeszcze jeden godniejszy uwagi, zawarty w zeszycie N (k. 107). Kądziel zapalona świeci, dudarze zaczynają lament.

O krwawy! o rumiany
Srodze ty oszukany!
Ani kości haniebnych,
Po królewsku grzebanych,
Aniś garnków płaczebnych
I kurhanów ceglanych
Dostał za twoje dzieła,
Proch i pamięć zginęła.

O krwawy, o piekielny,
Mocarz ty nieśmiertelny,
Zapadłeś się do ziemi,
Skra z ciebie wyskoczyła,
Płomieniami nakryła
I kruszcami złotemi
Jakby wodą zalała...
Otóż to — twoja chwała!

Ani tam pełń księżyca
Ni biała upiornica
W białym blasku siedząca,
Złota przyszłą piosenką
W puklerz twój biła ręką.

Następnie guślarz przemawia:

Dziatki, u starych słyszałem Rapsodów
Że on był królem u wielu narodów,
Wszędzie zaczynał od miecza i siły.
Nieraz pioruny w niego uderzyły,

Nieraz go morze krwi w otchłań porwało,
A jak widzicie, nic mu się nie stało.

KRÓL-DUCH.

Bom nieśmiertelny...

GUŚLARZ.

Mów, przez jakie kary
Przeszedłeś, abyś z grzechu był obmyty?
Czyli cię w piekle wypalały żary,
Czy wiatr gnał, czy mróz — czy step nieprzebyty
Straszną tęsknotą wieczystej podróży
Dręczył? Pod mgłą cierpiałeś lub w burzy
Lub w zimnie alboś w ogniu był trapiony?

KRÓL-DUCH.

Kościół te cztery podaje męczarnie.

GUŚLARZ.

Ale są inne! Możeś cierpiał w ziarnie,
Które spaliło oko błyskawicy...

Tak więc mamy aż nadto dowodów, że Słowacki chciał skorzystać z motywu Dziadów i powiązać z nim pośmiertne dzieje Popiela. Potem zaniechał tego zamiaru, zaniechał wogóle myśli wprowadzania pośmiertnych dziejów Popiela do poematu, skoro, jak wiemy, odrzucił i ten obszerny ustęp, który Małecki wprowadził do *Króla-Ducha*, jako rapsod drugi. Słowacki za drugą część poematu, chciał mieć — jak to sam oznaczył — powieść o Piaście, aniołach, Pysze, Ziemowicie i Wodanie. Postać Piasta, którą ledwie ukazał, opisując pośmiertne męki Popiela, przyciągnęła potem ku sobie tak wyobraźnię poety, tak ją zajęła, że choć w niej nie widział nowego wcielenia Króladucha, osnuł przecież dokoła niej cudowną legendę, z najrozmaitszych złożoną żywiołów i dla niej poświęcił to wszystko, co się z jej wprowadzeniem do poematu nie zgadzało.

Legenda wzięła z podania o Piaście tylko odwiedziny aniołów w chacie kołodzieja, resztę fantazya poety sama dotworzyła. Piast, słuchając opowiadań cudownych gości, domyślił się, że są aniołami i prosił ich, aby pobłogosławili żonę i synów. Żona, podaniowa Rzepicha, zamieniła się u Słowackiego w czarodziejkę Pychę. przedstawicielkę ciemnych, złowrogich sił, mocy antychrystowej, i stanowi przeciwieństwo z jasnym, szczerym, pełnym dobroci mężem. To przeciwieństwo objawia się w dwóch synach Piasta: starszy, Wodan, jest »czarny jako stal, ciemny jak mogiła«, młodszy Ziemowit, jak »róża rozkwitła«. Matka starszego tylko kochała, jako podobnego do siebie duchem i dla niego pragnęła błogosławieństwa. ale aniołowie ominęli Wodana i całe błogosławieństwo boże zlali na Ziemowita. Cudownych on też nabrał własności. Wtedy Pycha na straszną wpadła myśl — odkraść bożego ducha Ziemowitowi[1]). I udało się jej tego dokonać, a dokonawszy porwała Wodana za rękę i uciekła z nim na czarodziejską górę Zober do czarodziei-pustelników, którzy ją uznali za swoją panią. Tam osiadłszy, ukradzioną siłą bożą postanowiła świat pokonać, ale dopóki dość siły ziemskiej nie miała, wzywała jakiegoś mocarza ziemskiego na sprzymierzeńca. Usłyszał jej wezwanie Otton, cesarz Romy i pośpieszył z wojskiem pod górę Zober, aby z pomocą Pychy ujarzmić Słowian. Dla przekonania się o jej czarodziejskiej mocy, a więcej, aby ułatwić sobie zwycięstwo, cesarz żąda od niej, aby kamienny sen spuściła na panującego nad Lachami Popiela (trzeciego z rodu)[2]),

---

[1]) W tym pomyśle odkradzenia błogosławieństwa aniołów i pokrzywdzenia przez matkę jednego z synów na rzecz drugiego, ukochanego, można dopatrzeć wpływu podania biblijnego o Rebece podstępnie zjednywającej Jakóbowi z krzywdą Ezawa błogosławieństwo ojcowskie.

[2]) W jednym z waryantów tego rapsodu (str. 401) czytamy:

Bywało, słyszę o Popiela dworze —
A to już trzeci był z rodu Popiela...

na dwór i kraj jego, i Pycha z radością pełni jego żądanie i intonuje hymn czarodziejski, który w jednej chwili znieruchomia króla Popiela, rodzinę i dwór jego i kraj cały.

Ale czuwają moce dobre. W chwili gdy Pycha usłała drogę do zwycięstwa Ottonowi, przed Ziemowitem zjawia się jakiś »błyszczący« tj. dobry duch i naucza go, jak ma wieczorem udać się na dwór Popiela i obudzić go wraz z całym dworem dla ocalenia kraju. Ziemowit spełnia anielskie polecenie, idzie na dwór Popiela i zastaje wszystko w głębokiem uśpieniu. Budzi króla i dwór, wszyscy się zrywają, rzucają do broni, uderzają na wroga i depcą go; ale Pycha czarami wywołuje wielką górę nad cesarzem i jego wojskiem i broni go w ten sposób i Ziemowit już na to rady znaleść nie może. Ale wtedy do walki z czarami Pychy występują moce niebieskie w postaci zorzy i Pycha zostaje pokonana i znika, a Wodan ucieka w lasy i tam wiedzie żywot dzikiego ptaka.

Wiemy dokładnie, kiedy Słowacki kończył ten rapsod. W dzienniku bowiem swoim pod datą 24 października (1847) taką zapisał notatkę: »Tegoż samego dnia najstraszniejsze niebios ukazanie się w związku z duchem moim — dokończenie pieśni III-ej Drugiego Rapsodu, gdzie syn woła matki własnej a widzi ją w Zorzy północnej — zjawienie się Zorzy okropnej w Paryżu, którą ludzie w domu moim będący wzięli za światło pożaru nad domem zawieszone« [1]). Naturalnie zjawisko to było dla Słowackiego nowym dowodem, iż jest wybrańcem bożym, z którym się niebo od czasu do czasu porozumiewa i zatwierdza niejako jego rojenia i fantazye poetyckie.

Że gra fantazyi jego poetyckiej w tym rapsodzie była cudownie piękną, o tem już wyżej była wzmianka; tutaj

---

[1]) Biegeleisen. Juliusz Słowacki, 229. Poniżej Słowacki dodaje: »Właśnie w czasie trwania zorzy nad domem pisałem, że trzy duchy w Ogniu Jedności Chrystusowej spalone będą twórczemi«. Tej strofy nie ma w *Pismach pośmiertnych*.

zwrócę uwagę na to, że powieść o Piaście i Pysze, podobnie jak odrzucony rapsod o pośmiertnych losach Popiela, w różnych się zachowała waryantach; stąd mamy świadectwo, że i w jej zakresie poeta zmieniał plan kilkakrotnie. Małecki widzi najdawniejszą redakcyę w waryancie, podanym w *Pismach pośmiertnych* jako drugi (II, str. 396—407)[1]) i zapewne ma słuszność. W tej redakcyi Słowacki chcąc powiązać ściślej powieść o Piaście i Pysze z dziejami Króla-ducha, i z Wodana uczynił nowe wcielenie głównego bohatera poematu. Rodzi się on jeszcze, jakby pod wpływem swego poprzedniego żywota, jako czarny duch, i stąd miły jest matce, która jest wcieleniem dumy, chciwości władzy i odwagi. Jej to dzięki ma się znowu przemienić w plagę świata.

Ale niebawem poeta musiał spostrzedz niestosowność tego pomyslu. Naprzód Wodan był postacią czysto fantastyczną, nawet imieniem nie wiążącą się z tradycyą, na której przecież powinien był opierać się poemat, tłómaczący dzieje Polski; powtóre nowy Król-duch, jako plaga świata, byłby tylko powtórzeniem Popiela i to słabszem, jako działający nie z własnego popędu, ale pod wpływem matki Pychy, którą poeta odmalował wspaniałemi farbami i która właściwie jest główną postacią, bohaterką tego rapsodu. Więc trzeba było odjąć Wodanowi niestosowną rolę Króla-ducha i rapsod o Piaście i Pysze, pełen cudownych malowideł, inaczej powiązać z poematem.

Jako jeden z innych sposobów powiązania nasunął się poecie pomysł wprowadzenia powieści o Piaście i jego rodzinie do poematu, jako »księgi legend«, śpiewanej na dworze ojca Mieszkowego, Ziemomysła. W ten sposób powieść tę można było przywiązać do drugiego wcielenia Króla-ducha, którem według najdawniej powziętego planu miał być Mieczysław I. Powieść ta zatem

[1]) Dalszy ciąg tego waryantu drukowany jest w *Dzienniku literackim* 1865 nr. 83—85.

byłaby niejako wstępem do historyi drugiego wcielenia. Można ją było przytem umieścić na tle obrzędu Dziadów i w ten sposób choć w części skorzystać z odrzuconego pomysłu przedstawienia upiora Popiela na tle tego obrzędu. Tak powstała redakcya tej powieści ta, którą Małecki podał jako waryant I. na str. 388—396, po części zaś wcielił do głównego tekstu[1]). Znajdujemy tam takie strofy:

Skoro listopad złote liście zwieje
A miesiąc się przez rózgi lasów porze;
Kapłan, bywało biały pieśni pieje
W starej kaplicy albo w kniazia dworze,
I przypomina stare ojców dzieje
I woła głośno wielkie duchy boże...
Kaplice pełne są szczelnie zamknięte —
Przez okna widać ćmy aniołów święte.

Sami kniaziowie na nocne żałoby
Idą do kaplic, lud czarny obsiada
Drzewa pobliskie, cmentarze i groby;
Słucha — jak echo po kościołach gada,
A czasem w szybach ognistych — osoby
Staną i dach się jak ogniem rozpada.
Przez wszystkie okna i gonty i szpary
Słychać żałobne pieśni – widać mary.

Takiej to nocy więc Ziemomysłowi
Kniaziowi pieśni o Piaście śpiewano...
. . . .
W środku siedzieli w szatach purpurowi
Książęta, Pany radne i kontuszne,
A guślarz śpiewał i swojemu snowi
Spraszał za świadki upiory zaduszne...

Ten to guślarz śpiewa pieśń o Piaście i o Pysze, dokończenie zaś legendy, to jest opowiadanie o tem, jak Ziemowit wezwany przez jasnego ducha obudził dwór

[1]) Obacz uwagi Małeckiego w *Pismach pośmiertnych* (wyd. 2) na str. 388 i 396.

Popiela i kraj ocalił, włożył Słowacki w tym waryancie w usta jakiejś Sybilli.

. . . na zgliszczu tem jakaś kobieta,
Cała ubrana w bluszcze i powoje,
Jakoby szatą kwiatami okryta
I płótnem — wzięła ksiąg leżących troje,
I widać było, że ze średniej czyta....

Potem i ten pomysł wprowadzenia powieści o Piaście na tle *Dziadów* wydał mu się niestosownym, odrzucił więc zupełnie tło obrzędowe, a rozwinąwszy powieść w szczegółach, postanowił luźnie ją wprowadzić do poematu zaraz po pierwszym rapsodzie o Popielu.

Następujący rapsod (podany w *Pismach pośmiertnych*, jako czwarty) przedstawia dzieje Mieczysława, jako Króla-ducha. Małecki już zaznaczył, że pierwsze dwie pieśni tego rapsodu mają znacznie większą wartość poetycką od dwu dalszych i że jak początek rapsodu był wielokrotnie przerabiany i liczy wiele waryantów, tak dwie ostatnie pieśni »znalazły się w brulionie bez żadnych przeróbek i zdają się też być wogóle zgoła niewykończone«.

Myślę, że wyższość dwu pierwszych pieśni zależną jest nietylko od lepszego opracowania, ale i od tematu, który malarskiemu geniuszowi poety nastręczał tu więcej wdzięcznych szczegółów do malowania, niż w dwu ostatnich pieśniach. Głównym tematem pierwszej pieśni są postrzyżyny małego Mieszka, na których on, ślepy od urodzenia, poraz pierwszy przeziera i widzi przed sobą białą i w kwiaty przystrojoną postać kapłanki; głównym tematem drugiej, — poselstwo do Czech, powrót z Dobrawną i ślub Mieczysława z tą księżniczką. W dwu dalszych pieśniach nie ma żadnego konkretnego wypadku, któryby Słowacki mógł z wdziękiem właściwym sobie odmalować; przeważa w nich historyczność ogólnikowa w połączeniu z symbolizmem.

Jeżeli zwrócimy uwagę na dramatyczność rapsodu, to okaże się on najmniej dramatycznym ze wszystkich. Mimo całej przepaści, jaka dzieli *Śpiewy historyczne* Niemcewicza od *Króla-Ducha*, możnaby powiedzieć, że ten rapsod ma coś wspólnego z niemi. Ta wspólność polega na tem, że jak Niemcewicz z urzędu niejako, z obowiązku poety, który ma opowiedzieć całe dzieje Polski, za bohaterów swoich śpiewów brał jednego króla po drugim, prawie nie czyniąc wyboru, tak i Słowacki, jako piewca Króla-ducha, z konieczności, z obowiązku, za jedno z wcieleń jego musiał obrać tego, który wyprowadził lud polski z ciemności pogańskich na światło wiary Chrystusowej, choć historya jego mało dramatycznego pierwiastku dostarczała. Dawniej wyobrażał go sobie — jak można wnioskować z wiersza *Poeta i natchnienie* — jako wodza stutysięcznym śpiżem obwołującego imię Pana, do czego przyczyniało się zapewne i samo imię Mieczysław, w którem, jak we wszystkich imionach, upatrywał Słowacki symboliczne znaczenie; teraz gdy zstąpił do szczegółów podaniowych i historycznych, to pojęcie utrzymać się nie mogło i poeta z symboliką imienia miał kłopot niemały, z którego tem trudniej było mu wybrnąć, że z historyą nie śmiał tak samowolnie postępować, jak z podaniem o Popielu i Piaście.

Wybrnął jednak, a przytem pewną dozę dramatyczności umiał poeta wlać w pierwsze dwie pieśni, do czego mu posłużył motyw wyjścia ze ślepoty i motyw przyjęcia nowej wiary. Na ten ostatni tylko zwrócę tu uwagę, jako na ważniejszy i przytem taki, który się wiąże z pewnemi wynurzeniami poety, rzucającemi światło na cały poemat. Uroczyste poselstwo, wyprawione przez ojca Mieczysława, wyruszyło do Czech po chrześcijańską Dobrawnę którą ma sprowadzić za żonę Mieczysławowi. Ten przed jej przybyciem waha się pomiędzy dawną wiarą a nową, której jeszcze nie zna, ale do której go ciągnie dalekie przypomnienie tej jeszcze przed pierwszem wcieleniem

nad Letejską rzeką »w błękitach zjawionej«. Przeciw nowej wierze podburzyć go a utrzymać przy dawnej usiłuje kapłanka »poświęcona w Retrze«, ta sama, która obrzędu postrzyżyn dopełniła nad nim[1]). Jej słowa namiętne wywierają wpływ na Mieczysława, jednak nie ulega jej zupełnie i tak odpowiada:

Jeśli mi wiara ta nowa uprości
  Żywot, a zdejmie z serca żal i trwogę;
Przyjmę ją; jeśli cudów nie pokaże,
To ciebie wezwę na nią — i przerażę.

Kapłanka przyjmuje wezwanie do walki, ale jakby przeczuwając, jaki wybór zrobi Mieczysław grozi mu:

Drogi twe trudne — sława twa zagasła!
Oczy zamknięte — i kraje porwane...
. . . .
To będzie mój dar.

Wraca poselstwo i sam widok Dobrawny na białym rumaku i towarzyszącego jej świętego Wojciecha, wprawia w taki zachwyt Mieczysława, że woła on:

          Sława, miecz i to zamęście
  I złote moje szaty oblubieńca
Niech idą Panu, jako wieczne dary:
Jeśli Pan żąda z ducha tej ofiary.

Uczucia moje ludzkie podruzgotam,
  Serce rozbiję, miecz jak drzazgę złamię,
Sławę rycerza od siebie pomiotam,
  Koronę zrzucę, krzyż wezmę na ramię;
Tylko niech sobie tym dniem zarobotam
  Wieczyste światło.

---

[1]) W jej postaci, mieniącej się mistycznymi blaskami, przypomina się nam Helois szukająca Heliona. Porówn. strofy XIX i XX pieśni II.

A więc Mieczysław z zapałem, który przypomina wykrzyk Hera Armeńczyka na widok Niebieskiej Pani, składa Bogu w ofierze miecz i sławę (stąd to ma być imię jego!) i Bóg przyjmuje jego ofiarę [1]), ponieważ pełnią się groźby kapłanki. Wynagradza go za to synem Bolesławem, nazwanym tak dlatego, że ojca bolała utrata

---

[1]) Pierwotnie miał być inny plan tego rapsodu, jak o tem świadczą przekreślone przez poetę waryanty w zeszycie P. Mieczysław miał odgrywać rolę więcej awanturniczą, bardziej przypadającą do upodobania poecie, który i w niego chciał wlać pewną dozę demonizmu. Przybywa poselstwo z dziewicą, odbywają się zaręczyny, wszyscy, nie wyłączając Mieczysława, oczarowani są Dubrawną, kiedy w tem »myśl — ta straszna, serdeczna sąsiadka — Szepczący szatan« podszeptuje mu, aby się nie poddawał łatwo tym, którzy go chcą brać tylko pięknością kobiety. »Niechże pokażą jaki cud«, woła i wnet sługa bieży z dworca krzycząc: «Pan nasz stary skonał». Mieczysław czuje, że o niego biją się dwie wiary.

A ten bój duchów wielkich usłyszawszy,
Rzekłem z obojej że będę pił czary,
Więc naprzód, jako chrześcijanin stanę
I w ślub przemienię pierścienia zamianę.

Potem... o straszna podłości ciemnico!
Potem kapłankę, rzekłem, porwę sobie
I tak dwoistą obu wiar dziewicą
Będę, jako mąż, stał na strony obie
Skrzydlaty, niby szatan błyskawicą
O wyższej myśląc na czoło ozdobie...
Myśląc, że lice naśladując Boże
Na czole gwiazdę lub słońce położę.

I wnet spełniłem... pół podstępem... rzeczy,
O których mówić dzisiaj duchy bronią,
Bo rzecz zła ludzi niepewnych kaleczy,
Zwłaszcza... gdy kwiaty ją formy osłonią.
Takiego ducha, jak ja — piorun leczy
Nie spowiedź... ani krzyż zrobiony dłonią.
Jam wielkie serce i długie miał życie
I łez miał dosyć — na ran tych obmycie.

sławy (boli mię sława)! Nieszczęsna etymologia grasuje nie w jednem miejscu w *Królu-Duchu*, ale nigdzie silniej, jak w tym rapsodzie.

Ale o co innego mi chodzi. W ustępie opowiadającym przyjazd oblubienicy i wrażenie, jakie on na Mieczysławie wywarł, są strofy usuwające wszelką wątpliwość, że Słowacki miał siebie za Króla-ducha i wyobrażał sobie, że w poemacie noszącym tę nazwę, przedstawia własne przedwiekowe dzieje. Oto w jakich slowach zwracał się do owych świętych gości, przynoszących światło prawdziwej wiary, zwracał się nie jako przedwiekowy Mieczysław, ale jako dzisiejszy Słowacki, mieszkający w swoich pokoikach paryskich:

O! hosanna wam jeszcze dziś, o goście
  Anielscy, ludzie obcy dobrej woli!

. . . .

Nie mogę dziś was tak, jako przed wieki,
  Przyjąć w prostocie serca w moim dworze;
Bo nie mam dachu... i nie dam opieki
  Nawet jaskółce! Ani wam położę
Miodu złotego z królewskiej pasieki
  Ani rozsypię w progach złote zboże....
Z przyjęcia niegdyś Król-Duch byłem sławny:
Bóg teraz widzi, żem syn marnotrawny!

A jednak wy mię znowu nawiedzacie,
  O duchy... patrząc tu na moje ściany...
Zdziwione prawie, żem jest w cudzej chacie —
  Podły jak żebrak jaki — i nieznany!
Napróżnoż wy się nad tem rozczulacie,
  Bo mię nie bolą wcale moje rany;
Owszem nad sobą płaczcie, że nie mogę
Was tam wprowadzić jeszcze, gdzie mam drogę!...

W mój dworzec prosty wprowadziłem żony
  Obie przez podstęp i gwałt zaślubione.
Piękniejsza, pierwsza anielskiej korony
  Dostała Czeszka.,. a ja z góry one
Będę wam mówił, jak duch zamyślony
  Który w słabości ciała ma obronę.

Na tem się ów waryant odrzucony kończył.

Jak po rapsodzie o Popielu chciał Słowacki przedstawić jego dzieje zagrobowe, tak samo i po rapsodzie o Mieczysławie chciał z początku prowadzić swego bohatera za światy. Miał być temu poświęcony osobny rapsod, który poeta nazwał trzecim, a to z powodu, że powieść o Piaście i Pysze, dzieląca rapsod o Popielu od rapsodu o Mieczysławie, nie miała nazwy rapsodu, ale nazwana była *Księgą legend*. Ale i ten pomysł zarzucił, choć już miał wiele strof według niego napisanych, między któremi były bardzo piękne, i przeszedł do opiewania trzeciego wcielenia Króla-ducha, do postaci Bolesława Śmiałego, która go zapewne swoją dramatycznością szczególnie pociągała.

Rapsod o Bolesławie Śmiałym, pisany w ostatnich czasach przed śmiercią i tylko z powodu śmierci niedokończony, świadczy, że ani choroba, ani osłabienie fizyczne nie odjęło żywości i siły poetyckiej wyobraźni Słowackiego. Ale bo też i temat historyczny i podaniowy był jakby stworzony dla jego muzy lubującej się w jaskrawych zapędach namiętności. Myślę, że gdyby śmierć nie przeszkodziła poecie dokończyć i wykończyć tego rapsodu, prześcignąłby on, jako całość, poprzednie rapsody, właśnie dzięki swemu tematowi; ten bowiem był tak bogaty, że dostarczał fantazyi poety dość materyału, aby nie potrzebowała latać po żer dla siebie gdzieś daleko i plątać się w niekonsekwencyach.

Bolesław Śmiały jest nietylko bardziej historyczny od Popiela i Mieczysława, nie mówiąc już o Wodanie, w którego przez jakiś czas fantazya poety chciała włożyć Króla-ducha, ale i realniejszy, zrozumialszy. Wprawdzie nie wszystko się nam przedstawia jasno w tej poetyckiej historyi jego, jaką nam podał poeta, ale zupełnej jasności trudno wymagać od fragmentu; możemy przypuszczać, że dalszy ciąg rapsodu rozjaśniłby nam niektóre tajemnice, sfinxowym wzrokiem patrzące na nas u wstępu. Ale jako typ psychiczny, nie jest Bolesław trzypiętrowy jak Popiel,

ani niewyraźny i blady, jak Mieczysław, ale jednolity, z jedną, górującą nad innemi, a fatalną żądzą — lubieżnością. Ona to odbiera cenę jego wielkim przymiotom, czyni jałowemi jego bohaterskie czyny, sprowadza jego zgubę i utratę u Boga zarobionej poprzednim żywotem zasługi.

Utratę mojej u Boga zasługi
 Śpiewam i wyjście mego ducha z tronu
I dzień żywota straszliwy i długi
 Marnie przebyty bez żadnego plonu,
I powrót ducha nad letejskie strugi...

Ale ta żądza nie odrazu się w nim rozpala i nie odrazu góruje. W pierwszych latach, kiedy jako pacholę jeszcze, na tron wprowadzone przez matkę, jest przedmiotem powszechnej czci i miłości ludu, leży ona w nim uśpiona, jakby nieistniejąca. To też »piękny był wschód jego żywota«, śród świętości, ciszy i prostoty. Ale już duchy »żeńskie, wietrzne, ognice«, które »szatan do pracy napędza«, duchy rusałczane, »co mają pas i wieniec lity — Z morskich, świecących roślinek uwity« i które »we snach człowieka napadają«, już lecą ku młodemu królowi »chmurą od południa«, aby się »w myśli jego wkształcić«.

Poeta pojmował te duchy nie symbolicznie, ale jako prawdziwe, odrębne istoty duchowe; dla nas stają się one doskonałą symboliką pewnych usposobień wrodzonych, odziedziczonych po przodkach. W żyłach Bolesława obok krwi polskiej płynie gorąca krew ruska i ona bierze górę nad polską; Bolesław Śmiały jest z temperamentu więcej Rusinem, niż Polakiem. Prawnuk Chrobrego, jako syn Maryi-Dobrogniewy, jest wnukiem Włodzimierza Wielkiego i odziedzicza jego gwałtowną zmysłowość. Poeta nam tego wyraźnie nie mówi, ale wypływa to na przykład z tych wierszy:

To matki we mnie krew, na żywot trzeci
 Duchów szatańśtwem w żyły moje wlana

a także wynika z teoryi nieraz przez niego wypowiadanej a i w tym rapsodzie wyśpiewanej, że synowie dziedziczą zwykle ducha po matkach, a córki po ojcach.

Któż cię, mądrości, zna? kto dzisiaj szuka
Pod korą ciała pierwszej ciał przyczyny?
Czekacież, aż Bóg ciała poroztłuka
I wam pokaże wasze własne czyny?
Któż wie, że ojciec jako duch aż w wnuka
Musi przeskoczyć w rodzie przez dziewczyny,
A synów swoich ustąpi posąga
Dla duchów, które miłość matki ściąga?

Ale nie tylko zmysłowość cięży, jako fatalizm, na Bolesławie: jest drugi jeszcze, który się wiąże ściśle z pierwszym, bo wypływa również z dziedziczności, a wygląda bardziej sfinxowo od pierwszego. Matka Bolesława jest przyczyną wszystkich nieszczęść, które mają spaść na syna. W niej poeta z doskonałym artyzmem wcielił martwość i nieruchomość bizantyńskiej wiary i sztuki, dając jej postać, jakby zdjętą z jakiej starodawnej ikony, ale co rzecz ważniejsza z powodu swoich tajemniczych następstw, zrobił ją także jakby wcieleniem tradycyi Warego-Rusów, organizatorów państwa na gruncie słowiańskim. Matka korzysta z przewagi swojej nad dzieckiem w koronie, prowadzi je pewnego razu do sali tronowej, sadza na tronie, klęka przed nim, składa mu ręce do przysięgi i każe mu przysięgać, że on się poświęci kiedyś za krew Włodzimierza Świętego, za państwo przez niego zbudowane.

I rzekła: — W tobie jest krew Włodzimierza
Świętego! Miałam ducha objawienie,
Że ty za Rossyę weźmiesz mękę krzyża
I cierń — i ćwieki... ocet i ościenie,
Przysiąż! bo śmierć się moja szybko zbliża,
Że ty za moje dalsze pokolenie
Weźmiesz zgon taki dobrowolnie krwawy
Jak Chrystus: z ducha wiem, u *złotej-hławy*.

Słysząc te straszne, ciemne, krwawe słowa,
Nie rozumiałem nic prośby matczynej,
Tylko ta złota jakaś straszna głowa,
Krwi żądająca, na mrok wyszła siny,
— Przysiąż! krzyczała; a sama królowa
Oczy topiąca we mnie, jak bursztyny,
Krzyczała: przysiąż! rączki mi podniosła —
Jam drżał — i przysiągł!

Ço znaczy ta straszna, ciemna przysięga, narzucona przez matkę dziecku w koronie? Tajemnicy jej całkowicie rozjaśnić nie można, przedewszystkiem trudno zrozumieć, jaką rolę odgrywa w niej »złota głowa« krwi żądająca. Złotą głową jest złotogłowy posąg Peruna, który Włodzimierz Wielki, chrzcząc Ruś Kijowską, kazał obalić i wlec w hańbiący sposób wśród jęków i łez ludu do Dniepru. Do serca i wyobraźni Słowackiego ta scena, tak żywo w najstarszej kronice ruskiej przedstawiona, bardzo silnie przemówiła i natchnęła szczególną litością dla drewnianego boga, któremu też wiele przecudnych strof poświęcił w pierwszej pieśni rapsodu. Ale dlaczego ten drewniany bóg żąda krwi jego, a matka mu przywtarza? Trzeba się domyślać chyba, że na rodzie Włodzimierza Świętego za to pohańbienie Peruna przez protoplastę, cięży brzemię winy, które tylko dobrowolną krwią okupić można.

Czy taka, nie inna była myśl poety? trudno na podstawie fragmentu stanowczo coś powiedzieć. Ale odrzuciwszy motyw złotej głowy, przysięga daje się poniekąd oprzeć na historycznych faktach, na pomocy dobrowolnie niesionej przez Bolesława Śmiałego wygnanym z Kijowa potomkom Włodzimierza, pomocy, która w swoich dalszych następstwach przynosi mu zgubę. Ona to bowiem prowadzi go w cyrcejską grotę Kijowa i rzuca go tam na pastwę rozwiązłości, która w końcu ściągnie na króla klątwę biskupa i mocarza obróci w tułacza.

Jeszcze przed wyprawą kijowską wystawiony jest młody król na pokusę lubieżności. Jeszcze gdy cały »żelazny«, ża-

dną zmysłową żądzą nienadszczerbiony, stał raz na rynku w Krakowie, zjawiła się przed nim z pękami kwiatów w obu rękach, ze złocistym ogniem w oczach, zalotna Krysta i kazała odróżniać prawdziwe kwiaty od sztucznych. Pod wpływem tych oczu, »które biegły w jego oczy«, król zniżył się o tyle do zalotnicy, że nie wzgardził jej pytaniem i wezwał swoje duchy przyboczne, aby mu pomogły rozwiązać zagadkę. Pomoc nadbiegła w postaci roju pszczół, które umiały odrazu odróżnić naturę od sztuki i obsiadły pęk żywych kwiatów, ale nie poprzestając na tem osypały i włosy dziewczyny, a ta w przestrachu »roziskrzona«, biegła na niego »w pszczołach — niby w gwiazdach«.

Jam ją z powietrza wziął na moje łono
Jak ogień... i wiatr muzykalny w skrzydłach,
I chwilę czułem, jak na mojem łonie
Przestrach mię mrozi jej — a miłość płonie.

Ale to była chwila szału, nad którym w mgnieniu oka zapanował żelazny jeszcze duch młodzieńca: Bolesław rzucił tę »mieszczkę« od łona, jak węża i nie poddał się tym razem lubieżności. Niebawem stanęła przed nim wielka sprawa.

Bóg mi nastręczał
Wielkie ogromnej rzeczy dokonanie;
Kijów pod mieczem już Waregów jęczał,
I chcieli miasta złotego Słowianie,
Gdzieby kto Boga na sądach wyręczał,
A łączył ludy przez prawdy poznanie,
Lecząc nie żadnym knutem i obrożą,
Ale przez miłość i myśl jednę bożą.

Słowacki przeciwstawia tu książąt ruskich z pochodzenia Waregów słowiańskiemu elementowi, który tęskni do »miasta złotego«, do nowej Jerozolimy, zapowiedzianej w Apokalipsie, t. j. do urządzeń na miłości i myśli bożej zbudowanych, a musi jęczeć pod mieczem Waregów. Bo-

lesław o tej tęsknocie Kijowian wiedział »z Boga wiedzy« i miał to »słowo«, na które oni czekali, a jednak kiedy stanęli na dworze jego książęta ruscy, przeciwko ludowi temu szukając pomocy, Bolesław, choć gardził tymi książętami »nie ze Słowian rodu — ale z Łotyszów«, przecież dał im pomoc i poprowadził ich do Kijowa. Trzeba się domyślać, jak już wspomniałem, że działała tu przysięga dana matce, choć tego wyraźnie sam poeta nie powiada. Wprawdzie przed wejściem do Kijowa Bolesław polecił synowi Izasława, »miłością wziąć swemu ojcu grody«, ale nie sprawdził, czy polecenie jego spełnione, i tylko koń jego przy wjeździe swego pana do Kijowa »czuł, że w piersiach tłumu — Była zamknięta jakaś wielka skarga«.

Bolesław nie dowiedział się nic o niedoli ludu kijowskiego, »bo wraz z wieczora — wzięto go w wonne księżniczek świetlice«, gdzie sieć lubieżności zastawiona była na młodego bohatera. Byłby się on nie dał oplątać tej sieci, gdyby na ponętę nie użyto prawdziwie niewinnej ofiary — Mścisławy, której cudowny wizerunek jest jedną z największych ozdób tego rapsodu. A potem dalej w rapsodzie wszystko mniej więcej według podania: rozpusta króla, rozpusta panów, wiarołomstwo ich żon w Polsce, powrót do kraju, srożenie się króla i zatarg ze świętym biskupem. Rapsod urywa się w chwili, gdy biskup wywołuje z grobu Piotrowina.

Po tej analizie pojedyńczych rapsodów, która, jakkolwiek jest bardziej szczegółowa od wszelkich dotychczasowych analiz tego poematu, nie wyczerpuje przecież wszystkich jego podrzędnych szczegółów — rzućmy okiem na całość *Króla-Ducha*. Wprawdzie poeta nie dokończył swego poematu — wprawdzie, mam to przekonanie, nie potrafiłby go nigdy dokończyć, gdyby nawet śmierć jak najdłużej czekała na dokończenie tej budowy — wszakże to, co pozostało, stanowi całość architektoniczną, jak ją sta-

nowią gotyckie katedry średniowieczne, których wieżyce daremnie przez wieki czekały doprowadzenia do szczytu. Czemże jest ta całość? Jakie znaczenie ma ten poemat w twórczości Słowackiego? Jakie stanowisko w poezyi polskiej?

Z pomiędzy krytyków, którzy pisali o *Królu-Duchu*, jedni widzieli w nim przedewszystkiem zamiar stworzenia poetycznej filozofii dziejów Polski, inni jak n. p. Żdziechowski, kładli nacisk na subjektywny charakter poematu. Ten ostatni punkt widzenia wydaje mi się właściwszym. Nie przeczę, że i tamten zamiar jest widoczny w poemacie, ale nie on jest jądrem, osią wszystkiego.

Żeby lepiej zrozumieć *Króla-Ducha*, warto go porównać z *Anhellim*, ponieważ znaczenie ich pokrewne i geneza także. Przed rozpoczęciem jednego i drugiego poematu, dwojakie zadanie miał poeta przed sobą: dać obraz swego społeczeństwa, tam w *Anhellim* w chwili obecnej, w chwili cierpień i tęsknot popowstańczych, tu, w *Królu-Duchu*, w jego rozwoju wiekowym — to jedno; dać syntezę swojego ducha i jego znaczenia dla narodu — to drugie. Z tych dwóch zadań z początku pierwsze wysuwało się naprzód: przed *Anhellim* Słowacki miał zamiar pisać *Posielenje*, przed *Królem-Duchem* »śniła mu się jakaś wielka i przez wieki idąca powieść«, w której miały być »prześwięte żywoty« opowiedziane, ale w której o Królu-duchu jeszcze nic nie słychać. Ale w obu razach drugie zadanie — stworzenia syntezy własnego ducha — wzięło górę nad pierwszem i głęboko wycisnęło pieczęć swoją na jednym i drugim utworze. Obraz społeczeństwa w obu razach nie został odrzucony, ale odsunięty z pierwszego planu na drugi, użyty za tło dla głównej postaci, w którą poeta wcielał swego ducha.

W *Anhellim* chciał poeta odmalować piękność, czystość, anielskość swojej duszy i przedstawić siebie, jako ofiarę, która ma biernem cierpieniem przynieść zbawienie społeczeństwu. W *Królu-Duchu* zadanie było pokrewne,

ale odmienne i rozszerzone na nieskończoność czasu i przestrzeni. W *Anhellim* poeta nie wiele miał do powiedzenia o sobie, i wogóle nie wiele do powiedzenia swojemu społeczeństwu; teraz kiedy zdawało mu się, że niema dla niego żadnej tajemnicy na świecie, kiedy się uczuciem i wyobraźnią odnajdował w swoich dawniejszych żywotach, teraz uczuwał taką otchłań wiedzy w sobie, tyle miał do powiedzenia ludziom o sobie i tej wiedzy swojej, że w istocie mógł powtórzyć za Petrarką: »Tanto le ho a dir, che'ncomminciar non oso«...

Wprawdzie już w dramaty swoje, począwszy od *Księdza Marka*, próbował Słowacki tchnąć swoją wiedzę wewnętrzną, swoje poglądy mistyczne, ale to były próby tylko częściowe, w które poeta wkładał część tylko swojej duszy, i przytem próby, które mu się nie wiodły. Wszystkie one zresztą, jak się należy domyślać, pochodzą jeszcze z czasów przed wizyą cudowną, która dała poecie niewzruszoną pewność, że jest wybrańcem bożym, zatwierdzonym przez Boga wodzem narodu. Od tej chwili zakres tego, co miał powiedzieć o sobie, rozszerzał się niemal bezgranicznie, a potrzeba wypowiedzenia się stawała się tem silniejszą, im bardziej czuł upadek zdrowia i zbliżający się kres życia, a z drugiej strony im mniej był zadowolony z dawniejszych swoich utworów, im więcej czuł podniesienie się swoje na wyższy stopień artyzmu.

Bo Słowacki potrzebował wypowiedzieć się i jako ten, który przeniknął wszystkie tajemnice życia i zagadki świata, i jako ten, który ochrzczony został przez ognie cudowne i w ten sposób namaszczony na wodza narodu, i wreszcie jako genialny artysta, którego język poetycki coraz to doskonalsze tony wynajdował dla malowideł wyobraźni. *Król-Duch* więc jest przedewszystkiem wyrazem i owocem tej troistej a głęboko uczuwanej potrzeby. Jest to wielka świątynia, którą poeta stawiał przed śmiercią, ażeby w niej złożyć wszystkie skarby swej mistycznej wiedzy, rozwiesić wszystkie czary swej wyobraźni i po-

środku ustawić posąg dla swego ducha, jest to taka »tęczowa kopuła myśli — Wymalowana, jasna, księżycowa, — Nad srebrnym duszy wisząca aniołem« — o jakiej pisał w *Beniowskim*.

Jednem słowem *Król-Duch* jest syntezą Słowackiego, jako człowieka i poety. Jego anielskość, jego lot nad poziomy, jego samoubóstwienie, jego styl czarodziejski przy braku konsekwencyi, wszystkie dodatnie i ujemne cechy jego charakteru i geniuszu znalazły tutaj swój wspólny i najwyższy wyraz.

Jaką jest budowa tej świątyni? Dawniej skarżono się powszechnie na jej niejasność, tajemniczość, chaotyczność, zagadkowość; od czasu, jak zaczęto studyować mistyczne pisma filozoficzne Słowackiego, zagadkowość *Króla-Ducha* stawała się coraz przeźroczystszą i doszło do tego, że jeden z dzisiejszych krytyków (p. Matuszewski) utrzymuje, że »jeżeli rozpatrzymy uważnie stosunek szczegółów do całości w *Królu-Duchu*, to dostrzeżemy zadziwiającą jednolitość i konsekwencyę budowy architektonicznej poematu«. I dziwiąc się, jak mógł Spasowicz w mowie, którą miał w Miłosławiu przy odsłonięciu pomnika Słowackiego, nazwać *Króla-Ducha* utworem »zrodzonym w chaotycznym umyśle poety«, dodaje: »Smiem twierdzić, że mało jest na świecie poematów tak logicznych i konsekwentnych wewnętrznie, pomimo mistyczno-podmiotowego nastroju« [1]. Ale ani Spasowicz ani p. Matuszewski nie uzasadnili swoich twierdzeń, tem większa zatem zachodzi potrzeba zbadania tej kwestyi i wyjaśnienia, po czyjej stronie jest słuszność, albo raczej, ile jest słuszności po jednej, ile po drugiej stronie.

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się zastanowić nad tem, jaki stosunek zachodzi w poemacie pomiędzy wiarą a fantazyą poety, pomiędzy jego mistyczno-filo-

[1]) Ignacy Matuszewski. Słowacki i nowa sztuka. Warszawa 1902, str. 310.

zoficznym systematem, do którego trzeba zaliczyć i wyobrażenie poety o sobie, jako wybrańcu bożym, a fantastycznemi obrazami poematu. Innemi słowy, co Słowacki podawał za prawdę niewzruszoną, zaczerpniętą z wiedzy wewnętrznej, a co za grę wyobraźni?

Były niewątpliwie chwile, kiedy mu się zdawało, że wszystko w jego poemacie płynie wprost z natchnienia Bożego, że on jest tylko cudownym instrumentem, na którym sam Bóg przegrywa i że zatem wszystko bez wyjątku w jego *Królu-Duchu* wypływa z wiedzy wewnętrznej. Niezmiernie pięknym wyrazem takiego usposobienia są początkowe strofy rapsodu o Piaście:

Bóg ojciec, który mię raz na śpiewaniu
   Śpiącego zastał i naszedł wieczorem
I cały na mnie rzucił się w błyskaniu
   I mocy swojej przeraził upiorem,
Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
   Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem,
Bóg swoją mocą ku mnie nachyloną
Napełnia pieśnią to maluczkie łono.

Ten sam, który z tęcz nad potopem błysnął,
   Za Izraelem szedł w ognistej chmurze,
W skale się ukrył i wodą wytrysnął,
   Na górach stojąc zamienił się w burzę
I piorunami swymi lud przycisnął,
   I błogosławi dotąd — prawdy stróże,
Ten sam... napełnia mnie, naturę małą,
Chrystus, który był piorunem i skałą

Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
   Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
   Nieznane dotąd oceany porę;
Wiersza się nawet dawnego strukturą
   Ubrałem Panu memu przez pokorę —
Tak od cielesnej uwolniony troski
Cały się zdając na moc i duch boski.

Ale jakkolwiek częstemi mogły być chwile błogiego przekonania poety, że wszystko, co pisze, płynie z Bożego natchnienia; jakkolwiek wzywał on Ducha św., aby świecił nad jego pieśniami, jakkolwiek czuł się w owych czasach w takiej tajemnej spójni z Bogiem, że widział ukryty związek pomiędzy ukazaniem się zorzy północnej w Paryżu a końcowym ustępem rapsodu o Piaście i Pysze; jakkolwiek skłonny był marom własnej wyobraźni przypisywać byt realny: — to przecież i on sam w chwilach trzeźwiejszego poglądu na swoją pracę poetycką nie mógł wszystkich szczegółów swego poematu zaliczać do wiedzy wewnętrznej, już choćby dlatego, że zmieniał je tyle razy, przerabiał, zastępował jedne obrazy drugiemi, kierując się w tem przeważnie względami artyzmu. Mniej lub więcej świadomie odróżniać przecież musiał ideę od ich szaty fantastyczno-symbolicznej, którą można było w rozmaity sposób przykrawywać i zdobić.

Wreszcie gdyby nawet on sam w upojeniu swoją boskością niezdolny był czynić tej różnicy, to my poznawszy jego teorye mistyczne, możemy to swobodnie uczynić.

Otóż do zakresu wiary, wiedzy wewnętrznej, czy filozofii mistycznej Słowackiego możemy zaliczyć w poemacie takie idee, jak przechodzenie dusz z jednych ciał w drugie, i ciągłe ich dążenie ku doskonałości, jak ciągłe oddziaływanie świata duchów na ludzi, walkę potęg ciemnych z jasnemi, złych z dobremi [1]), wreszcie jaskrawo obłędne przekonanie poety o sobie, że jest Królem-duchem narodu, od którego były i są zależne losy Polski, a który przez cały szereg wcieleń dąży do osiągnięcia jej ideału, unoszącego się przed nim w postaci *Umiłowanej*. Można

---

[1]) Już w roku śmierci Słowackiego (1849) umieszczoną była w lwowskiem piśmie »Stadło« (nr. 7) recenzya *Króla-Ducha*, w której uwydatniano »walkę światła i ciemności, czarnego i białego ducha, znaną w nauce Zoroastra i w mytologii słowiańskiej«.

znaleźć w poemacie więeej idei zaczerpniętych z mistycznej filozofii Słowackiego, ale te, co wymieniłem, najważniejszą odgrywają w nim rolę, stanowią tło ideowe wszystkich rapsodów, jakby pień, z którego wybiegają pojedyńcze konary poematu i w istocie nadają budowie jego pewną jednolitość i konsekwencyą. To też słuszną jest do pewnego stopnia uwaga p. Matuszewskiego, że mistyczna epopeja o Królu-duchu »tylko w świetle filozofii Słowackiego dokładnie zrozumianą i ocenioną być może« [1]).

Ale na to nie zwrócił uwagi warszawski krytyk, że jakkolwiek filozofia Słowackiego potrafi nam rozjaśnić w *Królu-Duchu* wiele ciemności, które na pierwszy rzut oka zdają się nieprzebitemi, to jednak nie rozjaśnia wszystkich, i światło jej na nic się nie przyda tam, gdzie panuje niepodzielnie fantazya poety, kierująca się już nie filozofią, ale estetycznemi upodobaniami swojemi, a czasem zachciankami, czuła na każdy podmuch chwilowy, chwytająca najrozmaitsze reminiscencye i wplatająca je w wieńce rapsodów, bez troski o ich konieczny związek z całością. Więc nie można *Króla-Ducha* zupełnie uwolnić od zarzutu chaotyczności, niejasności i braku konsekwencyi, jak to czyni p. Matuszewski. Po dowody odsyłam do podanego wyżej rozbioru treści *Króla-Ducha*, w szczególności do analizy pierwszego rapsodu, gdzie są wskazane rażące niekonsekwencye, których żadne światło padające z filozofii Słowackiego usunąć nie potrafi.

Tutaj chcę jeden tylko jaskrawy przykład pokazać, którego w analizie tego rapsodu nie dotknąłem. Król-duch zanim został pachołkiem na dworze króla Lecha, wędrował po kraju, w którym się urodził i przypatrywał się różnym obrzędom i zwyczajom, dotychczas sobie nieznanym. Niema w tem jeszcze nic nienaturalnego, można w tem widzieć jakby przygotowanie bohatera do później-

---

[1]) Swoi i obcy. Wydanie 2-e. Warszawa 1903, artykuł: Mistyka Słowackiego, str. 227.

szej roli, jakby badanie z jego strony gruntu, na którym ma działać. Ale Król-duch nie poprzestaje na tem, wychodzi on poza granice swojej nowej ojczyzny, do jakiegoś kraju, w którym lud

palił umarłego w łodzi
I w mgieł krainę posyłał gościnną
Z umiłowaną kochanką niewinną.

Pocóż ta wędrówka? Czy ma jaki związek z przyszłą rolą Króla-Ducha? Najmniejszego. Chodzi tylko o pokazanie aż w trzech oktawach bardzo pięknego obrazu.

Ja syn wyrżniętych ludów... ja, istota
Nieznana wtenczas na ziemi nikomu...
Gdy zobaczyłem, jako ta łódź złota
Lepszą się zdaje od ziemskiego domu,
Jak płomień pod nią huczy i druzgota
Garście suchego liścia, pęki łomu,
A na te śpiące, we śnie rozkochane,
Rzuca swe straszne jutrzenki różane:

Gdym to obaczył — a wysłuchał śpiewu
Dziewicy (grobów smętnego słowika),
Która złotemu się tej łodzi drzewu
Tak wydawała, jak kwiat słonecznika,
A już od krain zaświatnych powiewu
Brała głos nowy i światłość płomyka...
Już tchem... już ogniem była... już bez ciała...
Już mglą... a jeszcze za światem śpiewała: —

Gdym to obaczył... tom kupcowi temu
(Bo kupiec jakiś to był, który gorzał)
Zazdrościł drogi... sam nie wiedząc czemu...
Drżąc, abym kiedyś duchem nie zubożał,
Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
Światowi niosą, jak lew nie zesrożał,
Nie szedł na tamten świat z szatana trwogą,
Jak duch... na czarnej łodzi... bez nikogo.

Żeby zrozumieć skąd się bierze w rapsodzie, tak niespodziewanie i tak bez związku z całością, oryginalny

obraz spalenia ciała jakiegoś kupca wraz z jego śpiewającą kochanką, — na to nie wystarcza najsilniejsze światło padające z mistycznej filozofii Słowackiego. Do zrozumienia tego potrzeba znać lekturę Słowackiego, która mu przynosiła różne obrazy, tak żywo odczute, że się wdzierały do poematu, choć dla nich właściwego miejsca tam nie było; potrzeba sięgnąć aż do arabskiego pisarza z X wieku, Ibn-Fosslana inaczej Ibn-Fodlana, który w swojem piśmie o pogańskich Russach zostawił bardzo dokładny i bardzo zajmujący opis pogrzebu pewnego kupca warego-ruskiego, ponieważ obraz Słowackiego jest niczem innem, jak tylko poetyckiem odbiciem tamtego opisu [1]).

---

[1]) Ahmed ben Fosslan był posłem Kalifa Muktedira do króla Bułgarów nadwołżańskich i opisał to, co widział w podróży swojej z Bagdadu i z powrotem. Z tej podróży zachowała się część tylko, o Russach, podana w słowniku geograficznym innego pisarza arabskiego, Jakuta, który żył w końcu XII i w początkach XIII wieku. Słowacki mógł się zaznajomić z zachowanym wyjątkiem podróży Fosslana albo w niemieckim przekładzie Frähn'a (Ibn-Fosslan's und anderer Araber Berichte über die Russen älterer Zeit. Text und Uebersetzung. St. Petersburg 1823) albo we francuskim Muradgea d'Ohsson (Les peuples du Caucase, Paris 1828). Oto w skróceniu opowiadanie Fosslana, które podsunęło Słowackiemu wiadomy obraz: Kiedy umarł bogaty kupiec, zapytano jego dziewczęta, która chce z nim umrzeć? Jedna z nich odpowiedziała: j a i zaraz ją oddano pod straż dwu innym, które jej odtąd wszędzie towarzyszyły. Tymczasem zabrano się do przygotowań pogrzebowych, do krajania i szycia sukien dla zmarłego i przyrządzania upajającego napoju. Przez cały ten czas dziewczyna, która się ofiarowała na śmierć, piła, śpiewała i była wesoła i szczęśliwa. Gdy nadszedł dzień pogrzebu, wyciągnięto łódź z wody, ustawiono ją na palach, na łodzi postawiono ławę, zasłano ją jedwabnemi kołdrami i poduszkami, a w górze nad nią zrobiono namiot. Zmarły aż do dnia pogrzebu złożony był w ziemnym grobie; teraz go wydobyto stamtąd, ubrano pięknie w nowo przyrządzone stroje, w kaftan ze złotogłowu ze złocistymi guzikami, w czapkę sobolową ze złotym wierzchem i usadzono w łodzi na ławie pod namiotem, podparłszy go poduszkami. Przy nim położono jego zbroję, przed nim zastawiono napój upajający (nabis) owoce, chleb, mięso, cybulę. Potem zabito psa, dwa ko-

Prawda, na obronę pierwszego rapsodu *Króla-Ducha* możnaby powiedzieć, że rażących niekonsekwencyi, o których była mowa, może byłoby w nim mniej, gdyby on nie »leciał, jak wiatr błyskawicy«, i gdyby go poeta nie zaraz oddał do druku, ale tak poprawiał i przerabiał, jak to czynił z dalszymi rapsodami; nie mniej przeto niekonsekwencye pozostają tem, czem były.

Ale co przedewszystkiem trzeba zaznaczyć dla nauki dzisiejszych naszych nastrojowców, dla których *Król-Duch* jest najwyższym wzorem, że ta niejasność, chaotyczność

---

nie, dwa woły, koguta i kurę i to wszystko rzucono do łodzi. Wreszcie przyszła kolej na dziewczynę; trzy razy stawała na dłoniach mężczyzn, którzy ją podnosili ku szczytowi jakiejś bramy, umyślnie na to zbudowanej, i za każdym razem zaglądając poza bramę, coś mówiła w swoim języku. Fosslan, który się temu przypatrywał, pytał swego tłómacza o znaczenie tych słów. Pierwszym razem dziewczyna mówiła: »Patrz, tam widzę mojego ojca i matkę«, drugim razem: »Widzę wszystkich moich zmarłych krewnych»; trzecim razem: »Tam jest mój pan, siedzi w raju; raj jest tak piękny, taki zielony. Przy nim są jego mężowie i chłopcy. On woła mię; prowadźcie mię do niego«. Wtedy poprowadzono ją ku łodzi; wystąpili mężowie z tarczami i laskami i podali jej puhar upajającego napoju. Ona wzięła, zaśpiewała pieśń pożegnalną i wypiła. Podano jej drugi puhar i znów zaczęła śpiewać, tym razem długo śpiewała. Stara kobieta, którą nazywano aniołem śmierci, a która się całem urządzeniem pogrzebu zajmowała, kazała się jej śpieszyć z wypiciem drugiego puhara i iść do namiotu, gdzie jej pan leżał. Dziewczyna zawahała się, ale stara wciągnęła ją za głowę do namiotu, gdzie ją zaraz uduszono i przebito nożem, a mężowie uderzyli kijami w tarcze, aby inne dziewczęta nie słyszały jej krzyków. Potem najbliższy krewny zmarłego wziął palące się drewno i zapalił niem drzewo umyślnie przedtem nagromadzone pod łodzią, poczem inni zaczęli dorzucać palące się głównie. Niebawem podniósł się płomień, a rozdmuchany silnym wichrem, ogarnął statek i namiot i wszystko co w nim było, i w godzinę wszystko obrócił w popiół. Pewien obecny temu Rusin powiedział do tłómacza Ibn-Fosslana: »Wy, Arabowie, jesteście głupi, że rzucacie człowieka, którego najwięcej kochacie i poważacie, do ziemi, gdzie go jedzą gady i robaki; my tymczasem palimy go w jednej chwili i on już zaraz wstępuje do raju«.

poematu nigdzie nie jest sztuczną, wyrachowaną, poniekąd kuglarską tajemniczością, której sporo było w starym romantyzmie i jest niemniej w dzisiejszym neoromantycznym symbolizmie, ale była tylko następstwem obłocznej ruchomości wyobraźni Słowackiego, która za najlżejszem potrąceniem z łatwością przechodziła od jednego pomysłu do drugiego, a w »giętkim języku« — gotowym »powiedzieć wszystko, co pomyśli głowa« znajdowała wspólnika winy.

Pomimo różnych swoich niekonsekwencyi, niejasności i ułomności, *Król-Duch* jest najwspanialszym, najszczerszym, najoryginalniejszym utworem Słowackiego. Prawda, tę epopeję stworzył człowiek obłąkany manią wielkości, żyjący tylko w świecie mar i widziadeł, ale ten obłąkaniec jest zarazem artystą-malarzem, który powietrzną subtelność barw, harmonią linii i dźwięków doprowadził w tym właśnie utworze do najwyższej doskonałości. Sam Słowacki zastanawiał się nieraz nad doskonaleniem się swego stylu, a gdy został mistykiem, gotów był to doskonalenie się przypisywać tajemnym wpływom nadziemskiego świata, poprzednim żywotom ducha, podszeptom innych duchów, które mu według jego wyrażenia, »znosiły wonie — kolory — i wieści«. Wkrótce po napisaniu *Księdza Marka* takie zapisał uwagi w swoim czerwonym pamiętniku[1]: »Poeci są wielkimi odgrzebywaczami słów duchów, bo je mają podszepnięte... a słowa te do rymu użyte mają potęgę rewelacyjną, to jest dzwonią jakimś tajnym wspomnieniem w każdym duchu. Mickiewicza cała potęga w tym rewelatorstwie słów. Czasem malarz przechodzący na poetę[2]) jest w słowach rewelatorem kolorytu... Dant-Wiktor Hugo... Muzyk na poetę przeszedłszy znajduje rewelatorskie wyrazy dźwięku. Po wielkiej liczbie dziś muzyków, kiedyś wielka liczba bę-

[1]) Rkp. Bibl. Oss. liczb. inw. 1792 nr. 2, k. 45.

[2]) To znaczy poeta, który w poprzednim żywocie był malarzem.

dzie harmonistyków poetycznych, piszących wiersze tylko dla dźwięku.... aż pójdą wyżej. — Ja sam przez rewelatorstwo muzyki w *Żmii* i pierwszych płodach, — malarstwa w *Beniowskim* przeszedłem, wchodzę *X. Markiem* w rewelatorstwo boskości ducha«.

Tak więc przed tworzeniem jeszcze *Króla-Ducha* odróżniał Słowacki w swojej poezyi trzy stopnie doskonalenia się stylu, trzy różne maniery stylowe, coraz wyższe. Takich stopni możnaby więcej naliczyć w rozwoju stylu Słowackiego, mianowicie między *Żmiją* a *Beniowskim* możnaby znaleść pośrednie stopnie; ale to pewna, że żaden z nich niema tego zasadniczego, przełomowego znaczenia, jakie przyznać trzeba pod względem stylu *Beniowskiemu* i *Księdzu Markowi*. Takiej swojskiej zamaszystości, swobody, takiej rozmaitości i żywości kolorytu, jaką styl *Beniowskiego* się odznacza, nie posiadał nawet w przybliżeniu żaden wcześniejszy utwór Słowackiego. Takiej młotem walącej prostoty w wyrażeniu egzaltacyi lub namiętności, jaką w niektórych scenach *X. Marka* spotykamy, daremniebyśmy szukali w całej poezyi Słowackiego.

W *Królu-Duchu* przechodził Słowacki w nową manierę stylu, której cechą była jeszcze większa niż przedtem rozwiewność, eteryczność linii, większa harmonia i przeźroczystość barw. W *Beniowskim*, w *Księdzu Marku* malował niedawne czasy historyczne, więc rysy były wyraziste, a kolory gorące; temat *Króla-Ducha* przenosił fantazyę poety w sfery podaniowe, bajeczne, lub w powietrzne kręgi, zapełnione rojami duchów, dla których jedynem tłem odpowiedniem chmury lub błękity, więc już sam temat wzywał poetę do wprowadzenia do stylu większej eteryczności i przeźroczystości barw. Mamy świadectwo, że czuł on tę potrzebę, że w nową manierę, której zresztą próbę pierwszą można widzieć w takich utworach, jak *Poeta i natchnienie* lub wiersz *Do autora trzech psalmów*, wchodził z całą świadomością swego za-

dania. Tem świadectwem jest cytowany dawniej list do matki, pisany w chwili przygotowywania do druku pierwszego rapsodu, a więc dopiero w początkach pisania *Króla-Ducha*, list, gdzie Słowacki, mówiąc o nowym poemacie powiada, że »chciałby w tych płótnach światło wyrazić więcej, niż kolorowość natury, światło, z którym w oczach Rafael zaczynał«.

Bardzo też charakterystyczną dla ostatniej maniery poetyckiej Słowackiego jest cytowana już o kilka stronic wyżej ta strofa *Króla-Ducha*, gdzie poeta powiada o sobie, iż »snem pisze, a z mgieł rozjaśnionych bierze«. Myślę, że nie można znaleść lepszego porównania dla obrazów i stylu Słowackiego w *Królu-Duchu*, jak to, które on sam tu podał. Obrazy jego w tym poemacie to prawdziwe sny, w takim samym do życia realnego stosunku, tak samo nieraz niezwiązane konsekwencyą, tak samo dziwne, fantastyczne i tajemnicze, a styl jego to mgła, roztapiająca w sobie światło i kolory i nieuchwytnym wabiąca wdziękiem.

Mówiąc o tej ostatniej manierze Słowackiego, nie można pominąć stroficzności jego poezyi w *Królu-Duchu*. Słowacki, ile razy otwierały się przed nim nowe horyzonty, ile razy czuł, że jego poezya podnosi się na wyższy stopień doskonalenia się, t. j. ile razy z jednej maniery przechodził do drugiej, tyle razy pragnął dać wyraz tej zmianie nie tylko stylem, ale i zewnętrzną formą wiersza. Tak rozpoczynając poemat, który się potem przeobraził w *Anhellego*, próbował nowej strofy, dotychczas nieużywanej przez siebie, tercyny, która zdawała się być naturalną szatą nowego dantejskiego nastroju. Wiemy że próba się nie powiodła, że muza mu tym razem »została rymami dłużna«, ale odrzuciwszy tę formę, Słowacki nie wracał do dawnych, tylko szukał innej nowej i znalazł ją w rytmicznej, i, rzecby można, stroficznej prozie biblijnej. Kiedy w *Beniowskim*, świadomy potęgi swego

stylu, czarodziej-wirtuoz stawał do zaciętej walki z Mickiewiczem i emigracyą, wtedy nowego sobie dobierał rumaka, dosiadał oktawy, na której ówczesna muza jego Swentyna takie cudne wyprawiała harce. — Po transfiguracyi, kiedy czując w sobie boskość ducha, chciał ją w *Księdzu Marku* wyobrazić, próbował także, jak to już wyżej wskazywałem, różnych form, różnych strof, różnych wierszy, różnych rodzajów poezyi, zanim wpadł na formę Calderońskiego dramatu i wiersza, która wydała mu się naczyniem, godnem nowego nastroju ducha.

Otóż i wtedy, kiedy się zabierał do pisania poematu który miał objąć ostateczną i najwyższą syntezę jego ducha, i wtedy chodziło mu, aby dla nowych natchnień, dla nowej poezyi, płynącej z doskonalszego poczucia piękna, dobrać nowe naczynie stroficzne. Mówiąc o pierwotnym pomyśle *Króla-Ducha*, przytoczyłem niektóre strofy, świadczące o tym zamiarze (N. p. »Bom ja przed wieki był i byłem w Panu« i t. d.) Strofa użyta tutaj była sekstyną, ale różną w układzie rymów od tej, w której moc wirtuozostwa swego pokazywał Słowacki w *Podróży na Wschód.* Ta próba, jak widać z autografów, prędko została zaniechana, ale poeta nie od razu pogodził się z myślą, ażeby oktawę, która, jakkolwiek tak długo i wiernie mu służyła w *Beniowskim*, ale właśnie dlatego mogła mu się wydawać jakby sprofanowaną, — użyć za naczynie mistycznej epopei, którą rozpoczynał.

Mamy w autografach ślady kilku innych jeszcze prób wprowadzenia nowej formy wierszowej do *Króla-Ducha,* z których na dwie tylko, wybitniejsze, chcę zwrócić uwagę. Choć pierwszy rapsod już był napisany oktawą, poeta zabierając się do pisania drugiego, chciał spróbować, czy mu się nie uda znaleźć dla niego zamiast formy pożyczanej od Włochów, jakiejś innej, swojskie, rodzime piętno mającej. Przypomniał on sobie baśni ludowe, które Mickiewicz przed czterema laty tak wysoko podnosił był

w swoich wykładach[1]); przypomniał sobie ich formę nawpół prozaiczną, nawpół wierszowaną i próbował, czy się nie da ona zastosować do jego epopei. I oto co znajdujemy w autografach *Króla-Ducha* na wstępie do drugiego rapsodu:

Ja brat śpiewak znowu do was przychodzę,
A po drodze wstąpiłem do chat i wiosek
Z pieśnią — każdy mię kłosek zna i każda mogiła.
Matka chłopca wysyła... i z lirą dziada zaprasza.
Bo dziś ojczyzna nasza w pieśni skrzydlatej spoczywa,
A pieśń żywa — złożyła skrzydła i leży
W sercu dawnych rycerzy — a dziś śpiewaków za karę.
O miejcie wiarę... że to co śpiewam tak było,
Pod mogiłą są ciała — lecz duchy mi żywe śpiewały,
Duchy w duchu — świat cały, globowy mi śpiewał
I przelewał w łzy moje pieśń — a z łez czynił posągi — i t. d

Forma ta, która polega na tem, że ostatnie słowa wierszy rymują nie z sobą, ale ze słowami ukrytemi w środku następujących wierszy, jest w istocie jakby pomięszaniem formy rymowanej z nierymową, i z tego względu przypomina niektóre baśni ludowe.

Ale nie dziwimy się, że ucho poety nie mogło się z tą formą pogodzić i że on ją prędko odrzucił. A odrzuciwszy, postanowił nie szukać już nowej formy stroficznej dla *Króla-Ducha* i pokornie wracając do dawnej pogardzonej strofy, uwydatniał tę swoją pokorę w cytowanej już strofie:

Wiersza się nawet dawnego strukturą
Ubrałem Panu memu przez pokorę.

Zdaje się jednak, że i potem jeszcze próbował, czy mu się nie uda w nową suknię stroficzną odziać *Króla-Ducha*. Tak każą wnosić waryanty do rapsodu o Mieczysławie, drukowane w wydaniu Małeckiego, jako ury-

---

[1]) Lit. Słow. III, 187.

wek III (str. 414—418), a także niektóre niewydane strofy. Forma ich była bardzo podobną do oktawy, ale w każdym razie była nową. Różnica polega na tem, że wiersz czwarty zamiast jedenastu zgłosek pięć tylko liczy. Była to jakby oktawa ściągnięta, ściśnięta w pasie, stąd więcej lotna i strzelista. Oto na przykład jedna ze strof, przedstawiająca kapłankę, w chwili, gdy ma dopełnić obrzędu postrzyżyn nad Mieczysławem. Wybrałem tę strofę na próbę umyślnie dlatego, że mistrzowski obraz kapłanki z czarką z bursztynu w rękach podniesionych jest jakby symbolicznem upostaciowaniem tej formy stroficznej.

Płótnem i różnym owita powojem...
Dziś jeszcze widzę ją; dziewica biała —
Srebrna — zielonym okwiecona strojem
Przedemną stała...
Kądziel palona różanym zawojem
I dymem skronie wieszczki otaczała;
A ona na mgłach, na łunach rubinu
Trzymała czarkę maleńką z bursztynu.

Nowa próba przyniosła wiele równie pięknych strof, ale i tym razem skończyło się na próbie. Poeta zapewne spostrzegł się niebawem, że chcąc cały poemat odziać w nową strofę, trzeba było mnóstwo gotowych strof przerabiać, gdyby zaś tego zaniedbał, to wprowadzenie rozmaitej stroficzności do *Króla-Ducha* odebrałoby mistycznej epopei znamię jednolitości i powagi. Więc ostatecznie pogodził się z oktawą i w autografach zawierających rapsod o Bolesławie Śmiałym nie znajdujemy już śladów szukania nowej szaty stroficznej dla *Króla-Ducha*.

Ostatnie pytanie, nad którem mamy się tu zastanowić, jest: jakie stanowisko zajmuje *Król-Duch* w poezyi polskiej? pytanie, z którem w najściślejszym związku zostaje inne: jakie ma znaczenie ten poemat i wogóle poezya Słowackiego, której on jest najwyższym wyrazem, dla narodu?

W ostatnich czasach zestawiano często *Króla-Ducha* z *Panem Tadeuszem*, jako dwie różnego rodzaju epopeje u szczytu polskiej poezyi stojące. W istocie zestawienie takie jest bardzo pouczające i jest najlepszą, jeżeli nie jedyną drogą, prowadzącą do odpowiedzi na tylko co wymienione pytania.

Przeciwieństwo między temi dwoma dziełami doskonałe i to pod każdym względem. Z jednej strony spokój, swoboda ducha, prostota, słoneczna jasność i powietrzność, ciepło, liryzm płynący falami humoru i rzewności, pod któremi czuć głębię patryotycznego uczucia, miłość przyrody ojczystej, ludzi, obyczaju, przeszłości i przyszłości, przez obłok nowych ideałów ukazującej promienne oblicze; jednem słowem najżywszy zmysł społeczny, wszystko przenikający i wszystko do wysokiej sprowadzający harmonii; a obok tego realizm życia, w doskonałe formy plastyczne ujęty; — z drugiej atmosfera duszna, cieplarniana; gorączkowa napiętość, fantastyczność, niejasność, nieznająca granic wybujałość, indywidualizm pochłaniający wszystko, niczem nienasycony, piętrzący się ku boskości i szturmujący w niebo; jaskrawość uczuć bez tej woni macierzankowej, jaka napełnia Mickiewiczowski poemat, ale za to z horyzontami fantastycznemi, tajemniczemi, ginącemi w nieskończoności; a przytem nieprześcigniona delikatność i subtelność barw, rozpływających się w światła i eteryczność, rozwiewność kształtów, dosięgająca zenitu.

To przeciwieństwo głęboko odczuwał sam Słowacki, gdy pisząc swój śpiew łabędzi porównywał go z epopeją Mickiewicza. Ten sam, który przed kilkunastu laty, pomimo najsilniej wytężonego antagonizmu, ukorzył się przed jej świeżością i zachwycającą prostotą, teraz spoglądając na nią z wysokości swojej ostatniej maniery, przez mgłę cieplarnianych oparów fantazyi, potępiał ją za jej realizm, za jej słoneczność, za jej jasność i spokój, za jej humor, za to wszystko, co nazywał »zdrowym rozsąd-

kiem«, i pisał o niej w swoim pamiętniku: »Pisarze komedyi-romansów, jak Don Kiszot — i Pan Tadeusz — którzy ubóstwiają zdrowy rozsądek — są to bardzo dobrzy ludzie, którzy w duchach zabijają królestwo Boże«[1]. W *Panu Tadeuszu* widział on w tych czasach, jak już dawniej wskazałem, »ubóstwienie wieprzowatości życia wiejskiego«, »czczenie wieprzów, a bicie się na maczugi, a wstręt do innej broni«. W tych słowach doskonale scharakteryzował nie epopeję Mickiewiczowską, ale swój ówczesny stosunek do niej i w ogóle do wszelkiej poezyi, w której przeźroczystym krysztale odbija się świeża, normalna, zdrowa natura ludzka, w której panuje wysoka równowaga fantazyi, uczucia i rozumu, do poezyi Homera, Szekspira, Cervantesa i Goethego.

Chcąc przeciwieństwo między *Panem Tadeuszem* a *Królem-Duchem* wyrazić w porównaniu, trzeba powiedzieć: dzień i noc, albo może jeszcze lepiej: słońce i księżyc. Czytając *Pana Tadeusza* czujemy rzeźwość, jaką budzi ranek słoneczny, cieszy nas żywość barw słonecznych i wypukłość kształtów słońcem oblanych, ogrzewa słoneczne ciepło uczucia; niedarmo też widok słońca tyle razy i tak wspaniale odmalowany jest w tej epopei. Jeżeli pośród tych widoków znajdujemy i wspaniały obraz burzy, która »od nocy czarniejsza« cały horyzont niebieski zaczernia, to jakby na to tylko, aby przez chwilowe zakrycie słońca tem wyższego uroku nabrał blask jego. W *Królu-Duchu* wszystkie niemal sceny przesuwają się przed nami w oświetleniu niepewnem, wieczornem, nocnem lub nadrannem, jedynie stosownem dla mar gorączkowej wyobraźni, któreby nie zniosły złotego światła słonecznego; tylko księżyc, gwiazdy, komety, czasem »wstęga smętnego szkarłatu« lub jakieś cudowne ognie przyświecają im z nieba. Wyjątek wyraźny stanowi scena wyprawy posłów po Dobrawnę, scena, która za tło ma

---

[1]) Biegeleisen. J. Słowacki, str. 228.

»ranek błękitny i wielką ciszą owiane pola«, i która taki kontrast świetlny stanowi w *Królu-Duchu*, jakim jest obraz burzy w *Panu Tadeuszu*. A i w tej scenie, dodajmy, nie pokazuje nam słońca poeta na niebie, a tylko na złotych gęślach i zbrojach poselstwa.

Jest więc stanowisko *Króla-Ducha* w poezyi polskiej biegunowo przeciwne stanowisku *Pana Tadeusza*. A teraz rozważmy także porównawczo, jakie ma znaczenie dla narodu mistyczna epopeja Słowackiego, a wraz z nią i cała poezya jego, której *Król-Duch* jest najwyższym wyrazem, to jest jaki wpływ wychowawczy zdolna na naród wywierać?

Pan Tadeusz a wraz z nim i cała poezya Mickiewicza, której on stanowi koronę, jest wiekuiście żywą księgą, z której już kilka pokoleń czerpało (a któż powie, ile ich z niej czerpać będzie) miłość przyrody ojczystej, miłość tradycyi i obyczaju rodzinnego, miłość wszelkich szlachetnych dążeń narodowych, i to miłość skąpaną w uczuciu prawdy, wolną od szowinizmu serc i głów ciasnych; jest księgą, z której młodzieniec uczy się nietylko cenić i kochać swój naród, ale i poznawać jego błędy i słabe strony jego charakteru, a jednak nie zniechęcać się do niego; jest księgą, która zarówno kształci jego uczucie, jak rozum i fantazyę, tę ostatnią nastrajając harmonijnie, pogodnie, w sposób zachęcający do życia i pracy dla narodu.

Jednem słowem *Pan Tadeusz* ma nieocenione znaczenie dla narodu, jako element wychowawczy. Jakąż rolę odgrywa poezya Słowackiego pod tym względem? Czy dodatnio oddziaływa na wyrobienie charakteru i serca? Czy wzrusza, czy uszlachetnia? czy zahartowuje, czy oczyszcza serce?

Poezya Słowackiego działa przedewszystkiem na wyobraźnię, olśniewa ją, uderza, zapala, porywa, ale jako płynąca przeważnie z głowy nie z serca, niezdolna jest dać sercom stałego i głębokiego nastroju. Stąd wpływ jej na

młode umysły bardzo wielki, ale nie trwały, a przytem często ujemny: jaskrawość barw i blasków przy braku konsekwencyi w uczuciach i myślach sprzyja krzewiącemu się tak łatwo u nas zamiłowaniu w blichtrze i krzykactwie, w szumnym frazesie i teatralnej pozie. Taki wpływ w szczególności wywiera poezya Słowackiego z czasów przed transfiguracyą, to jest ta, której najwyższym celem było zdobycie sławy, a jedną z cech wybitnych teatralność. Poezya późniejsza, zwrócona ku innym celom, ku zdobywaniu coraz wyższej doskonałości ducha i w tonie swoim daleko szczersza od poprzedniej, zdolną by była wywierać pod względem etycznym wpływ o wiele bardziej dodatni, gdyby znów nie była tak mistycyzmem zamgloną i tak często puszczaną na wolę wiatrów mistycznie nastrojonej wyobraźni, a przedewszystkiem gdyby nie była do głębi przesiąknięta ideą samoubóstwienia, chorobliwym wytworem bezgranicznie wybujałego indywidualizmu poety.

Ale jest inny zakres wpływu tej poezyi, inna strona jej znaczenia: estetyczna, i tutaj geniusz poety występuje w całym czarodziejskim blasku i zostawia nam w spuściźnie nieocenione klejnoty. Prawda, tym klejnotom brak zwykle harmonijnego układu, są to często sznury pereł rozerwane, ale każda z tych rozsypanych pereł jest najczystszej wody, świeci najpiękniejszym blaskiem. Pierwiastek muzyczny i malarski zlewają się w tej poezyi w sposób nieprześcigniony, zachwycają i upajają słuch i oczy zarazem, cudownie pieszczą i kołyszą. Tworzy się cudowna huśtawka poetycka, sprawiająca wrażenie lotu, co chwila podnosząca w jedną stronę, aby odrzucić potem w drugą, co chwila odsłaniająca jakieś dalekie horyzonty, które błyskawicznie zjawiają się i znikają.

To wszystko, niestety, stracone jest dla cudzoziemców, dla których niedostępnym jest czar słowa w poezyi Słowackiego. A ta poezya w przekładzie, odarta z czaru słowa, który się nie da przenieść do obcego języka, tem

więcej razić ich musi wszystkiemi ujemnemi stronami swej treści, naśladowniczością i teatralnością wcześniejszych utworów, chaotycznością i dziwacznością późniejszych; do zrozumienia zaś tego, coby mogło zająć ich uwagę, zbyt wiele potrzebowaliby komentarzy. I stąd to pochodzi, że Słowacki nie pozyskał sobie uznania za granicą, ani za życia, w tych czasach kiedy imię Mickiewicza było tak sławnem na Zachodzie i na Wschodzie Europy, ani potem aż do ostatnich czasów, pomimo iż impresyonizm i symbolizm, krzewiące się w najnowszej literaturze europejskiej, zdolne były i są jak najlepiej usposabiać cudzoziemców do dobrego przyjęcia poezyi Słowackiego.

Ale jeżeli poza granicami polskiego żywiołu poezya Słowackiego pozostała bez znaczenia i wpływu, to w polskiej literaturze nowszych czasów wpływ tej poezyi był bardzo silny i o ile dotyczy formy, dodatni. Historya tego wpływu wychodzi poza ramy mojej pracy; tutaj dość będzie zaznaczyć, że poezya Słowackiego była szkołą muzykalności i malowniczości języka dla nowszych poetów naszych od Asnyka do Wyspiańskiego, a i znakomitsi powieściopisarze nasi od Sienkiewicza do Żeromskiego i Sieroszewskiego, wiele zawdzięczają tej szkole, jako koloryści. I jak poezya Jana Kochanowskiego, przez trzy wieki nieprześcigniona, aż do czasów Mickiewicza była najwyższym, zbyt często niestety, zaniedbywanym wzorem języka i wiersza polskiego, tak i poezya Słowackiego, ten »posąg, co błyska skrami«, — »lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki«, będzie niewątpliwie na długie czasy dla piszących po polsku najwyższą artystyczną szkołą języka polskiego.

Ale byłoby niesprawiedliwie dodatni wpływ poezyi Słowackiego ograniczać tylko do formy. Uwydatniałem nieraz w ciągu tej pracy szczególny stosunek Słowackiego do przyrody i teraz na zakończenie chcę jeszcze raz ten stosunek przypomnieć, ponieważ on w dodatnim wpływie poezyi Słowackiego ważną stanowi pozycyę.

Słowacki łudził się, gdy wierzył, że jego *Genezis z Ducha* jest alfą i omegą świata, że od jej poznania i powszechnego uznania zależy zbawienie narodu i ludzkości; ale to, że jego fantazya chciała ogarnąć wszechświat, przeniknąć wszystkie tajniki przyrodzenia, odnaleźć się na wszystkich szczeblach rozwoju życia przyrody i widzieć w niej jedną rodzinę dążącą do swego Ojca, źródła wiecznej miłości i prawdy — ten zamiar, ten wspaniały rozmach skrzydeł jego fantazyi, choć z Ikarowym miał spotkać się losem, rozszerzał jednak horyzonty naszej poezyi nieskończenie i otwierał przed nią nieznane dotychczas drogi. Ów zaś węzeł głębokiej sympatyi, który go wiązał z przyrodą, i dzięki któremu mógł on stać się nieporównanym tłómaczem jej piękności, oddziałał z ogromną siłą na pogłębienie poczucia natury u naszych poetów, a może jeszcze więcej u nowelistów i powieściopisarzy z ostatniej ćwierci wieku. Nie wspominając innych, dość wymienić Sienkiewicza, Orzeszkową, Sieroszewskiego, Żeromskiego, aby uprzytomnić tę różnicę, jaka zachodzi w pojmowaniu natury między dawniejszem pokoleniem nowelistów naszych, któremu przewodniczyli Kraszewski i Korzeniowski, a nowszem, które się już kształciło pod wpływem poezyi Słowackiego.

Gdy więc nadejdzie chwila, że będziemy mogli uczcić posągiem pamięć wielkiego czarodzieja słowa, nie stawiajmyż go pod sklepieniami świątyni, ani na gwarnym rynku, ale wśród otoczenia tej cichej i w niebiosa zapatrzonej przyrody, na której łonie było mu zawsze tak błogo, wśród drzew i kwiatów, dla których żywił uczucia braterskie, a które w zamian za tę miłość spowiadały mu się ze swoich tajemnic i językiem, dla niego tylko zrozumiałym, szeptały mu przez nikogo nigdy niesłyszane rzeczy.

TREŚĆ TOMU II.

str.

CZĘŚĆ III. TRANSFIGURACYA. 1842—1844. (Ciąg dalszy) . 1

ROZDZIAŁ XIV. **Zerwanie z Kołem. 1843.** 3

Poczucie misyi. — Wizyta malarza. — Pierwsze wakacye nad Oceanem. — Mickiewicz jedzie do Mistrza. — Poglądy Mickiewicza i Słowackiego na znaczenie poezyi. — Niechęć do brata Juliusza. — List Słowackiego do Kołyski. — Śledztwo duchowe; sąd Goszczyńskiego o Słowackim. — Projekt odezwy Słowackiego do Koła. — Nabożeństwo za duszę Aleksandra I. — Chorąży prawdziwej wiary. — Stosunek Słowackiego do Towiańskiego.

ROZDZIAŁ XV. **Sen srebrny Salomei. 1843.** 32

Geneza dramatu. — Sawa i panna Gruszczyńska. — Chęć uczczenia matki w dramacie. — Skąd dziwny tytuł? — Postać Wernyhory. — Wernyhora jako wyobraziciel poezyi ludowej. — Społeczno-narodowe stanowisko Wernyhory; jego niejasność. — Stosunek Wernyhory do szlachty. — Inne postacie dramatu. — Fatalistyczne tło utworu. — Motywy wzięte z Calderona i echa Szekspirowskich dramatów. — Ogólna wartość utworu; porównanie z ***Księdzem Markiem***. Przekład ***Księcia Niezłomnego***.

CZĘŚĆ IV. W GMACHU ANIELSTWA. 1844—1846. . . . 59

ROZDZIAŁ XVI. **Genezis z Ducha. 1844.** 61

Dalsza korespondencya z matką i dalsze zabiegi o pozyskanie matki dla nowej wiary. — Kryształowy gmach złudzenia. — Pocieszający list matki. — Święcone u Czartoryskich. — Drugi pobyt Słowackiego nad Oceanem. — Próby dostrojenia ***Beniowskiego*** do nowego tonu. — Geneza ***Genezis z Ducha***. — Prelekcya Mickiewicza z dnia 19 marca 1844. — Kiedy i gdzie napisana ***Genezis z Ducha***. — Forma i charakter utworu. — Analiza utworu; łańcuch przeobrażeń. — Świat roślinny w ***Genezis***. — Uchrześcijanienie natury i walka o byt. — Alfa i omega świata.

str.

ROZDZIAŁ XVII. **Fragmenta mistycznych dramatów** . . . 93
Samuel Zborowski. — Fragment powieści o Heliaszu. — Eolion i Atessa. — Znaczenie Lucyfera. — W sądowej sali niebios; proces Zborowskiego z Zamojskim. — Uwielbienie dla *liberum veto*. — *Agezilausz-Agis*. — Związek między bohaterem dramatu a poetą. — *Zawisza Czarny;* zmiana pierwotnego planu. — Dramat na tle dziejów Wielkiego Nowogrodu.

ROZDZIAŁ XVIII. **Wrogowie w Bogu. 1844—1845** 125
Czwarty kurs wykładów Mickiewicza. — Ogłoszenie sprawy z katedry. — Wyprawa do Bas-Valais. — Pismo do cesarza Mikołaja. — Seweryn Pilchowski, jako poseł Sprawy. — Objawienie poselstwa w rocznicę listopadową. — Mikołaj Kamieński i jego pismo do urzędu Koła. — Odpowiedź Mickiewicza i jego stanowisko. — Słowacki o emigracyi. — Projekt zbiorowej protestacyi. — List do brata Adama. — Słowacki poświęca *Genezis* pułkownikowi Kamieńskiemu. — Nowa protestacya Słowackiego; wodzostwo narodu. — Manifest do narodu, oskarżający »wrogów w Bogu«. — Stanowisko patryotyczne Mickiewicza i Słowackiego. — Pociski poetyckie przeciw wrogom w Bogu.

ROZDZIAŁ XIX. **Rozdrażnienie, sny i wizya. 1844—1845** . 168
Macierzyńska krytyka mistycznych dramatów. — Anegdota o Kolumbie, jako odpowiedź. — Dalsza korespondencya z matką. — Krok bohaterski matki. — Słowacki wylewa żółć swoją na Szopena. — Obrona mistycznych dramatów. — Przypomnienie kościoła bez Boga. — Dwa obrazki Najśw. Panny. — Zwrot w usposobieniu Słowackiego. — Wizye senne poety przed transfiguracyą. — Wizye senne po transfiguracyi. — Sen o białych koniach — Wizya na jawie. — Gmach anielstwa poświęcony. — Święta cisza życia poety.

ROZDZIAŁ XX. **Walka z autorem Trzech Psalmów. 1845** . 202
Usposobienie Krasińskiego od czasu przerwania korespondencyi ze Słowackim. — Zgińcie me pieśni! — *Prawdy żywotne* i *Katechizm demokratyczny*. — *Psalm miłości*. — Krasiński w Paryżu; niedoszły pojedynek ze Słowackim. — Słowacki u Trapistów i nad morzem. — Recenzya Platera o *Psalmach przyszłości*. — Geneza wiersza *Do Autora Trzech Psalmów*. — Analiza poematu; historya anielstwa poety. — Ironia polemiczna. — Manifest przeciwko szlachcie. — Pogarda dla purpury. — Ewolucyonizm w służbie idei społecznej. — Wieczny rewolucyonista-duch.

str.

ROZDZIAŁ XXI. Rozmowa z Mieczysławską i korrespondencya z Krasińskim. 1845—1846. 236

Przybycie Makryny Mieczysławskiej do Paryża. — Wrażenie jakie wywarła na Mickiewiczu i Słowackim. — Poemat: *Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską.* — Porównanie *Rozmowy* z *Ojcem Zadżumionych.* — Kontrast między marzycielem a kobietą czynu. — Niechęć Słowackiego do Rzymu. — Gdzie szukać prawdziwych papieży? — Śmierć Hofmanowej z Tańskich. — Krasiński nasłuchuje głosu krytyki. — Gaszyński na zwiadach u Słowackiego. — Bolesne rwanie się listu Słowackiego do Krasińskiego. — Krasiński o Słowackim do Gaszyńskiego. — Słowacki o sobie do Krasińskiego. — Słowacki w roli mistrza Krasińskiego. — Stosunek poety do współczesnej nauki. — Powody jego milczenia. — Korespondencya dwu Wenedów urywa się na zawsze.

CZĘŚĆ V. ŁUNA PRZEDZGONNA. 1846—1849. 281

ROZDZIAŁ XXII. Słowacki-filozof. 283

Fragmentaryczność filozoficznych pism Słowackiego. — *List apostolski* Słowackiego i jego geneza. — Dyalogi filozoficzne; walka na dwa fronty. — *Rozmowa z Helionem*; godzenie metempsychozy z chrześcijaństwem. — *Rozmowa z Helionem i Helois*; historya ducha ludzkiego w postaci romansu. — Mojżesz-Słowacki. — Romans wszechludzki wierszowany. — *List do Rembowskiego.* — Dlaczego jest zło na świecie? — Stworzenie Adama i grzech pierworodny. — Walka z antychrystową wieżycą wiedzy współczesnej. — Zienowicz i Humboldt. — Człowiek-mikrokosm. — Oryginalność filozofii Słowackiego. — Słowacki i Saint-Martin.

ROZDZIAŁ XXIII. Słowacki polityk. 1846—1848. 326

Wieści o ruchach powstańczych. — Wrzenie w emigracyi. — Klęska i manifest rewolucyjny. — Stanowisko Słowackiego wobec wypadków 1846. — Broszura Słowackiego *Do księcia A. C.* — Obrona republikanizmu; ideał duchowy Polski. — Odpoczynek letni w Dieppes; Słowacki rozmawia z Bogiem. — Wydanie pierwszego rapsodu *Króla-Ducha.* — Pismo *Do emigracyi*: *O potrzebie idei.* — Teorya złotej wolności. — Słowacki w Towarzystwie Historyczno-literackiem. — Odczyty Chojeckiego i Hofmanna. — Drugi list do księcia Czartoryskiego; ujęcie się za Mickiewiczem. — Odnowienie stosunków z Goszczyńskim. — Słowacki wśród młodej emigracyi. — Wiersz *Do Ludwika Norwida.* — Założenie Zwią-

str.

zku Narodowego. — Stosunek Słowackiego do Koła. — Wyjazd Mickiewicza do Rzymu. — Aleksander Niewiarowski przeciw Słowackiemu. — Rewolucya lutowa. — *Głos brata Juliusza* i zawiązanie konfederacyi. — Wyprawa do Poznania. — Słowacki w Wrocławiu; złudzenia i trwogi.

ROZDZIAŁ XXIV. **Rok przedśmiertny. 1848—1849.** 386

Pragnienie i obawa spotkania się z matką. — Nieporozumienia adresowe. — Matka i syn we Wrocławiu. — Rozstanie się; zabiegi matki w interesach księgarskich syna. — Słowacki po powrocie do Paryża. — Niezadowolenie z listów matki. — Wuj i siostrzeniec; rady dla wuja. — Nowy niepokój o matkę i uspokojenie. — Lipskie wydanie wiersza *Do autora Trzech Psalmów*. — Trzy teksty tego wiersza; co o nich sądzić? — *Psalm żalu*, jako odpowiedź Słowackiemu. — Ostatnia zima z marzeniami o wiośnie. — Choroba, testament. — Kiedy pisany wiersz: »*Testament mój*«. — Ostatnie chwile, śmierć i pogrzeb.

ROZDZIAŁ XXV. **Król-Duch.** 424

Rozwój pomysłu *Króla-Ducha*. — Przez wieki idąca powieść. — Początek poematu w pierwotnym pomyśle. — Myt o Herze Armeńczyku. — Zaślubiny ducha z ideą. — Cudowna postać niewieścia; jej różne znaczenia. — Jej stosunek do Goplany, Swentyny i Anieli. — Popiel syn popiołów. — Popiel jako wyraz ducha passyi Słowackiego. — Duchy w służbie Popiela. — Dwa anioły w nim zamknięte. — Motywy zbrodni Popiela. — Popiel i Iwan Groźny. — Myt o Wandzie. — Pośmiertne losy Popiela. — Król-Duch na tle obrzędu Dziadów. — Powieść o Piaście i Pysze. — Rapsod o Mieczysławie. — Rapsod o Bolesławie Śmiałym. — Zmysłowość, jako fatalizm. — Matka Bolesława i tajemnicza przysięga z jej rozkazu. — Waregi i Słowianie. — Pogląd na całość poematu: *Król-Duch* jako synteza Słowackiego. — Stosunek między wiarą a fantazyą poety. — Motyw z arabskiej podróży. — Styl Słowackiego; jego stopnie doskonalenia się. — Stroficzność *Króla-Ducha*. — Znaczenie poematu dla narodu; *Król-Duch* i *Pan Tadeusz*. — Wpływ poezyi Słowackiego.

Uwaga: W Tomie I dostrzeżone zostały jeszcze następujące błędy druku: str. 241 w. 10 z góry zam. »poprzedzającą« ma być »popędzającą«; str. 265 w. 10 z góry po słowach: »na to pytanie« opuszczono: »trudno«; str. 379 w. 9 z dołu zam. »na jej wytworzenie się« — »na wytworzenie się nowej nauki«; str. 420 w. 5 z góry zam. »językowi« — »jękowi«; str. 471 w. 2 z góry zam. »w r. 1842« — »w r. 1845«.

